

Jan Potocki

REKOPIS ZNALEZIONY
W SARAGOSSIE

Zixo Reader

Zawartość

Dzień pierwszy.....	7
HISTORIA EMINY I JEJ SIOSTRY ZIBELDY	14
HISTORIA ZAMKU KASSAR-GOMELEZ.....	15
Dzień drugi.....	18
HISTORIA OPĘTANEGO PASZEKO	21
Dzień trzeci	25
HISTORIA ALFONSA VAN WORDEN	26
HISTORIA TRIVULCJA Z RAWENNY.....	31
HISTORIA LANDOLFA Z FERRARY	33
Dzień czwarty	37
Dzień piąty	39
HISTORIA ZOTA.....	41
Dzień szósty	46
DALSZY CIĄG HISTORII ZOTA	46
Dzień siódmy	55
DALSZY CIĄG HISTORII ZOTA	55
Dzień ósmy	62
OPOWIADANIE PASZEKA	64
Dzień dziewiąty.....	65
HISTORIA KABALISTY	67
Dzień dziesiąty.....	73
HISTORIA TYBALDA DE LA JACQUIERE.....	75
HISTORIA POWABNEGO DZIEWCZĘCIA Z ZAMKU SOMBRE ROCHE	77
Dzień jedenasty	81
HISTORIA MENIPA LICEJCZYKA	81
HISTORIA FILOZOFA ATENODORA.....	83
Dzień dwunasty	85
HISTORIA PANDESOWNY, NACZELNIKA CYGANÓW	86
HISTORIA GIULIA ROMATI	92
Dzień trzynasty	95
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	95
DALSZY CIĄG HISTORII GIULIA ROMATI.....	95
HISTORIA KSIĘŻNICZKI MONTE SALERNO.....	99

Dzień czternasty	103
HISTORIA REBEKI	104
Dzień piętnasty.....	111
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	112
HISTORIA MARI DE TORRES.....	113
Dzień szesnasty.....	118
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	118
DALSZY CIĄG HISTORII MARI DE TORRES	118
Dzień siedemnasty.....	125
DALSZY CIĄG HISTORII MARI DE TORRES	125
Dzień osiemnasty	129
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	131
HISTORIA HRABIEGO DE PEÑA VELEZ.....	132
Dzień dziewiętnasty.....	139
HISTORIA GEOMETRY	140
Dzień dwudziesty.....	150
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	151
Dzień dwudziesty pierwszy.....	155
HISTORIA ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA	156
Dzień dwudziesty drugi	159
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	159
Dzień dwudziesty trzeci.....	165
DALSZY CIĄG HISTORII VELASQUEZA.....	165
Dzień dwudziesty czwarty	168
DALSZY CIĄG HISTORII VELASQUEZA.....	169
Dzień dwudziesty piąty.....	174
DALSZY CIĄG HISTORII VELASQUEZA.....	175
Dzień dwudziesty szósty.....	181
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	181
Dzień dwudziesty siódmy	192
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	192
HISTORIA KSIĘŻNEJ MEDINA SIDONIA.....	194
Dzień dwudziesty ósmy	198
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	199

DALSZY CIĄG HISTORII KSIĘŻNEJ MEDINA SIDONIA	199
HISTORIA MARGRABIEGO DE VAL FLORIDA	201
Dzień dwudziesty dziewiąty	207
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	207
DALSZY CIĄG HISTORII KSIĘŻNEJ MEDINA SIDONIA	207
HISTORIA HERMOSITA	211
Dzień trzydziesty.....	221
Dzień trzydziesty pierwszy	223
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	223
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	226
Dzień trzydziesty drugi	230
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	231
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	233
HISTORIA LOPEZA SUAREZ.....	235
HISTORIA RODZINY SUAREZ	236
Dzień trzydziesty trzeci.....	238
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	238
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	240
DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ.....	240
Dzień trzydziesty czwarty	245
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	245
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	247
DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ	247
Dzień trzydziesty piąty.....	251
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	251
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	253
DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ.....	253
HISTORIA DON ROQUE BUSQUERA	255
HISTORIA FRASQUETY SALERO	258
Dzień trzydziesty szósty.....	265
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	265
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	266
DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ.....	266
Dzień trzydziesty siódmy	269

Dzień trzydziesty ósmy	273
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	273
Dzień trzydziesty dziewiąty	276
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	277
Dzień czterdziesty.....	283
Dzień czterdziesty pierwszy.....	285
HISTORIA MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS	287
Dzień czterdziesty drugi	290
DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS.....	291
HISTORIA MONSIGNORA RICARDI I LAURY CERELLI, ZWANEJ MARGRABINĄ PADULI.....	291
Dzień czterdziesty trzeci.....	296
DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS.....	296
Dzień czterdziesty czwarty	302
DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS.....	302
Dzień czterdziesty piąty.....	305
DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS.....	306
Dzień czterdziesty szósty.....	309
DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.....	310
Dzień czterdziesty siódmy	313
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	313
Dzień czterdziesty ósmy	318
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	318
HISTORIA CORNADEZA	319
HISTORIA DIEGA HERVASA OPOWIADANA PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA	320
Dzień czterdziesty dziewiąty	323
DALSZY CIĄG HISTORII DIEGA HERVASA, OPOWIADANY PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA	323
Dzień pięćdziesiąty	327
DALSZY CIĄG HISTORII DIEGA HERVASA, OPOWIADANY PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA	327
Dzień pięćdziesiąty pierwszy	332
HISTORIA BŁAŻEJA HERVASA, CZYLI POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.....	332
Dzień pięćdziesiąty drugi.....	340
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	340
DALSZY CIĄG HISTORII POTĘPIONEGO PIELGRZYMA	341

Dzień pięćdziesiąty trzeci	345
DALSZY CIĄG HISTORII POTĘPIONEGO PIELGRZYMA	345
HISTORIA KOMANDORA TORALVY	345
Dzień pięćdziesiąty czwarty.....	351
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	351
Dzień pięćdziesiąty piąty	360
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	360
Dzień pięćdziesiąty szósty	367
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	367
Dzień pięćdziesiąty siódmy.....	373
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	373
Dzień pięćdziesiąty ósmy.....	378
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	378
Dzień pięćdziesiąty dziewiąty	383
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	383
Dzień sześćdziesiąty	386
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	386
Dzień sześćdziesiąty pierwszy	390
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW	390
Dzień sześćdziesiąty drugi	393
HISTORIA WIELKIEGO SZEJKA GOMELEZÓW	394
Dzień sześćdziesiąty trzeci.....	397
DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW	397
Dzień sześćdziesiąty czwarty	400
DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW	400
Dzień sześćdziesiąty piąty.....	404
DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW	404
HISTORIA RODU UZEDÓW	405
Dzień sześćdziesiąty szósty.....	408
DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW	408
Zakończenie	409
Dodatek	413
DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW Z DNIA CZTERDZIESTEGO SIÓDMEGO WEDŁUG WERSJI AVADOKO.....	413

Dzień pierwszy

Jako oficer wojsk francuskich uczestniczyłem w oblężeniu Saragossy. W kilka dni po zdobyciu miasta, zapuściwszy się w dość odległą dzielnicę, zwróciłem uwagę na niewielki, ładnie zbudowany domek, którego, jak mi się zrazu zdawało, Francuzi nie zdążyli jeszcze splądrować.

Zdjęty ciekawością, zbliżyłem się i zastukałem w drzwi. Okazało się, że nie są zamknięte, pchnąłem je więc lekko i wszedłem do środka. Wołałem, szukałem - nie znalazłem nikogo. Odniosłem wrażenie, że wewnątrz ogołoczone jest z cenniejszych przedmiotów;

na stołach i w szafach pozostały jedynie błahe drobiazgi. Tylko na podłodze, w kącie, zauważyłem kilka zapisanych zeszytów. Przejrzałem ich zawartość. Był to rękopis hiszpański; jakkolwiek bardzo słabo znałem ten język, to przecież zdołałem pojąć, że znalazłem rzecz zajmującą: rękopis zawierał historie o kabalistach, zbójcach i upiorach. Lektura niezwykłych opowieści zdała mi się nader stosowną dla oderwania umysłu od trudów wojennej wyprawy. Osądzwszy, że rękopis utracił na zawsze prawowitego właściciela, bez wahania wziąłem go ze sobą.

Po pewnym czasie zmuszeni byliśmy opuścić Saragossę. Niestety znalazłem się z dala od głównego korpusu armii i wraz z moim oddziałem wpadłem w ręce nieprzyjaciela. Mniemałem, że wybiła moja ostatnia godzina. Gdy dotarliśmy tam, dokąd nas prowadzono, Hiszpanie zaczęli odbierać nam nasze rzeczy. Prosiłem o pozwolenie zatrzymania jednego tylko przedmiotu, który zresztą nie mógł przedstawiać dla nich żadnej wartości, a mianowicie znalezionego przeze mnie rękopisu. Początkowo robili mi niejakie trudności, na koniec zwrócili się o radę do kapitana. Ten, rzuciwszy okiem na zeszyty, osobiście mi podziękował za ocalenie dzieła; do którego przywiązywał wielką wagę, rękopis bowiem zawierał historię jednego z jego przodków. Wyjaśniłem, w jaki sposób wszedłem w posiadanie cennych zeszytów. Hiszpan wziął mnie do swej kwatery, dobrze się ze mną obchodził i zatrzymał na dłuższy pobyt. Uproszony przeze mnie, tłumaczył rękopis na język francuski, ja zaś wiernie zapisywałem jego słowa.

Hrabia Olavidez jeszcze nie był sprowadził osadników do gór Sierra Morena. Strome to pasmo, które oddziela Andaluzję od Manszy, zamieszkiwali wówczas kontrabandyści, rozbójnicy i kilku Cyganów, o których mówiono, że pożerają ciała zabitych wędrowców. Stąd nawet poszło hiszpańskie przysłowie:

Las gitanas de Sierra Morena quieren carne de hombres. Nie dość na tym. Podróżny, który odważył się zapuścić w tę dziką okolicę, napastowany był, jak mówiono, przez tysiączne okropności, na których widok drżała najzimniejsza odwaga. Słyszał płaczliwe głosy mieszające się z hukiem potoków, wśród poświstu burzy mamły go błędne ogniki, a niewidzialne ręce popychały w bezdenne przepaście.

Wprawdzie można było czasami znaleźć na tej strasznej drodze jaką ventę, czyli samotną gospodę, ale duchy, bardziej diabelskie niż sami oberżyści, zmusiły tych ostatnich do ustąpienia im miejsca i oddalenia się w kraje, gdzie jedynie głos sumienia przerywał im spoczynek, a - z dwojga złego jedno wybierając - oberżyści woleli z tym drugim mieć do czynienia. Gospodarz z Andujar świadczył się św. Jakubem z Komposteli, że w opowiadaniach tych nie ma żadnego fałszu; dodał nawet, że pachółki Świętej Hermandady zawsze wymawiają się od wycieczek w góry Sierra Morena, podróżni zaś jeżdżą na Jaen lub Estremadurę.

Odpowiedziałem mu na to, że taki wybór może przypadać do smaku podróżnym zwyczajnego rodzaju, ale gdy król don Filip V raczył zaszczycić mnie godnością kapitana w gwardii wallońskiej, święte prawa honoru nakazują mi udać się najkrótszą drogą do Madrytu, chociażby była ona zarazem najniebezpieczniejsza.

- Młody panie - odparł gospodarz - Wasza Miłość dozwoli mi zwrócić uwagę, że jeżeli król zaszczycił was stopniem kapitana, zanim najłżejszy mech nie uczynił tego samego zaszczytu brodzie Waszej Miłości, słusznym byłoby przede wszystkim dać dowody roztropności, tym bardziej że skoro złe duchy raz się do jakiego miejsca przywiążą...

Byłby mi jeszcze więcej nabredził, ale spiąłem konia ostrogami i wtedy dopiero zatrzymałem się, gdy mniemam, że mnie już słowa jego nie dojdą. Natenczas, obróciwszy się, dostrzegłem go wywijającego rękami i wskazującego mi drogę na Estremadurę. Służący mój Lopez i mulnik Moskito spoglądali na mnie litościwym wzrokiem, który zdawał się potwierdzać przestrogi oberżysty. Udawałem, jakobym nic z tego nie rozumiał, i zapuściłem się między zarośla, tam gdzie później założono osadę nazwaną La Carlota.

Nie miejscu, gdzie dziś stoi dom pocztowy, znajdowało się wówczas schronienie, dobrze znane mulnikom i nazwane przez nich Los Alcornocues, czyli Korkowe Dęby, ponieważ dwa piękne drzewa tego rodzaju ocieniały obfite źródło, ocembrowane białym marmurem. Była to jedyna woda i jedyny cień, jaki można było napotkać od Andujar aż do gospody Venta Quemada, obszernej i wygodnej, chociaż wystawionej pośród pustyni. Właściwie mówiąc był to stary zamek mauretański, który margrabia Peña Quemada kazał wypo-rządzić i stąd nazwano go Venta Quemada. Margrabia wynajął go następnie pewnemu mieszczaninowi z Murcji, który tu założył na j znaczniejszą na całym trakcie gospodę. Podróżni więc wyjeżdżali rano z Andujar, spożywali w Los Alcornocues zapasy, jakie ze sobą przywieźli, i udawali się na nocleg do Venta Quemada. Tam często przepędzali następny dzień, ażeby przygotować się do przebycia gór i zaopatrzyć w nowe zapasy.

Taki był plan i mojej podróży.

Ale właśnie gdy zbliżaliśmy się do Korkowych Dębów i wspominałem Lopezowi o potrzebie posiłku, spostrzegłem, że Moskito znikł nam wraz z mułem, objuczonym wszystkimi zapasami. Lopez odrzekł mi, że mulnik pozostał kilka staj za nami, aby poprawić coś przy jukach. Czekaliśmy na niego, postąpiliśmy kilka kroków naprzód, potem znowu zatrzymaliśmy się, wołaliśmy, wróciliśmy tą samą drogą, aby go wynaleźć, ale wszystko na próżno.

Moskito znikł i uniósł z sobą nasze najdroższe nadzieje, to jest cały nasz obiad. Ja sam tylko byłem na czczo, Lopez bowiem przez cały czas zjadał ser z Toboso, który wziął ze sobą na drogę, mimo to

jednak bynajmniej nie był weselszy ode mnie i mruczał przez zęby, że gospodarz z Andujar miał słuszość i że pewnie złe duchy porwały biednego Moskita.

Przybywszy do Los Alcornoces, ujrzałem przy źródle koszyk nakryty winnym liściem: musiały w nim być owoce, zapomniane przez jakiegoś podróżnego. Ciekawie pogrążyłem weń rękę i z przyjemnością znalazłem cztery piękne figi i pomarańczę. Ofiarowałem dwie figi Lopezowi, ale podziękował mi, mówiąc, że może zaczekać do wieczora. Zjadłem więc sam wszystko i następnie chciałem napić się wody ze źródła. Lopez wstrzymał mnie, dowodząc, że woda szkodzi po owocach, i podał mi trochę pozostałego mu jeszcze alikantu. Przyjąłem poczęstunek, ale zaledwie uczułem wino w żołądku, gdy doznał nagłego ściśnienia serca. Niebo i ziemia zakręciły mi się przed oczyma i byłbym niezawodnie zemdłał, gdyby Lopez nie był mi pośpieszył na pomoc. Otrzeźwił mnie, mówiąc, że nie powinienem się dziwić i że stan ten pochodził z czczości i znużenia. W istocie, nie tylko odzyskałem siły, ale nawet czułem się w stanie nadzwyczajnego podniecenia. Okolica zdawała się połyskiwać tysiącnymi barwami, przedmioty zaiskrzyły się w mych oczach, jak gwiazdy podczas letniej nocy, i krew zaczęła mi bić gwałtownie, zwłaszcza na szyi i skroniach.

Lopez widząc, że przyszedł do siebie, jął znowu rozwodzić narzekania:

- Niestety - mówił - dlaczegoż nie poradziłem się fra Geronimo de la Trinidad, mnicha, kaznodziei, spowiednika i wyroczni naszej rodziny! Nie darmo jest on szwagrem pasierba bratowej ojczyma mojej macochy, a tak będąc naszym najbliższym krewnym, nie pozwala, aby cokolwiek stało się w domu bez jego porady. Nie chciałem go słuchać i dobrze mi teraz. Jakże często mi powiadał, że oficerowie z gwardii wallońskiej są narodem heretyckim, co łatwo poznać po ich jasnych włosach, błękitnych oczach i czerwonych policzkach, bo uczciwi chrześcijanie są koloru Madonny z Atocha, malowanej przez świętego Łukasza.

Wstrzymałem ten potok zuchwalstw, rozkazując Lopezowi, aby podał mi dubeltówkę i pozostał przy koniach, podczas gdy sam chciałem się wdrapać na jedną z okolicznych skał w nadziei, że odkryję zabłąkanego Moskita. Na te słowa Lopez zalał się łzami i rzucając się do mych nóg, zaklinał na imiona wszystkich świętych, aby go nie zostawiać samego w tak niebezpiecznym miejscu. Chciałem więc sam przypilnować koni, a jego postać na wyszukanie Moskita, ale ten zamiar jeszcze bardziej go przestraszał. Na koniec przytoczyłem mu tyle dobrych przyczyn, że wreszcie pozwolił mi odejść i, dobywszy z kieszeni różańca, począł żarliwie się modlić.

Wierzchołki gór, na które miałem zamiar wejść, były bardziej oddalone, niż mi się to na pierwszy rzut oka wydawało, i zaledwie po godzinie pochodu zdołałem się na nie dostać. Stanąwszy na szczycie, ujrzałem pod sobą dziką i pustą płaszczyznę, żadnego śladu ludzi, zwierząt lub jakiegoś zabudowania, żadnej drogi prócz tej, którą przyszedłem, i dokoła głucho milczenie. Przerwałem je wołaniem; echo mi tylko odpowiedziało w oddali. Na koniec wróciłem do źródła, znalazłem mego konia, przywiązane do drzewa, ale Lopez - Lopez znikł bez żadnego śladu.

Miałem dwie drogi przed sobą: albo wrócić do Andujar, albo puścić się w dalszą podróż. Uskutecznienie pierwszego zamiaru nie przyszło mi wcale na myśl, dosiadłem więc konia i, puściwszy go wyciągniętym kłusem, po dwóch godzinach przybyłem nad brzegi Gwadalkiwiru, który tam wcale nie roztacza się tym spokojnym i wspaniałym korytem, jakie oblewa mury Sewilli. Gwadalkiwir przy wypływie z gór pędzi bystrym potokiem bez dna i brzegów i tłucze fale o skały, które mu co chwila w biegu zawadzają.

Dolina Los Hermanos zaczyna się w miejscu, skąd Gwadalkwivir rozlewa się po płaszczyźnie. Dolina wzięła nazwę od trzech braci, których wspólna skłonność do rozbojów łączyła daleko więcej niż stosunki pokrewieństwa. Miejsce to długo było widownią niecznych ich postępów. Z trzech braci - dwóch pojmano i przy wejściu do doliny można było widzieć ciała ich. bujające się na szubienicach; trzeci zaś, imieniem Zoto, uciekł z więzień Kordowy i, jak mówiono, schronił się w pasmo Alpuhary.

Dziwne wieści rozpowiadano o dwóch powieszonych braciach. Wprawdzie nie mówiono, że to upiory, ale utrzymywano, że nieraz w nocy ciała ich. ożywione szatańską potęgą, odwiązują się z szubienicy i niepokoją żyjących. Tę historię za tak pewną uważano, że pewien teolog z Salamanki napisał obszerny traktat. w którym dowodził, że wisielcy są czymś w rodzaju wampirów, czego już nieraz w świecie widziano przykłady, tak że na koniec najsilniej wątpiący zmuszeni byli uwierzyć. Chodziły także pogłoski, że potępiono niewinnie tych dwóch skazanych i że mszcząc się za pozwoleniem nieba, dręczą podróżnych i wędrowców. Wiele nasłuchiwałem się o tym w Kordowie; zdjęty ciekawością zbliżyłem się więc do szubienicy. Widok jej był tym obrzydliwszy, że podczas gdy wiatr bujał ohydnymi trupami, straszne sępy szarpały im wnętrzności i obskubywały z resztek ciała. Ze zgrozą odwróciłem oczy i zapuściłem się w góry.

Trzeba przyznać, że dolina Los Hermanos zdawała się nader przyjazną dla zbójckich przedsięwzięć, zewsząd bowiem zabezpieczała złoczyńcom miejsca schronienia. Co chwila zatrzymywały podróżnego skały odwalone z gór lub odwieczne drzewa, wyrócone przez, burze. W wielu miejscach droga przecinała łożysko potoku i mijają głębokie jaskinie, których złowieszczy widok nieufność obudzał.

Przebywszy tę dolinę, wszedłem w drugą i dostrzegłem gospodę, w której miałem szukać przytułku, ale z dala już powierzchowność jej nic dobrego mi nie wróżyła. Rozpoznałem, że nie było okien ani okiennic, dym nie buchał z komina, żadnego ruchu dokoła nie było widać i żaden pies nie oznajmiał mojego przybycia. Stąd wniosłem, że gospoda ta jest jedną z tych, jakie, według powieści oberżysty z Andujar, opuszczono raz na zawsze.

Im więcej zbliżałem się do gospody, tym milczenie głębszym mi się zdawało. Nareszcie przybyłem i ujrzałem przy wejściu skarbonkę przeznaczoną do zbierania jałmużn, na której wyczytałem następujący napis:

"Panowie podróżni, módlcie się przez miłosierdzie za duszę Gonzaleza z Murcji, dawnego gospodarza z Venta Quernada. Nade wszystko zaś mijajcie to miejsce i pod żadnym warunkiem nie przepędzajcie tu nocy."

Postanowiłem śmiało oczekiwać niebezpieczeństw, jakimi napis zagrażał, wcale nie dlatego, abym nie był przekonany o istnieniu duchów, ale dlatego, jak dalszy ciąg tej historii pokaże, że w całym moim wychowaniu najwięcej zwrócono uwagi na wyrobienie we mnie poczucia honoru, a honor, jak sądziłem, polegał na tym, ażeby nigdy nie okazywać trwogi.

Słońce jeszcze niezupełnie zaszło i korzystałem z ostatnich jego promieni, aby obejrzeć to mieszkanie, prawdę mówiąc, nie tyle dla zabezpieczenia się przeciw potęgom piekielnym, jak raczej dla wynalezienia jakiejś żywności, gdyż ta drobnostka, którą znalazłem był w Los Alcomoquea, zaledwie na chwilę mogła wstrzymać, ale nigdy zaspokoić głodu, jaki mnie trawił. Przeszedłem przez kilka izb i obszernych komnat. Większą część zdołała zobaczyć do wysokości człowieka, sufity zaś pokrywały wspaniałe rzeźby, jakimi przed laty słusznie szczycili się Maurowie. Zwiedziłem kuchnię,

poddasza i piwnice - te ostatnie wykute były w skale, niektóre z nich łączyły się z podziemiami, które zdawały się daleko w głąb gór przedłużać - ale posiłku nigdzie znaleźć nie mogłem. Wreszcie, gdy poczęło się zmierzchać, poszedłem po konia, który dotąd stał przywiązany na podwórzu, zaprowadziłem go do stajni, gdzie spostrzegłem wiązkę siana, sam zaś udałem się do izby, gdzie stało nędzne łóżko, jedyne postanie, jakie zostawiono w całej gospodzie. Pragnąłem zasnąć, ale nadaremnie, a tu jak na przekorę nie tylko jadła, ale i światła nie mogłem wynaleźć.

Tymczasem im noc stawała się ciemniejsza, tym moje myśli przybierały czarniejszą barwę. To dumałem o nagłym zniknięciu moich dwóch służących, lub znowu o sposobach, jakimi mógłbym się posilić. Myślałem, że złodzieje, nagle wyszedłszy z krzaków lub jakiej podziemnej kryjówki, schwytali Lopeza i Moskita, mnie zaś bali się zaczepić, widząc moją postać wojskową, która im bynajmniej nie obiecywała tak łatwego zwycięstwa.

Możliwości zaspokojenia głodu najbardziej mnie zajmowały; widziałem kozy na górach, bez wątpienia i pasterz musiał się przy nich znajdować i niepodobieństwem było, żeby nie miał przy sobie mleka i chleba. Nadto liczyłem także na moją strzelbę. Ale za nic w świecie nie byłbym wrócił do Andujar, tak dalece obawiałem się wystawić na szyderskie zapytania oberżysty. Postanowiłem bez wahania puścić się w dalszą drogę.

Gdy wszystkie te uwagi były już wyczerpane, nie mogłem wstrzymać się od powtórzenia w pamięci znanej historii fałszerzów monet i wielu innych w podobnym rodzaju, którymi kołysano moje dziecinne lata. Również przychodził mi na myśl napis umieszczony na skarbonce do jałmużn. Nie przypuszczałem, ażeby diabeł skręcił kark oberżysty, ale nie mogłem sobie wytłumaczyć jego smutnego zgonu.

Takim sposobem wśród głuchoj ciszy mijały godziny, gdy nagle zadrżałem na niespodziewany głos dzwonu. Usłyszałem dwanaście uderzeń, a jak wiadomo, złe duchy mają władzę tylko od północy do pierwszego piania koguta. W istocie, mogłem być zdziwiony, gdyż zegar nie bił poprzednich godzin i dźwięk jego tętnił mi w uszach grobowo. Po chwili otworzyły się drzwi izby i ujrzałem wchodzącą czarną postać, ale bynajmniej nie straszną, była to bowiem piękna, półnaga Murzynka z dwiema pochodniami w rękach.

Murzynka zbliżyła się, złożyła mi głęboki ukłon i tymi słowy odezwała się w czystym hiszpańskim języku:

- Senor kawalerze, dwie cudzoziemki, które przepędzają noc w tej gospodzie, proszą, abys raczył podzielić z nimi wieczerzę. Racz udać się za mną.

Pośpieszyłem za Murzynką i przeszedłszy kilka korytarzy, znalazłem się w rzęśisto oświetlonej komnacie, pośród której stał stół z trzema nakryciami, uginający się pod japońską porcelaną i karafkami z górskiego kryształu. W głębi komnaty wznosiło się wspaniałe łoże. Kilka Murzynek krzątało się pilnie wedle służby, ale nagle rozstały się w dwa szeregi i ujrzałem wchodzące dwie kobiety; płęć ich, z róż i lillii utkana, wspaniale odbijała od hebanowej barwy ich służebnic. Obie młode kobiety trzymały się za ręce. Ubrane były dość dziwnie, przynajmniej tak mi się wydawało, aczkolwiek później, w dalszych moich podróżach, przekonałem się, że był to zwykły strój, jakiego używano na wybrzeżach berberyjskich. Ubiór ten składał się właściwie tylko z koszuli i stanika. Koszula w górnej połowie była płócienna, od pasa zaś uszyta z gazy z Mequinez, tkaniny, która byłaby

zupełnie przezroczysta, gdyby szerokie wstęgi jedwabne, jedne obok drugich spływające, nie zasłaniały wdzięków, które tyle pod tym lekkim pokryciem zyskiwały. Stanik bez rękawów, bogato perlami haftowany i zdobny w diamentowe zapinki, szczelnie więził śnieżyste łono. rękawy zaś od koszuli, także gazowe, związane były na plecach. Kosztowne bransolety pokrywały ich ramiona. Nóżki tych nieznanomych, nóżki - powtarzam - które winny były być pokrzywione i zakończone szponami, gdyby były do złych duchów należały, przeciwnie, skrywały drobne paluszki w wykwinnych wschodnich papuciach. Obrączki brylantowe otaczały je przy kostkach.

Nieznajome zbliżyły się ku mnie z uprzedającym uśmiechem. Każda z nich była w odmiennym rodzaju doskonałą pięknocią. Jedna wysoka, smukła, olśniewająca. druga zaś łagodna i bojaźliwa. Kibić i rysy starszej na pierwszy rzut oka zadziwiały regularnością. Młodsza, pulchniutka, miała nieco wysunięte wargi, a jej przymrużone oczy przysłonięte były rzęsami niezwyklej długości. Starsza tymi słowy odezwała się do mnie w czystym kastylijskim narzeczu:

- Senor kawalerze, dziękujemy ci za uprzejmość, z jaką raczyłeś przyjąć tę skromną wieczerzę. Mniemam, że czujesz jej potrzebę.

Słowa te rzekła z tak złośliwym uśmiechem, że w tej chwili posądziłem ją o rozkaz uprowadzenia mego muła z zapasami. W każdym jednak razie nie można było się gniewać, strata moja sowicie była wynagrodzona.

Siedliśmy do stołu i ta sama nieznajoma rzekła, przysuwając naczynie z japońskiej porcelany:

- Senor kawalerze, znajdziesz tu olla podridę, złożoną z mięs wszelkiego rodzaju oprócz jednego, gdyż my jesteśmy wierne, czyli, wyraźniej mówiąc, mużułmanki.

- Piękna cudzoziemko - odpowiedziałem - bez wątpienia prawdę wyrzekłaś; komuż słuszniej przystoi mówić o wierności? Jest to religia serc prawdziwie kochających. Wszelako, zanim zaspokoicie mój głód, raczcie uczynić to naprzód z moją ciekawością i powiedzcie mi, kto jesteście.

- Jedz tymczasem, senor kawalerze - odparła piękna Mauretanka - dla ciebie nie mamy żadnych tajemnic. Nazywam się Emina, a moja siostra - Zibelda. Mieszkamy w Tunisie, ale nasza rodzina pochodzi z Grenady i niektórzy z naszych krewnych zostali w Hiszpanii, gdzie po kryjomu wyznają wiarę ojców. Przed tygodniem opuściliśmy Tunis i wylądowałyśmy na pustym brzegu, blisko Malagi. Następnie między Loja i Antequera przebyłyśmy góry, wreszcie dostałyśmy się tutaj, aby zmienić ubiór i zabezpieczyć się przeciw poszukiwaniom. Widzisz zatem, senor, że nasza podróż jest ważną tajemnicą, którą powierzamy twojej uczciwości.

Zapewniłem piękne podróżniczki, że z mojej strony nie mają się czego obawiać, i zacząłem się posilać, wprawdzie nieco żarłocznie, zawsze jednak z pewnego rodzaju wymuszoną elegancją, o jakiej nigdy nie zapomina młody człowiek, gdy sam jeden znajduje się w towarzystwie kobiet.

Gdy spostrzeżono, że pierwszy głód zaspokoili i że zabieram się do tego, co nazywają w Hiszpanii l o s d u l c e s, piękna Emina rozkazała Murzynkom, aby mi pokazały, jak się w ich ojczyźnie tańczy. Zdawało się, że żaden rozkaz nie mógł być dla nich przyjemniejszy. Wypełniły go z żywością, która nawet cokolwiek przechodziła w swawolę. Zapewne nie byłbym nigdy w stanie położyć końca tym pługom, gdybym nie był zapytał pięknych nieznanomych, czy one także czasami oddają się tej rozrywce. Za całą odpowiedź powstały i kazały sobie podać kastaniety. Taniec ich przypominał bolero

wywodzące się z Murcji i fofę, tańczoną w Algarve. Ci, którzy zwiedzali te kraje, łatwo mogą sobie go wyobrazić, jednakże nigdy nie zdołają pojąć uroku, jaki dodawały mu wdzięki dwóch Afrykanek, osłonięte przezroczytymi fałdami, spływającymi po nadobnych kibiciach.

Przez pewien czas spokojnie przypatrywałem się zachwycającym tancerkom, na koniec poruszenia ich, coraz gwałtowniejsze, odurzający dźwięk mauretańskiej muzyki, zmysły rozognione obfitym posiłkiem, wszystko to razem mimowolnie porwało mnie w nie znany dotąd obłąd. W istocie nie wiedziałem, czy to kobiety, czy też podstępne jakieś widziadła. Nie śmiałem spojrzeć, nie chciałem nic widzieć, zakryłem dłonią oczy i w tej chwili uczułem, że tracę przytomność.

Obie siostry zbliżyły się do mnie i ujęły mnie za ręce. Emina troskliwie dowiadywała się o moje zdrowie, uspokoiłem ją. Zibelda tymczasem pytała, co to za medalion, który spoczywa na moich piersiach - zapewne wizerunek kochanki?

- Jest to klejnot - odpowiedziałem - który mam od matki i którego obiecałem nigdy nie zdejmować. Zawiera on cząstkę prawdziwego krzyża.

Na te słowa Zibelda cofnęła się i zbladła.

- Trwożysz się - mówiłem dalej - a przecież złe duchy tylko lękają się krzyża. Emina odpowiedziała za siostrę:

- Senior kawalerze, wiesz, że jesteśmy muzułmankami, i nie powinieneś dziwić się przykrości, jaką mimowolnie mojej siostrze sprawiłeś. Wyznaję, że tego samego doznałam uczucia: przykro nam, że najbliższy (nasz krewny wyznaje wiarę Chrystusa. Ta mowa cię zadziwia - ale wszakże twoja matka rodzi się z Gomelezów. My także należymy do tej rodziny, która wie dzie ród swój od Abencerragów... - ale siądźmy na tej sofie, a więcej ci opowiem.

Murzynki oddaliły się. Emina posadziła mnie w kącie sofy i podwinąwszy nogi pod siebie, usiadła przy mnie. Zibelda położyła się z drugiej strony, wsparła na mojej poduszce, i tak blisko byliśmy jedno od drugiego, że nasze oddechy razem się mieszały. Emina zdawała się dumać przez chwilę; następnie, rzucając na mnie wejrzenie pełne uczucia, wzięła mnie za rękę i w te słowa zaczęła:

- Wcale nie pragnę ukrywać przed tobą, kochany Alfonsie, że nie prosty przypadek nas tu sprowadza.

Czekałyśmy tu na ciebie, a gdybyś, powodowany bojaźnią, obrał inną drogę, byłbyś na zawsze postradał nasz szacunek.

- Pochlebiasz mi. piękna Emino - odrzekłem. - Nie rozumiem, dlaczego cię tak zajmuje moja odwaga.

- Twoja osoba nader nas zajmuje - mówiła dalej Mauretanka - ale może mniej ci to będzie pochlebiać, gdy się dowiesz, że jesteś pierwszym mężczyzną, jakiego w życiu spotykamy. Dziwią cię moje słowa i zdajesz się powątpiewać o ich prawdzie. Obiecałam ci opowiedzieć historię naszych przodków, ale zapewne lepiej będzie, gdy zacznę od własnej.

HISTORIA EMINY I JEJ SIOSTRY ZIBELDY

Ojcem naszym jest Jazir Gomelez, wuj de ja panującego dziś w Tunisie. Nie miałyśmy brata, nie znałyśmy nigdy ojca, a ponieważ od najmłodszych lat zamknięte byłyśmy w murach seraju, zbywało nam na najmniejszym o waszej płci pojęciu. Natura jednak obdarzyła nas niewypowiedzianą skłonnością do miłości i, w braku innych osób, pokochałyśmy się wzajemnie. Przywiązanie to zaczęło się od pierwszych lat dzieciennych. Zalewałyśmy się łzami, gdy chciano nas chociaż na chwilę rozdzielić. Gdy jedną z nas skarcono, druga wybuchała płaczem. W dzień bawiliśmy się przy jednym stoliku, a w nocy podzielałyśmy jedno pośłanie.

To tak żywe uczucie zdawało się razem z nami wzrastać i nowych sił na orało przez okoliczność, o której ci opowiem. Miałam wtedy szesnaście lat, a moja siostra czternaście. Od dawna zauważyłyśmy, że nasza matka pilnie przed nami chowa niektóre książki. Z początku zwracałyśmy na to mało uwagi, i tak dość już znudzone książkami, na których nas czytać uczono, ale z wiekiem przyszła nam ciekawość. Wpatrzyłyśmy

chwilę, gdy zakazana szafka była otwarta, i szybko porwałyśmy mały tomik, który opisywał miłostki Medżnuna i Lejli, tłumaczone z perskiego przez Ben-O-mara. To zachwycające dzieło, ognistymi barwami malujące rozkosze miłości, zapaliło nasze młode głowy. Nie mogłyśmy ich zrozumieć, nie widząc nigdy osób waszej płci, ale powtarzałyśmy sobie nowe dla nas wyrażenia. Przemawiałyśmy mową kochanków i na koniec zapragnęłyśmy kochać się ich sposobem. Ja wzięłam na siebie rolę Medżnuna, siostra zaś moja Lejli. Naprzód oświadczyłam jej moją namiętność, układając kwiaty w bukietach (jest to rodzaj wzajemnego porozumienia się w całej Azji używany), następnie rzucałam jej pełne ognia spojrzenia, padałam przed nią na kolana, całowałam ślady jej stóp, zaklinałam wietrzyk, aby jej moje żale zanosił, i chciałam go rozplomić gorącymi westchnieniami.

Zibelda. wierna naukom mistrza, naznaczyła mi schadzkę. Upadłam jej do kolan, całowałam ją po rękach, oblewałam łzami jej nogi. Kochanka moja z początku lekki opór stawiała, po chwili jednak dozwalała mi ukraść kilka pocałunków i wreszcie podzielała zupełnie wrzące moje uczucia. Dusze nasze zdawały się razem zlewać i doskonalszego szczęścia nie pojmowałyśmy.

Nie pamiętam, jak długo bawiły nas te namiętne sceny, ale niebawem gwałtowność naszych uczuć znacznie się uspokoiła. Powzięłyśmy chęć do niektórych nauk, szczególnie zaś do znajomości roślin, których przymioty poznawałyśmy z dzieł sławnego Averroesa. Matka moja, w przekonaniu, że nigdy nie można dość się uzbroić przeciw nudom seraju, z przyjemnością spoglądała na nasze zatrudnienia i chcąc nam ułatwić naukę, kazała sprowadzić z Mekki świętą niewiastę, zwaną Hazareta, czyli świętą świętych. Hazareta uczyła nas praw Proroka i wykladała nam nauki tym czystym i melodyjnym językiem, jakiego używa dziś jedno tylko pokolenie Koreisz. Nie mogłyśmy dość się jej nasłuchać i niebawem umiałyśmy prawie cały Koran na pamięć. Następnie matka opowiadała nam historię naszej rodziny i udzieliła nam mnóstwo pamiętników, z których jedne były pisane po arabsku, inne zaś po hiszpańsku.

Drogi Alfonsie, nie uwierzysz, jak nam zbrzydła wasza religia, jak zniechęciłyśmy jej kapłanów. Z drugiej za to strony koleje i nieszczęścia rodziny, której krew w żyłach naszych płynęła, niestęchanie nas zajmowały. Raz unosiłyśmy się nad Saidem Gomelezem, który cierpiał męczeństwa w więzieniach inkwizycji, to znowu nad jego synowcem Leissem, który długi czas prowadził w górach życie dzikie i

mało różne od życia zwierząt drapieżnych. Takie opisy obudziły w nas podziw dla mężczyzn, chcieliśmy ich widzieć i często wstępowałyśmy na taras ogrodowy, aby choć z daleka spostrzec marynarzy na jeziorze Goletta lub wiernych, śpieszących do kąpieli Hamam-Nef. Chociaż nie zapomnieliśmy nauk zakochanego Medznuna, jednak odtąd nigdy już więcej ich nie powtarzałyśmy. Mniemałam nawet, że w uczuciu moim dla siostry wygasła zupełnie namiętność, gdy wtem nowy wypadek przekonał mnie, że się myliłam.

Pewnego dnia matka nasza przyprowadziła nam jakąś księżnę z Tafiletu, kobietę w podeszłym wieku. Przyjęłyśmy ją jak można najlepiej. Po skończonych odwiedzinach matka oznajmiła mi, że księżna żąda mojej ręki dla swego syna, moja zaś siostra przeznaczona jest za żonę jednemu z Gomelezów. Wiadomość ta gromem nas raziła. Naprzód nie mogłyśmy słowa jednego wymówić, później nieszczęście tego rozdzielenia tak żywo stanęło nam przed oczyma, żeśmy się oddały najgwałtowniejszej rozpacz. Wyrwałyśmy sobie włosy i cały seraj napełniłyśmy naszymi krzykami. Nareszcie, gdy oznaki naszej boleści zaczęły przechodzić w szaleństwo, matka nasza, przelękła, obiecała nas nie przymuszać i zaręczyła nam wolność zostania dziewczętami lub zaślubienia tego samego mężczyzny. Te zapewnienia trochę nas uspokoiły.

Wkrótce potem matka przyszła nam powiedzieć, że mówiła z naczelnikiem naszej rodziny i że ten zezwolił, abyśmy były poślubione jednemu mężowi, z warunkiem, aby ten małżonek pochodził z rodziny Gomelezów.

Nic na to nie odrzekłyśmy, ale myśl posiadania jednego męża z każdym dniem bardziej nam się uśmiechała. Dotąd nie widziałyśmy ani starego, ani młodego mężczyzny, chyba bardzo z daleka; ale ponieważ młode kobiety zdawały nam się przyjemniejsze niż stare, pragnęłyśmy przeto, aby nasz małżonek był także młody. Spodziewałyśmy się, że nam potrafi wytłumaczyć niektóre ustępy z książki Ben-Omara, których same nie byłyśmy w stanie zrozumieć.

Tu Zibelda przerwała siostrze i ściskając mnie w objęciach, rzekła:

- Kochany Alfonsie, czemuż nie jesteś muzułmaninem! Jakże byłabym szczęśliwa, widząc cię na łonie Eminy, uczestnicząc w waszej rozkoszy i łącząc się z wami w uścisku! W naszym domu, podobnie jak w rodzinie Proroka, potomkowie po kądzieli mają takie same prawa, jak linia męska, od ciebie więc zależy zostać naczelnikiem naszej rodziny, która już chyli się ku upadkowi. Dość byłoby do tego otworzyć serce świętym promieniom naszego wyznania.

Słowa te tak mi się wydały podobne do pokus diabelskich, że wypatrywałem tylko, czy nie dojrzę śladów rożków na pięknym czole Zibeldy. Przebaknąłem kilka słów o świętości mojej religii. Obie siostry cofnęły się ode mnie. Twarz Eminy przybrała wyraz powagi, po czym piękna Mauretanka tak dalej mówiła:

- Senor Alfonsie, zbyt wiele opowiadałam o sobie i Zibeldzie. Nie było to moim zamiarem: usiadłam o-bok ciebie, aby ci powiedzieć szczegóły dotyczące rodziny Gomelezów, z których pochodzisz przez kobiety. Oto, o czym chciałam, abyś się dowiedział:

HISTORIA ZAMKU KASSAR-GOMELEZ

Pierwszym naczelnikiem naszej rodziny był Masud Ben-Taher, brat Jusufa Ben-Taher, który wkroczył do Hiszpanii na czele Arabów i nadał swoje nazwisko górze Gebal-Taher, czyli, jak wy wymawiacie, Gibraltar. Masud, wiele przyczyniwszy się do powodzenia arabskiej broni, otrzymał od kalifa Bagdadu zwierzchnictwo nad Grenadą, które sprawował aż do śmierci swego brata. Byłby na tym urządzie dłużej pozostał, gdyż nader był szanowany tak przez muzułmanów, jak i przez mozarabów, czyli chrześcijan pod panowaniem Maurów pozostałych, ale miał potężnych nieprzyjaciół w Bagdadzie, którzy go oczernili przed kalifem. Dowiedział się, że zguba jego jest nieuchronna, i sam postanowił się oddalić. Zebrał więc garstkę wiernych i zapuścił się w Alpuhary, które, jak wiesz, są dalszym ciągiem pasma Sierra Moreny i oddzielają królestwo Grenady od królestwa Walencji.

Wizygoci, na których zdobyliśmy Hiszpanię, nie przedarli się nigdy w Alpuhary; większa część dolin była zupełnie opuszczona. Tylko trzy z nich zamieszkiwali potomkowie dawnego ludu iberyjskiego, zwani Turdulami. Nie znali oni ani Mahometa, ani twojego Proroka Nazarejskiego; zasady ich religii i praw zawarte były w pieśniach, które ojcowie dzieciom przekazywali. Mieli niegdyś księgi, ale te z czasem zupełnie wyginęły.

Masud owładnął Turdulami raczej perswazją niż siłą, nauczył się ich języka i wpoił w nich zasady islamu. Oba ludy zmieszały się przez wzajemne małżeństwa i temu to zlanu szczepów, jako też powietrzu gór, winneśmy z moją siostrą tę ożywioną płeć, jaka odznacza córki Gomelezów. Można wprawdzie i u Maurów napotkać wiele białych kobiet, ale te zwykle są blade.

Masud przyjął tytuł szejka i rozkazał wznieść warowny zamek, który nazwał Kassar-Gomelez. Bardziej sędzia niż władca swego pokolenia, Masud dla każdego był przystępny, drzwi jego zarówno dla wszystkich się otwierały, tylko w ostatni piątek każdego miesiąca żegnał się z rodziną, schodził do zamkowego podziemia i tam zamknięty cały tydzień przepędzał. Te znikania dały powód do rozmaitych wniosków. Jedni utrzymywali, że szejek prowadzi rozmowy z Dwunastym Imamem, który ma zjawić się na końcu świata; drudzy zaś, że Antychryst siedzi uwięziony w podziemiu; ostatni wreszcie dowodzili, że siedmiu braci śpiących tam spoczywa wraz ze swym wiernym psem Kalebem. Szejek wcale na te domysły nie zważał i rządził swoim ludem, jak długo mu sił starczyło. Na koniec wybrał najroztropniejszego z całego pokolenia, mianował go następcą, oddał mu klucz od podziemia, a sam schronił się do pustelni, gdzie jeszcze żył długie lata.

Nowy szejek rządził w duchu swego poprzednika i również znikał ostatniego piątku każdego miesiąca. Ten stan rzeczy trwał dopóty, dopóki Kordowa nie otrzymała swoich kalifów, zupełnie niezawisłych od władców Bagdadu. Natenczas górale Alpuhary, którzy brali czynny udział w tych zmianach, zaczęli osiedlać się na równinach, gdzie wkrótce zasłynęli pod nazwiskiem Abencerragów. Inni zaś, którzy pozostali wierni szejkowi z Kassar-Gomelezu, zatrzymali miano Gomelezów.

Tymczasem Abencerragowie zakupili najbogatsze posiadłości w królestwie Grenady i najwspanialsze pałace miasta. Zbytek ich zwrócił powszechną uwagę. Powzięto podejrzenie, że podziemie szejków zawiera nieprzebrane bogactwa, ale nikt nie był w stanie sprawdzić tego przypuszczenia, gdyż sami Abencerragowie nie znali źródła swych skarbów. Wreszcie, gdy piękne te królestwa ściągnęły na siebie gniew boży, Allah oddał je w ręce niewiernych. Zdobyto szturmem Grenadę i w kilka dni potem sławny Gonzalw z Kordowy na czele trzech tysięcy Hiszpanów wkroczył w Alpuhary. Hatem Gomelez był wtedy szejkiem naszego pokolenia. Wyszedł więc naprzeciw Gonzalw i wręczył mu klucze od zamku. Hiszpan zażądał kluczy od podziemia, szejek i te mu natychmiast przyniósł. Gonzalw osobiście zszedł do podziemia, zamiast skarbów znalazł grobowiec i

kilka starych ksiąg, drwił głośno z czczych domysłów swoich rodaków i pośpieszył na powrót do Valladolid, dokąd go wzywały miłość i miłostki.

Aż do wstąpienia na tron Karola pokój trwał w naszych górach nieprzerwanie. Sefi Gomelez był wtedy szejkiem. Człowiek ten z niewiadomych przyczyn doniósł cesarzowi, że odkryje mu ważną tajemnicę, jeżeli Karol zechce przysłać w Alpuhary jakiego znakomitego Hiszpana, w którym pokłada całe zaufanie. Zanim dwa tygodnie upłynęło, don Ruiz z Toledo jako poseł cesarski stawił się u Gomelezów, ale znalazł szejka nieżywego. Zamordowano go w wilię przyjazdu pośła. Don Ruiz zaczął prześladować kilka osób, ale wnet, znudzony próżnymi usiłowaniami, powrócił na dwór cesarski.

Tym sposobem tajemnica szejków przeszła do mordercy Sefiego. Człowiek ten, nazwiskiem Billah Gomelez, zgromadził starszych pokolenia i przedstawił im potrzebę zabezpieczenia tak ważnej tajemnicy. Postanowiono dopuścić do sekretu kilku członków rodziny Gomelezów, tak jednak, aby każdy z nich wiedział tylko o części tajemnicy. Wybrani powinni dać dowody roztropności, wierności i nieustraszonej odwagi.

Tutaj Zibelda znowu przerwała siostrze, mówiąc:

- Kochana Emino, czy nie sądzisz, że Alfons byłby przetrwał te wszystkie próby? Ach, któż śmie o tym wątpić! Drogi Alfonsie, jaka szkoda, że nie jesteś muzułmaninem; bez wątpienia stałbyś się panem nieprzeliczonych skarbów.

To zupełnie wyglądało na nową pokusę. Duch ciemności, nie mogąc znęcić mię rozkoszą, starał się obudzić we mnie żądzę złota. Ale tymczasem piękne Mauretanki przytuliły się do mnie i uczułem wyraźnie dotknięcie ciał żywych, nie zaś cieni. Po chwili milczenia Emina tak dalej mówiła:

- Kochany Alfonsie, wiesz dobrze o prześladowaniach, jakich doświadczyło nasze pokolenie za panowania Filipa, syna Karolowego. Porywano dzieci, wychowywano je w wierze Chrystusa i oddawano im majątki rodziców, którzy nie chcieli porzucić wyznania ojców. Wtedy to jeden z Gomelezów został przyjęty do teketu derwiszów św. Dominika i dostąpił godności wielkiego inkwizytora...

Tu usłyszeliśmy pianie koguta i Emina przestała mówić. Kogut jeszcze raz zapał. Człowiek przesądny byłby się spodziewał, że dwie piękności nagle dymnikiem ulecą. To jednak wcale nie nastąpiło, wszelako dziewczęta zasępiły się nagle i pogrążyły w dumaniach.

Emina pierwsza przerwała milczenie.

- Luby Alfonsie - rzekła - już dzień zaczyna, zbyt drogie są godziny, które możemy z tobą przepędzić, abyśmy miały trwonić je na opowiadaniu dawnych dziejów. Nie możemy zostać twymi małżonkami. chyba że uznasz prawo Proroka. Ale wolno ci będzie widzieć nas we śnie. Przystajesz na to?

Zgodziłem się na wszystko.

- Nie dość na tym - rzekła Emina z wyrazem najwyższej godności - nie dość na tym, kochany Alfonsie; trzeba jeszcze, byś przysiągł na najświętsze zasady honoru, że nigdy nie zdradzisz tajemnicy naszych imion, -naszego istnienia i tego wszystkiego, co wiesz o nas. Czy odważysz się przyjąć na siebie takie zobowiązanie?

Przyrzekłem spełnić wszystko, czego ode mnie żądano.

- To dobrze - rzekła Emina. - Teraz, siostrzo, przynieś czarę poświęconą przez Masuda, naczelnika naszego pokolenia.

Podczas gdy Zibelda poszła po zaklętą czarę. Emina uklękała i odmawiała arabskie modlitwy. Zibelda wróciła z czarą, która mi się zdawała wyróżniona z jednego wielkiego szmaragdu. Obie siostry umoczyły w niej usta i rozkazały mi od razu wychylić resztę napoju. Byłem posłuszny. Emina podziękowała mi za uległość i czule mnie uściskała. Potem Zibelda przylgnęła do moich ust i długo nie mogła się od nich oderwać. Wreszcie obie opuściły mnie mówiąc, że niebawem znowu Je ujrzę i że tymczasem radzą; mi, abym starał się czym prędzej zasnąć.

Tyle dziwnych wypadków, cudownych opowiadań i nieprzewidzianych wrażeń dałoby mi przez całą noc nad czym rozmyślać, ale muszę wyznać, że obiecane sny nade wszystko mnie zajmowały. Szybko więc rozebrałem się i gdy się już położyłem na przygotowane dla mnie łóżko, zauważyłem z przyjemnością, że pościelenie jest szerokie i że jak dla snów zanadto jest miejsca. Ale zaledwie miałem czas uczynić tę uwagę, gdy nieprzewidywany sen osiadł mi powieki i wszystkie złudy nocy pochwyliły wnet moje zmysły. Co chwila błądziłem w coraz innych fantastycznych urokach, a myśl moja, niesiona na skrzydłach żądy, mimowolnie stawiała mnie wśród afrykańskich serajów, odsłaniała wdzięki ukryte w ich zaklętych murach i pogrążała w toni nieopisanych rozkoszy. Czułem, że śnię, a jednak miałem świadomość, że nie senne widziadła cisnę w moich objęciach. Gubiłem się w nieskończonej przestrzeni najszałeńszych złudzeń, ale dobrze pamiętam, że zawsze znajdowałem się w towarzystwie moich pięknych kuzynek. Zasnęliśmy na ich łonie i budziłem się w ich objęciach. Nie pomnę, ile razy doznałem tych czarownych przemian...

Dzień drugi

Nareszcie ocknąłem się naprawdę. Słońce paliło mi powieki i z trudem zdołałem je podnieść. Ujrzałem niebo, znajdowałem się więc na wolnym powietrzu, ale sen ciążył mi jeszcze na oczach. Nie spałem już, a jednak nie byłem zupełnie rozbudzony. Okropne obrazy przesuwają się przed moim umysłem. Trwoga mnie zdjęła. Zerwałem się nagle i usiadłem.

Gdzież znajdę wyrazy, aby opisać grozę, jaka mną owładnęła? Leżałem pod szubienicą Los Hermanos. Trupy dwóch braci Zota nie wisały, ale spoczywały po obu moich stronach. Bez wątpienia całą noc między nimi przepędziłem. Spoczywałem na potarganych postronkach, resztkach kół oraz na odłamkach szkieletów i na ohydnych łachmanach, które po zgniciu ciał odpadły od kości.

Mniemałem, że śpię jeszcze i że przykry sen mnie tłoczy. Przymknąłem oczy, zacząłem przypominać sobie wrażenia minionej nocy. Wtem poczułem szpony, wpijające mi się w bok. Spostrzegłem sępa, który spadł na mnie i pożerał jednego z moich towarzyszy noclegu. Ból, jaki mi te szpony sprawiły, rozbudził mnie zupełnie. Suknie moje leżały obok mnie, począłem się czym prędzej ubierać. Kiedym już był ubrany, chciałem wyjść z szubienicznej zagrody, ale brama była zamknięta i otworzyć jej żadnym sposobem nie mogłem. Musiałem więc wdrapać się na to smutne ogrodzenie. Dostawszy się na wierzch, oparłem się o słup szubienicy i jąłem dokoła spoglądać na okolicę. Znałem już to miejsce.

W istocie, znajdowałem się przy wejściu do doliny Los Hermanos, niedaleko od brzegów Gwadalkwiwiru.

Gdy tak wodziłem naokoło błędnymi oczyma, spostrzegłem dwóch podróżnych nad rzeką, z których jeden przygotowywał śniadanie, drugi zaś trzymał za cugle dwa konie. Byłem tak uszczęśliwiony z widoku ludzi, że natychmiast zacząłem krzyżeć: Agur! Agur! co znaczy po hiszpańsku "Dzień dobry" lub też "Jak się masz?"

Dwaj podróżni, spostrzegłszy te grzeczności, jakie im ktoś z wierchołka szubienicy świadczył, osłupieli przez chwilę, ale niebawem dosiedli koni i co tchu popędzili do Alcornouques. Wołałem, żeby się zatrzymali, ale na próżno: im głośniejsze krzyżałem, tym prędzej umykali i głębiej zapuszczali ostrogi. Gdy wreszcie zupełnie straciłem ich z oczu, przede wszystkim pomyślałem o opuszczeniu mego stanowiska. Zeskoczyłem na ziemię i upadając, nieco się potłukłem.

Kulejąc dostałem się nad brzeg Gwadalkwiwiru; zastałem tam przygotowane śniadanie, którego dwaj podróżni z takim pośpiechem odbiegli. Posiłek ten przyszedł mi w samą porę, byłem bowiem nader wycieńczony. Znalazłem gotującą się jeszcze czekoladę, esponjado moczone w alikancie, chleb i jaja.

Zacząłem od pokrzepienia sił. a następnie jąłem przywozić na pamięć wypadki ubiegłej nocy. Wspomnienia moje powikłały się zupełnie, dobrze jednak pamiętałem, że dałem słowo honoru na dotrzymanie tajemnicy, i postanowiłem święcie dochować przysięgi. Usunąwszy raz pod tym względem wszelką wątpliwość, zacząłem zastanawiać się nad dalszym moim losem, czyli nad drogą, którą miałem obrać. Teraz bardziej niż kiedykolwiek sądziłem, że święte prawa honoru nakazują mi udać się przez Sierra Morenę.

Dziwne może się wydawać, że zajmowałem się tyle sprawami mego honoru a tak mało wypadkami poprzedniej nocy, ale ten sposób myślenia był skutkiem mego wychowania, jak to się pokaże w dalszym ciągu tego opowiadania. Tymczasem wracam do mojej podróży.

Bardzo byłem ciekawy dowiedzieć się, co diabli poczęli z moim koniem, którego zostawiłem w Venta Quemada; ponieważ zaś droga tamtędy mi wypadła, postanowiłem wstąpić do gospody. Musiałem piechotą przebyć całą dolinę Los Hermanos oraz następną, w której znajdowała się venta, i tak byłem zmęczony, że z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której odzyskam mego konia. W istocie, znalazłem go w tej samej stajni, gdzie go wczoraj zostawiłem. Dzielnym moim gniadosz nie stracił zwykłej wesołości, a po potysku jego skóry poznałem, że ktoś pilnie miał o nim staranie. Nie mogłem pojąć, kto się tym zajmował, ale tyle już widziałem nadzwyczajnych rzeczy, że nie warto się było nad tą jedną długo zastanawiać. Byłbym natychmiast puścił się w drogę, gdyby mi nie była przyszła chętka raz jeszcze obejrzeć gospodę. Znalazłem izbę, w której się naprzód położyłem, ale pomimo najusilniejszych poszukiwań nie mogłem wyszukać komnaty, gdzie poznałem piękne Mauretanki. Znudziły mnie te próżne przepatrywania kątów, dosiadłem więc konia i udałem się w dalszą podróż.

Kiedym się obudził pod szubienicą Los Hermanos, słońce połowy biegu już dochodziło, od tego czasu dwie godziny zużyłem na przybycie do venty; tak więc, gdy następnie parę mil ujechał, trzeba było pomyśleć o nowym schronieniu, ale nie widząc nigdzie żadnego dachu, postępowałem dalej. Wreszcie dostrzegłem w dali gotycką kaplicę, o którą opierała się mała chatka, z pozoru wyglądająca

na pustelnię. Wszystko to leżało w dość znacznym oddaleniu od drogi, ale gdy głód zaczął mnie przyciskać, nie wahałem się zboczyć w nadziei posiłku.

Przybywszy przywiązałem konia do drzewa, zapukałem do drzwi pustelni i ujrzałem wychodzącego zakonnika nader czcigodnej postaci. Uścisnął mnie z ojcowską troskliwością i rzekł:

- Wejdz, mój synu, czym prędzej, nie przepędzaj nocy pod gołym niebem, strzeż się pokus, gdyż Pan odsunął od nas swoją prawicę.

Podziękowałem pustelnikowi za dobroć, jaką mi oświadczył, i napomknąłem mu o głodzie, który mnie trawił.

- Myśl tymczasem o zbawieniu duszy, mój synu - odparł - idź do kaplicy, klęknij i módl się przed krzyżem. Ja pomyślę o potrzebach twego ciała; ale musisz poprzestać na skromnym posiłku, na jaki stać biedną chatkę pustelnika.

Poszedłem do kaplicy i w istocie począłem się modlić, gdyż nie tylko że sam nigdy nie byłem bezbożnikiem, ale nawet nie pojmowałem, że mogą istnieć ludzie nie wierzący. Wszystko to pochodziło jeszcze ze sposobów, jakimi mnie wychowano.

W kwadrans później pustelnik przyszedł po mnie i wprowadził do chaty, gdzie znalazłem dość porządne nakrycie. Na wieczerzę składały się wyborne oliwki, kardy marynowane w occie. sos z cebulą hiszpańską i suchary zamiast chleba; wreszcie znalazła się butelka wina, którego pustelnik nie pił, ale używał jedynie do ofiary mszy świętej. Dowiedziawszy się o tym, zostawiłem również wino nie tknięte,

Podczas gdy się z przyjemnością posilałem, weszła do chaty tak straszliwa postać, jakiej dotąd jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Był to człowiek, jak się zdawało, młody, ale odstraszał chudości. Włosy miał najeżone, jedno oko wyklute i świeżo jeszcze rozkrwawione. Z ust wychodził mu język pokryty pianą. Okrywała go dość porządna czarna suknia, ale nie miał na sobie ani koszuli, ani żadnych spodni.

Okropne zjawisko, nie mówiąc ani słowa, skulone, usiadło w kącie i, niewzruszone jak posąg, jedynym okiem wpatrywało się w krucyfik, który oburącz ścisnęło. Spożywszy wieczerzę, zapytałem pustelnika, co to za człowiek.

- Synu mój - odparł starzec - jest to opętany, z którego wypędzam duchy czartowskie. Straszliwa jego historia jasnym jest dowodem władzy, jaką anioł ciemności przywłaszczył sobie nad tą nieszczęśliwą okolicą. Opowiadanie jego może się przydać ku twemu zbawieniu, rozkażę więc, aby zaczął.

Mówiąc to, obrócił się do opętanego i rzekł:

- Paszeko! Paszeko! w imię twego Odkupiciela nakazuję ci opowiedzieć swoją historię. Paszeko zaryczał okropnie i tak się odezwał:

HISTORIA OPĘTANEGO PASZEKO

Urodziłem się w Kordowie, gdzie ojciec mój żył w dobrobycie. Matka moja przed trzema laty umarła. Ojciec z początku zdawał się niepokieszony, ale gdy po kilku miesiącach wypadło mu jechać do Sewilli, zakochał się tam w młodej wdowie nazwiskiem Kamilla de Tormes. Kobieta ta nie używała dobrej sławy i przyjaciele mego ojca starali się odwrócić go od tej znajomości; ale właśnie, jakby im na przekorę, ojciec ożenił się z nią we dwa lata po śmierci pierwszej żony. Ślub odbył się w Sewilli i w kilka dni potem ojciec mój wrócił do Kordowy z nową małżonką i siostrą jej, Inezillą.

Moja macocha zupełnie odpowiadała wieściom, jakie o niej krążyły. Przybywszy do naszego domu, zaczęła rzucać na mnie czułe spojrzenia. Nie powiódł się jej ten zamiar, natomiast ja szalenie zakochałem się w jej siostrze, Inezilli. Namiętność moja wkrótce tak się wzmogła, że upadłem ojcu do nóg i błagałem, aby mi ją dał za żonę. Ojciec podniósł mnie z dobrocią i rzekł:

- Zakazuję ci, synu mój, myśleć o tym małżeństwie, a to dla trzech przyczyn: naprzód, nie wypada, abys się stał szwagrem swego ojca; po wtóre, święte prawa kościelne nie pozwalają na takie małżeństwa; po trzecie, nie chcę, abys żenił się z Inezillą.

Ojciec, wyłuszczywszy mi te trzy powody, odwrócił się ode mnie i odszedł. Powróciłem do swego pokoju i oddałem się gwałtownej rozpacz. Macocha moja, dowiedziawszy się od ojca o tym, co zaszło, przyszła do mnie i upewniła mnie, że niepotrzebnie się martwię, bo chociaż nie mogę być małżonkiem Inezilli, to nic nie przeszkadza, abym stał się jej c o r t e j o, czyli kochankiem, i że ona całą tę sprawę bierze na siebie. Zarazem jednak mówiła o swej miłości do mnie i o ofierze, jaką czyni, ustępując siostrze pierwszeństwa. Słuchałem skwapliwie tych słów, pochlebających memu uczuciu; znając jednakże skromność Inezilli, nie spodziewałem się nigdy, aby moje nadzieje kiedykolwiek zostały spełnione.

Wkrótce potem ojciec mój wybrał się w podróż do Madrytu, gdzie pragnął wyrobić sobie posadę corregidora Kordowy, i zabrał ze sobą żonę i jej siostrę. Podróż ta miała trwać tylko dwa miesiące, ale dla mnie, który jednego dnia bez widoku Inezilli nie mogłem przepędzić, czas ten wydawał się niesłychanie długi. Przy końcu drugiego miesiąca otrzymałem od ojca list, w którym rozkazywał mi, abym wyjechał na jego spotkanie i oczekiwał go w Venta Quemada, u wejścia do Sierra Moreny. Kilka tygodni wprzód nie byłbym śmiały zapuścić się w Sierra Morenę, ale wtenczas właśnie dopiero co powieszono dwóch braci Zota, zgraja poszła w rozsypkę i nie wspomniano o żadnych niebezpieczeństwach.

Wyjechałem więc około dziesiątej z rana z Kordowy i przybyłem na nocleg do Andujar, do najgadatliwszego oberżysty w całej Andaluzji. Kazałem sobie zastawić obfitą wieczerzę i spożywszy połowę, drugą zachowałem na dalszą podróż.

Nazajutrz posiliłem się resztkami owej wieczerzy w Los Alcornosques i na wieczór przybyłem do Venta Quemada. Nie zastałem jeszcze ojca, ale ponieważ wyraźnie kazał mi czekać na siebie, zgodziłem się na to tym chętniej, że znalazłem obszerną i wygodną gospodę. Oberżysta, który ją

trzymał, niejaki Gonzalez z Murcji, dobry człowiek, choć wielki paliwoda, obiecał mi sporządzić wieczerzę godną granda pierwszej klasy. Podczas gdy ją przyrządzał, udałem się na przechadzkę nad brzegi Gwadalkwiwiru, a wróciwszy, istotnie znalazłem, że wieczerza nie jest bez zalet.

Posiliwszy się poleciłem Gonzalezowi przygotować mi nocleg. Zmieszał się i powiedział kilka nedorzecznych słów. Na koniec wyznał, że gospoda jest nawiedzana przez duchy. On sam wraz z rodziną przenosi się na noc do pobliskiej wioski położonej nad brzegiem rzeki; dodał też, że jeżeli pragnę przepędzić noc w Spokoju, umieści moje łóżko w pobliżu swego.

Propozycja oberżysty zdała mi się nader niestosowna, powiedziałem mu więc, żeby sobie poszedł spać, gdzie chce, i żeby mi przysłał moich służących. Gonzalez nie sprzeciwiał się; odszedł kręcąc głową i wzruszając ramionami.

Moi służący po chwili nadeszli; słyszeli już o przestroгах oberżysty i chcieli mnie nakłonić, ażebym przepędził noc w pobliskiej wiosce. Przyjąłem ich rady dość szorstko i rozkazałem przygotować sobie posłanie w tym pokoju, w którym spożywałem wieczerzę. Bez sprzeciwu, jakkolwiek niechętnie, spełnili to polecenie i kiedy łóżko było już pościelone, znowu ze łzami w oczach zaczęli mnie zaklinać, abym poniechał myśli nocowania w gospodzie. Zniecierpliwiony ich przestrogi, pozwoliłem sobie na kilka gestów, które skłoniły ich do ucieczki. Z łatwością obszedłem się bez ich pomocy, miałem bowiem zwyczaj sam się rozbierać, wszelako przekonałem się, że bardziej troszczyli się o mnie, aniżeli sobie na to zasługiwałem swym postępowaniem: pozostawili przy moim łóżku zapaloną świecę, drugą zapasową, a także dwa pistolety i kilka książek. Te ostatnie miały mi wypełnić godziny czuwania, w istocie bowiem straciłem już ochotę do snu.

Kilka godzin jeszcze przepędziłem, to czytając, to przewracając się w łóżku, gdy nagle usłyszałem dźwięk dzwonu, czyli raczej zegara bijącego północ. Zdziwiłem się, tym bardziej że poprzednich godzin nie słyszałem. Niebawem drzwi się otworzyły i ujrzałem moją macochę w lekkim dezabilu, ze świecą w ręku. Zbliżyła się do mnie na palcach, gestem nakazując milczenie, postawiła świecę na stoliku, usiadła na moim łóżku, wzięła moją rękę między swoje dłonie i w te słowa zaczęła:

- Drogi Paszeko, nadeszła chwila, w której mogę spełnić uczynioną ci obietnicę. Przed godziną przybyliśmy do tej karczmy. Twój ojciec udał się na noc do wioski, ale ja, dowiedziawszy się, że tu jesteś, otrzymałam pozwolenie zostania z moją siostrą. Inezilla czeka na ciebie. Niczego ci nie odmówi, ale pomnij o warunkach twego szczęścia. Ty kochasz Inezillę, a ja Kocham Ciebie. Z nas trojga dwoje nie powinno kosztować szczęścia z krzywdą trzeciego. Chcę, abyśmy wszyscy troje spali w jednym łóżku. Pójdź ze mną.

Moja macocha nie dała mi czasu na odpowiedź; wzięła mnie za rękę, poprowadziła przez wiele korytarzy aż do drzwi ostatnich i jęła spoglądać przez dziurkę od klucza. Kiedy dość się już napatrzyła, rzekła:

- Wszystko idzie dobrze, sam się przekonaj. W istocie ujrzałem zachwycającą Inezillę; spoczywała w łóżku, ale nic w niej nie było ze zwykłej skromności. Wyraz jej oczu, przyspieszony oddech rozpalone policzki, cała postawa - wszystko to wskazywało, że oczekuje na nadejście kochanka. Kamilla, pozwoliwszy mi się napatrzeć, rzekła:

- Zostań tu, Kochany Paszeko; skoro czas nadejdzie, przyjdę po Ciebie.

Gdy weszła do komnaty, znowu przyłożyłem oko do zamka i ujrzałem tysiąc rzeczy, które niełatwo przychodzi mi opisać. Kamilla rozebrała się starannie i położywszy się do łóżka swej siostry, rzekła do niej:

- Nieszczęsna Inezillo, czyliż naprawdę pożądasz kochanka? Biedne dziecko! Nic nie wiesz o bólu, jaki ci zada? Rzuci się na ciebie, przycisnie - zrani...

Uznawszy, że dostatecznie już pouczyła swą wychowankę, Kamilla otworzyła drzwi, zaprowadziła mnie do łóżka swej siostry i położyła się razem z nami. Cóż mogę powiedzieć o tej nieszczęsnej nocy? Dosięgnąłem szczytów grzechu i rozkoszy. Walczyłem z sennością i z naturą, by jak najdłużej przeciągnąć piekielne uciechy. Na koniec zasnąłem, a nazajutrz obudziłem się pod szubienicą braci. Zota, których trupy leżały po obu moich stronach.

Tu pustelnik przerwał opętanemu i rzekł zwracając się do mnie:

- Cóż więc, mój synu, co o tym myślisz? Mniemam, że doznałbyś niestychanej trwogi, gdybyś nagle znalazł się między dwoma wisielcami.

- Obrażasz mnie, mój ojciec - odparłem - szlachcic nie powinien niczego się lękać, zwłaszcza gdy ma zaszczyt być kapitanem w gwardii wallońskiej.

- Ależ, mój synu - przerwał pustelnik - czy słyszałeś, aby komu wydarzyła się kiedy podobna przygoda?

Zastanowiłem się przez chwilę, po czym odrzekłem:

- Jeżeli taka przygoda przytrafiła się seniorowi Paszeko, mogła bardzo łatwo wydarzyć się i innym. Osądzę to lepiej, jeżeli raczysz mu rozkazać, aby mówił dalej.

Pustelnik obrócił się do opętanego i rzekł:

- Paszeko! Paszeko! w imię twojego Odkupiciela nakazuję ci mówić dalej.

Paszeko zaryczał straszliwie i tak dalej rozpowiadał:

- Na pół umarty uciekałem spod szubienicy. Wlokłem się, sam nie wiedząc dokąd, nareszcie spotkałem podróżnych, którzy ulitowali się nade mną i odprowadzili do Venta Ouemada. Zostałem oberżystą i moich służących wielce o mnie zakłopotanych. Zapytałem ich, czy w istocie ojciec mój przepędził noc w pobliskiej wiosce. Odpowiedzieli, że dotychczas nikt jeszcze z mojej rodziny nie przybył.

Nie mogłem dłużej wytrzymać w Venta Ouemada i powróciłem do Andujar. Przyjechałem już po zachodzie słońca; pełno było ludzi w gospodzie, posłano mi więc w kuchni. Położyłem się, ale nadaremnie usiłowałem zasnąć; okropności poprzedniej nocy ciągle stawały mi przed umysłem. Na ognisku kuchennym postawiłem zapaloną świecę, ale ta nagle zgasła i uczułem, jak dreszcz śmiertelny krew mi ścina w żyłach. Zaczęło mnie coś ciągnąć za kołdrę i niebawem usłyszałem cichy głos przemawiający w te słowa:

- To ja, Kamilla, twoja macocha, drzę z zimna Drogi Paszeko, zrób mi miejsce pod kołdrą. Po chwili drugi głos przerwał:

- To ja, Inezilla, pozwól mi wejść do twego łóżka. I mnie także zimno.

I wnet poczułem, jak zimna ręka głaszcze mnie pod brodę. Zebrałem wszystkie siły i krzyknąłem:

- Precz ode mnie, szatanie!

Na co oba głosy znowu cicho odpowiedziały;

- Jak to? wypędzasz nas? czyliż nie jesteś naszym mężem? Zimno nam, rozpalimy trochę ognia na kominku.

W istocie, wkrótce potem lekki płomyk zabłysnął na ognisku kuchennym. Gdy nieco się rozjaśniło, otworzyłem oczy i ujrzałem już nie Kamillę i Inezillę, ale dwóch braci Zota, wiszących w kominie.

Na ten straszny widok odszedłem prawie od zmysłów; wyskoczyłem z łóżka, rzuciłem się przez okno i zacząłem uciekać w pole. Przez chwilę mniemałem, że uciekłem szczęśliwie od tych wszystkich okropności, ale obróciwszy się spostrzegłem, że wisielcy gonili za mną. Puściłem się coraz prędzej i wkrótce zostawiłem upiory daleko za sobą. Ale radość moja niedługo trwała. Obrzydłe stworzenia zaczęły obracać się kołem na rękach i nogach i w jednej chwili mnie doścignęły. Jeszcze próbowałem uciekać, na koniec sił mi zabrakło.

Wtedy poczułem, że jeden z wisielców chwyta mnie za kostkę lewej nogi, chciałem mu ją wydrzeć, ale wtę drugi stanął mi w poprzek drogi. Zatrzymał się, wytrzeszczył na mnie okropne oczy i wywalił język czerwony jak żelazo z ognia dobyte. Błagałem o miłosierdzie - na próżno. Jedną ręką porwał mnie za gardło, drugą zaś wydarł to właśnie oko, które dotąd nie może się zagoić. W miejsce oka wsunął swój rozpalony język i zaczął mi lizać mózg tak, że ryczałem z bóleści.

Natenczas drugi wisielec, który schwycił mnie za lewą nogę, wziął się także do szponów. Naprzód zaczął mnie łechtać pod podszewę nogi, za którą mnie trzymał, następnie piekielny potwór zdarł z niej skórę, powyciągał wszystkie nerwy, oczyścił ze krwi i jął przebierać po nich palcami jak gdyby po narzędziu muzycznym. Widząc jednak, że wcale nie wydają przyjemnych dlań dźwięków, zapuścił szpony pod moje kolano, pozahaczał ścięgna na pazury i zaczął je skręcać, zupełnie jak gdyby nastrajał harfę. Na koniec jął grać na mojej nodze, z której utworzył rodzaj psalterionu. Słyszałem jego diabelski śmiech, a piekielne wycia towarzyszyły moim przeraźliwym krzykom. W u-szach zatętniły mi zgrzytania potępieńców: zdawało mi się, że miażdżą w zębach wszystkie fibry mojego ciała; wreszcie straciłem przytomność.

Nazajutrz pasterze znaleźli mnie na polu i przynieśli do tej pustelni. Wypowiadałem się z grzechów i u stóp ołtarza znalazłem niejaką ulgę w cierpieniach.

Po tych słowach opętaniec zaryczał straszliwie i u-milkł. Natenczas pustelnik zabrał głos i rzekł:

- Przekonywawsz się, młodzieńcze, o potędze szatana, módl się więc i płacz. Ale już jest późno, wypada się nam rozłączyć. Nie ofiaruję ci na noc mojej celi, gdyż krzyki Paszeka nie dałyby ci zasnąć. Idź. połóż się w kaplicy, tam pod osłoną krzyża znajdziesz opiekę przeciw złym duchom.

Odpowiedziałem pustelnikowi, że będę spał tam, gdzie mu się podoba. Zanieśliśmy małe łóżko polowe do kaplicy i pustelnik odszedł, życząc mi dobrej nocy.

Znalazłszy się sam jeden, zacząłem przywodzić na pamięć opowiadanie Paszeka. W istocie, pod pewnymi względami przypominało ono moje własne przygody i właśnie zastanawiałem się nad tym, gdy północ uderzyła. Nie wiedziałem, czy to pustelnik dzwonił, czyli też zabrzmiało diabelskie hasło. Wtedy usłyszałem, że ktoś skrobie do drzwi. Podeszedłem i zapytałem:

- Kto tam?

Cichy głos odpowiedział mi:

- Zimno nam - otwórz - to my - twoje drogie kochanki.

- A jakże, przekłęci wisielcy - zawołałem - idźcie precz do waszych szubienic! nie przeszkadzajcie mi spać!

Na to cichy głos znowu się odezwał:

- Drwisz sobie z nas, bo siedzisz w kaplicy, ale pójdz no tu do nas na dwór.

- Służę wam w tej chwili! - szybko odpowiedziałem. Porwałem za szpadę i chciałem wyjść, ale cóż, kiedy zastałem drzwi zamknięte. Powiedziałem to upiorom, które ani słowa nie rzekły. Położyłem się więc i spałem aż do białego dnia.

Dzień trzeci

Obudziłem się na głos pustelnika, który zdawał się niesłychanie cieszyć, widząc mnie zdrowego i wesołego. Uściskał mnie ze łzami w oczach i rzekł:

- Synu mój, dziwne rzeczy działy się tej nocy. Powiedz prawdę: czy przepędziłeś noc w Venta Quemada i czy miałeś tam do czynienia z potępieńcami? Jeszcze można złemu zaradzić. Klękniij u stóp ołtarza, wyznaj swoje winy i czyń pokutę.

Upominał mnie tak dość długo, po czym zamilkł i czekał na moją odpowiedź.

- Ojciec mój - rzekłem - właśnie spowiadałem się, wyjeżdżając z Kadyksu, a od tego czasu, nie sądzę, abym popełnił jaki grzech śmiertelny, chyba we śnie. Wprawdzie nocowałem w Venta Quemada, ale jeżeli tam co widział, mam swoje powody, dla których nie chcę o tym wspominać.

Pustelnik na pozór zdziwił się mocno tą odpowiedzią;

wyrzucał mi, że dałem się uwieść szatanowi pychy, i koniecznie chciał mnie przekonać o niezbędnej potrzebie spowiedzi. Wkrótce jednak, widząc, że niezłomnie trwam w moim postanowieniu, udobruchał się. porzucił ton apostołski, jakim do mnie przemawiał, i rzekł:

- Synu mój, dziwi mnie twoja odwaga. Powiedz mi, kto jesteś, kto cię wychował i czy wierzysz w duchy. Zaspokój, proszę, moją ciekawość.

- Ojciec - rzekłem - zaszczytasz mnie tą chęcią bliższego poznania mojej osoby i bądź przekonany, że umiem ją cenić. Pozwól, abym wstał, a wtedy przyjdę do pustelni i opowiem ci wszelkie szczegóły mnie dotyczące, jakich sam tylko zażądasz. Pustelnik znowu mnie uściskał i odszedł. Ubrawszy się poszedłem do pustelni. Zastałem starca warzącego kozie mleko, które mi podał wraz z cukrem i chlebem, sam zaś poprzestał na kilku gotowanych korzonkach. Skończywszy śniadanie, pustelnik obrócił się do opętanego i rzekł:

- Paszeko! Paszeko! w imieniu twojego Odkupiciela rozkazuję ci zaprowadzić kozy na górę.

Paszeko zaryczał straszliwie i odszedł.

Natenczas w te słowa zacząłem opowiadać własne przygody:

HISTORIA ALFONSA VAN WORDEN

Pochodzę ze starożytnej rodziny, która jednak nie obfitowała w znakomitych mężów, a jeszcze mniej w dostatki. Cały nasz majątek stanowiło rycerskie lenno, zwane Worden, wchodzące w skład obwodu burgundzkiego i położone wśród gór ardeńskich.

Ojciec mój, mając starszego brata, musiał poprzestać na małej części dziedzictwa, która mu jednak wystarczała do przyzwoitego utrzymania w wojsku. Służył podczas całej wojny o sukcesję i po zawarciu pokoju król Filip V zaszczycił go stopniem podpułkownika w gwardii wallońskiej.

W wojsku hiszpańskim obowiązywał podówczas kodeks honorowy, ustalony z nadzwyczajną drobiazgowością, który mój ojciec jeszcze za niedostateczny uważał. Nie można mu tego brać za złe, gdyż, prawdę mówiąc, honor powinien być duszą życia wojskowego. W Madrycie nie odbył się żaden pojedynek, żeby mój ojciec nie układał warunków, a skoro raz wyrzekł, że zadośćuczynienie jest dostateczne, nikt przeciw temu wyrokowi nie śmiał stawić oporu. Jeżeli zaś szczególniejszym trafem ktoś nie był zupełnie zadowolony, natychmiast miał do czynienia z moim ojcem, który ostrzem szpady popierał każde swoje zdanie. Nadto ojciec utrzymywał wielką księgę, w której zapisywał historię każdego pojedynku ze wszelkimi szczegółami, i zwykle w nadzwyczajnych razach do niej odwoływał się po radę.

Ciągle tylko zajęty swoim krwawym trybunałem, ojciec mój długo zostawał nieczuły na ponętę miłości; nareszcie wzruszyły mu serce wdzięki młodej jeszcze dziewczyny, Uraki Gomelez, córki oйдora Grenady, pochodzącej z krwi dawnych królów tego kraju. Wspólni przyjaciele wkrótce zbliżyli obie strony i skojarzyli małżeństwo.

Ojciec mój postanowił zaprosić na wesele wszystkich tych, z którymi kiedykolwiek się pojedykował, a których ma się rozumieć nie pozabijał. Stu dwudziestu dwóch zasiadło do stołu; trzynastu nie było w Madrycie, o miejscu zaś pobytu trzydziestu trzech, z którymi bił się w wojsku, nie mógł powziąć żadnej wiadomości. Matka opowiadała mi, że nigdy nie widziała tak wesołej uczyty, na której by szczerze tak powszechnie panowała. Łatwo temu uwierzyłem, gdyż ojciec miał wyborne serce i był lubiany przez wszystkich.

Ze swej strony ojciec mój, silnie przywiązany do Hiszpanii, nie byłby nigdy opuścił służby, gdyby we dwa miesiące po zawarciu małżeństwa nie był otrzymał listu podpisanego przez burmistrza miasta Bouillon. Donoszono mu, że jego brat, zszedłszy bezpotomnie ze świata, zostawił mu cały majątek. Wieść ta niesłychanie zmieszała mego ojca i matka mówiła, że wpadł w takie roztargnienie, iż nie można było jednego słowa z niego wydobyć. Nareszcie rozłożył księgę pojedynków, wyszukał dwunastu ludzi, którzy ich mieli najwięcej w całym Madrycie, zaprosił do siebie i przemówił do nich w te słowa:

- Drodzy towarzysze broni, wiecie, ile razy uspokoiłem wasze sumienia, gdy honor wasz zdawał się być zagrożony. Dziś sam jestem zmuszony odwołać się do waszego światła, lękam się bowiem, że mój własny sąd nie byłby dość jasny, a raczej, że uczucie stronności stanęłoby mi na zawadzie. Oto jest list od burmistrza Bouillon, którego świadectwo zasługuje na szacunek, jakkolwiek urzędnik ten bynajmniej nie pochodzi z krwi szlacheckiej. Wyrzeknijcie więc, czy honor nakazuje mi zamieszkać zamek moich przodków lub też czy dalej mam służyć królowi don Filipowi, który obsypał mnie dobrodziejstwami i w ostatnich czasach wznosił nawet do godności dowódcy brygady. Zostawiam list na stole i sam odchodzę; za pół godziny powrócę i dowiem się o waszym postanowieniu.

To mówiąc ojciec mój wyszedł z pokoju. Gdy wrócił w pół godziny, zaczęło się głosowanie. Pięć głosów było za zostaniem w służbie, siedem zaś za przeniesieniem w góry ardeńskie. Mój ojciec bez szemrania poszedł za większością.

Matka moja chętnie byłaby pozostała w Hiszpanii. ale tak dalece kochała swego męża, że bez najmniejszego żalu zgodziła się na opuszczenie ojczyzny. Odtąd zajęto się jedynie przygotowaniem do podróży i przyjęciem kilku osób, które by mogły wśród gór ardeńskich przypominać Hiszpanię. Chociaż nie było mnie jeszcze wtedy na świecie, jednakże ojciec, bynajmniej nie wątpiąc o moim przybyciu, pomyślał, że czas wyszukać dla mnie nauczyciela fechtunku. W tym celu zainteresował się Garciasem Hierro, najbiegłym fechtmistrem w całym Madrycie. Młodzieniec ten, znudzony szturchańcami, które co dzień zbierał na Plaza de la Cebada, chętnie przystał na podane mu warunki. Z drugiej strony matka moja, nie chcąc puszczać się w podróż bez spowiednika, wybrała Iñiga Veleza, teologa patentowanego w Cuenca, który miał mnie nauczać zasad religii katolickiej i języka hiszpańskiego. Wszystkie te rozporządzenia względem mego wychowania poczyniono na półtora roku przed moim przyjściem na świat.

Skoro wszystko już było gotowe do odjazdu, ojciec mój poszedł pożegnać się z królem i, według zwyczaju przyjętego na dworze hiszpańskim, ukląkł na jedno kolano, aby mu ucałować rękę; ale nagle żal tak mu ścisnął serce, że zemdlał i odniesiono go bez przytomności do domu. Nazajutrz poszedł pożegnać się z don Fernandem de Lara, który był naówczas pierwszym ministrem. Don Fernando przyjął go nader łaskawie i zawiadomił, że król wyznacza mu dwanaście tysięcy realów dożywotniej pensji wraz ze stopniem sargentegeneral, który odpowiada szarży generała-majora. Mój ojciec byłby połową własnej krwi okupił szczęście rzucenia się raz jeszcze do stóp monarchy, ale ponieważ już się był pożegnał, musiał przeto tym razem poprzestać na listownym wyrażeniu gorących uczuć wdzięczności, jaka go wskroś przejmowała. Nareszcie, nie bez rzewnych łez, opuścił Madryt. Wybrał drogę przez Katalonię, aby raz jeszcze zwiedzić pola, na których dał tyle dowodów męstwa, i pożegnać się z kilku dawnymi towarzyszami, którzy dowodzili oddziałami wojsk, rozstawionymi na granicy. Stamtąd przez Perpignan dostał się do Francji.

Całą podróż aż do Lyonu odbył jak najspokojniej, ale wyjechawszy z Lyonu końmi pocztowymi, wyprzedzony został przez powóz, który, daleko lżej wyładowany, pierwszy przybył do stacji. Niebawem mój ojciec zajechał także przed dom pocztowy, gdzie ujrzał, że u powozu, który go wyprzedził, zmieniano już konie. Natychmiast wziął szpadę i zbliżywszy się do podróżnego, prosił o udzielenie mu chwili rozmowy na osobności. Podróżny, jakiś pułkownik francuski, widząc mego ojca w generalskim mundurze, aby mu nie uchybić, także przypasał szpadę. Weszli obaj do gospody położonej naprzeciw domu pocztowego i zażądali osobnego pokoju. Gdy znaleźli się sami, mój ojciec tymi słowami odezwał się do podróżnego:

- Senor kawalerze, powóz pański wyprzedził moją karetę, usiłując koniecznie pierwej zajechać przed pocztę. Postępek ten, jakkolwiek sam przez się nie jest zniewagą, ma przecież dla mnie coś niemiłego, z czego raczysz się senor wytłumaczyć.

Pułkownik, mocno zdziwiony, zwałił całą winę na poczty li on ów i zaręczał, że bynajmniej się do tego nie mieszał.

- Senor kawalerze - przerwał mój ojciec - nie uważam tego bynajmniej za sprawę zbyt wielkiej wagi i dlatego poprzestanę na pierwszej krwi.

To mówiąc dobył szpady.

- Wstrzymaj się pan na chwilę - rzekł Francuz - mniemam, że to wcale nie moi pocztylioni wyprzedzili pańskich, ale przeciwnie, pańscy, wlokąc się niedbale, pozostali w tyle.

Mój ojciec nieco zamyślił się i rzekł do pułkownika:

- Sądzę, że masz senor słuszność, i gdybyś był wcześniej uczynił mi tę uwagę, to jest zanim dobyłem szpady, bez wątpienia byłoby się obyło bez pojedynku; ale teraz, pojmujesz senor, że doprowadziliśmy rzeczy do tego stopnia, iż bez rozlewu trochy krwi nie możemy się rozejść.

Pułkownik znalazł zapewne tę przyczynę zupełnie dostateczną i także dobył szpady. Walka trwała krótko. Mój ojciec, czując się rannym, natychmiast zniżył ostrze swej szpady i jął przeproszać pułkownika, że śmiał go trudzić, ten zaś w odpowiedzi ofiarował swe usługi, wymienił miejsce, gdzie można go znaleźć w Paryżu, po czym wsiadł do powozu i odjechał.

Mój ojciec z początku nie zważał na ranę, ale ciało jego tak było poprzednimi pokryte, że nowy ten cios uderzył w dawną bliznę. Pchnięcie szpady pułkownika odkryło postrzał muszkietowy, po którym kula jeszcze pozostała. Ołów tym razem wydostał się na wierzch i dopiero po dwumiesięcznym okładaniu i przewijaniu rodzice moi puścili się w dalszą drogę.

Ojciec, przybywszy do Paryża, natychmiast pośpieszył odwiedzić margrabiego d'Urfe (tak się nazywał pułkownik, z którym miał spotkanie). Był to jeden z ludzi najwięcej poważanych na dworze. Przyjął mego ojca z niewypowiedzianą uprzejmością i obiecał przedstawić ministrowi, jako też pierwszym panom francuskim. Mój ojciec podziękował mu i prosił tylko o przedstawienie księciu de Tavannes, który naówczas był dziekanem marszałków, chciał bowiem zasięgnąć bliższych wiadomości względem trybunału honorowego, o którym zawsze miał wysokie wyobrażenie, często o nim rozpowiadał w Hiszpanii, jako o nader mądrym ustanowieniu, i wszelkimi siłami starał się

zaprowadzić go w tym kraju. Marszałek również rad był memu ojcu i polecił go kawalerowi de Believre, pierwszemu sekretarzowi panów marszałków i referendarzowi rzeczonoego trybunału.

Kawaler, często odwiedzając mego ojca, spostrzegł raz u niego kronikę pojedynków. Dzieło to tak dalece wydało mu się jedynym w swoim rodzaju, że prosił o pozwolenie pokazania go panom marszałkom, którzy podzielili zdanie swego sekretarza i posłali do mego ojca z prośbą, aby raczył dozwolić na odpis, który miał być na wieczne czasy złożony w aktach trybunalskich. Żądanie to sprawiło ojcu niesłychaną przyjemność i z radością na odpis zezwolił.

Podobne oświadczenia szacunku bezustannie uprzyjemniały memu ojcu pobyt w Paryżu; ale wcale inaczej działało się z moją matką. Postanowiła ona niezłomnie nie tylko nie uczyć się po francusku, ale nawet nie słuchać, gdy przemawiano tym językiem. Spowiednik jej, Iñigo Velez, ciągle gorzko wyśmiewał się z tolerancji kościoła galikańskiego, Garcias Hierro zaś kończył każdą rozmowę zapewnieniem, że Francuzi są tchórzami i niezgrabiaszami.

Nareszcie rodzice moi opuścili Paryż i po czterech dniach podróży przybyli do Bouillon. Ojciec dopełnił aktu rozpoznania przed urzędnikami i objął swój majątek w posiadanie. Dach naszych przodków od dawna pozbawiony był nie tylko obecności swych panów, ale i dachówek; deszcz tak samo lał w pokoju, jak na podwórzu, z tą różnicą, że bruk podwórza wkrótce wysychał, podczas gdy kałuże w pokojach ciągle się powiększały. Ten zalew domowego ogniska bardzo podobał się memu ojcu, przypominał mu bowiem oblężenie Leridy, podczas którego trzy tygodnie przepędził stojąc po pas w wodzie.

Pomimo tych miłych wspomnień postarał się jednak o umieszczenie w suchym miejscu łóżka swojej małżonki. W obszernym bawialnym pokoju był komin flamandzki, przy którym piętnaście osób mogło grać się wygodnie. Wystające sklepienie tego komina tworzyło niejako dach, podparty z każdej strony dwiema kolumnkami. Zabito więc dymnik i pod tym dachem postawiono łóżko mojej matki, stolik i jedno krzesło; ponieważ zaś palenisko kominka było wyższe o jedną stopę w stosunku do poziomu podłogi, stanowiło przeto wyspę dość nieprzystępną dla powodzi.

Ojciec osiedlił się w przeciwnym końcu pokoju na dwóch stołach spojonych deskami, oba zaś łóżka połączono mostem, umocnionym w środku czymś w rodzaju grobli z pak i kufrów. Dzieło to zostało ukończone pierwszego dnia po przybyciu do zamku, a dokładnie w dziewięć miesięcy potem przyszedłem na świat.

Podczas gdy z wielką gorliwością zajmowano się wyporządzeniem naszego mieszkania, ojciec odebrał list, który przepetnił go radością. W liście tym marszałek, księżę de Tavannes, prosił go o sąd w pewnej sprawie honorowej, która całemu trybunałowi wydała się nader trudna do rozstrzygnięcia. Ojciec z taką radością przyjął ten dowód szczególniejszej łaski, że postanowił wyprawić z tego powodu wielki bal dla sąsiadów. Ale ponieważ nie mieliśmy żadnych sąsiadów, bal przeto skończył się na fandango, wykonanym przez mego fechtmistrza i senorę Fraskę, pierwszą garderobianą mojej matki.

Ojciec mój, w odpowiedzi na list marszałka, upraszał, aby raczono mu w przyszłości przesyłać wyciągi z wyroków trybunału. Ta łaska została mu udzielona i odtąd na początku każdego miesiąca otrzymywał wielki zwój papierów, który przez cztery tygodnie wystarczał na domowe rozmowy i

pogawędki podczas długich wieczorów zimowych przy kominie, w lecie zaś na dwóch ławkach przypartych do zamkowej bramy.

Gdy zapowiadałem już moje narodzenie, ojciec ciągle rozmawiał z moją matką o synu, którego się spodziewał, i o wyborze ojca chrzestnego. Matka obstawała za księciem de Tavannes lub też za margrabią d'Urfe; ojciec przyznawał, że byłoby to dla nas wielce zaszczytne, ale żywił obawę, aby ci panowie nie sądzili, że czynią nam zbyt wielki zaszczyt. Powodowany uzasadnioną ostrożnością, zdecydował się na kawalera de Believe, który ze swej strony z szacunkiem i wdzięcznością przyjął zaproszenie.

Na koniec przyszedłem na świat. W trzecim roku życia wywijałem już małym floretem, w szóstym zaś strzelałem z pistoletu nie zmrużywszy oka. Już miałem blisko siedem lat, gdy mój ojciec chrzestny przyjechał do nas w odwiedzin. Kawaler od tego czasu ożenił się był w Tournai i piastował tam urząd namiestnika konetablii i referendarza spraw honorowych. Początek tych godności odnosi się aż do czasów sądów bożych, później przyłączono je do trybunału marszałków Francji.

Pani de Believe była nader wątłego zdrowia i mąż wiózł ją do wód w Spa. Oboje niestychanie mnie polubili, a ponieważ nie mieli własnych dzieci, uprosili przeto mego ojca, aby im powierzył moje wychowanie, które nie mogło być dostatecznie staranne w samotnej okolicy, w jakiej mieszkaliśmy. Ojciec chętnie przystał na ich żądania, zachęcony zwłaszcza urzędem referendarza spraw honorowych, który mu obiecywał, że w domu Believe'ów zawczasu przejmę się zasadami mającymi ustalić dalsze moje postępowanie.

Z początku chciano, aby mi towarzyszył Garcias Hierro, gdyż ojciec mój zawsze był zdania, że najszlachetniejszy pojedynek jest ze szpadą w prawej; z puginałem zaś w lewej ręce. We Francji zupełnie nie znano tego rodzaju szermierki. Ponieważ jednak ojciec przyzwyczał się każdego poranku fechtować z Garciasem pod murem zamkowym i ta rozrywka stała się potrzebna dla jego zdrowia, postanowił zatem zatrzymać fechtmistrza przy sobie.

Zamierzano również wysłać ze mną teologa Iñiga Veleza, ale ponieważ matka nadal umiała tylko po hiszpańsku, niepodobierstwem więc było pozbawiać jej spowiednika znającego ten język. Tak więc rozłączony zostałem z dwoma ludźmi, których jeszcze przed moim urodzeniem przeznaczono na moich nauczycieli. Jednakże dano mi służącego Hiszpana, ażeby w jego towarzystwie nie zapomniał mowy macierzystej.

Wyjechałem z ojcem chrzestnym do Spa, gdzie przepędziliśmy dwa miesiące; stamtąd udaliśmy się do Holandii i nareszcie w końcu jesieni wróciliśmy do Tournai. Kawaler de Believe wybornie odpowiedział zaufaniu mego ojca i przez sześć lat nie szczędził wszelkich starań, aby mnie z czasem wykształcić na znakomitego wojskowego. W końcu szóstego roku mego pobytu w Tournai umarła pani de Believe. Mąż jej opuścił Flandrię i przeniósł się do Paryża, mnie zaś odwołano do rodzicielskiego domu.

Podróż, z powodu deszczowej pory, miałem męczącą. Gdy w dwie godziny po zachodzie słońca przybyłem do zamku, zastałem wszystkich mieszkańców zebranych koło wielkiego komina. Ojciec, jakkolwiek uszczęśliwiony z mego przyjazdu, bynajmniej nie objawił oznak radości, lękając się na szwank wystawić to, co wy, Hiszpanie, nazywacie la gravedad; natomiast matka przyjęła mnie ze łzami. Teolog Iñigo Velez przywitał mnie błogosławieństwem, szermierz zaś Hierro natychmiast podał

mi floret. Wnet uderzyłem na niego i zadałem mu kilka pchnięć, które dały obecnym wyobrażenie o mojej niepospolitej zręczności. Ojciec zbyt był biegłym znawcą, aby od tej chwili nie miał zastąpić oziębłości najwyższym rozczuleniem.

Zastawiono wieczerzę i wszyscy wesoło zasiedli do stołu. Po wieczerzy znowu przysunięto się do komina i ojciec rzekł do teologa:

- Wielebny don Inigo, uczyn mi tę przyjemność, przynieś wielką księgę z cudownymi historiami i przeczytaj nam którą.

Teolog poszedł do swego pokoju i wkrótce wrócił z ogromnym foliałem, oprawionym w biały pergamin, który pozołkł już od starości. Otworzył księgę na chybił trafił i zaczął czytać w te słowa:

HISTORIA TRIVULCJA Z RAWENNY

Był raz przed laty we włoskim mieście, zwanym Rawenną, młodzieniec imieniem Trivulcjo, przystojny, bogaty, ale przy tym nadzwyczaj zarozumiały. Dziewczęta raweńskie wyglądały oknami, aby go ujrzeć przechodzącego, ale żadna nie mogła sprawić na nim wrażenia. Jeżeli zaś przypadkiem która przypadła mu do smaku, milczał z obawy, że swym uczuciem uczyni jej zbyt wielki zaszczyt. Nareszcie wdzięki młodej Niny dei Gieraci skruszyły jego pychę i Trivulcjo oświadczył jej swoją miłość. Nina na to odpowiedziała, że wielce ją tym zaszczyca, ale że od dzieciństwa kocha swego kuzyna, Tebalda dei Gieraci, i że zapewne do śmierci kochać go nie przestanie. Na tę niespodziewaną odpowiedź Trivulcjo wyszedł, dając oznaki najzapalczyszej wściekłości.

W tydzień potem, a było to właśnie w niedzielę, gdy wszyscy mieszkańcy Rawenny dążyli do katedry Świętego Piotra, Trivulcjo rozpoznał wśród tłumu Ninę, wspartą na ramieniu krewnego. Zawinął się w płaszcz i pospieszył za nimi.

W kościele, gdzie nie wolno było twarzy płaszczem zakrywać, kochankowie mogli byli łatwo spostrzec, że Trivulcjo ich ściga, ale tak dalece zajęci byli miłością, że nawet nie uważali na mszę, co, prawdę mówiąc, wielkim jest grzechem.

Tymczasem Trivulcjo usiadł za nimi w ławce, słuchał ich rozmowy i podniecał w sobie zawziętość. Natenczas ksiądz wstąpił na ambonę i rzekł:

- Mili bracia, ogłaszam wam zapowiedzi Tebalda i Niny dei Gieraci. Czy kto z was ma co przeciw temu małżeństwu?

- Ja się sprzeciwiam! - krzyknął Trivulcjo i w tej chwili zadał obojgu kochankom kilkanaście ciosów sztyletem.

Chciano go przytrzymać, ale znowu wziął się do sztyletu, wymknął się z kościoła, następnie z miasta i uciekł do Wenecji.

Trivulcjo był pyszny i zepsuty przez los, ale duszę miał tkliwą; zgryzoty sumienia zemściły się za nieszczęśliwe ofiary. Tułał się od miasta do miasta i pędził życie w rozpacz. Po kilku latach krewni

jego załagodzili całą sprawę i powrócił do Rawenny; ale nie był to już ten sam młodzieniec, promieniejący szczęściem i dumny ze swojej urody. Zmienił się tak dalece, że własna mamka nie mogła go poznać.

Zaraz pierwszego dnia po przybyciu Trivulcjo zapytał o grób Niny. Powiedziano mu, że razem z kochankiem została pochowana w kościele Świętego Piotra, tuż obok miejsca, gdzie ich zamordowano. Trivulcjo poszedł drżący do kościoła, upadł na grób i oblał go rzewnymi łzami. Pomimo tej boleści, jakiej nieszczęśliwy zabójca doznał w tej chwili, łzy przecież ulżyły mu na sercu; dał więc swoją kiesę zakrystianowi i otrzymał pozwolenie wchodzenia do kościoła, kiedy mu się tylko spodoba. Odtąd przychodził każdego wieczora i zakrystian tak się do niego przyzwyczaił, że nie zwracał nań najmniejszej uwagi.

Pewnego wieczoru Trivulcjo, przepędziwszy poprzednią noc bezsenną, zasnął na grobie, a gdy się obudził, znalazł kościół już zamknięty; postanowił więc śmiało przepędzić noc w miejscu, które tak zgadzało się z jego głębokim smutkiem. Słuchał, jak godziny biły jedna za drugą, i żałował tylko, że każdy ostatni dźwięk nie jest ostatnią chwilą jego życia.

Nareszcie północ uderzyła. Otwarty się drzwi do zakrystii i Trivulcjo ujrzał zakrystiana, wchodzącego z latarnią w jednej, z miotłą zaś w drugiej ręce. Nie był to jednak zwyczajny zakrystian, ale kościotrup; miał wprawdzie nieco skóry na twarzy i coś na kształt zapadłych oczu, ale okrywająca go komża pokazywała wyraźnie, że na kościach zupełnie nie było ciała.

Okropny zakrystian postawił latarnię na wielkim ołtarzu i pozapalał świece jak do niesporów; następnie zaczął zamiatać kościół i okurzać ławki, przeszedł nawet kilka razy obok Trivulcjo, ale nie zdawał się go spostrzegać. Nareszcie zbliżył się do drzwi zakrystii i jął dzwonić w sygnaturkę; na ten dźwięk podniosły się grobowce, wyszli umarli, owinięci w całuny, i na posępną nutę zawiedli litanie.

Gdy tak przez jakiś czas już wyśpiewywali, jeden z umarłych, odziany w komżę i stułę, wstąpił na ambonę i rzekł:

- Mili bracia, ogłaszam wam zapowiedzi Tebalda i Niny dei Gieraci. Przeklęty Trivulcjo, czy masz co przeciw temu?

Tu ojciec mój przerwał teologowi i zwracając się do mnie, rzekł:

- Synu mój, Alfonsie, czy zląkłbyś się, gdybyś był na miejscu Trivulcjo?

- Drogi ojciec - odpowiedziałem - sądzę, że zląkłbym się niestety.

Na te słowa ojciec mój porwał się uniesiony szalonym gniewem, poskoczył do szpady i chciał mnie nią przybić do ściany.

Obecni rzucili się między nas i jakoś zdołali go uspokoić. Gdy usiadł na swoim miejscu, spojrzął na mnie straszliwie i rzekł:

- Synu niegodny ojca, nikczemność twoja hańbą okrywa pod pewnym względem pułk gwardii wallońskiej, w którym cię chciałem umieścić.

Po tych gorzkich wymówkach, przy których myślałem, że umrę ze wstydu, nastąpiło głębokie milczenie. Garcias pierwszy je przerwał i zwracając się do mego ojca, rzekł:

- Czy nie lepiej byłoby, jaśnie wielmożny panie, aby zamiast tego wszystkiego można było przekonać syna Waszej Miłości, że nie ma na świecie ani widm, ani upiorów, ani umarłych, którzy śpiewają litanie. Tym sposobem bez wątpienia nie drżałby na ich wspomnienie.

- Senor Hierro - odpowiedział cierpko mój ojciec - zapominasz waćpan, że wczoraj miałem zaszczyt pokazywać mu historię o duchach napisaną własną ręką mego pradziada.

- Ja bynajmniej - odparł Garcias - nie zadaję fałszu pradziadowi jaśnie wielmożnego pana.

- Jak to rozumiesz - rzekł ojciec - "bynajmniej nie zadaję fałszu"? Czy wiesz, że to wyrażenie przypuszcza możliwość zadania fałszu memu pradziadowi przez waćpana?

- Jaśnie wielmożny panie - mówił dalej Garcias - wiem, że jestem zbyt mało znaczącą osobą, aby jaśnie wielmożny pradziad Waszej Miłości miał wymagać po mnie jakiegokolwiek zadośćuczynienia.

Wtedy mój ojciec, przybrawszy jeszcze straszliwszą postawę, zawołał:

- Hierro! niech cię Bóg broni od usprawiedliwień, gdyż te przypuszczają możliwość obrazy.

- W takim razie - rzekł Garcias - pozostaje mi tylko z pokorą poddać się karze, jaką Wasza Miłość w imieniu swego pradziada raczy mi wymierzyć. Śmiem tylko błagać, aby dla ochrony godności mego zawodu kara ta została mi wyznaczona przez naszego spowiednika; tym sposobem będę mógł ją uważać za pokutę kościelną.

- To nie jest zła myśl - rzekł mój ojciec, znacznie uspokojony. - Pamiętam, że kiedyś napisał mały traktat o zadośćuczynieniach, w razie gdyby pojedynek nie mógł mieć miejsca; muszę się nad tym głębiej zastanowić.

Ojciec zdawał się z początku głęboko rozmyślać nad tym przedmiotem, ale przechodząc z jednych uwag do drugich, zasnął nareszcie w swoim fotelu. Matka moja i teolog od dawna już spali i Garcias niebawem poszedł za ich przykładem. Natenczas ja odszedłem do mego pokoju i tak minął pierwszy dzień po moim powrocie do rodzicielskiego domu.

Nazajutrz z rana fechtowałem się z Garciasem, następnie poszedłem na polowanie, po wieczery zaś, gdy wszyscy zasiedli koło komina, ojciec znowu posłał teologa po wielką księgę. Wielebny przyniósł ją, otworzył na chybił trafił i zaczął czytać, co następuje:

HISTORIA LANDOLFA Z FERRARY

W mieście włoskim, zwanym Ferrarą, żył raz pewien młodzieniec imieniem Landolfo. Był to rozpustnik bez czci i wiary, który zgrozą przejmował wszystkich pobożnych mieszkańców. Niegodziwiec ten przebywał najchętniej w towarzystwie wszetecznych kobiet; znał je wszystkie, żadna jednak nie podobała mu się tak, jak Bianka de Rossi, ponieważ wszystkie inne przewyższała w rozwiązłości.

Bianka nie tylko była rozpustna, chciwa złota i zepsuta w głębi serca, ale nadto wymagała zawsze, aby jej kochankowie znizali się do niej hańbiącymi postępkami. Pewnego dnia zażądała od Landolfa.

aby zaprowadził ją na wieczerzę do swej matki i siostry. Landolfo natychmiast poszedł do matki i oświadczył jej ten zamiar, jak gdyby nic w tym nie widział nieprzyzwoitego. Biedna matka zalała się łzami i zaklinała syna, aby miał wzgląd na dobrą sławę siostry. Landolfo pozostał głuchy na te prośby i przyrzekł tylko dochować ile możliwości tajemnicy, po czym poszedł i przyprowadził Biankę do domu. Matka i siostra Landolfa przyjęły niegodziwą daleko lepiej, niż na to zasługiwała; ale Bianka widząc ich dobroć, podwoiła jeszcze zuchwałość, zaczęła rozprawiać o nieprzyzwoitych rzeczach i dawać siostrze swego kochanka nauki, bez jakich ta byłaby się zupełnie obeszała. Nareszcie wyprawiła obie z pokoju, mówiąc, że chce zostać z Landolfem sama.

Nazajutrz bezwstydna rozniosła tę historię po całym mieście, tak że przez kilka dni o niczym innym nie mówiono. Niebawem wieść o tym wypadku doszła Odoarda Zampi, brata matki Landolfa. Odoardo wcale nie był człowiekiem bezkarnie puszczającym urazę, ujął się za swą siostrą i tego samego dnia kazał zamordować niegodziwą Biankę. Gdy Landolfo udał się do swej kochanki, znalazł ją broczącą we krwi i nieżywą. Wkrótce dowiedział się, że to sprawa jego wuja, pobiegł więc, chcąc mu się odplącić, ale dzielni towarzysze otaczający Odoarda naigrawali się jeszcze z jego bezsilnej złości.

Landolfo, nie wiedząc, na kim wyrzeć swoją wściekłość, pobiegł do matki, aby jej naubliżyć. Biedna kobieta właśnie siadała z córką do wieczerzy i widząc wchodzącego syna, zapytała, czy dziś Bianka przyjdzie do stołu.

- Oby mogła przyjść - krzyknął Landolfo - i zaprowadzić cię do piekła razem z twoim bratem i całą rodziną Zampich!

Nieszczęśliwa matka padła na kolana wołając:

- Wielki Boże, przebacz mu jego bluźnierstwa!

W tej chwili drzwi otwały się z łoskotem i ujrano wchodzące straszliwe widmo, pokryte ranami od sztyletu, w którym jednak nie można było nie rozpoznać trupa Bianki.

Matka i siostra Landolfa zaczęły się żarliwie modlić i Bóg udzielił im łaski, że zniosły ten okropny widok, nie umarłszy ze strachu.

Widmo zbliżyło się wolnymi krokami i zasiadło do stołu, jak gdyby chciało wieczerzać. Landolfo z odwagą, jaką samo tylko piekło mogło go natchnąć, podsunął mu półmisek. Widmo otworzyło tak wielką paszczę, że głowa zdawała mu się łupać na dwoje, i zionęło czerwonym płomieniem; następnie wyciągnęło osmoloną rękę, wzięło kawałek, połknęło go i wnet usłyszano, jak spadał pod stół. Tym sposobem pożarło cały półmisek, ale wszystkie kawałki upadały pod stół. Wtedy, zwracając straszliwe oczy na Landolfa, rzekło:

- Landolfie, skoro u ciebie spożyłam wieczerzę, noc spędzę również z tobą. Chodź teraz do łóżka.

Tu mój ojciec, przerywając spowiednikowi, obrócił się do mnie i rzekł:

- Synu mój, Alfonsie, czy zląkłbyś się, gdybyś był na miejscu Landolfa?

- Kochany ojciec - odpowiedziałem - zaręczam, że wcale bym się nie zląkł.

Odpowiedź ta ucieszyła mego ojca; przez cały wieczór był wesół i z radością na mnie spoglądał.

Tak przepędzaliśmy dni jeden za drugim, z tą różnicą, że w zimie zasiadaliśmy koło komina, w lecie zaś na ławce przypartej do zamkowej bramy. Sześć lat upłynęło w tym słodkim spokoju i gdy teraz je sobie przypominam, zdaje mi się, że każdy rok nie trwał dłużej niż tydzień.

Gdy skończyłem siedemnasty rok życia, ojciec pomyślał o umieszczeniu mnie w pułku gwardii wallońskiej i w tym celu napisał do kilku dawnych towarzyszków, na których najwięcej jeszcze liczył. Ci zacni i szanowni wojskowi połączyli wspólne starania i otrzymali dla mnie patent na kapitana. Ojciec, otrzymawszy tę wiadomość, tak dalece był nią wzruszony, że lękano się o jego życie; wszelako niebawem przyszedł do siebie i odtąd zajmował się tylko przygotowaniami do mego wyjazdu. Chciał, abym się udał przez morze i wylądowawszy w Kadyksie, naprzód przedstawił się don Henrykowi de Sa, wielkorządcy prowincji, który najwięcej przyczynił się do otrzymania dla mnie stopnia.

Gdy powóz pocztowy zajechał już na podwórze zamkowe, ojciec zaprowadził mnie do swego pokoju i zaryglowawszy drzwi za sobą, rzekł:

- Kochany Alfonsie, pragnę powierzyć ci tajemnicę, którą otrzymałem od mego ojca, a którą ty przekazesz kiedyś twemu synowi, gdy go jej godnym osądzisz.

Byłem przekonany, że tajemnica tyczyła się jakiegoś ukrytego skarbu, odpowiedziałem więc, że zawsze uważałem złoto jedynie za środek, który pozwala przychodzić z pomocą nieszczęśliwym.

- Mylisz się, kochany Alfonsie - odparł mój ojciec - nie chodzi tu bynajmniej o złoto lub srebro. Pragnę nauczyć cię nieznanego ci dotąd pchnięcia, za którego pomocą, odparowując cios i markując wypad z boku, z pewnością zawsze wytrącisz przeciwnikowi broń z ręki.

To mówiąc wziął florety, nauczył mnie owego pchnięcia, dał błogosławieństwo na drogę i zaprowadził do powozu. Uściskałem moją matkę i po chwili opuściłem zamek rodzicielski.

Udałem się lądem aż do Flesingi, tam wsiadłem na okręt i wylądowałem w Kadyksie. Don Henryk de Sa zajął się mną, jak gdybym był własnym jego synem, dopomógł mi do przyzwoitego oporządzenia się i polecił dwóch służących, z których jeden zwał się Lopez, drugi zaś Moskito. Z Kadyksu przybyłem do Sewilli, z Sewilli do Kordowy, następnie do Andujar, skąd postanowiłem udać się drogą przez Sierra Morenę. Na nieszczęście, przy źródle Los Alcomques obaj służący mnie opuścili. Pomimo to tego samego dnia dostałem się do Venta Quemada, wczoraj zaś wieczorem do twojej pustelni.

- Kochany synu - rzekł pustelnik - twoja historia mocno mnie zajęła i dziękuję ci, żeś mi ją raczył opowiedzieć. Widzę teraz po sposobie twego wychowania, że bojaźń jest dla ciebie zupełnie nieznanym uczuciem; ale ponieważ przepędziłeś noc w Venta Quemada, lękam się, czyś tam nie doświadczył nagabywań dwóch wisielców i żebyś kiedyś nie uległ smutnemu losowi opętanego Paszeko.

- Mój ojciec - odpowiedziałem - długom się zastanawiał tej nocy nad przygodami senora Paszeko. Jakkolwiek ma on diabła w ciele, przecież jest szlachcicem, nie sądzę więc, aby wszystko, co mówi, nie było najistotniejszą prawdą. Z drugiej jednak strony, Iñigo Velez, nasz spowiednik zamkowy, zaręczał mi, że jakkolwiek dawniej spotykano opętanych, zwłaszcza w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, atoli dziś nie ma już ich zupełnie, i jego świadectwo tym ważniejsze mi się wydaje, że ojciec mój rozkazał mi we względzie naszej religii ślepo wierzyć czcigodnemu Velezowi.

- Jak to? - rzekł pustelnik - nie widziałeś więc Okropnej postaci opętanego, któremu diabli wyłupili jedno oko?

- I owszem, mój ojciec, wszelako senor Paszeko mógł innym sposobem nabawić się tego kalectwa. Wreszcie, co się tyczy tych rzeczy, zwracam się zawsze do ludzi, którzy więcej umieją ode mnie. Dość dla mnie, że nie lękam się żadnych widm ani upiórów. Jednakże jeżeli chcesz dla zachowania spokoju duszy mojej dać mi jaką świętą relikwię, przyrzekam nosić ją z wiarą i poszanowaniem.

Pustelnik zdawał się uśmiechać z mojej prostoty, po czym rzekł:

- Widzę, mój synu, że masz jeszcze wiarę, ale obawiam się, czy nadal zdołasz w niej wytrwać. Ci Gome-lezowie, od których wiesz twój ród po kądzieli, są dopiero od niedawna chrześcijanami, niektórzy z nich nawet, podobno, w głębi serca wyznają islam. W razie gdyby ci ofiarowali niezmiernie bogactwa z warunkiem przejścia na ich wiarę, co byś wtenczas uczynił?

- Nie przyjąłbym - odpowiedziałem - gdyż mniemam, że wyparcie się wiary lub opuszczenie sztandaru - zawsze może tylko okryć hańbą.

Tu pustelnik znowu zdawał się uśmiechać i rzekł:

- Ze smutkiem spostrzegam, że cnoty twoje zasadzają się na zbyt wygórowanym poczuciu honoru, i uprzedzam cię, że dziś nie ma już tylu pojedynków w Madrycie, ile ich bywało za czasów twego ojca. Oprócz tego cnoty dziś opierają się na innych, daleko trwalszych zasadach. Ale nie chcę cię dłużej zatrzymywać, gdyż masz jeszcze długą drogę przed sobą, zanim dostaniesz się do Venta de Peñon, czyli Gospody pod Skałą. Oberżysta mieszka tam pomimo złodziej, liczy bowiem na opiekę bandy Cyganów, która obozuje w okolicy. Pojutrze przyjedziesz do Venta de Cardenas i wtedy będziesz już za Sierra Moreną. Przy siodle znajdziesz zapasy na drogę.

To mówiąc pustelnik czule mnie uściskał, ale nie dał mi żadnej relikwii dla zachowania spokoju mej duszy. Nie chciałem mu przypominać i dosiadłszy konia opuściłem pustelnię.

Przez drogę rozmyślałem nad szczególniejszymi po-glądami pustelnika, nie mogłem bowiem pojąć, jakim sposobem cnota może opierać się na silniejszej podstawie niż na poczuciu honoru, który, jak sądziłem, sam obejmuje w sobie wszystkie cnoty.

Właśnie zastanawiałem się nad tymi uwagami, gdy nagle jakiś jeździec ukazał się spoza skały, stanął mi w poprzek drogi i rzekł:

- Czy senor nazywasz się Alfonsem van Worden? Odpowiedziałem, że tak jest.

- W takim razie aresztuję cię w imieniu króla i przenajświętszej inkwizycji; racz mi oddać szpadę,

W milczeniu spełniłem żądanie, gdy wtem jeździec gwizdnął i zewsząd otoczony zostałem uzbrojonymi. Rzucili się na mnie, związali mi ręce w tył. zapuścili się manowcami w góry i po godzinie drogi ujrzałem przed sobą warowny zamek. Spuszczono most zwodzony i wjechaliśmy w dziedziniec. Kiedy znaleźliśmy się koło wieży zamkowej, przez boczne drzwiczki wepchnięto mnie do lochu, nie troszcząc się o rozwiązanie powrozów, które mnie krępowały.

Więzienie było zupełnie ciemne; ponieważ nie mogłem wyciągnąć rąk przed siebie, lękałem się, że chodząc mógłbym uderzyć głową o mur. Dlatego też usiadłem w miejscu, gdzie mnie pozostawiono, i

- jak można łatwo pojąć - zacząłem rozmyślać nad przyczynami tak gwałtownego ze mną postępowania. Od razu pomyślałem, że inkwizycja schwytała Eminę i Zibeldę i że Murzynki opowiedziały wszystko, co się stało w Venta Quemada. W takim wypadku bez wątpienia zadadzą mi pytania względem pięknych Afrykanek. Miałem dwie drogi przed sobą: albo zdradzić moje kuzynki i złamać dane im słowo honoru, lub też wyprzeć się ich znajomości; utrzymując to drugie zdanie, byłbym zabrnął w pasmo bezwstydných kłamstw. Namysliwszy się więc przez chwilę, postanowiłem zachować jak najgłębsze milczenie i na wszelkie zapytania nie odpowiadać ani słowa.

Raz usunąwszy tę wątpliwość, zacząłem marzyć o wypadkach dwóch dni ubiegłych. Byłem mocno przekonany, że miałem do czynienia z kobietami z krwi i kości, jakieś tajemne uczucie, silniejsze nad wszelkie wyobrażenia o potędze złych duchów, utwierdzało mnie w tym mniemaniu; wszelako oburzała mnie niegodziwa psota przeniesienia mnie pod szubienicę.

Tak mijały godziny. Głód zaczął mi doskwierać; wiedząc, że w więzieniach nie brakuje chleba i dzbanków z wodą, jąłem szukać nogami, czy nie znajdę jakiegoś pożywienia. W istocie wkrótce domacałem się jakiejś półkuli, która rzeczywiście okazała się chlebem. Chodziło tylko o to. jakim sposobem podnieść go do ust. Położyłem się obok chleba i chciałem go schwycić zębami. ale za każdym razem wymykał mi się dla braku oporu; natenczas przyparłem go do muru i znalazłszy bochenek rozkrojony przez środek, zdołałem go ugryźć.

Gdyby nie pomyślano o rozkrojeniu chleba, nigdy nie udałoby mi się go napocząć. Następnie domacałem się dzbanka, ale znowu żadnym sposobem nie mogłem do ust go przychylić; w istocie, zaledwie odwilżyłem gardło, wnet cała woda wylała się na ziemię. Czyniąc dalsze poszukiwania, znalazłem w kącie garść słomy i położyłem się. Związano mi ręce lak sztucznie, że nie doznawałem żadnej boleści i wkrótce zasnąłem.

Dzień czwarty

Zdawało mi się, że spałem już od kilku godzin, gdy wtem nagle mnie obudzono. Ujrzałem wchodzącego mnicha z zakonu świętego Dominika, a za nim kilku ludzi nader nieprzyjemnej powierzchowności. Niektórzy z nich nieśli pochodnie, inni zaś zupełnie nie znane mi narzędzia, służące zapewne do tortur.

Przypomniałem sobie o moim postanowieniu i zamierzyłem na włos od niego nie odstąpić. Przywiodłem na pamięć mego ojca; wprawdzie nigdy nie brano go na tortury, ale wiedziałem, że wśród licznych i bolesnych operacji chirurgicznych, jakich doświadczał, nigdy nawet nie krzyknął.

- Będę go więc naśladował - rzekłem do siebie - nie wyrzeknę ani słowa, a nawet nie westchnę.

Inkwizytor kazał przynieść sobie fotel, usiadł obok mnie, przybrał wyraz łagodności i słodczy i w te słowa się odezwał:

- Drogi, kochany synu, podziękuj niebu, że cię przyprowadziło do tego więzienia. Ale jakież dałeś do tego powód? jaki grzech popełniłeś? Wyspowiadaj się, we łzach i pokorze szukaj ulgi na moim łonie.

Nie odpowiadasz - niestety, synu mój, źle, bardzo źle czynisz. My, według naszego systemu, nie przesłuchujemy winowajcy. Zostawiamy mu wolność oskarżania samego siebie. Wyznanie takie, jakkolwiek nieco wymuszone, ma przecież swoją dobrą stronę, zwłaszcza gdy winny raczy wymienić współwinowajców. Jeszcze milczysz? Tym gorzej dla ciebie; widzę, że muszę sam cię naprowadzić na dobrą drogę. Czy znasz dwie afrykańskie księżniczki, czyli raczej dwie niegodziwe czarownice, więdmy przebrzydłe, diabllice wcielone? Nic nie mówisz? - niech więc wprowadzą te dwie infantki z dworu Lucyfera.

Tu wprowadzono obie moje kuzynki, z rękami również jak moje w tył związanymi, po czym inkwizytor tak dalej mówił:

- Cóż więc, kochany synu, poznajesz je? Ciągłe milczysz? Drogi synu, niech cię to wcale nie przestrasza, co ci powiem. Sprawią ci tu małą boleść; widzisz te dwie deski? Włożą ci nogi między te deski i skrępują je sznurami, później zabiją ci młotem między kolana te oto kliny. Z początku nogi ci nabrękną, dalej krew wytryśnie z wielkich palców, z innych zaś podpadają paznokcie; podeszwy ci popękają i wycieknie tłustość pomieszana z rozgniecionym ciałem. To cię już więcej będzie bolało. Jeszcze nic nie odpowiadasz? Masz słuszność, to są dopiero katusze przygotowawcze. Pomimo to jednak zemdlejesz, ale niebawem za pomocą tych oto soli i spirytusów wrócisz do przytomności. Natenczas wyjmą ci kliny i zabiją te tutaj, większe. Za pierwszym uderzeniem podruzgocą ci kolana i kostki, za drugim nogi wzdłuż ci popękają szpik wytryśnie i razem z krwią zboczy tę słomę. Obstajesz przy twoim milczeniu? Dobrze więc, niech mu ścisną palce.

Na te słowa oprawcy porwali mnie za nogi i położyli między dwie deski.

- Nie chcesz mówić? - wsuńcie kliny!... Milczysz? - podnieście młoty!.

W tej chwili dały się słyszeć liczne wystrzały broni. Emina krzyknęła:

- O Proroku! jesteśmy ocaleni! Zoto przybywa nam na pomoc.

Zoto wszedł ze swoją czeredą, wyrzucił za drzwi oprawców i przykuł inkwizytora do obręczy żelaznej, wbitej w mur więzienia. Następnie rozwiązał mnie i dwie Mauretanki. Skoro tylko dziewczęta poczuły wolne ramiona, natychmiast zarzuciły mi je na szyję. Rozłączono nas. Zoto rozkazał mi wsiąść na konia i ruszyć naprzód, zaręczając, że wkrótce z kobietami za mną pośpieszy.

Przednia straż, z którą wyruszyłem, składała się z czterech jeźdźców. O świcie w odludnej okolicy zmieniliśmy konie; następnie drapaliśmy się po wierchołkach i garbach stromych gór.

Okolo czwartej po południu dostaliśmy się między wydrążenia skaliste, gdzie zamierzaliśmy noc przepędzić. Cieszyłem się, że słońce jeszcze nie zaszło, gdyż widok był zachwycający, zwłaszcza dla mnie, który dotąd widziałem tylko Ardeny i Zeelandię. U stóp moich rozciągała się czarująca Vega de Granada, którą mieszkańcy tego kraju przekornie nazywają la Nuestra Vegilla. Widziałem ją całą: jej sześć miast i czterdzieści wiosek, kręte koryto Genilu, potoki spadające ze szczytów Alpuhary, cieniste gaje, altany, domy, ogrody i mnóstwo wiejskich folwarków. Zachwycony czarownym widokiem tylu przedmiotów razem nagromadzonych, wszystkie zmysły we wzrok zestrzeliłem. Zbudził się we mnie miłośnik natury i zapomniałem zupełnie o moich kuzynkach, które nie-bawem przybyły w lektykach niesionych przez konie. Gdy zasiadły na poduszkach rozłożonych w jaskini i wypoczęły nieco, rzekłem do nich:

- Moje panny, bynajmniej nie żalę się na noc, jaką przepędziłem w Venta Quemada, ale wyznam szczerze, że sposób, w jaki ją zakończyłem, niewypowiedzianie nie przypadł mi do smaku.

- Oskarżaj nas, Alfonsie - rzekła Emina - tylko o przyjemną stronę snów twoich. Zresztą na cóż narzekasz? Czyż nie zyskałeś sposobności okazania nadludzkiej odwagi?

- Jak to? - przerwałem - miałeżby kto powątpiewać o mojej odwadze? Gdybym znalazł takiego, biłbym się z nim przez płaszcz albo z zawiązanymi oczyma.

- Przez płaszcz, z zawiązanymi oczyma? Nie wiem, co przez to rozumiesz - odpowiedziała Emina. - Są rzeczy, o których ci mówić nie mogę. Są nawet takie, o których sama dotąd nic nie wiem. Ja wykonywam tylko rozkazy naczelnika naszej rodziny, następcy szejka Masuda, który posiada tajemnicę Kassar-Gomelezu. Mogę ci tylko powiedzieć, że jesteś naszym bliskim krewnym. Oidor Grenady, ojciec twojej matki, miał syna, który stał się godny odkrycia mu tajemnicy, przyjął wiarę Proroka i zaślubił cztery córki de facto panującego wówczas w Tunisie. Tylko najmłodsza z nich miała dzieci i ta była właśnie naszą matką. Wkrótce po narodzeniu Zibeldy mój ojciec i trzy jego żony umarły na zarazę, która w tym czasie pustoszyła brzegi Berberii. Ale dajmy pokój tym rzeczom, o których sam później dokładnie się dowiesz. Mówmy o tobie, o wdzięczności, jaką ci jesteśmy winne, czyli raczej o naszym uwielbieniu dla twojej odwagi. Z jaką obojętnością spoglądałeś na przygotowania do katuszy! Jak niewzruszoną stałość zachowałeś dla twego słowa! Tak, Alfonsie, przeszedłeś wszystkich bohaterów naszego pokolenia i odtąd należymy do ciebie.

Zibelda, która nie przeszkadzała siostrze, ile razy rozmowa toczyła się o rzeczach poważnych - odbierała swoje prawa, gdy następowała chwila uczucia. Okryty byłem przymilaniem, pochlebstwami i zadowolony z siebie i z drugich.

Wkrótce przybyły Murzynki i zastawiono wieczerzę, do której sam Zoto nam usługiwał z oznakami najgłębszego uszanowania. Po wieczerzy Murzynki poszły w jaskini wygodne łoża dla moich kuzynek, ja wynalazłem sobie drugą jaskinię i niebawem oddaliśmy się spoczynkowi, którego potrzeba tak silnie dawała się nam uczuwać.

Dzień piąty

Nazajutrz o świcie karawana gotowa była do pochodu. Zstąpiliśmy z gór i zesliśmy w głębokie doliny, czyli raczej w przepaście, które zdawały się dosięgać wnętrza ziemi. Przerzywały one pasmo gór w tylu rozmaitych kierunkach, że niepodobieństwem było rozpoznać położenie lub cel, do którego zmierzaliśmy.

Postępowaliśmy tak przez sześć godzin i przybyliśmy do zwalisk opuszczonego miasta. Tam Zoto kazał nam zsiść z koni i zaprowadziwszy mnie do studni, rzekł:

- Senor Alfonsie, racz spojrzeć w tę studnię i powiedz mi, co o niej sądzisz.

Odpowiedziałem, że widzę wodę i że sądzę, iż jest to zwykła studnia.

- Mylisz się - rzekł Zoto - jest to wejście do mego pałacu.

To mówiąc pochylił głowę nad otworem i wydał szczególny krzyk.

Na ten odgłos ujrzałem, jak deski wysuwają się z boku cembrowin, tworząc pomost na kilka stóp nad wodą. po czym uzbrojony człowiek wyszedł tym samym otworem, a za nim następny.

Gdy wydostali się na brzeg, Zoto rzekł do mnie:

- Senior Alfonsie, mam zaszczyt przedstawić ci dwóch moich braci: Cicia i Moma. Zapewne widziałeś ich powieszonych na szubienicy, ale to nie przeszkadza, że obaj są zdrowi i będą zawsze służyć na twoje rozkazy, są bowiem równie jak i ja w służbie i na żołdzie wielkiego szejka Gomelezów.

Odpowiedziałem mu, że mocno jestem ucieszony widokiem braci człowieka, który mi wyświadczył tak ważną przysługę.

Chcąc nie chcąc musieliśmy spuścić się do studni. Przyniesiono sznurową drabinę, po której dwie siostry zgrabniej zestąpiły, aniżeli byłbym się spodziewał. Udałem się w ich ślady. Stanąwszy na deskach, znaleźliśmy małe boczne drzwi, którymi trzeba było wejść, skurczywszy się we dwoje. Wkrótce jednak spostrzeżliśmy szerokie schody, wykute w skale i oświetlone lampami. Zeszliśmy przeszło dwieście schodów w głąb ziemi, na koniec dostaliśmy się do podziemia, rozdzielonego na mnóstwo komnat i mniejszych pokojów. Część mieszkalna, dla ochrony od wilgoci, pokryta była wewnątrz korkiem. Widziałem później w Cintra, niedaleko Lizbony, klasztor wykuty w skale, którego cele również obite były korkiem z który z tego powodu nazywano korkowym klasztorem. Oprócz tego ciągle podsypane ognie utrzymywały łagodne ciepło w podziemiu Zota. Konie rozmieszczone były w okolicy, ale w razie potrzeby można je było sprowadzać pod ziemię przez otwór, wychodzący na sąsiednią dolinę. Urządzono nawet w tym celu specjalną windę, wszelako rzadko kiedy jej używano.

- Wszystkie te cuda - rzekła Emina - są dziełem Gomelezów. Wykuli oni tę skałę, gdy byli jeszcze panami kraju, czyli raczej dokończyli pracę zaczęta przez pogan zamieszkujących Alpuharę w chwili ich przybycia. Uczeni utrzymują, że w tym samym miejscu znajdowały się niegdyś kopalnie czystego złota betyckiego, dawne zaś przepowiednie głoszą, że cała ta okolica powróci kiedyś w posiadanie Gomelezów. Co myślisz o tym, Alfonsie? To byłoby piękne dziedzictwo.

Nie podobały mi się słowa Eminy i wyraźnie jej to oświadczyłem; następnie odwracając rozmowę, zapytałem, jakie są jej zamiary na przyszłość.

Emina odrzekła, że po tym wszystkim, co zaszło, nie mogą dłużej pozostać w Hiszpanii, ale chcą nieco wypocząć, dopóki nie zostanie przygotowany dla nich okręt.

Zastawiono obiad obfitujący zwłaszcza w zwierzynę i suche konfitury. Trzej bracia usługiwali nam z bezprzykładną gorliwością. Uczyniłem uwagę moim kuzynkom, że niepodobieństwem byłoby znaleźć bardziej uprzejmych wisielców. Emina przyznała mi słuszność i zwracając się do Zota, rzekła:

- Ty i twoi bracia musieliście bez wątpienia doświadczyć w życiu wielu niezwykłych przygód, o których posłuchalibyśmy z wielką przyjemnością.

Po chwili nalegania Zoto zasiadł obok nas i zaczął w te słowa:

HISTORIA ZOTA

Urodziłem się w mieście Benewencie, stolicy księstwa o tej samej nazwie. Ojciec mój, równie jak ja, Zotem zwany, był z zawodu nader biegłym zbrojownikiem. Ponieważ jednak było ich trzech w mieście i tamci dwaj mieli więcej szczęścia, przeto rzemiosło jego zaledwie wystarczało na wyżywienie żony i trojga dzieci, to jest mnie i dwóch moich braci.

W trzy lata po ślubie moich rodziców młodsza siostra mojej matki wyszła za mąż za kupca oliwy nazwiskiem Lunardo, który na podarunek ślubny dał jej parę złotych kolczyków i takiż łańcuszek na szyję. Matka, wróciwszy z wesela, zdawała się być pogrążona w głębokim smutku. Mąż chciał dowiedzieć się o przyczynie, ona długo wzbraniała się mu ją wyznać, na koniec odkryła, że trawi ją żal, iż nie ma podobnych, jak siostra kolczyków i łańcuszka. Ojciec nic na to nie odrzekł. Miał w swoim składzie cudownie wyrobioną strzelbę do polowania z takimiż pistoletami i kordelasem. Strzelba, nad którą mój ojciec przez cztery lata pracował, dawała cztery strzały od jednego nabicia. Ojciec cenił ją na trzysta złotych uncji neapolitańskich, wyszedł jednak na miasto i całą broń sprzedał za osiemdziesiąt uncji, następnie kupił kolczyki i łańcuszek i przyniósł je żonie. Matka tego samego dnia poszła pochwalić się przed żoną Lunarda i niesłychanie ucieszyła się, gdy uznano kolczyki jej za daleko piękniejsze i bogatsze.

W tydzień potem żona Lunarda przyszła odwiedzić moją matkę. Tym razem miała włosy splecione w jeden zwinięty warkocz, przytwierdzony wielką złotą szpilką, zakończoną misternie wyrobioną rubinową różą. Ta złota róża zapuściła w serce mojej matki dotkliwe kolce. Znowu zaczęła się dręczyć i nie pierwiej przestała, aż ojciec przyrzekł, że kupi jej taką samą szpilkę. Jednakże szpilka podobna kosztowała czterdzieści pięć uncji i ojciec, nie mając ani tyle pieniędzy, ani sposobów nabycia ich, wkrótce wpadł w tenże sam smutek, w jakim przed kilkoma dniami moja matka zostawała.

Tymczasem pewnego dnia odwiedził mego ojca miejscowy bravo, nazwiskiem Grillo Monaldi, i przyniósł mu pistolety do wyczyszczenia. Monaldi, widząc posępność mego ojca, zapytał go o przyczynę i ten mu wszystko wyjawiał. Po chwili namysłu Monaldi rzekł do niego tymi wyrazy:

- Panie Zoto. jestem ci więcej winien, aniżeli sam sądzisz. Przed kilkoma dniami znaleziono przypadkiem mój sztylet w ciele człowieka zamordowanego na drodze do Neapolu; sąd posyłał ten sztylet do wszystkich zbrojowników, a ty wspaniałomyślnie oświadczyłeś, że go po raz pierwszy widzisz, jakkolwiek sztylet pochodził z twego warsztatu i mnie samemu go sprzedałeś. Zeznając prawdę, mogłeś mnie wprowadzić w niepotrzebny kłopot. Masz tu więc czterdzieści pięć uncji, których tak potrzebujesz; nadto pomnij, że odtąd kiesa moja jest na twoje rozkazy.

Ojciec mój z wdzięcznością przyjął pieniądze i natychmiast poszedł kupić złotą szpilkę, w której tego samego dnia matka moja wystąpiła przed swoją dumną siostrą.

Matka, wróciwszy do domu, nie wątpiła, że pani Lunardo wkrótce ukaże się ustrojona w jaki nowy klejnot. Ale ta powzięła zamiar wcale innego rodzaju. Chciała pójść do kościoła z najętym lokajem w liberii i zwierzyła się z tym zamiarem swemu mężowi. Lunardo, z natury niesłychanie skąpy, łatwo przystawał na kupno kawałka złota, które zdawało mu się równie bezpieczne na głowie żony, jak w jego własnej szkatule, ale zupełnie odmiennego był zdania, gdy go proszono o uncję złota dla próżniaka, który nie wiedząc dlaczego przez pół godziny miał stać za ławką jego żony. Jednakże pani

Lunardo tak go męczyła i dręczyła bezustannie, że postanowił na koniec dla oszczędności sam ubrać się w liberię i pośpieszyć za żoną do kościoła. Pani Lunardo uznała, że mąż równie jest zdolny do tego rzemiosła, jak ktokolwiek inny i od najbliższej niedzieli postanowiła ukazywać się w kościele z lokajem tego nowego rodzaju. Wprawdzie sąsiedzi śmieli się z tej maskarady, ale ciotka moja przypisywała to uczuciu niepohamowanej zazdrości.

Gdy zbliżała się do kościoła, żebracy zaczęli krzyżeć na całe gardło we właściwym im narzeczu.:

- Mira Lunardu che falucriadu desu a mugiera!

Ponieważ jednak biedni tylko do pewnego stopnia posuwają swoją śmiałość, przeto pani Lunardo spokojnie weszła do kościoła, gdzie rozstąpiono się przed nią z należnym poszanowaniem. Podano jej wodę święconą i posadzono w ławce, podczas gdy matka moja stała wśród kobiet z najniższych warstw.

Matka, powróciwszy do domu. natychmiast zaczęła obszywać niebieski kaftan ojca starym żółtym galonem, odprutym od ładownicy jakiegoś munduru. Ojciec, zdziwiony, zapytał o przyczynę, na co opowiedziała mu postępek siostry, której mąż był tak grzeczny, że ubrawszy się w liberię, poszedł za nią do kościoła. Ojciec zapewnił ją, że nigdy nie zdobędzie się na tę grzeczność, wszelako następnej niedzieli najął za uncję złota wygalonowanego lokaja, który poszedł za matką do kościoła, i znowu pani Lunardo musiała ustąpić siostrze.

Tego samego dnia, zaraz po mszy, Monaldi przyszedł do mego ojca i odezwał się tymi słowami:

- Kochany Zoto, dowiedziałem się o współzawodnictwie w dziwactwach, jakie żona twoja ze swą siostrą wyprawiają. Jeżeli śpiesznie temu nie zaradzisz, będziesz nieszczęśliwy przez całe życie. Masz więc dwie drogi przed sobą: albo dać żonie porządną naukę, lub też jąć się rzemiosła, które by zaspokoilo jej skłonność do wydatków. Jeżeli chwycisz się pierwszej drogi, ofiaruję ci leszczynową różdżkę, której często używałem na nieboszczkę moją małżonkę. Nie jest to wprawdzie jedna z tych leszczynowych różdżek, które ujęte za oba końce obracają się w rękach i służą do odkrywania źródeł, a nawet czasami i skarbów, ale jeżeli weźmiesz ją za jeden koniec, a drugi przyłożysz do pleców twojej żony, zaręczam, że wkrótce łatwo ją wyleczysz ze wszystkich przywidzeń. Z drugiej strony, jeżeli pragniesz zaspokoić wszelkie jej żądania, ofiaruję ci przyjaźń najdzielniejszych ludzi w całych Włoszech, którzy teraz radzi przebywają w Benewencie, jako mieście granicznym. Sądzę, że mnie rozumiesz; namyśl się i daj mi odpowiedź.

To mówiąc Monaldi położył różdżkę na warsztacie mego ojca i odszedł.

Tymczasem matka moja po mszy poszła na korso i do kilku przyjaciółek, aby pochwalić się swoim lokajem. Nareszcie wróciła uradowana do domu, ale ojciec całkiem inaczej ją przyjął, aniżeli się tego spodziewała. Lewą ręką porwał ją za ramię, prawą zaś ująwszy leszczynową różdżkę zaczął wykonywać rady swego przyjaciela. Z taką gorliwością oddał się udzielaniu tej nauki, że matka padła zemdlona, co widząc przestraszony małżonek wyrzucił różdżkę, jął błagać o przebaczenie, otrzymał je i pokój znowu został przywrócony.

W kilka dni potem ojciec udał się do Monaldiego i powiedziawszy mu, że leszczynowa różdżka nie poskutkowała, polecił się przyjaźni dzielnych towarzyszków, o których ten mu wspomniał. Monaldi w te słowa mu odrzekł:

- Dziwi mnie to, że nie mając serca ukarać własnej żony, myślisz, że ci wystarczy odwagi, by czatować na podróżnych u skraju lasu. Zresztą jest to zupełnie możliwe, serce ludzkie kryje w sobie tyle różnych przeciwieństw. Chętnie przedstawię cię moim przyjaciołom, ale musisz wprzód popełnić przynajmniej jedno morderstwo. Wieczorem po skończonej pracy weź długą szpadę, zatknij szylet za pas i przybrawszy zuchwałą postawę, przechadzaj się pod portalem Madonny. Być może, że kto zażąda twojej pomocy. Tymczasem bądź zdrow; oby niebo raczyło sprzyjać twoim przedsięwzięciom.

Ojciec posłuchał rady Monaldiego i wkrótce spostrzegł, że różni wojacy jemu podobni, a nawet zbiorowicze, pozdrawiają go ze znaczącym spojrzeniem. Po dwóch tygodniach takiej przechadzki jakiś zamożnie ubrany nieznajomy zbliżył się do niego i rzekł:

- Oto masz pan sto uncji. Za pół godziny ujrysz przechodzących tędy dwóch młodych ludzi z białymi piórami na kapeluszach. Zbliżysz się do nich, jak gdybyś chciał im powierzyć jakąś tajemnicę, i rzekniesz półgłosem; "Który z panów jest margrabią Feltri?" Jeden z nich odpowie: "Ja nim jestem". Natenczas pchniesz go szyletem w serce. Drugi młody człowiek jest nikczemnym tchórzem i zaraz ucieknie. Wtedy dobijesz Feltrię. Gdy wszystko już będzie skończone, wracaj spokojnie do domu i wcale nie staraj się schronić do kościoła. Ja będę tuż przy tobie.

Mój ojciec wypełnił słowo w słowo dane mu polecenie i gdy powrócił do domu, zastał już nieznajomego, którego nienawiści tak dobrze usłużył.

- Panie Zoto - rzekł tenże - mocno ci jestem obowiązany za wyświadczoną mi przysługę. Oto jest druga kiesa z setką uncji, które chciej przyjąć, i jeszcze jedna tej samej wartości, którą wsuniesz w rękę temu ze sług sprawiedliwości, który pierwszy się u ciebie pokaże.

Po tych słowach nieznajomy zawinął się w płaszcz i odszedł.

Wkrótce potem naczelnik zbirów stawiał się u mego ojca, odebrawszy jednak sto uncji przeznaczonych dla sprawiedliwości, zaprosił go do siebie na przyjacielską wieczerzę. Udali się do mieszkania przyległego do publicznego więzienia i znaleźli już przy stole nadzorcę więzienia i spowiednika więźniów. Ojciec mój był nieco wzruszony, jak to zwykle bywa po pierwszym morderstwie. Duchowny, spostrzegłszy jego pomieszenie, rzekł:

- Panie Zoto, odłóż na bok te smutki. Za msze w katedralnym kościele płaci się po dwanaście tan. od sztuki. Powiadają, że zamordowano margrabiego Feltri. Każ zmówić ze dwadzieścia mszy za odpoczynek jego duszy, a otrzymasz rozgrzeszenie ogólne.

Po tych słowach już więcej nie wspomniano o tym, co zaszło, i wieczerza odbyła się wesoło.

Nazajutrz Monaldi przyszedł do mego ojca winać mu czynu, którym się popisał. Ojciec chciał mu zwrócić czterdzieści pięć uncji, które dawniej był od niego pożyczył, ale Monaldi rzekł:

- Zoto, obrażasz mnie; jeżeli jeszcze raz wspomnisz mi o tych pieniądzach, będę sądził, że czynisz mi wyrzuty, iż wtedy okazałem się dla ciebie zbyt skąpy. Kiesa moja jest na twoje usługi i możesz być przekonany o mojej przyjaźni. Nie będę ukrywał przed tobą, że jestem naczelnikiem towarzyszków, o

których ci wspominałem; są to wszystko ludzie honorowi i nieposzlakowanej uczciwości. Jeżeli chcesz do nich należeć, powiedz, że jedziesz do Brescii dla zakupu luf do muszkietów, i złącz się z nami w Kapui. Zajedź prosto do gospody Pod Złotym Krzyżem i bądź spokojny o resztę.

W trzy dni potem ojciec mój wyjechał i odbył wyprawę, równie zaszczytną jak zyskową. Jakkolwiek klimat Benewentu jest nader łagodny, jednak ojciec, nie przyzwyczajony jeszcze do nowego rzemiosła, nie chciał podczas złej pory puszczać się na wyprawy. Przepędził więc leże zimowe na łonie rodziny. Odtąd co niedziela wygalonowany lokaj chodził za matką do kościoła, nadto sąsiadki podziwiałały złote zapinki na jej czarnym aksamitnym gorscie i także kółko do kluczków.

Z nadejściem wiosny jakiś nieznajomy służący podszedł do mego ojca na ulicy prosząc, aby raczył udać się z nim do bramy miasta. Tam spotkali szlachcica w podeszłym wieku i czterech konnych. Nieznajomy szlachcic rzekł:

- Panie Zoto, weź tę kiesę z, pięćdziesięciu cekinami; pośpiesz się za mną do pobliskiego zamku, tymczasem zaś pozwolisz, aby ci zawiązano oczy.

Ojciec zgodził się na wszystko i po długim kołowaniu przybył nareszcie z nieznajomym do zamku. Wprowadzono go do środka i odwiązano mu oczy. Wtedy ujrzał zamaskowaną kobietę, z zakneblowanymi ustami i przywiązaną do fotela. Starzec rzekł do niego:

- Panie Zoto, masz tu jeszcze sto cekinów; teraz bądź łaskaw zamordować moją żonę.

- Mylisz się pan - odparł ojciec - widzę, że mnie wcale nie znasz. Wprawdzie czatuję na ludzi za rogiem ulicy lub napadam na nich w lesie, jak przystoi na człowieka honorowego, ale nigdy nie wypełniam obowiązków kata.

To mówiąc rzucił obie kiesy pod nogi mściwego małżonka, który więcej na niego nie nalegał, kazał mu znowu zawiązać oczy i polecił służącemu, aby go odprowadził do bram miasta. Ten wspaniały i szlachetny postępek uczynił ojcu wiele zaszczytu, a wkrótce drugi w podobnym, rodzaju jeszcze większe zyskał mu pochwały.

Było w Benewencie dwóch ludzi bogatych i szanowanych; jeden z nich nazywał się hrabia Montalto, drugi zaś margrabia Serra. Montalto kazał zawołać mego ojca i przyrzekł mu pięćset cekinów za zamordowanie margrabiego. Ojciec zobowiązał się, prosił tylko o zwłokę, wiedział bowiem, że Serra pilnie się strzeże.

W dwa dni potem margrabia Serra kazał sprowadzać mego ojca do ustronnego miejsca i rzekł mu:

- Ta kiesa z pięciuset cekinami będzie twoja, kochany Zoto, jeżeli dasz mi słowo honoru, że zamordujesz hrabiego Montalto.

Mój ojciec wziął kiesę i odparł:

- Mości margrabio, daję ci słowo honoru, że zamorduję hrabiego Montalto, ale muszę wyznać, że wprzódy już obiecałem mu zabić ciebie.

- Spodziewam się, że tego nie uczynisz - rzeński margrabia śmiejąc się.

- Przebacz mi, mości margrabisio - przerwał mój ojciec z powagą - zobowiązałem się i umowy dotrzymam.

Margrabia odskoczył kilka kroków w tył i porwał się do szpady, ale ojciec dobył pistoletów zza pasa i roztrzaskał mu głowę. Następnie udał się do Montalta i oświadczył mu, że jego nieprzyjaciel już nie żyje. Hrabia uściskał go i wyliczył pięćset cekinów. Wtedy mój ojciec, nieco zmieszany, wyznał, że margrabia przed śmiercią dał mu za zamordowanie hrabiego pięćset cekinów. Montalto wynurzył swoją radość, że zdołał uprzedzić nieprzyjaciela.

- To się na nic nie przyda, panie hrabio - przerwał ojciec - gdyż przyrzekłem mu śmierć twoją pod słowem honoru.

To mówiąc pchnął go sztyletem. Hrabia padając wydał krzyk straszliwy, który ściągnął służących. Ojciec sztyletem usłał sobie drogę i uciekł w góry, gdzie znalazł bandę Monaldiego. Wszyscy dzielni towarzysze, składający ją, nie mogli dość wyrazić ubolewania dla tak skrupulatnego poczucia honoru. Zaręczam wam, że wypadek ten dotychczas jest na ustach wszystkich mieszkańców i długo jeszcze będą o nim mówić w całym Benewencie.

Gdy Zoto kończył opowiadanie tej przygody swego ojca, jeden z jego braci przyszedł mu powiedzieć, że oczekiwano na jego rozkazy względem przygotowania okrętu. Opuścił nas więc prosząc o pozwolenie odłożenia na jutro dalszego ciągu historii. Wszelako to, com dotąd usłyszał, mocno mnie zastanawiało. Dziwiło mnie, że ciągle wychwalał honor, subtelność i nieposzlakowaną uczciwość ludzi, którzy powinni byli za łaskę uważać, gdyby ich tylko powieszono. Nadużycie tych słów, którymi szastał z taką pewnością siebie, pomieszało wszystkie moje myśli.

Emina, spostrzegłszy moje zamyślenie, zapytała o przyczynę. Odpowiedziałem, że historia ojca Zota przypomina mi to, co przed dwoma dniami słyszałem od pewnego pustelnika, który utrzymywał, że

cnoty opierają się dziś na daleko pewniejszych podstawach

niż poczucie honoru.

- Drogi Alfonsie - rzekła Emina - szanuj tego pustelnika i wierz temu wszystkiemu, co ci mówi. Nieraz, jeszcze spotkasz go w twoim życiu.

Następnie obie siostry powstały i oddaliły się wraz z Murzynkami do swoich pokojów, to jest do części podziemia dla nich przeznaczonej. Powróciły na wieczerzę, po której wszyscy udali się na spoczynek.

Gdy się już uciszyło w jaskini, ujrzałem wchodzącą Eminę. Jedną ręką trzymała lampę - jak Psyche - a drugą prowadziła swą siostrę, piękniejszą od Amora. Moje łóżko posłane było w taki sposób, że obie mogły na nim usiąść. Emina odezwała się:

- Kochany Alfonsie, mówiłam ci już, że należymy do ciebie. Wielki szejk przebaczy nam, że uprzędzamy nieco jego pozwolenie.

- Piękna Emino - odpowiedziałem - i wy zechciejcie mi przebaczyć. Jeżeli ma to być jeszcze jedna próba, na jaką wystawiacie moją cnotę, to lękam się, że tym razem nie zdoła wyjść cało.

- Nie obawiaj się - przerwała piękna Mauretanka i wzięwszy moją rękę, położyła ją sobie na biodrze. Wyczułem pod palcami pas, który nie miał nic wspólnego z boginią Wenus, choć przywodził na myśl rzemiosło jej małżonka. Kuzynki moje nie miały kluczyka od zatrasku, w każdym razie utrzymywały, że go nie mają.

Oślaniając samo centrum, nie odmówiono mi na szczęście dostępu do innych rejonów. Zibelda przypomniała sobie rolę kochanki, którą niegdyś ćwiczyła ze swoją siostrą. Emina ujrzała we mnie przedmiot swych ówczesnych miłosnych uniesień i wszystkimi zmysłami oddała się temu słodkiemu wyobrażeniu; jej młodsza siostra, zwinna, żywa, pełna ognia, chłonęła mnie swymi pieściami. Chwile nasze wypełniało ponadto coś bardziej nieokreślonego - zamiary, o których ledwie napomykaliśmy i cała ta słodka paplanina, która u młodych ludzi stanowi intermezzo pomiędzy świeżym wspomnieniem a nadzieją bliskiego szczęścia.

Nareszcie sen zaczął tłoczyć powieki pięknych Mauretanek i oddaliły się do siebie. Zostawszy sam, pomyślałem, że byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdybym nazajutrz znowu obudził się pod szubienicą. Roześmiałem się z tej myśli, ale ciągle chodziła mi po głowie, dopókim nie zasnął.

Dzień szósty

Z oto obudził mnie i oznajmił, że porządnie zasnęłam i że obiad jest już przygotowany. Ubrałem się czym prędzej i poszedłem do moich kuzynek, które czekały w jadalnej komnacie. Oczy ich spoczęły na mnie z pieściami, dziewczęta zdawały się bardziej zajęte wspomnieniami ubiegłej nocy niż ucztą, jaką im zastawiono. Po skończonym obiedzie Zoto zasiadł obok nas i tak dalej zaczął opowiadać swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII ZOTA

Miałem wówczas siódmy rok, gdy ojciec mój złączył się z bandą Monaldiego, i dobrze pamiętam, jak moją matkę, mnie i dwóch moich braci zaprowadzono do więzienia. Wszelako było to tylko dla pozorów, ojciec mój bowiem nie zapomniał zarobkiem swoim podzielić się ze sługami sprawiedliwości, którzy z łatwością dali się przekonać, że nie mamy z ojcem żadnych stosunków. Naczelnik zbirów podczas naszego uwięzienia gorliwie się nami zajmował i nawet skrócił nam czas niewoli.

Matka moja, wydostawszy się na wolność, została z wielką czcią powitana przez sąsiadki i przez wszystkich mieszkańców całej dzielnicy, w południowych bowiem Włoszech rozbójnicy są takimi bohaterami ludu, jak kontrabandyści w Hiszpanii. Część powszechnego szacunku spadła także i na nas; ja zwłaszcza uważany byłem za księcia urwiszów na naszej ulicy.

Śród tego Monaldi poległ w jednej z wypraw i mój ojciec, objąwszy dowództwo nad bandą, chciał zabłysnąć świetnym jakimś czynem. Uczynił więc zasadzkę na drodze do Salerno na konwój pieniędzy wysłanych przez wicekróla Sycylii. Wyprawa się udała, ale ojciec mój został kulą muszkietową

postrzelony w krzyż i nie mógł już dalej trudnić się rzemiosłem. Chwila, w której żegnał się z towarzyszami, była niewypowiedzianie rozrzewniająca. Zapewniają, że kilku rozbójników na cały głos się rozplakało, czemu z trudnością bym wierzył, gdybym raz w życiu sam nie był gorzko płakał, zamordowawszy moją kochankę, jak to wam później opowiem.

Banda bez naczelnika nie mogła długo się ostać; kilku towarzyszków udało się do Toskanii, gdzie ich powieszono, reszta zaś złączyła się z Testa-Lungą, który wówczas zaczynał w Sycylii nabierać pewnej wziętości. Mój ojciec przebył cieśninę i udał się do Mesyny, gdzie poprosił o azyl w klasztorze augustianów del Monte. Złożył uciulane grosze w ręce zakonników, odprawił publiczną pokutę i zamieszkał pod przysionkiem kościoła. Wiódł tam spokojne życie, przechadzki zaś pozwolono mu używać w ogrodach i na dziedzińcach klasztornych. Mnisi dawali mu zupe, po resztę zaś potraw posyłał do sąsiedniej gospody; nadto braciszek zakonny opatrywał mu rany.

Domyślam się, że ojciec musiał nam często przysyłać pieniądze, gdyż obfitość panowała w naszym domu. Matka uczestniczyła we wszystkich zabawach karnawału, a w wielkim poście uszykowała nam presepio, czyli szopkę z lalkami, pałacami cukrowymi, zabawkami i tym podobnymi drobnostkami, w których mieszkańcy królestwa neapolitańskiego nawzajem się przesadzają. Ciotka Lunardo miała także szopkę, ale daleko mniej świetną od naszej.

Matka moja, o ile pamiętam, była nadzwyczaj dobra i często widzieliśmy, jak płakała, myśląc o niebezpieczeństwach, na jakie się jej małżonek naraża; niedługo jednak wystąpienie w jakim ubiorze lub klejnocie, na przekór siostrze lub sąsiadkom, osuszało jej łzy. Radość z pysznej szopki była ostatnią przyjemnością, jakiej doświadczyła. Nie wiem jakim sposobem dostała zapalenia płuc i w kilka dni później umarła,

Po jej śmierci nie bylibyśmy wiedzieli, co z sobą począć, gdyby nadzorca więzienia nie był nas przyjął do siebie. Przebywaliśmy u niego kilka dni, następnie zaś oddano nas pod opiekę pewnemu mulnikowi. Ten przeprowadził nas przez Kalabrię i czternastego dnia przywiózł do Mesyny. Ojciec mój wiedział już o śmierci żony, przyjął nas z rozczuleniem, kazał nam rozesłać maty obok swoich i przedstawił mnichom, którzy nas przyjęli do liczby dzieci służących do mszy.

Służyliśmy więc do mszy, obcinaliśmy knoty u świec, zapalaliśmy lampy, resztę zaś dnia fotrowaliśmy na ulicy tak dobrze, jak w Benewencie. Zjadłszy zupe u mnichów, dostawaliśmy od ojca po jednym taro na kasztany i obarzanki, z którymi szliśmy bawić się w porcie i powracaliśmy dopiero późno w nocy. Ostatecznie, na świecie nie było szczęśliwszych od nas uliczników, gdy wtem wypadek, o którym dziś jeszcze nie mogę mówić bez wściekłości, postanowił o całym losie mego życia.

Pewnej niedzieli, właśnie gdy miały się zacząć nieszpory, przybiegłem przed kościół, obładowany kasztanami, które zakupiłem dla siebie i moich braci, i dzieliłem między nich ulubione owoce. Wtem zajechał przed kościół przepyszny powóz, zaprzężony sześciami koni i poprzedzony dwoma luzakami tej samej maści; jest to zbyt zwyczajny obyczaj, który widywałem tylko na Sycylii. Otworzono drzwiczki i naprzód wysiadł szlachcic bracciero, podając ramię pięknej damie, za nimi ksiądz, nareszcie mały chłopczyk w moim wieku, o prześlicznej twarzy, ubrany w węgierską; był to strój, jaki dość powszechnie wówczas dzieci nosiły.

Węgierka z szafirowego aksamitu, haftowana złotem i obszyta sobolami, spadała mu niżej kolan i pokrywała wierzch jego żółtych, safianowych bucików. Na głowie miał kołpaczek także z szafirowego

aksamitu, obsztyt sobolami i ozdobiony kitą z pereł, która spadała mu na ramię. U pasa ze złotych sznurków i żółdzi wisiał mały pałasz, wysadzany drogimi kamieniami. Nareszcie w rękę trzymał książkę do nabożeństwa, oprawną w złoto.

Widok tak pięknej sukni na chłopczyku w moim wieku tak dalece mnie zachwycił, że sam nie wiedząc, co czynię, zbliżyłem się do niego i ofiarowałem mu dwa kasztany, które trzymałem w rękę; ale niegodziwy hultaj, zamiast podziękować za grzeczność, z całej siły uderzył mnie książką do nabożeństwa w nos. Raz ten omal mi nie wybił lewego oka, klamra zaś, która zaczepiła o nos, rozdarła mi nozdrze i w jednej chwili krwią się zalałem. Zdaje mi się, że słyszałem, jak mały panicz zaczął przeraźliwie krzyżeć, ale nie pamiętam tego dobrze, gdyż upadłem bez przytomności. Wróciwszy do zmysłów, ujrzałem się obok studni ogrodowej, w otoczeniu ojca i moich braci, którzy obmywali mi twarz i starali się zatrzymać upływ krwi.

Gdy tak jeszcze leżałem zakrwawiony, spostrzeżliśmy małego panicza z owym szlachcicem, który pierwszy wysiadł z karety, przybywających z księdzem i dwoma lokajami, z których jeden niósł pęk różeg. Szlachcic oświadczył w krótkich słowach, że księżna Rocca Fiorita żąda, aby do krwi mnie oćwiczono za to, że poważyłem się przestraszyć ją i jej małego Principina. Natychmiast lokaje wzięli się do wykonania wyroku. Ojciec mój lękając się, aby klasztor nie wymówił mu schronienia, z początku nie śmiał się odzywać, ale widząc, że bez litości rozdierano mi ciało, nie mógł już dłużej wytrzymać i zwracając się do owego szlachcica, rzekł z wyrazem głębokiego oburzenia:

- Każ pan zakończyć te męczarnie albo pamiętaj, że niejednego zamordowałem, który wart był dziesięciu takich jak ty.

Szlachcic uznał zapewne, że słowa te nie są pozbawiane głębszego znaczenia, i kazał zaprzestać, ale podczas gdy leżałem jeszcze na ziemi, Principino zbliżył się i uderzył mnie nogą w twarz, mówiąc:

- Managia la tua faccia de banditu.

Ostatnia ta zniewaga dopełniła miary mojej wściekłości. Mogę powiedzieć, że od tej chwili przestałem być dzieckiem, czyli raczej odtąd nie kosztowałem żadnej radości tego wieku, i długo potem nie mogłem z zimną krwią patrzeć na bogato ubranego człowieka.

Bez wątpienia zemsta musi być pierworodnym grzechem naszego kraju, chociaż bowiem miałem wtedy dopiero osiem lat, przecieź dzień i noc myślałem tylko o ukaraniu Principina. Nieraz zrywałem się ze snu, marząc, że trzymam go za włosy i okładam razami, na jawie zaś przemyślałem, jakim by sposobem można zemścić się z daleka (gdyż przewidywałem, że nie dozwolą mi zbliżyć się do niego) i zadośćuczyniwszy namiętności, natychmiast uciec. Nareszcie postanowiłem, że ugodzę go kamieniem w twarz, byłem bowiem dość zręczny; tymczasem zaś, aby więcej wprawić rękę, przez całe dni rzucałem do celu.

Pewnego dnia ojciec zapytał mnie o przyczynę, dla której z taką namiętnością oddaję się nowej rozrywce. Odpowiedziałem, że zamierzam rozbić twarz Principina. następnie uciec i zostać rozbójnikiem. Ojciec udał, że mi nie wierzy, jednak poznałem po jego uśmiechu, że potwierdza mój zamiar.

Wreszcie nadeszła niedziela, którą oznaczyłem na dzień mojej zemsty. Gdy kareta zajechała i ujrzałem wychodzących, zmieszałem się, ale wnet nabrałem odwagi. Mój mały nieprzyjaciel

spozrzegł mnie w tłumie i pokazał mi język. Trzymałem kamień w ręce, rzuciłem go i Principino padł na wznak.

Natychmiast zacząłem uciekać i zatrzymałem się dopiero na drugim końcu miasta. Tam spotkałem znajomego kominiarczyka, który zapytał mnie, dokąd idę. Opowiedziałem mu całą przygodę, a ten zaprowadził mnie do swego majstra. Właśnie brakowało mu chłopców, nie wiedział, gdzie ich szukać do tak przykrego rzemiosła, chętnie więc mnie przyjął. Zaręczył, że nikt mnie nie pozna, skoro sadzami twarz uczernię, i że drapanie się po dachach i kominach jest umiejętnością często nader użyteczną. Miał rację, później nieraz byłem winien życie nabytej wówczas zręczności.

Z początku dym i woń sadzy dokuczały mi mocno, ale na szczęście byłem w wieku, w którym można przyzwyczać się do wszystkiego. Już od sześciu miesięcy wykonywałem nowe rzemiosło, gdy mi się wydarzyła następująca przygoda.

Byłem na dachu i przysłuchiwałem się, którym dymnikiem odezwie się mój majster, gdy zdało mi się, że usłyszałem głos w sąsiednim kominie. Spuściłem się czym prędzej, ale pod dachem znalazłem dymnik rozdzielający się na dwie przeciwne strony. Powinienem być jeszcze raz zawołać, ale nie uczyniłem tego i lekkomyślnie zacząłem złączyć pierwszym lepszym otworem. Ześliznąłem się, stanąłem w bogatej komnacie i najpierwszym przedmiotem, jaki spostrzegłem, był mój Principino w koszuli grający w piłkę.

Chociaż mały głupiec często zapewne widział już w swoim życiu kominiarzy, tym razem jednak wziął mnie za diabła. Ukląkł, złożył ręce i zaczął mnie prosić, abym go ze sobą nie porywał, przyrzekając, że będzie grzeczny. Byłbym może dał się zmiękczyć tymi oświadczeniami, ale trzymałem w ręku moją kominiarską miotłę, pokusa użycia jej była zbyt silna; nadto, aczkolwiek zemściłem się już za uderzenie książką do nabożeństwa i w pewnej części za różgi, to jednak pozostała w pamięci chwila, gdy Principino kopnął mnie nogą w twarz, mówiąc: "Managia la tua facia de banditu". Zresztą każdy neapolitańczyk zawsze woli wymierzyć zemstę raczej nieco większą, aniżeli odrobinę mniejszą, niżby należało.

Wyrwałem więc garść różeg z miotły, rozdarłem koszulę Principina i obnażywszy mu plecy, zacząłem porządnie go chłostać: dziwna jednak rzecz, małe ze strachu ani pisnął.

Gdy uznałem, że ma już dość, otarłem sobie twarz i rzekłem:

- Ciucio maledetto, io no zuno ludiavol u, io zuno lupicio lu bandi tu delli Augustini.

Natenczas Principino odzyskał głos i zaczął wrzeszczeć o pomoc; rozumie się, że nie czekałem, aż ktoś nadejdzie, i drapnąłem tą samą drogą, którą przyszedłem.

Znalazłem się na dachu, usłyszałem raz jeszcze głos majstra, który mnie wołał, ale nie uważałem za potrzebne odpowiadać. Puściłem się z jednego dachu na drugi, dostałem się na dach jakiejś stajni, przed którą stał wóz z sianem, zeskoczyłem z dachu na wóz, z wozu na ziemię i co tchu pobiegłem do klasztoru augustianów. Tam opowiedziałem wszystko mojemu ojcu, który słuchał mnie z wielkim zajęciem, po czym rzekł:

- Zoto, Zoto! gia vegio che tu sara i banditu!

Następnie zwracając się do jakiegoś nieznajomego, który stał obok niego, powiedział:

- Padron Lettereo, prende te lo chiutosto vui.

Lettereo jest to imię chrzestne często używane w Mesynie. Pochodzi ono od pewnego listu, który Najświętsza Panna miała pisać do mieszkańców tego miasta, datując go: "w roku 1452 od narodzenia mojego syna". Mesyńczycy taką cześć oddają temu listowi, jaką neapolitańczycy krwi świętego Januarego. Objasniam wam ten szczegół, w półtora roku bowiem potem zanosilem do Madonny della Lettera modlitwę, która, jak sądziłem, będzie ostatnią w mym życiu.

Padron Lettereo był kapitanem uzbrojonej pinki, przeznaczonej niby na połów koralu, w istocie zaś szanowny marynarz zajmował się przemycałnictwem, a nawet rozbojem, gdy znalazł do tego przyjazne okoliczności. Wprawdzie nieczęsto mu się to zdarzało, gdyż nie mając armat, musiał poprzestawać na łupieniu statków przy bezludnych wybrzeżach.

Dobrze wiedziano o tym w Mesynie; ale Lettereo przemycał dla najbogatszych kupców z miasta, celnicy także na tym zyskiwali; z drugiej strony nietajnym było, że padron chętnie bawi się sztyletem, i ta ostatnia okoliczność odstręczała tych, którzy byliby pragnęli mieszkać się w jego sprawy.

Lettereo wyróżniał się okazałą postawą, sam wzrost i szerokie bary dostatecznie odznaczały go wśród tłumu; cóż dopiero, gdy reszta powierzchowności tak dokładnie odpowiadała rodzajowi jego zatrudnień, że ludzi nieco lękliwych przenikał na jego widok dreszcz trwogi. Twarz jego mocno ogorzała oczerniał jeszcze wystrzał prochu armatniego; prócz tego osmoloną skórę ozdobił różnymi dziwaczными rysunkami.

Marynarze z Morza Śródziemnego mają zwyczaj wykuwać sobie na ramionach i piersiach różne cyfry, krzyże, zarysy okrętów i inne tym podobne ozdoby. Lettereo prześcignął wszystkich w tym zwyczaju. Na jednym policzku wykuł sobie Madonnę, na drugim zaś krucyfik, wszelako można było widzieć zaledwie wierzchołek tych obrazków, resztę bowiem zakrywała gęsta broda, nie tknięta nigdy brzytwą i którą tylko nożyczki utrzymywały w jakichś takich granicach. Dodajcie do tego w uszach ogromne złote kolczyki, czerwoną czapkę, pas takiejże barwy, kaftan bez rękawów, krótkie marynarskie spodnie, ręce i nogi do kolan gołe i pełne kieszenie złota.

Utrzymywano, że w młodości kochały się w nim różne wielkie panie, wtedy był jednak tylko ulubieńcem kobiet swego stanu i postrachem ich mężów.

Wreszcie, aby dokończyć wizerunku Letterea, powiem wam, że przed laty żył w ścisłej przyjaźni z pewnym znakomitym człowiekiem, który później szeroko się wślawił pod nazwiskiem kapitana Pepo. Służyli razem u korsarzy maltańskich, potem Pepo wszedł do służby królewskiej, Lettereo zaś, któremu honor był mniej drogi niż pieniądze, postanowił wzbogacić się wszelkimi środkami i zarazem stał się najzaciętszym nieprzyjacielem dawnego towarzysza.

Mój ojciec, którego całym zatrudnieniem w klasztorze było tylko obwiązywanie swoich ran, z których nigdy nie spodziewał się wyleczyć, chętnie wdawał się w rozmowę z rycerzami sobie podobnymi. Zaprzyjaźnił się więc z padronem i miał nadzieję, że polecając mu mnie, nie spotka się z odmową. Bynajmniej się nie zawiódł. Lettereo, rozczulony tymi oznakami zaufania, przyrzekł memu ojcu, że nowicjat mój będzie mniej przykry niż innych chłopców okrętowych, i zaręczał, że kto zna rzemiosło kominiarskie, we dwa dni z łatwością nauczy się drapać na maszty.

Zmiana ta niesłychanie mnie uszczęśliwiła, gdyż nowy mój stan zdawał mi się daleko szlachetniejszy niż wyskrobywanie kominów. Uściskałem ojca i braci i wesoło udałem się z padronem na jego okręt. Przybywszy na pokład, Lettereo zebrał swoich dwudziestu marynarzy, których postacie wybornie odpowiadały jego powierzchowności, przedstawił mnie tym panom i odezwał się tymi słowami:

- Anime managie, quistra cria dura e lu filiu de Zotu, se uno de vui a outri li mette la mano sopra, io li mangio l'anima.

To zalecenie sprawiło pożądany skutek, chciano nawet, abym jadł razem z wszystkimi, ale widząc, że dwóch chłopców okrętowych posługiwało marynarzom i zjadało resztę, wolałem do nich się przyłączyć. Czyn ten zjednał mi powszechną przychylność. Gdy zaś następnie ujrano, jak szybko drapałem się po rejce, zewsząd dały się słyszeć okrzyki podziwu. Na statkach z ożaglowaniem łaćńskim rejka pełni funkcję rei, ale o wiele trudniej jest się utrzymać na rejce niż na rei, reje bowiem umieszczone są zawsze w pozycji poziomej.

Rozpuściliśmy żagle i trzeciego dnia przybyliśmy do Cieśniny Świętego Bonifacego, która oddziela Sardynię od Korsyki. Znaleźliśmy tam przeszło sześćdziesiąt barek, zajętych połowem koralu. Zaczęliśmy także łowić lub raczej udawać, że łowimy koralu. Co się tyczy mnie, wiele przez ten czas skorzystałem, gdyż po czterech dniach pływałem i nurkowałem jak najbieglej z moich towarzyszków.

Po ośmiu dniach gregalada - nazwę tę na Morzu Śródziemnym dają gwałtownemu wiatrowi północno-wschodniemu - rozpędziła naszą małą flotę. Każdy ratował się, jak mógł. My zostaliśmy zagnani na wybrzeża Sardynii, w bezludną okolicę, znaną pod nazwą Przystani Świętego Piotra. Zastaliśmy tam polakier wenecki, który zdawał się mocno skołatany burzą. Lettereo natychmiast zaczął coś przemyśliwać o tym okręcie i tuż obok niego zarzucił kotwicę. Następnie część swoich marynarzy umieścił na dnie statku, aby załoga wydała się mniej liczna. Ta ostrożność była zresztą prawie całkiem nieużyteczna, gdyż trójmasztowce z ożaglowaniem łaćńskim mają zawsze większą załogę niż inne statki.

Lettereo, śledząc ciągle statek wenecki, dostrzegł, że załoga jego składa się z kapitana, bosmana, sześciu marynarzy i jednego chłopca okrętowego. Nadto ujrzał, że marsel jest całkiem podarty i że spuszczone go do naprawy, statki bowiem kupieckie nie mają żagli do odmiany. Uczyniwszy te spostrzeżenia, włożył do szalupy osiem strzelb i tyleż szabel, przykrył wszystko wysmołowanym płótnem i postanowił czekać przyjaznej chwili.

Gdy się wypogodziło, marynarze weszli na marsreję, ażeby rozwinąć marsel, ale tak sobie niezręcznie w tym poczynali, że bosman, a następnie kapitan weszli za nimi. Natenczas Lettereo kazał spuścić szalupę na morze, wsiadł w nią cichaczem z siedmioma marynarzami i z tyłu zaczepił o polakier. Widząc to kapitan stojący na rei zawołał:

- A larga ladron! a larga!

Wszelako Lettereo wziął go na cel, przyrzekając zabić każdego, kto okaże chęć zejścia na pokład. Kapitan, człowiek, jak się zdaje, odważny, nie zważając na groźbę, rzucił się między sznury. Lettereo zabił go w lot; kapitan wpadł w morze i już go więcej nie ujrano. Marynarze zdali się na łaskę. Lettereo zostawił czterech ludzi, aby ich trzymali na celu, z trzema zaś zszedł w środek okrętu. W kajucie kapitana znalazł baryłkę taką, w jakiej przechowuje się oliwki, ale ponieważ była nieco ciężka i

starannie obręczami obita, osądził więc, że może zawiera w sobie jakie ciekawsze przedmioty. Rozbił ją i z miłym zdziwieniem ujrzał zamiast oliwek kilka worków ze złotem. Poprzestał na tym i zatrąbił do odwrotu. Oddział wrócił na pokład, rozwinęliśmy żagle i mijając statek wenecki, krzyknęliśmy mu na wzgardę:

- Viva san Marco!

W pięć dni potem przybyliśmy do Livorno. Natychmiast Lettereo z dwoma marynarzami udał się do konsula neapolitańskiego i złożył oświadczenie: jako przyszło do kłótni między jego ludźmi a załogą weneckiego polakra i jak kapitan tego ostatniego, przypadkiem popchnięty przez jednego z marynarzy, wpadł w morze. Pewna część baryłki oliwek nadała temu oświadczeniu cechę niezaprzeczanej prawdy.

Lettereo, który miał nieprzezwyciężoną skłonność do rozbojów morskich, byłby bez wątpienia dalej prowadził swoje rzemiosło, gdyby nie przedstawiono mu w Livorno innych możliwości, którym dał pierwszeństwo. Pewien Żyd, nazwiskiem Natan Levi, zauważywszy, że papież i król neapolitański ciągną niezmiernie zyski z bicia miedzianej monety, chciał także należeć do tych korzyści. W tym celu kazał sfabrykować zaczną ilość takich pieniędzy w pewnym mieście angielskim zwanym Birmingham. Gdy zamówiony towar był już gotowy, Żyd osadził swego faktora we Flariola, wiosce rybackiej położonej na granicy obu państw, Lettereo zaś zobowiązał się do przewożenia i wyładowywania towaru.

Handel ten przynosił nam wielkie korzyści i przez cały rok statek nasz, naładowany monetą rzymską i neapolitańską, ciągle odbywał tę samą drogę. Być może, że bylibyśmy dłużej odbywali nasze podróże, ale Lettereo, który miał talent do handlowych przedsięwzięć, namówił Żyda, aby tego samego sposobu użył do monety złotej i srebrnej. Żyd usłuchał jego rady i w samym Livorno założył małą fabrykę cekinów i skudów. Nasze zyski wzbudziły zazdrość panujących. Pewnego dnia, gdy Lettereo przebywał w Livorno i tylko co miał wyruszyć na morze, doniesiono mu, że kapitan Pepo otrzymał od króla neapolitańskiego rozkaz pochwylenia go, ale że dopiero przy końcu miesiąca będzie mógł puścić się na morze.

To podstępne doniesienie wymyślił Pepo, który już od czterech dni krążył koło brzegów. Lettereo dał się zwieść, wiatr sprzyjał, sądził więc, że może przedsięwziąć jeszcze jedną podróż, i rozwinął żagle. Nazajutrz o świcie ujrzeliśmy się pośród eskadry Pepa, złożonej z dwóch galiot i tyluż skampawii. Zewsząd byliśmy otoczeni, bez żadnego sposobu ucieczki. Padro-nowi śmierć wyglądała z oczu, rozpiął wszystkie żagle i kazał sterować prosto na główną galiotę. Pepo stał na moście i wydawał rozkazy, zamierzając przychwycić nasz statek. Lettereo porwał strzelbę, wziął go na cel i strzaskał mu ramię. Wszystko to stało się w kilku sekundach.

Wkrótce potem cztery statki zwróciły się na nas i usłyszeliśmy zewsząd:

- Maina ladro! Maina can senza fede! Lettereo skierował statek w stronę nawietrzną, tak że burta po jednej stronie ślizgała się po powierzchni morza; później, zwracając się do załogi, zawołał:

- Anime managie, io in galera non ci vado. Pregate per me lasantissima Madonna della Lettera.

Na te słowa upadliśmy wszyscy na kolana. Lettereo włożył sobie w kieszenie dwie kule armatnie; myśleliśmy, że chce rzucić się w morze, ale inny był zamiar złośliwego rozbójnika. Na odwietrznej

stronie okrętu stała wielka beczka napełniona miedzią. Lettereo schwycił siekiere i przeciął przytrzymujące ją sznury. Natychmiast beczka potoczyła się na brzeg przeciwny, ponieważ zaś okręt był już bardzo pochylony, teraz przewrócił się zupełnie. My wszyscy, którzy byliśmy na kolanach, upadliśmy na żagle, które, gdy okręt szedł do dna, przez swoją sprężystość odrzuciły nas na kilkanaście łokci.

Pepo dobył nas wszystkich z wody, z wyjątkiem kapitana, jednego marynarza i chłopca okrętowego. Skoro którego wyciągnięto z wody, wnet go wiązano i wrzucano na spód okrętu. W cztery dni potem wylądowaliśmy w Mesynie. Pepo uprzedził urzędników sądowych, że ma im oddać kilku zuchów zasługujących na uwagę. Wylądowanie nasze odbyło się nie bez pewnej okazałości. Było to właśnie w godzinach korso, podczas których cały wielki świat używa przechadzki na wybrzeżu. Postępowaliśmy poważnym krokiem, z przodu i z tyłu strzeżeni przez zbirów.

Principino znalazł się w liczbie widzów. Jak tylko mnie ujrzął, natychmiast poznał i zawołał:

- Ecco lu picciolu banditu delli Augustini!

W tej samej chwili skoczył mi do oczu, porwał za włosy i zadrapał w twarz. Miałem ręce związane, z trudnością więc mogłem się bronić. Przypomniawszy sobie jednak fortel używany przez marynarzy angielskich w Livorno, uwolniłem głowę i z całej siły uderzyłem nią Principina w brzuch. Niegodziwy malec padł na wznak. Wkrótce jednak porwał się z wściekłością i dobył z kieszeni małego noża, którym chciał mnie zranić. Aby uniknąć ciosu, podstawiłem mu nogę; upadł mocno na ziemię i w dodatku padając, sam zranił się własnym nożem. W tej samej chwili przybyła księżna i kazała lokajom, aby powtórzyli ze mną scenę z klasztoru, ale zbirowie sprzeciwili się temu i zaprowadzili nas do więzienia.

Krótko trwał proces naszej załogi; skazano wszystkich na chłostę i dożywotnie galery. Co zaś do chłopca okrętowego, którego ocalono, i do mnie, to wypuszczono nas na wolność, jako małoletnich.

Jak tylko wyostałem się z więzienia, pobiegłem do klasztoru augustianów. Nie znalazłem już w nim mego ojca; braciszek odźwierny powiedział mi, że umarł i że bracia moi są chłopcami okrętowymi na jakimś statku hiszpańskim. Prosiłem o pozwolenie rozmowy z ojcem przeorem; wprowadzono mnie. Opowiedziałem mu wszystkie przygody, nie pomijając ani podstawienia nogi, ani uderzenia głową w brzuch Principina. Jego wielbność wysłuchał mnie z wielką dobrocią, po czym rzekł:

- Moje dziecko, twój ojciec umierając zostawił klasztorowi znaczną sumę pieniędzy. Był to źle nabyty majątek, do którego nie mieliście żadnego prawa. Jest teraz w rękach Boga i powinien być użyty na utrzymanie sług jego. Jednakowoż ośmieliliśmy się wziąć z niego kilka skudów dla kapitana hiszpańskiego, który postanowił zabezpieczyć los twoim braciom. Co się tyczy ciebie, nie możemy dać ci schronienia w naszym klasztorze, przez wzgląd na księżną Rocca Fiorita, znakomitą naszą dobrodziejkę. Pójdiesz, moje dziecko, do wioski, którą mamy u stóp Etny, i tam przyjemnie spędzisz swoje dziecinne lata.

Po tych słowach przeor zawołał braciszka i wydał mu stosowne rozkazy względem dalszego mego losu.

Nazajutrz ruszyłem z braciszkiem w drogę. Przybyliśmy do wioski; umieszczono mnie i odtąd całym moim obowiązkiem było chodzić z posyłkami do miasta. W tych małych podróżach starałem się, o ile

możności, unikać spotkania z Principinem. Jednakże pewnego razu zoczył mnie na ulicy kupującego kasztany, poznał i kazał swoim lokajom zbić niemiłosiernie. W jakiś czas potem wśliznąłem się znowu przebrany do jego pokoju i bez wątpienia mógłbym był łatwo go zamordować, dotąd nawet żałuję, że tego nie uczyniłem, ale nie byłem jeszcze wówczas dość oswojony z postępowaniem podobnego rodzaju, przestałem więc na porządnym oćwiczeniu go.

Nieszczęsna moja gwiazda, jak sami widzicie, sprawiła, że w pierwszych latach mojej młodości nie przeszło sześć miesięcy, żebym nie miał jakiego spotkania z tym przeklętym Principinem, który zwykle miał siłę za sobą. Doszedłszy lat piętnastu, chociaż co do wieku i rozumu byłem jeszcze dzieckiem, wszelako co do siły i odwagi byłem już dojrzałym mężczyzną, co bynajmniej nie powinno was dziwić, jeżeli zważyście, że powietrze morza, a później gór dzielnie przyczyniło się do rozwinięcia budowy mego ciała.

Miałem więc piętnaście lat, gdym po raz pierwszy ujrzał znakomitego sposobem myślenia i odwagą Testa-Lungę, na j uczciwszego i najszlachetniejszego rozbójnika, jaki kiedykolwiek żył na Sycylii. Jutro, jeśli raczycie pozwolić, dam wam poznać tego człowieka, którego pamięć wiecznie pozostanie wyryta w mym sercu. Teraz muszę was opuścić; zarząd jaskini wymaga z mojej strony czujnego starania, którego nie powinienem zaniedbywać.

Zoto odszedł i każdy z nas, stosownie do swego sposobu widzenia, zamyślił się nad tym, co słyszał. Wyznam, że nie mogłem odmówić pewnego rodzaju szacunku dla ludzi tak odważnych, jakimi byli ci, których Zoto w opowiadaniu swoim odmalowywał. Emina utrzymywała, że odwaga wtedy tylko zasługuje na nasz szacunek, kiedy jest użyta na poparcie zasad cnoty. Zibelda dodała, że można było pokochać małego szesnastoletniego rozbójnika.

Po wieczery każdy odszedł do siebie, wkrótce jednak obie siostry niespodziewanie znowu przyszły do mnie. Usiadły i Emina rzekła:

- Kochany Alfonsie, czy nie mógłbyś uczynić dla nas jednego poświęcenia? Idzie tu więcej o ciebie niż o nas.

- Wszystkie te przemowy są niepotrzebne, piękna kuzynko - odpowiedziałem - powiedz mi po prostu, czego żądasz ode mnie.

- Drogie Alfonsie - przerwała Emina - ten klejnot, który nosisz na szyi i nazywasz częścią prawdziwego krzyża, razi nas i wzbudza dreszcz mimowolny.

- O! co się tyczy tego klejnotu - odparłem szybko - nie żądajcie go ode mnie. Przyrzekłem mojej matce, że go nigdy nie zdejmę, i sądzę, że nie ty powinnaś wątpić, jak umiem dotrzymywać moich przyrzeczeń.

Na te słowa moje kuzynki nadęsały się nieco i zamilkły; niebawem jednak ułagodziły się i noc ubiegła nam podobnie, jak poprzedzająca. Chcę przez to powiedzieć, że pasy moich kuzynek nie zostały naruszone.

Dzień siódmy

Nazajutrz rano obudziłem się wcześniej niż poprzedniego dnia i poszedłem odwiedzić moje kuzynki. Emina czytała Koran, Zibelda zaś przymierzała perły i szale. Przerwałem te ważne zatrudnienia słodkimi pieszczotami, w których równie miłość, jak przyjaźń się odzywały. Potem zjedliśmy obiad, a po obiedzie Zoto w te słowa zaczął rozpowiadać dalsze przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII ZOTA

Przyrzekłem mówić o Testa-Lundze i dotrzymam wam słowa. Przyjaciół mój był spokojnym mieszkańcem Val Castera, małego miasteczka położonego u stóp Etny. Miał żonę zachwycającą pięknosci. Młody książę Val Castera, zwiedzając pewnego razu swoje majątki, ujrzał tę kobietę, gdy przysła powitać go wraz z żonami znacniejszych mieszczan. Zarozumiały młodzieniec, zamiast wdzięcznie przyjąć gość, jaki mu składali jego poddani ustami piękności, zajął się tylko wdziękami pani Testa-Lunga. Bez żadnych ogródek wyjawiał jej wrażenie, jakie sprawiła na jego zmysłach, i wsunął jej rękę za stanik. W tej samej chwili mąż, który stał za żoną, dobył noża. z kieszeni i utopił go w sercu młodego księcia. Zdaje mi się, że na jego miejscu każdy uczciwy człowiek byłby sobie tak samo postąpił.

Testa-Lunga, dokonawszy tego uczynku, schronił się do kościoła i zostawał tam aż do nocy. Sądząc jednakże, że wypada mu pewniejsze środki przedsięwziąć, postanowił złączyć się z kilkoma rozbójnikami, którzy od niejakiego czasu ukrywali się na wierzchołkach Etny. Poszedł więc do nich i ci ogłosili go dowódcą.

Etna naówczas wybuchała niesłychaną ilością lawy; pośród ognistych jej potoków Testa-Lunga umocnił swoją bandę w kryjówkach, które tylko jemu samemu były znane. Gdy się już tak ze wszech stron dostatecznie zabezpieczył, dzielny ten wódz udał się do wicekróla, żądając ułaskawienia siebie i towarzyszków. Rząd odmówił, jak sądzę, z obawy nadwerżenia swej powagi. Natenczas Testa-Lunga wszedł w układy z głównymi dzierżawcami okolicznych majątków.

- Kradnijmy do spótki - rzekł do nich. - Gdy przybędę do was, dacie mi, co sami zechcecie, a za to będziecie mogli wobec waszych panów zrzucić na mnie wszystkie wasze kradzieże.

Wprawdzie była to także kradzież, ale Testa-Lunga sumiennie rozdzielał wszystko między towarzyszków, zachowując dla siebie tylko tyle, ile mu było niezbędne do życia. Mało tego: skoro przeciągał przez jaką wioskę, kazał za wszystko płacić podwójnie, tak że w krótkim czasie stał się bożyszczem ludu Obojga Sycylii.

Mówiłem wam już, że niektórzy rozbójnicy z bandy mojego ojca złączyli się z Testa-Lunga, który przez kilka lat przebywał na południu Etny, czyniąc stamtąd wyprawy do Val di Noto i Val di Mazara. Ale w czasie, o którym wam mówię, to jest gdy skończyłem piętnasty rok życia, banda wróciła do Val Demoni i pewnego dnia ujrzeliśmy ją przybywającą do wioski augustianów.

Cokolwiek moglibyście wyobrazić sobie świetnego i okazałego, wszystko to da wam słabe zaledwie pojęcie o towarzyszach Testa-Lungi. Byli umundurowani, a ich konie pokryte były jedwabnymi siatkami; pasy najeżone pistoletami i sztyletami, długie szpady i strzelby tego samego rozmiaru - oto przedmioty składające uzbrojenie wojenne bandy.

Przez trzy dni rozbójnicy zjadali nasze kury i wypijali nasze wino, czwartego zaś doniesiono im, że oddział dragonów z Syrakuz zbliża się zamierzając ich otoczyć. Na tę wieść zaczęli śmiać się z całego serca;

zaczaili się na skrzyżowaniu dróg, uderzyli na oddział i rozbili go do szczętu. Wprawdzie siła nieprzyjaciela dziesięć razy przewyższała ich zastęp, ale każdy rozbójnik miał przy sobie kilkanaście kul, z których żadna nie chybiła.

Po zwycięstwie banda wróciła do wioski, ja zaś, przypatrując się z dala całej bitwie, tak byłem zachwycony, że padłem do nóg dowódcy i zaklinałem go, aby raczył mnie przyjąć na towarzysza. Testa-Lunga zapytał, com za jeden.

- Syn rozbójnika Zoto - odpowiedziałem. Na to szanowne nazwisko wszyscy ci, którzy służyli pod moim ojcem, wydali okrzyk radości. Następnie jeden z nich porwał mnie w swoje objęcia, postawił na stole i rzekł:

- Towarzysze, w ostatniej walce zabito nam porucznika i jesteśmy w kłopotcie, kto go ma zastąpić;

niech więc mały Zoto będzie naszym porucznikiem. Widzimy nieraz, że powierzają dowództwa pułków synom książąt lub hrabiów, dlaczegóż nie mielibyśmy tego uczynić dla syna dzielnego Zota? Zaręczam, że stanie się godny tego zaszczytu.

Na te słowa okryto mówcę rzęsistymi oklaskami i jednomyślnie obrano mnie porucznikiem.

Stopień mój z początku wydał się im żartem i każdy rozbójnik kładł się od śmiechu nazywając mnie signor tenete - wkrótce jednak musieli zmienić dotychczasowe mniemanie. Nie tylko zawsze pierwszy byłem w napadzie i ostatni w odwrocie, ale żaden z nich nie umiał lepiej ode mnie wyśledzić obrotów nieprzyjacielskich lub zapewnić bandzie bezpieczeństwo. Raz wdrapywałem się na szczyt skał, aby szerzej objąć wzrokiem okolice i dać umówione znaki, to znowu całe dni przepędzałem wśród nieprzyjaciół, skacząc z jednego drzewa na drugie. Często nawet zdarzało mi się przez całe noce nie złączyć z najwyższych kasztanów Etny i gdy nie mogłem już oprzeć się znużeniu, zasypiałem przywiązawszy się wprzód pasem do gałęzi. Wszystko to nie było zbyt trudne dla tego, kto znał dokładnie rzemiosło kominiarza i chłopca okrętowego.

Tak ciągle postępując zyskałem powszechne zaufanie i powierzono mi bezpieczeństwo całej bandy. Testa-Lunga kochał mnie jak własnego syna; nadto śmiem wyznać, że niebawem nabyłem sławy, która niemal przewyższała jego rozgłos, i wkrótce w całej Sycylii o niczym innym nie mówiono, jak tylko o świetnych czynach małego Zota. Tyle sławy nie uczyniło mnie nieczułym na rozrywki właściwe memu wiekowi. Już wam powiedziałem, że rozbójnicy są u nas bohaterami ludu, sami więc łatwo osądzicie, czy najpiękniejsze pasterki Etny byłyby wahały się oddać mi serce; byłem jednak przeznaczony ulec bardziej wykwintnym wdziękom i miłość przygotowywała mi pochlebniejszą zdobycz.

Już od dwóch lat byłem porucznikiem i miałem siedemnaście lat skończonych, gdy nowy wybuch wulkanu zniszczył dotychczasowe nasze kryjówki i zmusił bandę szukać schronienia bardziej na południe. Po czterech dniach pochodu przybyliśmy do zamku 'zwanego Rocca Fiorita, siedziby i głównej posiadłości mego wroga Principina.

Od dawna zapomniałem już o krzywdach, jakich od niego doświadczyłem, gdy nazwa zamku na nowo rozbudziła we mnie żądzę zemsty. Nie powinno was to bynajmniej zadziwiać - w naszym klimacie serca są nieubłagane. Gdyby Principino znajdował się naówczas w swoim zamku, mniemam, że byłbym mieczem i ogniem przekłute gniazdo spustoszył. Tym razem jednak poprzestałem na zrzędzeniu o ile możności jak największej szkody, do czego towarzysze, którym nietajne były moje powody, dzielnie mi dopomogli. Służba zamkowa, która z początku chciała stawiać nam opór, uległa obfitym strumieniom pańskiego wina. które wytoczyliśmy z piwnicy i niebawem przeszła na naszą stronę. Jednym słowem, zamieniliśmy zamek Rocca Fiorita w prawdziwą wyspę obfitości.

Hulanka trwała przez pięć dni. Szóstego szpiedzy uprzedzili mnie, że wyprawiono przeciw nam cały pułk z Syrakuz i że Principino wkrótce z matką i licznym towarzystwem kobiet ma przybyć z Mesyny. Cofnąłem bandę, sam jednak chciałem koniecznie pozostać, usadawiłem się więc na szczycie rozłożystego dębu w końcu ogrodu. Dla ułatwienia ucieczki w razie potrzeby wybiłem otwór w murze ogrodowym.

Nareszcie ujrzałem nadchodzący pułk, który rozłasował się przed bramą zamkową i dokoła porozstawiał strażę. Tuż za nimi ciągnął szereg lektyk, w których siedziały damy. w ostatniej zaś sam Principino rozłożył się na stosie poduszek. Z trudnością wysiadł, podtrzymywany przez dwóch koniuszych, wysłał przodem oddział wojska i dopiero gdy zaręczono mu, że żadnego z nas nie ma już w zamku, wszedł z kobietami i kilku szlachcicami należącymi do jego orszaku.

Pod moim dębem wytryskało źródło świeżej wody, tuż zaś obok niego stał marmurowy stół otoczony ławkami. Była to najozdobniejsza część ogrodu; nie wątpiłem, że całe towarzystwo wkrótce tu przybędzie, i postanowiłem nie zläzić, aby bliżej mu się przypatrzeć. W istocie, po pół godzinie ujrzałem nadchodzącą młodą osobę, prawie w moim wieku. Aniołowie nie mogą być piękniejsi: spostrzegłszy ją. doznałem tak nagłego i silnego wzruszenia, że byłbym może spadł z wierzchołka dębu, gdybym nie był przez zwykłą ostrożność mocno przywiązał się pasem do jego gałęzi.

Młoda dziewczyna szła ze spuszczonymi oczyma i z wyrazem głębokiego smutku na twarzy. Usiadła na ławce, wsparła się na marmurowym stole i zaczęła gorzko płakać. Nie wiedząc sam, co czynię, zsunąłem się z drzewa i stanąłem tak, że mogłem ją widzieć. nie będąc sam spostrzeżonym. Natenczas ujrzałem Principina zbliżającego się z kwiatami w ręku. Od trzech lat, jak go straciłem z oczu, znacznie wyrósł, twarz miał piękną, ale bez żadnego wyrazu.

Młoda dziewczyna, spostrzegłszy go, rzuciła nań wzrok pełen wzdąrdy, za który mocno jej byłem wdzięczny. Pomimo to Principino, zadowolony z samego siebie, przystąpił do niej wesoło i rzekł:

- Kochana narzeczono, oto są kwiaty przeznaczone dla ciebie, jeżeli mi przyrzekniesz nie wspominać o tym niegodziwym hultaju.

- Mości książę - odpowiedziała dziewczyna - sądzę, że niesłusznie stawiasz warunki twoich łask. Przecież chociażbym nigdy nie wymówiła przed tobą imienia Zota, cały dom wiecznie ci o nim będzie wspominał. Wszakże nawet twoja mamka zaręczyła w twojej

obecności, że nigdy w życiu nie widziała piękniejszego chłopca.

- Panno Sylwio! - przerwał Principino, dotknięty do żywego. - Racz pamiętać, że jesteś moją narzeczoną.

Sylwia nic nie odrzekła, tylko zalała się łzami. Wtedy Principino w największej wściekłości zawołał:

- Nikczemna, ponieważ kochasz się w rozbójniku, oto masz, na co zasługujesz! To mówiąc uderzył ją w twarz.

- Zoto!... Zoto!... - krzyknęła biedna dziewczyna - czemuż cię tu nie ma, aby ukarać tego nędznika!

Jeszcze nie dokończyła tych słów, gdy nagle wyszedłem z mojej kryjówki i rzekłem do księcia:

- Poznajesz mnie? Jestem rozbójnikiem i mógłbym cię zamordować, ale zbyt poważam pannę, która raczyła przyzwać mnie na pomoc, i ofiaruję ci walkę, jaka wam, szlachcie, przystoi.

Miałem przy sobie dwa puginały i cztery pistolety; rozdzieliłem broń na dwoje, położyłem jedną część o dziesięć kroków od drugiej i zostawiłem mu wybór. Ale nieszczęśliwy Principino padł zemdlony na ławkę.

Sylwia natenczas tymi słowy odezwała się do mnie:

- Jestem szlachetnego urodzenia, ale biedna; jutro mam zaślubić księcia lub pójść na całe życie do klasztoru. Zamiast jednego lub drugiego wolę być twoją na wieki!

To mówiąc padła w moje objęcia.

Możecie domyślić się, że nie dałem się długo prosić. Jednakowoż należało zapobiec, abyśmy ze strony księcia nie doznali przeszkody w ucieczce. Wziąłem sztylet i - w braku młotka - kamieniem przybiłem mu rękę do ławki, na której leżał. Krzyknął boleśnie i powtórnie omdlał. Wysunęliśmy się przez otwór w murze ogrodowym i uciekliśmy w góry.

Wszyscy moi towarzysze mieli kochanki, z radością więc powitali moją i kobiety ich przysięgły Sylwii nieograniczone posłuszeństwo.

Już upływał czwarty miesiąc mojego pożycia z Sylwią, gdy zostałem zmuszony opuścić ją, aby obejrzeć zmiany, jakie ostatni wybuch wulkanu poczynił w stronie północnej. Podczas podróży odkryłem w naturze wdzięki, na które dawniej wcale nie zważałem. Co chwila spotykałem rozkoszne trawniki, jaskinie, gaje w miejscach, które wprzódy wydawały mi się dobrymi tylko do obrony lub zasadzek. Sylwia ułagodziła moje rozbójnicze serce, które jednak wkrótce miało odzyskać dawną srogość.

Wracam do mojej podróży na północne zbocza góry. Wyrażam się tym sposobem dlatego, że Sycyljczycy, wspominając o Etnie, zowią ją zawsze il monte, czyli po prostu górą. Zwróciłem się naprzód ku temu, co nazywamy Wieżą Filozofa, ale nie mogłem się tam dostać. Z przepaści, która otworzyła się na zboczu wulkanu, wypływał potok lawy; rozdzielał się on nieco powyżej, opasując ją jakby dwoma ramionami, które zbiegały się ze sobą o milę dalej, tworząc rodzaj niedostępnej wyspy.

Poznałem natychmiast ważność tego położenia; nadto na samej wieży mieliśmy znaczny skład kasztanów, który pragnąłem koniecznie zachować. Szukając pilnie, wynalazłem podziemne przejście, którym dawniej często przechodziłem i które mnie wyprowadziło prosto na samą wieżę. Natychmiast postanowiłem umieścić na tej wyspie całą naszą ludność kobiecą. Kazałem zbudować szałas z liści i jeden z nich ozdobiłem szczególnie starannie. Następnie wróciłem na południe i sprowadziłem całą osadę, uszczęśliwioną z tego nowego schronienia.

Dziś, kiedy przenoszę się pamięcią w szczęśliwe chwile, jakie spędziłem na tej wyspie, widzę, jak bardzo różnią się od okropnych wzruszeń, które miotają całym moim życiem. Ogniste potoki dzieliły nas od reszty ludzi; ogień miłości ogarniał nasze zmysły. Wszystko słuchało moich rozkazów i wszystko ulegało najmniejszym życzeniom kochanej Sylwii. Wreszcie, na domiar mego szczęścia, dwaj moi bracia przybyli do mnie. Obaj doznali nadzwyczajnych przygód i upewniam was, że jeżeli zechcecie kiedy posłuchać ich opowiadań, bez porównania więcej was zabawią ode mnie.

Mało jest ludzi, którzy nie przeżyli bodaj kilku szczęśliwych dni, ale nie wiem, czy jest kto, co by mógł szczęście rachować na lata. Moje przynajmniej nie trwało jednego roku. Towarzysze bandy zachowywali się uczciwie względem siebie samych, żaden nie byłby się ośmielił spojrzeć na cudzą kochankę, tym mniej zaś na moją: zazdrość przeto była nie znana, lub raczej na jakiś czas wygnana z naszej wyspy, gdyż szalona ta namiętność zbyt łatwo zawsze znajdzie dostęp do miejsc, w których miłość przebywa.

Młody rozbójnik imieniem Antonino tak szalenie zakochał się w Sylwii, że nawet nie był w stanie ukryć swojej namiętności. Sam to zauważyłem, ale widząc go smutnym i przygnębionym, mniemałem, że kochanka moja nie jest mu wzajemna, i byłem spokojny. Rad bym był tylko wyleczyć Antonina, kochałem go bowiem za jego odwagę. Znajdował się również w bandzie rozbójnik imieniem Moro, którego, przeciwnie, dla nikczemności sposobu myślenia z całych sił nienawidziłem i gdyby Testa-Lunga chciał mi wierzyć, dawno byłby go już wypędził.

Moro potrafił wkraść się w zaufanie Antonina i przyrzekł mu dopomóc w miłości; pozyskał również ufność Sylwii i przekonał ją, że mam kochankę w sąsiedniej wiosce. Sylwia lękała się wyznać przede mną powzięte podejrzenia, ale postępowanie jej zaczęło być coraz bardziej wymuszone, domyślałem się więc, że stygnie w niej zapał dawnej miłości. Ze swej strony Antonino, uwiadomiony o wszystkim przez Mora, podwoił zalecanki do Sylwii i przybrał minę zadowoloną, która dała mi do zrozumienia, że jest szczęśliwy.

Nie byłem wcale wprawny w rozplątywaniu intryg podobnego rodzaju. Zamordowałem Sylwię i Antonina. Ten ostatni na chwilę przed śmiercią wyznał mi zdradę Mora. Z zakrwawionym sztyletem pobiegłem do zdrajcy; Moro przeląkł się, padł na kolana i wyjąkał, że księżę Rocca Fiorita zapłacił mu, aby mnie i Sylwię zgładził ze świata, i że jedynie w celu skutecznienia tego zamiaru przyłączył się do naszej bandy. Utopiłem mu sztylet w piersiach. Następnie wybrałem się do Mesyny, wemknąłem się przebrany do pałacu księcia i wysłałem go za jego powiernikiem i dwiema ofiarami jego zemsty.

Taki był koniec mego szczęścia i zarazem mojej sławy. Moja odwaga zmieniła się w zupełną obojętność dla życia, a ponieważ okazywałem równą obojętność dla bezpieczeństwa moich towarzyszy, wkrótce zatem całkiem postradałem ich zaufanie. Na koniec mogę was zapewnić, że odtąd stałem się jednym z najpospolitszych rozbójników.

Wkrótce potem Testa-Lunga umarł na zapalenie opłucnej i banda jego się rozproszyła. Moi bracia, znając dobrze Hiszpanię, namówili mnie, aby się tam udać. Stanąłem na czele dwunastu ludzi, przybyłem do Zatoki Taormińskiej i ukrywałem się w niej przez trzy dni. Czwartego dnia porwaliśmy dwumasztowy statek i dopłynęliśmy na nim do brzegów Andaluzji.

Chociaż w Hiszpanii nie zbywa na górach, które by nam zapewniły bezpieczne schronienie, to jednak dałem pierwszeństwo pasmu Sierra Moreny i nie miałem powodu żalić się na mój wybór. Schwytałem dwa transporty piastrow i uczyniłem później kilka nie mniej korzystnych wypraw.

Odgłos naszych powodzeń doszedł aż do Madrytu. Gubernator Kadyksu otrzymał rozkaz dostawienia nas martwych czy żywych i wyprawił przeciw nam kilka pułków. Z drugiej strony wielki szejk Gomelezów ofiarował mi służbę u siebie i bezpieczne schronienie w tej oto jaskini. Bez namysłu przystałem na jego propozycję. Trybunał w Grenadzie, nie chcąc pokazać swojej niedołęzności, nie mogąc jednak nas znaleźć, rozkazał schwytać dwóch pasterzy z doliny i powiesić ich pod nazwiskiem braci Zota. Znałem tych dwóch ludzi i wiem, że popełnili kilka morderstw. Utrzymują jednak, że gniewa ich to powieszenie na naszym miejscu i że w nocy odwiązują się z szubienicy i wyprawiają tysiączne niedorzeczności. Nie przekonałem się o tym na własne oczy, nie mogę więc nic wam o tym powiedzieć. Jednakże nieraz, przechodząc w nocy obok szubienicy, zwłaszcza gdy księżyc świecił, dokładnie widziałem, że nie ma żadnego wisielca, nad rankiem zaś znowu wracali na szubienicę.

Oto jest historia mego życia, którą pragnęliście słyszeć. Sądzę, że moi bracia, których życie spokojniej upłynęło, mogliby wam bardziej zajmujące rzeczy opowiedzieć, ale nie będą mieli na to czasu, gdyż okręt jest już przygotowany i odebrałem wyraźne rozkazy, aby jutro puścić go na morze.

Gdy Zoto odszedł, piękna Emina rzekła z wyrazem głębokiego smutku:

- Ten człowiek ma słuszność; chwile szczęścia zbyt krótkie są w życiu człowieka. Przepędziliśmy tu trzy dni, które może już nigdy w życiu nam się nie powtórzą.

Wieczera wcale nie była wesoła, pośpieszyłem więc z życzeniami dobrej nocy moim kuzynkom. Spodziewałem się, że ujrzę je w moim pokoju i wtedy łatwiej zdołam rozproszyć ich smutek.

W istocie, przyszły wcześniej niż zazwyczaj i na domiar mego szczęścia spostrzegłem, że trzymają swoje pasy w rękach. Symboliczną wymowę tego gestu łatwo było zrozumieć, wszelako Emina, nie ufając mojej domyślności, rzekła:

- Kochany Alfonsie, poświęcenie twoje dla nas było bez granic, pragniemy więc, żeby taka sama okazała się i nasza wdzięczność. Być może, że się już więcej nie ujrzemy. Dla innych kobiet byłby to powód do wstrzeźliwości, ale my chcemy wiecznie żyć w twojej pamięci i jeżeli kobiety, które spotkasz w Madrycie, przewyższają nas w wykształceniu i obejściu, żadna przecież nie będzie od nas bardziej czuła i bardziej namiętna. Jednakże, drogi Alfonsie, musisz ponowić przysięgę, że nam dochowasz tajemnicy i że nie dasz wiary, gdyby ci co złego o nas mówiono.

Uśmiechnąłem się lekko na ten ostatni warunek, ale zgodziłem się na wszystko i otrzymałem nagrodę w najczulszych pieścizotach.

Po chwili Emina rzekła:

- Kochany Alfonsie, rażą nas te relikwie, które nosisz na szyi. Czy nie mógłbyś ich zdjąć na chwilę?

Dałem odmowną odpowiedź, ale Zibelda objęła mnie za szyję i nożyczkami, które trzymała w ręku, przecięła wstążkę. Emina natychmiast porwała relikwie i rzuciła w rozpadlinę skały.

- Jutro włożysz je na powrót - rzekła - tymczasem zawieś na szyi tę plecionkę z naszych włosów wraz z przywiązanym do niej talizmanem, który uchroni cię może od niestałości, jeżeli cokolwiek w świecie zdoła uchronić od tego kochanków.

Następnie Emina wyjęła ze swoich włosów złotą szpilkę i starannie spięła nią zasłony łóżka.

Pójdę w jej ślady i zarzucę zasłonę na dalszy ciąg tej sceny. Wystarczy wiedzieć, że moje przyjaciółki zostały moimi małżonkami. Istnieją bez wątpienia sytuacje, kiedy gwałt, powodując rozlew niewinnej krwi, jest zbrodnią; ale istnieją też takie wypadki, w których okrucieństwo służy samej niewinności, pozwalając się jej ujawnić w całym blasku. Tak właśnie było z nami, z czego wniosłem, że moje kuzynki nie były rzeczywistymi uczestniczkami moich snów w Venta Quemada.

Zmysły nasze ukołysały się, byliśmy już zupełnie spokojni, gdy nagle zabrzmiał smutny jęk dzwonu. Zegar bił północ. Na ten odgłos nie mogłem wstrzymać się od wzruszenia i rzekłem do moich kuzynek, że obawiam się, aby nam nie zagrażał jakiś smutny wypadek.

- I ja również lękam się - odparła Emina. - Niebezpieczeństwo jest bliskie, ale posłuchaj tego, co ci mówię: nie dawaj wiary żadnemu złemu, jakie by ci o nas mówiono, nie wierz nawet własnym oczom.

W tej samej chwili ktoś gwałtownie rozerwał zasłony łóżka i ujrzałem człowieka wspaniałej postawy, ubranego po mauretańsku. W jednym ręku trzymał Alkoran, w drugim zaś obnażoną szablę; kuzynki moje rzuciły mu się do nóg, mówiąc:

- Potężny szejku Gomelezów, przebacz nam!

Na co szejk odpowiedział strasznym głosem:

- Adonde estan las fajas?

Później, zwracając się do mnie, rzekł:

- Nieszczęsny nazarejczyku - zhańbiłeś krew Gomelezów! Musisz przejść na wiarę Proroka lub umrzeć.

W tej chwili usłyszałem straszliwe wycie i spostrzegłem opętanego Paszeko, który dawał mi znaki z głębi komnaty. Moje kuzynki także go spostrzegły, porwały się więc rozgniewane, schwyciły go i wypchnęły z izby.

- Nieszczęsny nazarejczyku - powtórzył znowu szejk Gomelezów - wypij duszkiem napój zawarty w tej czarze lub zginiesz haniebną śmiercią, a trup twój, zawieszony między zwłokami braci Zota, stanie się pastwą sępów i igraszką duchów ciemności, które go będą używały do swoich piekielnych przemian.

Uznałem, że w podobnej okoliczności honor nakazuje mi samobójstwo. Zawołałem więc z boleścią:

- Ach, mój ojczy, na moim miejscu tak samo byś sobie postąpił!

Po tych słowach wziąłem czarę i wychyliłem do dna. Uczułem nieznośne mdłości i padłem bez zmysłów.

Dzień ósmy

Ponieważ mam zaszczyt opowiadać wam moje przygody, łatwo więc pojmiecie, że nie umarłem od wypitej - jak myślałem - trucizny. Odszedłem tylko od przytomności i nie wiem, jak długo zostałem w tym stanie. Pamiętam jednak, że znowu obudziłem się pod szubienicą Los Hermanos, ale tym razem z pewnego rodzaju zadowoleniem, gdyż przynajmniej byłem pewny, że jeszcze nie umarłem. Nadto nie znalazłem się już między dwoma wisielcami; leżałem po lewej ich stronie, po prawej zaś spostrzegłem jakiegoś człowieka, którego także wziąłem za wisielca, gdyż zdawał się bez życia i miał stryczek na szyi. Wkrótce jednak poznałem, że śpi tylko, i rozbudziłem go. Nieznajomy, spojrzawszy na miejsce swego noclegu, zaczął śmiać się i rzekł:

- Trzeba wyznać, że w praktykach kabalistycznych wydarzają się czasem przykre nieporozumienia. Złe duchy tyle umieją przybierać na się kształtów, że nie można wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Wszelako - dodał - skądże mi się wziął ten powróż na szyi, w miejscu plecionki z włosów, którą wczoraj jeszcze miałem na sobie?

Później, spostrzegłszy mnie, rzekł:

- I senior tutaj?... senior jeszcze za młody jesteś, jak na kabalistę. Ale widzę, że także masz powróż na szyi.

W istocie, przekonałem się, że ma słuszość. Przypomniałem sobie, że Emina wczoraj zawiesiła mi na szyi plecionkę z włosów swoich i Zibeldy, i sam nie wiedziałem, jak sobie tę przemianę tłumaczyć.

Kabalista spojrzał na mnie bystrym wzrokiem i rzekł:

- Nie, ty do nas nie należysz. Nazywasz się Alfons, twoja matka rodzi się z Gomelezów, jesteś kapitanem w gwardii wallońskiej, masz wiele odwagi, ale mało doświadczenia. Mniejsza o to, trzeba naprzód stąd się wydostać, a potem zobaczymy, co z sobą pocniemy.

Brama zagrody była otwarta, wyszliśmy i znowu ujrzałem przed sobą przekłętą dolinę Los Hermanos. Kabalista zapytał mnie, dokąd chcę się udać. Odpowiedziałem mu, że mam zamiar udać się drogą w kierunku Madrytu.

- Zgoda - rzekł - ja także idę w tę stronę, ale zacznijmy naprzód od przyjęcia jakiego posiłku.

To mówiąc dobył z kieszeni połączoną czarę, słoik napełniony pewnym rodzajem opiatu i flaszkę kryształową, w której znajdował się jakiś płyn żółtawy. Wrzucił do czary łyżeczkę opiatu, wlał kilka kropel płynu i kazał mi wszystko razem wypić. Nie dałem sobie tego powtarzać, gdyż omdlewałem z czczości. W istocie, napój był cudowny. Uczułem się tak pokrzepiony, że śmiało mogłem przedsięwziąć dalszą drogę, co wprzód byłoby zupełnie niemożliwe.

Słońce wzbilo się już dość wysoko, gdy spostrzegliśmy nieszczęsną gospodę Venta Quemada. Kabalista zatrzymał się i rzekł:

- Oto jest miejsce, w którym tej nocy wyrządzono mi niegodziwą psotę. Trzeba nam jednak wejść do środka, zostawiłem tu bowiem pewne zapasy, którymi będziemy mogli się posilić.

Weszliśmy do przeklętej venty i znaleźliśmy w jadalnym pokoju stół zastawiony pasztetem z kuropatw i dwoma butelkami wina. Kabalista zdawał się być przy wybornym apetycie: przykład jego dodał mi odwagi. Inaczej bowiem wątpię, czy byłbym odważył się podnieść co do ust. Wszystko to. Co od kilku dni widziałem, tak pomieszało moje wyobrażenia, że sam nie wiedziałem, co czynię, i gdyby się kto uwziął, byłby mógł wprowadzić mnie w wątpliwość o moim własnym istnieniu.

Po skończonym obiedzie zaczęliśmy przebiegać komnaty i przybyliśmy do tej, w której spałem pierwszego dnia od wyjazdu z Andujar. Poznałem moje nieszczęsne pośłanie i usiadłszy na nim. Jąłem rozmyślać nad tym wszystkim, co mi się wydarzyło, szczególnie zaś nad wypadkami, które zaszły w jaskini. Przypominałem sobie, że Emina uprzedziła mnie, ażeby nie dawał wiary, gdyby mi co złego o niej mówiono. Właśnie pograżyłem się w tych myślach, gdy kabalista zwrócił uwagę na coś błyszczącego, utkwionego między szparami podłogi. Spojrzałem bliżej i przekonałem się, że są to relikwie, zabrane mi przez siostry w jaskini. Widziałem, jak je wrzucały w rozpadlinę skały, a teraz znajdowałem je w szparze podłogi. W istocie, zacząłem powątpiewać, czym wychodził kiedy z tej przeklętej gospody i czy pustelnik, inkwizytor, bracia Zota nie byli widmami spłodzonymi przez obłąd czarodziejski. Tymczasem za pomocą szpady dobyłem relikwie i zawiesiłem je z powrotem na szyi.

Kabalista zaczął się śmiać i rzekł:

- Więc to twoja własność, senior kawalerze. Jeżeli tu noc przepędziłeś, wcale nie dziwię się. żeś się obudził pod szubienicą. Mniejsza o to: wychodźmy stąd, musimy tego jeszcze wieczora stanąć w pustelni.

Opuściliśmy gospodę i nie uszliśmy jeszcze połowy drogi, gdy spotkaliśmy pustelnika, który z trudnością włókł się o kiju. Skoro tylko nas spostrzegł, zawołał-

- Ach. mój młody przyjacielu, właśnie cię szukałem: wracaj do mojej pustelni, wyrwij swoją duszę ze szponów szatana, a tymczasem podaj mi rękę. Szukając cię opadłem z sił.

Wypocząwszy przez chwilę, ruszyliśmy w dalszą drogę: starzec kroczył, wspierając się raz na jednym, to znów na drugim z nas. Nareszcie przybyliśmy do pustelni.

Zaledwie wszedłem, ujrzałem Paszeka rozciągniętego na środku izby. Zdawało mi się. że kona, piersiami przynajmniej wydawał to straszliwe rżenie, jakie rychłą śmierć zapowiada. Chciałem przemówić do niego, ale mnie nie poznał; wtedy pustelnik zaczerpnął święconej wody, pokropił nią opętanego i rzekł:

- Paszeko! Paszeko! w imieniu twego Odkupiciela nakazuję ci opowiedzieć, co ci się wydarzyło tej nocy.

Paszeko zadrżał, zaryczał straszliwie i tak zaczął mówić:

OPOWIADANIE PASZEKA

Mój ojciec, właśnie znajdował się w kaplicy i śpiewał litanie, gdy postyszałem kołatanie do drzwi i beczenie zupełnie podobne do tego, jakie wydaje nasza biała koza. Myślałem więc, że zapomniałem ją wydoić i pocziwe zwierzę przyszło mi przypomnieć mój obowiązek. Tym bardziej trwałem w tym przekonaniu, że właśnie przed kilkoma dniami wydarzył mi się podobny wypadek. Wyszedłem z chaty i w samej rzeczy ujrzałem naszą białą kozę, która obracała się tyłem do mnie, pokazując mi nadęte wymiona. Chciałem ją przytrzymać, aby jej oddać żadaną przysługę, ale wymknęła mi się z rąk i, co chwila zatrzymując się i znów uciekając dalej, zaprowadziła mnie nad brzeg przepaści, która otwiera się obok twojej pustelni.

Przybywszy tam biała koza nagle przerzuciła się w czarnego kozła. Przeląknęłem się na widok tej przemiany i chciałem uciekać ku naszemu mieszkaniu, ale czarny kozioł przeciął mi drogę i wspiąwszy się na tylnych nogach, spojrzał na mnie płomiennymi oczyma. Strach ściął mi lodem krew w żyłach.

Natenczas czarny kozioł zaczął bóść mnie rogami i popychać ku przepaści. Gdy już mnie doprowadził nad sam skraj, zatrzymał się na chwilę, jakby pragnął cieszyć się widokiem moich męczarni. Nareszcie strącił mnie w przepaść. Myślałem, że się rozbiję w proch, ale kozioł przede mną stanął na dnie przepaści i przyjął mnie na swój grzbiet, nie odniosłem więc żadnych obrażeń.

Tu nowa bo jaźń mnie ogarnęła, gdyż zaledwie przeklęty kozioł poczuł mnie na grzbiecie, wnet dziwnym sposobem zaczął galopować. Jednym skokiem przeskakiwał z góry na górę i przesadzał najgłębsze przepaści, jakby to były rowy; nareszcie otrząsnął się i, sam nie wiem jak, znalazłem się w jaskini, gdzie spostrzegłem młodego podróżnego, który przed kilkoma dniami nocował w naszej pustelni.

Młodzieniec siedział na łóżku, obok niego zaś zobaczyłem dwie prześliczne dziewczyny, ubrane po mauretańsku. Dziewczęta, okrywając go pieścotami, zdjęły mu z szyi relikwie i w tej chwili straciły całą piękność w mych oczach, poznałem w nich bowiem dwóch wisielców z doliny Los Hermanos. Wszelako młody podróżny, biorąc je nadal za piękne kobiety, przemawiał do nich najczulszymi wyrazami. Natenczas jeden z wisielców zdjął stryczek z szyi i zaciągnął go na szyję młodzieńca, który pieścotami okazywał swą wdzięczność. Potem zasunęli zasłony i nie wiem, co robili, ale myślę, że popełniali jakiś straszliwy grzech.

Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem wydać żadnego głosu. Trwało to przez pewien czas; w końcu wybiła północ i ujrzałem wchodzącego szatana z ognistymi rogami i płomienistym ogonem, który kilku diablików za nim niósł.

Szatan w jednej ręce trzymał księgę, w drugiej zaś widły. Zagroził młodzieńcowi śmiercią, jeżeli nie przejdzie na wiarę Mahometa. Wtedy, widząc duszę chrześcijańską w niebezpieczeństwie, zebrałem wszystkie siły, krzyknąłem i zdaje mi się, że młodzieniec mnie usłyszał. Ale w tej samej chwili wisielcy poskoczyli ku mnie i wyciągnęli mnie z jaskini na dwór, gdzie znalazłem tego samego kozła. Jeden wisielec wsiadł na kozła, drugi na mnie i tak znowu zmusili nas obu galopować z nimi przez góry i przepaście. Wisielec, który siedział na moich ramionach, ścisnął mi boki piętami, ale uważając zapewne, że nie dość szybko biegnę, podjął po drodze dwa skorpiony, przyczepił je do nóg zamiast ostróg i zaczął mi rozdzierać boki z niestychanym okrucieństwem. Nareszcie przybyliśmy do drzwi

pustelni, gdzie mnie straszyciła porzuciły. Tego poranku, mój ojciec, znalazł mnie bez przytomności. Sądziłem, że jestem ocalony, ujrawszy się w twoich objęciach, ale jad skorpionów zatrzał mi krew. Jad ten pali mi wnętrzności i czuję, że nie przeżyję tych cierpień.

To mówiąc opętaniec zaryczał straszliwie i umilkł. Wtedy pustelnik zabrał głos i rzekł do mnie:

- Synu mój, może to być, żebyś miał stosunek cielesny z dwoma szatanami? Pójdź, wyspowiadaj się, wyznaj swoje winy. Miłosierdzie boskie jest bez granic. Nie odpowiadasz? Byłżebyś już tak dalece zatwardziały w grzechu?

Zastanowiwszy się przez chwilę, odpowiedziałem:

- Mój ojciec, ten opętany szlachcic widział rzeczy całkiem odmienne. Jeden z nas bez wątpienia był otumaniony, może nawet i obaj źle widzieliśmy. Ale oto masz przed sobą szlachetnego kabalistę, który także nocował w Venta Quemada. Może zechce nam opowiedzieć swoje przygody, w których znajdziemy nowe światło co do wypadków, jakie nas od kilku dni zajmują.

- Senor Alfonsie - przerwał kabalista - ludzie, którzy tak jak ja oddają się tajemnym naukom, nie mogą mówić wszystkiego. Postaram się jednak o ile możności zadowolić twą ciekawość, ale jeżeli pozwolisz - nie dziś. Posilmy się wieczszą i idźmy spać; jutro będziemy przy świeższych umysłach.

Pustelnik zastawił nam skromną wieczerzę, po której każdy odszedł do siebie. Kabalista utrzymywał; że musi przepędzić noc obok opętanego, ja zaś udałem się do kaplicy. Położyłem się na tym samym łóżku polowym, na którym już jedną noc przepędziłem; pustelnik życzył mi dobrego snu i uprzedził, że dla większej pewności, odchodząc, zamknie drzwi za sobą.

Zostawszy sam, zacząłem rozmyślać nad opowiadaniem Paszeka. Nie było wątpliwości, że znajdował się razem ze mną w jaskini, widziałem także, jak moje kuzynki poskoczyły do niego i wyciągnęły go z izby; ale Emina uprzedziła mnie, abym nie wierzył, gdyby mi co złego o niej i o jej siostrze mówiono. Zresztą szatany, które opętały Paszeka, mogły obłąkać mu zmysły i otumanić złudzeniami wszelkiego rodzaju.

Tym sposobem szukałem różnych środków usprawiedliwienia i zachowania miłości dla moich kuzynek, gdy wtem usłyszałem bijącą północ. Zaraz potem rozległo się kołatanie do drzwi i jakby beczenie kozy. Wziąłem szpadę, poszedłem do drzwi i zawołałem mocnym głosem:

- Jeżeliś szatan, staraj się sam otworzyć te drzwi, które pustelnik zamknął.

Koza umilkła. Położyłem się więc i spałem do rana.

Dzień dziewiąty

Pustelnik przyszedł mnie obudzić, siadł na moim łóżku i rzekł:

- Moje dziecko, złe duchy znowu tej nocy wyprawiwały w mojej pustelni piekielne harce. Samotnicy Tebaidy nie byli więcej ode mnie wystawieni na złość szatańską; nie wiem przy tym, co mam sądzić o człowieku, który przybył z tobą i zwie się kabalistą. Przedsięwziął wyleczyć Paszeka i w istocie wiele

mu pomógł, ale bynajmniej nie używał egzorcyzmów, przepisanych przez rytuał naszego świętego Kościoła. Pójdź do mojej pustelni, czeka na nas śniadanie, po którym usłyszymy zapewne przygody tego dziwnego nieznanego.

Wstałem i udałem się za pustelnikiem. W istocie, znalazłem Paszeka w daleko lepszym stanie, a twarz jego wydała mi się mniej odrażająca. Nadal był ślepy na jedno oko, ale nie wywieszał już tak obrzydliwie języka. Usta przestały mu się pieniać i pozostałe oko toczyło mniej błędne spojrzenia. Powinszowałem kabaliście, który mi odrzekł, że to tylko słaby dowód jego umiejętności. Następnie pustelnik przyniósł śniadanie, złożone z gorącego mleka i kasztanów.

Podczas gdy spożywaliśmy tę skromną ucztę, ujraliśmy wchodzącego człowieka, chudego i wyblądłego, którego cała postać miała w sobie coś przerażającego, chociaż nie można było rzec, co właściwie takie wrażenie wywołuje. Nieznajomy ukląkł przede mną i zdjął kapelusz. Wtedy ujrzałem, że ma owiązane czoło. Wyciągnął ku mnie kapelusz, jak gdyby prosił o jałmużnę. Rzuciłem mu sztukę złota. Szczególny żebrak podziękował mi i dodał:

- Senor Alfonsie, twój dobry uczynek nie pójdzie na marne. Uprzedzam cię, że ważny list czeka na ciebie w Puerto-Lapiche. Przeczytaj go, zanim wejdiesz do Kastylii.

Udzielwszy mi tego ostrzeżenia nieznajomy ukląkł przed pustelnikiem, który mu napełnił kapelusz kasztanami, następnie uczynił to samo przed kabalistą, ale wnet zerwał się mówiąc:

- Od ciebie niczego nie żądam. Jeżeli powiesz, kto jestem, gorzko kiedyś tego pożałujesz.

Po tych słowach wyszedł z pustelni. Gdy zostaliśmy sami, kabalista zaczął śmiać się i rzekł:

- Aby wam dowieść, jak mało lękam się pogroźek tego człowieka, zaraz wam powiem, że jest to Żyd Wieczny Tułacz, o którym zapewne musieliście słyszeć. Od siedemnastu wieków ani razu nie usiadł, ani nie położył się, nie odpoczął, nie zasnął. Idąc bez przerwy, zje wasze kasztany i nazajutrz rano będzie już stąd o jakie sześćdziesiąt mil. Zwykle przebiega we wszystkich kierunkach niezmiernie pustynie Afryki. Żywi się dzikimi owocami, a drapieżne zwierzęta mijają go bez szkody z powodu świętego piętna Thau, wrytego na jego czole. Dlatego to, jak zauważyliście, nosi na głowie przepaskę. Nie bywa on nigdy w naszych okolicach, chyba na wezwanie jakiego kabalisty. Wreszcie mogę wam zaręczyć, że go tu wcale nie wzywałem. bo go nie cierpię. Jednakowoż muszę wyznać, że często wie on o wielu rzeczach; radzę ci zatem, senor Alfonsie, nie zaniedbywać jego przestrogi.

- Senor kabalisto - odpowiedziałem - Żyd doniósł mi, że list czeka na mnie w Puerto-Lapiche. Spodziewam się stanąć tam pojutrze i nie zapomnę zapytać oberżysty.

- Nie trzeba tak długo czekać - odparł kabalista. - Musiałbym mało znaczyć w świecie duchów, gdybym nie mógł dostarczyć ci tego listu wcześniej.

To mówiąc pochylił głowę na prawe ramię i wyrzekł kilka wyrazów rozkazującym głosem. W pięć minut później upadł na stół wielki list pod moim adresem. Rozpieczętowałem go i przeczytałem co następuje:

Senor Alfonsie!

Z rozkazu JKMości, naszego Najmiłoścowszego Pana, Don Filipa V, uprzedzam cię, abyś wstrzymał twój przyjazd do Kastylii. Srogość tę winienesz przypisać jedynie nieszczęściu, które spowodowało, że rozgniewałeś na siebie święty trybunał, zajmujący się zachowaniem czystości wiary w Hiszpanii. Niech jednak ten wypadek w niczym nie zmniejsza twojej gorliwości w chęci służenia królowi. Wraz z niniejszym załączam ci urlop na trzy miesiące. Przepędź ten czas na granicach Kastylii i Andaluzji; wszelako nie przebywaj zbyt długo w żadnej z obu tych prowincji. Pomyślano już o uspokojeniu twego czcigodnego ojca i przedstawiono mu całą sprawę w świetle wcale go nie rążącym.

Twój życzliwy Don Sancho de Tor de Peñas Minister Wojny

Do tego listu przyłączony był urlop na trzy miesiące, opatrzony niezbędnymi podpisami i pieczęciami.

Podziwialiśmy pośpiech gońców kabalisty, następnie prosiliśmy go, aby dotrzymał nam obietnicy i opowiedział wypadki przeszłej nocy w Venta Quemada. Odrzekł nam, podobnie jak poprzedniego dnia, że nie zrozumiemy wielu rzeczy w jego opowiadaniu, ale zastanowiwszy się przez chwilę, zaczął w te słowa:

HISTORIA KABALISTY

Nazywają mnie w Hiszpanii don Pedro de Uzeda i pod tym nazwiskiem o dzień drogi stąd posiadam piękny zamek. Prawdziwe moje miano jest rabbi Sadok Ben Mamun. Jestem bowiem Żydem. Przyznawanie się do tego jest cokolwiek niebezpieczne w Hiszpanii, ale poza tym, że ufam waszej uczciwości, uprzedzam was, że nie tak łatwo byłoby mi zaszkodzić. Wpływ gwiazd na moje przeznaczenie zaczął objawiać się od pierwszych chwil mego życia. Ojciec mój, sporządziwszy mój horoskop, przejęty był radością, gdy ujrzał, że przyszedłem na świat w momencie, gdy słońce przechodziło w znak Panny. Wprawdzie użył całej umiejętności na dopięcie tego celu, ale nie spodziewał się tak dokładnego skutku.

Nie potrzebuję wam mówić, że ojciec mój, Mamun, był pierwszym astrologiem swego czasu. Wszelako gwiaździarstwo było jedną z najmniejszych nauk, jakie posiadał; szczególnie posunął znajomość kabalistyki, do stopnia, jakiego żaden z rabinów dotąd nie osiągnął.

W cztery lata po moim przyjsciu na świat ojcu memu urodziła się córka pod znakiem Bliźniąt. Pomimo tej różnicy jednakowo nas wychowywano. Nie miałem jeszcze dwunastu lat, siostra zaś ośmiu, kiedy umieliśmy już po hebrajsku, po chaldejsku, po syrochaldejsku, znaliśmy mowy Samarytanów. Koptów, Abisyńczyków i różne inne umarłe lub umierające języki. Nadto, bez pomocy ołówka, mogliśmy rozłożyć litery każdego wyrazu wedle wszelkich zasad oznaczonych prawidłami kabalistyki.

Kończyłem właśnie dwunasty rok. gdy z niezwykłą starannością ułożono nasze włosy w pierścienie; ażeby zaś nie urazić wstydlivosti, właściwej znakom, pod którymi się urodziliśmy, dawano nam do jedzenia mięso z dziewiczych zwierząt, wybierając dla mnie samców, samice zaś dla mojej siostry.

Gdy zacząłem szesnasty rok, ojciec postanowił nas przypuścić do tajemnic kabały Sefirot. Naprzód dal nam do rąk Sefer Zohar, czyli tak zwaną Jasną Księgę, z której nic nie można zrozumieć, tak dalece jasność dzieła ślepi umysł patrzących. Następnie zagłębialiśmy się nad Sifra dizeniutą, czyli Tajemniczą Księgą, w której najzrozumialszy okres może wybornie ujść za zagadkę. Na koniec przystąpiliśmy do Idra Rabba i Idra Zutta, to jest do Wielkiego i Małego Sanhedrynu. Są to rozmowy, w których rabbi Szymon, syn Jochaja, autor dwóch poprzednich dzieł, zniżając styl do potocznej rozmowy, udaje, że naucza swych przyjaciół najprostszyc rzeczy, tymczasem zaś odstawia im najbardziej zadziwiająca tajemnice, a raczej wszystkie te objawienia pochodzą prosto od proroka Eliasza, który po kryjomu opuścił niebieskie krainy i był obecny wśród rozmawiających pod przybranym nazwiskiem rabina Abby.

Być może, że wy wszyscy wyobrażacie sobie, jako-byście nabyli prawdziwego pojęcia o tych boskich księgach z tłumaczenia łacińskiego, wydanego wraz z oryginałem chaldejskim r. 1684 w małym miasteczku niemieckim, zwanym Frankfurt, ale my śmiejemy się z zarozumiałości tych, którzy sądzą, że dość zwyczajnego wzroku ludzkiego, aby móc czytać w tych księgach. Wystarcza to zapewne w niektórych językach teraźniejszych, ale w hebrajskim każda litera jest liczbą każdy wyraz przemądrą kombinacją, każde zdanie straszliwą formułą, która, gdy ją kto potrafi wymówić z potrzebnym przydechem i akcentami, z łatwością może poruszać góry i osuszać rzeki.

Wiecie dobrze, że Adonaj słowem stworzył świat i następnie sam zamienił się w słowo. Słowo wprawia w ruch powietrze i umysł, działa na zmysły i duszę zarazem. Chociaż nie jesteście wtajemniczeni, zdołacie jednak z tego wywnioskować, że słowo jest koniecznym pośrednikiem między materią a wszelkim umysłem.

Mogę wam jedynie powiedzieć, że nie tylko z każdym dniem nabywaliśmy nowych wiadomości, ale nadto nowej potęgi. Jeżeli nawet nie śmieliśmy jej jeszcze używać, to przecież cieszyliśmy się, dumni, że według wewnętrznego naszego przekonania siła ta tkwi w nas. Wkrótce jednak najsmutniejszy wypadek przerwał nasze rozkosze kabalistyczne.

Co dzień spostrzegaliśmy z moją siostrą, że nasz ojciec, Mamun, coraz bardziej upada na siłach. Zdawał się być czystym duchem, który dlatego tylko przybrał postać ludzką, aby mógł być łatwiej dostrzeżony przez podksiężycowe istoty. Nareszcie pewnego dnia kazał

nas zawołać do swojej pracowni. Postawa jego była tak boska i czcigodna, że mimowolnie padliśmy przed nim na kolana. Zostawił nas w tym położeniu i wskazując na klepsydrę, rzekł:

- Zanim ten piasek się przesyple, już mnie nie będzie na tym świecie. Pamiętajcie wszystkie moje słowa. - Synu mój, do ciebie naprzód się odzywam. Przeznaczyłem ci niebiańskie małżonki, córki Salomona i królowej Saby. Przed przyjściem ich na świat nikt nie sądził, że staną się nieśmiertelne, ale Salomon nauczył królową wymawiać imię tego, który jest. Królowa wymówiła to imię w chwili rozwiązania. Nadleciały geniusze Wielkiego Wschodu i przyjęły dwoje bliźniąt, zanim te dotknęły się nieczystego siedliska, które zowią ziemią; następnie uniosły je w sferę córek Elohima, gdzie udzielono im daru nieśmiertelności z mocą podzielenia go z tym, którego kiedyś dwie bliźnie siostry wybiorą za wspólnego małżonka. To właśnie owe dwie małżonki o niewypowiedzianych przymiotach, które ojciec ich wspomina w swoim Szir hasz-szirim, czyli w Pieśni nad pieśniami. Zastanawiaj się nad tym boskim epitalamium, zatrzymując się co dziewięć wersetów. - Dla ciebie, moja córko, przeznaczam daleko świętszy związek. Dwaj Thoamimowie, ci sami, których Grecy znali pod nazwiskiem

Dioskurów, a Fenicjanie - Kabirów, jednym słowem, Bliźnięta Zodiaku będą twoimi małżonkami. Co mówię?... serce twoje jest zbyt czułe... lękam się, aby jaki śmiertelnik... już brak piasku w klepsydrze... umieram.

Po tych słowach ojciec zniknął, a w miejscu, na którym spoczywał, znaleźliśmy tylko garstkę lekkiego i świetlnego popiołu. Zebrałem te szacowne szczątki, złożyłem je w umie i umieściłem w domowym tabernakulum, tuż pod skrzydłami cherubinów.

Pojmujecie, że nadzieja nieśmiertelności i posiadania dwóch niebiańskich małżonek podwoiła we mnie zapal do nauk kabalistycznych. Wszelako przez długie lata nie śmiałem wzbić się do nieograniczonej wysokości i poprzestałem na zawładnięciu przez moje zaklęcia kilku geniuszami osiemnastego stopnia. Jednakowoż z każdym rokiem nabierałem więcej śmiałości. Przeszłego lata zacząłem pracować nad pierwszymi wersetami Szir hasz-szirimu. Zaledwie pierwszy werset rozłożyłem, gdy wtem przeraźliwy łoskot, jak gdyby cały mój zamek walił się z posad, obił się o moje uszy. Nie przeląknęłem się zgoła; owszem, byłem przekonany, że praca wybornie mi się udaje. Przeszedłem do drugiego wersetu i gdy go ukończyłem, lampa z mego stołu zsunęła się na podłogę, podskoczyła kilka razy i znieruchomiła przed wielkim zwierciadłem, zawieszonym w głębi pokoju. Spojrzałem w zwierciadło i spostrzegłem końce dwóch prześlicznych kobiecych nóżek. Wnet za nimi pokazały się następne. Pochlebiałem sobie, że te zachwycające nóżki należą do niebiańskich córek Salomona, ale nie śmiałem prowadzić dalej moich działań.

Następnej nocy znowu wziąłem się do pracy i ujrzałem dwie pary nóżek do kostek; w dwadzieścia cztery godziny później już zaczynałem spostrzegać kolana, ale wtem słońce wyszło ze znaku Panny i musiałem zaprzestać.

Gdy słońce wkroczyło w znak Bliźniąt, siostra moja przedsięwzięła podobne działania i ujrzała nie mniej zadziwiające zjawisko, ale nie myślę wam opowiadać tego, co nie ma żadnego związku z moją własną historią.

W tym roku chciałem znowu rozpocząć przerwana pracę, gdy dowiedziałem się, że sławny adept ma właśnie przejeżdżać przez Kordowę. Sprzeczką, jaką miałem z tego powodu z moją siostrą, skłoniła mnie do odwiedzenia go. Spóźniłem się nieco z wyjazdem z domu i na wieczór stanąłem zaledwie w Venta Quemada. Znalazłem gospodę opuszczoną z powodu duchów, które ją nawiedzały; ponieważ jednak wcale się ich nie lękam, rozgościłem się w jadalnej izbie i rozkazałem małemu Nemraelowi, aby mi przyniósł wieczerzę. Nemrael jest to mały geniusz bardzo niskiego stopnia, którego używam do podobnych posyłek, i on to właśnie przyniósł twój list z Puerto-Lapiche. Poszedł do Andujar, gdzie nocował jakiś przeor benedyktynów, porwał mu bez ceremonii wieczerzę i przyniósł mi ją do gospody. Wieczerza składała się z pasztetu z kuropatw, który znalazłeś jeszcze nazajutrz z rana. Byłem jednak tak znużony, że zaledwie się jej dotknąłem: odesłałem więc Nemraela do mojej siostry, a sam położyłem się spać.

Śród nocy rozbudził mnie dźwięk zegara, bijącego północ. Po tej przygrywce czekałem na ukazanie się jakiegoś ducha i przygotowałem się na odpędzenie go, gdyż w ogóle są to przykrzy i nieproszeni goście. Podczas tych przygotowań ujrzałem nagle mocne światło na stole stojącym w pośrodku pokoju, następnie zjawił się mały błękitny rabiniek, który zaczął wybijać pokłony przed pulpitem, jak to zwykli czynić rabini podczas modlitwy. Miał zaledwie stopę wysokości i nie tylko jego szaty były błękitne, ale nawet twarz, broda, pulpit i księga. Poznałem natychmiast, że nie jest to duch, ale

geniusz dwudziestego siódmego stopnia. Nie wiedziałem, jak się nazywa, i wcale go dotąd nie znałem. Jednakże użyłem formuły, której powszechnie wszystkie duchy ulegają. Natenczas mały błękitny rabinek zwrócił się do mnie i rzekł:

- Zacząłeś całą twoją pracę na wspak i to jest przyczyną, dla której ujrzałeś naprzód nogi córek Salomona. Zaczynj od ostatnich wersetów i staraj się przede wszystkim odgadnąć imiona niebiańskich piękności.

To wyrzekłszy mały rabinek znikł bez żadnego śladu. To, oo mi powiedział, było przeciwne wszystkim zasadom kabalistyki; wszelako byłem tak nieprzezorny, że posłuchałem jego zdania. Zacząłem składać ostatni werset Szir hasz-szirimzi i szukając nazwisk dwóch nieśmiertelnych, wynalazłem imiona Emina i Zibelda. Mocno byłem zdziwiony, wszelako rozpocząłem zaklęcia, Wtedy ziemia straszliwie zadrżała pod moimi nogami, zdawało mi się, że niebo pęka mi nad głową, i padłem bez zmysłów.

Przyszedłszy do przytomności, ujrzałem się w miejscu połyskującym niezwykłym światłem. Kilku młodzieńców piękniejszych od aniołów trzymało mnie w objęciach, a jeden z nich rzekł do mnie:

- Synu Adama! powróć do zmysłów. Jesteś w mieszkaniu tych, którzy nie umierają. Rządzi nami patriarcha Enoch, który postępował przed Elohimem i porwany został z ziemi. Prorok Eliasz jest naszym arcykapłanem i wóz jego zawsze będzie na twoje rozkazy, skoro tylko zechcesz ubywać przejażdżki na której z planet. My jesteśmy egregorami, czyli dziećmi spółdzionymi z synów Elohinia i córek człowieczych. Zobaczysz także między nami kilku nefilimów, wszelako w małej liczbie. Pójdź, przedstawimy cię naszemu władcy.

Udałem się za nimi i stanąłem u stóp tronu, na którym Enoch zasiadał, Żadnym sposobem nie mógłbym znieść blasku jego oczu. nie śmiałem więc podnieść wzroku wyżej jak na jego brodę, która była podobna do tego bladego światła, jakie otacza księżyc podczas wilgotnych nocy. Obawiałem się, czy moje uszy będą w stanie znieść dźwięk jego głosu, ale głos ten był słodszy niż harmonia boskich organów. Pomimo to jeszcze go złągodził mówiąc do mnie:

- Synu Adama, natychmiast przywiodą ci twoje małżonki.

W tej samej chwili ujrzałem wchodzącego proroka Eliasza; trzymał za ręce dwie piękności, których wdzięków śmiertelni nigdy nie zdołaliby pojąć. Przez przejrzyste ich ciała można było widzieć dusze i dokładnie rozpoznać, jak ogień namiętności krąży im po żyłach i miesza się z krwią. Za nimi dwóch nefilimów niosło trójnog z kruszcu tak kosztowniejszego od złota, jak złoto droższe jest od ołowiu. Córki Salomona podały mi ręce i zawiesiły na szyi plecionkę utkaną ze swych włosów. W tej samej chwili żywy i czysty płomień wybuchnął z trójnoga i pożarł to wszystko, co miałem w sobie śmiertelnego. Zaprowadzono nas do sypialni, połyskującej świetnością i rozplomienionej miłością, otworzono ogromne okno, które wychodziło na trzecie niebo, i wnet zabrzmiały boskie śpiewy aniołów. Rozkosz ogarnęła mi zmysły...

Ale cóż wam mogę jeszcze powiedzieć? Nazajutrz z rana obudziłem się pod szubienicą Los Hermanos między dwoma ohydnyimi trupami, równie jak ten oto młody podróżny. Z tego wniosłem, że miałem do czynienia z niesłychanie złośliwymi duchami, których istoty nie znam dobrze. Lękam się nawet, aby ta przygoda nie zaszkodziła mi u prawdziwych córek Salomona, których tylko nóżki widziałeni.

- Nieszczęśliwy zaślepięncze - rzekł pustelnik - i czegoż to żałujesz? Wszystko jest złudzeniem w twojej przeklętej nauce. Duchy ciemności, które tylko naigrywały się z ciebie, zadały daleko straszniejsze męczarnie biednemu Paszeko. Bez wątpienia taki sam los oczekuje tego młodego wojskowego, który przez zgubną zatwardziałość nie chce wyznać win swoich. Alfonsie, synu mój, Alfonsie! żałuj za grzechy, jeszcze masz czas na to.

Zniecierpliwił mnie upór pustelnika w żądaniu ode mnie wyznań, których nie chciałem mu udzielić. Zimno mu odpowiedziałem, że wielce szanuję jego święte przestrogi, ale że poczucie honoru jest główną zasadą mego postępowania, po czym zaczęliśmy mówić o czym innym.

- Senor Alfonsie - rzekł kabalista - ponieważ inkwizycja cię ściga, a król rozkazuje ci trzy miesiące przepędzić na tej pustyni, ofiaruję ci mój zamek. Poznasz moją siostrę Rebekę, która równie jest piękna jak uczona. Tak jest, pójdź ze mną; pochodzisz z Gomelezów, a krew ta niejedno ma prawo do naszego współczucia.

Spojrzałem na pustelnika, aby odgadnąć z jego oczu, co myśli o tym zamiarze. Zdawało się, że kabalista przeniknął moje wątpliwości, gdyż zwróciwszy się do pustelnika, rzekł:

- Mój ojczcie, znam cię lepiej, aniżeli się tego domyślasz. Wiara nadaje ci wielką potęgę. Moje środki, chociaż nie tak święte, jednakowoż nie są diabelskie. Racz także przyjąć u mnie gościnę wraz z Paszekiem, którego - bądź tego pewny - zupełnie wyleczę.

Zanim pustelnik odpowiedział, zaczął się modlić; po chwili namysłu zbliżył się do nas z wesołą twarzą i rzekł, że gotów jest nam towarzyszyć. Kabalista pochylił głowę na prawe ramię i kazał przyprowadzić konie. Wnet ujrzelśmy przed drzwiami pustelni parę pięknych koni dla nas obu i dwa muły dla pustelnika i opętanego. Chociaż zamek oddalony był o dzień drogi, jak nam powiedział Ben Mamun, przecież w przeciągu godziny stanęliśmy u kresu podróży.

Przez cały czas Ben Mamun opowiadał mi o swojej uczonej siostrze, tak że spodziewałem się ujrzeć jakąś Medeę z czarnym włosom, z laską czarodziejską w ręce. mrużącą niezrozumiałe, kabalistyczne wyrazy. Zawiodłem się w moich oczekiwaniach. Zachwycająca Rebeka, która nas przyjęła u bramy zamkowej, była najrozkoszniejszą, najbardziej czarującą blondynką, jaką można sobie wyobrazić. Piękne złote włosy opadały jej z naturalnym wdziękiem na ramiona; śnieżysta suknia, spięta zapinkami nieocenionej wartości, spływała luźno po jej uroczej kibici. Zdawało się z powierzchowności, że mało dba o strój; wszelako, gdyby nawet było przeciwnie, nie mogłaby powabniej podnieść uroku czarownych wdzięków.

Rebeka rzuciła się bratu na szyję, mówiąc:

- Jakże byłem niespokojna o ciebie, zwłaszcza pierwszej nocy. kiedy to żadnym sposobem nie mogłam dowiedzieć się, co się z tobą stało. Cóż przez ten czas porabiałeś?

- Później ci opowiem - odrzekł Ben Mamun. - Teraz staraj się dobrze przyjąć gości, których ci przyprowadzam. Oto jest pustelnik z doliny, ten młodzieniec zaś pochodzi z rodziny Gomelezów.

Rebeka spojrzała obojętnie na pustelnika, ale rzuciwszy wzrok na mnie, spłonęła lekkim rumieńcem i rzekła ze smutkiem:

- Spodziewam się, że na szczęście senor do nas nie należysz.

Weszliśmy do zamku i wnet podniesiono za nami most zwodzony. Zamek był obszerny i utrzymany w największym porządku, chociaż służba składała się tylko z Mulata i Mulatki w tym samym wieku. Ben Mamun zaprowadził nas naprzód do swojej biblioteki; była to mała, okrągła komnata, służąca zarazem za pokój jadalny. Mulat rozesał obrus, przyniósł olla podridę i cztery nakrycia, Rebeka bowiem nie siadła z nami do stołu. Pustelnik, udobruchany, jadł więcej niż zazwyczaj. Paszeko, choć nadał ślepy na jedno oko, uspokoił się w swym opętaniu, nie rozchmurzył jednak oblicza i siedział w milczeniu. Ben Mamun smacznie zajadał, ale ciągle był roztargniony i wyznał nam, że wczorajsza przygoda bezustannie krąży mu po głowie. Gdy wstaliśmy od stołu, rzekł:

- Drodzy goście, oto są książki dla waszej zabawy. Mój Mulat jest na wasze rozkazy; tymczasem pozwólcie mi oddalić się. mam niektóre ważne zatrudnienia z moją siostrą. Zobaczymy się jutro w godzinie obiadowej.

Ben Mamun odszedł i zostawił nas, że tak powiem, panami całego zamku. Pustelnik wziął z biblioteki legendę o pierwszych ojcach, żyjących samotnie na pustym, i rozkazał Paszekowi, aby mu przeczytał kilka rozdziałów. Ja wyszedłem na taras zamkowy, zwieszający się nad przepaścią, w głębi której niewidzialny potok huczał z łoskotem. Jakkolwiek okolica smutną mi się wydała, z niesłychanym jednak zadowoleniem wpatrywałem się w nią lub raczej oddawałem się wrażeniom niezwykłego widoku. Nie tyle smutek mnie ogarnął, jak raczej wszystkie władze mego umysłu uległy odrętwieniu, wywołanemu przez okropne wzruszenia, jakich w ciągu tych kilku dni doznałem. Im bardziej zastanawiałem się nad doświadczonymi przygodami, tym mniej je rozumiałem; nareszcie nie śmiałem już o nich myśleć z obawy, abym całkiem nie postradał rozumu. Nadzieja przepędzenia kilku spokojnych dni w zamku Uzedy ukołysała nieco moją znękaną duszę. Tak rozmyślając, powróciłem do biblioteki. Przy schyłku dnia Mulat zastawił nam wieczerzę, złożoną z zimnego mięsiwa i suchych owoców; nie było jednak mięsa zwierząt nieczystych. Następnie rozłączyliśmy się: zaprowadzono Pustelnika i Paszeka do jednego, mnie zaś do drugiego pokoju.

Położyłem się i zasnąłem, wkrótce jednak piękna Rebeka obudziła mnie, mówiąc:

- Senior Alfonsie, wybacz, że považam się sen ci przerwać. Wracam od mego brata, z którym czyniliśmy najstraszliwsze zaklęcia, aby poznać istotę duchów, które go napastowały w Venta Quemada, ale usiłowania nasze pozostały bez skutku. Mniemamy, że stał się igraszką baalimów, nad którymi nie posiadamy żadnej władzy. Jednakże kraina Enocha jest rzeczywiście taka, jaką ją widział. Wszystko to jest dla nas niesłychanie ważne i zaklinam cię, abyś nam opowiedział własne twoje przygody.

To mówiąc Rebeka usiadła na łóżku obok mnie, ale zdawała się zajęta jedynie tajemnicą, której wyjaśnienia żądała ode mnie. Wszelako wytrwałem w milczeniu i poprzestałem na oświadczeniu, że poprzysiągłem na honor nie wspominać przed nikim o tym, co widziałem.

- Jak możesz jednak mniemać, senior Alfonsie - mówiła dalej Rebeka - ażeby słowo honoru dane dwom szatanom było obowiązujące? Dowiedzieliśmy się już, że są to dwa złe duchy niewieście, z których jeden zwie się Eminą, drugi zaś Zibeldą, wszelako nie możemy dotąd przeniknąć istoty tych szatanów, gdyż w naszej nauce, jak we wszystkich innych, nie można wszystkiego wiedzieć.

Dałem znowu odmowną odpowiedź i prosiłem piękną dziewczynę, aby mi więcej o tym nie wspominała. Natenczas spojrzała na mnie z wyrazem nieopisanej łagodności i rzekła:

- Jakże szczęśliwy jesteś, że możesz trzymać się zasad cnoty, które kierują wszystkimi twoimi uczynkami! Jakiej spokojności sumienia możesz kosztować! Jakże nasz los różny jest od twojego! Chcielibyśmy ujrzeć rzeczy niedostrzeżone dla śmiertelnego wzroku i zrozumieć to, czego umysł ludzki nie jest w stanie pojąć. Ja nie jestem stworzona do tych nadziemskich umiejętności; cóż mi przyjdzie po marnym panowaniu nad złymi duchami? Wolałabym stokroć bardziej panować nad sercem przywiązanego małżonka, ale mój ojciec tak chciał i muszę ulec memu przeznaczeniu.

Przy tych słowach Rebeka dobyła chustki i otarła łzy, perłami spadające po jej pięknym obliczu, po czym dodała:

- Senor Alfonsie, pozwól mi wrócić jutro o tej samej godzinie i jeszcze raz starać się przewyciężyć twój upór, czyli, jak ty to nazywasz, niezłomne przywiązanie do twego słowa. Wkrótce słońce przejdzie w znak Panny, wtedy nie będzie już czasu i spełni się przeznaczenie.

Na pożegnanie Rebeka ścisnęła mi rękę z wyrazem przyjaźni i zdawała się z przykrością wracać do swoich kabalistycznych zatrudnień.

Dzień dziesiąty

Obudziłem się wcześniej niż zazwyczaj i wyszedłem na taras, aby odetchnąć świeżym powietrzem, zanim słońce je rozpali. Spokój panował dokoła, potok nawet zdawał się huczeć z mniejszym łoskotem i pozwalała słyszeć harmonijne śpiewy ptasząt. Pogoda żywiołów odbiła się w mej duszy i mogłem na zimno zastanowić się na tym wszystkim, co mi się wydarzyło od czasu mego wyjazdu z Kadyksu. Teraz dopiero przypomniałem sobie kilka wyrazów, które przypadkiem wymknęły się don Henrykowi de Sa, wielkorządcy prowincji, i osądziłem, że on także musiał coś wiedzieć o tajemniczym bycie Gomelezów, a nawet mieć udział w części całej tajemnicy. Sam nastręczył mi dwóch służących, Lopeza i Moskita. przypuszczałem więc, że ci z jego rozkazu opuścili mnie u wejścia do nieszczęsnej doliny Los Hermanos. Moje kuzynki często dawały mi do zrozumienia, że chciano wystawie mnie na próby. Myślałem, że w Venta Quemada dano mi usypiający napój i następnie podczas snu przeniesiono pod szubienicę. Paszeko mógł oślepnąć na jedno oko z całkiem innego przypadku, a jego miłosne stosunki i straszna przygoda z dwoma wisielcami mogły być bajką. Pustelnik, który za pomocą spowiedzi chciał wyrwać mi tajemnicę, zdawał mi się być narzędziem Gomelezów dla doświadczenia mojej stałości.

Nareszcie zaczynałem jaśniej przeziierać w całym tumanie moich przygód i wykładać je bez przypuszczenia uczestnictwa nadludzkich istot, gdy wtęm usłyszałem dźwięki wesolej muzyki, z dala okrążające górę. Muzyka coraz się przybliżała i spostrzegłem nadchodzącą bandę Cyganów, która w takt postępowała, śpiewając z towarzyszeniem bębnów i żeli. Rozłożyli się obozem tuż pod tarasem, tak że dokładnie mogłem. podziwiać swoisty wykwint ich strojów i taboru. Myślałem, że to ci sami Cygani-złodzieje, pod których opiekę schronił się oberżysta z Venta de Cardenas, jak mi to powiedział pustelnik, ale wydali mi się cokolwiek zanadto ogładzeni jak na łotrów. Podczas gdy się im przypatrywałem, rozbijali namioty, stawiali kociołki na ogniu i zawieszali kołyski z dziećmi na

gałęziach pobliskich drzew. Po ukończeniu wszystkich tych przygotowań oddali się przyjemnościom koczowniczego życia, wśród których na pierwszym miejscu kładą próżniactwo.

Namiet naczelnika odróżniał się od innych nie tylko wielką buławą ze srebrną gałką, zatknietą przy wejściu, ale nadto ozdobniejszą powierzchownością i bogatymi frędzlami, jakich zwykle nie widać u pospolitych Cyganów. Ale jakież było moje zadziwienie, gdy z otwierającego się namiotu nagle ujrzałem wychodzące obie moje kuzynki w tym powabnym stroju, jaki w Hiszpanii nazywają a la gitana maja. Zbliżyły się aż do stóp tarasu, ale zdawały się wcale mnie nie spostrzegać. Następnie przywołały towarzyszek i zaczęły tańczyć polo na znaną melodię:

Quando me Paco me azze,

Las palmas para vaylar,

Me se puene el corpecito

Como hecho de mazzapan... etc.

Jeżeli piękna Emina i luba Zibelda zawróciły mi głowę ubrane po mauretańsku, nie mniej zachwyciły mnie w tym nowym stroju. Zauważyłem tylko, że tym razem przybrały złośliwy i szydyczny uśmiech, który aczkolwiek dość był stosowny dla cygańskich wróżek, jednak zapowiadał, że dziewczęta chcą mi wyrządzić nową psotę, ukazując się pod tą nową i niespodziewaną postacią.

Zamek kabalisty był zewsząd pozamykany; gospodarz miał klucze u siebie, nie mogłem więc zejść do Cyganek. Przechodząc jednak podziemiem, które wychodziło na łóżysko potoku i kończyło się żelazną kratą. mogłem z bliska je widzieć, a nawet rozmawiać z nimi, nie będąc wcale dostrzeżonym przez mieszkańców zamku. Udałem się więc tym tajemnym przejściem i niebawem tylko potok oddzielał mnie od tancerek. Ale to wcale nie były moje kuzynki. Wygląd ich wydał mi się nawet bardzo pospolity i zupełnie stosowny do ich stanu.

Zawstydzony moją pomyłką, wolnym krokiem wróciłem na taras. Wtedy znowu spojrzałem i znowu jak najwyraźniej poznałem moje kuzynki. Zdało mi się, że one także mnie poznały, gdyż wybuchnęły głośnym śmiechem i uciekły do namiotów.

Byłem oburzony. - Przebóg! - rzekłem sam do siebie - możeż to być, aby dwa tak miłe i rozkoszne stworzenia były złośliwymi duchami, nawykłymi drwić ze śmiertelnych, przybierając kształty wszelkiego rodzaju. albo czarownicami, lub też. co byłoby najstraszliwsze. upiorami, którym niebo dozwoliło ożywić ohydne trupy wisielców z doliny Los Hermanos? Wprawdzie mniemałem, że zdołam sobie te rzeczy zwykłym sposobem wytłumaczyć, ale teraz sam już nie wiedziałem, czemu mam wierzyć.

Zagłębiając się w podobnych rozmyślaniach, powróciłem do biblioteki, gdzie znalazłem na stole wielką księgę, pisaną gotyckimi literami, pod tytułem Ciekawe opowiadania Happeliusa. Księga była rozłożona i stronica jakby naumyślnie zagięta na początku rozdziału, w którym przeczytałem, co następuje:

HISTORIA TYBALDA DE LA JACQUIERE

Żył raz w pewnym mieście francuskim, położonym nad brzegami Rodanu i zwanym Lyon, bogaty kupiec nazwiskiem Jakub de La Jacquiere. Ów Jakub wtedy przybrał to nazwisko, gdy porzucił handel i obrany został pierwszym radcą, której to godności lyończycy udzielają tylko ludziom majątnym i nieposzlakowanej uczciwości. Takim był w istocie zacny radca de La Jacquiere: miłosierny dla ubogich i dobroczynny dla mnichów i księży, którzy są prawdziwymi ubogimi przed Panem.

Ale zupełnie był odmienny od ojca jedyny syn radcy, imię pan Tybald de La Jacquiere, chorąży królewskiej gwardii - szalapat, zawadiaka, napastnik dziewcząt, kostera, nieprzyjaciel szyb i latarni, pijak i przeklinacz za dziesięciu majtków. Często w nocy zdarzało mu się zatrzymywać na ulicy spokojnych mieszczan, aby zamienić z nimi swój stary płaszcz lub zużyty kapelusz na nową odzież. Niebawem imię pan Tybald napełnił odgłosem swoich sprawek Paryż, Blois, Fontainebleau i inne rezydencje królewskie. Wreszcie doszły one do uszu naszego Najjaśniejszego Pana, świętej pamięci Franciszka I. Zniecierpliwiony wybrykami zuchwałego żołdaka, wysłał go do Lyonu na pokutę do domu ojca, zacnego radcy de La Jacquiere, który naówczas mieszkał przy placu Bellecour, na rogu ulicy St. Ramond.

W domu ojcowskim przyjęto młodego Tybalda z taką radością, jak gdyby powracał z Rzymu, obdarowany wszystkimi odpustami Ojca świętego. Nie tylko, że zabito tłuste cielę na jego przybycie, ale nadto radca de La Jacquiere wyprawił ucztę, która kosztowała więcej sztuk złota, niż było biesiadników. Uczyniono nawet więcej. Wzniesiono toasty za zdrowie jedynaka i każdy życzył mu roztropności i opamiętania. Ale te przyjazne oświadczenia bynajmniej nie przypadły mu do smaku. Rozpustnik wziął ze stołu złotą czarę i napełniwszy ją winem, zawołał:

- Do milionkroć stu tysięcy diabłów wraz z ich naczelnikiem, któremu w tym winie zapisuję krew i duszę, jeżeli się kiedykolwiek odmienię!

Na te straszliwe słowa włosy najeżyły się na głowach biesiadników, niektórzy przeżegnali się, inni powstali od stołu. Imię pan Tybald wstał także i udał się na przechadzkę na plac Bellecour, gdzie znalazł dwóch swoich dawnych kolegów, podobnych sobie hul-tajów. Uściskał ich, przyprowadził do domu i kazał przynieść dla nich kilka flaszek wina, nie troszcząc się wcale ani o ojca, ani o resztę biesiadników.

Tak sprawił się Tybald pierwszego dnia po powrocie. Nazajutrz powtórzył to samo i ciągle dalej żył tym samym sposobem.

Biedny ojciec, trawiony smutkiem, postanowił polecić się swemu patronowi, świętemu Jakubowi, i złożyć na jego ołtarzu świecę woskową za dziesięć liwrów, ozdobioną dwoma złotymi pierścieniami, każdy za pięć marek. Ale właśnie gdy chciał umieścić świecę na ołtarzu, przewrócił srebrną lampę, która paliła się przed świętym obrazem. Radca dla innego powodu kazał być ulać tę świecę, ale mając przed oczami przede wszystkim nawrócenie syna, z radością uczynił tę ofiarę; skoro jednak ujrzał świecę na ziemi i lampę przewróconą, wyciągnął z tego nieszczęsną przepowiednię i ze smutkiem powrócił do domu.

Tego samego dnia Tybald wyprawił ucztę dla swoich przyjaciół. Po wypróżnieniu mnóstwa butelek, gdy noc już od dawna była zapadła, wyszli razem na plac Bellecour. Tam wszyscy trzej wzięli się pod

ręce i zaczęli z zadartymi głowami przechadzać się po placu, jak to zwykli czynić rozpustnicy, kiedy chcą zwrócić uwagę dziewcząt. Tym razem jednak nic nie wskórali; nie było żadnej kobiety na placu, a noc była tak czarna, że niepodobna było zobaczyć którejś w oknie. Gdy tak znudzili się już tą samotnością, młody Tybald, dobywszy grubego głosu i klnąc według zwyczaju, zawołał:

- Do milionkroć stu tysięcy diabłów wraz z ich naczelnikiem, któremu w tej chwili zapisuję krew i duszę, jeżeli przyśle mi tu swoją córkę! Przespałbym się z nią. tak mię to wino rozgrzało.

Mowa ta nie podobała się dwom przyjaciołom Tybalda, którzy nie byli jeszcze tak zatwardziałymi grzesznikami, i jeden z nich rzekł:

- Przyjacielu nasz, pomyśl, że szatan jest wiecznym wrogiem człowieka i że aby mu zaszkodził, nie potrzeba go zapraszać ani wzywać po nazwisku.

Na co Tybald odrzekł:

- Jakom powiedział, tak uczynię.

Tymczasem trzej hultaje ujrzeni wychodzącą z sąsiedniej ulicy zasłoniętą kobietę udatnej kibici i, jak się zdawało, bardzo młodą. Za nią biegł mały Murzynek, ale nagle potknął się, padł na twarz i stukł latarnię, którą niósł w ręku. Młoda nieznajoma przelęknęła się i obróciła dokoła, jakby nie wiedząc, co z sobą począć. Natenczas imć pan Tybald zbliżył się i, jak mógł na j grzeczniej, ofiarował ramię, aby ją odprowadzić do domu. Biedna dziewczyna po chwili namysłu przyjęła tę ofiarę. Imć pan Tybald, zwracając się do przyjaciół, rzekł im półgłosem:

- Widzicie więc. że ten, kogo wzywałem, niedługo kazał na siebie czekać. Do widzenia, życzę wam spokojnej nocy.

Dwaj przyjaciele zrozumieli te słowa i opuścili go, śmiejąc się i życząc mu wesołej zabawy.

Tybald podał więc rękę nieznajomej, podczas gdy mały Murzynek, któremu latarnia była zgasta, postępował przed nimi. Młoda kobieta zdawała się z początku tak zmieszana, że zaledwie mogła utrzymać się na nogach, ale niebawem przyszła do siebie i śmieiej wsparła się na ramieniu towarzysza. Kilka razy potykała się; wtedy ścisła go za rękę, aby nie upaść. Tybald ze swej strony, pragnąc ją przytrzymać, przyciskał jej rękę do serca, zawsze jednak z wielką ostrożnością, ażeby nie spłoszyć zwierzyny.

Tak długo szli razem, że nareszcie Tybald mniemał, iż zabłądzili w ulicach Lyonu. Nie użalał się jednak, gdyż sądził, że tym sposobem piękna zabłąkana będzie -mniej się drożyła. Wszelako, chcąc się naprzód dowiedzieć, z kim ma do czynienia, prosił ją, aby raczyła wypocząć przez chwilę na kamiennej ławce, którą spostrzegli przed drzwiami jakiegoś domu. Nieznajo-ma zgodziła się i usiedli obok siebie. Natenczas Tybald grzecznie ujął ją za rękę i z niezwykłym dowcipem tak się odezwał:

- Piękna gwiazdo błędna, ponieważ moja gwiazda zrządziła, że cię spotkałem tej nocy, uczyni mi tę łaskę i powiedz mi, kto jesteś i gdzie mieszkasz.

Młoda kobieta zrazu wahała się, po chwili jednak nabrała odwagi i zaczęła w te słowa:

HISTORIA POWABNEGO DZIEWCZĘCIA Z ZAMKU SOMBRE ROCHE

Nazywam się Orlandyna, przynajmniej tak mnie nazywało kilka osób, które zamieszkiwały wraz ze mną zamek Sombre Roche w Pirenejach. Nie widziałam tam żadnego ludzkiego stworzenia, prócz mojej ochmistrzyni, która była głucha, służącej, która tak mocno jękała się, że można było uważać ją za niemą, oraz starego ślepego odźwiernego.

Odźwierny niewiele miał do czynienia, gdyż raz tylko na rok otwierał bramę, i to jednemu wyłącznie jegomości, który przychodził do nas, aby pogłaskać mnie pod brodę i porozmawiać z moją ochmistrzynią w narzeczu biskajskim, którego wcale nie rozumiem. Na szczęście umiałam już mówić, gdy zamknięto mnie w zamku Sombre Roche, inaczej nigdy nie byłabym się nauczyła z dwiema towarzyszkami mego więzienia. Co się tyczy ślepego odźwiernego, widziałam go tylko, kiedy podawał nam obiad przez jedyne nasze kratowane okno. Wprawdzie moja głucha ochmistrzyni niekiedy krzyczała mi nad uszami jakieś nauki moralne, ale tyle je rozumiałam, jak gdybym była równie głucha jak ona, gdyż mówiła mi o powinnościach małżeńskich nie tłumacząc nigdy, co to jest małżeństwo. Prawiła mi nieraz i o innych rzeczach, ale nigdy nie chciała mi dać żadnego wyjaśnienia. Często też jękająca się służąca usiłowała opowiedzieć mi jaką historię, o której zabawności mnie zapewniała, ale nie mogąc nigdy dojść do drugiego zdania, wnet urywała i pierwsze i odchodziła, jękając usprawiedliwienia, które równie trudno jej szły jak cała historia.

Powiedziałam ci, że miałyśmy jedno tylko okno, czyli że jedno tylko wychodziło na podwórzec zamkowy; inne otwierały się na drugie podwórze, zasadzone kilku drzewami, przedstawiającymi ogród, którego jedyne wyjście prowadziło do mego pokoju. Pielęgnowałam tam niektóre kwiaty i to było całą moją przyjemnością. Mylę się, miałam jeszcze jedną, równie niewinną zabawę. Było to wielkie zwierciadło, w którym przeglądałam się każdego poranku, jak tylko wstałam z łóżka. Moja ochmistrzyni, rozebrana, przychodziła przeglądać się również i bawiłam się porównywaniem jej postaci z moją. Oddawałam się tej rozrywce także przed pójściem na spoczynek, gdy ochmistrzyni głęboko już spała. Czasami wyobrażałam sobie, że widzę w zwierciadle towarzyszkę w moim wieku, która odpowiada na moje poruszenia i dzieli moje uczucia. Im więcej oddawałam się złudzeniu, tym bardziej ta igraszka mnie bawiła.

Mówiłam ci już o pewnym jegomościu, który raz na rok przybywał do zamku, głaskał mnie pod brodę i rozmawiał w narzeczu biskajskim z moją ochmistrzynią. Pewnego dnia jegomość ten, zamiast pogłaskać pod brodę, wziął mnie za rękę i zaprowadził do karety, w której zamknął mnie z moją ochmistrzynią. Śmiało mogę rzec, że zamknął nas, gdyż światło dochodziło tylko z góry.

Wyszliśmy z niej trzeciego dnia albo raczej trzeciej nocy, już bowiem było dobrze ciemno, gdy stanęliśmy u celu naszej podróży. Jakiś nieznamy otworzył drzwiczki od karety i rzekł:

- Oto jesteście na placu Bellecour, przy wejściu na ulicę St. Ramond, ten zaś dom na rogu należy do radcy de La Jacquiere. Gdzież chcecie, aby was teraz zawieziono?

- Każ zajechać w pierwszą bramę za domem radcy - odpowiedziała moja ochmistrzyni.

Tu Tybald natężył całą uwagę, gdyż w istocie sąsiedował z pewnym szlachcicem, nazwiskiem de Sombre Roche, który uchodził za niesłychanie zazdrosnego. Kilkakrotnie chełpił się przed Tybaldem, że mu pokaże, iż można mieć wierną żonę; mówił, że wychowuje w zamku swoim powabne dziewczę, które poślubi. by potwierdzić prawdę swego zdania. Ale młody Tybald wcale nie wiedział, że dziewczę

znajduje się w tej chwili w Lyonie, i mocno cieszył się, że je do swoich rąk dostał. Tymczasem Orlandyna tak dalej mówiła:

- Zajechaliśmy więc do bramy, stąd zaprowadzono nas do obszernych i bogatych komnat, stamtąd zaś kręconymi schodami do wieży, z której, jak mi się zdawało, można by widzieć przy dniu całe miasto. Ale myliłam się, w dzień nawet niepodobna było nic dostrzec. gdyż gęste zielone sukno zasłaniało okna. Natomiast wieża oświetlona była złożonym kryształowym Pajakiem. Ochmistrzyni posadziła mnie na krześle i dała swój różaniec do zabawy, sama zaś wyszła i zaryglowała drzwi za sobą.

Gdy zostałam sama, porzuciłam różaniec, wzięłam nożyczki, które miałam u pasa. i rozcięłam zielone sukno zasłaniające mi okno. Wtedy ujrzałam obok drugie okno, a przez to okno - rzęście oświetloną komnatę, w której siedziało u stołu trzy młode dziewczęta i trzech młodych ludzi, piękniejszych, niż można sobie wyobrazić. Śpiewali, pili, śmieli się i umizgali do dziewcząt, czasem nawet głaskali je pod brodę, ale z odmiennym wyrazem twarzy niż ów jegomość w Sombre Roche, który jednak po to tylko przyjeżdżał do naszego zamku. Nadto dziewczęta te i owi młodzi ludzie zaczęli po trochu zrzucać odzienie, podobnie jak ja to zwykłam czynić wieczorami przed zwierciadłem. W istocie, robili to tak jak ja, a nie tak jak moja stara ochmistrzyni.

Na te słowa Tybald poznał, że chodziło o wieczerzę, którą wczoraj wyprawił był swoim przyjaciołom, objął więc ręką wysmukłą kibić Orlandyny i przycisnął ją do serca.

- Tak samo czynili ci młodzi ludzie - mówiła dalej Orlandyna. - W istocie, zdaje mi się, że musieli się nadzwyczajnie kochać. Nareszcie jeden z biesiadników rzekł, że potrafi kochać lepiej od innych. Dwaj pozostali utrzymywali to samo o sobie. Dziewczęta różniły się w zdaniach. Wtenczas młodzienc, który pierwszy chełpił się swą umiejętnością, by udowodnić, że ma słuszność, wpadł na szczególny pomysł.

Na te słowa Tybald, który dobrze pamiętał przebieg biesiady, o mało nie udusił się ze śmiechu.

- A zatem - rzekł - piękna Orlandyno. cóż to za pomysł, na który wpadł ów młody człowiek?

Ach, nie śmiej się, senor; zapewniam cię, że był to nadzwyczaj przyjemny pomysł i ciekawość moja coraz wzrastała, gdy nagle drzwi otworzyły się; poskoczyłam szybko do mego różańca, ochmistrzyni bowiem wchodziła.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do karety, która nie była już tak zamknięta jak wczorajsza, i gdyby noc nie była tak ciemna, byłabym mogła dokładnie widzieć cały Lyon. ale tak zauważyłam tylko, że jedziemy gdzieś bardzo daleko. Wkrótce minęliśmy mury miasta i zatrzymaliśmy się przy ostatnim domu przedmieścia. Na pozór była to zwyczajna chata, strzechą nawet pokryta, ale wewnątrz jej całkiem było odmierne, jak się sam o tym przekonasz, jeżeli mały Murzynek nie zapomniał drogi, widzę bowiem, że wystarał się o światło i zapalił latarnię.

Na tym Orlandyna skończyła swoją historię. Tybald pocałował ją w rękę i rzekł:

- Racz, piękna zabłąkana, powiedz mi, czy sama mieszkasz w tej chatce?

- Zupełnie sama - odrzekła nieznajoma - z ochmistrzynią tylko i tym małym Murzynkiem. Ale nie sądzę, żeby ochmistrzyni zdążyła dziś wrócić do domu. Jegomość, który przyjeżdżał głaskać mnie pod

brodę, kazał mi przyjść z nią do swojej siostry. Ponieważ nie mógł przysłać karety, którą posłał po księdza, posłaliśmy piechotę. Ktoś zatrzymał nas na ulicy, aby mi powiedzieć, że jestem piękna. Głucha ochmistrzyni sądziła, że dopuścił się grubiaństwa. i zaczęła mu odpowiadać. Nadeszło wiele ludzi i wmieszano się do sprzeczki. Przeleżałam się i jęłam uciekać co sił. Murzynek pobiegł za mną, upadł i stłukł latarnię; sama nie wiedziałam, co począć, gdy na szczęście spotkałam pana.

Tybald, zachwycony prostotą tego opowiadania, brał się znowu do umizgów, gdy wtem Murzynek przyniósł zapaloną latarnię, której światło padło na twarz Tybalda.

- Co widzę! - krzyknęła Orlandyna - ten sam, który wczoraj chełpił się swą umiejętnością!

- Najniższy sługa - odparł Tybald - wszelako zapewniam cię, że to, co robiłem wczoraj, jest niczym w porównaniu do tego, czego się może po mnie spodziewać kobieta uczciwa i szlachetna. A żadna z wczorajszych dziewcząt na takie miano nie zasługuje.

- Jak to? Zdawało się przecież, że tak kochasz te trzy dziewczęta! - przerwała Orlandyna.

- O jeden dowód więcej, że żadnej z nich nie kocham naprawdę - rzekł Tybald.

Orlandyna szczebiotała, Tybald przymilał się do niej i tak, sami nie wiedząc kiedy, zaszli na koniec przedmieścia do samotnej chatki, której drzwi Murzynek otworzył kluczem zawieszonym u pasa. Wnętrze jej nie miało w sobie nic z wieśniaczego ubóstwa. Koberce flamandzkie, tkane w przepiękne wzory wyobrażające żywe, zda się, postacie, pokrywały ściany. U sufitu wisały pająki z gałęziami ze szczerzego srebra. Kosztowne szafy z kości słoniowej i z hebanu, fotele z genueńskiego aksamitu, ozdobione złotymi frędzlami, stały obok sprężystych sof, powleczonej morą wenecką. Tybald na to wszystko jednak nie zważał, widział tylko Orlandynę i oczekiwał rozwiązania dziwnej przygody.

Tymczasem Murzynek przyszedł nakryć do stołu i Tybald wtedy dopiero spostrzegł, że nie jest to dziecko, jak zrazu sądził, ale stary, czarny karzeł obrzydliwej postaci. Wszelako mały człeczek przyniósł rzeczy, które wcale nie były brzydkie: wielki złoty półmisek, na którym kurzyły się cztery kuropatwy, smakowite i wybornie przyrządzone, pod pachą zaś flaszkę korzennego wina. Zaledwie Tybald podjadł i napił się, wnet uczuł, jak gdyby ogień krążył mu po żyłach. Co do Orlandyny, ta mało jadła, ale ciągle spoglądała na swego współbiedniaka, raz rzucając mu czułe i niewinne spojrzenia, to znowu wpatrując się weń tak złośliwymi oczyma, że młodzieniec miewał się wyraźnie.

Na koniec Murzynek przyszedł sprzątnąć ze stołu.

Wtedy Orlandyna wzięła Tybalda za rękę i rzekła:

- Piękny kawalerze, jakże spędzimy ten wieczór? Tybald nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Przychodzi mi pewna myśl - mówiła dalej. - Widzisz to wielkie zwierciadło? Chodźmy stroić w nim miny, jak to niegdyś czyniłam w zamku Sombre Roche. Bawiło mnie wówczas porównywanie postaci mojej ochmistrzyni z moją; teraz chciałabym zobaczyć różnicę, jaka zachodzi między tobą a mną.

Orlandyna przysunęła krzesła przed zwierciadło, po czym odpięła krezę Tybalda i rzekła:

- Masz szyję prawie taką jak moja, ramiona też - lecz jakże odmienne piersi! Przed rokiem nie byłoby jeszcze tej różnicy, ale dziś moich wprost poznać nie mogę, takiej zmianie uległy. Zrzuć, proszę, twój pas i rozepnij kaftan. Cóż to za frędzle?...

Tybald nie panował już nad sobą, poniósł Orlandynę na sofę i uważał się za najszcześniejszego z ludzi... Nagle doznał uczucia, jak gdyby kto szpony zapuszczał mu w szyję.

- Orlandyno! - zawołał - Orlandyno, co to ma znaczyć?

Nie było już Orlandyny; Tybald ujrzał w jej miejscu okropne, nie znane mu dotąd kształty.

- Jam nie Orlandyna - krzyknął potwór straszliwym głosem - jam Lucyfer!

Tybald chciał wezwać Zbawiciela na pomoc, ale szatan, który odgadł jego zamysł, schwycił go zębami za gardło i nie pozwolił wymówić tego świętego imienia.

Nazajutrz wieśniacy idący z jarzynami na targ do Lyonu usłyszeli jęki w opuszczonej ruderze przydrożnej, dokąd wyrzucano padlinę. Weszli i znaleźli Tybalda leżącego na gnijącym ścierwie. Wzięli go, zanieśli do miasta i nieszczęśliwy de La Jacquiere poznał swego syna.

Położono go na łóżku; wkrótce Tybald zdawał się przychodzić do zmysłów i słabym, prawie niezrozumiałym głosem rzekł:

- Otwórzcie drzwi temu świętemu pustelnikowi, otwórzcie czym prędzej.

Z początku nie rozumiano go, otworzono jednak drzwi i ujrano czcigodnego zakonnika, który rozkazał, aby go zostawiono sam na sam z Tybaldem. Uczyniono zadość jego żądaniu i drzwi za nim zamknięto.

Długo słyszano jeszcze napominania pustelnika, na które Tybald odpowiadał mocnym głosem:

- Tak jest, mój ojczu, żałuję za grzechy i całą nadzieję pokładam w miłosierdziu boskim.

Wreszcie, gdy wszystko ucichło, otworzono drzwi. Pustelnik znikł, Tybald zaś leżał umarty z krzyżykiem w rękach.

Zaledwie skończyłem tę historię, gdy wszedł kabalista i zdawał się chcieć wyczytać z moich oczu wrażenie, jakiego doświadczyłem. Wprawdzie przygody Tybalda mocno mnie zadziwiły, ale nie chciałem tego pokazać i odszedłem do siebie. Tu znowu zacząłem zagłębiać się nad własnymi wypadkami i prawie dawać wiarę, że szatany dla złudzenia mnie ożywiły trupy dwóch wisielców i że kto wie, czy nie jestem drugim Tybaldem.

Zadzwoniono na obiad. Kabalista nie przyszedł do stołu. Wszyscy zdawali się być roztargnionymi, może dlatego, że sam nie mogłem zebrać myśli.

Po obiedzie wróciłem na taras. Cyganie z całym obozem znacznie już byli oddalili się od zamku. Niepojęte Cyganki wcale się nie ukazały; tymczasem noc już zapadła i udałem się do mojej komnaty. Długo czekałem na Rebekę, ale tym razem na próżno, i nareszcie usnąłem.

Dzień jedenasty

Rebeka obudziła mnie. Otworzywszy oczy, spostrzegłem piękną Izraelitkę siedzącą na moim łóżku i trzymającą moją rękę w swych dłoniach.

- Dziwny Alfonsie - rzekła - chciałeś wczoraj zniecka dostać się do dwóch Cyganek, ale krata od potoku była zamknięta. Przynoszę ci klucz do niej. Jeżeli i dziś pokażą się pod zamkiem, proszę cię, abyś poszedł za nimi nawet do ich obozu. Zaręczam ci, że uszczęśliwisz mego brata, jeżeli zdołasz donieść mu o nich coś nowego. Co do mnie - dodała ze smutkiem - muszę oddalić się. Mój los. moje dziwaczne przeznaczenie wymagają tego ode mnie. Ach. mój ojciec, dlaczego nie uczyniłeś mnie podobną do reszty śmiertelnych? Czuję, że jestem zdolniejsza kochać w rzeczywistości niż w zwierciadle.

- Co rozumiesz przez to kochanie w zwierciadle?

- Nic... nic - przerwała Rebeka - dowiesz się o tym kiedyś. Teraz żegnam cię, do widzenia!

Żydówka oddaliła się, mocno wzruszona, ja zaś mimowolnie pomyślałem, że z trudnością potrafi być stała dla dwojga niebiańskich bliźniąt, którym była przeznaczona na małżonkę, jak mi to jej brat oświadczył.

Wyszedłem na taras; Cyganie daleko już byli odeszli od zamku. Wziąłem książkę z biblioteki, ale nie mogłem długo czytać. Byłem roztargniony i miałem głowę zaprzątniętą czym innym. Nareszcie dano znać do stołu. Rozmowa, jak zwykle, toczyła się o duchach, widmach i upiorach. Gospodarz mówił nam, że starożytni mieli o nich pomieszane pojęcia i znali je pod nazwą empuz, larw i lamii, ale że dawni kabaliści równie byli mądrzy jak dzisiejsi, jakkolwiek znano ich tylko pod mianem filozofów, które było im wspólne z wielu ludźmi nie mającymi żadnego wyobrażenia o naukach hermetycznych. Pustelnik wspomniał o Szymonie Magu, ale Uzeda utrzymywał, że Apolloniusz z Tiany zasługuje na sławę najbłęgiejszego kabalisty owych czasów, ponieważ osiągnął niesłychaną władzę nad całym światem pandemonistycznym. To mówiąc poszedł wyszukać Filostrata, wydanego r. 1608 przez Morela, rzucił okiem na tekst grecki i bez najmniejszego przestanku jął czytać w czystym hiszpańskim języku, co następuje:

HISTORIA MENIPA LICEJCZYKA

Żył raz w Koryncie dwudziestopięcioletni Ucejczyk, dowcipny i urodziwy, nazwiskiem Menip. Opowiadano w mieście, że kocha się w nim jakaś bogata i piękna cudzoziemka, z którą przypadkiem zawarł znajomość. Spotkał ją na drodze wiodącej do Kenchrei; nieznajoma wdzięcznie zbliżyła się ku niemu i rzekła:

- O Menipie, od dawna cię już kocham; jestem Fenicjanką i mieszkam na końcu najbliższego przedmieścia Koryntu. Jeżeli zechcesz przyjść do mnie. usłyszysz mój śpiew i napijesz się wina. jakiegoś jeszcze nigdy w życiu nie kosztowałem. Nie potrzebujesz obawiać się żadnego współzalnika, znajdziesz mnie zawsze tak samo wierną, jak ja uważam cię za uczciwego.

Młodzieniec, jakkolwiek z natury umiarkowany, nie umiał oprzeć się tym słodkim słowom, wychodzącym z koralowych ust, i całą duszą przywiązał się do nowej kochanki.

Gdy Apolloniusz po raz pierwszy ujrzał Menipa, zaczął spoglądać na niego jak snycerz, który by chciał wykuć jego popiersie; następnie rzekł mu:

- Piękny młodzieńcze, pieścisz się z wężem, który otacza cię zdradliwymi sploty.

Zdziwiła Menipa ta szczególniejsza mowa, ale Apolloniusz po chwili dodał:

- Kocha cię kobieta, która nie może być twoją małżonką. Czy myślisz, że cię kocha prawdziwie?

- Bez wątpienia - odparł młodzieniec - jestem pewny jej miłości.

- I ożenisz się z nią? - rzekł Apolloniusz.

- Dlaczegoż nie miałbym ożenić się z kobietą, którą tak szalenie kocham?

- Kiedyż się odbędą zaślubiny?

- Być może jutro - przerwał młodzieniec. Apolloniusz zapamiętał czas biesiady i gdy goście zebrali się, wszedł do komnaty, mówiąc:

- Gdzież jest piękna gospodyni tej uczty?

- Jest tu, niedaleko - odpowiedział Menip, po czym wstał, nieco zapłoniony. Apolloniusz tak dalej mówił:

- To złoto, srebro i ozdoby tej komnaty do kogo należą? do ciebie czy do tej kobiety?

- Do tej kobiety - rzekł Menip - ja prócz mego płaszczka filozofskiego nic więcej nie posiadam. Wtedy Apolloniusz zwrócił się do biesiadników:

- Czy widzieliście kiedy ogrody Tantala, które są, a przecież nie są?

- Widzieliśmy je w Homerze - odpowiedzieli - gdyż sami nie zstępowaliśmy do piekieł. Naówczas Apolloniusz rzekł im:

- Wzyskto, co tu widzicie, podobne jest do tych ogrodów. Wszyskto to jest tylko czczym mamidłem, nie zaś rzeczywistością. I ażeby was przekonać o prawdzie moich słów, powiem wam, że ta kobieta jest jedną z empuz, pospolicie zwanych larwami lub lamiami. Wiedzmy te nie tyle są chciwe uniesień miłosnych, ile mięsa ludzkiego, i ponętami rozkoszy wabią tych, których chcą pożreć.

- Mógłbyś nam coś rozsądniejszego powiedzieć - przerwała mniemana Fenicjanka i, zarumieniona od gniewu, poczęła wygadywać na filozofów i nazywać ich szaleńcami. Wtem Apolloniusz wymówił kilka stów i nagle znikły naczynia złote i srebrne i ozdoby komnaty. Również cała służba przepadła w mgnieniu oka. Natenczas empuza udała, że płacze, i błagała Apolloniusza, aby przestał ją męczyć, ale ten, wcale nie zważając na jej prośby, napierał na nią coraz mocniej, tak że nareszcie wyznała, iż nie szczędziła wszelkich rozkoszy dla Menipa, aby go potem pożreć, i że przede wszystkim smakuje w młodych ludziach, których krew dodaje jej zdrowia.

- Sądzę - rzekł pustelnik - że chciała ona pożreć raczej duszę niż ciało Menipa i że empuza ta była po prostu szatanem pożądliwości; wszelako nie pojmuję tych słów, które nadawały taką potęgę Apolloniuszowi. Przecież filozof ten nie był chrześcijaninem i nie mógł używać straszliwej broni, jaką Kościół złożył w naszych rękach; nadto, jakkolwiek starożytni mogli pod pewnym względem zawładnąć złymi duchami przed narodzeniem Chrystusa, atoli krzyż, nakazawszy milczenie wszelkim wyroczniom, tym bardziej wyzuł z potęgi bałwochwalców. Mniemam więc, że Apolloniusz nie tylko nie był w stanie wypędzić najmniejszego szatana, ale nawet nie miał żadnej władzy nad ostatnim z duchów, widziadła te bowiem pokazują się na ziemi za bożym pozwoleniem, i to zawsze prosząc o msze, których, jak wiecie, zupełnie nie znano za czasów pogańskich.

Uzeda był przeciwnego zdania; utrzymywał, że poganie równie jak chrześcijanie bywali nagabywani przez złe duchy, chociaż powody nawiedzeń mogły być całe odmienne, i aby dowieść tego, o czym mówił, wziął książkę z listami Pliniusza i zaczął czytać, co następuje:

HISTORIA FILOZOFY ATENODORA

Stał w Atenach dom obszerny i zdalny do zamieszkania, ale o złej sławie i opuszczony. Nieraz wśród ciszy nocnej słyszano w nim brzęk żelaza uderzającego o żelazo, a skoro pilniej nadstawiano uszu, szcęk łańcuchów, który zdawał się naprzód dochodzić z daleka, następnie coraz się przybliżał. Niedługo potem widziano zjawisko, coś na kształt wychudłego i pokrzywionego starca, z długą brodą, najeżonymi włosami i kajdanami na rękach i nogach, którymi straszliwym sposobem potrząsał. Obrzydłe to widmo pozbawiało snu mieszkańców, ciągle zaś bezsenności sprowadzały choroby smutnie się kończące. Śród dnia bowiem, jakkolwiek widma nie było. wrażenie okropnego widoku ciągle stało przed oczyma i najśmielszych przejmowało strachem. Nareszcie opuszczono dom i zostawiono go całkiem widmowemu zjawisku. Wszelako wywieszono napis, oznajmiający chęć właściciela do odnajęcia lub sprzedania bezużytecznej budowli, w nadziei, że jaki nieznajomy, nie wiedzący o przerażających przeszkodach, łatwo da się oszukać.

W owym czasie filozof Atenodor przybył do Aten. Spozrzegł napis i zapytał o cenę: uderzyła go niezwykła taniość, zaczął badać jej przyczyny i gdy mu opowiedziano całą historię, zamiast cofnąć się, z tym większym pośpiechem dobił targu. Sprowadził się do domu i nad wieczorem kazał wnieść łożo do frontowych komnat, przynieść lampę i tabliczki do pisania, służącym zaś oddalić się na dalsze skrzydło budynku. Natenczas, lękając się, aby rozigrana wyobraźnia za daleko go nie uniosła i nie przedstawiła mu rzeczy wcale nie istniejących, przygotował umysł, oczy i ręce do pisania.

Z początku nocy, jak w całym domu, tak i w tej części, panowało głucho milczenie, wkrótce jednak Atenodor posłyszał zgrzyt żelaza i brzęk łańcuchów;

pomimo to nie podniósł oczu, nie porzucił pióra, uspokoił się i, że tak powiem, zmusił do niezwracania na zewnątrz żadnej uwagi. Tymczasem hałas coraz wzrastał, już dochodził do drzwi, nareszcie dał się słyszeć w samym pokoju. Filozof podniósł oczy i ujrzał widmo zupełnie takie, jakie mu opisywano. Zjawisko stało we drzwiach i przyzywało go palcem, Atenodor dał znak ręką, aby zaczekało, i znowu zaczął dalej pisać, ale widmo, snadź zniecierpliwione, jęło nad samymi uszami filozofa potrząsać łańcuchami.

Mędrzec odwrócił się i ujrzał, że duch nie przestaje go wzywać, wstał więc, wziął światło i poszedł za nim. Zjawisko kroczyło wolnym krokiem, jak gdyby przygniecione ciężarem łańcuchów, weszło na dziedziniec domu i nagle w samym środku zapadło się w ziemię. Filozof, zostawszy sam, naznaczył to miejsce liśćmi i trawą i nazajutrz udał się do urzędników, prosząc, aby kazali przedsięwziąć poszukiwanie. Wykopano dół i znaleziono kościotrup skrępowany łańcuchami. Miasto poleciło uczcić te szczątki przyzwoitym pogrzebem i nazajutrz po oddaniu nieboszczykowi tej ostatniej przysługi spokój na zawsze powrócił do domu.

Kabalista, przeczytawszy tę historię, dodał:

- Duchy, czcigodny ojcze, pokazywały się od najdawniejszych czasów. Dowodzi nam tego zdarzenie z czarodziejką z Endor i kabaliści zawsze mieli je na swoje rozkazy. Z tym wszystkim przyznaję, że wielkie zmiany zaszły w świecie duchów. Tak na przykład upiory, jeżeli śmiem tak wyrazić się, należą do nowych odkryć. Rozróżniam między nimi dwa rodzaje, mianowicie upiory węgierskie i polskie, które są po prostu trupami, wychodzącymi śród nocy z grobów dla wysysania krwi ludzkiej, i upiory hiszpańskie, czyli duchy nieczyste, które, wchodząc w pierwsze lepsze dało, nadają mu dowolne kształty...

Kabalista wyraźnie chciał zwrócić rozmowę do okoliczności mnie dotyczących, powstałem więc, może nawet zbyt gwałtownie, i wyszedłem na taras. Nie upłynęło pół godziny, gdy spostrzegłem moje dwie Cyganki, które zdawały się zdążać do zamku i z tej odległości zupełnie były podobne do Eminy i Zibeldy. Postanowiłem natychmiast skorzystać z klucza. Poszedłem do mego pokoju po kapelusz i szpadę i po chwili byłem już u kraty. Otworzywszy ją, ujrzałem, że muszę jeszcze dostać się na drugą stronę potoku. Na szczęście, wzdłuż muru znalazłem jakby naumyślnie poprzybijane haki, za pomocą których dostałem się do kamienistego łożyska; skacząc z jednego kamienia na drugi, stanąłem na drugiej stronie i tuż przed sobą spostrzegłem dwie Cyganki, które jednak wcale nie były moimi kuzynkami. Jakkolwiek całe ich ułożenie było odmienne, przecież sposób ich obejścia odróżniał je od gburowatych i niewykształconych kobiet tego narodu. Zdawało się prawie, że tylko na jakiś czas dla ukrytych celów przyjęły na siebie te role. Chciały zaraz mi wróżyć; jedna z nich ujęła moją dłoń, podczas gdy druga, udając, że czyta z niej całą moją przyszłość, mówiła we właściwym im narzeczu:

- Ah, Caballero, che vejo en vuestra bas t! Dirva no skamela, ma por quen? Por demonios! - co znaczy: "Ach, szlachetny panie, cóż widzę na twojej dłoni! Namiętną miłość, ale do kogo? Do szatanów!".

Łatwo można domyślić się, że nigdy nie byłbym odgadł, że dirvanos kamela oznacza w języku cygańskim namiętną miłość, ale dziewczęta wytłumaczyły mi te słowa. Następnie, biorąc mnie pod rękę, zaprowadziły do swego obozu, gdzie przedstawiły mnie rześkiemu i czerstwemu starcowi, którego nazywały ojcem. Starzec, rzuciwszy na mnie złośliwe wejrzenie, rzekł:

- Czy wiesz, senor kawalerze, że znajdujesz się pośród czeredy, o której krążą po kraju dość niekorzystne wieści? Czy nie lękasz się naszego towarzystwa?

Na słowo "lękasz" oparłem rękę na mojej szpadzie; ale starzec z uprzejmością podał mi dłoń i dodał:

- Wybacz, senor kawalerze, nie miałem zamiaru cię obrazić; przeciwnie, chciałem prosić cię, abys raczył kilka dni z nami przepędzić. Jeżeli podróż w góry może cię zabawić, przyrzekamy pokazać ci

najpiękniejsze i najstraszniejsze miejsca: doliny, czarujące wdziękiem, obok przepaści, napętniających zgrozą; jeżeli zaś jesteś lubownikiem polowania, będziesz mógł zadośćuczynić twemu upodobaniu.

Przyjąłem jego ofiarę z tym większą przyjemnością, że rozprawy kabalisty zaczęły mnie już nudzić, jak również samotność jego zamku stawała mi się co dzień nieznośniejsza.

Natenczas stary Cygan zaprowadził mnie do swego namiotu, mówiąc:

- Senor kawalerze, namiot ten będzie twoim mieszkaniem przez cały czas, który raczysz pośród nas przepędzić. Nadto każę tuż obok rozbić mały namiocik, w którym sam będę spał, aby tym lepiej czuwać nad twoim bezpieczeństwem.

Odpowiedziałem na to, że mając zaszczyt być kapitanem w gwardii wallońskiej, we własnej szpadzie powinienem szukać bezpieczeństwa. Na te słowa starzec uśmiechnął się i rzekł:

- Senor kawalerze, muszkiety naszych rozbójników tak dobrze potrafią zabić kapitana gwardii wallońskiej. jak kogo innego: gdy jednak ci panowie raz będą ostrzeżeni, możesz spokojnie nawet odłączyć się od naszego towarzystwa. Przedtem nieroztropnością byłoby narażać się bezużytecznie.

Starzec miał słuszość i zawstydziłem się niepotrzebnego junactwa.

Przepędziliśmy wieczór na obchodzeniu obozu i rozmawianiu z dwiema Cygankami, które wydały mi się najdziwniejszymi, ale zarazem najszcześliwszymi stworzeniami na świecie. Następnie zastawiono wieczerę pod rozłożystą sylikwą. tuż przy namiocie naczelnika. Rozłożyliśmy się na skórkach jelenich; rozesłano przed nami zamiast obrusa bawołą skórę, wyprawioną jak najdoskonalszy safian. Potrawy, zwłaszcza zaś zwierzyna, były wyśmienite. Córki naczelnika nalewały nam wino, ja wszakże wolałem gasić pragnienie wodą, która o dwa kroki od nas wytryskała ze skały przezroczytym strumieniem. Naczelnik uprzejmie podtrzymywał rozmowę, zdawał się wiedzieć o poprzednich moich przygodach i zapowiadał mi nowe. Nareszcie czas było udać się na spoczynek. Poślano mi łożo w namiocie naczelnika i postawiono straż przy wejściu.

O samej północy rozbudził mnie jakiś szmer. Czułem, że z obu stron podnoszono moje nakrycie i tulono się do mnie. - Wielki Boże - rzekłem sam do siebie - mamże znowu obudzić się między dwoma wisielcami? - Jednakże nie zatrzymałem się na tej myśli: widocznie gościnność cygańska nakazywała ten sposób przyjęcia, osądziłem więc, że wypada wojskowemu w moim wieku stosować się do przyjętych zwyczajów. W końcu zasnąłem z głębokim przekonaniem, że tym razem nie miałem do czynienia z wisielcami.

Dzień dwunasty

W istocie, zamiast pod szubienicą Los Hermanos, obudziłem się w moim łożku na hałas, jaki sprawiali Cyganie, podnosząc obóz.

- Wstawaj, senor kawalerze - rzekł do mnie naczelnik - mamy daleką drogę przed nami. Ale dostaniesz muła, jakiego nie znajdziesz w całej Hiszpanii, i ręczę, że nie poczujesz znużenia.

Ubrałem się czym prędzej i dosiadłem muła. Ruszyliśmy przodem z czterema Cyganami, dzielnie uzbrojonymi. Reszta bandy z daleka zdążała za nami, mając na czele dwie młode dziewczyny, z którymi, jak się domyślałem, spędziłem ubiegłą noc. Zakręty ścieżek górskich często wywyższały mnie lub zniżały o kilkaset stóp od nich. Wtedy zatrzymywałem się, by na nie spojrzeć, i znowu zdawało mi się, że widzę moje kuzynki. Stary naczelnik śmiał się z mojego zakłopotania.

Po czterech godzinach przyspieszonego pochodu przybyliśmy na płaski szczyt wyniosłej góry, na którym znaleźliśmy znaczną ilość wielkich pak. Naczelnik natychmiast je policzył i zapisał. Potem rzekł do mnie:

- Oto masz przed sobą, senior kawalerze, towary angielskie i brazylijskie, wystarczające na potrzeby czterech królestw: Andaluzji, Grenady, Walencji i Katalonii. Król wprawdzie cierpi nieco na naszym małym handlu, ale z drugiej strony ma inne korzyści, trochę zaś kontrabandy zabawia i pociesza ten biedny lud hiszpański. Zresztą tutaj wszyscy się tym trudnią. Niektóre z tych pak zostaną złożone w koszarach żołnierskich, inne w celach mnichów, ostatnie w grobowych podziemiach. Paki czerwono naznaczone dostaną się w ręce celników, którzy poszczycą się nimi przed rządem; ofiara ta tym więcej przywiąże ich do naszych interesów.

To mówiąc naczelnik Cyganów rozkazał pochować towary po różnych wydrążeniach skał, po czym skinął, aby zastawiono obiad w jaskini, z której widok rozciągał się dalej, niż można było okiem sięgnąć, czyli że odległy widnokrąg całkiem zdawał się zlewać z błękitem niebios. Powaby natury z każdym dniem sprawiały na mnie coraz silniejsze wrażenie. Widok ten pogrążył mnie w nieopisanym zachwycie, z którego wyrwały mnie dwie córki naczelnika, przynoszące obiad. Z bliska, jak to już powiedziałem, wcale nie były podobne do moich kuzynek; ukradkowymi spojrzeniami dawały mi poznać swe zadowolenie, ale tajemne jakieś przeczucie ostrzegało mnie, że to nie one należały do przygody ostatniej nocy. Tymczasem dziewczęta przyniosły gorącą olla podridę, którą wysłani naprzód ludzie przez cały ranek przyrządzali. Stary naczelnik i ja szczerze zabraliśmy się do niej, z tą tylko różnicą, że on przeplatał swoje jedzenie częstym odwoływaniem się do obszernego bukłaka z winem, ja zaś poprzestawałem na świeżej wodzie z sąsiedniego źródła.

Gdy zaspokoiliśmy głód, oświadczyłem mu ciekawość bliższego zapoznania się z nim; długo wzbraniał się, ja wszelako usilnie nalegałem, tak że nareszcie zgodził się opowiedzieć mi swoje przygody i zaczął w te słowa:

HISTORIA PANDESOWNY, NACZELNIKA CYGANÓW

Wszyscy Cyganie hiszpańscy znają mnie pod nazwiskiem Pandesowny. Jest to w ich narzeczu dosłowne tłumaczenie mego nazwiska rodzinnego, Avadoro, gdyż dowiedz się senior, że bynajmniej nie urodziłem się wśród Cyganów, Ojciec mój nazywał się don Felipe de Avadoro i uchodził za człowieka najpoważniejszego i najbardziej systematycznego ze współczesnych. Do tego stopnia nawet był systematyczny, że gdybym ci opowiedział historię jednego jego dnia, widziałbyś przed sobą obraz całego jego życia, a przynajmniej czasu, który upłynął między dwoma jego małżeństwami: pierwszym, któremu winien jestem życie, i drugim, które spowodowało jego śmierć, gdyż zakłóciło zwykły tryb, według jakiego przepędzał żywot.

Mój ojciec, będąc jeszcze pod opieką mego dziada, zakochał się w dalekiej swojej krewnej, którą zaślubił, skoro tylko stał się panem własnej woli. Biedna kobieta umarła, dając mi życie; ojciec zaś, niepokieszony po tej stracie, zamknął się u siebie przez kilka miesięcy, nie chcąc widzieć nawet żadnego z krewnych.

Czas, który łagodzi wszystkie cierpienia, ukoił także jego żal i nareszcie ujrano, jak otwierał drzwi od swego balkonu, który wychodził na ulicę Toledo. Przez kwadrans oddychał świeżym powietrzem, a następnie poszedł otworzyć drugie okno, które wychodziło na boczną ulicę. Spostrzegł w domu naprzeciwko kilka znajomych sobie osób i dość wesoło je pozdrowił. Następnym dni regularnie powtarzał to samo, aż wreszcie wieść o tej zmianie doszła do uszu fra Geronimo Santeza, teatyna, wuja mojej matki.

Zakonnik ten przybył do mego ojca. powinszował mu powrotu do zdrowia, niewiele mówił o pociechach, jakie nam religia nastęca, natomiast usilnie namawiał go do szukania rozrywek. Posunął nawet pobłażanie do dania mu rady. ażeby poszedł na komedię. Ojciec, pokładając nieograniczone zaufanie w fra Geronimo. tego samego wieczoru udał się do teatru de la Cruz. Właśnie przedstawiano nową sztukę, którą podtrzymywało całe stronnictwo Pollacos. podczas gdy drugie, tak zwani Sorices, wszelkimi siłami starało się ją wygwizdać. Spółzawodnictwo tych dwóch stronnictw tak dalece zajęło mego ojca, że odtąd nigdy własnowolnie nie opuścił żadnego przedstawienia. Przyłączył się do stronnictwa Pollacos i wtedy tylko uczęszczał do książęcego teatru, kiedy da la Cruz był zamknięty.

Po skończonym przedstawieniu stawał zwykle na końcu podwójnego szpaleru, który mężczyźni tworzą, aby zmusić kobiety do przechodzenia jedna za drugą. Nie czynił tego jednak, jak inni, aby im się przypatrywać bliżej; przeciwnie, wszystkie mała go obchodziły i skoro ostatnia przeszła, śpieszył Pod Krzyż Maltański, gdzie przed udaniem się na spoczynek spożywał lekką wieczerzę.

Z rana na j pierwszym zatrudnieniu mego ojca było otwarcie balkonu wschodzącego na ulicę Toledo. Tu przez kwadrans oddychał świeżym powietrzem, następnie szedł otwierać drugie okno. które wychodziło na małą uliczkę. Jeśli spostrzegł kogo w oknie naprzeciwko, pozdrowiał go grzecznie, mówiąc agur, po czym zamykał okno. Wyraz agur był często jedynym, jaki przez cały dzień wymówił, chociaż bowiem gorliwie zajmował się powodzeniem wszystkich komedii odgrywanych w teatrze de la Cruz, całe jednak zajęcie wyrażał zawsze klaskaniem w dłonie, nigdy zaś słowami. W razie gdy nikt nie ukazywał się w oknie naprzeciwko, z cierpliwością oczekiwał chwili. w której będzie mógł kogo pozdrowić. Następnie ojciec udawał się na mszę do teatynów. Za powrotem znajdował pokój uporządkowany przez służącą i z niewypowiedzianą strannością ustawiał sprzęty na miejscach. na których zwykle stały. Czynił to zawsze z nader pilną uwagą i jednym rzutem oka odkrywał najmniejsze źdźbło słomy lub ziarenko kurzu, którego nie zgarnęła miotła służącej.

Skoro był już zadowolony z porządku panującego w pokoju, brał cyrkiel i nożyczki i krajał dwadzieścia cztery kawałki papieru równej wielkości, napełniał je tytoniem brazylijskim i związał dwadzieścia cztery cygara, które były tak gładko i doskonale uformowane, że można było śmiało uważać je za najdoskonalsze cygara w całej Hiszpanii. Następnie wypalał sześć tych arcydzieł, licząc dachówki pałacu księcia Alby, sześć zaś - rachując ludzi przechodzących przez bramę Toledo. To uczyniwszy, spoglądał na drzwi swego pokoju, dopóki mu nie przyniesiono obiadu.

Po obiedzie wypalał dwanaście pozostałych cygar, a potem wpatrywał się w zegar, dopóki mu ten nie oznajmił godziny udania się do teatru. Jeżeli zaś przypadkiem tego dnia nie było przedstawienia w żadnym teatrze, szedł do księgarza Moreno, gdzie przysłuchiwał się sporom kilku literatów, którzy mieli zwyczaj zbierania się tam w pewnych dniach, nie mieszając się jednak nigdy do ich rozmowy. Jeżeli zastał i nie wychodził z domu, posyłał do księgarza Moreno po sztukę, którą tego dnia grano w teatrze de la Cruz, i gdy (nadeszła godzina przedstawienia, zabierał się do czytania, nie omieszkując szczerze poklaskiwać scenom ulubionym przez stronnictwo Pollacos.

Ten sposób życia był bardzo niewinny, jednakowoż ojciec mój, pragnąc zadośćuczynić obowiązkom religii, udał się do teatynów z prośbą, aby mu wyznaczono spowiednika. Przesłano mu fra Geronimo Santez, który korzystał z tej sposobności, aby mu przypomnieć, że ja żyję na świecie i znajduję się w domu dony Felicji Dalanosy, siostry nieboszczki mojej matki. Ojciec bądź z obawy, abym mu nie przypomniał ukochanej osoby, której śmierci byłem mimowolną przyczyną, bądź też że nie życzył sobie, aby moje dziecinne wrzaski zakłócały głuchy spokój jego zwyczajów, uprosił fra Geronimo, aby mnie nigdy do niego nie zbliżał. W tym samym jednak czasie zaspokoił wszystkie moje potrzeby, wyznaczył mi dochód z wioski, którą miał w okolicach Madrytu, i oddał mnie w opiekę prokuratorowi teatynów.

Niestety, mniemam, że ojciec mój oddał mnie od siebie w przeczuciu niesłychanej różnicy, jaką natura położyła między naszymi charakterami. Zauważyłeś senor, jaki prowadził systematyczny i jednostajny tryb życia; otóż mogę śmiało zaręczyć, że nie było na ziemi człowieka więcej niestałego ode mnie. Nie mogłem wytrwać nawet w mojej niestałości, gdyż myśl o spokojnym szczęściu i o życiu w domowym zaciszu ścięła mnie ciągle pośród moich dni koczowniczych, popęd zaś do zmiany nie pozwalała mi pomyśleć o wybraniu stałego siedliska. Niestojność ta trawiła mnie do tego stopnia, że - raz poznawszy sam siebie - postanowiłem na zawsze położyć jej tamę, osiadając pośród tej czeredy Cyganów. Jest to wprawdzie rodzaj życia dość jednostajny, atoli nie muszę spoglądać zawsze na te same drzewa, te same skały lub, co by było jeszcze nieznośniejsze, na te same ulice, mury i dachy.

Tu zabrałem głos i rzekłem do starca:

- Senor Avadoro lub Pandesowna, sądzę, że w tym błędnym życiu musiałeś doświadczyć wielu nadzwyczajnych przygód?

- W istocie - odparł Cygan - od czasu gdy zacząłem żyć w tej pustyni, widziałem wiele nadzwyczajnych rzeczy. Co zaś do reszty mego życia, zawiera ono bardzo mało zajmujących wypadków. Uderzy cię tylko zapał, z jakim chwyciłem się coraz nowych zajęć, nie zdoławszy wytrwać przy żadnym dłużej niż rok albo dwa.

Odpowiedziawszy mi tymi słowy, Cygan tak dalej mówił:

- Wspominałem ci, że ciotka moja, dona Dalanosa, trzymała mnie przy sobie. Nie miała własnych dzieci i zdawała się łączyć w swych uczuciach dla mnie pobłażliwość ciotki z wyrozumiałością matki; jednym słowem, byłem zepsutym dzieckiem w całym znaczeniu tego wyrazu. Z każdym nawet dniem psułem się coraz bardziej, gdyż w miarę jak wzrastałem na ciele i umyśle, tym więcej nabierałem sił do nadużywania niewyczerpanej dla mnie dobroci. Z drugiej strony, nie doznając żadnej przeszkody w moich chęciach, nie sprzeciwiałem się życzeniom innych, co mi zjednało rozgłos niezwyklej łagodności. Nadto, rozkazom mojej ciotki towarzyszył zawsze tak łagodny i pieśczośliwy uśmiech, że

nie miałem serca stawiać jej oporu. Nareszcie, pocziwa dona Dalanosa, widząc moje postępowanie, wzmówiła w sobie, że natura, wspomóżona jej własnymi staraniami, uczyniła ze mnie prawdziwe arcydzieło. Brakowało tylko do jej szczęścia, aby mój ojciec mógł być świadkiem moich niesłychanych postępów; wtedy od razu byłby się przekonał o moich doskonałościach. Zamiar ten jednak był trudny do przeprowadzenia, gdyż ojciec mój trwał w swoim postanowieniu nieoglądania mnie nigdy w swym życiu.

Gdzież atoli jest upór, którego by kobieta nie umiała przewyciężyć? Pani Dalanosa z taką gorliwością i dietnością pracowała nad swoim wujem Geronimo, że ten nareszcie przyrzekł skorzystać z pierwszej spowiedzi mego ojca i zgromić go surowo za okrutną obojętność, jaką okazuje dziecku, które nic złego w życiu mu nie uczyniło. Fra Geronimo dotrzymał danej obietnicy, wszelako mój ojciec nie mógł bez przerażenia pomyśleć o chwili, w której po raz pierwszy wpuści mnie do swego pokoju. Fra Geronimo zaproponował spotkanie w ogrodzie Buen Retiro, ale przechadzka ta bynajmniej nie wchodziła w systematyczny i jednostajny rozkład czasu, od którego ojciec mój nigdy na krok nie odstępował. Wolał więc na ostatek już przyjąć mnie u siebie i fra Geronimo doniósł tę szczęśliwą nowinę mojej ciotce, która ledwo że nie umarła z radości.

Muszę ci wyznać, że dziesięć lat melancholii dodało wiele dziwactw do samotniczego trybu życia mego ojca. Między innymi powziął on szczególniejszą namiętność do robienia atramentu, pierwsza zaś przyczyna tego dziwnego upodobania była następująca: Pewnego dnia, gdy znajdował się w towarzystwie kilku literatów i prawników u księgarza Moreno, rozmowa padła na trudność dostania dobrego atramentu; każdy wyznał, że nie ma czym pisać i na próżno usiłuje sam zająć się fabrykacją tak potrzebnego materiału. Moreno rzekł na to, że ma w swoim sklepie zbiór przepisów. wśród których na pewno znajdują się recepty na wyrabianie atramentu. Poszedł więc po tę książkę, nie mógł jej jednak od razu wynaleźć, a gdy powrócił, rozmowa toczyła się o czym innym: zastanawiano się nad powodzeniem nowej sztuki i nikt nie chciał już słyszeć ani o atramencie, ani o przepisach, za pomocą których go wyrabiano. Wszelako mój ojciec cał odmiennie postąpił. Wziął książkę, znalazł natychmiast sposób wyrabiania atramentu i zdziwił się mocno, widząc, że z łatwością pojął rzecz, którą najznakomitsi uczeni hiszpańscy uważali za niesłychanie trudną. W istocie chodziło tylko o umiejętne pomieszczenie tynktury owoców galasowych z roztworem kwasu siarkowego i o dodanie stosownej ilości gumy. Autor jednakowoż dowodził, że można otrzymać dobry atrament tylko wtedy, gdy się zaprawi na raz wielką ilość, gotując płyn i mieszając go pilnie, albowiem guma, nie mając żadnego powinowactwa z substancjami kruszcowymi, dąży usilnie do oddzielenia się od nich. że nadto sama guma jest skłonna do rozkładu organicznego, któremu można zapobiec tylko przez dodanie niewielkiej ilości alkoholu.

Mój ojciec kupił książkę, nazajutrz wystarał się o potrzebne ingrediencje, apteczne wagi i największy gąsior, jaki tylko mógł znaleźć w Madrycie, stosownie do ostatnich uwag autora. Atrament udał się wyśmienicie: ojciec zaniósł butelkę literatom zgromadzonym u Morena, którzy uznali go za doskonały i prosili o więcej.

Wiodąc życie ciche i odosobnione, ojciec mój nie miał nigdy sposobności wyświadczenia komukolwiek jakiej przysługi i odebrania za to należnych pochwał, znalazł więc nową przyjemność w zobowiązaniu sobie ludzi i przyjmowaniu ich dziękczyniń i szczególnie przywiązał się do zatrudnienia przynoszącego mu tyle miłych chwil. Widząc, że literaci madryccy w mgnieniu oka potrzebowali zawartość największego gąsiora, jaki mógł znaleźć w całym mieście, kazał sprowadzić z

Barcelony gąsior z rodzaju takich, w jakich marynarze z Śródziemnego Morza zwykli przechowywać wino na okręcie. Tym sposobem mógł od razu sfabrykować dwadzieścia flasz atramentu, które literaci równie szybko wypisali, okrywając mego ojca pochwałami i dziękczynieniami.

Wszelako im gąsiory były większe, tym więcej przedstawiały niedogodności. Nie można było jednocześnie grzać i mieszać płynu; cóż dopiero, gdy przychodziło do przelewania z jednego naczynia w drugie. Natenczas mój ojciec postanowił sprowadzić z Toboso wielki kocioł gliniany, jakiego używają do wyrabiania saletry. Gdy przybył pożądany kocioł, rozkazał umieścić go na palenisku, na którym, przy pomocy kilku węgielków, utrzymywał wieczny ogień. Kurek, przyprawiony u spodu kotła, służył do wypuszczania cieczy, wszedłszy zaś na brzeg paleniska, można było wygodnie małym drewnianym wiosłem mieszać gotujący się atrament. Kotły te są wysokości człowieka, możesz więc domyślić się, jaką ilość atramentu mój ojciec na raz sporządzał. Nadto miał zwyczaj uzupełniać zawartość kotła, gdy tylko atramentu ubywało. To była dopiero prawdziwa rozkosz, gdy zachodziła doń służąca lub domownik jakiegoś sławnego literata z prośbą o butelkę atramentu; a gdy tenże literat wydał jakie dzieło głośne w piśmiennictwie i rozmawiano o nim u Morena, mój ojciec z radością uśmiechał się na myśl, że on także należy do tych triumfów. Wreszcie, aby ci już wszystko wyznać, powiem, że w całym mieście nie nazywano inaczej mego ojca jak don Felipe del Tintero Largo, czyli don Filip z ogromnego kałamarza, prawdziwe zaś jego nazwisko, Avadoro, znane było zaledwie kilku osobom.

Wiedziałem o tym wszystkim; często mówiono mi o dziwnym charakterze mego ojca, o urzędzeniu jego pokoju, o wielkim kotle z atramentem i niecierpliwie pragnąłem na własne oczy te dziwy obejrzeć. Co się tyczy mojej ciotki, ta nie wątpiła, że jak tylko ojciec raz mnie zobaczy, wnet odstąpi od wszystkich dziwactw, aby tylko zachwycać się mną od rana do wieczora. Nareszcie naznaczono dzień wzajemnego spotkania. Mój ojciec spowiadał się u fra Geronimo ostatniej niedzieli każdego miesiąca. Zakonnik miał go umocnić w postanowieniu widzenia mnie, a w końcu oznajmić, że znajduję się w jego mieszkaniu, i towarzyszyć mu w drodze do domu. Fra Geronimo, zawiadamiając nas o tym zamiarze, ostrzegł mnie, abym nie dotykał się niczego w pokoju mego ojca. Zgodziłem się na wszystko, ciotka zaś obiecała mnie pilnować.

Nadeszła wreszcie oczekiwana niedziela. Ciotka ubrała mnie w różowy świąteczny strój ze srebrnymi frędzlami i guzikami z brazylijskich topazów. Zaręczyła mi, że wyglądam jak bożek miłości i że mój ojciec, spostrzegłszy mnie, nie omieszkasz szalenie się we mnie rozkochać. Pełni nadziei i pochlebnych przeczuć poszliśmy wesoło przez ulicę Urszulanek i udaliśmy się do Prado, gdzie kobiety zatrzymywały się, aby się ze mną popieścić. Przybyliśmy wreszcie na ulicę Toledo i weszliśmy do domu mego ojca. Wpuszczono nas do jego pokoju. Ciotka, lękając się mojej żywości, posadziła mnie w fotelu, usiadła naprzeciwko i uchwyciła mnie za frędzle szarfy, ażeby nie mógł wstawać i dotykać się porozstawianych sprzętów.

Z początku wynagradzałem sobie ten przymus, wodząc wzrok po wszystkich kątach pokoju, podziwiając jego czystość i porządek. Kąt przeznaczony na wyrabianie atramentu był tak samo czysty i symetrycznie zastawiony, jak reszta pokoju. Wielki kocioł z Toboso wyglądał, jakby służył za ozdobę, obok niego zaś stała szklana szafa, gdzie leżały potrzebne narzędzia i składniki.

Widok tej szafy, wąskiej i długiej, umieszczonej tuż przy palenisku kotła, podał mi nagłą i niepowściągniętą myśl wskoczenia na nią, sądziłem bowiem, że nic nie będzie zabawniejszego, jak gdy mój ojciec zacznie mnie na próżno szukać po całym pokoju, wtedy gdy ja najspokojniej będę

siedział nad jego głową. W mgnieniu oka wyrwałem szarfę z rąk mojej ciotki, wskoczyłem na brzeg paleniska, stamtąd zaś na szafę.

Z początku ciotka zachwycała się moją zręcznością, po chwili jednak zaczęła mnie zaklinać, abym zszedł z szafy. Wtem oznajmiono nam, że ojciec wchodzi na schody. Ciotka upadła przede mną na kolana, błagając, abym zeskoczył na ziemię. Nie mogłem oprzeć się tak wzruszającym prośbom, ale schodząc poczułem, że stawiam nogę na brzegu kotła. Chciałem zatrzymać się, ale spostrzegłem, że pociągam za sobą szafę. Puściłem ręce i upadłem w sam środek kotła z atramentem. Byłbym niezawodnie utonął, gdyby ciotka, pochwywszy wiosło do mieszania atramentu, nie była rozbiła kotła na tysiąc drobnych kawałków. Właśnie w tej chwili wszedł ojciec i ujrzał rzekę atramentu, zalewającą jego pokój, a pośród niej wijącą się czarną postać, która napełniała dom najprzeróżliwszymi wrzaskami. W rozpaczy uciekł na schody; zbiegając wywichnął sobie nogę i padł zemdłony.

Co do mnie, wkrótce przestałem wrzeszczeć, gdyż atrament, którego się opilem, pozbawił mnie przytomności. Przeszedłem do zmysłów dopiero po długiej chorobie i długi czas minął, zanim zupełnie odzyskałem zdrowie. Do polepszenia mego stanu najwięcej przyczyniła się nowina udzielona mi przez ciotkę, która wprawiła mnie w taką radość, że znowu lękano się, bym nie postradał zmysłów. Mieliśmy wkrótce wyjechać z Madrytu i udać się na stałe mieszkanie do Burgos. Wszelako niewypowiedziana radość, jakiej doznawałem na myśl o tej podróży, zmniejszyła się, gdy ciotka zapytała mnie, czy chcę z nią razem siedzieć w jej powozie, czy też osobno odbywać podróż własną lektyką.

- Ani jedno, ani drugie - odparłem w najwyższym uniesieniu - nie jestem babą i nie chcę inaczej podróżować jak na dzielnym koniu lub przynajmniej mule, z dobrym segowskim karabinem u siodła, parą pistoletów za pasem i długą szpadą. Tylko pod tym jednym warunkiem pojedę i powinnaś, ciotko, dla własnej korzyści sprawić mi te rzeczy, albowiem obrona ciebie jest odtąd moim najświętszym obowiązkiem.

Powiedziałem jeszcze wiele podobnych nedorzecznosci, które zdawały mi się najrozumnijszymi w świecie. a które w istocie bawiły, słyszane z ust jedenastoletniego chłopca.

Przygotowania do wyjazdu podały mi sposobność rozwinięcia niezwyklej ruchliwości. Wchodziłem, wychodziłem, biegałem, rozkazywałem, wtrącałem się do wszystkiego, w istocie bowiem miałem wiele do czynienia, gdyż ciotka moja, wyjeżdżając na zawsze do Burgos, zabierała wszystkie swoje ruchomości. Wreszcie nadszedł szczęśliwy dzień wyjazdu. Wysłaliśmy bagaże drogą przez Arandę, sami zaś udaliśmy się przez Valladolid.

Ciotka, która z początku chciała podróżować w powozie, widząc, że postanowiłem nieodmiennie jechać na mule, poszła za moim przykładem. Sporządzono jej zamiast siodła małe krzesło z wygodnym siedzeniem i osłonięto je parasolem. Uzbrojony mulnik postępował przed nią dla oddalenia wszelkiego pozoru niebezpieczeństwa. Reszta naszej karawany, złożona z dwunastu mułów, nader świetnie wyglądała: ja zaś, uważając się za jej naczelnika, czasami otwierałem, czasami zamykałem pochód, zawsze z bronią w ręku, zwłaszcza zaś na zakrętach drogi lub innych miejscach podejrzanych.

Można domyślić się, że nigdy nie zdarzyła mi się sposobność okazania mojej odwagi i że szczęśliwie przybyliśmy do Alabajos, gdzie spotkaliśmy dwie karawany, równie liczne jak nasza. Zwierzęta stały przy żłobach, podróżni zaś mieścili się w przeciwnym kącie stajni, w kuchni, którą oddzielały od mułów dwa kamienne schody. Prawie wszystkie gospody w Hiszpanii były naówczas podobnie urządzone. Cały dom składał się z jednej długiej izby, której lepszą połowę zajmowały muły, skromniejszą zaś podróżni. Pomimo to wesołość była ogólna. Mulnik, czyszcząc zgrzebłem wierzchowce, smażył cholewki do gospodyni, która odpowiadała mu z żywością właściwą jej płci i profesji, dopóki gospodarz przynajmniej na chwilę powagą swoją nie przerwał tych zalecanek. Służące napełniały dom łoskotem kastanietów i tańcowały przy chrapliwej pieśni pasterza kóz. Podróżni zaznajamiali się nawzajem i zapraszali na wieczerzę, następnie wszyscy przysuwali się do ogniska, każdy rozповідаł, kim był, skąd przybywał, i czasami dodawał całą historię swego życia. Dobre to były czasy. Dziś domy zajezdne są daleko wygodniejsze, ale zgiełkliwe i towarzyskie życie, jakie wówczas prowadzono w podróży, miało wdzięk, którego nie potrafię ci opisać. Powiem tylko, że tego dnia tak byłem szczęśliwy, iż postanowiłem przez całe życie podróżować i, jak widzisz, dotąd szczerze wypełniam moje postanowienie.

Tymczasem pewna okoliczność jeszcze silniej utwierdziła mnie w tym zamiarze. Po wieczerzy, gdy wszyscy podróżni zebrali się koło ogniska i każdy z nich opowiedział coś o krajach, jakie przebywał, jeden z nich, który dotąd ani razu ust nie był otworzył, rzekł:

- Wszystkie przygody doznane w waszych podróżach zasługują na uwagę i pamięć; co do mnie. byłbym rad, aby mi się nigdy nie zdarzyło nic gorszego, wszelako, zwiedzając Kalabrię, doznałem przygody tak zadziwiającej, nadzwyczajnej i zarazem strasznej, że dotąd nie mogę jej wymazać z pamięci. Wspomnienie to tak mnie tłoczy, zatruwa wszystkie moje przyjemności, że w istocie często dziwię się, jakim sposobem smutek ten nie pozbawia mnie rozumu.

Podobny początek podniecił ogólną ciekawość słuchaczy. Zaczęto go prosić, aby ulżył sercu powiedzeniem tak nadzwyczajnych zdarzeń. Podróżnik długo wahał się, nie wiedząc, co ma czynić, nareszcie zaczął w te słowa:

HISTORIA GIULIA ROMATI

Nazywam się Giulio Romati. Mój ojciec, Pietro Romati, jest jednym z najznakomitszych prawników Palermo, a nawet całej Sycylii. Jak możecie domyślić się, mocno przywiązany jest do swego zawodu, który zabezpiecza mu przyzwoity byt, ale mocniej jeszcze do filozofii, której poświęca wszystkie chwile wolne od głównych zatrudnień.

Nie chwaląc się, mogę wyznać, że śmiało postępowałem za nim w obu tych dziedzinach, gdyż w dwudziestym drugim roku życia byłem już doktorem prawa. Oddawszy się następnie matematyce i astronomii, wkrótce dość umiałem, aby móc komentować Kopernika i Galileusza. Nie mówię wam tego w zamiarze chętnienia się z mojej uczoności, ale mając opowiedzieć wam zadziwiającą przygodę, pragnę, abyście mnie nie uważali za człowieka łatwowiernego lub zabobonnego. Tak jestem daleki od podobnych błędów, że jedyną nauką, do której nic się nie przykładałem, była teologia. Co się tyczy innych, zagłębiałem się w nich całą duszą, wytchnienia zaś szukałem tylko w zmianie przedmiotów.

Ciągła praca wywarła zgubny wpływ na moje zdrowie i ojciec mój, przemyśliwając nad różnymi sposobami rozerwania mnie, zalecił mi podróż i rozkazał, abym zwiedził całą Europę i dopiero po czterech latach wrócił na Sycylię.

Z początku z trudnością zdołałem oderwać się od moich ksiązek, gabinetu i obserwatorium, ale ojciec życzył sobie tego, musiałem więc być posłuszny. W istocie, zaledwie rozpocząłem podróż, natychmiast doznałem niewypowiedzianej miłej zmiany. Odzyskałem apetyt, siły. jednym słowem, zupełnie przyszedłem do zdrowia. Z początku podróżowałem w lektyce, ale trzeciego dnia nająłem muła i wesoło puściłem się w dalszą drogę.

Wielu ludzi zna cały świat z wyjątkiem własnego kraju; nie chciałem narazić się po powrocie na podobny zarzut i w tym celu rozpocząłem podróż od zwiedzenia cudów, jakie natura tak hojnie rozsypała po naszej wyspie. Zamiast udać się prosto nadbrzeżem z Palermo do Mesyny, obrałem drogę przez Castro Nuovo, Caltanissetę i przybyłem do wioski, której nazwy już nie pamiętam, położonej u stóp Etny. Tam przygotowałem się do wejścia na górę i postanowiłem poświęcić miesiąc na tę wyprawę. W istocie cały ten czas przepędziłem przeważnie na sprawdzaniu niektórych świeżo dokonanych doświadczeń z barometrem. Podczas nocy wpatrywałem się w niebo i z niewypowiedzianym szczęściem odkryłem dwie gwiazdy, niedostrzegalne z obserwatorium w Palermo, ponieważ znajdowały się znacznie pod jego widnokregiem.

Z prawdziwym żalem opuściłem to miejsce, gdzie zdawało mi się, że istność moja jak gdyby rozpływała się w eterycznych światłach i żem uczestniczył w szczytnej harmonii ciał niebieskich, nad których obrotami tyle zastanawiałem się w życiu. Wreszcie niepodobna zaprzeczyć, że rozrzedzone powietrze gór w szczególny sposób działa na nasz organizm, puls bowiem prędszej bije i poruszenia płuc są daleko szybsze. Na koniec zszedłem z góry od strony Katanii.

Miasteczko to zamieszkuje szlachta równie starożytna, ale więcej oświecona od panów z Palermo. Wprawdzie nauki ścisłe mało znajdują lubowników w Katani, jak w ogóle na całej naszej wyspie, ale za to mieszkańcy gorliwie zajmują się sztukami, starymi zabytkami oraz dawniejszą i nowszą historią wszystkich ludów, jakie tylko zamieszkiwały Sycylię. Zwłaszcza wykopaliska i mnóstwo cennych pamiątek, które przy tej okazji znajdowano, były przedmiotem powszechnych rozmów.

Właśnie podówczas wydobyto z ziemi nader piękną płytę marmurową, pokrytą literami zupełnie nieznanymi. Obejrawszy ją pilnie, poznałem, że napis jest w języku punickim, i za pomocą hebrajszczyzny, którą dość dokładnie posiadam, zdołałem rozwiązać zagadkę w sposób wszystkich zadowolający. Czyn ten zjednał mi pochlebne przyjęcie i pierwsze osoby z miasta pragnęły mnie zatrzymać, zapewniając mi znaczne korzyści pieniężne. Wszelako porzuciwszy rodzinę dla zupełnie innych celów, odrzuciłem ofiary i udałem się drogą do Mesyny. Przez tydzień zatrzymałem się w tym miejscu, sławnym przez swój handel, po czym przebyłem cieśninę i wylądowałem w Reggio.

Dotąd podróż moja była tylko rozrywką; w Reggio jednak przedsięwzięcie stało się sprawą poważniejszą. Rozbójnik nazwiskiem Zoto pustoszył Kalabrię, podczas gdy korsarze trypolitańscy zewsząd uwijali się po morzu. Nie wiedziałem, jakim sposobem dostać się do Neapolu i gdyby fałszywy wstyd mnie nie pohamował, byłbym niezawodnie wrócił do Palermo.

Tydzień upływał od czasu, jak to niezdecydowanie zatrzymywało mnie w Reggio, gdy pewnego wieczora, przechadzając się po porcie, usiadłem na nadbrzeżnych kamieniach, w miejscu, gdzie było

najmniej ludzi. Tam zbliżył się do mnie jakiś człowiek ujmującej postaci, okryty szkarłatnym płaszczem. Nie pozdrowiwszy mnie wcale, usiadł i odezwał się w te słowa:

- Czy signor Romati znowu zajmuje się rozwiązaniem jakiego zagadnienia z algebry lub astronomii?

- Bynajmniej - odpowiedziałem - signor Romati chciałby dostać się z Reggio do Neapolu i w tej chwili przemyśla nad rozwiązaniem zagadnienia, jakim sposobem potrafi uniknąć spotkania z bandą signora Zoto.

Natenczas nieznamy, przybrawszy poważną postać, rzekł:

- Signor Romati. zdolności twoje już dziś przynoszą zaszczyt twemu krajowi: zaszczyt ten bez wątpienia jeszcze się powiększy, gdy przez nowe podróże rozszerzysz zakres twoich wiadomości. Zoto jest człowiekiem zbyt światowym, aby miał przeszkadzać ci w tak szlachetnym przedsięwzięciu. Weź te czerwone piórka, zatknij jedno za kapelusz, resztę rozdaj twoim ludziom i śmiało puszczaj się w drogę. Co do mnie. jestem tym samym Zotem, którego się tak lękasz, i ażebyś nie wątpił o tym, co ci powiadam, patrz, oto są narzędzia mego rzemiosła.

To mówiąc odwinął płaszcz i pokazał mi pas z pistoletami i sztyletami, po czym przyjacielsko uścisnął mi rękę i zniknął.

Tu przerwałem naczelnikowi Cyganów i rzekłem, że wiele słyzałem o tym rozbójniku i że nawet znam jego synów.

- Ja także ich znam - odparł Pandesowna - tym bardziej że razem ze mną zostają w służbie wielkiego szejka Gomelezów.

- Jak to? ty także w jego służbie? - zawołałem z największym zadziwieniem.

W tej chwili jeden z Cyganów zaszeptał kilka słów do ucha naczelnika, który wstał natychmiast i zostawił mi czas do rozmyślenia nad tym, czego się z ostatnich jego słów dowiedziałem. - Cóż to za potężne stowarzyszenie - mówiłem sam do siebie - które zdaje się śnie mieć innego celu prócz ukrywania jakiejś tajemnicy lub mamienia mego wzroku dziwnymi obłądami, których niekiedy zgaduję pewną część, podczas gdy nowe, nie przewidziane okoliczności znowu wtrącają mnie w przepaść wątpienia. Nie ma wątpliwości, że sam jestem jednym z ogniów tego niewidzialnego łańcucha, który coraz ciaśniej mnie krępuje.

Córki naczelnika, które właśnie przybywały prosząc, abym udał się z nimi na przechadzkę, przerwały moje marzenia. Wstałem i udałem się za nimi. Rozmowa toczyła się w czystym hiszpańskim języku, bez żadnej przymieszki jerigonzy, czyli narzecza cygańskiego. Podziwiałem wykształcenie ich umysłów i wesołą otwartość charakterów. Po przechadzce zastawiono wieczerzę, po czym wszyscy rozeszli się na spoczynek; ale tym razem nie pokazała się żadna z moich kuzynek.

Dzień trzynasty

Naczelnik Cyganów kazał mi przynieść obfite śniadanie i rzekł:

- Senor kawalerze, zbliżają się nasi nieprzyjaciele, czyli, wyraźniej mówiąc, straż celna. Słusznym jest, abyśmy im ustąpili pola bitwy. Znajdą tu paki dla nich przygotowane, reszta bowiem jest już w bezpiecznym miejscu. Posił się śniadaniem, a następnie udamy się w dalszą drogę.

Ponieważ na drugiej stronie doliny widać już było celników, posiłem się więc czym prędzej, a tymczasem cały obóz ruszał naprzód. Błądziliśmy z góry na górę, zapuszczając się coraz głębiej w pustkowia Sierra Moreny. Nareszcie zatrzymaliśmy się w głębokiej dolinie, gdzie nas już oczekiwano i przygotowano obiad. Po zaspokojeniu głodu prosiłem naczelnika o dalszy ciąg historii jego życia, na co ten chętnie przystał i tak dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Zostawiłeś mnie na pilnym słuchaniu zadziwiającego opowiadania Giulia Romati. Otóż więc towarzysz nasz tak dalej rozpowiadał swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII GIULIA ROMATI

Znany charakter Zota sprawił, że zupełnie zaufałem jego przyrzeczeniom. Wróciłem niesłuchanie zadowolony do mojej gospody i natychmiast posłałem po mulników. Wnet kilku ich przyszło i śmiało ofiarowało mi swoje usługi, rozbójnicy bowiem tak im, jak i ich zwierzętom nie wyrządzali żadnej krzywdy. Wybrałem spośród nich człowieka, który miał powszechnie dobrą sławę. Nająłem jednego muła dla siebie, drugiego dla mego służącego i dwa inne pod juki. Sam mulnik miał także swego muła i dwóch pieszych pomocników.

Nazajutrz o świcie wyruszyłem w drogę i zaledwie oddaliłem się o milę od miasta, gdy ujrzałem małe oddziały Zota, które zdawały się pilnować mnie z daleka i zmieniały w miarę naszego posuwania się naprzód. Tym sposobem, pojmujecie, nie miałem się czego obawiać.

Podróż wiodła mi się wybornie, a zdrowie z każdym dniem polepszało. Już byłem tylko o dwa dni od Neapolu, gdy nagle przyszła mi myśl, aby zboczyć z drogi i zwiedzić Salerno. Ciekawość ta łatwo dawała się usprawiedliwić, wiele bowiem zajmowałem się historią odrodzenia sztuk, którego kolebką była we Włoszech szkoła salernitańska. Wreszcie sam nie wiem, jaki fatalizm ciągnął mnie do przedsięwzięcia tej nieszczęsnej podróży.

Zjechałem z głównego gościńca w Monte Brugio i wzięwszy przewodnika z pobliskiej wioski, zapuściłem się w okolicę najdzikszą, jaką tylko można sobie wyobrazić. O południu przybyliśmy do rozwalonej rudery, którą mój przewodnik nazywał gospodą, ale nie poznałem tego bynajmniej po przyjęciu, jakiego doznałem od gospodarza. W istocie, biedak ten, zamiast ofiarować mi jaki posiłek,

blagał mnie, abym mu udzielił nieco z moich zapasów. Na szczęście miałem ze sobą mięso na zimno, podzieliłem się więc z nim. z moim przewodnikiem i służącym, mulnicy bowiem zostali w Monte Brugio.

W dwie godziny potem opuściłem to nędzne schronienie i wkrótce spostrzegłem obszerny zamek, położony na szczycie góry. Zapytałem mego przewodnika. jak się to miejsce nazywa i czy jest zamieszkałe. Odpowiedział mi, że w okolicy nazywano je zwykle lo monte albo też lo castello, że zamek jest zupełnie zrujnowany i nie zamieszkały, ale że wewnątrz zbudowano kaplicę z kilku celami, gdzie franciszkanie z Salemo utrzymują pięciu czy sześciu zakonników; przy tym dodał z wielką prostotą:

- Dziwne historie rozpowiadają o tym zamku, ale ja żadnej nie umiem na pamięć, gdyż jak tylko kto zacznie o tym mówić, natychmiast uciekam z kuchni i idę do mojej bratowej, Pepy, gdzie zwykle zastaję jednego z ojców franciszkanów, który mi daje swój szkaplerz do pocałowania.

Pytałem go dalej, czy będziemy przejeżdżali koło zamku. Odpowiedział mi, że droga biegnie zboczem. w połowie wysokości góry, na której wznosi się zamek.

Śród tego niebo pokryło się chmurami i nad wieczorem zaryczała straszliwa burza. Jak na nieszczęście znajdowaliśmy się na pochyłości góry. gdzie nie było żadnego schronienia. Przewodnik oznajmił nam. że w pobliżu znajduje się obszerna jaskinia, do której jednak droga jest nader przykra. Postanowiłem korzystać z jego rady. ale zaledwie zjechaliśmy między skały, gdyż obok nas uderzył piorun. Muł mój upadł, ja zaś stoczyłem się z wysokości kilku sążni; cudownym trafem zaczepiłem się o drzewo i czując, że jestem ocalony, zacząłem wołać na moich towarzyszy, ale żaden mi nie odpowiedział.

Błyskawice z taką szybkością następowały po sobie, że przy ich świetle zdołałem rozpoznać otaczające mnie przedmioty i stanąć na bezpiecznym miejscu. Postępowałem naprzód, chwytając się za drzewa i tym sposobem dostałem się do małej jaskini, która jednak nie dotykała żadnej ścieżki, nie mogła więc być tą, o której mi przewodnik wspominał. Ulewa, wicher, grzmoty i pioruny zwiększyły się w dwójnasób. Drżałem cały w przemoczonej odzieży i przez kilka godzin musiałem zostawać w tym nieznośnym położeniu. Nagle zdało mi się. że widzę pochodnie, migające na dnie wąwozu, i słyszę jakieś głosy. Sądziłem, że to moi ludzie, jąłem ich przywoływać i wkrótce usłyszałem krzyki w odpowiedzi.

Niebawem spostrzegłem młodego człowieka przyzwoitej postaci z kilku służącymi, z których jedni nieśli pochodnie, drudzy zaś zawiniątka z odzieżą. Młodzieniec ukłonił mi się z głębokim uszanowaniem i rzekł;

- Signor Romati, należymy do księżniczki Monte Salerno. Przewodnik, którego wzięłeś w Monte Brugio, doniósł nam, że zabłąkałeś się w tych górach, przychodzimy więc po ciebie z rozkazu księżniczki. Racz przywdziać to odzienie i pójść z nami do zamku.

- Jak to - odpowiedziałem - chcecie mnie zaprowadzić do tego opuszczonego zamku położonego na szczycie góry?

- Bynajmniej - odparł młodzieniec - ujrzysz przepyszny pałac, od którego zaledwie o dwieście kroków jesteśmy oddaleni.

Myślałem, że w istocie jakaś neapolitańska księżniczka ma swój pałac w tych okolicach, ubrałem się więc i pośpieszyłem za moim młodym przewodnikiem. Wkrótce znalazłem się przed przysionkiem z czarnego marmuru, ponieważ jednak pochodnie nie oświetały reszty budynku, nie mogłem dostatecznie o nim sądzić. Młodzieniec opuścił mnie na dole schodów, wszedłem więc sam na górę i na pierwszym zakręcie spostrzegłem kobietę niezwyklej piękności, która mi rzekła:

- Panie Romati, księżniczka Monte Salemo poleciła mi pokazać ci wszystkie piękności swej siedziby.

Odpowiedziałem, że sądząc o księżniczce po jej orszaku niewieścim, musi ona przewyższać wszelkie wyobrażenie, jakie można sobie o niej uczynić.

W istocie, przewodniczka moja była tak doskonałej piękności i tak wspaniałej postaci, że zaraz z początku pomyślałem, że kto wie, czy to nie jest sama księżniczka. Zauważyłem także, że nosi na sobie ubiór, jaki spostrzegamy na portretach z przeszłego wieku; sądziłem jednak, że to strój dam neapolitańskich, które wznowiły tę starodawną modę.

Weszliśmy naprzód do komnaty, gdzie wszystko było z lanego srebra. Posadzka składała się ze srebrnych kwadratów, jednych polerowanych, innych matowych. Obicia ścian, także z lanego srebra, imitowały adamaszek: tło miały polerowane, a deseń matowy. Plafon przypominał rzeźbione sufity starych zamków. Lamperie, brzegi obić ściennych, świeczniki, ramy i skrzydła drzwi zadziwiały wykończeniem dłuta snycerskiego.

- Panie Romati - rzekła mniemana dama dworu - zbyt długo zatrzymujesz się nad tymi drobnostkami. Jest to tylko przedpokój przeznaczony dla pieszej służby księżniczki.

Nic na to nie odpowiedziałem i weszliśmy do drugiej komnaty, podobnej kształtem do pierwszej, wyjąwszy, że wszystko, co tam było ze srebra, tu było złociste, z ozdobami z tego cieniowanego złota, jakie było w modzie przed przeszło pięćdziesięciu laty.

- Ta komnata - mówiła dalej nieznajoma - należy do szlachty dworskiej, marszałka i innych urzędników naszego dworu; w pokojach księżniczki nie zobaczysz ani złota, ani srebra, panuje tam zupełna prostota - możesz to poznać już z tej sali jadalnej.

To mówiąc otworzyła boczne drzwi. Weszliśmy do sali, której ściany pokrywał kolorowy marmur, a sufitu zaś naokoło biegła płaskorzeźba, misternie wyrobiona z białego marmuru. W głębi, we wspaniałych kredensach, stały naczynia z górskiego kryształu i czary z najpiękniejszej indyjskiej porcelany.

Stąd wróciliśmy znowu do komnaty dworzan i przeszliśmy do sali bawialnej.

- Oto jest sala - mówiła dama - która bez wątpienia wzbudzi twój podziw.

Rzeczywiście, stanąłem jak osłupiały i począłem naprzód przypatrywać się posadzce, która była ułożona z lapis-lazuli, inkrustowanego kamiami na sposób florencki. Jedna tafli takiej mozaiki kosztuje kilkanaście lat pracy. Wzory tafli tworzyły harmonijną całość i miały wspólny motyw główny, ale przypatrzwszy się bliżej każdej z osobna, spostrzeżało się nieskończoną rozmaitość szczegółów, która jednak bynajmniej nie zakłócała wrażenia ogólnej symetrii. W istocie, jakkolwiek deseń wszędzie był jednakowy. tu jednak wyobrażał najpiękniejsze różnobarwne kwiaty, ówdzie muszle połyskujące kolorami tęczy, tam znowu motyle, dalej kolibry. Tak więc najdroższe kamienie posłużyły

do naśladowania tego, co w naturze jest najpowabniejsze. W środku tej wspaniałej posadzki widniała kompozycja z różnobarwnych drogich kamieni, otoczona sznurami wielkich pereł. Cała mozaika wydawała się płaskorzeźbą i jakby rzeczywista. zupełnie tak, jak w mozaikach florenckich.

- Panie Romati - rzekła nieznajoma - jeżeli nad wszystkim będziesz tak długo się zastanawiał, nie skończymy nigdy.

Natenczas podniosłem oczy i spostrzegłem obraz Rafaela, który zdawał się być pierwszym szkicem jego Szkoły Ateńskiej, piękniejnym jednak co do kolorytu, ponieważ malowany był olejnymi farbami.

Następnie ujrzałem Herkulesa u nóg Omfali: postać Herkulesa była pędzla Michała Anioła, w twarzy kobiety poznałem utwór Guida. Jednym słowem, każdy obraz przewyższał w doskonałości wszystko, co dotąd widziałem. Obicie sali było z gładkiego, zielonego aksamitu, od którego barwy malowidła wybornie się odbijały.

Po obu stronach każdych drzwi stały posągi nieco mniejszej niż naturalna wielkości. Było ich razem cztery: Amor Fidasza, którego Fryne zażądała jako ofiary, Faun tegoż mistrza, prawdziwa Wenus Praksytelesa, której Medycejska jest tylko kopią, wreszcie Antinous nadzwyczajnej piękności. Oprócz tego w oknach stały marmurowe grupy.

Naokoło salonu ustawione były komody z szufladami, ozdobione zamiast brązem - misterną robotą jubilerską, otaczającą kamee, jakie można by znaleźć zaledwie w królewskich gabinetach. Szuflady zawierały zbiory złotych monet, ułożone w uczonym porządku.

- Tutaj to - rzekła moja przewodniczka - pani tego zamku przepędza poobiednie godziny, przeglądanie bowiem tych zbiorów nastrecza rozmowę równie ciekawą, jak pouczającą; ale pozostaje jeszcze wiele rzeczy do obejrzenia, pójdź więc za mną.

Wtedy weszliśmy do sypialni. Była to ośmiokątna komnata z czterema alkowami, w każdej zaś stało obszerne, wspaniałe łożo. Nie było tu widać ani lamperii, ani obić. ani sufitu. Z wytwornym smakiem rozwieszony, pokrywał wszystko muślin indyjski, haftowany w misterne wzory i tak cienki, że można go było wziąć za mgłę, którą sama Arachne sprzędła w lekką tkaninę.

- Po cóż te cztery łoża? - zapytałem.

- Ażeby można się przenieść z jednego na drugie w razie, gdy upał nie dozwala zasnąć - odpowiedziała nieznajoma.

- Ale dlaczego te łoża są tak obszerne? - dodałem po chwili.

- Czasami księżniczka, gdy bezsenność ją trawi, ma zwyczaj przywoływania swoich kobiet. Ale przejdźmy do łazienki.

Była to okrągła komnata, wykładana perłową macicą ze szlakami z koralu. Dokoła sufitu zamiast draperii sznur z wielkich pereł utrzymywał frędzle z klejnotów tejże samej wielkości i wody. Sufit składała jedna wielka szyba szklana, przez którą widać było pływające złote rybki chińskie. Zamiast wanny, w środku komnaty znajdował się okrągły basen, dokoła obłożony sztuczną pianką, pośród której sterczały najrzadsze indyjskie muszle.

Na ten widok nie mogłem już powstrzymać oznak podziwienia i zawołałem:

- Ach, pani, raj ziemski niczym jest w porównaniu z tą cudowną siedzibą!

- Raj ziemski! - krzyknęła młoda kobieta przerażona i prawie z rozpaczą. - Raj! czy mówiłeś co o raj? Proszę cię, panie Romati, nie wyrażaj się w ten sposób, usunie cię o to proszę; teraz pójdź za mną.

Natenczas przeszliśmy do ptaszarni, napełnionej wszelkimi rodzajami ptaków podzwrotnikowych i wszystkimi miłymi śpiewakami naszego klimatu. Zastaliśmy tam stół nakryty dla mnie samego.

- Jakże możesz pani sądzić - rzekłem do pięknej przewodniczki - aby ktoś mógł myśleć o jedzeniu w tym boskim pałacu. Widzę, że pani nie masz zamiaru dotrzymywać mi towarzystwa. Z mojej strony nie odważę się sam zasiąść, chyba pod warunkiem, że pani raczysz opowiedzieć mi niektóre szczegóły o księżniczce, która posiada te wszystkie cuda.

Młoda kobieta wdzięcznie się uśmiechnęła, podała mi jadło, usiadła i zaczęła w te słowa:

HISTORIA KSIĘŻNICZKI MONTE SALERNO

Jestem córką ostatniego księcia Monte Salerno...

- Jak to? ty, pani?

- Chciałam rzec, księżniczka Monte Salerno - ale nie przerywaj mi.

- Książę Monte Salerno, pochodzący z dawnych udzielnych książąt Salerno, był grandem hiszpańskim, naczelnym wodzem wojsk, wielkim admirałem, wielkim koniuszym, wielkim marszałkiem dworu, wielkim łowczym, jednym słowem, łączył w swojej osobie wszystkie wielkie urzędy królestwa neapolitańskiego. Jakkolwiek sam zostawał w służbie królewskiej, jednakże miał na swoim dworze wiele szlachty, pomiędzy którą była i tytułowana. W liczbie tej ostatniej znajdował się margrabia Spinaverde, pierwszy dworzanin księcia, posiadający całe jego zaufanie, na równi ze swoją małżonką, margrabiną Spina verde, pierwszą damą z orszaku księżnej. Miałam wówczas dziesięć lat - chciałam rzec, że jedyna córka księcia Monte Salerno miała dziesięć lat, gdy umarła jej matka. Wtedy to oboje Spinaverde opuścili dom książęcy: mąż, ażeby zająć się ogólnym zarządkiem dóbr, żona zaś - moim wychowaniem. Zostawili w Neapolu najstarszą córkę, Laure, która przy boku księcia prowadziła nieco dwuznaczną egzystencję. Matka jej i młoda księżniczka przybyły na mieszkanie do Monte Salerno. Niewiele zajmowano się wychowaniem Elfridy, natomiast starannie przyuczano jej służące, przyzwyczajając je do spełniania najmniejszych moich skinień.

- Skinień twoich, pani? - zawołałem.

- Nie przerywaj mi pan, już cię raz o to prosiłam - odparła gniewnie, po czym tak dalej mówiła:

- Zachciało mi się wystawiać cierpliwość moich kobiet na próby wszelkiego rodzaju. Co chwila dawałam im sprzeczne rozkazy, których zaledwie połowę były w stanie wypełnić; wtedy karałam je szczypaniem lub zatykaniem szpilek w ręce i nogi. Niebawem wszystkie mnie porzuciły. Margrabina przysłała mi inne, ale i te nie mogły długo ze mną wytrzymać. Tymczasem mój ojciec ciężko

zachorował i udałyśmy się do Neapolu. Mało go widywałam, ale oboje Spinaverde nie opuszczali go na chwilę. W końcu umarł i w testamencie nazaczył margrabiego jedynym opiekunem córki i zawiadowcą wszelkich jej majątków.

Pogrzeb zatrzymał nas przez kilka tygodni, po czym wróciliśmy do Monte Salerno, gdzie znowu zaczęłam szczytać moje służące. Cztery lata upłynęły mi na tych niewinnych zatrudnieniach, które były dla mnie tym przyjemniejsze, że margrabina zawsze przyznawała mi słuszność, zaręczając, że cały świat jest na moje usługi i że nie ma dość srogiej kary dla tych, którzy nie chcą mi być posłuszni.

Pewnego jednak dnia wszystkie moje służące jedna po drugiej mnie opuściły, tak że wieczorem musiałam rozbierać się sama. Rozpłakałam się ze złości i pobiegłam do margrabiny, która mi rzekła:

- Droga, miła księżniczko, osusz twoje piękne oczy; ja sama cię dziś rozbiore, jutro zaś przyprowadzę ci sześć kobiet, z których bez wątpienia będziesz zadowolona.

Nazajutrz, za moim przebudzeniem, margrabina przedstawiła mi sześć młodych i nader pięknych dziewcząt, na których widok doznałam pewnego rodzaju wzruszenia. One same zdawały się być równie wzruszone. Ja pierwsza ochłonęłam z mego pomieszenia, wyskoczyłam w koszuli z łóżka, uściskałam je po kolei i zapewniłam, że nigdy nie będą ani szczypane, ani łajane. W istocie, chociaż ubierając mnie czasami niezgrabnie sobie poczynały lub ośmielały się mnie nie słuchać, nigdy się na nie gniewałam.

- Ależ pani - rzekłam do księżniczki - kto -wie, czy te młode dziewczęta nie były przebranymi chłopcami.

Księżniczka przybrała dumną postawę i odparła:

- Panie Romati, prosłam cię, abyś mi nie przerywał - i po tych słowach tak dalej mówiła:

- W dniu, w którym skończyłam szesnaście lat, zapowiedziano mi znakomite odwiedziny. Byli to: sekretarz stanu, ambasador hiszpański i książę Guadarrama. Ten ostatni przybywał prosić o moją rękę, dwaj inni towarzyszyli mu tylko dla poparcia jego prośby. Młody książę był ujmującej postaci i nie mogę zaprzeczyć, że uczynił na mnie silne wrażenie. Wieczorem wyszliśmy na przechadzkę do ogrodu. Zaledwie uczyniliśmy kilka kroków, gdy byk rozjuszony wyskoczył spomiędzy drzew i rzucił się prosto na nas. Książę zabiegł mu drogę z płaszczem w jednej, ze szpadą zaś w drugiej ręce. Byk wstrzymał się na chwilę, wkrótce jednak poskoczył na księcia i padł przeszyty jego żelazem. Zdawało mi się, że byłam winna życie odwadze i zręczności młodego księcia, ale nazajutrz dowiedziałam się, że koniuszy jego naumyślnie przywiódł nam byka i że pan jego chciał tym sposobem wyświadczyć mi grzeczność, wedle zwyczajów swego kraju. Natenczas, zamiast wdzięczności, rozgniewałam się za bo jaźń, jakiej mnie nabawił, i odrzuciłam ofiarę jego ręki.

Postępek mój niesłuchanie podobał się margrabinie. Korzystała z tej okazji, aby dać mi poznać wszystkie zalety wolności, i wystawiła mi straty, na jakie bym się naraziła, zmieniając stan i nadając sobie pana. Wkrótce potem ten sam sekretarz stanu przyjechał do nas w towarzystwie innego ambasadora i panującego księcia Nudel-Hansberg. Zalotnik ten był wysoki, gruby, tłusty, jasnowłosy, biały aż do siności i usiłował bawić mnie rozmową o majoratach, jakie posiadał w habsburskich krajach Rzeszy, ale mówił po włosku ze śmiesznym tyrolskim akcentem.

Zacząłam przedrzeźniać jego wymowę i tymże samym akcentem zapewniłam go, że jego obecność jest niezbędna w majoratach, które posiada w habsburskich krajach Rzeszy. Niemiecki książę wyjechał dotknięty do żywego. Margrabina okryła mnie pieśczołami i ażeby tym pewniej zatrzymać mnie w Monte Salerno, kazała wykonać wszystkie te piękne rzeczy, które tu podziwiałeś.

- Zaprawdę, wybornie jej się udało! - zawołałem - cudowny ten pałac słusznie może być nazwany rajem ziemskim.

Na te słowa księżniczka powstała z oburzeniem i rzekła:

- Panie Romati, już cię prosiłam, abyś nie używał więcej tego wyrażenia - po czym zaczęła śmiać się, ale straszliwym i konwulsyjnym śmiechem, powtarzając ciągle: - tak - rajem - ziemskim rajem - ma właśnie o czym mówić - o raju.

Scena ta poczyniała stawać się przykra; księżniczka na koniec przybrała dawną surową postać i groźnie na mnie spojrzawszy, rozkazała, abym udał się za nią.

Natenczas otworzyła drzwi i znaleźliśmy się w obszernych podziemiach, w głębi których połyskiwało jak gdyby srebrne jezioro, które w istocie było z żywego srebra. Księżniczka klasnęła w dłonie i spostrzegłem łódkę, kierowaną przez żółtego karła. Weszliśmy do łodzi i wtedy dopiero poznałem, że karzeł ma twarz ze złota, oczy diamentowe i usta z koralu. Jednym słowem, był to automat, który za pomocą małych wiosel krajał fale żywego srebra z niesłychaną zręcznością i pędził łódkę naprzód. Ten nowego rodzaju przewoźnik wylądował z nami u stóp skały, która otworzyła się, i znowu weszliśmy do podziemia, gdzie tysiące innych automatów przedstawiło nam najdziwniejsze widowisko. Pawie roztaczały ogony wysadzone drogimi kamieniami, papugi ze szmaragdowymi piórami ulatywały nad naszymi głowami, Murzyni z hebanu na złotych półmiskach przynosili wiśnie z rubinów i winogrona z szafirów - nieskończona ilość zadziwiających przedmiotów napełniała te cudowne sklepienia, których końca oko nie mogło dojrzeć.

Natenczas, sam nie wiem dlaczego, znowu wzięła mnie chętka powtórzenia tego nieszczęsnego porównania o raju, aby przekonać się, jakie wrażenie słowo to sprawi tym razem na księżniczce. Ulegając więc nieszczęsnej ciekawości, rzekłem:

- W istocie, można powiedzieć, że pani posiadasz raj na ziemi.

Księżniczka jednak najwdzięczniej mi się uśmiechnęła, mówiąc:

- Ażebyś lepiej mógł sądzić o przyjemnościach tej siedziby, przedstawię ci sześć moich służących.

Przy tych słowach dobyła złoty klucz zza pasa i otworzyła ogromny kufer, pokryty czarnym aksamitem ze srebrnymi ozdobami. Gdy wieko odskoczyło, ujrzałem wychodzącego kościotrupa, który zbliżał się ku mnie w groźnej postawie. Dobyłem szpady, ale kościotrup, wyrwijąc sobie lewą rękę, użył jej zamiast broni i z wściekłością na mnie napadł. Broniełem się dość dzielnie, gdy wtem drugi kościotrup wyłaził z kufra, wyłamał zebro pierwszemu i z całej siły uderzył mnie nim w głowę. Pochwyciłem go za szyję, ale obwinął mnie kościstymi rękoma i chciał powalić na ziemię. Nareszcie zdołałem się go pozbyć, gdy wtem trzeci kościotrup wywłókł się z kufra, i złączył z dwoma pierwszymi. Za nim pokazały się jeszcze trzy inne. Wtedy, nie mając nadziei wyjścia zwycięzcą z tak nierównej walki, padłem na kolana przed księżniczką i prosiłem ją o miłosierdzie.

Księżniczka rozkazała kościotrupom wrócić do kufra, po czym rzekła:

- Romati, pamiętaj, abyś nigdy w życiu nie zapomniał tego, co tu widziałeś.

W tej samej chwili ścisnęła mnie za ramię, uczułem się sparzony aż do kości i zemdlałem.

Nie wiem, jak długo zostawałem w tym stanie; na koniec obudziłem się i usłyszałem gdzieś niedaleko Pobożne śpiewy. Poznałem, że leżę pośród obszernych zwalisk; chciałem się z nich wydostać i zaszedłem na wewnętrzny dziedziniec, gdzie ujrzałem kaplicę i mnichów śpiewających jutrznię. Po skończonych modlitwach przeor zaprosił mnie do swojej celi. Poszedłem za nim i starając się zebrać moje zmysły, opowiedziałem mu wszystko, com widział tej nocy. Gdy skończyłem powieść, przeor rzekł:

- Synu mój, nie patrzaleś, czy księżniczka nie zostawiła ci jakich znaków na ręku?

Odwinąłem rękaw i w istocie spostrzegłem ramię oparzone i znaki pięciu palców księżniczki.

Natenczas przeor otworzył skrzynkę stojącą przy jego łóżku i wyjął z niej stary pergamin.

- Oto jest - rzekł - bulla naszego założenia; ona może ci objaśni dzisiejsze twoje zdarzenie.

Rozwinąłem pergamin i przeczytałem, co następuje:

Roku Pańskiego 1503, dziewiątego lata panowania Fryderyka, króla Neapolu i Sycylii, Elfrida Monte Salerno, do ostatnich krańców posuwając bezbożność, głośno chełpiła się z posiadania prawdziwego rajy i wyraźnie rzekła się tego, jaki nas czeka w przyszłym życiu. Tymczasem pewnej nocy z Czwartku na Wielki Piątek trzęsienie ziemi pochłonięto jej pałac, którego zwaliska stały się piekielną siedzibą, gdzie szatan, wróg rodzaju ludzkiego, osadził chmarę złych duchów, które napastowały i wciąż jeszcze napastują tysiącnymi obłędami odważających się przybliżyć do Monte Salerno, a nawet pobożnych chrześcijan zamieszkujących te okolice. Z tego powodu my, Pius III, sługa sług bożych etc., upoważniamy do założenia kaplicy w samym środku rzeczonych zwalisk...

Nie pamiętam już końca bulli, pomnę tylko, że przeor zaręczył mi, że nagabywania stały się daleko rzadsze, że jednakowoż czasami się wydarzały, szczególnie zaś w nocy z Czwartku na Wielki Piątek. Zarazem doradził mi, abym kazał odprawić kilkanaście mszy za duszę księżniczki i samemu ich wysłuchał. Zastosowałem się do jego rady i następnie udałem się w dalszą podróż, ale pamięć tej nieszczęsnej nocy zostawiła mi smutne wrażenie, którego nic nie zdoła wy-mazać. Nadto ręka ciągle mi dolega.

Przy tych słowach Romati obnażył ramię, na którym spostrzegliśmy oparzeliznę i ślady palców księżniczki.

Tu przerwałem naczelnikowi, mówiąc mu, że przeglądałem u kabalisty opowiadania Happeliusa i że w nich znalazłem przygodę nader do tej podobną.

- To być może - odrzekł naczelnik - że Romati nauczył się swojej historii z tej książki, a nawet że całkiem ją zmyślił. Wszelako opowiadanie jego wielce przyczyniło się do podniecenia we mnie chęci do podróży, a zwłaszcza nadziei doznania samemu równie nadzwyczajnych przygód, co zresztą zostało tylko nadzieją. Ale taka jest moc wrażeń odebranych w młodocianym wieku, że marzenia te długo zawracały mi głowę i nigdy nie zdołałem zupełnie się z nich otrząsnąć.

- Senor Pandesowna - rzekłem na to - czyliż nie dałeś mi do zrozumienia, że od czasu, jak żyjesz w tych górach, widziałeś rzeczy, które także można by nazwać cudownymi?

- W istocie, widziałem pewne rzeczy, które mi przypomniały historię Giulia Romati...

W tej chwili jeden z Cyganów przerwał naszą rozmowę, a ponieważ okazało się, że Pandesowna ma wiele do czynienia, wziąłem strzelbę i poszedłem na polowanie. Przedarłem się przez kilka pagórków i rzuciwszy wzrok na dolinę rozciągającą się pod moimi stopami, zdało mi się, że poznaję z daleka nieszczęsną szubienicę dwóch braci Zota. Widok ten podniecił moją ciekawość, przyśpieszyłem kroku i w istocie znalazłem się u wejścia do szubienicy, na której dawnym zwyczajem oba trupy wisały. Ze zgrozą odwróciłem oczy i poszedłem przygnębiony z powrotem do naszego obozu. Naczelnik zapytał mnie, gdzie chodziłem; odpowiedziałem mu, że zapuściłem się aż do szubienicy dwóch braci Zota.

- Zastałeś ich obu wiszących? - rzekł Cygan,

- Jak to? - przerwałem - czy mają czasami zwyczaj odczepiać się?

- Bardzo często - rzekł naczelnik - zwłaszcza zaś w nocy.

Te kilka słów pogрузiło mnie w rozterce. Znowu więc znajdowałem się w sąsiedztwie dwóch przeklętych straszyci; nie wiedziałem, czy to upiory, czy też wymyślone na mnie strachy, wszelako należało ich się bądź co bądź obawiać. Smutek dręczył mnie przez resztę dnia; poszedłem spać bez wieczerzy i przez całą noc marzyłem tylko o widmach, upiorach, duchach, zmorach i wisielcach.

Dzień czternasty

Cyganki przyniosły mi czekoladę i raczyły zasiąść ze mną do śniadania. Następnie znowu wziąłem strzelbę i nie pojmuję, jakie nieszczęsne roztargnienie zaprowadziło mnie do szubienicy dwóch braci Zota. Zastałem ich odczepionych. Wszedłem pod szubienicę i ujrzałem oba trupy leżące wzdłuż na ziemi, a między nimi młodą dziewczynę, w której poznałem Rebekę.

Obudziłem ją, jak można było najłagodniej, jednakowoż widok, którego nie mogłem zasłonić, wtrącił ją w stan niewypowiedzianej boleści. Dostała konwulsji, zaczęła płakać i zemdląca. Wziąłem ją na ręce i zaniosłem do pobliskiego źródła; tam skropiłem jej twarz wodą i z wolna przywróciłem do zmysłów.

Nigdy nie byłbym się odważył zapytać ją, jakim sposobem dostała się pod szubienicę, ale ona pierwsza zaczęła o tym mówić.

- Dobrze to przewidziałam - rzekła - że milczenie twoje będzie miało dla mnie zgubne skutki. Nie chciałeś opowiedzieć nam swojej przygody, więc stałam się równie jak ty ofiarą tych przeklętych upiorów, których obrzydliwe igraszki w okamgnieniu zniweczyły długotrwałe starania, przedsięwzięte przez mojego ojca dla zapewnienia mi nieśmiertelności. Dotąd nie mogę jeszcze wytłumaczyć sobie wszystkich okropności tej nocy. Będę jednak starała się przypomnieć je sobie i zdam ci z nich sprawę, ale nie zrozumiałbyś mnie, gdybym nie zaczęła od początku mego życia.

Rebeka zamyśliła się przez chwilę i w te słowa zaczęła:

HISTORIA REBEKI

Mój brat, opowiadając ci swoje przygody, zaznajomił cię z pewną częścią moich własnych. Ojciec nasz przeznaczał go na małżonka dla dwóch córek królowej Saby, co do mnie zaś. chciał, abym zaślubiła dwóch geniuszów przewodniczących konstelacji Bliźniąt.

Brat, któremu pochlebiał tak wspaniały związek, podwoił zapał do nauk kabalistycznych. Ja doznałam zupełnie przeciwnego wrażenia; przestraszała mnie myśl zaślubienia dwóch naraz geniuszów i tak byłam tym przerażona, że nie mogłam ułożyć dwóch wierszy kabały. Ciągłe odkładałam pracę na jutro i skończyłam na tym, że prawie całkiem zapomniałam tej sztuki, równie trudnej jak niebezpiecznej.

Brat mój niebawem spostrzegł moją niedbałość i obsypał mnie najprzykrzejszymi wymówkami. Przynależało mu poprawę, nie myśląc jednak o dotrzymaniu obietnicy. Nareszcie zagroził mi, że oskarży mnie przed ojcem; zaklinałam go, aby mnie oszczędził. Wtedy przyrzekł czekać jeszcze do najbliższej soboty, ale ponieważ do tego czasu nic nie uczyniłam, wszedł do mnie o północy, rozbudził i rzekł, że natychmiast wywoła cię naszego ojca - strasliwego Mamuna.

Padłam mu do nóg, wzywałam litości, ale nadaremnie. Usłyszałam, jak wymówił groźną formułę, wynalezioną niegdyś przez czarodziejkę z Endor. Natenczas na tronie z kości słoniowej ukazał się mój ojciec. Wzrok jego zagniewany przejął mnie zgrozą; myślałam, że nie przeżyję pierwszego wyrazu, jaki wyjdzie z jego ust. Jednakże usłyszałam jego głos. Boże Abrahama! Wyrzekł strasliwe przekleństwo; nie powtórzę ci jego stów...

Tu młoda Izraelitka ukryła twarz w dłonie i zdawała się drzeć na samo wspomnienie tej okropnej sceny; nareszcie przyszła do siebie i tak mówiła dalej;

- Nie słyszałam reszty mowy ojca, zemdlałam bowiem, zanim skończył. Odzyskawszy zmysły, spostrzegłam brata, podającego mi księgę Sefirot. Wołałabym znowu stracić przytomność, ale trzeba było poddać się wyrokowi. Mój brat, który dobrze wiedział, że należy wrócić ze mną do pierwszych początków, miał dość cierpliwości i jeden po drugim wszystkie mi je przypomniał. Zaczęłam od składania sylab, następnie przeszłam do wyrazów i formuł. Powoli wzniosła ta nauka zupełnie mnie oczarowała. Przepędzałam całe noce w gabinecie, który służył memu ojcu za obserwatorium, i szłam spać dopiero, gdy światło dzienne przerywało moje badania; wtedy upadałam ze znużenia. Mulatka moja, Zulejka, rozbierała mnie, sama nie wiedziałam kiedy. Po kilku godzinach spoczynku wracałam do zatrudnień, do których bynajmniej nie byłam stworzona, jak to sam wkrótce zobaczysz.

Znasz Zulejkę i zapewne zauważyłeś nadzwyczajną jej piękność. Oczy jej tchną słodyczą, usta umiła rozkoszny uśmiech, ciało zaś zadziwia doskonałością kształtów. Pewnego ranka, wracając z obserwatorium, gdy długo na próżno wołałam na nią. aby przyszła mnie rozebrać, weszłam do jej pokoju, który przylega do mojej sypialni. Ujrzałam ją, jak wychylona przez okno, półnaga, dawała znaki komuś na drugiej stronie doliny i słała namiętne pocałunki, w które zdawała się wkładać całą swoją duszę.

Dotąd nie miałam żadnego pojęcia o miłości; wyrażenie tego uczucia po raz pierwszy uderzyło mój wzrok. Tak byłam przejęta i zaskoczona, że stanęłam nieruchomo jak posąg. Zulejka odwróciła się: żywy rumieniec przebił orzechową barwę jej płci i rozlał się po całym jej ciele. Ja także zarumieniłam się i nagle zbladłam. Czułam, że odchodzę od zmysłów. Zulejka podbiegła, pochwyciła mnie w swoje objęcia, a serce jej bijące tuż przy moim wzbudziło we mnie podobny niepokój, jaki opanował jej zmysły.

Mulatka rozebrała mnie czym prędzej i położywszy do łóżka, odeszła, jak mi się wydawało, z przyjemnością, a z jeszcze większym zadowoleniem zamknęła za sobą drzwi. Wkrótce usłyszałam kroki mężczyzny wchodzącego do jej pokoju. Równie szybkim jak mimowolnym poruszeniem zerwałam się z łóżka, pobiegłam do drzwi i przyłożyłam oko do dziurki od klucza. Ujrzałam młodego Mulata Tanzai, wnoszącego koszyk napełniony polnymi kwiatami. Zulejka pobiegła mu naprzeciw, wzięła pełne dłonie kwiatów i przycisnęła je do łona. Tanzai zbliżył się, aby oddychać ich zapachem, który mieszał się z westchnieniami jego kochanki. Widziałam wyraźnie, jak Zulejka zadrżała, dreszcz i mnie wskroś przejął, powiodła po nim błędnymi oczyma i padła w jego objęcia. Rzuciłam się na łóżko, oblałam łzami pościel, łkania dech mi zatrzymywały i z ogromną boleścią zawołałam:

- Ach, moja sto dwunasta prababko, której imię noszę, łagodna i czuła małżonko Izaaka! Jeżeli z łona twego teścia, z łona Abrahama, widzisz stan, w jakim się znajduję, ubłagaj cię Mamuna i powiedz mu, że jego córka niegodna jest zaszczytów, które dla niej przeznacza!

Wołania te zbudziły mego brata; wszedł do mnie i myśląc, że jestem chora, dał mi uspokajające lekarstwo. Wrócił jeszcze w południe i znalazłszy, że puls bije mi gwałtownie, ofiarował się dalej prowadzić za mnie moje prace kabalistyczne. Z wdzięcznością przyjął tę ofiarę, gdyż sama do niczego nie byłam zdolna. Ku wieczorowi zasnęłam i miałam sny cał odmienne od tych, jakie dotąd mnie nawiedzały. Nazajutrz marzyłam na jawie, czyli raczej byłam tak roztargniona, że sama nie wiedziałam, co mówię. Spojrzenia brata wywoływały na lica moje niewytłumaczony rumieniec. Tym sposobem przeszło osiem dni.

Pewnej nocy brat mój wszedł do mego pokoju. Pod pachą trzymał księgę Sefirot, w ręku zaś szarfę z konstelacjami, na której wypisane było siedemdziesiąt dwie nazwy, jakie Zoroaster nadał konstelacji Bliźniąt.

- Rebeko - rzekł do mnie - Rebeko, wyjdź z tego stanu, który cię poniża. Czas już, abyś spróbowała twej władzy nad istotami żywiołowymi. Ta szarfa z konstelacjami zabezpieczy cię przed ich natarczywością. Wybierz na okolicznych górach miejsce, które u-znasz za najstosowniejsze do twoich działań, i pomyśl, że cały twój los od nich zależy.

Po tych słowach brat mój wyprowadził mnie za bramę zamkową i zamknął za mną kratę.

Zostawiona sama sobie, zebrałam całą odwagę. Noc była ciemna, stałam w koszuli, z bosymi nogami, rozpuszczonym włosiem, trzymając księgę w jednej, a magiczną szarfę w drugiej ręce. Zwróciłam kroki w kierunku góry, która zdawała mi się być najbliższa. Jakiś pasterz chciał mnie pochwycić; odepchnęłam go ręką, w której trzymałam księgę, i padł trupem u mych nóg. Nie będzie to cię dziwiło, gdy się dowiesz, że okładka mojej księgi była wystrugana z drzewa arki, które ma własność niszczenia wszystkiego, czego tylko się dotknie.

Słońce zaczęło wstawać, gdy dostałam się na wierzchołek, który wybrałam do uskutecznienia moich działań; mogłam jednak rozpocząć je dopiero nazajutrz o północy. Schroniłam się do jaskini, gdzie zastałam niedźwiedzicę z kilkoma niedźwiadkami; rzuciła się na mnie, ale oprawa księgi i tym razem nie była bezskuteczna; rozwścieczone zwierzę upadło u mych stóp. Wzdęte jej wymiona przypomniły mi, że umieram z czczości, nie miałam zaś jeszcze żadnego geniusza, a nawet żadnego ducha błędnego na moje rozkazy. Postanowiłam korzystać ze sposobności i położywszy się na ziemi, ugasiłam pragnienie mlekiem niedźwiedzicy. Ostatki ciepła, które zwierzę jeszcze w sobie zachowało, uczyniły jej pokarm mniej odrażającym, ale wtem niedźwiadki przyszły dopominać się o swoją część. Wyobraź sobie, Alfonsie, szesnastoletnią dziewczynę, która nigdy dotąd nie opuściła swego domu rodzinnego, nagle w tak okropnym położeniu. Wprawdzie miałam w ręku straszliwą broń, ale nie byłam przyzwyczajona jej używać, najmniejsza zaś nieuwaga mogła ją przeciw mnie obrócić.

Tymczasem spostrzegłam, że trawa schnie pod moimi stopami, powietrze gwałtownie rozżarza się, a ptaki padają martwe w przelocie. Poznałam, że duchy, wiedząc o tym, co ma nastąpić, zaczynają się już zgromadzać. Pobliskie drzewo samo się zapaliło, buchnęło kłębam dymu, które, zamiast wznieść się do góry, otoczyły moją jaskinię i pogrążyły mnie w ciemnościach. Niedźwiedzica leżąca u mych nóg zdawała się ożywiać i oczy jej zabłyśły ogniem, który na chwilę rozproszył ciemności. Natenczas z paszczy jej wyskoczył zły duch pod postacią skrzydlatego węża. Był to Nemrael, duch ostatniego stopnia, którego przeznaczono na moje usługi. Wkrótce potem usłyszałam rozmowę w języku egregorów, najznakomitszych strąconych aniołów, i zrozumiałam, że uczynią mi zaszczyt towarzyszenia przy pierwszym moim wejściu w świat istot pośrednich. Mowa ta jest tą samą, w jakiej Enoch napisał swoją księgę, dzieło, nad którym głęboko się zastanawiałam.

Nareszcie Semjasa, księżę egregorów, przyszedł oznajmić mi, że czas już zacząć. Wysłałam z jaskini, roztoczyłam wkoło moją szarfę z konstelacjami, otworzyłam księgę i głośno wymówiłam straszliwe zaklęcia, które dotychczas zaledwie odważałam się czytać po cichu.

Pojmujesz dobrze, senor Alfonsie, że nie jestem w stanie opowiedzieć ci wszystkiego, co się ze mną działo, a nawet nie mógłbyś tego zrozumieć. Dodam tylko, że nabyłam dość znacznej władzy nad duchami i że nauczono mnie sposobów, które mi miały umożliwić zapoznanie się z bliźniętami niebieskimi. Około tego czasu brat mój dostrzegł końce nóg córek Salomona. Czekałam, dopóki słońce wejdzie w znak Bliźnięt; z kolei tego dnia, czyli raczej tej nocy, wzięłam się do dzieła. Wytężyłam wszystkie siły, ażeby osiągnąć cel, nie chcąc zaś przerywać moich działań, tak długo w noc przeciągnęłam pracę, że wreszcie ośwładnął mną sen, któremu nie mogłam się oprzeć.

Nazajutrz, spojrzawszy w zwierciadło, spostrzegłam stojące za sobą dwie ludzkie postacie. Obróciłam się, ale nic nie ujrzała; rzuciłam znowu wzrok na zwierciadło i znowu ten sam obraz mi się przedstawił. Zjawisko to wcale nie było straszne. Widziałam dwóch młodzieńców, których postać nieco przewyższała zwykły wzrost ludzki. Barki ich były szerokie i nieco zaokrąglone, jak u kobiet; piersi także miały kobiece kształty; poza tym jednak niczym nie różnili się od mężczyzn. Wytoczone ramiona wspierali na biodrach, w postawie, jaką widzimy w posągach egipskich; błękitnozłote włosy spadały im w pierścieniach na barki. Nie mówię już o rysach ich twarzy: możesz sobie wyobrazić piękność półbożków, gdyż w istocie były to bliźnięta niebieskie, poznałam je po małych płomykach połyskujących nad ich głowami.

- Jakżeż byli ubrani ci półbożkowie? - zapytałam Rebeki.

- Wcale nie byli ubrani - odrzekła - każdy z nich miał cztery skrzydła, z których dwa wyrastały z ramion, dwa zaś zataczały się wokół pasa. Jakkolwiek skrzydła te były przezroczyste, jak skrzydła much, atoli iskry srebra i złota, którymi były przetkane, dostatecznie zasłaniały to wszystko, co mogłoby urazić moją wstydlivość.

- Otóż są więc - rzekłam sama do siebie - dwaj niebiescy młodzieńcy, którym przeznaczona jestem na małżonkę. - Nie mogłam wewnątrznie wstrzymać się od porównania ich z młodym Mulatem, który tak szczerze kochał Zulejkę, ale zapłoniałam się na tę myśl. Spojrzałam w zwierciadło i zdało mi się, że półbożkowie rzucają mi zagniewane spojrzenia, jak gdyby odgadli moje myśli i obrazili się, że mimowolnie poniżyć ich tym porównaniem.

Przez kilka następných dni lękałam się spojrzeć w zwierciadło. Nareszcie odważyłam się. Boskie bliźnięta, z rękami założonymi na piersiach, łagodnymi i czułymi spojrzeniami rozproszyły moją bojaźń. Nie wiedziałam jednak, co im powiedzieć. Aby wybrnąć z kłopotu, poszłam po tom dzieł Edrisa, który wy nazywacie Atlasem. Jest to najpiękniejsza poezja, jaką posiadamy. Dźwięki wierszy Edrisa naśladowują harmonię ciał niebieskich. Nie jestem dość obeznana z językiem tego autora, lękając się więc, czym źle nie przeczytałam, ukradkiem spojrzałam w zwierciadło, aby przekonać się, jaki skutek wywieram na słuchaczach. Mogłam być zupełnie zadowolona. Thoamimowie spoglądali po sobie wzrokiem pełnym uznania dla mnie i czasami rzucali w zwierciadło spojrzenia, na których widok byłam mocno wzruszona.

W tej chwili brat mój wszedł do pokoju i znikło całe widzenie. Mówił mi o córkach Salomona, których widział tylko końce nóg. Widząc go wesołego, podzieliłam jego radość, tym bardziej że czułam się przejęta nieznanym dotąd uczuciem. Wzruszenie wewnętrzne, towarzyszące zawsze działaniom kabalistycznym, ustąpiło miejsca słodkiemu rozmarzeniu, o którego rozkoszach dotąd nic nie wiedziałam.

Brat kazał otworzyć kratę zamkową, która była zamknięta od czasu mego wyjścia na górę, i oddaliśmy się przyjemności przechadzki. Okolica wydała mi się czarowna, pola połyskiwały najświetniejszymi barwami. Spostrzegłam także w oczach mego brata pewien zapał, odmienny od tego, jaki w nim przedtem gorzał do nauk. Zapusciliśmy się w las pomarańczowy. On poszedł marzyć w swoją stronę, ja w moją i powróciliśmy przepętnieni czarownicami myślami.

Zulejka, rozbierając mnie, przyniosła zwierciadło. Spostrzegłszy, że nie jestem sama, kazałam je odnieść, przekładając sobie obyczajem strusia, że skoro sama nie widzę, nie będę widziana. Położyłam się i zasnęłam, ale wkrótce najdziwaczniejsze sny owładnęły moją wyobraźnię. Zdawało mi się, że w przepaści niebios widzę dwie świetlne gwiazdy, które majestatycznie sunęły po kręgu zwierzyńcowym. Nagle zboczyły z drogi i po chwili znowu się pokazały, prowadząc za sobą niewielką mgławicę z gwiazdozbioru Woźnicy.

Trzy te niebieskie ciała razem przebiegały napowietrzną drogę, po czym zatrzymały się i przybrały postać ognistego meteoru. Następnie wybuchły w trzech świetlnych pierścieniach i długo wirując z osobna, zestrzeliły się w jedno ognisko. Wtedy zmieniły się w wielką glorię, czyli światłokrąg, otaczający tron z szafirów. Na tronie siedziały bliźnięta, wyciągały do mnie ramiona i ukazywały miejsce, które miałam zająć między nimi. Chciałam do nich poskoczyć, ale w tej chwili zdało mi się, że Mulat Tanzai chwyta mnie za kibić i wstrzymuje. W istocie, uczułam ściśnienie i nagle ocknęłam się.

Ciemność ogarniała moją komnatę, ale przez szczeliny drzwi ujrzałam światło w pokoju Zulejki. Posłyszałam jej westchnienia i sądziłam, że jest chora. Powinnam była ją zawołać, ale nie uczyniłam tego. Nie wiem, jaka nieszczęsna płochość sprawiła, że znowu pobiegłam do dziurki od klucza. Ujrzałam Tanzai i Zulejkę, oddających się swawoli, która przejęła mnie przerażeniem; zaćmiło mi się w oczach i padłam zemdlona.

Gdy otworzyłam oczy, Zulejka i brat mój stali przy moim łóżku. Rzuciłam na Mulatkę piorunujące spojrzenie i zabroniłam jej pokazywać mi się na oczy. Brat mój zapytał mnie o przyczynę tej srogości; zapłonią opowiedziałam mu wszystko, co mi się wydarzyło w nocy. Odrzekł na to, że poprzedniego dnia sam ich poenił, że jednak jest mu przykro, iż nie przewidział tego, co się stało. Wprawdzie tylko wzrok mój był wystawiony na szwank, atoli nadzwyczajna drażliwość Thoamimów mocno go niepokoiła. Co do mnie, postradałam wszystkie uczucia wyjąwszy wstydu i wołałabym była umrzeć, aniżeli spojrzeć w zwierciadło.

Brat mój nie znał rodzaju moich stosunków z Thoamimami, ale widział, że nie jestem dla nich obca, bacząc zaś, że oddaję się coraz głębszemu smutkowi, lękał się, abym nie zaniechała rozpoczętych działań. Słońce miało już wychodzić ze znaku Bliźniąt, uznał więc za potrzebne uprzedzić mnie o tym. Ocknęłam się jakby ze snu; zdrzałam na myśl, że nie zobaczę więcej moich półbożków i rozłączę się z nimi na jedenaście miesięcy, nie wiedząc nawet, jakie miejsce zajmuję w ich sercach i czy nie staję się zupełnie niegodna ich uwagi.

Postanowiłam pójść do wysokiej komnaty zamkowej, gdzie wisiało weneckie zwierciadło sześciotokciowej wysokości; dla większej jednak pewności siebie wzięłam księgę Edrisa, zawierającą poemat o stworzeniu świata. Usiadłam z daleka od zwierciadła i zaczęłam głośno czytać. Następnie, przerywając i podnosząc nagle głos, ośmieliłam się zapytać Thoamimów, czy byli świadkami tych wszystkich cudów. Wtedy zwierciadło weneckie odczepiło się ze ściany i stanęło przede mną. Ujrzałam w nim Thoamimów; uśmiechali się do mnie z zadowoleniem i pochylali głowy na znak, że rzeczywiście byli obecni przy stworzeniu świata i że w istocie wszystko tak się odbyło, jak pisze Edris.

Tu odwaga we mnie wstąpiła, zamknęłam księgę i utopiłam wzrok w oczach moich boskich kochanków. Chwila tego zapomnienia mogła mnie drogo kosztować. Zbyt wiele jeszcze było we mnie ludzkiej natury, ażeby mogła znieść tak bliskie z nimi zetknięcie. Płomień, błyskający w ich oczach, o mało mnie nie spalił. Spuściłam wzrok i przyszedłszy nieco do siebie, jęłam czytać dalej. Właśnie trafiłam na drugą pieśń, w której wieszcz opisuje miłostki synów Elohima z córkami ludzi. Niepodobna dziś wyobrazić sobie sposobu, jakim kochano w pierwszych wiekach świata. Czytając te jaskrawe opisy, często zacinałam się, nie mogąc zrozumieć słów poety. Wtedy oczy moje mimowolnie zwracały się ku zwierciadłu i zdawało mi się, że widzę, jak Thoamimowie z coraz większą rozkoszą słuchają mego głosu. Wyciągali do mnie ramiona i zbliżali się do mego krzesła. Roztaczali świetne skrzydła u ramion; spostrzegłam również lekkie drżenie tych, które mieli u bioder. W obawie, że je rozwiną, zakryłam dłonią oczy i w tej chwili uczułam na niej pocałunek, równie jak na drugiej, którą trzymałam na księdze. Wtedy nagle usłyszałam, jak zwierciadło pęka na tysiąc drobnych kawałków. Zrozumiałam, że słońce wyszło ze znaku Bliźniąt, które tym sposobem zasyłały mi pożegnanie.

Nazajutrz w innym zwierciadle ujrzałam jak gdyby dwa cienie albo raczej dwa lekkie zarysy postaci boskich moich kochanków. W dzień potem wszystko znikło. Natenczas, dla rozproszenia tęsknoty, przepędzałam noce w obserwatorium i z okiem przyłożonym do teleskopu śledziłam moich kochanków aż do ich zniknięcia. Już dawno byli pod widnokretem, kiedy marzyłam, że jeszcze ich

widzę. Nareszcie, gdy ogon Raka zniknął sprzed moich oczu, odchodziłam na spoczynek, a łożo moje często było oblane mimowolnymi łzami, których przyczyny sama nie potrafiłam określić.

Tymczasem brat mój, pełen miłości i nadziei, więcej niż kiedykolwiek oddawał się pracy nad naukami tajemnymi. Pewnego dnia przyszedł do mnie i rzekł, że niezawodne znaki, które spostrzegł na niebie, oznajmiły mu, iż sławny adept od dwustu lat zamieszkujący piramidę Sufisa udaje się do Ameryki i że dwudziestego trzeciego naszego miesiąca tybi, o siódmej godzinie i czterdziestej drugiej minucie będzie przejeżdżał przez Kordowę. Tegoż wieczora poszłam do obserwatorium i stwierdziłam, że miał słuszność, ale rachunek mój dał mi nieco odmienny wynik. Brat obstawał przy swoim dowodzeniu, ponieważ zaś nie zwykł zmieniać zdania, chciał sam jechać do Kordowy. ażeby mnie przekonać, że nie on, lecz ja byłam w błędzie.

Brat mój mógł skuteczniej swoją podróż w tak krótkim czasie, jakiego potrzebuję na powiedzenie ci tych słów, ale chciał użyć przyjemności przechadzki i udał się przez góry, wybierając drogę, gdzie piękne widoki zapowiadały mu najwięcej rozrywki. Tym sposobem przybył do Venta Quemada. Kazał sobie towarzyszyć temu samemu duchowi, który ukazał mi się w jaskini, i polecił mu przynieść sobie wicherzę. Nemrael porwał ucztę przeorowi benedyktynów i zaniósł ją do Venty. Następnie brat mój, nie potrzebując już Nemraela, odesłał go do mnie.

Byłam wtedy właśnie w obserwatorium i ujrzałam na niebie znaki, na których widok zadrzałam o los mego brata. Kazałam Nemraelowi powrócić do Venty i na krok go nie odstępować. Poleciał i wkrótce przybył z powrotem, mówiąc, że władza silniejsza od jego potęgi nie pozwoliła mu przedrzeć się do wnętrza gospody. Niespokojność moja dobiegła najwyższego stopnia. Nareszcie ujrzałam cię przybywającego wraz z moim bratem. Dostrzegłam w twoich rysach spokój i pewność siebie, które mi dowiodły, że nie jesteś ka-balistą. Ojciec mój zapowiedział mi, że jakiś śmiertelnik zgubny wpływ na mnie wywrze, obawiałam się więc, iż ty nim się okażesz.

Wkrótce inne kłopoty całkiem mnie zajęły. Brat mój opowiedział mi przygodę Paszeka i to, co jemu samemu się przytrafiło, ale dodał, ku wielkiemu memu zadziwieniu, że sam nie wie, z jakiego rodzaju duchami miał do czynienia. Czekaliśmy nocy z najwyższą niecierpliwością, na koniec zapadła i wykonaliśmy najstraszliwsze zaklęcia. Wszystko na próżno: nie mogliśmy niczego dowiedzieć się ani o naturze owych dwóch istot, ani też, czy mój brat, przestając z nimi, rzeczywiście utracił prawo do nieśmiertelności. Myślałam, że będziesz mógł nam dać niektóre objaśnienia, ale - wierny nie wiem jakiemu tam słowu honoru - nic nie chciałeś powiedzieć.

Natenczas dla uspokojenia mego brata postanowiłam sama przepędzić noc w Venta Quemada i wczoraj wyruszyłam w drogę. Późno już było w nocy, gdy znalazłam się przy wejściu do doliny. Zebrałam pewne wyziewy, z których złożyłam błędny ognik, i rozkazałam, aby mi przewodniczył. Jest to tajemnica zostająca w naszej rodzinie; w podobny sposób Mojżesz, rodzony brat sześćdziesiątego trzeciego mego przodka, utworzył słup ognisty i prowadził Izraelitów przez puszcze.

Mój błędny ognik wybornie się zapalił i zaczął ulatywać przede mną, wszelako nie obrał najkrótszej drogi. Spostrzegłam jego nieposłuszeństwo, ale nie zwracałam na nie zbytnej uwagi. Północ była, gdy stanęłam u celu. Przybywszy na podwórze Venty, spostrzegłam światło w środkowej izbie i usłyszałam harmonijną muzykę. Siadłam na kamiennej ławce i zaczęłam niektóre działania kabalistyczne, które jednak pozostały bez żadnego skutku. Wprawdzie muzyka czarowała mnie i rozrywała do tego stopnia, że w tej chwili nie mogę ci powiedzieć, czy moje działania były dokładnie

czynione, i sędzę, że musiałam chybić w jakim ważnym punkcie. Wówczas jednak byłam przekonana o ich nieomyślności i uznawszy, że w gospodzie nie ma ani duchów, ani szatanów, wywnioskowałam, że muszą tam być ludzie, i oddałam się rozkoszy słuchania ich śpiewu. Głosom towarzyszył dźwięk instrumentu strunowego; były one tak melodyjne i pełne harmonii, że żadna muzyka ziemska nie może iść w porównanie z tym, co słyszałam.

Śpiewy te budziły we mnie rozkoszne doznania, których nie umiałabym ci opisać. Długo przysłuchiwałam się im z ławki, ale na koniec trzeba było wejść, gdyż w istocie po to tylko przybyłam. Otworzyłam drzwi do środkowej izby i ujrzałam dwóch wysokich i kształtnych młodzieńców, siedzących przy stole, jedzących, pijących i wyśpiewujących z całego serca. Ubiór ich był wschodni: na głowach mieli turbany, piersi i ramiona nagie, za pasami zaś błyskała im kosztowna broń. Dwaj nieznajomi, których wzięłam za Turków, powstali, podali mi krzesło, napełnili mi talerz i szklanekę i znowu zaczęli śpiewać przy towarzyszeniu teorbenu, na którym kolejno przygrywali.

Udzielił mi się ich swobodny sposób bycia: ponieważ głód mi nieco dokuczał, zaczęłam więc jeść bez ceregieli, że zaś nie było wody, napiłam się wina. Natenczas przyszła mi chęć śpiewania z młodymi Turkami, którzy zdawali się uszczęśliwieni z mego głosu. Zanuciłam hiszpańską segidyllę; odpowiedzieli mi w tym samym języku. Zapytałam ich, gdzie nauczyli się po hiszpańsku.

- Jesteśmy rodem z Morei - odpowiedział mi jeden z nich. - Jako żeglarze, łatwo nauczyliśmy się języka portów, do których przybijamy; ale porzućmy segidyllę, posłuchaj teraz narodowych naszych pieśni.

Cóż ci więcej powiem, Alfonsie; głos ich brzmiał melodią, która unosiła duszę przez wszystkie odcienie uczucia, a gdy wzruszenie dochodziło do najwyższego stopnia, niespodziewane dźwięki nagle powracały szaloną wesołość. Jednakże nie dałam się obłąkać tym pozorom: spoglądałam bacznie na mniemanych żeglarzy i zdawało mi się, że znalazłam w nich nadzwyczajne podobieństwo z boskimi moimi bliźniętami.

- Jesteście Turkami - rzekłam - urodzonymi w Morei?

- Bynajmniej - odpowiedział ten, który dotąd się jeszcze nie był odezwał - nie jesteśmy wcale Turkami, ale Grekami, rodem z Sparty i wylęgłymi z jednego jaja.

- Z jednego jaja?

- Ach, boska Rebeko - przerwał drugi - możesz-że tak długo nas nie poznawać? Jestem Polluks, to zaś mój brat.

Strach ścisnął mnie za gardło. Poskoczyłam z krzesła i schroniłam się do kąta izby. Mniemane bliźnięta przybrały kształty zwierciadlane, roztoczyły skrzydła i poczułam, że unoszą mnie w powietrze, ale szczęśliwym natchnieniem wymówiłam święte słowo, które ja i mój brat jedni tylko znamy spomiędzy wszystkich kabalistów. Natychmiast zostałam strącona na ziemię. Upadek ten pozbawił mnie zmysłów i twoje dopiero starania mi je powróciły. Głos wewnętrzny przekonywa mnie, że nic nie straciłam z tego, com powinna była zachować, ale zmęczona jestem tymi wszystkimi nadzwyczajnymi zjawiskami. Boskie bliźnięta 1 nie jestem godna waszej miłości. Urodziłam się na zwyczajną śmiertelniczkę.

Na tych słowach Rebeka skończyła swoje opowiadanie i pierwszą moją myślą było, że drwiła ze mnie od początku do końca i chciała tylko nadużyć mojej łatwowierności. Porzuciłem ją dość porywczo i zacząwszy rozmyślać nad tym, co słyszałem, tak sam do siebie mówiłem:

- Albo ta kobieta jest w spółce z Gomelezami i pragnie wystawić mnie na próbę i wymóc, ażebym przeszedł na muzułmańską wiarę, albo też dla innych jakich powodów chce wyrwać mi tajemnicę moich kuzynek. Co zaś do tych ostatnich, jeżeli nie są szatanami, to bez wątpienia zostają w służbie Gomelezów.

Właśnie zajęty byłem tymi myślami, gdym spostrzegł, że Rebeka zakreśla w powietrzu koła i inne tym podobne czarodziejskie wydziwiania. Po chwili złączyła się ze mną i rzekła:

- Doniosłam bratu o miejscu mego pobytu i jestem pewna, że wieczorem tu przybędzie. Tymczasem pośpieszmy do obozu Cyganów.

Oparła się szczerze na moim ramieniu i przybyliśmy do starego naczelnika, który przyjął Żydówkę z oznakami głębokiego szacunku. Przez cały dzień Rebeka postępowała z wielką naturalnością i zdawała się zapominać o tajemnych naukach. Gdy nad wieczorem brat jej przybył, odeszli razem, ja zaś udałem się na spoczynek. Ległszy w łóżku, rozmyślałem jeszcze nad opowiadaniem Rebeki, ale ponieważ pierwszy raz w życiu słyszałem o kabale, o adeptach i o znakach niebieskich, nie mogłem wynaleźć żadnego stanowczego zarzutu i w tej niepewności zasnąłem.

Dzień piętnasty

Obudziłem się dość wcześnie i czekając na śniadanie poszedłem na przechadzkę. Spostrzegłem z daleka kabalistę, który z siostrą prowadził żwawą rozmowę. Odwróciłem się, nie chcąc im przerywać, ale wkrótce ujrzałem, że kabalista dąży w stronę obozu, Rebeka zaś z pośpiechem ku mnie się zbliża. Postąpiłem kilka kroków naprzeciw niej i razem udaliśmy się na przechadzkę, nie odzywając się do siebie. Nareszcie piękna Izraelitka pierwsza przerwała milczenie i rzekła:

- Senor Alfonsie, czynię ci zwierzenie, które nie będzie dla ciebie obojętne, jeżeli los mój przynajmniej nieco cię obchodzi. Porzucam raz na zawsze nauki kabalistyczne. Tej nocy głęboko rozmyślałam nad tym postanowieniem. I na cóż mi ta próżna nieśmiertelność, jaką mój ojciec chciał mnie obdarzyć? Czyż i bez tego nie jesteśmy wszyscy nieśmiertelni? Czyż nie mamy złączyć się razem w przybytku sprawiedliwych? Pragnę używać tego krótkiego życia, przepędzić je z prawdziwym małżonkiem, nie zaś z gwiazdami. Chcę być matką, widzieć dzieci moich dzieci, a potem, znudzona i syta życia, chcę zasnąć w ich objęciach i ulecieć na łono Abrahama. Co myślisz o tym zamiarze?

- Popieram go z całej siły - odpowiedziałem - ale cóż na to brat twój powiada?

- Z początku - rzekła - uniósł się szalonym gniewem, ale następnie obiecał mi, że to samo uczyni, jeżeli będzie musiał wyrzec się córek Salomona. Zaczeka więc, dopóki słońce nie wejdzie w znak Panny, i potem poweźmie nieodzowne postanowienie. Tymczasem chciałby dowiedzieć się, co to za upiory naigrawały się z niego w Venta Quemada i nazywały Eminą i Zi-beldą. Nie chciał sam zadawać

ci względem nich pytań, utrzymuje bowiem, że nie wiesz więcej od niego. Dzisiejszego wieczora jednak chce przywołać Żyda Wiecznego Tułacza, tego samego, którego widziałś u pustelnika. Spodziewa się, że będzie mógł powziąć od niego niektóre wiadomości.

Podczas gdy Rebeka tak mówiła, zawiadomiono nas, że śniadanie już jest gotowe. Zastawiono je w obszernej jaskini, dokąd pochowano także namioty, gdyż niebo zaczynało pokrywać się chmurami. Niebawem zagrzmiała straszna burza. Widząc, że jesteśmy skazani na przepędzenie reszty dnia w jaskini, prosiłem Starego naczelnika, ażeby ciągnął dalej swoją historię, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Przypominasz sobie, senior Alfonsie, historię księżniczki Monte Salerno, którą mi opowiadał Giulio Romati; mówiłem ci, jakie ta historia uczyniła na mnie wrażenie. Gdy udaliśmy się na spoczynek, w pokoju przyświecał nam tylko słaby blask lampy. Lękałem się spoglądać na ciemne kąty izby, zwłaszcza zaś na pewną skrzynię, gdzie gospodarz zwykł przechowywać zapas jęczmienia. Zdawało mi się, że za chwilę ujrzę wychodzących z niej sześć kościotrupów księżniczki. Zawinąłem się w kołdrę, ażeby nic nie widzieć, i wkrótce zasnąłem.

Dzwonki mułów nazajutrz wczesnie mnie rozbudziły; jeden z pierwszych byłem na nogach. Zapomniałem i o Romatim, i o księżniczce, i myślałem tylko o rozkoszy z dalszego ciągu mojej podróży. W istocie, była ona nader przyjemna. Słońce, zakryte nieco chmurami, nie paliło nas zbyt silnie i mulnicy postanowili cały dzień jechać bez odpoczynku, zatrzymując się tylko przy studni dos Leones, gdzie droga do Segowii łączyła się z gościńcem do Madrytu. Miejsce to zdobią piękne drzewa, dwa zaś lwy, wyrzucające wodę do marmurowej wanny, niemało przyczyniają się do podniesienia jego uroku.

Było już południe, kiedyśmy tam przybyli, i zaledwie stanęliśmy na miejscu, gdy ujrzeliśmy podróżnych, ciągnących drogą z Segowii. Na pierwszym mule, otwierającym pochód, siedziała młoda dziewczyna, jak się zdawało, w moim wieku, chociaż w istocie była nieco starsza. Muła jej prowadził siedemnastoletni mniej więcej chłopiec, przystojny i dobrze ubrany, chociaż w zwykłej odzieży stajennych posługaczów. Za nimi postępowała kobieta w pewnym wieku, którą można było wziąć za ciotkę Dalanosę, nie tak dla podobieństwa rysów, jak raczej ruchów i całej postaci, zwłaszcza zaś dla tego samego wyrazu dobroci rozlanego na jej twarzy. Służący zamykali pochód.

Ponieważ przybyliśmy pierwsi, przeto zaprosiliśmy podróżnych do podzielenia naszego posiłku, który rozstawiono pod drzewami; kobiety przyjęły zaproszenie, ale ze smutkiem, szczególnie zaś młoda dziewczyna. Czasami spoglądała czule na młodego mulnika, który gorliwie jej usługiwał, na co leciwa dama patrzyła z politowaniem i łzami w oczach. Zauważyłem ich zmartwienie i rad bym był powiedzieć im coś pociesającego, ale nie wiedząc, jak zacząć, zajądałem w milczeniu.

Ruszyliśmy w drogę: dobra moja ciotka przysunęła się do nieznajomej damy, ja zaś zbliżyłem się do młodej dziewczyny i widziałem, jak młody mulnik pod pozorem poprawiania siodła dotykał się jej nogi lub ręki, a raz nawet spostrzegłem, że pocałował ją w dłoń.

Po dwóch godzinach dostaliśmy się do Olmedo, gdzie mieliśmy zatrzymać się na nocleg. Ciotka moja kazała wynieść stołki przed drzwi gospody i zasiadła z towarzyszką podróży. Po chwili poleciała mi, abym kazał przynieść czekolady. Wszedłem do domu i chcąc poszukać naszych ludzi, znalazłem się w pokoju, gdzie ujrzałem młodą dziewczynę w objęciach swego mulnika. Oboje zalewali się rzewnymi łzami. Na ten widok mało mi serce nie pękło; rzuciłem się na szyję młodego mulnika i rozpląkałem się prawie do szaleństwa. Wtem nadeszły obie damy. Moja ciotka, niesłychanie wzruszona, wyciągnęła mnie z pokoju i zapytała o przyczynę tych łez. Nie wiedząc, dlaczego płakaliśmy, nie umiałem jej na to odpowiedzieć. Gdy usłyszała, że płakałem bez żadnej przyczyny, nie mogła wstrzymać się od śmiechu. Tymczasem druga dama zamknęła się z młodą dziewczyną; usłyszeliśmy, jak szlochały razem, i nie pokazały się, aż przy wieczerzy.

Biesiada nasza nie była ani długa, ani wesoła. Gdy zebrano ze stołu, ciotka moja obróciła się do nieznamomej damy i rzekła:

- Senora, niech mnie niebo uchwowa od złych sądów o bliźnich, zwłaszcza zaś o tobie, która wydajesz się mieć duszę dobrą i prawdziwie chrześcijańską. Z tym wszystkim jednak miałam szczęście wieczerzać z panią i zawsze będę się tym szczyciła. Tymczasem mój synowiec widział, jak ta młoda dziewczyna ścisnęła prostego mulnika, wprowadzie pięknego chłopca, z tej strony nie mam mu nic do zarzucenia, ale zdziwiłam się, zauważywszy, że pani nie znajdujesz w tym nic nagannego. Bez wątpienia - nie mam żadnego prawa... ale mając zaszczyt wieczerzać z panią... przy tym droga do Burgos jest dość daleka...

Tu ciotka moja tak się zaplątała, że nigdy nie byłaby wybrnęła z kłopotu, gdyby druga dama, w sam czas jej przerywając, nie była rzekła:

- Tak jest, masz pani słuszne prawo po tym, co widziałas, pytać się o powody mego pobłażania. Powinna bym o nich zamilczeć, ale widzę, że nie przystoi, abym ukrywała przed panią, cokolwiek się mnie dotyczy. To mówiąc zacna dama dobyła chustki, otarła oczy i zaczęła w te słowa:

HISTORIA MARII DE TORRES

Jestem najstarszą córką don Emanuela de Noruía, oidora trybunału w Segowii. W osiemnastym roku życia zostałam poślubiona don Henrykowi de Torres, byłemu pułkownikowi wojsk hiszpańskich. Matka moja umarła na kilka lat przedtem, ojca utraciliśmy we dwa miesiące po moim małżeństwie i przyjęliśmy do naszego domu młodszą moją siostrę, Elwirę, która wówczas miała dopiero czternasty rok, ale już na całą okolicę słynęła z piękności. Puścizna po moim ojcu była prawie żadna. Co się tyczy mego męża, ten posiadał dość znaczne dobra, ale zmuszony układem familijnym, musiał dawać pensje pięciu kawalerom maltańskim i wyposażyć sześć spokrewnionych z nami zakonnic, tak że ostatecznie dochód nasz zaledwie wystarczał na przyzwoite utrzymanie. Wszelako wsparcie roczne, przyznane przez dwór memu mężowi z tytułu jego dawnej służby, polepszało nieco nasze położenie.

Było wówczas w Segowii wiele szlacheckich domów, które nie były zamożniejsze od naszego. Złączone wspólną korzyścią, wprowadziły zwyczaj ścisłej oszczędności. Rzadko kiedy jedni drugich odwiedzali: kobiety wyglądały przez okna, mężczyźni spacerowali po ulicach. Grano wiele na gitarze, wzdychano jeszcze więcej, gdyż to wszystko nic nie kosztowało. Fabrykanci sukna wigoniowego żyli

wystawnie, ale ponieważ nie byliśmy w stanie ich naśladować, przeto mściliśmy się, gardząc nimi i wyśmiewając ich na wszystkie strony.

Czym starsza była moja siostra, tym więcej gitar brzęczało na naszej ulicy. Niektórzy z grajków wzdychali, podczas gdy inni brzdąkali lub też wzdychali i brzdąkali zarazem.

Piękności miejskie usychały z zazdrości, ale ta, która była przedmiotem tych hołdów, bynajmniej nie zwracała na nie uwagi. Siostra moja prawie zawsze kryła się w swoim pokoju, ja zaś, aby nie okazać się niegrzeczną, siadałam w oknie i przemawiałam do każdego kilka wdzięcznych słów. Był to konieczny obowiązek, od którego nie mogłam się uwolnić, wszelako gdy ostatni brzdąkacz odchodził, zamykałam okno z niewypowiedzianą przyjemnością. Mąż mój i siostra czekali na mnie w jadalnym pokoju. Siadaliśmy do skromnej wieczerzy, którą ożywiałyśmy tysiącnymi żartami z zalotników. Każdy dostawał swoją część i mniemam, że gdyby byli słyszeli, co o nich mówiono, nazajutrz żaden nie byłby powrócił. Nie pobłażaliśmy nikomu; rozmowy te sprawiały nam tak wielką przyjemność, że często dopiero późno w nocy szliśmy na spoczynek.

Pewnego wieczora, gdy mówiliśmy o ulubionym przedmiocie, Elwira, przybrawszy poważną postać, rzekła:

- Czy zauważyłaś, siostrze, że jak tylko wszyscy brzdąkacze odejdą z ulicy i zgaśnie światło w pokojach od frontu, słychać dwie lub trzy segidyllę, śpiewane raczej przez mistrza niż przez zwykłego amatora.

Mąż mój potwierdził te słowa i dodał, że sam już uczynił był tę samą uwagę. Przypomniałam sobie, że w istocie słyszałam coś podobnego, i zaczęliśmy żartować z mojej siostry i nowego jej zalotnika. Jednakowoż zdało nam się, że przyjmuje te żarty z mniejszą wesołością niż zazwyczaj.

Nazajutrz, pożegnawszy brzdąkaczów i zamknąwszy okno, zgasiałam światło i zostałam w pokoju. Wkrótce usłyszałam głos, o którym siostra nam mówiła. Śpiewak zaczął od kunsztownej przygrywki, po czym zawiódł pieśń o rozkoszach tajemnicy, drugą o bojaźliwej miłości i potem nic już nie słyszałam. Wychodząc z pokoju, ujrzałam moją siostrę przysłuchującą się pode drzwiami. Udałam, że nic nie widzę, ale przy wieczerzy zauważyłam, że często wpada w zadumę i roztargnienie.

Tajemniczy śpiewak codziennie powtarzał swoje serenady i tak przyzwyczaił nas do swych pieśni, że dopiero wysłuchawszy go siadaliśmy do wieczerzy. Stałość i tajemnica rozbudziły ciekawość Elwiry i wywarły na niej wrażenie.

Tymczasem dowiedzieliśmy się o przybyciu do Segowii nowej osoby, która mocno zajęła wszystkich. Był to hrabia Rovellas, wypędzony z dworu i, jako taki, nader ważny w oczach mieszkańców prowincji. Rovellas urodził się w Veracruz; matka jego, rodem Meksykanka, wniosła w dom jego ojca ogromny majątek, ponieważ zaś wówczas Amerykanie dobrze byli widziani u dworu, młody zatem Kreol przebył morze w nadziei otrzymania tytułu granda. Możesz sobie wyobrazić, senora, że urodziwszy się w Nowym Świecie, niewiele miał pojęcia o zwyczajach Starego. Za to jednak olśniewał zbytkiem i sam nawet król raczył bawić się jego prostodusznością. Ponieważ wszakże wszystkie jego postęпки pochodziły z wygórowanej miłości własnej, skończył na tym, że powszechnie się z niego śmiano.

Młodzi panowie mieli wówczas rycerski zwyczaj wybierania damy swych myśli. Nosili ich barwy, a niekiedy również ich cyfry, jak na przykład podczas turniejów, zwanych parejas.

Rovellas, który był niesłychanie dumny, wywiesił cyfry księżniczki Asturii. Królowi myśl ta bardzo się podobała, ale księżniczka, czując się mocno obrażona, posłała nadwornego alguacila, który aresztował hrabiego i zawiózł go do więzienia w Segowii. Po tygodniu Rovellas został uwolniony z zakazem wydalania się z tego miasta. Powód wygnania, jak widzisz, nie był nader zaszczytny, wszelako hrabia nawet tym potrafił się chełpić. Z przyjemnością rozmawiał o swej niełasce i dawał do zrozumienia, że księżniczka nie była obojętna na jego oświadczenia.

Rzeczywiście, Rovellas posiadał wszystkie rodzaje miłości własnej. Był przekonany, że umie wszystko i że każdy zamiar potrafi przyprowadzić do skutku, szczególnie zaś chełpił się ze sztuki zwalczania byków, śpiewania i tańca. Nikt nie był dość niegrzeczny, aby się z nim sprzeczać o dwa ostatnie talenty, byki tylko nie okazywały tak wykwintnego wykształcenia. Wszelako hrabia, przy pomocy swoich dojeżdźców, uważał się za niezwykłego.

Powiedziałam ci już, że nie prowadziliśmy domów otwartych, jedynie pierwsze odwiedziny zawsze przyjmowaliśmy. Mąż mój był człowiekiem powszechnie poważanym, równie dla urodzenia, jak i dla zasług wojskowych, Rovellas przeto uznał za stosowne zacząć od naszego domu. Przyjęłam go, siedząc na podwyższeniu, on zaś usiadł w pewnej odległości, wedle zwyczajów naszego kraju, które wymagają zachowywania dystansu między nami a mężczyznami przychodzącymi nas odwiedzać.

Rovellas mówił wiele i z łatwością. Pośród rozmowy moja siostra weszła i usiadła przy mnie. Hrabia tak był zachwycony pięknnością Elwiry, że stanął jak skamieniały. Wyjąkał kilka wyrazów bez żadnego związku, a następnie zapytał, jaka jest jej ulubiona barwa. Elwira odpowiedziała, że dotąd żadnej nie dała pierwszeństwa.

- Pani - przerwał hrabia - ponieważ oznajmiasz mi taką obojętność, wypada mi więc objawić smutek, i kolor ciemny będzie odtąd jedyną moją barwą.

Moja siostra, wcale nie przyzwyczajona do podobnych grzeczności, nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Rovellas wstał, pożegnał się z nami i odszedł. Tego jeszcze wieczora dowiedzieliśmy się, że wszędzie, gdzie był z odwiedzinami, o niczym nie mówił, jak tylko o piękności Elwiry, nazajutrz zaś doniesiono nam, że zamówił czterdzieści ciemnych liberii, wyszywanych złotem i czarnym jedwabiem. Odtąd nie usłyszeliśmy więcej tkliwych wieczornych pieśni.

Rovellas, znając zwyczaj szlachealnych domów Segowii, zwyczaj, który nie pozwalał często przyjmować, z pokorą poddał się swemu losowi i przepędzał wieczory pod naszymi oknami, razem z młodzieżą dobrze urodzoną, która wyświadczała nam ten zaszczyt. Ponieważ nie otrzymał godności granda, większa zaś część naszych młodych znajomych należała do kastylijskich titulados, panowie ci zatem uważali go za równego sobie i odpowiednio do tego traktowali. Wszelako bogactwa nieznacznie odzyskały swoją przewagę; wszystkie gitary milkły, gdy on grał, i hrabia przewodził tak w rozmowie, jak na koncertach.

Ta wyższość nie czyniła jeszcze zadość dumie Rovellasa; pałał niepowściągniętą chęcią potykania się z bykiem w naszej obecności i tańczenia z moją siostrą. Oświadczył nam więc z emfazą, że kazał sprowadzić sto byków z Guadarramy i wyłożyć parkietem miejsce oddalone o sto kroków od amfiteatru, gdzie po skończeniu widowisk towarzystwo będzie mogło przepędzać noc na tańcach. Kilka tych słów uczyniło niesłychane wrażenie w Segowii. Hrabia wszystkim zawrócił głowy i jeżeli nie zniszczył, to przynajmniej nadwerężył wszystkie majątki.

Zaledwie rozeszła się wieść o walce byków, gdy naraz ujrano naszych młodych ludzi biegnących jakby w oszołomieniu, uczących się postaw przyjętych w walkach, zamawiających bogate szaty i szkarłatne płaszcze. Sama odgadniesz, senora, co przez ten czas porabiały kobiety. Przymierzały wszystkie, jakie tylko miały, suknie i stroje na głowy; co więcej, sprowadzano modniarki i krawców, a kredyt zastąpił miejsce bogactw.

Wszyscy tak byli zajęci, że nasza ulica zaczęła się wyludniać. Wszelako Rovellas o zwykłej godzinie przyszedł pod nasze okna. Oznajmił, że kazał sprowadzić z Madrytu dwudziestu pięciu cukierników, i prosił nas, abyśmy zawyrokowały o ich zdolnościach. W tej samej chwili ujrzeliśmy służących w ciemnej liberii szamerowanej złotem, którzy na złocistych tacach przynosili chłodzące napoje.

Nazajutrz powtórzyła się ta sama historia i mąż mój słusznie począł się gniewać. Nie uznawał za stosowne, aby drzwi naszego domu stały się miejscem publicznych schadzek. Raczył poradzić się mnie w tej mierze; byłam, jak zawsze, tego samego zdania, postanowiliśmy więc wyjechać do małego miasteczka Villaca, gdzie posiadaliśmy dom i grunta. Tym sposobem nawet łatwiej mogliśmy zastosować oszczędności, ominąć kilka balów i widowisk, a także oszczędzić kilku niepotrzebnych wydatków na stroje. Ponieważ jednak dom w Villaca wymagał naprawy, musieliśmy zatem odłożyć nasz wyjazd o trzy tygodnie. Jak tylko zamiar ten został ogłoszony, natychmiast Rovellas objawił swą boleść i dał wyraz uczuciom, którymi pałał ku mojej siostrze. Elwira tymczasem, jak mi się wydaje, zupełnie zapomniała o tkliwym wieczornym głosie, pomimo to jednak przyjmowała oświadczenia hrabiego z przyzwrotną oziębłością.

Powinam była wspomnieć, że wówczas syn mój miał dwa lata; od tego czasu znacznie wyrósł, jak to senora widziałaś, on to bowiem jest tym młodym mulnikiem, który podróżuje z nami. Chłopiec ten, którego nazwaliśmy Lonzetem, był jedyną naszą pociechą. Elwira kochała go równie jak ja i mogę wyznać, że on jeden nas rozweselał, gdy byliśmy znudzone czczymi grzecznościami zalotników siostry.

Kiedy mieliśmy już udać się do Villaca, Lonzeto zachorował na ospę. Łatwo pojąć naszą rozpacz; dnie i noce przepędzaliśmy przy jego łóżku, a przez cały ten czas tkliwy wieczorny głos znowu wyśpiewywał tęskne pieśni. Elwira płoniła się, jak tylko śpiewak zaczynał przygrywać, pomimo to jednak gorliwie zajmowała się Lonzetem. Nareszcie wyzdrowiało drogie dziecko, okna nasze znowu otworzyły się dla wzdychających, ale tajemniczy śpiewak umilkł.

Jak tylko pokazałyśmy się w oknie, wnet Rovellas stawił się przed nami. Oznajmił, że walka byków tylko z naszego powodu została odłożona, i prosił, abyśmy naznaczyły dzień widowiska. Odpowiedziałyśmy na tę grzeczność jak należało. Nareszcie wyznaczono ów pamiętny dzień na następną niedzielę, która, niestety, zbyt wcześnie nadeszła dla biednego hrabiego.

Nie będę wdawała się w opis szczegółów tego widowiska. Kto widział jedno, ma wyobrażenie o reszcie. Wiadomo jednakże, że szlachta nie potyka się tak, jak ludzie gminnego urodzenia. Panowie wjeżdżają konno i zadają bykowi pchnięcie rejonem, czyli dzirytem, po czym powinni sami otrzymać jedno uderzenie, ale konie już są tak wyuczzone, że cios rozjuszonego zwierzęcia zaledwie draśnie je po grzbiecie. Wtedy szlachcic ze szpadą w ręku zeskakuje z konia. Ażeby to się powiodło, byk nie może być złośliwy. Tymczasem dojeżdżacze hrabiego przez zapomnienie zamiast toro franco wypuścili toro marrajo. Znawcy natychmiast poznali błąd, ale Rovellas był już w szrankach i nie było sposobu wycofania się. Udał, że nie spostrzega grożącego mu niebezpieczeństwa, zatoczył koniem i

zadał bykowi cios dzirytem w prawą łopatkę, wyciągając przy tym rękę i pochylając ciało między rogi zwierzęcia, jak tego wymagały przepisy sztuki.

Zraniony byk udał, że ucieka ku drzwiom, ale zwróciwszy się nagle, poskoczył na hrabiego i podniósł go na rogi z taką gwałtownością, że koń upadł zewnątrz areny, jeździec zaś został w szrankach. Wtedy byk powrócił do niego, zaczepił rogiem kołnierz jego sukni, zakręcił nim w powietrzu i odrzucił go na drugą stronę placu walki. Po czyni, widząc, że ofiara wymknęła się Jego wściekłości, ją szukać ją rozjuszonymi oczyma i nareszcie spostrzegłszy hrabiego, leżącego prawie bez ducha, spoglądał nań z coraz wzrastającą złością, kopał ziemię nogami i bił biodra ogonem. W tej samej chwili jakiś młody człowiek wskoczył w szranki, pochwycił szpadę i szkarłatny płaszcz Rovellasa i stanął przed bykiem. Złośliwe zwierzę uczyniło kilka mylnych obrotów, które jednak nie oszukały nieznanego, nareszcie wściekły byk, pochyliwszy rogi do ziemi, uderzył na niego, wbił się na podstawioną szpadę i padł martwy u stóp zwycięzcy. Nieznajomy rzucił szpadę i płaszcz na byka, spojrzał na naszą łożę, skłonił się nam, wyskoczył ze szranków i znikł w tłumie. Elwira uścisnęła mnie za rękę i rzekła:

- Jestem pewna, że to nasz tajemniczy śpiewak.

Gdy naczelnik Cyganów kończył to opowiadanie, jeden z jego powierników przyszedł zdawać sprawę z dziennych czynności, prosił nas więc, abyśmy pozwolili odłożyć dalszy ciąg do jutra, i wyszedł zatrudniać się rządami swego małego państwa.

- W istocie - rzekła Rebeka - przykro mi, że przerwano naczelnikowi opowiadanie. Zostawiliśmy hrabiego leżącego w szrankach i jeżeli do jutra nikt go nie podniesie, lękam się, by nie było za późno.

- Nie obawiaj się - przerwałem - i bądź pewna, że bogacza nie tak łatwo opuszczają; możesz zaufać jego służbie.

- Masz słuszność - mówiła Żydówka - zresztą nie to mnie niepokoi; chciałabym dowiedzieć się nazwiska wybawcy i czy to jest ten sam tajemniczy śpiewak.

- Ależ zdawało mi się - zawołałem - że pani wiesz o wszystkim!

- Alfonsie - odparła - nie wspominaj mi więcej o naukach kabalistycznych. Pragnę tylko to wiedzieć, co sama usłyszę, i nie chcę znać innej nauki poza umiejętnością uszczęśliwienia tego, kogo pokocham.

- Jak to? więc uczyniłaś już wybór?

- Bynajmniej, o nikim dotąd nie myślałam. Nie wiem dlaczego wyobrażam sobie, że człowiek mojej wiary z trudnością zdoła mi się spodobać, a ponieważ nie zaślubię nigdy człowieka waszego wyznania, mogę więc wybierać tylko wśród mahometan. Powiadają, że mieszkańcy Tunisu i Fezu są nader piękni i przyjemni.

Obym tylko znalazła człowieka z czułym sercem, niczego więcej nie wymagam.

- Ależ - dodałem - skąd ta odraza do chrześcijan?

- Nie pytaj mnie o to, wiedz tylko, że nie mogę zmienić wiary, chyba na mahometańską.

Sprzeczałyśmy się jakiś czas w ten sposób, gdy jednak rozmowa zaczęła słabnąć, pożegnałem młodą Izraelitkę i przepędziłem resztę dnia na polowaniu. Wróciłem dopiero na wieczór. Zastałem

wszystkich w nader wesołym usposobieniu. Kabalista rozprawiał o Żydzie Wiecznym Tułaczem, utrzymując, że jest już w drodze i że niebawem przybędzie z głębi Afryki. Rebeka rzekła:

- Senor Alfonsie, ujrzyj tego, który znał osobiście przedmiot twego ubóstwiania.

Słowa Żydówki mogły mnie zaplątać w niemiłą dla mnie rozmowę, zacząłem więc mówić o czym innym. Szczerze pragnęliśmy usłyszeć tego wieczora dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów, ale prosił nas o pozwolenie odłożenia jej na jutro. Udaliśmy się na spoczynek i zasnąłem nieprzerwanym snem.

Dzień szesnasty

Śpiew koników polnych, tak żywy i bezustanny w Andaluzji, wcześniej rozbudził mnie ze snu. Powaby natury coraz silniej działały na moją duszę. Wyszedłem z namiotu, aby przypatrzeć się połyskowi pierwszych promieni słońca, roztaczających się po niezmiernym widnokręgu. Pomyślałem o Rebecce. - Ma słuszość - rzekłem sam do siebie - że woli rozkosze życia ludzkiego i materialnego od czczych marzeń idealnego świata, do którego i tak prędzej czy później się dostaniemy. Czy liż na tej ziemi nie znajdujemy dość rozmaitych uczuć, rozkosznych wrażeń, ażeby używać ich podczas krótkiego naszego pobytu? - Podobne uwagi zaprzętnęły mnie przez chwilę, po czym, widząc, że wszyscy udają się do jaskini na śniadanie, zwróciłem kroki w tę samą stronę. Posilaliśmy się jak ludzie oddychający powietrzem gór i po zaspokojeniu głodu prosiliśmy naczelnika Cyganów, aby raczył dalej ciągnąć swoje opowiadanie, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Mówiłem wam, że przybyliśmy na drugi nasz nocleg w drodze z Madrytu do Burgos i że znajdowaliśmy się tam z młodą dziewczyną, zakochaną w młodym chłopcu przebranym za mulnika. synu Marii de Torres. Ta ostatnia powiedziała nam, że hrabia Rovellas leżał prawie martwy na drugim końcu szranków, podczas gdy młody nieznajomy na przeciwnej stronie śmiertelnym ciosem ugodził byka gotującego się dobić swoją ofiarę.

Co dalej się stało, sama Maria de Torres wam powie.

DALSZY CIĄG HISTORII MARII DE TORRES

Jak tylko straszliwy byk powalił się we własnej krwi, służba hrabiego poskoczyła swemu panu na pomoc. Ranny nie dawał żadnego znaku życia; położono go na nosze i zaniecono do domu. Widowisko przerwano i wszyscy rozeszli się do domów.

Tego samego wiec/ora dowiedzieliśmy się, że Rovellas wyszedł z niebezpieczeństwa. Nazajutrz mąż mój posłał z zapytaniem o jego zdrowie. Paź nasz długo nie powracał, nareszcie przyniósł nam list zawarty w tych słowach:

Senor pułkowniku!

Przeczytawszy list niniejszy, Wasza Miłość przekona się, że łaska Stwórcy raczyła mi pozostawić ostatki sił. Jednakowoż nieznośne boleści, jakich doznaję w piersiach, każą mi powątpiewać o zupełnym wyleczeniu. Wiesz zapewne, senor don Henryku, że Opatrzność obdarzyła mnie mnogimi dobrami tego świata. Pewna ich część przeznaczam nieznanemu, który narażał dni swoje dla ocalenia moich. Z reszty nie mogę uczynić lepszego użytku, jak składając ją u stóp nieporównanej Elwiry de Noruña. Racz więc senor oświadczyć jej ode mnie szczere i prawe uczucia, jakie wzbudziła w tym, który może wkrótce stanie się garstką popiołu i prochu, ale któremu niebo pozwala jeszcze podpisywać się jako

hrabia Rovellas, margrabia de Vera Lonza y Cruz

Velada, dziedziczny komandor Talla Verde y Rio

Floro, pan na Tolasquez y Riga Fuera y Mendez

y Lonzos, y otros, y otros, y otros.

Dziwi cię to, senora, że pamiętam tyle tytułów, ale żartami nazywaliśmy nimi moją siostrę, tak że nareszcie wyuczyliliśmy się ich na pamięć.

Skoro tylko mąż mój otrzymał ten list, przeczytał nam go i zapytał moją siostrę, co ma odpowiedzieć. Elwira odrzekła, że we wszystkim zastosuje się do rad mego męża, ale przy tym dodała, że przymioty hrabiego mniej ją uderzyły od wygórowanej miłości własnej, która przebija się w jego słowach i uczynkach.

Mój mąż doskonale zrozumiał prawdziwe znaczenie tych słów i odpisał hrabiemu, że Elwira jest jeszcze zbyt młoda, aby mogła cenić jego uczucia, że jednak przyłącza się do modłów, które zanoszono o jego wyzdrowienie. Hrabia bynajmniej nie przyjął tej odpowiedzi za odmowną, przeciwnie, wszędzie mówił o swoim małżeństwie z Elwirą jako o rzeczy zupełnie już ułożonej, my zaś tymczasem wyjechaliśmy do Villaca.

Dom nasz, na samym końcu miasteczka, jakby na wsi, znajdował się w czarującym położeniu. Wewnętrzne urządzenie dorównywało widokowi. Naprzeciwko naszego mieszkania stała chata wieśniacza, ozdobiona ze szczególniejszym smakiem. Ganek ocieniała masa kwiatów, okna były wielkie i przezroczyste, obok wznosiła się mała ptaszarnia, słowem, wszystko oddychało starannością i świeżością. Powiedziano nam, że domek ten został zakupiony przez pewnego labradora z Murcji. Rolnicy, których w naszej prowincji nazywają labradorami, należą do klasy pośredniej między drobną szlachtą a włościanami.

Późno już było, gdy dostaliśmy się do Villaca. Zaczęliśmy od zwiedzenia naszego domu od strychu aż do piwnicy, po czym kazaliśmy wynieść krzesła przed drzwi i zasiedliśmy do czekolady. Mąż mój żartował z Elwiry, mówiąc o ubóstwie domu, w którym raczyła mieszkać przyszła hrabina Rovellas. Moja siostra przyjmowała jego żarty dość wesoło. Wkrótce potem ujrzelśmy wracający z pola pług,

zaprzężony w cztery potężne woły. Krępy chłopak poganiał je, za nim zaś postępował młody człowiek pod ramię z równą mu prawie wiekiem dziewczyną. Młody labrador miał szlachetną postawę i gdy zbliżył się do nas, poznałyśmy w nim z Elwirą wybawcę Rovellasa. Mąż mój nie zwrócił na niego uwagi, ale siostra rzuciła mi spojrzenie, które doskonale zrozumiałam. Młodzieniec uklonił nam się, jak człowiek, który nie chce zawierać znajomości, i wszedł do swego domku. Towarzyszka jego baczenie nam się przypatrywała.

- Piękna para, nieprawdaż? - rzekła dona Manuela, nasza gospodyni.

- Jak to, piękna para? - zawołała Elwira. - Więc to małżeństwo?

- Nie inaczej - odparła Manuela - i jeżeli mam prawdę powiedzieć, jest to związek zawarty przeciw woli rodziców. Jakaś porwana dziewczyna. Nikt tu o tym nie wątpi; zaraz poznaliśmy, że to nie są wieśniacy.

Mąż mój zapytał Elwiry, dlaczego się tak obruszyła, i dodał:

- Mógłby kto mniemać, że to nasz tajemniczy śpiewak.

W tej chwili w domku naprzeciwko usłyszeliśmy przygrywki na gitarze i głos, który potwierdził podejrzenia mego męża.

- Dziwna rzecz - zauważył - ale ponieważ człowiek ten jest żonaty, przeto serenady jego należały zapewne do jednej z naszych sąsiadek.

- Ja zaś - dodała Elwira - byłam pewna, że pieśni te były przeznaczone dla mnie. Roześmieliśmy się z jej prostoduszności i przestaliśmy o tym mówić. Przez sześć tygodni, które przepędziliśmy w Villaca, okiennice domku naprzeciwko były zamknięte i nie widzieliśmy więcej naszych sąsiadów. Zdaje się nawet, że przed nami opuścili miasteczko.

Po upływie tego czasu dowiedzieliśmy się, że Rovellas przyszedł już nieco do zdrowia i że walki byków mają się znowu rozpocząć, wszelako bez osobistego uczestnictwa hrabiego. Wróciliśmy do Segowii, gdzie od razu wpadliśmy na same uroczystości, biesiady, widowiska i bale. Zabiegi hrabiego wzruszyły serce Elwiry i wesele odbyło się z nie widzianym dotąd przepychem.

W trzy tygodnie po ślubie hrabia dowiedział się, że położono koniec jego wygnaniu i że wolno mu pokazać się na dworze. Z radością mówił o wprowadzeniu tam mojej siostry. Wszelako przed wyjazdem z Segowii chciał dowiedzieć się o nazwisku swego wybawcy, kazał więc ogłosić, że kto mu doniesie o miejscu pobytu nieznajomego torreadora, otrzyma w nagrodę sto sztuk złota, każda po osiem pistolew. Nazajutrz odebrał następujący list:

Panie hrabio!

Zadajesz pan sobie niepotrzebny trud. Zaniechaj zamiaru poznania człowieka, który ocalił ci życie, i poprzestań na przekonaniu, że zgubiłeś go na wieki.

Rovellas pokazał ten list memu mężowi i rzekł mu wyniośle, że pismo to pochodzi bez wątpienia od jakiegoś współzalatnika. że nie wiedział, iż Elwira miała z kim przedtem miłosne stosunki, i że w takim razie nigdy nie byłby pojął jej za żonę. Mój mąż prosił hrabiego, aby raczył być ostrożniejszy w swoich słowach. i odtąd zerwał z nim wszelkie stosunki.

O wyjeździe na dwór zupełnie przestano myśleć. Rovellas stał się ponury i popędliwy. Cała jego miłość własna obróciła się w zazdrość, a zazdrość w zatajoną gwałtowność. Mąż opowiedział mi treść bezimiennego listu; doszliśmy do wniosku, że wieśniak z Villaca musiał być przebrany kochankiem. Poleciliśmy wywieźć się bliższych szczegółów, ale nieznajomy znikł, sprzedawszy swój domek. Elwira była przy nadziei, taililiśmy więc przed nią powody zmiany uczuć jej małżonka. Dobrze je spostrzegła, ale nie wiedziała, czemu tę nagłą obojętność przypisać. Hrabia oświadczył jej, że nie chcąc zakłócać jej spokoju, postanowił przenieść się do innego mieszkania. Widywał Elwirę tylko w godzinach obiadowych, rozmowa wtedy ciężko się wlokła i prawie zawsze przybierała szyderską barwę.

Gdy siostra moja zbliżała się do chwili rozwiązania, Rovellas wymyślił ważne sprawy, które wzywały go do Kadyksu, a w tydzień potem ujrzelśmy urzędowego posłańca, który oddał list Elwirze, prosząc ją, aby raczyła go przeczytać wobec świadków. Zebraliśmy się wszyscy i usłyszeliśmy, co następuje:

Pani!

Odkryłem twoje stosunki z don Sanchem de Peña Sombre. Od dawna domyślałem się zdrady, ale pobyt jego w Villaca przekonał mnie o twojej niegodziwości, niezgrabnie pokrytej przez siostrę don Sancha, która udawała jego żonę. Bez wątpienia, moje bogactwa, dawały mi pierwszeństwo; nie będziesz ich jednak podzielała, gdyż się już więcej nie zobaczymy. Wszelako zapewnię twój los, chociaż nie przyznam dziecka, które nosisz w twym łonie.

Elwira nie doczekała końca tego pisma i przy pierwszych słowach padła zemdlona. Mój mąż pojechał tegoż wieczora, ażeby pomścić krzywdę mojej siostry. Rovellas tylko co wsiadł był na okręt i popłynął do Ameryki. Mąż zabrał się na drugi okręt, ale straszliwa burza obu ich pochłonięła. Elwira wydała na świat dziewczynę, którą widzisz tu ze mną. i dwa dni potem umarła. Jakim sposobem ja zostałam przy życiu, nie Pojmuję, ale sądzę, że nadmiar mojej boleści dał mi siłę do zniesienia jej.

Dziewczynka otrzymała na chrzcie imię Elwiry. Przypominała mi moją siostrę, a że poza mną nie miała nikogo na świecie, postanowiłam poświęcić jej moje życie. Zaczęłam starać się o zapewnienie jej puścizny po ojcu. Powiedziano mi, że należy się udać do sądu meksykańskiego. Pisałam do Ameryki. Oznajmiono mi, że spadek został podzielony między dwudziestu dalszych krewnych i że dobrze wiadomo, że Rovellas nie przyznał dziecka mojej siostry. Cały mój dochód nie byłby wystarczający na opłacenie dwudziestu kart procedury sądowej. Poprzestałam więc na potwierdzeniu w Segowii urodzenia i stanu Elwiry, sprzedałam nasz dom w mieście i wyjechałam do Villaca z moim blisko trzyletnim Lonzetem i Elwirą, która miała tyleż miesięcy. Największym moim zmartwieniem był widok domku, w którym mieszkał niegdyś przeklęty nieznajomy, pałający tajemniczą miłością do mojej siostry. Nareszcie przyzwyczaiałam się i dzieci moje stały się jedyną dla mnie pociechą.

Już blisko rok upływał od czasu, jak mieszkalam w Villaca, gdy pewnego dnia otrzymałam z Ameryki list następującej treści:

Pani!

Niniejsze pismo przesyła, ci nieszczęśliwy, którego pełna uszanowania miłość stała się przyczyną nieszczęść twojej rodziny. Szacunek, jaki miałem dla nieodżałowanej Elwiry, był może większy od miłości, której na pierwszy jej widok doznałem. Zaledwie więc wtedy ośmielałem się dać słyszeć mój głos i moją gitarę, gdy ulica była już pusta i nie miałem świadków mojej śmiałości.

Gdy hrabia Rovellas oświadczył się niewolnikiem wdzięków, krępujących moją wolność, naówczas uznałem za stosowne zataić w sobie najłżejsze isierki płomienia, który mógł stać się zgubny dla twojej siostry. Dowiedziawszy się jednak, że miałyście panie przepędzić pewien czas w Villaca, poważylem się nabyć mały domek i tam, ukryty za żaluzjami, spoglądałem niekiedy na tę, do której nie ośmieliłem się nigdy przemówić, a tym mniej oświadczyć jej moje uczucia. Miałem przy sobie siostrę, która uchodziła za moją żonę, dla usunięcia wszelkich pozorów mogących wzbudzić podejrzenie, że jestem przebrany kochankiem.

Niebezpieczna choroba mojej matki wezwała nas do niej, a za moim powrotem Elwira nosiła już nazwisko hrabiny Rovellas. Opłakałem stratę szczęścia, na które wszakże nigdy nie byłbym się poważylem podnieść oczu, i poszedłem ukryć mój żal w puszczach drugiej połowy świata. Tam to doszła mnie wiadomość o niegodziwościach, jakich byłem niewinną przyczyną, i o występku, o który oskarżono moją miłość, pełną czci i poszanowania.

Oświadczam więc, że hrabia Rovellas haniebnie skłamał utrzymując, że mój szacunek dla nieporównanej Elwiry mógł być przyczyną, dla której stałem się ojcem jej dziecięcia.

Oświadczam, że jest to fałsz, i przysięgam na wiarę i zbawienie - nikogo innego nie pojąc za żonę, jak tylko córkę boskiej Elwiry. Będzie to dostateczny do-wód, że nie jest ona moją córką. Na poświadczenie tej prawdy klnę się na Najświętszą Pannę i drogocenną krew Jej Syna, który oby mi towarzyszył w ostatniej godzinie.

Don Sancho de Peña Sombre

P.S. Polecilem potwierdzić ten list corregidorowi Acapulco; racz pani to samo uczynić w trybunale w Segowii.

Zaledwie skończyłam czytać ten list, gdy powstałam z miejsca, przeklinając don Sancha i jego miłość pełną poszanowania.

- Ach, niegodziwcze - mówiłam - dziwaku, szatanie, lucyferze! dlaczegóż byk, którego zabiłeś w naszych oczach, raczej z ciebie nie dobył wnętrzości? Twój przeklęty szacunek spowodował śmierć mego męża i siostry. Pozbawiłeś to biedne dziecko majątności, mnie skazałeś na życie łez i nędzy, a teraz przychodzisz żądać na małżonkę dziesięciomiesięczne dziecię - niech cię niebo... niech cię piekło...

Wypowiedziawszy wszystko, co miałam na sercu, pojechałam do Segowii, gdzie kazałam potwierdzić list don Sancha. Przybywszy do miasta, znalazłam interesy nasze w jak najgorszym stanie. Wpłaty za sprzedany dom zatrzymano za roczne pensje, które dawaliśmy pięciu kawalerom maltańskim, wsparcie zaś pobierane przez mego męża, mnie przestano wypłacać. Ułożyłam się ostatecznie z pięciu kawalerami i sześciu zakonnicami, tak że za cały majątek został mi tylko dom w Villaca z przyległościami. Schronienie to stało się dla mnie tym droższe i powróciłam do niego z większą niż kiedykolwiek przyjemnością.

Zastałam dzieci zdrowe i wesole. Zatrzymałam kobietę, która miała o nie pierwsze starania, zresztą jeden służący i drugi chłopiec od pług składali całą moją służbę. Tym sposobem żyłam bez zbytku, ale i bez nędzy. Urodzenie moje i urząd, jaki mąż mój zajmował, nadawały mi znaczenie w całym

miasteczku i każdy, czym mógł, tym mi się przysługiwał. Tak minęło sześć lat - obym nigdy w życiu nie doznała była nieszczęśliwszych.

Pewnego dnia alkad naszego miasteczka przyszedł do mnie; wiedział on dobrze o szczególnym oświadczeniu don Sancha. Trzymając w ręku madrycką gazetę, rzekł:

- Pozwól pani, abym ci powinszował świetnego małżeństwa, jakie oczekuje twoją siostrzenicę. Przeczytaj pani ten oto artykuł:

Don Sancho de Peña Sombre, wyświadczwszy królowi ważne usługi, tak przez nabycie dwóch prowincji bogatych w miny srebra, położonych na północy Nowego Meksyku, jako też przez roztropność, z jaką uśmierzył powstanie w Cuzco, zostaje wyniesiony do godności granda hiszpańskiego z tytułem hrabiego de Peña Velez. Jednocześnie Jego Królewska Mość raczył go wysłać na Wyspy Filipińskie w stopniu generalnego gubernatora.

- Dzięki niech będą niebu - odpowiedziałam alkadowi. - Będzie miała Elwira jeżeli nie męża, to przynajmniej opiekuna. Oby mógł szczęśliwie powrócić z wysp, być mianowany wicekrólem Meksyku i pomóc nam w odzyskaniu naszego majątku.

Życzenia moje w cztery lata potem zostały spełnione. Hrabia de Peña Velez otrzymał godność wicekróla i wtedy napisałam do niego list, wstawiając się za moją siostrzenicę. Odpowiedział, że krzywdzę go okrutnie, sądząc, iż mógł zapomnieć o córce boskiej Elwiry. i że nie tylko nie jest winien podobnego zapomnienia, ale nadto uczynił już stosowne kroki w trybunale meksykańskim; proces będzie trwał długo, ale nie śmie przyspieszać jego biegu, ponieważ pragnie poślubić moją siostrzenicę, nie wypada więc, ażeby dla własnej korzyści zmieniał zwyczaje sprawiedliwości. Poznałam, że don Sancho nie odstąpił od swego zamiaru.

Wkrótce potem bankier z Kadyksu przysłał mi tysiąc sztuk złota, każda po osiem pistołów, nie chcąc powiedzieć, od kogo pochodzi ta suma. Domyśliłam się, że jest to grzeczność wicekróla, ale przez delikatność nie chciałam przyjąć ani nawet dotknąć tych pieniędzy i prosiłam bankiera, ażeby je umieścił w banku Asiento.

Starłam się wszystkie te wypadki zachować w jak najściślejszej tajemnicy, ale ponieważ nie ma rzeczy, której by ludzie nie odkryli, dowiedziano się zatem w Villaca o zamiarach wicekróla względem mojej siostrzenicy i odtąd nie nazywano jej inaczej jak "małą wicekrólową". Elwira miała wówczas jedenaście lat;

bez wątpienia innej dziewczynie marzenia te byłyby zawróciły głowę, ale jej serce i umysł skierowały się w inną stronę i stały się nieprzystępne próżności. Na nieszczęście, za późno spostrzegłam, że od dziecięcych lat nauczyła się wymawiać wyrazy miłości, przedmiotem zaś tych uczuć przedwczesnych był mały jej brat cioteczny. Lonseto. Często myślałam o rozłączeniu ich, ale nie wiedziałam, co począć z moim synem. Napominałam siostrzenicę i zyskałam tylko, że odtąd kryła się przede mną.

Wiesz, senora, że na prowincji zabawa nasza składa się jedynie z czytania romansów lub nowel i deklamowania melodramatycznych ballad przy towarzyszeniu gitary. Posiadaliśmy w Villaca ze dwadzieścia tomów tej pięknej literatury i pożyczaliśmy je jedni drugim. Zakazałam Elwirze brać którąkolwiek z tych książek do ręki, ale gdy pomyślałam o zakazie, już ona umiała je na pamięć.

Dziwna rzecz, że mały mój Lonzeto miał umysł równie skłonny do romantyczności. Oboje rozumieli się doskonale i kryli przede mną, co nie przychodziło im z wielką trudnością, wiadomo bowiem, że co się tyczy tych rzeczy, matki i ciotki równie krótko widzą jak mężowie. Domyślałam się jednakże oszukaństwa i chciałam umieścić Elwirę w klasztorze, ale nie miałam na to dość pieniędzy. Okazuje się, że bynajmniej nie uczyniłam tego, com była powinna, i mała dziewczyna, zamiast być uszczęśliwiona z tytułu wicekrólowej, wyobraziła sobie, że jest nieszczęśliwą kochanką, straszną ofiarą losu, sławną przez swoje cierpienia. Udzieliła tych pięknych myśli swemu bratu ciotecznemu i oboje postanowili bronić świętych praw miłości przeciw okrutnym wyrokom przeznaczenia. Trwało to przez trzy lata i tak skrycie, że niczego się nie domyślałam.

Pewnego dnia zaszłam ich w moim kurniku w najtragiczniejszych postawach. Elwira leżała na kojcu, trzymając chustkę i zalewając się łzami; Lonzeto, klęcząc koło niej, również z całych sił płakał. Zapytałam, co tu robią. Odpowiedzieli, że powtarzają scenę z romansu Fuen de Rozas y Linda Mora.

Tym razem domyśliłam się wszystkiego i poznałam, że prawdziwa miłość zaczyna błyskać spod tych komedii. Udałam, że nie spostrzegłam niczego, ale czym prędzej poszłam do proboszcza, ażeby się poradzić, co mam czynić w tym wypadku. Proboszcz, zastanowiwszy się chwilę, rzekł, że napisze do jednego ze swoich przyjaciół, duchownego, który będzie mógł wziąć Lonzeta do siebie, tymczasem zaś kazał mi odprawić nowennę do Najświętszej Panny i dobrze drzwi zamykać od sypialnego pokoju Elwiry.

Podziękowałam mu za radę, zaczęłam odprawiać nowennę do Najświętszej Panny i zamykać drzwi od pokoju sypialnego Elwiry, ale na nieszczęście nie pomyślałam o oknie. Pewnej nocy posłyszałam szmer u mojej siostrzenicy. Otworzyłam nagle drzwi i znalazłam ją śpiącą z Lonzetem. Wskoczyli oboje w koszulach z łóżka i padłszy mi do nóg oświadczyli, że są sobie poślubieni.

- Któż was pożenił? - zawołałam. - Jakież ksiądz dopuścił się tej niegodziwości?

- Wybacz, pani - odpowiedział Lonzeto z powagą - żaden ksiądz się w to nie mieszał. Pobraliśmy się pod wielkim kasztanem. Bóg natury przyjął nasze przysięgi, a rumiana zorza nas pobłogostawiła. Świadcami naszymi były ptaszki, śpiewające z rozkoszy na widok naszego szczęścia. Tak to zachwycająca Linda Mora stała się małżonką męznego Fuen de Rozas, zresztą wszystko to jest wydrukowane.

- Ach, nieszczęśliwe dzieci - zawołałam - nie jesteście połączeni świętym związkiem i nigdy nie możecie być nim połączeni. Czyliż nie wiesz, hultaju, że Elwira jest twoją cioteczną siostrą?

Rozpacz tak gwałtowna mnie ogarnęła, że nie miałam nawet sił czynić im wyrzutów. Kazałam Lonzetowi wyjść z pokoju, sama zaś rzuciłam się na łóżko Elwiry i oblałam je gorzkimi łzami.

Gdy naczelnik Cyganów domawiał tych słów, przypomniał sobie, że ma ważną sprawę do załatwienia, i prosił nas o pozwolenie odejścia. Po jego oddaleniu się Rebeka rzekła do mnie:

- Dzieci te mocno mnie zajmują. Miłość wydała mi się zachwycająca w rysach Mulata Tanzai i Zulejki, musiała być jednak daleko powabniejsza, gdy ożywiła pięknego Lonzeta i czarującą Elwirę. Była to grupa Amora i Psyche.

- Szczęśliwe to porównanie - odpowiedziałem - wróży, że wkrótce uczynisz tyle postępu w nauce, którą głosił Owidiusz, co w twoich badaniach nad księgami Enocha i Atlasa.

- Mniemam - dodała Rebeka - że nauka, o której mówisz, jest może niebezpieczniejsza od tych, którym dotąd się poświęcałam, i że miłość, podobnie jak kabała, ma również swoją stronę czarodziejską.

- Co się tyczy kabały - rzekł Ben Mamun - oznajmiam wam, że Żyd Wieczny Tułacz tej nocy przebył Góry Armeńskie i śpiesznym krokiem zbliża się do nas.

Cała magia tak mnie już znudziła, że nie słuchałem, gdy zaczynano o niej rozmawiać. Oddaliłem się więc i poszedłem na polowanie. Wróciłem dopiero na wieczerzę. Naczelnik dokądś wyszedł, zasiadłem więc do stołu z jego córkami. Kabalista ani jego siostra wcale się nie pokazali. To sam na sam z dwiema młodymi dziewczętami zmieszało mnie cokolwiek. Zdawało mi się jednak, że to nie one, ale moje kuzynki zaszczyliły mnie swymi odwiedzinami w namiocie, ale kto były te kuzynki: szatany, czy też prawdziwe ziemianki, z tego w żaden sposób nie umiałem zdać sobie sprawy.

Dzień siedemnasty

Spostrzegłszy, że wszyscy zbierają się w jaskini, poszedłem złączyć się z towarzystwem. Pośpieszonym prędkiej ze śniadaniem i Rebeka pierwsza zapytała naczelnika, co się dalej stało z Marią de Torres. Pandesowna nie dał się długo prosić i zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII MARII DE TORRES

Wypłakawszy się długo na łóżku Elwiry, odeszłam do mego pokoju. Zmartwienie moje byłoby bez wątpienia mniej dotkliwe, gdybym mogła być kogo się poradzić, ale nie chciałam nikomu wyjawiać wstydu moich dzieci, sama zaś umierałam ze zgrzyoty, uważając się za jedyną przyczynę wszystkiego złego. Przez dwa dni ciągle nie mogłam zatamować łez; trzeciego dnia ujrzałam zbliżające się do nas mnóstwo koni i mułów; oznajmiono mi corregidora Segowii. Urzędnik ten po Pierwszym przywitaniu uwiadomił mnie, że hrabia de Peña Velez, grand hiszpański i wicekról Meksyku, który przybył do Europy przed kilku dniami, przysłał mu list z rozkazem śpiesznego doręczenia mi go; szacunek zaś, jaki miał dla tego dygnitarza, był przyczyną, dla której postanowił osobiście przywieźć mi jego pismo. Podziękowałam, jak należało, i otworzyłam list następującej treści:

Pani!

Trzydzieści lat bez dwóch miesięcy dziś właśnie upływa, jak miałem zaszczyt oświadczyć pani, że nigdy nie będę miał innej żony, prócz Elwiry Rovellas, która przysłała na świat na osiem miesięcy przed napisaniem w Ameryce owego listu. Szacunek, jaki miałem wówczas dla jej osoby, powiększał się wraz z jej wdziękami. Miałem zamiar pośpieszyć do Villaca i rzucić się jej do nóg, ale najwyższe rozkazy JKMosci Don Karola II poleciły mi zatrzymać się w odległości pięćdziesięciu mil od Madrytu.

Teraz więc pozostaje mi tylko z niecierpliwością oczekiwać waszego przybycia na drodze z Segowii do Biskai. Wierny sługa don Sancho hrabia de Peña Velez.

Pomimo całego zmartwienia nie mogłam wstrzymać się od uśmiechu, czytając ten list, pełen poszanowania, od wicekróla. Corregidor wraz z pismem wręczył mi kiesę, w której znajdowała się suma złożona przed laty w banku Asiento. Następnie pożegnał się ze mną, poszedł na obiad do alkada i wyjechał do Segowii. Co do mnie, przez cały ten czas stałam nieruchomo jak posąg, z listem w jednej a kiesę w drugiej ręce. Jeszcze nie ochłonęłam z zadziwienia, gdy wszedł alkad, oznajmiając mi, że odprowadził corregidora do granicy posiadłości Villaca i że jest gotów na moje rozkazy, ażeby mi zamówić muły, mulników, przewodników, siodła, żywność, jednym słowem wszystko, czego potrzeba do podróży.

Zostawiłam alkada jego zatrudnieniom i dzięki jego gorliwości nazajutrz wybraliśmy się w drogę. Przepędziliśmy noc w Villa Verde i dziś stanęliśmy tutaj. Jutro przybędziemy do Villa Real, gdzie zastaniemy już wicekróla, jak zwykle pełnego szacunku i poważania. Ale cóż mu powiem, nieszczęsna? Co on sam powie, widząc łzy biednej dziewczyny? Nie chciałam zostawić mego syna w domu z obawy, aby nie wzbudzić podejrzeń alkada i proboszcza, nadto nie mogłam oprzeć się gorącym jego prośbom towarzyszenia nam. Przebrałam go za mulnika i Bóg tylko wie, co z tego wyniknie. Drzę, a zarazem pragnę, aby wszystko się wydało. Z tym wszystkim, muszę widzieć wicekróla. muszę sama dowiedzieć się, co postanowił względem odzyskania puścizny Elwiry. Jeżeli moja siostrzenica nie zasługuje na to, aby być jego żoną, pragnę, aby potrafiła wzbudzić w nim zajęcie i pozyskać jego opiekę. Wszelako z jakim czołem ja, w moim wieku, będę śmiała uniewinnić się przed nim z mojej opieszałości? W istocie, gdybym nie była chrześcijanką, przeniosłabym śmierć nad tę chwilę, która mnie czeka.

Na tym zacna Maria de Torres skończyła swoje opowiadanie, i pogrążona w boleści, zalała się potokiem łez. Ciotka moja dobytek chustki i zaczęła płakać, ja także płakałam; Elwira rozszlochała się do tego stopnia, że trzeba było ją rozebrać i zanieść do łóżka. Wypadek ten sprawił, że wszyscy udaliśmy się na spoczynek.

Położyłem się i natychmiast zasnąłem. Zaledwie zaczęło świtać, gdy ucułem, że mnie ktoś ciągnie za ramię. Ocknąłem się i chciałem krzyknąć.

- Cicho, nie podnoś głosu - szybko mi odpowiedziano - jestem Lonzeto. Elwira i ja znaleźliśmy środek, który przynajmniej na kilka dni wydzwignie nas z kłopotu. Oto są suknie mojej kuzynki, włóż je na siebie, twoje zaś oddaj Elwirze. Moja matka jest tak dobra, że nam przebaczy. Co zaś do mulników służących, którzy towarzyszyli nam od Villaca. ci nie będą mogli nas zdradzić. Odeszli już wszyscy do domów, gdyż na ich miejsce wicekról przysłał nowych... służąca Elwiry podziela nasze zamiary, ubieraj się więc czym prędzej, a potem połóżysz się w łóżko Elwiry, ona zaś w twoje.

Nie miałem nic do zarzucenia zamiarowi Lonzeta, zacząłem się więc ubierać z jak największym pośpiechem. Miałem wówczas dwanaście lat, byłem dość słuszny na moje lata i suknie czternastoletniej Kastylijki wybornie na mnie leżały, wiecie bowiem, że kobiety w Kastylii nie są tak słuszne, jak Andaluzyjki.

Przybrawszy suknie, poszedłem położyć się w łóżko Elwiry i wkrótce usłyszałem, jak mówiono jej ciotce, że marszałek wicekróla czeka na nią w kuchni, która służyła za wspólną wszystkim izbę.

Niebawem zawołano Elwirę; wstałem i poszedłem zamiast niej. Ciotka jej wzniosła ręce ku niebu i padła na krzesło; ale marszałek, wcale tego nie widząc, przykląkł na jedno kolano, zapewnił mnie o głębokim poszanowaniu swego pana i wręczył szkatułkę z klejnotami. Przyjąłem ją nader wdzięcznie i kazałem mu powstać. Wtedy weszli dworzanie i służący z orszaku wicekróla, zaczęli mnie witać i wołać po trzykroć:

- Viva la nuestra vireyna! Na te okrzyki wbiegła moja ciotka wraz z Elwirą, przebraną za chłopca; zaraz na progu dała Marii de Torres znaki porozumienia i litości, które wskazywały, że nie ma co, jak tylko poddać się naturalnemu biegowi wypadków.

Marszałek zapytał mnie, kto jest ta dama. Odpowiedziałem, że jest to moja znajoma z Madrytu, udająca się do Burgos w celu umieszczenia swego synowca w kolegium teatynów. Na te słowa marszałek prosił ją, aby raczyła przyjąć lektyki wicekróla. Moja ciotka zażądała oddzielnej dla swego synowca, który, jak utrzymywała, jest słaby i zmęczony podróżą. Marszałek wydał stosowne rozkazy, po czym podał mi swoją rękę w białej rękawicze i wsadził do lektyki. Otworzyłem pochód i cała karawana zaraz za mną ruszyła z miejsca.

Tak więc nagle zostałem przysługą wicekrólową, trzymającą w rękach pudełko pełne brylantów, niesioną przez dwa białe muły w złoconej lektyce i z dwoma koniuszymi, którzy galopowali przy moich drzwiczkach. W tym tak dziwnym dla chłopca w moim wieku położeniu po raz pierwszy jątem zastanawiać się nad małżeństwem, rodzajem związku, którego natury dobrze jeszcze nie pojmowałem. Byłem jednak pewny, że wicekról nie ożeni się ze mną, nie pozostawało mi więc nic lepszego, jak przeciągać jego złudzenie i dać czas memu przyjacielowi Lonzetowi na wynalezienie jakiego środka, który by raz na zawsze wywiódł go z kłopotu. Mniemałem, że oddanie przysługi przyjacielowi jest zawsze szlachetnym uczynkiem.

Jednym słowem, postanowiłem o ile możliwości udawać młodą dziewczynę i ażeby się do tego wprawić, zagłębiłem się w lektykę, uśmiechając się, spuszczać oczy i strojąc różne kobiece miny. Przypomniałem sobie także, że chodząc, powinienem wystrzegać się stawiania zbyt dużych kroków, jak w ogóle wszystkich zbyt swobodnych poruszeń.

Gdy tak zamyśliłem się nad tym, nagle gęsty tuman kurzu oznajmił zbliżanie się wicekróla. Marszałek prosił, abym raczył wysiąść z lektyki i oprzeć się na jego ramieniu. Wicekról zeskokczył z konia, ukląkł na jedno kolano i rzekł:

- Racz pani przyjąć wyznanie miłości, która zaczęła się z twoim urodzeniem, a skończy z moją śmiercią.

Następnie pocałował mnie w rękę i nie czekając odpowiedzi, wsadził do lektyki, sam zaś dosiadł konia i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gdy tak, nie zwracając na mnie zbyt uwagi, galopował obok moich drzwiczek, miałem czas przypatrzeć mu się do woli. Nie był to już ten młodzieniec, którego Maria de Torres znajdowała tak pięknym, gdy zabijał byka lub powracał z pługiem w Villaca. Wicekról mógł jeszcze uchodzić za przystojnego mężczyznę, ale płeć jego, spalona przez podzwrotnikowe skwary, bardziej zbliżała się do czarnej niż do białej.

Obwiste brwi nadawały jego twarzy tak straszny wyraz, że nawet gdy chciał go złagodzić, rysy mimowolnie łamały mu się w przerażające kształty. Do mężczyzn przemawiał grzmiącym głosem, do kobiet zaś pisał tak cicho, że nie można było powstrzymać się od śmiechu. Gdy zwracał się do swoich ludzi, zdawało się, że daje polecenia całemu wojsku, do mnie zaś mówił tak, jak gdyby pytał o rozkaz na chwilę przed bitwą.

Im więcej uwag czyniłem nad wicekrólem, tym bardziej byłem niespokojny. Przewidywałem, że gdy odkryje pleć moją, zapewne każe oćwiczyć mnie bez miłosierdzia, i lękałem się tej chwili jak ognia. Nie potrzebowałem więc udawać bojaźliwego, gdyż w istocie cały drżałem i nie śmiałem na chwilę podnieść oczu.

Przybyliśmy do Valladolid. Marszałek podał mi rękę i zaprowadził do przeznaczonych dla mnie pokojów. Obie ciotki udały się wraz ze mną; Elwira także chciała wejść, ale odpędzono ją jako ulicznika. Co zaś do Lonzeta, ten wraz ze służbą pozostał w stajni.

Znalazszy się sam na sam z ciotkami, padłem im do nóg, zaklinając, aby mnie nie zdradzały, i przedstawiając im srogie kary, na jakie ich gadatliwość może mnie wystawić. Myśl, że mogę być oćwiczony, pogrążyła ciotkę moją w rozpacz, połączyła więc swoje prośby z moimi, ale wszystkie te nalegania były niepotrzebne. Maria de Torres, równie jak my przestraszona, myślała tylko o tym, jak odwlec ostateczne rozwiązanie wypadku. Oznajmiono, że obiad już jest gotów. Wicekról przyjął mnie u drzwi jadalnego pokoju, zaprowadził na miejsce i siadając po mojej prawej stronie, rzekł:

- Pani, dotychczasowe moje incognito zawiesza tylko moją wicekrólewską godność, ale jej nie znosi. Przebac mi zatem, jeżeli poważam się siadać po twojej prawej stronie, ale tak samo czyni łaskawy monarcha, którego mam zaszczyt przedstawiać, względem najjaśniejszej królowej.

Następnie marszałek usadowił resztę osób wedle ich znaczenia, zachowując pierwsze miejsce dla pani de Torres.

Długo wszyscy jedli w milczeniu, gdy wtem wicekról przerwał je i zwracając się do pani de Torres, rzekł:

- Z przykrością widzę, że w liście, który pani pisałaś do mnie do Ameryki, zdawałaś się powątpiewać o wypełnieniu obietnic uczynionych ci przeze mnie przed blisko trzynastu laty.

- W istocie, jaśnie oświecony panie - odpowiedziała ciotka Elwiry - gdybym była spodziewała się tak niezawodnego wypełnienia obietnicy, starałabym się, aby moja siostrzenica stała się godniejszą Waszej Wysokości.

- Widać - przerwał wicekról - że pani jesteś z Europy, gdyż w Nowym Świecie wszyscy dobrze wiedzą, że nie lubię żartować.

Po tych słowach rozmowa ustała i nikt więcej się nie odezwał. Gdy obiad się skończył, wicekról odprowadził mnie aż do moich pokojów. Obie ciotki poszły dowiedzieć się, co się stało z Elwirą, której nakryto przy marszałkowskim stole, ja zaś zostałem z jej służącą. Wiedziała ona, że jestem chłopcem, posługiwała mi jednak z gorliwością, chociaż także niestychanie bała się wicekróla. Dodawaliśmy sobie wzajemnie odwa-gi i jakoś czas nam mijał wesoło.

Ciotki wkrótce powróciły, ponieważ zaś wicekról oznajmił, że przez cały dzień nie będzie mnie widział, tajemnie więc wprowadziły Elwirę i Lonzeta. Wtedy wesołość stała się powszechna, śmieliśmy się z całego serca, tak że nawet ciotki, zadowolone z chwili wy-tchnienia, musiały dzielić naszą radość.

Gdy wieczór już dobrze zapadł, usłyszeliśmy dźwięk gitary i spostrzegliśmy wicekróla, który, zawinięty w płaszcz, krył się przez pól za sąsiednim domem. Głos jego, chociaż nie młodzieńczy, miał jednak wiele powabu, nadto wykształcił się jeszcze pod względem metody, co dowodziło, że wicekról i w Ameryce nie zaniedbywał muzyki.

Mała Elwira, znając dobrze zwyczaje niewieściej grzeczności, zdjęła jedną z moich rękawiczek i rzuciła ją na ulicę. Wicekról podniósł ją, pocałował i schował w zanadrze. Ale zaledwie wyświadczyłem mu tę laskę, gdy zdało mi się, że sto różeg więcej na mój rachunek przybędzie, skoro wicekról dowie się, jaką jestem Elwirą. Uwaga ta tak dalece mnie zasmuciła, że myślałem tylko o udaniu się na spoczynek. Elwira i Lonzeto ze łzami pożegnali się ze mną.

- Do jutra - rzekłem.

- Być może - odpowiedział Lonzeto. Następnie położyłem się w tym samym pokoju, gdzie stało łóżko mojej nowej ciotki. Oboje, rozbierając się do snu, staraliśmy się czynić to jak najskromniej.

Nazajutrz ciotka moja, Dalanosa, rozbudziła nas rano mówiąc, że Lonzeto z Elwirą uciekli w nocy i że nie wiadomo, co się z nimi stało. Wiadomość ta gromem raziała biedną Marię de Torres. Co do mnie, pomyślałem sobie, że nie mogę nic lepszego uczynić, jak na miejscu Elwiry zostać wicekrólową Meksyku.

Gdy naczelnik tak nam swoje przygody rozpowiadał, jeden z jego ludzi przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności; wstał więc i prosił o pozwolenie odłożenia dalszego ciągu na dzień następny.

Rebeka z niecierpliwością uczyniła uwagę, że zawsze ktoś nam przerywa w miejscu najbardziej zajmującym, po czym rozmawiano o dość obojętnych rzeczach. Kabalista oznajmił, że doszły go wieści o Żydzie Wiecznym Tułaczku, który przebył już Bałkan i wkrótce przybędzie do Hiszpanii. Ostatecznie nie wiem, co wszyscy przez cały ten dzień porabiali, przechodzę więc do następnego, który był daleko obfitszy w wypadki.

Dzień osiemnasty

O świcie, gdy się obudziłem, przyszła mi chętka odwiedzić nieszczęsną szubienicę Los Hermanos, w nadziei, że znowu znajdę tam jaką ofiarę. Przechadzka nie była nadaremna, w istocie bowiem znalazłem człowieka leżącego między dwoma wisielcami. Nieszczęśliwy zdawał się zupełnie pozbawiony uczucia, zeszywniały, wszelako dotknąwszy się jego ręk, przekonałem się, że ma jeszcze w sobie resztki życia. Przyniosłem wody i skropiłem mu twarz, widząc jednak, że bynajmniej nie wraca do zmysłów, wziąłem go na plecy i wyniosłem z szubienicznego ogrodzenia. Powoli przyszedł do siebie, wlepił we mnie błędne oczy, a potem nagle, wyrwijąc się, zaczął uciekać w pole. Przez jakiś

czas ścigałem go oczyma, spostrzegłszy jednak, że rusza w krzaki i łatwo może zabłądzić w tym pustkowiu, uważałem za swój obowiązek pobiec za nim i zatrzymać go. Nieznajomy obrócił się, a widząc, że go gonię, jął tym prędzej uciekać; nareszcie zatoczył się, upadł i zranił w głowę. Otarłem mu chustką ranę. po czym, oddarłszy kawał własnej koszuli, owiązałem mu głowę. Nieznajomy nic mi nie rzekł; wtedy, zachęcony tą uległością, podałem mu rękę i zaprowadziłem do obozu Cyganów, Przez cały ten czas nie mogłem wydobyć z niego ani jednego słowa.

Przybywszy do jaskini, zastałem wszystkich już zebranych na śniadanie; zachowano dla mnie jedno miejsce, rozsunięto się dla nieznajomego, nie pytając wcale, kim jest i skąd przybywa. Takie są zwyczaje gościnności hiszpańskiej, którym nigdy nikt nie poważa się uchybiać.

Nieznajomy jął zapijać czekoladę jak człowiek gwałtownie potrzebujący posiłku. Naczelnik Cyganów zapytał, czy to złodzieje go tak srodze poranili.

- Bynajmniej - odpowiedziałem - znalazłem tego senora omdlałego pod szubienicą Los Hermanos. Jak tylko wrócił do zmysłów, natychmiast zaczął z całych sił uciekać w pole; wtedy, w obawie, aby nie zabłądził w zaroślach, pogoniłem za nim i właśnie miałem go schwytać, gdy upadł. Szybkość, z jaką uciekał, jest przyczyną, dla której tak się pokaleczył.

Na te słowa nieznajomy położył łyżkę i obracając się do mnie, rzekł z poważną miną:

- Mylnie się senor wyrażasz, co zapewne jest skutkiem błędnych zasad, jakich ci w młodości udzielano.

Możecie łatwo osądzić, jakie ta mowa sprawiła na mnie wrażenie. Pomiarkowałem się jednak i odpowiedziałem:

- Senor nieznajomy, śmiem ci zaręczyć, że od najmłodszych lat wpajano we mnie jak najlepsze zasady, które tym mi są potrzebniejsze, że mam zaszczyt być kapitanem w gwardii wallońskiej.

- Mówiłem - przerwał nieznajomy - o zasadach. jakie powziąłeś względem przyśpieszonego biegu ciała po płaszczyznach pochyłych. Jeżeli bowiem chcesz mówić o moim upadku i dowieść jego przyczyn, powinieneś wziąć pod uwagę, że ponieważ szubienica umieszczona jest na miejscu wyniosłym, musiałem biec po płaszczyźnie pochyłej. Stąd należało uważać linię mego biegu za przeciwprostokątną trójkąta prostokątnego, którego podstawa jest równoległa z widnokręgiem, kąt zaś prosty zawiera się między tą podstawą a prostopadłą prowadzącą do wierzchołka trójkąta, czyli do spodu szubienicy. Wtedy mógłbyś powiedzieć. że bieg mój przyśpieszony po płaszczyźnie pochyłej tak się miał do upadku wzdłuż prostopadłej, jak ta sama prostopadła miała się do przeciwprostokątnej. Ten to bieg przyśpieszony, oceniony tym sposobem, sprawił, że upadłem, nie zaś podwojenie mojej szybkości. To jednak w niczym nie przeszkadza, że uważam cię za kapitana w gwardii wallońskiej.

Po tych słowach nieznajomy wziął się znowu do swojej filiżanki, zostawiając mnie w niepewności co do sposobu, w jaki mam przyjąć jego dowodzenia. w istocie bowiem nie wiedziałem, czy prawdziwie mówił, czy też chciał ze mnie zadrwić.

- Naczelnik Cyganów widząc, że dowodzenie nieznajomego tak mnie obruszyło, chciał nadać inny kierunek rozmowie i rzekł-

- Ten szlachetny podróżny, który zdaje się wybornie posiadać geometrię, potrzebuje zapewne spoczynku, nie należy dziś zatem nalegać na niego, aby mówić, i jeżeli towarzystwo pozwoli, zastąpię jego miejsce i będę ciągnął dalej rzecz wczoraj zaczęta.

Rebeka odpowiedziała, że nic dla niej nie może być przyjemniejsze, i naczelnik zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Właśnie gdy nam wczoraj przerwano, opowiadałem, jakim sposobem ciotka Dalanosa przybiegła z oświadczeniem, że Lonzeto uciekł z Elwirą przebraną za chłopca i jaki przestach na tę wieść nas ogarnął. Ciotka Torres, która od razu straciła syna i siostrzenicę, oddała się najgwałtowniejszej rozpacz; ja zaś, opuszczony przez Elwirę, osądziłem, że pozostaje mi tylko zostać wicekrólową lub poddać się karze, której obawiałem się bardziej od śmierci.

Właśnie zagłębiałem się nad tym okropnym położeniem, gdy marszałek oznajmił, że wszystko jest gotowe do podróży, i ofiarował mi ramię, chcąc mnie sprowadzić ze schodów. Tak miałem umysł nabity koniecznością zostania wicekrólową, że mimowolnym poruszeniem podniosłem się z powagą, wsparłem na ramieniu marszałka z postawą skromną, acz nie bez godności, na której widok biedne ciotki uśmiechnęły się pomimo całego zmartwienia.

Tego dnia wicekról nie galopował już przy moich drzwiczkach. Zastaliśmy go w Torquemada przy drzwiach gospody. Łaska, jaką okazałem mu wczoraj, uczyniła go śmielszym; pokazał mi rękawiczkę schowaną na piersiach i podając ramię, wysadził z lektyki. W tej samej chwili ujął mnie za rękę, ścisnął ją lekko i pocałował. Było mi przyjemnie, że sam wicekról tak się ze mną obchodzi, gdy nagle przyszły mi na myśl różgi, które zapewne miały nastąpić po tych wszystkich oznakach głębokiego poszanowania.

Zostawiono nas przez kwadrans w pokojach przeznaczonych dla kobiet, po czym zaprowadzono do stołu. Usiedliśmy tak jak wczoraj. Pierwsze danie przeszło w nieprzerwanym milczeniu, przy drugim jednak wicekról, obracając się do ciotki Dalanosy, rzekł:

- Dowiedziałem się o figlu, jaki pani wyplatała jej synowiec wraz z tym hultajem małym mulnikiem. Gdybyśmy byli w Meksyku, wkrótce miałbym ich już w rękach. Kazałem, aby puszczono się za nimi w pogoń. Jeżeli moi ludzie ich przytrzymają, synowiec pani zostanie uroczyście oćwiczony na podwórzu ojców teatynów, mały zaś mulnik przewietrzy się na galerach.

Na wyraz "galery", połączony z myślą o jej synu, pani de Torres natychmiast zemdląła, ja zaś, słysząc o różgach na podwórzu ojców teatynów, spadłem z krzesła.

Wicekról z na j wykwintniejszą grzecznością pomógł mi powstać; uspokoiłem się nieco i jak mogłem najweselej czekałem końca obiadu. Gdy sprzątnięto ze stołu, wicekról, zamiast odprowadzić mnie do moich pokojów, zawiódł nas troje pod drzewa naprzeciwko gospody i posadziwszy na ławce, rzekł:

- Zdaje mi się, że panie przestraszyłyście się nieco mniemaną srogością, jaka przebija się w moim sposobie myślenia, a której nabyłem, wykonywając różne obowiązki. W istocie jest ona obca mojemu sercu; myślę, że dotąd znacie mnie tylko z kilku postępków i nie domyślacie się ani ich powodów, ani

następstw, zapewne więc rade usłyszycie historię mego życia; zresztą wypada, abym wam ją opowiedział. Zawarłszy ze mną ściślejszą znajomość, bez wątpienia pozbędziecie się tej trwogi, jaka was dziś tak nagle opadła.

Po tych słowach wicekról w milczeniu oczekiwał naszej odpowiedzi. Oświadczyliśmy mu żywą chęć poznania bliższych o nim szczegółów; podziękował nam i, uradowany tymi oznakami zajęcia, tak zaczął:

HISTORIA HRABIEGO DE PEÑA VELEZ

Urodziłem się w pięknej okolicy, otaczającej Grenadę, w wiejskim domku, który mój ojciec posiadał nad brzegami czarującego Genilu. Wiadomo wam, że dla poetów hiszpańskich prowincja nasza stanowi teatr wszystkich scen pasterskich. Tak dobitnie przekonali nas, że klimat nasz wpływa na rozbudzenie uczuć miłosnych. że niewielu jest grenadczyków, którzy by nie przepędzili młodości swojej, a czasami i całego życia na zalecaniu się i kochaniu.

Gdy u nas miody człowiek pierwszy raz wchodzi w świat, zaczyna od wyboru damy swoich myśli. jeżeli zaś ta przyjmuje jego hołdy, wtedy ogłasza się jej embebecido, czyli opętany jej wdziękami. Kobieta przyjmując taką ofiarę zawiera z nim milczącą umowę, na mocy której jemu wyłącznie powierza wachlarz i rękawiczki. Również daje mu pierwszeństwo, gdy idzie o przyniesienie szklanki wody, którą embebecido podaje na kolanach. Nadto szczęśliwy młodzian ma prawo galopować przy drzwiczkach jej powozu, podawać wodę święconą w kościele i kilka innych równie ważnych przywilejów. Mężowie wcale nie są zazdrośni o ten rodzaj stosunków, gdyż w istocie nie ma o co być zazdrosnym, przede wszystkim dlatego, że kobiety żadnego z tych zalotników nie przyjmują u siebie, gdzie zresztą przez cały dzień są otoczone ochmistrzyniami lub służącymi. Jeżeli zaś mam prawdę powiedzieć, kobiety niewierne mężom zwykle dają komu innemu pierwszeństwo, niż embebecidom. Udają się wtedy zazwyczaj do młodych kuzynów, mających przystęp do domu, podczas gdy najbardziej zepsute wybierają kochanków w ostatnich klasach społeczeństwa.

Tak wyglądały zaloty w Grenadzie, gdy wszedłem w świat; zwyczaj ten jednak wcale nie pociągnął mnie za sobą, nie dlatego, żeby miało mi zbywać na czułości, przeciwnie, serce moje więcej może niż czyjekolwiek uległo wpływowi naszego klimatu i potrzeba kochania była pierwszym uczuciem, które ożywiło moją młodość. Wkrótce jednak przekonałem się, że miłość jest zupełnie czym innym niż prostą wymianą czczych grzeczności, przyjętą w naszym towarzystwie. Wymiana ta była na pozór zupełnie niewinna, jednakże, wzbudzając w sercu kobiety zainteresowanie dla człowieka, który nigdy nie miał posiadać jej osoby, zarazem osłabiała uczucia dla tego, do którego rzeczywiście należała. Rozdział ten oburzał mnie tym więcej, że miłość i małżeństwo uważałem zawsze za jedno. To ostatnie, ozdobione wszelkimi powabami miłości, stało się ukrytą i zarazem najdroższą z moich myśli, bóstwem mojej wyobraźni.

Wyznam wam, iż myśl ta owładnęła tak dalece wszystkimi władzami mojej duszy, że czasami zaczynałem prawić od rzeczy i z daleka można mnie było wziąć za prawdziwego embebecido.

Jeżeli wchodziłem do jakiego domu, zamiast zająć się powszechną rozmową, wyobrażałem sobie natychmiast, że dom ten należy do mnie, i umieszczałem w nim moją żonę. Ozdabiałem jej pokój

najpiękniejszymi tkaninami, matami chińskimi i kobiercami perskimi, na których, zdawało mi się, widzę już ślady jej stóp. Również wpatrywałem się w sofę, na której, wedle mego mniemania, najczęściej lubiła siadywać. Jeżeli wychodziła dla odetchnięcia świeżym powietrzem, znajdowała ganek umajony najwonnejszymi kwiatami i ptaszarnię napełnioną najrzadszym ptactwem. Jej sypialnia była dla mnie świątynią, do której nawet moja wyobraźnia lękała się wkroczyć.

Gdy tak zatapiałem się w moich marzeniach, rozmowa szła zwykłym trybem, ja zaś odpowiadałem bez związku na pytania, jakie mi zadawano. Nadto odzywałem się zawsze cierpko, nierad, że przerywano mi moje marzenia.

W tak dziwny sposób zachowywałem się, przychodząc gdzie w odwiedziny. Na przechadzkach ogarniało mnie równe szaleństwo; jeżeli miałem potok do przebycia, brnąłem w wodzie po kolana, zostawiając kamienie dla mojej żony, która wspierała się na moim ramieniu, wynagradzając te starania boskim uśmiechem. Dzieci kochałem do szaleństwa. Gdy jakie spotkałem, pożerałem je pieszczołami, kobieta zaś karmiąca niemowlę piersią wydawała mi się arcydziełem stworzenia.

To mówiąc wicekról zwrócił się do mnie i rzekł z powagą i czułością zarazem:

- Pod tym względem nie zmieniłem dotąd uczuć i spodziewam się, że nieporównana Elwira nie pozwoli. by krew jej dzieci została skażona nieczystym mlekiem mamki.

Wyrazy te zmierzały mnie więcej, niż możecie sobie wyobrazić, Złożyłem ręce, mówiąc:

- Jaśnie oświecony panie, racz nigdy nie wspominać mi o tych rzeczach, gdyż nic z tego nie rozumiem.

- Mocno ubolewam, anielska Elwiro - odparł wicekról - że pozwoliłem sobie urazić twoją skromność. Przystępuję teraz do dalszego ciągu mojej historii i przyrzekam nie wpadać więcej w podobne błędy.

Po tych słowach tak dalej mówił:

- Roztargnienia te sprawiły, że w Grenadzie uważano mnie za obłąkanego, jakoż w istocie towarzystwo niezupełnie się myliło. Wyraźniej mówiąc, wydawałem się obłąkanym dlatego, że szaleństwo moje odmienne było od obłądów reszty grenadczyków; mógłbym zaś uchodzić za rozsądnego, gdybym był jawnie ogłosił się opętany wdziękami której z moich współobywatelek. Ponieważ jednak podobne mniemania nie mają w sobie nic pochlebnego, postanowiłem przeto na jakiś czas opuścić ojczyznę. Były jeszcze inne powody, które mnie do tego skłaniały. Chciałem być szczęśliwym z moją żoną, i tylko przez nią szczęśliwym. Gdybym był ożenił się z jaką rodaczką, ta, stosownie do zwyczajów, musiałaby przyjąć hołdy jednego z embebecidów, który to stosunek, jak zauważyłyście, bynajmniej nie zgadzał się z moim sposobem myślenia.

Powziąwszy zamiar wyjazdu, udałem się na dwór madrycki, ale i tam znalazłem te same mdłe grzeczności, pod innymi tylko nazwami. Miano embebecidów, które z Grenady przeszło dziś do Madrytu, nie było tam jeszcze wówczas znane. Damy dworu nazywały wybranych, chociaż nieszczęśliwych kochanków cortejo, innych zaś, z którymi surowiej się obchodziły i zaledwie raz lub dwa razy na miesiąc wynagradzały uśmiechem, galan. Pomimo to wszyscy bez różnicy nosili barwy wybranej piękności i galopowali przy jej powozie, co taki kurz podnosiło co dzień w Prado, że niepodobna było mieszkać na ulicach przytykających do tego czarownego miejsca przechadzki.

Nie miałem ani odpowiedniejszego majątku, ani dość sławnego nazwiska, ażeby zwrócić na siebie uwagę u dworu; wszelako dałem się poznać ze zręczności, jaka okazywałem w walkach byków. Król kilka razy przemówił do mnie, grandowie zaś uczynili mi zaszczyt poszukiwania mojej przyjaźni. Znałem się nawet z hrabią Rovellase, ale ten, pozbawiony przytomności, nie mógł mnie widzieć, gdy wyratowałem go od śmierci. Dwóch jego dojeżdźczy dobrze wiedziało, kim jestem. ale snadź wówczas zaprzętnięci byli czym innym, inaczej nie omieszkaliby żądać ośmiuset pistołów nagrody, jaką hrabia przyrzekł temu, który mu odkryje nazwisko jego wybawcy.

Pewnego dnia, obiadując u ministra skarbu, znalazłem się obok don Henryka de Torres, męża pani, który za swymi sprawami przybył do Madrytu. Po raz pierwszy miałem zaszczyt rozmawiać z nim, ale postać jego wzbudzała zaufanie, wkrótce więc naprowadziłem rozmowę na ulubiony przedmiot, to jest na miłość i małżeństwo. Zapytałem don Henryka, czy damy w Segowii mają także swoich embebecidów, cortejów i galanów.

- Bynajmniej - odpowiedział - zwyczaj nasze nie wprowadziły dotąd osób tego rodzaju. Gdy kobiety nasze idą na przechadzkę w aleję zwaną Zocodover. zwykle przez pół są zasłonięte i nikt nie odważa się przystępować do nich, bez różnicy, czy idą pieszo, czy też jadą pojazdem. Nadto w domach naszych przyjmujemy tylko pierwsze odwiedziny, tak mężczyzn jak i kobiet. Te ostatnie przepędzają wieczory na balkonach, mało co wzniesionych nad ulicą. Mężczyźni wtedy zatrzymują się i rozmawiają ze znajomymi. młodzież zaś, zwiedziwszy jeden balkon po drugim, kończy wieczór przed domem, gdzie jest panna wydaniu.

- Z tym wszystkim - dodał don Henryk - ze wszystkich balkonów Segowii mój najliczniej bywa odwiedzany. Siostra mojej żony. Elwira de Noruía. nie tylko posiada niezwykle zalety mojej małżonki, ale ponadto odznacza się urodą, przewyższającą wdzięki wszystkich znanych mi kobiet.

Mowa ta uczyniła na mnie silne wrażenie. Osoba tak piękna, obdarzona tak rzadkimi przymiotami, i z kraju, gdzie nie było embebecidów, zdała mi się przeznaczona przez niebo dla mojego szczęścia. Kilku segowczyków. z którymi rozmawiałem, jednomyślnie potwierdziło zdanie don Henryka o wdziękach Elwiry, postanowiłem więc osądzić je na własne oczy.

Jeszcze nie opuściłem Madrytu, gdy uczucia moje ku Elwirze osiągnęły pewną siłę, ale zarazem stosunkowo zwiększyły moją bojaźliwość. Przybywszy do Segowii, nie odważyłem się pójść z odwiedzinami do pana de Torres lub innych osób, z którymi zapoznałem się w Madrycie. Chciałem, ażeby ktoś usposobił Elwirę do mnie tak, jak ja do niej byłem usposobiony. Zazdrościłem tym, których rozgłosne imię lub świetne przymioty wszędzie poprzedzają, sądziłem bowiem, że jeżeli na pierwsze wejście nie pozyskam przychylności Elwiry, wszelkie moje późniejsze starania będą bezużyteczne.

Przepędziłem kilka dni w gospodzie, nie widząc nikogo. Nareszcie kazałem zaprowadzić się na ulicę, gdzie stał dom pana de Torres. Naprzeciwko spostrzegłem napis oznajmiający mieszkanie do najęcia. Pokazano mi izdebkę na poddaszu, zgodziłem ją za dwanaście realów na miesiąc, przybrałem nazwisko Alonza i powiedziałem, że przybyłem za sprawami handlowymi.

Tymczasem sprawy moje ograniczały się do spoglądania przez żaluzje moich okien. Wieczorem spostrzegłem panią na balkonie w towarzystwie nieporównanej Elwiry. Mamże się przyznać? Z początku zdawało mi się, że widzę przed sobą pospolitą piękność, ale przypatrzwszy się bliżej, poznałem, że niewysłowiona harmonia rysów, która czyniła jej wdzięki mniej uderzającymi,

ośniewała całym ich blaskiem, gdy ją porównywano z inną kobietą. Pani sama byłaś wówczas nader piękna, wszelako muszę wyznać, że nie byłaś w stanie wytrzymać porównania ze swoją siostrą.

Z poddasza mego z niewypowiedzianą rozkoszą przekonałem się, że Elwira jest zupełnie obojętna na składane jej hołdy i że nawet zdaje się nimi znudzona. Z drugiej jednak strony, spostrzeżenie to całkiem odjęło mi chęć pomnożenia tłumu jej wielbicieli, czyli ludzi, którzy ją nudzili. Postanowiłem spoglądać przez okno, dopóki nie zdarzy się lepsza sposobność zawarcia znajomości, i jeżeli mam prawdę powiedzieć, liczyłem, nieco na walki byków.

Przypominasz sobie pani, że wówczas nieźle śpiewałem, nie mogłem przeto wstrzymać się, żeby nie dać usłyszeć mego głosu. Gdy wszyscy zalotnicy już poodchodzili, zstępowałem z poddasza i przy towarzyszeniu gitary, jak umiałem najlepiej, śpiewałem tiranę. Powtarzałem to z kolei przez kilka wieczorów, nareszcie spostrzegłem, że oddalaliście się państwo dopiero po wysłuchaniu mojej pieśni. Odkrycie to napełniło duszę moją niepojęcie słodkim uczuciem, które jednak dalekie było od nadziei.

Wtedy dowiedziałem się, że wygnano Rovellasa do Segowii. Rozpacz mnie ogarnęła, na chwilę bowiem nie wątpiłem, że zakocha się w Elwirze. Jakoż nie omyliły mnie przeczucia. Myśląc, że znajduje się jeszcze w Madrycie, nazwał się publicznie cortejem siostry pani, przybrał jej barwy, a raczej kolor, który uznał za jej barwy, i ustroił w nie swoją służbę. Ze szczytu mego poddasza długo byłem świadkiem tej zuchwałej zarozumiałości i z rozkoszą przekonałem się, że Elwira sądziła go bardziej z osobistych jego przymiotów, niż z blasku, który go otaczał. Ale hrabia był bogaty, wkrótce miał otrzymać tytuł granda, cóż więc mogłem ofiarować równego podobnym zaletom? Bez wątpienia - nic. Byłem tak dalece tego pewny i przy tym kochałem Elwirę z tak zupełnym zaparciem się samego siebie, że w duszy sam nawet pragnąłem, żeby Poszła za Rovellasa. Nie myślałem już więcej o zapoznaniu się i zaprzestałem moich czułych pieśni.

Tymczasem Rovellas wyrażał swoją namiętność samymi tylko grzecznościami i nie czynił żadnego stanowczego kroku dla pozyskania ręki Elwiry. Dowiedziałem się nawet, że don Henryk zamierza wyjechać do Villaca. Przyzwyczałem się już do przyjemności mieszkania naprzeciw jego domu, chciałem więc na wsi zapewnić sobie tęż samą pociechę. Przybyłem do Villaca, podając się za labradora z Murcji. Kupiłem domek naprzeciwko waszego i ozdobiłem go wedle mego smaku. Ponieważ jednak zawsze można po czymś poznać przebranych kochanków, przeto umyśliłem sprowadzić moją siostrę z Grenady i dla uniknięcia podejrzeń podać ją za moją żonę. Urządziwszy to wszystko, wróciłem do Segowii, gdzie dowiedziałem się, że Rovellas ma zamiar wyprawić wspaniałą walkę byków. Ale pamiętam, że miałaś pani wówczas dwuletniego synka, racz mi też powiedzieć, co się z nim stało?

Ciotka Torres, przypominając sobie, że ów synek jest tym samym mulnikiem, którego wicekról chciał posłać na galery, nie wiedziała, co odpowiedzieć, i dobywszy chustki, zalała się łzami.

- Przebacz, pani - rzekł wicekról - widzę, że odnawiam jakieś bolesne wspomnienia, ale dalszy ciąg mojej historii wymaga, abym mówił o tym nieszczęsnym dziecięciu. Pamiętasz pani, że zachorował wówczas na ospę; otaczałaś go pani najtkliwszymi staraniami i wiem, że Elwira także dnie i noce przepędzała przy łóżku chorego malca. Nie mogłem wstrzymać się od uwiadomienia pani, że jest ktoś na świecie, kto podziela wszystkie wasze cierpienia, i co noc pod waszymi oknami wyśpiewywałem tęskne pieśni. Nie zapomniałaś pani o tym?

- Bynajmniej - odpowiedziała ciotka Torres - pamiętam bardzo dobrze i wczoraj jeszcze wszystko to opowiadałam towarzysze mojej podróży.

Wicekról tak dalej mówił:

- Całe miasto zajmowało się tylko chorobą Lonzeta, jako główną przyczyną, dla której opóźniano widowiska. Dlatego też, gdy dziecię wróciło do zdrowia, radość była powszechna.

Nastąpiła wreszcie uroczystość, wszelako niedługo trwała. Pierwszy zaraz byk nielitościwie pokaleczył hrabiego i byłby go niezawodnie zabił, gdybym temu nie zapobiegł. Utopiwszy szpadę w karku rozjuszonego zwierzęcia, rzuciłem wzrok na waszą lożę i ujrzałem, że Elwira, pochyliwszy się ku pani, mówiła coś o mnie z wyrazem, który przejął mnie radością. Pomimo to znikłem w tłumie.

Nazajutrz Rovellas, przyszedłszy nieco do sił, oświadczył się listownie o rękę Elwiry. Utrzymywano, że nie został przyjęty, on zaś dowodził przeciwnie. Dowiedziawszy się jednak, że wyjeżdżacie do Villaca, poznałem, że hrabia chciał się według zwyczaju. Wyjechałem więc do Villaca, gdzie przyjąłem wieśniaczy sposób życia, chodziłem sam za pługiem lub przynajmniej udawałem, że pracuję, gdyż w istocie chłopiec mój tym się zajmował.

Po kilku dniach pobytu, gdy wracałem za wołami do domu, wsparty na ramieniu mojej siostry, która uchodziła za moją żonę, spostrzegłem panią wraz z mężem i Elwirą. Siedzieliście przed domem waszym przy czekoladzie. Siostra pani mnie poznała, ale ja wcale nie chciałem się zdradzić. Przyszła mi jednak złośliwa myśl powtórzenia niektórych pieśni, jakie wam śpiewałem podczas choroby Lonzeta. Odwlekałem oświadczyzny, chcąc wpiery uzyskać pewność, że Rovellas został odrzucony.

- Ach, jaśnie oświecony panie - rzekła ciotka Torres - nie ma wątpliwości, że byłbyś potrafił zająć Elwirę, istotnie bowiem odrzuciła wówczas rękę hrabiego. Jeżeli później poszła za niego, uczyniła to myśląc, że jesteś żonatym.

- Widać, że opatrność - odparł wicekról - miała inne zamiary względem mojej niegodnej osoby. W istocie, gdybym był otrzymał rękę Elwiry, Chiriguanie, Assinibuanie i Apalasi nie zostaliby nawróceni na wiarę chrześcijańską, a krzyż, święty znak naszego zbawienia, nie byłby zatknięty o trzy stopnie dalej na północ od Zatoki Meksykańskiej.

- Być może - rzekła pani de Torres - ale za to mój mąż i moja siostra dotychczas by jeszcze żyli. Wszelako nie śmiem przerywać dalszego ciągu tak zajmującej historii.

Wicekról zabrał głos w te słowa:

- W kilka dni po przybyciu waszym do Villaca umyślny posłaniec z Grenady doniósł mi, że matka moja śmiertelnie zachorowała. Miłość ustąpiła miejsca synowskiemu przywiązaniu i opuściliśmy wraz z siostrą Villaca. Matka chorowała przez dwa miesiące i oddała ducha w naszych objęciach. Opłakałem tę stratę, może zbyt krótko, i wróciłem do Segowii, gdzie się dowiedziałem, że Elwira jest już hrabiną Rovellas.

Usłyszałem jednocześnie, że hrabia przyrzekł nagrodę temu, kto mu odkryje nazwisko jego wybawcy. Odpowiedziałem bezimiennym listem i udałem się do Madrytu, prosząc o powierzenie mi jakiego urzędu w Ameryce. Otrzymawszy go z łatwością, czym prędzej wsiałem na okręt. Pobyt mój w Villaca był tajemnicą, znaną, jak sądziłem, tylko mnie i mojej siostrze, ale służący nasi mają

wrodzoną wadę szpiegostwa, które przenika wszelkie tajniki. Jeden z moich ludzi, którego zwolniłem, udając się do Ameryki, wszedł w służbę Rovellasa. Opowiedział służącej ochmistrzyni hrabiny całą historię kupna domu w Villaca i mego przebrania się za wieśniaka, służąca powtórzyła to samej ochmistrzyni, ta zaś, dla zaskarżenia sobie łaski, powiedziała wszystko hrabiemu. Rovellas, porównyując bezmiennność mego listu, biegłość okazaną w walce byków i nagły mój wyjazd do Ameryki, doszedł do wniosku, że byłem szczęśliwym kochankiem jego małżonki. Dowiedziałem się tego wszystkiego dopiero później; przybywszy jednak do Ameryki, otrzymałem list następującej treści:

Senor Don Sancho de Peña Sombre!

Uwiadomiono mnie o stosunkach, jakie miałeś z niegodziwą, której odtąd zaprzeczam nazwiska hrabiny Rovellas. Jeżeli chcesz, możesz posłać po dziecię, które wkrótce się z niej narodzi. Co do mnie, wyjeżdżam natychmiast za tobą do Ameryki, gdzie spodziewam się zobaczyć cię po raz ostatni w moim życiu.

List ten pogrążył mnie w rozpacz. Wkrótce jednak boleść moja dobiegła ostatnich krańców, gdy dowiedziałem się o śmierci Elwiry, męża pani i Rovellasa, którego chciałem przekonać o fałszu jego zarzutów. Uczyniłem jednak, co mogłem, dla zniweczenia potwarzy i uprawnienia rodu jego córki; nadto poprzysiągłem uroczyste, gdy dziewczynka przyjdzie do lat, pojąć ją za żonę lub też nie ożenić się wcale. Po dopełnieniu tego obowiązku osądziłem, że wolno mi szukać śmierci, której religia nie pozwalała mi zadać samemu sobie.

W Ameryce naówczas dziki lud, sprzymierzony z Hiszpanami, toczył wojnę z sąsiednim narodem. Udałem się tam i przyjęty zostałem od ludu. Dla pozyskania jednak, że tak powiem, prawa obywatelstwa, musiałem pozwolić, ażeby wykluto mi igłą na całym ciele kształt węża i żółwia. Głowa węża zaczynała się na prawym moim ramieniu, ciało szesnaście razy owijało się koło mego i dopiero na wielkim palcu u prawej nogi kończyło ogonem. Podczas obrzędu dziki operator naumyślnie kłut mnie do kości, próbując, czy nie wydam surowo zakazanego krzyku bóleści. Wytrzymałem tę próbę. Śród męczarni usłyszałem już z daleka wrzaski dzikich naszych nieprzyjaciół, podczas gdy nasi zawodzili śpiew za umarłych. Uwolniwszy się z rąk kapłanów, pochwyliłem maczugę i rzuciłem się w sam war boju. Zwycięstwo przechyliło się na naszą stronę. Przy-nieśliśmy ze sobą dwieście dwadzieścia skalpów, mnie zaś na placu bitwy jednomyślnie okrzyknięto kacykiem.

Po upływie dwóch lat dzięki pokolenia Nowego Meksyku przeszły na wiarę Chrystusa i poddały się koronie hiszpańskiej.

Wiadoma wam zapewne jest reszta mojej historii. Osiągnąłem najwyższe zaszczyty, o jakich może zamarzyć poddany króla hiszpańskiego. Ale muszę uprzedzić cię, zachwycająca Elwiro, że nigdy nie będziesz wicekrólową. Polityka gabinetu madryckiego nie pozwala, ażeby ludzie żonaci piastowali w Nowym Świecie tak obszerną władzę. Od chwili, w której raczysz stać się moją żoną - ja przestanę nosić tytuł wicekróla. Mogę tylko złożyć u stóp twych godność granda hiszpańskiego i majątek, o którego źródłach winienem ci jeszcze, ponieważ będzie naszym wspólnym w przyszłości, kilka słów napomknąć.

Podbiwszy dwie prowincje północnego Meksyku, otrzymałem od króla pozwolenie na eksploatację jednej z najbogatszych kopalń srebra. W tym celu stowarzyszyłem się z pewnym spekulantem z

Veracruz i w pierwszym roku otrzymaliśmy dywidendę wartości trzech milionów piastrów; ponieważ jednak przywilej był na moje imię, dostałem więc sześćkroć sto tysięcy piastrów więcej od mego wspólnika.

- Pozwól, senior - przerwał nieznajomy - suma przypadająca na wicekróla wynosiła milion osiemkroć sto tysięcy piastrów, na wspólnika zaś - milion dwa-kroć sto tysięcy.

- Tak sędzę - odparł naczelnik Cyganów.

- Czyli, wyraźniej mówiąc - rzekł nieznajomy - połowa sumy plus połowa różnicy. Jasne jak dwa razy dwa cztery.

- Masz senior słuszność - odpowiedział naczelnik, po czym tak dalej ciągnął:

.- Wicekról, pragnąc dokładnie mnie uwiadomić o stanie swego majątku, rzekł:

- Na drugi rok zapuściliśmy się głębiej we wnętrzości ziemi i musieliśmy zbudować przejścia, studnie, galerie. Wydatki, które dotąd czwartą część wynosiły, powiększyły się o jedną ósmą, ilość zaś kruszcu spadła o jedną szóstą.

Na te słowa geometra dobył z kieszeni tabliczek i ołówka, ale myśląc, że trzyma pióro, umoczył ołówek w czekoladzie; widząc jednak, że czekolada nie pisze, chciał otrzeć pióro o swój czarny kaftan i otarł je o suknię Rebeki. Następnie zaczął coś gryzmolić na swoich tabliczkach. Roześmieliśmy się z jego roztargnienia, a naczelnik Cyganów tak dalej mówił:

- Na trzeci rok przeszkody jeszcze się powiększyły. Musieliśmy sprowadzić górników z Peru I daliśmy im piętnastą część dochodu, nie obciążając ich wcale wydatkami, które tego roku wzrosły o dwie piętnaste. Natomiast ilość kruszcu zwiększyła się o sześć i jedna czwartą razy w porównaniu z ilością przeszło-roczną.

W tym miejscu zorientowałem się, że naczelnik chce pobałamucić geometrze jego rachunki. W istocie, nadając swemu opowiadaniu formę zagadnienia, tak dalej ciągnął:

- Odtąd, pani, nasze dywidendy ciągle zmniejszały się o dwie siedemnaste. Ponieważ jednak umieszczałem na procent pieniądze zyskane na kopalniach i dołączałem do kapitału procenty od procentów, otrzymałem jako ostateczną sumę mego majątku pięćdziesiąt milionów piastrów, które składam u twych nóg wraz z moimi tytułami, sercem i ręką.

Tu nieznajomy, ciągle pisząc na tabliczkach, powstał i udał się drogą, którą przybyliśmy do obozu; ale zamiast iść prosto, zboczył na ścieżkę prowadzącą do potoku, skąd Cyganie czerpali wodę, i wkrótce potem usłyszeliśmy plusk ciała wpadającego w potok.

Pobiegłem mu na pomoc, rzuciłem się w wodę i pasując się z prądem, zdołałem wreszcie naszego roztargnionego wyciągnąć na brzeg. Dobyto z niego wodę, której się opił, rozpalono wielki ogień i gdy po długich staraniach geometra wrócił do zmysłów, wlepił w nas błędne oczy i rzekł słabym głosem:

- Bądźcie przekonani, że majątek wicekróla wynosił sześćdziesiąt milionów dwadzieścia pięć tysięcy sto sześćdziesiąt jeden piastrów, przypuszczając, że część wicekróla tak się zawsze miała do części jego wspólnika, jak tysiąc osiemset do tysiąca dwustu, czyli jak trzy do dwóch.

To powiedziawszy geometra wpadł w pewien rodzaj letargu, z którego nie chcieliśmy go budzić, sądząc, że potrzebuje spoczynku. Spał aż do szóstej wieczorem i zbudził się po to, aby jedna za drugą popełniać tysiące niedorzeczności.

Naprzód zapytał, kto wpadł w wodę. Gdy mu odpowiedziano, że on sam i że ja go wyratowałem, zbliżył się ku mnie z wyrazem najłagodniejszej grzeczności i rzekł:

- W istocie, nie myślałem, że umiem tak dobrze pływać; mocno mnie to cieszy, że zachowałem królowi jednego z najdzielniejszych oficerów, gdyż senor jesteś kapitanem w gwardii wallońskiej, sam mi to powiedziałeś. a ja mam wyborną pamięć.

Towarzystwo parsknęło śmiechem, ale geometra bynajmniej się nie zmieszał i ciągle nas bawił swoimi roztargnieniami.

Kabalista również był zajęty i bezustannie tylko mówił o Żydzie Wiecznym Tułaczem, który miał mu udzielić niektórych wiadomości o dwóch szatanach, nazywających się Eminą i Zibeldą. Rebeka wzięta mnie pod rękę i odwiódszy kawalek, ażeby towarzystwo nie mogło nas słyszeć, rzekła:

- Drogą Alfonsie, zaklinam cię, powiedz mi twoje zdanie o tym wszystkim, co słyszałeś i widziałeś od czasu przybycia twego w te góry i co myślisz o tych dwóch wisielcach, którzy wyrządzają nam tyle psot.

- Sam nie wiem, co mam odpowiedzieć na to pytanie - odrzekłem. - Tajemnica, która zajmuje twego brata, jest mi zupełnie nieznaną. Co do mnie, przekonany jestem, że uszpono mnie za pomocą napoju i zaniesiono pod szubienicę. Zresztą, sama mówiłaś mi o władzy, jaką Gomelezowie skrycie sprawują w tych okolicach.

- Tak jest - przerwała Rebeka - zdaje mi się, że chcą, abyś przeszedł na wiarę Proroka i, moim zdaniem, powinienes to uczynić.

- Jak to? - zawołałem - więc i ty jesteś ich współniczką?

- Bynajmniej - odpowiedziała - ja mam własne widoki na cel; wszakże mówiłam ci, że nigdy nie pokocham żadnego z moich współwyznawców ani też chrześcijanina. Ale złączmy się z towarzystwem, kiedy indziej pomówimy o tym obszerniej.

Rebeka poszła do brata, ja zaś udałem się w przeciwną stronę i zacząłem rozmyślać nad tym wszystkim, co widziałem i słyszałem. Ale im więcej zagłębiałem się w moich myślach, tym mniej mogłem doszukać się w nich ładu.

Dzień dziewiętnasty

Całe towarzystwo wcześniej zebrało się w jaskini, sam tylko naczelnik nie przybył. Geometra był już zupełnie zdrow i, przekonany, że to on wydobył mnie z wody, spoglądał na mnie pełnym

zainteresowania wzrokiem, jakim zwykle patrzymy na tych, którym wyświadczyliśmy ważne przysługi. Rebeka zauważyła ten dziwny stan jego i mocno ją to bawiło. Po skończonym śniadaniu rzekła:

- Wiele straciliśmy na nieobecności naczelnika, gdyż umieram z ciekawości dowiedzenia się, jakim sposobem przyjął ofiarę ręki i majątku wicekróla. Wszelako ten oto szlachetny nieznajomy będzie zapewne mógł wynagrodzić naszą stratę, opowiadając nam własne przygody, które muszą być bardzo zajmujące. Zdaje się, że poświęcał się naukom niezupełnie dla mnie obcym i bez wątpienia wszystko, cokolwiek dotyczy takiego jak on człowieka, ma prawo do pilnej mojej uwagi.

- Nie sędę - odparł nieznajomy - abyś pani miała poświęcać się tymże samym naukom, gdyż kobiety zwykle nie mogą zrozumieć pierwszych ich początków; ponieważ jednak przyjęliście mnie z taką gościnnością, uwiadomienie was zatem o wszystkim, co się mnie tyczy, jest moim najświętszym obowiązkiem. Zacznę więc od oznajmienia, że nazywam się... że nazywam się... To mówiąc zaczął szukać po kieszeniach tabliczek.

- Zauważyłam wprawdzie - rzekła Rebeka - że zdradzasz senior niejaką skłonność do roztargnienia, ale nie uwierzę, iż mógłbyś być do tego stopnia roztargniony. żeby zapomnieć swego własnego nazwiska.

- Masz pani słuszność - odpowiedział geometra - z natury wcale nie jestem roztargniony, ale ojciec mój pewnego dnia przez roztargnienie podpisał nazwisko brata zamiast swego, od razu stracił żonę, majątek i stanowisko. Aby więc nie wpaść w podobny błąd, wypisałem moje nazwisko na tych oto tabliczkach i odtąd, ile razy mam podpisać się, wiernie je przepisuję.

- Ale kiedy my żądamy - rzekła Rebeka - abyś nam senior powiedział, nie zaś podpisał swoje nazwisko.

- W istocie, masz pani słuszność - odpowiedział nieznajomy i schowawszy tabliczki do kieszeni, zaczął w te słowa:

HISTORIA GEOMETRY

Nazywam się don Pedro Velasquez. Pochodzę ze słynnej rodziny margrabiów Velasquez, którzy od wynalezienia prochu wszyscy służyli w artylerii i byli najbieglejszymi oficerami, jakich Hiszpania posiadała w tej broni. Don Ramiro Velasquez, naczelny dowódca artylerii za Filipa IV, wyniesiony został do godności granda przez jego następcę. Don Ramiro miał dwóch synów, obu żonatych. Jakkolwiek wyłącznie starsza linia została przy tytule i majątku, atoli - daleka od oddania się próżniactwu dworskich urzędów - ciągle przykładała się do zaszczytnych prac, którym winna była swoje wyniesienie, i o ile możliwości zawsze i wszędzie starała się wspierać linię młodszą.

To trwało aż do don Sancha, piątego księcia Velasquez, prawnuka najstarszego syna don Ramira. Ten zacy mąż, równie jak jego przodkowie, piastował godność naczelnego dowódcy artylerii, a oprócz tego był wielkorządcą Galicji, gdzie też zwykle mieszkał. Ożenił się z córką księcia Alby, małżeństwo to było równie szczęśliwe dla niego, jak zaszczytne dla całej naszej rodziny. Wszelako nadzieje don Sancha nie ze wszystkim się urzeczywistniły. Księżna miała tylko jedną córkę imieniem

Blanka. Książę przeznaczył ją za żonę jednemu z Velasquezów z młodszej linii, na którą miała przenieść tytuł i majątek.

Ojciec mój, don Henryk, i brat jego, don Karlos, tylko co stracili swego ojca, który w tymże samym stopniu jak książę Velasquez pochodził od don Ramira. Na rozkaz księcia sprowadzono obu do jego domu. Mój ojciec miał wówczas dwanaście lat, stryj zaś jedenaście. Sposoby ich myślenia zupełnie się różniły. Ojciec był poważny, zagłębiony w naukach i nadzwyczajnie czuły, podczas gdy brat jego Karlos, lekkomyślny, trzpiotowaty, nie mógł jednej chwili wysiedzieć przy książce. Don Sancho, poznawszy te odmienne skłonności, postanowił, że mój ojciec będzie jego zięciem; żeby zaś serce Blanki nie uczyniło przeciwnego wyboru, wysłał don Karlosa do Paryża, gdzie ten miał pobierać wychowanie pod okiem hrabiego Hereiry, jego krewnego i posła naówczas we Francji.

Mój ojciec wybornymi swymi przymiotami, dobrocią serca i niezmordowaną pracą z każdym dniem zyskiwał sobie większą przychylność księcia; Blanka zaś, wiedząc o uczynionym dla niej wyborze, coraz goręcej do niego się przywiązywała. Podzielała nawet upodobania młodego kochanka i postępowała za nim z daleka na drodze nauk. Wyobraźcie sobie młodego człowieka, którego znakomite zdolności ogarniały cały obszar nauk ludzkich, w wieku gdy inni zaledwie przystępują do pierwszych początków, wyobraźcie sobie następnie tego samego młodego człowieka zakochanego w osobie równego z nim wieku, jaśniejącej niezwykłymi przymiotami umysłu, żadnej zrozumienia go i szczęśliwej z powodzeń, które zdawała się z nim podzielać, a wtedy będziecie mieli lekkie pojęcie o szczęściu, jakiego mój ojciec kosztował w tej krótkiej epoce swego życia. I dlaczegoż Blanka nie miałyby go kochać? Stary książę pysznił się nim, cała prowincja poważała go i nie miał jeszcze dwudziestu lat, kiedy sława jego przekroczyła granice Hiszpanii. Blanka kochała swego narzeczonego jedynie miłością własną, Henryk zaś, który tylko dla niej żył, kochał ją całym sercem. Dla starego księcia miał prawie równe uczucie jak dla jego córki i często z żalem myślał o nieobecności brata swego, Karlosa.

- Droga Blanko - mawiał do swojej kochanki - czy nie znajdujesz, że do zupełnego szczęścia brak nam Karlosa? Mamy tu dość pięknych panien, które mogłyby go ustalić; wprawdzie jest on lekkomyślny, rzadko kiedy do mnie pisuje, ale słodka i łagodna kobieta zdołałaby przywiązać do siebie jego serce. Kochana Blanko, ubóstwiam cię, poważam twego ojca, ale ponieważ natura obdarzyła mnie bratem, dlaczegoż przeznaczenie tak długo nas rozdziela?

Pewnego dnia książę kazał przyzwać do siebie mego ojca i rzekł mu:

- Don Henryku, w tej chwili otrzymałem od króla, naszego najmiłościwszego pana, list, który pragnę ci przeczytać. Oto są jego słowa:

Mój kuzynie!

Na ostatniej naszej radzie postanowiliśmy na podstawie nowych planów umocnić niektóre miejsca służące ku obronie naszego królestwa. Widzimy, że Europa dzieli się w zdaniach między systemami don Vau-bana i don Cohorna. Raczej użyć najbogiejszych ludzi do opracowania tego przedmiotu. Przyślij nam ich plany, a jeżeli znajdziemy takie, które potrafią nas zadowolić, autor będzie miał powierzone sobie ich wykonanie. Oprócz tego nasza królewska wspaniałość stosownie go wynagrodzi. Teraz polecamy cię łasce Stwórcy i zostajemy przychylnym ci Królem

- Cóż więc - rzekł książę - czy czujesz w sobie, kochany Henryku, siłę do wejścia w zapasy?
Uprzedzam cię, że współzawodnikami twymi będą na j bieglejsi inżynierowie nie tylko z Hiszpanii, ale z całej Europy.

Ojciec mój zamyślił się przez chwilę, po czym odpowiedział z poczuciem pewności:

- Tak jest, mości książę, i chociaż wstępuję dopiero w ten zawód, jednak wasza książęca mość może mi zaufać.

- Dobrze więc - rzekł książę - staraj się wykonać tę pracę jak będziesz mógł najlepiej, a skoro ją skończysz, nic już nie opóźni waszego szczęścia. Blanka będzie twoja.

Możecie domyślić się, z jakim zapałem ojciec mój wziął się do pracy. Dnie i noce siedział nad stolikiem, gdy zaś zmęczony umysł gwałtem dopominał się wytchnienia. przepędzał ten czas w towarzystwie Blanki, rozmawiając o swoim przyszłym szczęściu i o rozkoszy, z jaką uściska powracającego Karlosa. Tym sposobem cały rok upłynął. Nareszcie poprzysyłano mnóstwo planów z różnych stron Hiszpanii i krajów Europy. Wszystkie były opieczętowane i złożone w kancelarii księcia. Mój ojciec poznał, że należy ostatecznie wykończyć swoją pracę, i wydoskonił ją do tego stopnia, c którym mogę wam dać tylko słabe wyobrażenie. Zaczął od ustalenia głównych zasad ataku i obrony, następnie zaś wykazywał, w czym Cohorn zgadza się z tymi zasadami, i udowadniał, że zawsze, ilekroć od tych zasad odchodzi, popada w błędy. Vaubana daleko wyżej stawiał nad Cohornem, wszelako przepowiadał, że po raz drugi zmieni on swój system; jakoż późniejszy czas potwierdził jego zdanie. Wszystkie te argumenty popierała nie tylko uczona teoria, ale nadto szczegóły dotyczące sposobów wznoszenia umocnień i uwzględniające miejscowe warunki, a także kosztorysy i obliczenia matematyczne, niepojęte nawet dla ludzi najbieglejszych w nauce.

Ojciec, skończywszy ostatni wiersz swego dzieła, odkrył w nim jeszcze wiele niedokładności, których zrazu nie dostrzegł, cały więc drżący zaniósł rękopis księciu, który nazajutrz oddał mu mówiąc:

- Kochany synowcze, otrzymałeś pierwszeństwo; natychmiast prześlę twoje plany, ty zaś myśl tylko o twoim weselu, które się wkrótce odbędzie.

Ojciec w uniesieniu radości padł do nóg księcia i rzekł:

- Jaśnie oświecony książę, racz pozwolić przyjechać memu bratu, szczęście moje bowiem nie będzie zupełne, jeżeli go nie uściskam po tak długim rozłączeniu.

Książę zmarszczył brwi i odpowiedział:

- Przewiduję, że Karlos będzie nam suszył głowy wychwalaniami wspaniałości dworu Ludwika XIV, ale ponieważ prosisz mnie o to, poślę więc po niego.

Ojciec ucałował ręce księcia i poszedł do swojej narzeczonej. Odtąd nie zajmował się więcej geometrią i miłość zapełniała wszystkie chwile jego życia i władze jego duszy.

Tymczasem król, któremu sprawa fortyfikacji leżała na sercu, rozkazał, aby przeczytano i zgłębiono wszystkie plany. Praca mego ojca jednomyślnie została przyjęta. Niebawem ojciec otrzymał list od ministra, w którym ten wyrażał mu najwyższe zadowolenie i z polecenia króla zapytywał, jakim sposobem pragnie być wynagrodzony. W liście skierowanym do księcia minister dawał do

zrozumienia, że młody człowiek zapewne mógłby otrzymać stopień pierwszego pułkownika artylerii, gdyby go zażądał.

Ojciec zaniósł list księciu, który mu nawzajem swój przeczytał, wszelako oświadczył, że nie ośmieli się nigdy przyjąć stopnia, na który, według swego mniemania, dotąd nie zasłużył, i błagał księcia, aby w jego imieniu chciał odpowiedzieć ministrowi.

Księżę odmówił mu:

- Do ciebie - rzekł - minister pisał i ty powinienes mu odpowiedzieć. Bez wątpienia minister ma w tym swoje przyczyny, poniewaz zaś w liście do mnie pisanym nazywa cię młodym człowiekiem, zapewne młodość twoja zajęła króla, któremu chce przedstawić własnoręczny list młodzieńca pełnego nadziei. Zresztą, potrafimy napisać ten list bez wielkiej zarozumiałości.

To mówiąc księżę siadł do stolika i zaczął pisać w te słowa:

JWPanie!

Zadowolenie JKMości, oświadczone mi przez JW Pana, jest nagrodą wystarczającą dla każdego dobrze urodzonego Kastylijczyka. Jednakowoż, ośmielony Jego dobrocią, poważam się upraszać JKMość o potwierdzenie mego małżeństwa z Blanką Velasquez, dziedziczką majątków i tytułów naszego domu.

Taka zmiana stanu w niczym nie osłabi mojej gorliwości w służeniu krajowi i monarsze. Zbyt będę szczęśliwy, jeżeli kiedyś przez moją pracę potrafię sobie zasłużyć na godność pierwszego pułkownika artylerii, którą wielu moich przodków z zaszczytem piastowało.

JWPana etc.

Ojciec podziękował księciu za trud, jaki sobie zadał napisaniem listu, poszedł do siebie, przepisał go słowo w słowo, ale w chwili, gdy miał go podpisywać, usłyszał głos wołający na podwórzu:

- Don Karlos przyjechał! Don Karlos przyjechał!

- Kto? mój brat? gdzie jest? niech go uściskam!

- Racz dokończyć listu, don Henryku - rzekł mu goniec, który miał natychmiast wyjeżdżać do ministra. Ojciec, przepełniony radością z przybycia brata i naglony przez gońca, zamiast "don Henryk", podpisał "don Karlos Velasquez", zapieczętował list i pobiegnął przywitać się z bratem.

W istocie, obaj bracia czule się uściskali, ale don Karlos, odskakując w tył, zaczął śmiać się na całe gardło i rzekł:

- Kochany Henryku, podobny jesteś jak dwie krople wody do Scaramuccia w komedii włoskiej: kreza twoja obejmuje ci podbródek jak miska do golenia brody. Pomimo to kocham cię zawsze. A teraz chodźmy do starego pocziwca.

Weszli razem do starego księcia, którego Karlos mało nie udusił w swych uściskach, według zwyczaju panującego wówczas na dworze francuskim, po czym rzekł do niego:

- Drogi stryju, pocziwina ambasador dał mi list do ciebie, ale postarałem się zgubić go u mego łaźniennika. Zresztą mniejsza o to, Gramont, Roquelaure i wszyscy starzy serdecznie cię całują.

- Ależ mój drogi synowcze - przerwał księżę - ja nie znam żadnego z tych panów.

- Tym gorzej dla ciebie - mówił dalej Karlos - są to bardzo przyjemni ludzie. Ale gdzież jest moja przyszła bratowa? Musiała od tego czasu szalenie wypięknąć.

W tej chwili weszła Blanka. Don Karlos zbliżył się do niej poufale i rzekł:

- Boska moja bratowo, nasze paryskie zwyczaje pozwalają nam całować piękne kobiety - i to mówiąc pocałował ją w twarz ku wielkiemu zdziwieniu don Henryka, który widywał Blankę otoczoną zawsze orszakiem kobiet i nie ośmielił się nigdy pocałować nawet rąbka jej sukni.

Karlos powiedział jeszcze tysiąc niedorzecznych rzeczy, które szczerze zmartwiły don Henryka i zgrozą przejęły starego księcia. Nareszcie stryj rzekł mu surowo:

- Idź i przebierz się z twoich podróжных sukni; tego wieczora mamy u nas bal. Pamiętaj, że co za górami uważają za grzeczność, to u nas uchodzi za zuchwalstwo.

- Drogi stryju - odpowiedział Karlos, wcale nie zmieszany - ubiorę się w nowy strój, który Ludwik XIV wymyślił dla swoich dworzan, a wtedy przekonasz się, jak monarcha ten wielki jest w każdym calu.

Zamawiam moją piękną kuzynkę do sarabandy; jest to taniec hiszpański, ale zobaczycie, jak Francuzi go wydoskonalili.

Po tych słowach Don Karlos wyszedł, nucąc jakąś arię Lullyego. Brat jego, mocno zmartwiony tą lekkomyślnością, chciał uniewinnić go przed księciem i Blanką, ale na próżno, gdyż stary księżę zbyt już był do niego uprzedzony, Blanka zaś nie brała mu niczego za złe.

Gdy bal się rozpoczął, Blanka ukazała się wystrojona nie po hiszpańsku, ale z francuska. Zdziwiło to wszystkich, chociaż utrzymywała, że dziad jej, ambasador, przysłał jej tę suknię przez don Karlosa. Wszelako tłumaczenie to nie zadowoliło nikogo i zdumienie było ogólne.

Don Karlos długo kazał na siebie czekać, nareszcie wszedł, wystrojony wedle zwyczaju przyjętego na dworze Ludwika XIV. Miał na sobie niebieski kaftan, cały haftowany srebrem, szarfę i wypustki z białego, równie ozdobnego atłasu, kołnier z koronek alensońskich, na koniec niezmiernej wielkości jasną perukę. Strój ten, wspaniały sam przez się, jeszcze świetniejszy się wydawał pośród biednych ubiorów, jakie ostatni nasi królowie z domu austriackiego zaprowadzili w Hiszpanii. Nie noszono już nawet krezy, która cokolwiek przynajmniej dodawała mu wdzięku, i zastąpiono ją prostym kołnierzem, jakiego dziś używają alguacilowie i prawnicy. W istocie, jak to trafnie powiedział don Karlos, ubiór ten zupełnie przypominał strój Scaramuccia.

Nasz trzpiot, odróżniający się od młodzieży hiszpańskiej swoim strojem, jeszcze więcej odznaczył się sposobem, jakim wszedł na bal. Zamiast głębokiego ukłonu lub uczynienia komu jakiegokolwiek grzeczności, z przeciwnego końca sali zaczął krzyczeć na muzykantów.

- Hola, łotry! uciszcie się! Jeżeli mi będziecie co innego grać jak moją sarabandę, potłukę wam skrzypce na uszach!

Następnie rozdał im nuty, które z sobą przyniósł, poszedł po Blankę i wyprowadził ją na środek sali, gdzie mieli razem tańczyć. Mój ojciec przyznaje, że don Karlos tańczył nieporównanie. Blanka zaś, z natury nader zgrabna, przewyższyła tym razem samą siebie. Po skończeniu sarabandy wszystkie damy powstały, aby powinszować Blance wdzięku, z jakim tańczyła. Wszelako, chociaż do niej niby stosowały te grzeczności, przecież ukradkiem spoglądały na Karlosa, jak gdyby chciały mu dać poznać, że jest właściwym przedmiotem ich uwielbienia. Blanka pojęła doskonale ukrytą myśl i tajemne hołdy kobiet podniosły w jej oczach zasługę młodego człowieka.

Przez cały czas balu Karlos na chwilę nie opuścił Blanki, a skoro brat jego przybliżył się do nich, mówił mu:

- Henryku, mój przyjacielu, idź rozwiązać jakie zadanie algebraiczne, będziesz miał dość czasu nudzić Blankę, jak zostaniesz jej mężem.

Blanka niepowstrzymanym śmiechem podniecała te zuchwalstwa i biedny don Henryk, cały zmieszany, odchodził.

Gdy dano znak do wieczerzy, Karlos podał rękę Blance i zasiadł z nią przy stole na najwyższym miejscu. Księżę zmarszczył brwi, ale don Henryk uprosił go, aby przebaczył na ten raz bratu.

Podczas wieczerzy don Karlos opowiadał towarzystwu o uroczystościach wyprawianych przez Ludwika XIV, nade wszystko zaś o balecie pod tytułem "Miłostki na Olimpie", w którym sani monarcha grał rolę słońca, po czym dodał, że pamięta ten balet wybornie i że Blanka byłaby zachwycająca w roli Diany. Rozdał więc wszystkim role i zanim wstano od stołu, balet Ludwika XIV był już zupełnie ułożony. Don Henryk opuścił bal. Blanka nie spostrzegła nawet jego nieobecności. Nazajutrz z rana mój ojciec poszedł odwiesić Blankę i zastał ją powtarzającą z Karlosem scenę nowego baletu. Tak upłynęły trzy tygodnie. Księżę stawał się coraz kwaśniejszy, Henryk tłumił swoją boleść, Karlos zaś wygadywał niestworzone rzeczy, które damy z towarzystwa uważały za wyroczenie.

Obyczaje paryskie i balet Ludwika XIV tak dalece zawróciły głowę Blance, że nie wiedziała, co się koło niej dzieje.

Pewnego dnia, przy obiedzie, księżę otrzymał depeszę z dworu. Był to list od ministra, zawarty w tych słowach:

Jaśnie Oświecony Księżę!

JKMość, najmiłościwszy nasz pan, zgadza się na małżeństwo córki Twojej z don Karlosem Velasquez, nadto potwierdza mu tytuł granda i mianuje pierwszym pułkownikiem artylerii.

Najniższy sługa etc.

- Co to ma znaczyć? - zawołał księżę w największym gniewie. - Skąd w tym liście wzięło się imię Karlosa, gdy ja Henrykowi przeznaczyłem Blankę za żonę?

Mój ojciec prosił księcia, aby raczył cierpliwie go wysłuchać, i rzekł:

- Nie wiem, mości księżę, jakim sposobem imię Karlosa w tym liście znalazło się zamiast mego, ale jestem pewny, że brat mój wcale się do tego nie mieszał. Ostatecznie, nikt tu nie jest winny i snadź ta zmiana imienia jest zrzędzeniem Opatrzności. W istocie, sam księżę zapewne raczyłeś już spostrzec,

że Blanka nie ma ku mnie żadnej skłonności i że, przeciwnie, wcale nie jest obojętna dla Karlosa. Niechże więc jej ręka, osoba, tytuły i majątek jemu się dostaną. Ja zrzekam się wszystkich moich praw.

Księżę obrócił się do córki i rzekł:

- Blanco! Blanco! Byłabyś istotnie tak lekkomyślna i zdradliwa?

Blanka rozpląkała się, zemdląła i na koniec wyznała swoją miłość dla Karlosa.

Księżę w rozpaczy rzekł do mego ojca:

- Drogi Henryku, chociaż brat twój wydarł ci kochankę, nie może jednak pozbawić cię godności pierwszego pułkownika artylerii, do której przyłączę pewną część mego majątku.

- Przebac, księżę - odrzekł don Henryk - ale majątek twój w całości należy do twojej córki, co zaś do godności pierwszego pułkownika, król słusznie uczynił, oddając ją memu bratu, gdyż ja w teraźniejszym stanie umysłu nie jestem zdolny piastować ani tego, ani żadnego innego stopnia. Pozwól, księżę, abym oddalił się w jakie święte schronienie, u stóp ołtarzy ukoił moją boleść i ofiarował ją temu, który tyle za nas wycierpiał.

Mój ojciec opuścił dom księcia i wstąpił do klasztoru kamedułów, gdzie przywdział habit nowicjusza. Don Karlos pojął Bankę, wesele jednak odbyło się bez żadnej świetności. Sam księżę nie był na nim obecny. Blanka, wtrąciwszy w rozpacz swojego ojca, martwiła się nieszczęściami, jakich była powodem; Karlos nawet, pomimo zwykłej lekkomyślności, zmieszany był tym powszechnym smutkiem.

Wkrótce księżę zapadł na podagrę i czując, że niewiele mu pozostaje chwil do życia, poszedł do kamedułów, pragnąc raz jeszcze ujrzeć kochanego swego Henryka. Alvarez, marszałek księżęcego domu, przybył do klasztoru i wypełnił dane mu polecenie. Kameduli, stosownie do reguły, zabraniającej im mówić, nie odpowiedzieli ani słowa, ale zaprowadzili go do celi Henryka. Alvarez zastał go leżącego na słomie, okrytego łachmanami i przez pół ciała przykutego łańcuchem do ściany.

Mój ojciec poznał Alvareza i rzekł:

- Przyjacielu, jak ci się podobała sarabanda, którą tańczyłem wczoraj? Sam Ludwik XIV był z niej zadowolony, szkoda tylko, że muzykanci niegodziwie grali. A Blanka co mówi o tym?... Blanka! Blanka!... Nieszczęśliwy, odpowiadaj!...

Tu ojciec mój wstrząsnął łańcuchami, zaczął gryźć sobie ręce i wpadł w niepomiarkowany napad szaleństwa. Alvarez wyszedł, zalewając się łzami i opowiedział księciu smutny widok, jaki się jego oczom przedstawił.

Nazajutrz podagra weszła księciu w żołądek i zwątpiono o jego życiu. Na chwilę przed śmiercią obrócił się do córki i rzekł:

- Blanco! Blanco! Henryk wkrótce się ze mną złączy. Przebaczymy ci - bądź szczęśliwa.

Te jego ostatnie słowa wpoily się w duszę Blanki i zaprawiły ją trucizną wyrzutów. Niebawem wpadła w głęboką melancholię.

Młody książę niczego nie szczędził dla rozweselenia swojej małżonki, ale nie mogąc nic wskórać, zostawił ją jej smutkowi. Sprowadził z Paryża sławną zalotnicę, nazwiskiem Lajardin, Blanka zaś oddaliła się do klasztoru. Stopień pierwszego pułkownika artylerii nie był dla niego stosowny, przez jakiś czas starał się go sprawować, ale nie mogąc zaszczytnie pełnić obowiązków, posłał królowi swoją dymisję i prosił go o jaki urząd przy dworze. Król ustanowił go wielkim szatnym koronnym i książę wraz z panną Lajardin przeniósł się do Madrytu.

Mój ojciec przepędził u kamedułów trzy lata, podczas których zacni zakonnicy za pomocą najgorliwszych starań i anielskiej cierpliwości przywrócili go na koniec do zdrowia. Następnie udał się do Madrytu i poszedł do ministra. Wprowadzono go do gabinetu, gdzie dygnitarz odezwał się do niego w te słowa:

- Sprawa twoja, don Henryku, doszła do wiadomości króla, który mocno rozgniewał się na mnie i na moich urzędników za tę pomyłkę. Szczęściem, posiadałem jeszcze twój list z podpisem don Karlosa. Oto go jeszcze mam; racz mi teraz powiedzieć, dlaczego nie podpisałeś własnego imienia.

Mój ojciec wziął list, poznał swoje pismo i rzekł:

- Przypominam sobie, że w chwili gdy podpisywałem ten list, doniesiono mi o przybyciu mego brata; radość doznana z tego powodu była zapewne przyczyną mojej pomyłki. Wszelako nie błędem winienem oskarżać o moje nieszczęścia. Gdyby nawet patent na pułkownika był wydany na moje nazwisko, nie byłbym w stanie piastować tej godności. Dziś odzyskałem dawne siły umysłu i czuję się zdolny do pełnienia obowiązków, jakie JKMOść wówczas mi naznaczał.

- Drogą Henryku - odparł minister - projekty fortyfikacji wpadły w wodę, a my na dworze nie zwykliśmy odświeżać zapomnianych rzeczy. Mogę ci ofiarować jedynie posadę komendanta Ceuty. W tej chwili mam to tylko miejsce do rozporządzenia. Jeżeli zechcesz je przyjąć, musisz odjechać, nie widząc się z królem. Wyznaję, że urząd ten nie odpowiada twoim zdolnościom, nadto pojmuję, że w twoim wieku przykro jest osiedlać się na opuszczonej afrykańskiej skale.

- Właśnie ta ostatnia przyczyna - odrzekł ojciec - sprawia, iż upraszam o udzielenie mi tego miejsca. Spodziewam się, że porzucając Europę, wymknę się losowi, który mnie prześladowa. W drugiej części świata stanę się innym człowiekiem i pod wpływem przyjaźniejszych gwiazd odzyskam szczęście i spokój.

Ojciec mój, otrzymawszy nominację, zajął się przygotowaniem do podróży, wsiadł na okręt w Algeciras i szczęśliwie wylądował w Ceucie. Cały przejęty radością, stanął na obcej ziemi z uczuciem, jakiego doświadcza żeglarz, gdy staje w porcie po straszliwej burzy.

Nowy komendant usiłował naprzód dokładnie poznać swoje obowiązki, nie tylko po to, żeby móc je spełniać, ale żeby je spełniać w miarę możliwości jak najlepiej; co zaś do fortyfikacji, nad tymi nie potrzebował pracować, Ceuta bowiem przez samo swoje położenie przedstawiała dostateczną obronę przeciw napadom berberyjskim. Natomiast wszystkie siły swego umysłu zwrócił ku polepszeniu losu załogi i mieszkańców oraz pomnożeniu przyjemności ich życia. Sam odrzucił wszelkie materialne korzyści, jakimi zwykle nie gardził żaden z poprzedzających go dowódców. Cała osada ubóstwiała go też za to postępowanie. Oprócz tego ojciec troskliwie opiekował się więźniami stanu, powierzonymi jego straży, i często zbacał z surowej drogi przepisów, bądź to ułatwiając im przesyłki listów do rodzin, bądź też nastęrcząc im rozmaite rozrywki.

Gdy wszystko w Ceucie szło już wedle należytego porządku, ojciec znowu wziął się do pracy nad naukami ścisłymi. Dwaj bracia Bernouilli napełniali wówczas uczonego świat odgłosem swych sprzeczek. Mój ojciec nazywał ich żartobliwie Eteoklesem i Polinikiem, w duszy jednak szczerze był nimi zajęty. Często mieszał się do walki, przesyłając bezimienne pisma, które jednemu z dwóch stronnictw dostarczały niespodziewanych posiłków. Gdy wielkie zagadnienie izoperymetryczne przedstawiono pod roztrząśnienie czterech najznakomitszych europejskich geometrów, ojciec mój przesłał im metody analizy, które można uważać za arcydzieła pomysłowości; ale nikt nie przypuścił, żeby autor chciał zachować incognito, i przypisywano je raz jednemu, to znów drugiemu bratu. Myłono się, ojciec mój lubił nauki, nie zaś sławę, jaką one przynoszą.

Doznane nieszczęścia uczyniły go dzikim i bojaźliwym.

Jakub Bernouilli umarł w chwili, gdy miał odnieść stanowcze zwycięstwo, plac boju został się przy jego bracie. Mój ojciec wiedział dobrze, że ów brat popełnia błąd, uwzględniając dwa tylko pierwiastki w liniach krzywych, wszelako nie chciał przedłużyć walki, która niepokoiła cały uczonego świat. Tymczasem Mikołaj Bernouilli nie mógł spokojnie usiedzieć, wypowiedział wojnę margrabiemu de L'Hospital, roszcząc prawo do wszystkich jego odkryć, w kilka zaś lat potem uderzył nawet na Newtona. Przedmiotem tych nowych waśni był rachunek nieskończoności, który Leibniz wynalazł był w tym samym czasie co i Newton i który Anglicy podnieśli do godności sprawy narodowej.

Tym sposobem ojciec mój przepędził najpiękniejsze lata swego życia na przypatrywaniu się z daleka tym wielkim walkom, w których najznakomitsze ówczesne umysły stawały do boju z bronią tak ostrą, na jaką tylko geniusz ludzki może się zdobyć. Jednakże przy zamiłowaniu swoim do nauk ścisłych wcale nie zaniedbywał innych gałęzi umiejętności. Na skałach Ceuty znajdowało się mnóstwo zwierząt morskich, które w naturze swej nader zbliżają się do roślin i stanowią przejście między dwoma tymi królestwami. Mój ojciec miał ich zawsze kilka pozamykanych w stojach i z upodobaniem obserwował cudowność ich organizmów. Oprócz tego zgromadził wyczerpujący zbiór dzieł starożytnych dziejopisarzy; zaopatrzył się w ten zbiór, aby poprzeć dowodami, wyciągniętymi z faktów, zasady prawdopodobieństwa, wyłożone przez Bernouilliego w jego dziele pod tytułem *Ars coniectandi*.

Tak więc mój ojciec, żyjąc tylko myślą, przechodząc kolejno z badania do rozmyślenia, prawie nigdy nie wychodził z domu; nadto, dzięki nieustannemu natężeniu umysłu, zapomniał o tej strasznej epoce swego życia, w której nieszczęścia przywalały jego rozum. Czasami jednak serce domagało się swoich praw, co zwykle działo się nad wieczorem, gdy umysł był już zmęczony całodzienną pracą. Wtedy, nie przyzwyczajony szukać rozrywek poza domem, wstępował na belweder, spoglądał na morze i widnokrąg, opierający się z dala na ciemnym pasku brzegów Hiszpanii. Widok ten przypominał mu dni sławy i szczęścia, gdy kochany przez rodzinę, ubóstwiany przez kochankę, poważany przez najznakomitszych w kraju mężów, z duszą rozplamioną młodzieńczym zapałem, rozjaśnioną światłem dojrzałego wieku, oddychał wszystkimi uczuciami stanowiącymi rozkosz życia i zagłębiał się nad badaniem prawd przynoszących zaszczyt umysłowi ludzkiemu. Później wspominał brata, który porwał mu kochankę, majątek, godność i zostawił go obłąkanego na garści słomy. Czasami chwycił za skrzypce i grał nieszczęsną sarabandę, która zjednała Karlosowi serce Blanki. Na głos tej muzyki zalewał się łzami i wtedy dopiero czuł ulgę w sercu. Tak przepędził piętnaście lat.

Pewnego dnia królewski namiestnik Ceuty, pragnąc widzieć się z moim ojcem, wszedł do niego wieczorem i zastał go pogrążonego w zwykłej tęsknocie. Pomyślawszy przez chwilę, rzekł:

- Kochany nasz komendancie, racz posłuchać z uwagą kilku moich słów. Jesteś nieszczęśliwy, cierpisz, nie jest to tajemnicą, wszyscy o tym wiemy, i moja córka wie to także. Miała pięć lat, gdy przybyłeś do Ceuty, i odtąd nie minął jeden dzień, żeby nie słyszała ludzi mówiących o tobie z uwielbieniem, gdyż w istocie jesteś bóstwem opiekuńczym naszej małej osady. Często mówiła do mnie: "Kochany nasz komendant dlatego tak cierpi, że nikt nie podziela jego zmartwień". - Don Henryku, daj się namówić, przyjdź do nas, to cię więcej rozerwie aniżeli to ciągłe rachowanie wałów morskich.

Mój ojciec pozwolił zaprowadzić się do Inezy de Cadanza, ożenił się z nią w sześć miesięcy potem, w dziesięć zaś po ich małżeństwie ja przyszedłem na świat. Gdy słaba moja osoba ujrzała światło słoneczne, ojciec wziął mnie na ręce i wznosząc oczy ku niebu, rzekł:

- O niezmierna potęgo, posiadająca nieskończoność za wykładnik, ostatni wyrazie wszystkich rosnących postępów - Boże wielki - oto jeszcze jedno czułe stworzenie rzucone w przestrzeń; jeżeli jednak ma być tak nieszczęśliwe, jak jego ojciec, niech raczej dobroć twoja napiętnuje je znakiem odejmowania.

Skończywszy tę modlitwę, ojciec uściskał mnie z radością, mówiąc:

- Nie, biedne moje dziecię, nie będziesz tak nieszczęśliwe, jak twój ojciec, przysięgam na święte imię Boga, że nigdy nie każę uczyć cię matematyki, natomiast wyćwiczysz się w sarabandzie, baletach Ludwika XIV i wszystkich nedorzecznosciach i zuchwalstwach, o jakich gdziekolwiek usłyszę.

Po tych słowach ojciec oblał mnie rzewnymi łzami i oddał akuszerce.

Proszę was teraz, abyście raczyli zwrócić uwagę na dziwne moje przeznaczenie. Ojciec przysięga, że nigdy nie będę uczył się matematyki, natomiast będę umiał tańczyć. Tymczasem dzieje się zupełnie przeciwnie. Dziś posiadam głębokie wiadomości w naukach ścisłych, nigdy zaś nie mogłem nauczyć się, nie mówię sarabandy, która dziś już nie jest w zwyczaju, ale żadnego innego tańca. W istocie, nie pojmuję, jakim sposobem można spamiętać figury kontredansa. Żadna z nich nie tworzy się z jednego ogniska ani też podług stale przyjętych zasad, żadna nie może być przedstawiona przez formułę i nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem znajdują się ludzie, którzy wszystkie umieją na pamięć.

Gdy tak don Pedro Velasquez rozповідаł nam swoje przygody, naczelnik Cyganów wszedł do jaskini i rzekł, że sprawy hordy wymagają śpiesznego wyruszenia w podróż i zapuszczenia się w pasmo Alpuhary.

- Dzięki Najwyższemu! - odparł kabalista. - Tym sposobem prędzej jeszcze ujrzemy Żyda Wiecznego Tułacza, ponieważ zaś nie wolno mu odpoczywać, przeto uda się z nami w pochód i tym więcej skorzystamy z rozmowy. Widział on bardzo wiele rzeczy, niepodobna zaś mieć więcej od niego doświadczenia.

Następnie naczelnik Cyganów odwrócił się do Velasqueza i rzekł:

- Ty zaś, senor, czy zechcesz pójść z nami, czy też wolisz, aby ci dodano straż, która przeprowadzi cię do najbliższego miasta?

Velasquez zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Zostawiłem niektóre ważne papiery przy łóżku, na którym onegdaj zasnąłem, zanim obudziłem się pod szubienicą, gdzie mnie znalazł senior, który jest kapitanem w gwardii wallońskiej. Racz łaskawie posłać do Venta Quemada. Jeżeli nie odzyskam moich papierów, nie mam po co jechać dalej i muszę powracać do Ceuty. Przez ten czas, jeżeli pozwolisz, mogę podróżować z wami.

- Wszyscy moi ludzie są na pańskie rozkazy - rzekł Cygan - natychmiast poślę kilku do venty, złączą się z nami na pierwszym noclegu.

Zebrano namioty, ruszyliśmy w pochód i ujechawszy cztery mile, rozstasowaliśmy się na nocleg na jakimś pustym wierzchołku góry.

Dzień dwudziesty

Przepędziliśmy poranek w oczekiwaniu na ludzi, których naczelnik wysłał po papiery Velasqueza do venty, i zdjęci mimowolną ciekawością wpatrywaliśmy się w drogę, którą mieli powracać. Sam tylko Velasquez, znalazłszy na pochyłości skały kawał tablicy szyfrowej, wygładzonej przez deszcz, pokrył ją cyframi, iksami i ypsylonami.

Napisawszy mnóstwo liczb, zwrócił się do nas i zapytał, dlaczego tak się niecierpliwimy. Odpowiedzieliśmy, że powodem tego są jego papiery, które nie przybywają. Odrzekł nam, że to niecierpliwienie się o jego papiery dowodzi dobroci naszych serc i że jak tylko skończy swoje rachunki, przyjdzie niecierpliwic się razem z nami. Po czym dokończył swoich równań i zapytał, na co czekamy z dalszą podróżą.

- Ależ, senior geometro, don Pedro Velasquez - rzekł kabalista - jeżeli sam nigdy się nie niecierpliwiłeś, musiałeś czasami stan ten spostrzegać u innych?

- W istocie - odparł Velasquez - często spostrzegałem niecierpliwłość i zawsze sądziłem, że musi to być nieprzyjemne uczucie, wzrastające z każdą chwilą, ale tak, że nigdy nie można dokładnie oznaczyć prawa tego postępu. Jednakowoż można ogólnie powiedzieć, że pozostaje ono w stosunku przeciwnym do siły bezwładności. Stąd ja, będąc od was dwa razy trudniejszym do wzruszenia, dopiero za godzinę będę miał jeden stopień niecierpliwłości, wtedy gdy wy staniecie już na drugim. Rozumowanie to da się zastosować do wszystkich namiętności, które można uważać za siły poruszające.

- Zdaje mi się, senior - rzekła Rebeka - że doskonale znasz sprężyny serca ludzkiego i że geometria jest najpewniejszą drogą do szczęścia.

- To poszukiwanie szczęścia - odparł Velasquez - według mego zdania, może być uważane za rozwiązywanie równania najwyższego stopnia. Znasz pani ostatni wyraz i wiesz, że jest iloczynem wszystkich pierwiastków, ale zanim wyczerpiesz dzielniki, przychodzisz do liczb urojonych. Tymczasem dzień mija w ciągłej rozkoszy rachowania i obliczania. Tak samo jest z życiem: przychodzisz także do ilości urojonych, które brałaś za rzeczywistą wartość, ale tymczasem żyłaś, a nawet działałaś. Działanie zaś jest powszechnym prawem natury. W niej nic nie próżnuje. Zdaje ci się,

że ta skała spoczywa, gdyż ziemia, na której leży, wywiera oddziaływanie wyższe od jej ciśnienia, ale gdybyś pani mogła podłożyć nogę pod skałę, natychmiast przekonałabyś się o jej działalności.

- Ale uczucie nazywane miłością - rzekła Rebeka - czyż także może być ocenione za pomocą rachunku? Tak na przykład zapewniają, że ścisłość pożycia zmniejsza miłość w mężczyznach, gdy tymczasem w kobietach ją powiększa. Czy możesz mi to se-nor wytłumaczyć?

- Zagadnienie, które pani mi podajesz - odpowiedział Velasquez - dowodzi, że jedna z dwóch miłości bieży w postępie rosnącym, druga zaś w malejącym. Tym sposobem musi znaleźć się taka chwila, w której kochankowie będą zupełnie jednakowo się kochali. Odtąd kwestia wchodzi w teorię de maximi set minimi zagadnienie może być wyobrażone pod postacią linii krzywej. Wymyśliłem nader przyjemne rozwiązanie dla wszelkich zagadnień tego rodzaju. Przypuśćmy na przykład, że x...

Gdy Velasquez właśnie przyszedł do tego miejsca swej analizy, spostrzeżono wysłańców powracających z venty. którzy przynosili papiery. Velasquez wziął je, przejrzał z uwagą i rzekł:

- Odzyskałem wszystkie moje papiery, wyjąwszy jednego, który wprawdzie nie jest mi nader potrzebny, ale który mocno mnie zajmował podczas nocy, zakończonej pod szubienicą. Mniejsza o to, nie chcę was bynajmniej zatrzymywać.

Ruszyliśmy w drogę i posuwaliśmy się przez znaczną część dnia. Gdyśmy się zatrzymali, towarzystwo zebrało się w namiocie naczelnika i po wieczerzy prosiło go, aby raczył dalej ciągnąć opowiadanie swoich przygód., co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Zostawiliście mnie ze straszliwym wicekrólem, który mi rozpowiadał o stanie swego majątku.

- Pamiętam bardzo dobrze - rzekł Velasquez - majątek ten wynosił sześćdziesiąt milionów dwadzieścia pięć tysięcy sto sześćdziesiąt jeden piasstrów.

- Nie inaczej - odpowiedział Cygan, po czym tak dalej mówił:

- Jeżeli wicekról przestraszył mnie w pierwszej chwili spotkania, uląkłem się jeszcze bardziej, gdy mi oznajmił, że wykłuto mu igłą węża. który owijał jego ciało szesnaście razy i kończył się na wielkim palcu u lewej nogi. Nie zważałem więc na to wszystko, co mi mówił o swoim majątku, ale natomiast ciotka Torres zebrała całą odwagę i rzekła:

- Majątek twój, Jaśnie Oświecony Panie, jest zapewne wielki, ale też i dostatki tej oto młodej osoby muszą być znaczne.

- Hrabia Rovellas - odparł wicekról - rozrzutnością swoją głęboką szczerbę uczynił w swoim majątku i chociaż podjąłem się wszystkich kosztów procesu, mogłem jednak wydobyć tylko szesnaście plantacji w Hawanie, dwadzieścia dwie akcje kopalni srebra w Sanlucar, dwanaście - w spółce filipińskiej, pięćdziesiąt sześć - w Asiento i niektóre inne drobne papiery wartościowe. Dziś więc cała suma wynosi zaledwie, mniej więcej, dwadzieścia siedem milionów piasstrów.

Tu wicekról przyzwał swego sekretarza, kazał mu przynieść szkatułkę z kosztownego indyjskiego drzewa i ukląkłszy na jedno kolano, rzekł:

- Córko zachwycającej matki, której nie przestałem dotąd uwielbiać, racz przyjąć owoc trzynastoletnich trudów, gdyż tyle czasu potrzebowałem na wydobycie tego dobra z rąk twoich chciwych krewnych.

Z początku chciałem przyjąć szkatułkę z wdzięcznym uśmiechem, ale myśl, że u moich nóg klęczy człowiek, który rozbił tyle głów indiańskich, przy tym wstyd odgrywania roli przeciwnej mojej płci, nareszcie sam nie wiem jakie pomieszanie sprawiło, że ledwie nie postradałem zmysłów. Ale ciotka Torres, której odwagę dziwnie wzmoгло owe dwadzieścia siedem milionów piastrów, pochwytiła mnie w objęcia i porywając szkatułkę gestem może nieco zbyt niepowstrzymanej chciwości, rzekła do wicekróla:

- Jaśnie Oświecony Panie, ta młoda osoba nigdy nie widziała klęczącego przed sobą mężczyzny. Racz pozwolić, aby oddaliła się do swoich pokojów.

Wicekról pocałował mnie w rękę, a następnie, ofiarując ramię, zaprowadził do moich pokojów. Znalazłszy się sami, zamknęliśmy drzwi na dwa rygle i tu dopiero ciotka Torres oddała się uniesieniom najwyższej radości, całując po tysiąc razy szkatułkę i dziękując niebu za zapewnienie Elwirze nie tylko przyzwoitego, ale i świetnego losu.

Wkrótce potem zastukano do naszych drzwi i wszedł sekretarz wicekróla wraz z urzędnikiem sądowym. Spisali papiery znajdujące się w szkatułce i zażądali od ciotki Torres świadectwa, że je odebrała. Co do mnie zaś, dodali, to ponieważ jestem małoletnia, podpis mój nie jest wcale potrzebny.

Zamknęliśmy się znowu i rzekłem do obu ciotek:

- Wprawdzie los Elwiry jest już zabezpieczony, ale trzeba jeszcze pomyśleć, jak wprowadzić fałszywą pannę Rovellas do teatynów i gdzie szukać prawdziwej.

Zaledwie wymówiłem te słowa, gdy obie damy zaczęły gorzko narzekać. Ciotce Dalanosa zdawało się, że już mnie widzi w rękach oprawców, pani de Torres zaś drżała o swego syna i siostrzenicę na myśl o niebezpieczeństwach, jakie zagrażały biednym dzieciom, błędzącym bez schronienia i pomocy. Wszyscy w głębokim smutku rozeszliśmy się na spoczynek. Długo myślałem nad sposobami wydobycia się z kłopotu; mogłem uciec, ale wicekról natychmiast wysłałby za mną pogoń. Zasnąłem, nie znalazłszy żadnego środka, a tymczasem byliśmy tylko o pół dnia oddaleni od Burgos.

Położenie moje stawało się coraz bardziej kłopotliwe; wszelako trzeba było nazajutrz wsiąść do lektyki. Wicekról galopował przy moich drzwiczkach, łagodząc zwykłą surowość rysów sam nie wiem jakimi czułymi uśmiechami, których widok krew mi ziębił w sercu. Tak przybyliśmy do ocienionego źródła, gdzie zastaliśmy posiłek przygotowany dla nas przez mieszczan z Burgos.

Wicekról wysadził mnie z lektyki, ale zamiast poprowadzić na miejsce, gdzie był stół nakryty, odłączył się od towarzystwa, posadził mnie w cieniu i siadłszy obok, rzekł:

- Zachwycająca Elwiro, im więcej mam szczęście zbliżyć się do ciebie, tym bardziej przekonywam się, że niebo przeznaczyło cię na ozdobienie wieczoru życia burzliwego, poświęconego dla dobra

kraju i stawy mego króla. Zapewniłem Hiszpanii posiadanie Archipelagu Filipińskiego, odkryłem połowę Nowego Meksyku i przymusiłem do posłuszeństwa niespokojne plemiona Inków. Ciągłe tylko walczyłem o życie: z falami oceanu, zmiennością klimatu lub zjadliwymi wyziewami otwieranych przeze mnie kopalni. I któż mi wynagrodzi najpiękniejsze lata mego życia? Mogłem poświęcić je spoczynkowi, słodkim uniesieniom przyjaźni lub uczuciom stokroć jeszcze przyjemniejszym. Jakkolwiek potężny jest król Hiszpanii i Indii, przecież cóż może dla wynagrodzenia mnie uczynić? Ta nagroda spoczywa w twoich rękach, nieporównana Elwiro. Jeżeli połączę los twój z moim, nic mi nie pozostanie do życzenia. Pędząc dni tylko na odkrywaniu nowych stron twojej pięknej duszy, będę szczęśliwy każdym twoim uśmiechem i przepełniony radością najmniejszym dowodem przywiązania, jaki raczysz mi okazać. Obraz tej spokojnej przyszłości, która nastąpi po burzach, jakich w życiu doznałem, do tego stopnia mnie zachwyca, że tej nocy postanowiłem przyspieszyć chwilę naszego połączenia. Teraz opuszczam cię, piękna Elwiro, jadę czym prędzej do Burgos, gdzie przekonasz się o skutkach mego pośpiechu.

To mówiąc wicekról przykląkł, pocałował mnie w rękę, wskoczył na konia i w cwał pogonił ku Burgos. Nie potrzebuję opisywać wam stanu, w jakim się znajdowałem. Oczekiwałem najnieprzyjemniejszych wypadków, które wszystkie kończyły się na niemiłosiernym oćwiczeniu mnie na podwórzu ojców teatynów. Poszedłem złączyć się z dwiema ciotkami, które posilały się, chciałem opowiedzieć im nowe oświadczenia wicekróla, ale usiłowania moje były nadaremne. Niestrudzony marszałek naglił mnie do zajęcia miejsca w lektyce; musiałem mu być posłuszny.

Przybywszy do bram Burgos zastaliśmy pazia przyszłego mego małżonka, który nam oznajmił, że czekano na nas w pałacu arcybiskupim. Zimny pot, który wystąpił mi na czoło, upewnił mnie, że jeszcze żyję, gdyż zresztą bo jaźń pogrążyła mnie w taki stan bezwładności, że dopiero stanąwszy przed arcybiskupem przyszedłem do siebie. Prałat ten siedział w fotelu naprzeciwko wicekróla. Duchowieństwo zasiadało niższe krzesła, znaczniejsi mieszkańcy Burgos usadowili się obok wicekróla, w głębi zaś komnaty spostrzegłem ołtarz, przygotowany do obrzędów. Arcybiskup wstał, pobłogosławił mnie i pocałował w czoło.

Miotany tysiącnymi uczuciami, które dręczyły mnie wewnątrz, upadłem do nóg arcybiskupa i wtedy, jak gdyby natchniony nie wiem jaką przytomnością umysłu, zawołałem:

- Przewielebny ojcze, miej litość nade mną, ja chcę być zakonnica, tak jest, pragnę zostać zakonnica!

Po tym oświadczeniu, które obito się o uszy całego zgromadzenia, uznałem za potrzebne zemdleć. Podniosłem się, ale znowu padłem w objęcia obu ciotek, które same ledwie trzymały się na nogach. Otworzywszy nieco oczy, ujrzałem, że arcybiskup w postawie pełnej uszanowania stoi przed wicekrólem i zdaje się oczekiwać jego postanowień.

Wicekról poprosił arcybiskupa, aby zasiadł na swoim miejscu i zostawił mu czas do namysłu. Arcybiskup usiadł i wtedy spostrzegłem twarz mego znakomitego wielbiciela: surowsza niż kiedykolwiek, przybrała wyraz będący w stanie przestraszyć najśmielszych. Jakiś czas wydawał się pogrążony w myślach; następnie, dumnie kładąc kapelusz na głowę, rzekł:

- Moje incognito skończone - jestem wicekról Meksyku - arcybiskup raczy siedzieć na swoim miejscu.

Wszyscy powstali z uszanowaniem, wicekról zaś tak dalej mówił:

- Czternaście lat dziś właśnie mija, jak bezczelni potwarcy roznieśli pogłoskę, jakobym ja był ojcem tej młodej osoby. Nie mogłem wówczas inaczej zmusić ich do milczenia jak przysięgą, że gdy dojdzie stosownych lat, pojmę ją za żonę. Podczas gdy wzrastała we wdzięki i cnoty, król, łaskawy na moje usługi, podwyższał mnie od stopnia do stopnia i nareszcie zaszczycił godnością, która mnie zbliża do tronu. Nadszedł czas spełnienia mojej obietnicy; prosiłem króla o pozwolenie przybycia do Hiszpanii dla ożenienia się i Rada Indii w imieniu monarchy odpowiedziała przychylnie, z warunkiem jednak, że tylko do chwili małżeństwa będę piastował wicekrólewską godność. Zarazem pozwolono mi tylko o pięćdziesiąt mil zbliżyć się do Madrytu. Łatwo zrozumiałem, że należy mi wyrzec się albo małżeństwa, albo łaski monarszej, ale przyrzekłem święcie - nie było więc nad czym się zastanawiać. Ujrawszy zachwycającą Elwirę zdało mi się, że niebo chce armie sprowadzić z drogi zaszczytów i obdarzyć nowym szczęściem spokojnych rozkoszy domowych, ale ponieważ to zazdrosne niebo wzywa do siebie duszę, której świat nie jest godny, oddaję ją więc tobie, przewielebny księżu arcybiskupie; każ ją zawieźć do klasztoru wizytek, gdzie niechaj natychmiast wstąpi do nowicjatu. Przysięgałem nie mieć nigdy innej żony i dotrzymam przysięgi; napiszę do króla i poproszę go o pozwolenie przybycia do Madrytu.

Po tych słowach straszliwy wicekról pożegnał kapeluszem obecnych, ze srogim spojrzeniem wcisnął go z powrotem na oczy i udał się do karety, przeprowadzony przez arcybiskupa, urzędników, duchowieństwo i cały swój orszak. Zostaliśmy sami w komnacie, oprócz kilku zakrystianów, którzy rozbierali ołtarz. Natenczas wciągnąłem obie ciotki do przyległej izby i poskoczyłem do okna w nadziei, że znajdę jaki sposób ucieczki i uniknięcia klasztoru.

Okno wychodziło na obszerne podwórze z wodotryskiem w środku. Spostrzegłem dwóch chłopców, obszarpanych i umierających ze znużenia, którzy gasili pragnienie. Poznałem na jednym z nich suknie, które oddałem był Elwirze, i zarazem ujrzałem ją samą. Drugim chłopcem był Lonzeto. Krzyknąłem z radości.

Czworo drzwi było w naszej izbie; pierwsze, które otworzyłem, wychodziły na schody prowadzące na podwórze, gdzie znajdowali się nasi zbiegowie. Czym prędzej pobiegłem po nich i ciotka Torres ledwie że nie umarła z radości, ściskając swoje dzieci.

W tej chwili usłyszeliśmy arcybiskupa, który, odprowadziwszy wicekróla, wracał, aby kazać mnie zawieźć do klasztoru wizytek. Zaledwie miałem dość czasu, aby rzucić się na drzwi i zamknąć je na klucz. Ciotka moja zawołała, że młoda osoba znowu wpadła w omdlenie i nie może widzieć nikogo. Z pośpiechem przemieniliśmy suknie, zawiązano głowę Elwirze, jak gdyby była zraniła się padając, i zasłonięto jej tym sposobem dla większej niepoznaki całą prawie twarz.

Gdy wszystko było już w pogotowiu, wymknąłem się z Lonzetem i otwarto drzwi. Arcybiskup już wyszedł, ale zostawił swego sufragana, który zaprowadził Elwirę i panią de Torres do klasztoru. Ciotka Dalanosa udała się do gospody Las Rosas, gdzie mi nazaczyła schadzkę i gdzie najęła wygodne mieszkanie. Przez tydzień cieszyliśmy się szczęśliwym zakończeniem tej przygody i śmieliśmy się ze strachu, jakiego nas nabawiła. Lonzeto, który przestał już być mulnikiem, mieszkał z nami pod własnym nazwiskiem syna pani de Torres.

Ciotka moja kilka razy chodziła z odwiedzinami do klasztoru wizytek. Ułożono, że Elwira zrazu okaże niepowściągniętą chęć zostania mniszką, że jednak ten zapał powoli będzie ostygł, że nareszcie opuści klasztor i wtedy zwróci się do Rzymu o pozwolenie zaślubienia swego ciotecznego brata.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że wicekról przybył do Madrytu. gdzie przyjęty został z wielkimi zaszczytami. Król raczył nawet pozwolić mu na przeniesienie majątku i tytułów na imię siostrzeńca, syna tej samej siostry, którą był nigdyś sprowadził do Villaca. Wkrótce potem wicekról odjechał do Ameryki.

Co do mnie. zdarzenia tej nadzwyczajnej podróży zwiększyły jeszcze lekkomyślne moje skłonności do włóczęgostwa. Ze wstrętem myślałem o chwili, w której miano mnie zamknąć w klasztorze teatynów, ale wuj ciotki żądał tego, trzeba więc było, po wszystkich zwłokach, jakie tylko zdołałem spowodować, poddać się przeznaczeniu.

Gdy tak mówił naczelnik Cyganów, jeden z jego podwładnych przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności. Każdy z nas czynił swoje uwagi nad tak dziwną przygodą; ale kabalista przyrzekł nam daleko ciekawsze rzeczy, które usłyszymy od Żyda Wiecznego Tułacza, i zaręczył, że nazajutrz niezawodnie ujrzemy tę nadzwyczajną osobę.

Dzień dwudziesty pierwszy

Ruszono w pochód, kabalista zaś, który na ten dzień zapowiedział nam Żyda Wiecznego Tułacza, nie mógł powstrzymać swojej niecierpliwości. Wreszcie ujrzelśmy na oddalonym wierzchołku człowieka, który szedł z niezwykłym pośpiechem, nie zważając wcale na ścieżki.

- Widzicie go! - zawołał Uzeda - ach, leniwiec, łotr niegodziwy! Przez osiem dni włókł się tu z Afryki.

Po chwili Żyd był o kilkadziesiąt kroków od nas. W tej jeszcze odległości kabalista z całej siły wołał do niego:

- Cóż więc?... mamże jeszcze prawo do córek Salomona?

- Bynajmniej - odpowiedział Żyd - nie tylko straciłeś wszelkie do nich prawo, ale nawet całą władzę. jaką posiadałeś nad duchami wyższymi nad dwudziesty drugi stopień. Spodziewam się także, że niedługo pozbędziesz się i tej władzy, którą podstępnie osiągnąłeś nade mną.

Kabalista zadumał się na chwilę, po czym rzekł:

- Tym lepiej, pójdę za przykładem mojej siostry. Kiedy indziej obszernie o tym pomówimy: tymczasem, mości podróżny, rozkazuję ci, abyś szedł między mułami tego młodego człowieka i jego towarzysza. o którym historia geometrii z dumą kiedyś będzie wspominać. Opowiesz im historię twego życia, ale uprzedzam cię - wiernie i jasno.

Żyd Wieczny Tułacz z początku chciał się opierać, ale kabalista przemówił do niego kilka niezrozumiałych słów i nieszczęsny włóczęga tak zaczął mówić:

HISTORIA ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Rodzina moja należy do liczby tych, które służyły wielkiemu kapłanowi Oniaszowi i za pozwoleniem Ptolemeusza Philometora zbudowały świątynię w Dolnym Egipcie. Dziad mój zwał się Hiskias. Gdy sławna Kleopatra zaślubiła brata swego Ptolemeusza Dionizego, Hiskias wszedł w jej służbę jako nadworny jubiler;

nadto miał sobie zlecone zakupywanie drogich materii i strojów, następnie zaś główną pieczę nad uroczystościami. Jednym słowem, mogę was zapewnić, że dziad mój miał wielkie znaczenie na dworze aleksandryjskim. Nie mówię tego, żeby się chwalić, na cóż mi się to może przydać? Już siedemnaście wieków - ba, więcej nawet - upływa, jak go straciłem, gdyż umarł czterdziestego pierwszego roku panowania Augusta. Byłem wówczas nader młody i zaledwie go pamiętam. ale niejaki Dellius często mi opowiadał o tych wypadkach.

Tu Velasquez przerwał Żydowi zapytując, czy to ten sam Dellius, muzyk Kleopatry, o którym Flawiusz i Plutarch często wspominają.

Żyd Wieczny Tułacz dał potakującą odpowiedź, po czym tak dalej mówił:

Ptolemeusz, nie mogąc mieć dzieci ze swoją siostrą, posądził ją o niepłodność i wyrzekł się jej po trzech latach małżeństwa. Kleopatra wyjechała do jednego z miast portowych nad Morzem Czerwonym. Dziad mój towarzyszył jej w tym wygnaniu i wtedy to nabył dla swojej pani owe dwie sławne perły, z których jedną rozpuściła i połknęła na ucztę wyprawionej przez Antoniusza.

Tymczasem wojna domowa wybuchła we wszystkich częściach państwa rzymskiego. Pompejusz schronił się do Ptolemeusza Dionizego, który kazał mu ściąć głowę. Zdrada ta, mająca zapewnić mu łaskę Cezara, sprawiła wcale przeciwny skutek. Cezar pragnął powrócić Kleopatrze koronę. Mieszkańcy Aleksandrii stanęli w obronie swego króla z gorliwością, jakiej w historii mało widzimy przykładów; ale gdy nieszczęsnym trafem monarcha ten utonął, nic już nie przeszkadzało zadośćuczynieniu żądzy panowania Kleopatry. Królowa poczuwała się wobec Cezara do bezgranicznej wdzięczności.

Cezar, zanim opuścił Egipt, kazał Kleopatrze zaślubić młodego Ptolemeusza, który był jej bratem i szwagrem zarazem, jako młodszy brat Ptolemeusza Dionizego, pierwszego jej małżonka. Księżę ten miał wówczas dopiero jedenaście lat. Kleopatra była przy nadziei, a dziecię jej nazwano Cezarionem, dla uniknięcia wszelkich wątpliwości co do jego pochodzenia.

Dziad mój, mając wówczas dwadzieścia pięć lat, postanowił wejść w związki małżeńskie. Było to może nieco za późno jak dla Żyda, ale miał nieprzewidywany wstręt do poślubienia kobiety rodem z Aleksandrii. nawet nie dlatego, że Żydzi jerozolimscy uważali nas za odszczepieńców, ale że, według naszego zdania, jedna tylko świątynia powinna być istnieć na ziemi. Stronnictwo nasze utrzymywało, że nasza świątynia egipska, założona przez Oniasza, jako niegdyś samarytańska, stanie się powodem odszczepieństwa. którego Żydzi obawiali się niby nieuchronnej klęski ogólnej zatury. Takie nabożne pobudki oraz niesmak, towarzyszący wszelkim dworskim urzędom, sprawiły, że mój dziad postanowił oddalić się do świętego miasta i tam pojąć żonę. W tym samym czasie Żyd jerozolimski nazwiskiem Hillel przybył z całą rodziną do Aleksandrii. Córka jego, Melea. wpadła w oko memu dziadowi i wesele odbyło się z niesłychanym przepychem:

Kleopatra i młody jej małżonek zaszczylili je swoją obecnością.

W kilka dni potem królowa kazała przywołać mego dziada i rzekła mu:

- Dowiaduję się w tej chwili, mój przyjacielu, że Cezar został mianowany dożywotnim dyktatorem. Los wyniósł tego pana zwycięzców świata na stopień, na jakim nikogo dotąd nie postawił. Nie wytrzymają z nim porównania ani Belus, ani Sezostrys, ani Cyrus, ani nawet Aleksander. Szczęść się, że jest on ojcem mojego małego Cezariona. Dziecię to wkrótce skończy czwarty rok, pragnę więc, ażeby Cezar zobaczył je i uściskał. Postanowiłam za dwa miesiące wyjechać do Rzymu. Pojmujesz, że chcę uczynić wjazd godny królowej Egiptu. Ostatni z moich niewolników powinien być odziany w złociste szaty, wszystkie zaś moje sprzęty mają być ulane ze szlachetnego kruszcu i wysadzone drogimi kamieniami. Dla mnie każesz sporządzić suknie z najłżejszych tkanin indyjskich, za strój zaś nie chcę innych klejnotów prócz pereł. Weź wszystkie moje kosztowności, wszystko złoto znajdujące się w moich pałacach; nadto podskarbi mój wyliczy ci sto tysięcy talentów złota. Jest to cena dwóch prowincji, które sprzedałam królowi Arabów; powróciwszy z Rzymu, potrafię mu je odebrać. Teraz idź i pamiętaj, żeby za dwa miesiące wszystko było w pogotowiu.

Kleopatra miała wówczas dwadzieścia pięć lat. Piętnastoletni brat jej, którego przed czterema laty zaślubiła, kochał ją z niewypowiedzianą namiętnością. Dowiedziawszy się, że ma wyjeżdżać, oddał się najgwałtowniejszej rozpacz, gdy zaś pożegnał królową i widział oddalający się okręt, wpadł w taki smutek, że lękano się o jego życie.

W trzy tygodnie potem Kleopatra wylądowała w porcie Ostii. Zastała tam już wspaniałe łodzie, które poholowały ją Tybrem, i można rzec, że w tryumfie wjechała do tego miasta, gdzie inni królowie wchodzili zaprzężeni do wozów rzymskich hetmanów. Cezar, równie wdziękiem obyczajów jak wielkością ducha celując między resztą ludzi, przyjął Kleopatę z niewypowiedzianą grzecznością, mniej jednak czule, niż się królowa tego spodziewała. Kleopatra ze swej strony, powodowana więcej dumą niż przywiązaniem, mało zważała na tę obojętność i postanowiła dokładnie poznać Rzym.

Obdarzona rzadką przenikliwością, wkrótce poznała niebezpieczeństwa, które groziły dyktatorowi. Mówiła mu o swoich przeczuciach, ale bohater nie był w stanie dopuścić do serca uczucia bo jaźni. Kleopatra widząc, że Cezar nie zważa na jej przestrogi, zamierzyła, o ile możliwości, wyciągnąć z nich jak największą korzyść dla siebie. Przekonana była, że Cezar padnie ofiarą jakiegoś spisku i że świat rzymski rozpadnie się wówczas na dwa stronnictwa.

Pierwsze z nich, przyjaciele wolności, miało za widomego naczelnika starego Cyncerona, mędrka nadętego, który myślał, że dokonywa wielkich rzeczy dlatego, że szumnie przemawia do ludzi, i który wzdychał do spokojnego życia w swojej tuskulańskiej willi, choć nie zamierzał wyrzec się wpływów, związanych ze stanowiskiem przywódcy stronnictwa. Ludzie ci pragnęli osiągnąć jakiś wielki cel, ale nie wiedzieli, jak sobie począć, nie mieli bowiem żadnej znajomości świata.

Drugie stronnictwo, przyjaciele Cezara, złożone z dzielnych wojowników, hucznie używających przyjemności życia, czyniło zadość swoim namiętnościom, korzystając z namiętności współobywateli.

Kleopatra niedługo wahała się nad wyborem; zastawiła sidła niewieściej zalotności na Antoniusza, gardziła zaś Cyncerem, który jej tego nigdy nie mógł przebaczyć. Jak się możecie łatwo przekonać z listów, które pisał wówczas do przyjaciela swego Attyka.

Królowa, wcale nieciekawa rozwiązania zagadki, której ukryte sprężyny poznała, czym prędzej wróciła do Aleksandrii, gdzie młody małżonek przyjął ją z całym uniesieniem rozpłomionego serca. Mieszkańcy Aleksandrii dzielili jego radość. Kleopatra zdawała się uczestniczyć w szczęściu, jakie sprawiło jej przybycie; zjednała sobie umysły wszystkich, ale ludzie bliżej ją znający dobrze widzieli, że cele polityczne są głównymi pobudkami tych oświadczeń, w których więcej było udawania niż prawdy. W istocie, zaledwie zabezpieczyła się względem mieszkańców Aleksandrii, wnet pośpieszyła do Memfis, gdzie ukazała się w stroju Izdy, z krowimi rogami na głowie. Egipcjanie szaleli za nią. Następnie podobnymi sposobami umiała pozyskać przychylność Nabatejczyków, Etiopów, Libijczyków i innych ludów, opasujących Egipt.

Wreszcie królowa powróciła do Aleksandrii, a tymczasem zamordowano Cezara i wojna domowa wybuchła we wszystkich prowincjach imperium. Odtąd Kleopatra stawiała się coraz bardziej posępna, często się zamyślała, otaczający ją zaś poznali, że powzięła zamiar zaślubienia Antoniusza i zapanowania nad Rzymem.

Pewnego poranka dziad mój udał się do królowej i pokazał jej klejnoty świeżo sprowadzone z Indii. Mocno się z nich ucieszyła, wychwalała smak mego dziada, jego gorliwość w pełnieniu obowiązków i dodała:

- Drogi Hiskiasie, oto są banany przywiezione z Indii przez tych samych kupców z Serendib, od których otrzymałeś twoje klejnoty. Racz zanieść te owoce mojemu młodemu małżonkowi i proś, aby je zjadł natychmiast, przez miłość, jaką ma ku mnie.

Mój dziad wypełnił to polecenie, a młody król rzekł mu:

- Ponieważ królowa zaklina mnie przez miłość, jaką mam ku niej, abym natychmiast zjadł te owoce, chcę, abys był świadkiem, że żadnego nie zostawię.

Ale zaledwie zjadł trzy banany, gdy nagle rysy boleśnie mu się potamały, wysadził oczy na wierzch głowy, krzyknął straszliwie i padł bez ducha na posadzkę. Mój dziad poznał, że użyto go za narzędzie okropnej zbrodni. Powrócił do domu, rozdarł swoje szaty, odział się workiem i głowę posypał popiołem.

W sześć tygodni potem królowa posłała po niego i rzekła:

- Wiadomo ci zapewne, że Oktawian, Antoniusz i Lepidus rozdzielili między siebie imperium rzymskie. Drogi mój Antoniusz otrzymał wschód w podziale, chciałabym więc wyjechać naprzeciw nowego władcy do Cylicji. W tym celu polecam ci, abys kazał zbudować okręt w kształcie muszli i wyłożyć go, tak zewnątrz jak i wewnątrz, perłową macicą. Pokład ma być otoczony misterną siatką złotą, przez którą będę mogła być widziana, gdy wystąpię pod postacią Wenery otoczonej gracjami i amorkami. Teraz idź i staraj się wypełnić moje rozkazy ze zwykłą ci pojętnością.

Mój dziad padł do nóg królowej, mówiąc:

- Pani, racz zważyć, że jestem hebrajczykiem i że wszystko, co się stosuje do bóstw greckich, jest dla mnie świętokradztwem, którego w żaden sposób nie mogę się dopuścić.

- Rozumiem - odparła królowa - żal ci mojego młodego małżonka. Boleść twoja jest słuszna i podzielam ją więcej, aniżeli się tego spodziewała. Hiskiasie, widzę, że nie jesteś stworzony do życia dworskiego, uwalniam cię więc od pełnienia dotychczasowych twoich obowiązków.

Dziad nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, wrócił do siebie, zapakował swoje sprzęty i oddalił się do małego domku, który posiadał nad brzegami jeziora Mareotis. Tam gorliwie zajął się ostatecznym ukończeniem swoich spraw, ciągle mając na myśli osiedlenie się w Jerozolimie. Żył zresztą w najściślejszym odosobnieniu i nie przyjmował żadnego z dawnych swoich dworskich znajomych, wyjąwszy jednego, muzyka Delliusa, z którym zawsze łączyła go prawdziwa przyjaźń.

Tymczasem Kleopatra, kazawszy zbudować prawie taki sam okręt, o jakim mówiła, wylądowała w Cylicji, której mieszkańcy w istocie wzięli ją za Wenerę, Marek Antoniusz zaś, znajdując, że niezupełnie się mylą, odpłynął z nią do Egiptu, gdzie związek ich odbył się ze wspaniałością niepodobną do opisaną.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz doszedł do tego miejsca swego opowiadania, kabalista rzekł do niego:

- Dość tego na dzisiaj, mój przyjacielu, oto właśnie przybywamy na nocleg. Przepędzisz dzisiejszą noc krążąc koło tej góry, jutro zaś znowu złączysz się z nami. Co się zaś tyczy tego, co miałem ci powiedzieć, odkładam to na później.

Żyd straszliwym wzrokiem spojrzął na kabalistę i znikł w pobliskim wąwozie.

Dzień dwudziesty drugi

Wyruszyliśmy w drogę dość wcześnie i ujechawszy blisko dwie mile, ujrzeliśmy Żyda, który, nie każąc sobie powtarzać rozkazu, wsunął się między mego konia i muła Velasquezowego i zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Kleopatra, zostawszy małżonką Antoniusza, pojęła, że dla zachowania jego serca wypada jej odgrywać rolę raczej Fryny niż Artemizji, czyli, wyraźniej mówiąc, kobieta ta posiadała dziwną łatwość przechodzenia z charakteru zalotnicy do obejścia czulej, a nawet wiernej małżonki. Wiedziała, że Antoniusz z namiętnością oddaje się rozkoszy, niewyczerpanymi więc wynalazkami zalotności starała się go do siebie przywiązać.

Wnet dwór jął naśladować królewską parę, miasto naśladowało dwór, następnie cały kraj poszedł za miastem, tak że wkrótce Egipt stał się wielką widownią wszeteczeństwa. Bezwstyd ten dostał się nawet do niektórych osad żydowskich.

Mój dziad byłby już od dawna przeniósł się do Jerozolimy, ale Partowie właśnie zdobyli miasto i wypędzili Heroda, wnuka Antypasowego, którego później Marek Antoniusz ustanowił królem nad Judeą. Dziad mój, zmuszony do pozostania w Egipcie, sam nie wiedział, dokąd ma się schronić, gdyż jezioro Mareotis, pokryte gondolami, dzień i noc przedstawiało najbardziej gorszące widowiska. Nareszcie, zniecierpliwiony, kazał zamurować okna wychodzące na jezioro i zamknął się u siebie ze

swoją żoną Meleą i synem, którego nazwał Mardochejem. Drzwi jego otwierały się tylko dla wiernego przyjaciela, Delliusa. Tym sposobem upłynęło kilka lat, podczas których Herod został mianowany królem Judei i mój dziad znowu wrócił do swego zamiaru osiedlenia się w Jerozolimie.

Pewnego dnia Dellius przyszedł do mego dziada i rzekł:

- Kochany przyjacielu, Antoniusz i Kleopatra wysyłają mnie do Jerozolimy, przychodzę więc zapytać cię, czy nie chcesz dać mi jakich poleceń. Przy tym proszę cię o pismo do twego teścia Hillela; pragnę być jego gościem, chociaż przekonany jestem, że będą chcieli mnie zatrzymać na dworze i nie pozwolą, abym obrał mieszkanie u prywatnego człowieka.

Mój dziad, widząc człowieka jadącego do Jerozolimy, załżał się rzewnymi łzami. Dał Delliusowi list do swego teścia i powierzył mu dwadzieścia tysięcy darejków, które przeznaczał na zakupienie najwspanialszego domu w całym mieście.

W trzy tygodnie potem Dellius powrócił i zaraz dał znać o sobie memu dziadowi, uprzedzając go, że dla ważnych spraw dworskich będzie mógł odwiedzić go dopiero za pięć dni. Po upływie tego czasu przybył i rzekł:

- Przede wszystkim oddaję ci kontrakt kupna wspaniałego domu, który nabyłem od twego własnego teścia. Sędziowie opatrzyli to pismo swymi pieczęciami i pod tym względem możesz być zupełnie spokojny. Oto jest list od samego Hillela, który będzie mieszkał w domu do chwili twego przybycia i za ten czas zapłaci ci komorne. Co do szczegółów mojej podróży, wyznam ci, że niesłychanie jestem z niej zadowolony. Heroda nie było w Jerozolimie, zastałem tylko jego świerkę, Aleksandrę, która pozwoliła mi wieszerać ze swymi dziećmi, Mariamną, małżonką Heroda, i młodym Arystobulem, którego przeznaczano na arcykapłana, ale który musiał ustąpić miejsca jakiemuś człowiekowi z najniższej klasy ludu. Nie mogę ci wypowiedzieć, do jakiego stopnia byłem zachwycony pięknnością tych dwojga młodych ludzi. Arystobul zwłaszcza wygląda jak półbożek zstępujący na ziemię. Wyobraź sobie głowę najpiękniejszej kobiety na ramionach na kształtniejszego mężczyzny. Ponieważ od czasu mego powrotu o nich tylko mówię. Antoniusz przeto powziął zamiar sprowadzenia obojga na swój dwór.

- Zapewne - rzekła Kleopatra - radzę ci, abyś to uczynił, sprowadź tu żonę króla judzkiego, a nazajutrz Partowie rozgoszczą się w samym środku rzymskich prowincji.

- W takim razie - odparł Antoniusz - pošlijmy przynajmniej po jej brata. Jeżeli prawda, że młodzieniec ten jest tak powabny, mianujemy go naszym podczaszym. Wiesz, jak nie cierpię koło siebie niewolników i rad bym, aby moi paziowie należeli do pierwszych rodzin rzymskich, jeżeli już brakuje synów królów barbarzyńskich.

- Nic nie mam przeciwko temu - odpowiedziała Kleopatra - pošlijmy więc po Arystobula.

- Boże Izraela i Jakuba - zawołał mój dziad - mamże wierzyć moim uszom? Asmonejczyk, czysta krew Machabeuszów. następca Aarona - paziem u Antoniusza. nieobrzezańca, oddanego wszelkiego rodzaju rozpuście? O Delliusie. za długo żyłem na świecie; rozedrę moje szaty, odzieję się workiem i głowę posypię popiołem.

Mój dziad uczynił; jak rzekł. Zamknął się u siebie, opłakując nieszczęścia Syjonu i żywiąc się własnymi tylko łzami. Zapewne byłby upadł pod brzemieniem tych ciosów, gdyby po kilku tygodniach Dellius nie był zapukał do drzwi, mówiąc:

- Arystobul już nie będzie paziem Antoniusza, Herod poświęcił go na wielkiego kapłana. Natenczas dziad mój otworzył drzwi, pocieszył się tą nowiną i wrócił znowu do dawnego trybu rodzinnego życia.

Wkrótce potem Antoniusz wyjechał do Armenii wraz z Kleopatram, która udała się w tę podróż w celu zagarnięcia Arabii Skalistej i Judei. Dellius należał także do podróży i za powrotem opowiedział memu dziadowi wszystkie szczegóły. Herod kazał uwięzić Aleksandrę w jej pałacu za to, że chciała uciec wraz ze swym synem do Kleopatry, która była niesłychanie ciekawa poznać zachwycającego arcykapłana. Niejaki Kubion odkrył ten zamiar i Herod kazał utopić Arystobula w kąpeli. Kleopatra dopominała się o zemstę, ale Antoniusz odpowiedział, że każdy król jest panem u siebie. Wszelako dla uspokojenia Kleopatry darował jej kilka miast należących do Heroda.

- Następnie - dodał Dellius - zaszły inne znowu wypadki. Herod wydzierżawił od Kleopatry wydarte mu przez nią kraje. Dla załatwienia tych spraw udaliśmy się do Jerozolimy. Nasza królowa chciała nieco przyspieszyć ugodę, ale cóż, kiedy na nieszczęście Kleopatra ma już trzydzieści pięć lat, Herod zaś do szaleństwa kocha się w swojej dwudziestoletniej Mariamnie. Zamiast wdzięcznie odpowiedzieć na te zaloty, zebrał radę i wniósł zamiar uduszenia Kleopatry zaręczając, że Antoniusz jest już nią znudzony i bynajmniej o to gniewać się nie będzie. Wszelako rada przełożyła mu, że jakkolwiek Antoniusz w duchu byłby z tego zadowolony, atoli nie opuści sposobności pomśzczenia się;

jakoż w istocie, rada miała słusność. Powróciwszy do domu, znowu zastaliśmy niespodziewane nowiny. Oskarżono Kleopatram w Rzymie o oczarowanie Antoniusza. Sprawa nie jest jeszcze wytoczona, ale niebawem się rozpocznie. Cóż powiesz na to wszystko, drogi przyjacielu? Czy trwasz jeszcze w zamiarze przesiedlenia się do Jerozolimy?

- Byle nie w tej chwili - odrzekł mój dziad. - Nie umiałbym ukryć mego przywiązania do krwi Machabeuszów; z drugiej zaś strony jestem przekonany, że Herod niczego nie zaniedba, by wygubić jednego po drugim wszystkich Asmonejczyków.

- Ponieważ chcesz tu pozostać - rzekł Dellius - przeto daj mi w twoim domu schronienie. Od wczoraj porzuciłem dwór. Zamknijemy się razem i wtedy dopiero pokażemy się na świat, gdy cały kraj stanie się prowincją rzymską, co wkrótce zapewne nastąpi. Majątek mój, składający się z trzydziestu tysięcy darejków, oddałem w ręce twego teścia, który polecił mi wręczyć ci komorne z twego domu.

Dziad mój z radością przyjął zamiar swego przyjaciela i odsunął się od świata bardziej niż kiedykolwiek. Dellius wychodził czasami, przynosił nowiny z miasta, przez resztę zaś czasu wykladał literaturę grecką młodemu Mardochejowi, który później stał się moim ojcem. Często także czytano Biblię, dziad mój bowiem koniecznie pragnął nawrócić Delliusa. Wiecie dobrze, jak skończyli Kleopatra i Antoniusz. Zgodnie z przepowiednią Delliusa zamieniono Egipt w prowincję rzymską, w naszym jednak domu odosobnienie tak dalece weszło w zwyczaj, że wypadki polityczne nie przynosiły żadnej odmiany w dotychczasowym sposobie życia.

Śród tego nie zbywało na ciągłych nowinach z Palestyny: Herod, który, zdawało się, że upadnie razem z opiekunem swoim, Antoniuszem, znalazł łaskę u Augusta. Odzyskał utracone kraje, zdobył

wiele nowych, przyszedł do posiadania wojska, skarbu, niezmiernych zapasów zboża, tak że zaczynano go już nazywać Wielkim. W istocie można by jeżeli nie wielkim, to przynajmniej mianować go szczęśliwym, gdyby kłótnie rodzinne nie były przyćmiły blasku tak świetnego przeznaczenia.

Jak tylko spokojność ustaliła się w Palestynie, mój dziad powrócił do zamiaru przesiedlenia się tam wraz ze swoim drogim Mardochejem, który liczył wówczas trzynasty rok życia. Dellius także szczerze przywiązał się do swego ucznia i wcale nie chciał go odstępować, gdy nagle przybył z Jerozolimy Żyd z listem zawierającym następujące wyrazy.

Rabbi Sedekias, syn Hillela, niegodny grzesznik i ostatni ze świętego Sanhedrynu faryzeuszów, Hiskia-sowi, małżonkowi siostry jego Melei, pozdrowienie. Zaraza, jaką grzechy Izraela ściągnęły na Jerozolimę, zabrała mego ojca i starszych moich braci. Są oni w tej chwili na łonie Abrahama i uczestniczą w nieśmiertelnej jego chwale. Oby niebo wytępiło saduceuszów i tych wszystkich, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie. Byłbym niegodny nazwiska faryzeusza, gdybym śmiało splamić ręce przywłaszczeniem cudzego dobra. Dlatego więc pilnie szukałem, azali ojciec mój nie pozostał komu winnym, usłyszawszy zaś, że dom, który zajmowaliśmy w Jerozolimie, przez jakiś czas należał do ciebie, udałem się do sędziów, ale nie znalazłem u nich nic takiego, co by ten domysł potwierdzić mogło. Dom bez zaprzeczenia do mnie należy. Oby niebo potępiło złych. Nie jestem saduceuszem.

Odkryłem także, że pewien nieobrzezaniec, nazwiskiem Dellius, umieścił był niegdyś u mojego ojca trzydzieści tysięcy darejków, na szczęście jednak znalazłem, wprawdzie nieco zamazany, papier, który, jak miemam, musi być pokwitowaniem rzeczonoego Delliusa.

Zresztą człowiek ten był stronnikiem Mariamny i brata jej Arystobula, a tym samym nieprzyjacielem naszego wielkiego króla. Oby niebo go potępiło wraz z wszystkimi złymi i saduceuszami.

Bywaj zdrow, kochany bracie, uściskaj ode mnie moją drogą siostrę Meleę. Chociaż byłem bardzo młody, gdy ją poślubiłeś, atoli zachowuję ją zawsze w moim sercu. Zdaje mi się, że posag, jaki wniosła w twój dom, przewyższa nieco część na nią przypadająca, atoli pomówimy o tym kiedy indziej. Bądź zdrow, kochany bracie! oby niebo mogło wykierować cię na prawdziwego faryzeusza.

Dziad mój i Dellius długo spoglądali po sobie z zadziwieniem, nareszcie ten ostatni pierwszy przerwał milczenie i rzekł:

- Otóż to są skutki odłączenia się od świata. Cieszymy się nadzieją spokoju, gdy tymczasem los zrządza inaczej. Ludzie uważają cię za umarłe drzewo, które, stosownie do woli, mogą ogołocić lub wykorzeńić, za robaka, którego wolno im zdeptać, słowem, za nieużyteczny ciężar na ziemi. Na tym świecie trzeba być młotem albo kowadłem, bić lub ulegać. Żyłem w stosunkach przyjacielskich z kilku rzymskimi prefektami, którzy przeszli na stronę Oktawiana, i gdybym nie był ich zaniedbał, nie śmiano by dziś mnie krzywdzić. Ale byłem znudzony światem, opuściłem go więc, aby żyć z cnotliwym przyjacielem, gdy oto zjawia się jakiś faryzeusz z Jerozolimy, wydziera mi moje dobro i mówi, że ma zamazany papier, który uważa za moje pokwitowanie. Dla ciebie strata nie jest tak ważna, dom w Jerozolimie stanowił zaledwie czwartą część twego majątku, ale ja od razu straciłem wszystko i, bądź co bądź, sam udam się do Palestyny.

Na te słowa nadeszła Melea. Uwiadomiono ją o śmierci ojca i dwóch starszych braci i zarazem opowiedziano niegodny postępek brata jej, Sedekiasa. Wrażenia odbierane w samotności są zwykle

nader silne. Do zmartwienia biednej dołączyła się jakaś nieznana choroba, która w przeciągu sześciu miesięcy zaprowadziła ją do grobu.

Dellius właśnie wybierał się do Judei, gdy wtem pewnego wieczora, wracając pieszo przez przedmieście Rakotis, został pchnięty nożem w piersi. Odwrócił się i poznał tego samego Żyda, który przyniósł list od Sedekiasa. Długo leczył się z tej rany, gdy zaś wyzdrowiał, odeszła mu chęć podróży do Palestyny. Pragnął zapewnić sobie wprzód opiekę możliwych i rozmyślał nad sposobami przypomnienia się pamięci dawnych swoich opiekunów. Ale August miał także zasadę zostawiania królów samowładcami w ich państwach, trzeba więc było wywiedzieć się, jak Herod jest usposobiony dla Sedekiasa, i w tym celu postanowiono wysłać na zwiady do Jerozolimy człowieka wiernego i pojętnego.

Po dwóch miesiącach posłaniec wrócił donosząc, że szczęście Heroda z każdym dniem wzrasta i że zręczny ten monarcha zjednywa sobie zarówno Rzymian jak Żydów, gdyż wznosząc posągi Augustowi, ogłasza zarazem zamiar odbudowania świątyni jerozolimskiej podług daleko wspanialszego planu, co tak dalece zachwyca lud, że niektórzy pochlebcy zawczasu już okrzykują go Mesjaszem, zapowiedzianym przez proroków.

Odgłos ten - mówił posłaniec - niesłychanie podobał się na dworze i utworzył już sektę. Nowych sekciarzy nazywają herodianami, na ich czele zaś stoi Sedekias.

Pojmujecie, że wieści te mocno zastanowiły mego dziada i Delliusa; ale zanim dalej pójdę, muszę wam powiedzieć, co nasi prorocy mówili o Mesjaszu.

Wyrzekłszy te słowa, Żyd Wieczny Tułacz nagle zamilkł i spojrzawszy na kabalistę wzrokiem pełnym wzdargi, rzekł:

- Synu nieczysty Mamuna, potężniejszy od ciebie adept wzywa mnie na wierzchołek Atlasu. Bywaj zdrów!

- Kłamiesz - przerwał kabalista - ja mam sto razy więcej władzy od szejka Tarudantu.

- Straciłeś swoją władzę w Venta Quemada - rzekł Żyd spieszenie uchodząc, tak że wkrótce straciliśmy go z oczu.

Kabalista zmieszał się cokolwiek, ale zastanowiwszy się przez chwilę, rzekł:

- Upewniam was, że zuchwalec nie ma pojęcia o połowie formuł będących w mojej mocy i że dopiero pozna je swoim kosztem. Ale mówmy o czym innym. Senior Velasquez, czy dobrze śledziłeś tok całego jego opowiadania?

- Bez wątpienia - odpowiedział geometra - baczenie przysłuchiwałem się jego słowom i znajduję, że wszystko, co mówił, zupełnie zgadza się z historią. Tertulian wspomina o sekcie herodian.

- Byłżebyś senior równie biegły w historii jak w matematyce? - przerwał kabalista.

- Niezupełnie - rzekł Velasquez - wszelako, jak wam to już mówiłem, ojciec mój, który do wszystkiego stosował obliczenia matematyczne, sądził, że można je także użyć do nauki historii, mianowicie zaś do oznaczania, w jakim stosunku prawdopodobieństwa stoją zaszłe wypadki do tych,

które mogły zajść. Dalej nawet posuwał swoją teorię, sądził bowiem, że można wyobrażać czyny i namiętności ludzkie za pomocą figur geometrycznych.

Dla wyraźniejszego pojęcia podam wam przykład. Tak mówił mój ojciec: Antoniusz przybywa do Egiptu, miotają nim dwie namiętności: ambicja, prowadząca go do panowania, i miłość, która go od niego odciąga. Przedstawiam dwa te kierunki za pomocą dwóch linii AB i AC pod jakimkolwiek kątem. Linia AB, przedstawiająca miłość Antoniusza do Kleopatry, jest krótsza od linii AC, ponieważ Antoniusz miał w gruncie rzeczy mniej miłości niż ambicji. Przypuśćmy, że stosunek jest jak jeden do trzech. Biorę więc odcinek AB i przenoszę go trzy razy na linię AC, po czym dopełniam równoległoboku i prowadzę przekąt-nię, która przedstawi mi jak najdokładniej nowy kierunek, sprawiony przez siły działające ku B i C. Przekątnia ta zbliży się ku linii AB. jeżeli przypuścimy więcej miłości i przedłużymy odcinek AB. Natomiast jeżeli przypuścimy więcej miłości, przekątnia zbliży się ku linii AC. (Gdyby ambicja posiadała wyłączność. to kierunek działania pokrywałby się z linią AC. jak na przykład u Augusta, któremu obca była miłość i który dzięki temu, choć obdarzony mniejszą energią, o wiele prędzej dochodził do celu). Ponieważ jednak namiętności wzrastają lub zmniejszają się stopniowo, kształt zatem równoległoboku również musi ulegać odmianom i wtedy koniec wypadającej przekątnej z wolna przechodzi w linię krzywą, do której można by zastosować teorię dzisiejszego rachunku różniczkowego, zwanego dawniej rachunkiem fleksyjnym.

Wprawdzie mądry dawca mego życia uważał wszystkie te zagadnienia historyczne za przyjemne zabawki, ożywiające jednostajność jego właściwych studiów; ponieważ jednak dokładność rozwiązań zależała od pewności wiadomych, przeto mój ojciec, jak to już mówiłem, z gorliwą starannością zbierał wszelkie źródła historyczne. Skarb ten długo był dla mnie zamknięty, podobnie jak książki geometryczne, ojciec mój bowiem pragnął, abym umiał tylko sarabandę, menueta i inne tym podobne niedorzeczności. Na szczęście dostałem się do szafy i wtedy dopiero oddałem się nauce historii.

- Pozwól, senior Velasquez - rzeki kabalista - abym jeszcze raz wyraził mój podziw, że widzę cię równie biegłym w historii jak w matematyce, jedna bowiem z tych nauk zależy więcej od rozwagi, druga zaś od pamięci, tymczasem dwie te władze umysłu są względem siebie całkiem przeciwne.

- Ośmielam się nie podzielać pańskiego zdania - odparł geometra. - Rozwaga dopomaga pamięci, porządkując zebrane przez nią materiały, tak że w usystematyzowanej pamięci każde pojęcie poprzedza zwykle możebne z niego wnioski. Wszelako nie przeczę, że tak pamięć jak rozwaga mogą być skutecznie zastosowane tylko do pewnej liczby pojęć. Ja na przykład wybornie pamiętam wszystko, czego uczyłem się z nauk ścisłych, historii ludzi i natury, podczas gdy z drugiej strony często zapominam o chwilowych stosunkach z otaczającymi mnie przedmiotami, czyli, wyraźniej mówiąc, nie widzę rzeczy podpadających mi pod oczy i nie słyszę wyrazów, które często krzyczą mi nad uszami. Stąd pochodzi, że niektórzy uważają mnie za roztargnionego.

- W istocie - rzekł kabalista - pojmuje teraz, jakim sposobem wpadłeś, senior, naówczas w wodę.

- Nie ma wątpliwości - mówił dalej Velasquez - że sann nie wiem, dlaczego znalazłem się w wodzie w chwili, gdy się tego najmniej spodziewałem. Wypadek ten jednak mocno mnie cieszy, tym bardziej że dał mi sposobność ocalenia życia temu szlachetnemu młodzieńcowi, który jest kapitanem w gwardii wallońskiej. Z tym wszystkim rad bym jak najradziej oddawać podobne przysługi, gdyż nie znam wrażenia mniej przyjemnego, niż kiedy człowiek na czczo opije się wody.

Po kilku zdaniach podobnego rodzaju przybyliśmy na miejsce noclegu, gdzie zastaliśmy przyrządzoną wieczerzę. Zajadano smacznie, ale rozmowa powoli się wlokła, gdyż kabalista zdawał się być zafrasowany. Po wieczerzy brat z siostrą długo między sobą rozmawiali. Nie chciałem im przerywać i odszedłem do małej jaskini, gdzie przygotowano mi poślanie.

Dzień dwudziesty trzeci

Czas był zachwycający. Zerwaliśmy się o wschodzie słońca i po lekkim śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Około południa zatrzymaliśmy się i zasiedliśmy do stołu, czyli raczej do skórzanego obrusa, rozestanego na ziemi. Kabalista zaczął odzywać się z pewnymi zdaniem, dowodzącymi, że niezupełnie jest zadowolony ze swego napowietrznego świata. Po obiedzie znowu jął to samo powtarzać, aż wreszcie siostra jego, uważając, że monologi te muszą nudzić towarzystwo, dla zmiany rozmowy prosiła Velasqueza, aby raczył dalej ciągnąć opowiadanie swoich przygód, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII VELASQUEZA

Miałem zaszczyt opowiedzieć wam, jak przyszedłem na świat i jak mój ojciec, wzięwszy mnie w objęcia, zmówił nade mną modlitwę geometryczną i zaprzysiął, że nigdy nie każe mnie uczyć matematyki. W sześć tygodni po moim urodzeniu ojciec ujrzał przybijającą do portu małą szebekę, która, zarzuciwszy kotwicę, wysłała do lądu szalupę. Niebawem wysiadł z niej starzec złamany wiekiem i odziany w strój właściwy dworzanom nieboszczyka księcia Velasqueza, to jest w zielony kaftan ze złotymi i szkarłatnymi wyłogami i wiszącymi rękawami oraz pas galicyjski ze szpadą na temblaku. Mój ojciec wziął teleskop i zdało mu się, że rozpoznał Alvareza. On to był w istocie. Staruszek zaledwie mógł już chodzić. Ojciec wybiegi naprzeciw niego aż do przystani, obaj padli sobie w objęcia i długo nie byli w stanie słowa przemówić z rozrzewnienia. Następnie Alvarez oznajmił ojcu, że przybywa od księżnej Blanki, która już od dawna mieszka w klasztorze urszulanek, i oddał mu list następującej treści:

Senor don Henryku!

Nieszczęśliwa, która spowodowała śmierć własnego ojca i zniszczyła los tego, któremu niebo ją przeznaczyło, ośmiela się przypomnieć twojej pamięci.

Pogrążona w zgryzotach sumienia, oddałam się pokucie, której surowość miała przyspieszyć kres. Alvarez przedstawił mi, że jeżeli umrę, zostawię księcia wolnym i że małżonek mój niechybnie wejdzie w powtórne związki, zapewne szczęśliwsze co do potomstwa niż ze mną; przeciwnie zaś, zachowując życie, mogę przynajmniej zapewnić ci dziedzictwo naszego majątku. Uznałam słuszność tego zdania, zaprzestałam zbytecznych postów, porzuciłam włosiennicę i ograniczyłam moją pokutę do odosobnienia i modlitwy. Tymczasem księżę, oddany światowym rozkoszom, każdego prawie roku zapadał na zdrowiu i nieraz myślałam, że zostawi cię posiadaczem tytułów i majątków naszego domu.

Ale snadź niebo postanowiło zachować cię w ukryciu, niezgodnym z twoimi znakomitymi zdolnościami.

Dowiedziałam się, że masz syna. Jeżeli teraz pragną żyć, jedyną tego przyczyną jest chęć powrócenia mu korzyści, jakie przez moją winę utraciłeś. Tymczasem czuwałam tak nad jego, jak i nad twoim losem. Dobra alodialne naszego domu od najdawniejszych czasów zawsze należały do linii młodszej, ponieważ jednak nie upominałeś się o nie, przyłączono je do majątków przeznaczonych na moje utrzymanie. Z tym wszystkim jest to twoja własność i Alvarez wręczy ci dochód z piętnastu lat, jak również odbierze polecenia twoje względem dalszego ich zarządu. Powody wypływające z niektórych cech charakteru księcia Velasquez nie pozwoliły mi znieść się z tobą wcześniej.

Żegnam cię, senior don Henryku; nie ma dnia, w którym bym nie wznosiła pokutniczego głosu i nie błagała nieba o błogostawieństwo dla ciebie i twojej szczęśliwej małżonki. Módl się także za mnie i nie odpowiadaj mi na list.

Wspomniałem wam już o wpływie, jaki wspomnienia wywierały na umysł mego ojca, możecie więc pojąć, że list ten rozbudził je wszystkie razem. Przez cały rok nie był w stanie zająć się ulubionymi zatrudnieniami; dopiero starania żony, przywiązanie, jakie miał do mnie, nade wszystko zaś ogólna teoria równań, którą geometryści naówczas zaczęli się zajmować, zdołały duszy jego powrócić siłę i spokojność. Zwiększenie dochodów pozwoliło mu pomnożyć księgozbiór i gabinet fizyczny; wkrótce nawet udało mu się urządzić małe obserwatorium, zaopatrzone w doskonałe narzędzia. Nie potrzebuję dodawać, że nie omieszkiał zadośćuczynić wrodzonej skłonności do dobrych uczynków. Zaręczam wam, że nie zostawiłem w Ceucie żadnego człowieka naprawdę godnego politowania, gdyż ojciec mój wszelkimi sposobami starał się zabezpieczyć każdemu przyzwoite utrzymanie. Szczegóły, jakie mógłbym wam opowiedzieć, byłyby niewątpliwie zajmujące, ale nie zapominam, że przyrzekłem wam własną historię i nie powinienem zbaczać z raz wytkniętej linii.

O ile pamiętam, ciekawość była pierwszą moją namiętnością. W Ceucie nie ma ani koni, ani powozów, ani innych tym podobnych niebezpieczeństw dla dzieci, pozwalano mi zatem biegać po ulicach wedle upodobania. Zaspokajałem więc moją ciekawość, sto razy na dzień chodząc do portu i wracając do miasta: wchodziłem nawet do domów, do magazynów, arsenałów, pracowni, przypatrując się robotnikom, towarzysząc tragarzom, rozpytując przechodniów, jednym słowem, mieszając się do wszystkiego. Ciekawość moja bawiła wszystkich, wszędzie z przyjemnością starano się zadość jej uczynić, wszędzie, z wyjątkiem domu rodzicielskiego.

Ojciec kazał zbudować na środku podwórza oddzielny pawilon, w którym umieścić księgozbiór, gabinet fizyczny i obserwatorium. Wzbroniono mi wejścia do tego pawilonu; z początku mało mnie to obchodziło, wkrótce jednak zakaz ten, zaostrzając moją ciekawość, stał się dzielnym bodźcem, który pchnął mnie na drogę nauk. Pierwszą nauką, której się oddałem, była część historii naturalnej zwana konchologią. Ojciec często chodził nad brzeg morski w pewne miejsce otoczone skałami, gdzie podczas ciszy woda była przezroczysta jak zwierciadło. Tam śledził zwyczajnie zwierząt morskich, skoro zaś trafiał na piękną muszlę, natychmiast zanosił ją do domu. Dzieci z natury są naśladowcami, mimowolnie więc stałem się konchologiem i długo zapewne byłbym w tej gałęzi pracował, gdyby raki, pokrzywy morskie i jeżowce nie zbrzydziły mi tego zatrudnienia. Porzuciłem historię naturalną i zająłem się fizyką.

Ojciec, potrzebując rzemieślnika do wymiany, naprawy lub naśladowania narzędzi, przesyłanych mu z Anglii, wyuczył tej sztuki pewnego kanoniera, któremu natura udzieliła stosownych zdolności. Prawie całe dni przepędzałem u tego przyuczonego mechanika, pomagając mu w pracy. Powziąłem tam wiele wiadomości; ale cóż, gdy zbywało mi na pierwszej i najgłówniejszej: nie umiałem ani czytać, ani pisać. Choć kończyłem już ósmy rok, ojciec mój wciąż powtarzał, że dość będzie, jeżeli nauczę się podpisywać własne nazwisko i tańczyć sarabandę. Był naówczas w Ceucie pewien niemłody już ksiądz, wydalony skutkiem jakiejś intrygi z klasztoru. Wszyscy powszechnie go szanowali. Często przychodził nas odwiedzać. Zaczynając duchowny, widząc mnie tak zaniedbanego, przedstawił memu ojcu, że należy wyuczyć mnie przynajmniej religii, i podjął się tego obowiązku. Ojciec zgodził się i ksiądz Anzelm pod tym pozorem wyuczył mnie czytać, pisać i rachować. Czyniłem szybkie postępy, zwłaszcza zaś w arytmetyce, w której niebawem prześcignąłem mego mistrza.

Tym sposobem doszedłem do dwunastego roku życia i jak na mój wiek posiadałem wiele wiadomości, wszelako strzegłem się występować z nimi przed ojcem, skore bowiem czasami zapominałem się, wnet spoglądał na mnie surowo, mówiąc:

- Ucz się sarabandy, mój synu, ucz się sarabandy i porzuć te inne rzeczy, które mogą tylko przyczynić ci nieszczęścia.

Natenczas matka moja dawała mi znak, abym milczał, i zwracała rozmowę na inne tory.

Pewnego dnia, podczas obiadu, gdy mój ojciec znowu namawiał mnie, abym poświęcał się Terpsychorze, ujrzałem wchodzącego człowieka mniej więcej trzydziestoletniego, ubranego z francuska.

Złożył nam z tuzin ukłonów, jeden po drugim, po czym, chcąc wykręcić pirueta, potracił służącego z wazą, która rozbiła się na drobne kawałki. Hiszpan byłby rozpułnął się w przeprosinach, cudzoziemiec jednak wcale się tym nie zmieszał. Wybuchnął śmiechem, następnie zaś oznajmił nam w zepsutej hiszpańskiej mowie, że nazywa się margrabią de Folencour, że zmuszony został opuścić Francję za zabicie człowieka w pojedynku i że prosi nas o udzielenie mu schronienia, dopóki jego sprawa nie będzie załatwiona.

Folencour jeszcze nie ukończył swojej przemowy, gdy ojciec nagle z żywością porwał się od stołu i rzekł:

- Mości margrabisio, jesteś pan człowiekiem, jakiego od dawna wyglądałem. Raczej uważałem mój dom za własny, rozkazuj, jak ci się tylko podoba, w zamian zaś nie wzbraniaj się zająć trochę wychowaniem mego syna. Jeżeli z czasem stanie się do ciebie nieco podobny, uczynisz mnie najszczęśliwszym z ojców.

Gdyby Folencour mógł być odgadnąć ukrytą myśl, jaką mój ojciec do tych słów przywiązywał, byłby zapewne szczerze się skrzywił; ale przyjął to oświadczenie dosłownie, zdał się być mocno z niego zadowolony i podwoił zuchwalstwa, zwracając uwagę na piękność mojej matki i podeszły wiek mego ojca, który pomimo to był uszczęśliwiony i ciągle wystawiał mi go za przykład.

Przy końcu obiadu ojciec zapytał margrabiego, czy jest w stanie wyuczyć mnie sarabandy. Zamiast odpowiedzi nauczyciel mój parsknął głośnym śmiechem i gdy nareszcie ochłonął nieco z tej wielkiej radości, oświadczył nam, że od dwudziestu wieków nikt nie tańczy już sarabandy, ale le passepied i la

bourree. Przy tych słowach dobył z kieszeni małe skrzypki, jakie zwykli nosić tancmistrze, i zaczął grać melodie tych dwóch tańców. Gdy skończył, ojciec rzekł mu z powagą:

- Mości margrabis, grasz pan na instrumencie obcym dla wszystkich dobrze urodzonych ludzi i można by sądzić, że jesteś tancmistrem z rzemiosła. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia, a może nawet dzięki temu lepiej będziesz mógł spełnić nadzieje, jakie w tobie pokładam. Proszę cię, abyś od jutra zaraz zajął się moim synem i wykształcił go na podobieństwo szlachcica z dworu francuskiego.

Folencour przyznał, że w istocie nieszczęścia rodzinne zmusiły go do oddawania się przez jakiś czas rzemiosłu tancmistrza, że jednak jest człowiekiem dobrze urodzonym, a tym samym zdatnym na mentora młodzieńca należącego do znakomitej rodziny. Postanowiono więc, że już nazajutrz zacznie brać lekcje tańca i światowego ułożenia. Ale zanim przystąpię do opisu tego nieszczęsnego dnia, muszę wam opowiedzieć rozmowę, jaką tego samego wieczora mój ojciec miał z don Cadanzą, swoim teściem. Nigdy mi ona dotychczas nie przychodziła na myśl, ale w tej chwili całą ją sobie przypominam i zapewne radzi jej posłuchacie.

Tego dnia ciekawość zatrzymała mnie przy moim nowym nauczycielu, nie wybiegłem więc wcale na ulicę; pozostałem w domu i przechodząc obok gabinetu ojca, usłyszałem, jak podnosząc głos, z uniesieniem mówił do teścia Cadanzy:

- Po raz ostatni przestrzegam cię, kochany teściu: jeżeli nie zaprzestasz twoich tajemniczych działań i wysyłania posłańców w głąb Afryki, będę zmuszony zaskarżyć cię do ministra.

- Ależ, mój zięciu - odpowiedział Cadanza - jeżeli pragniesz dowiedzieć się tajemnicy, możesz to skutecznie z wszelką łatwością. Moja matka pochodziła z Gomelezów, krew ich więc płynie w żyłach twego syna.

- Mości Cadanza - przerwał mój ojciec - ja tu rozkazuję w imieniu króla i nie mam nic wspólnego z Gomelezami i wszystkimi ich tajemnicami. Bądź pewny, że jutro jeszcze uwiadomię ministra o całej naszej rozmowie.

- Ty zaś - rzekł Cadanza - bądź pewny, że minister zabroni ci na przyszłość mieszać się w nasze sprawy.

Na tym skończyła się ich rozmowa. Tajemnica Gomelezów mocno mnie zajmowała przez resztę dnia i pewną część nocy, ale nazajutrz przeklęty Folencour dał mi pierwszą lekcję tańca, która całkiem inaczej się skończyła, aniżeli mój ojciec tego sobie życzył. Skutkiem tej lekcji było, że mogłem nareszcie oddać się moim ulubionym matematycznym zatrudnieniom.

Gdy Velasquez domawiał tych słów, kabalista przerwał mu, mówiąc, że ma do pomówienia z siostrą o niektórych ważnych rzeczach. Rozeszliśmy się więc i każdy udał się w swoją stronę.

Dzień dwudziesty czwarty

Znowu zaczęliśmy błąkać się po Alpuharach, przybyliśmy wreszcie na spoczynek i posiliwszy się wieczną, prosiliśmy Velasqueza, aby raczył dalej opowiadać przygody swego życia, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII VELASQUEZA

Ojciec chciał być obecny przy pierwszej mojej lekcji tańca i żądał, aby moja matka także mu towarzyszyła. Folencour, zachęcony tak pochlebny przyjęciem, zapomniał zupełnie, że przedstawił się nam jako człowiek dobrze urodzony, i zaczął od szumnej przemowy na pochwałę sztuki choreograficznej, którą nazywał swoim zawodem. Następnie zwrócił uwagę, że trzymam nogi do siebie, i usiłował wytłumaczyć, że haniebny ten zwyczaj zupełnie nie przystoi szlachcicowi. Obróciłem więc palce na zewnątrz i próbowałem chodzić tym sposobem, jakkolwiek groziła mi utrata równowagi. Folencour wciąż jeszcze nie był zadowolony i wymagał, żebym stąpał na palcach. Nareszcie, zniecierpliwiony, ujął mnie ze złością za rękę i, chcąc ku sobie przybliżyć, pociągnął tak gwałtownie, że straciwszy równowagę padłem na twarz i mocno się potłukłem. Folencour, zamiast mnie przeprosić, uniósł się niepohamowanym gniewem i zaczął używać wyrażań, których nieprzyzwoitość sam byłby osądził, gdyby lepiej umiał po hiszpańsku. Przyzwyczajony do powszechnej grzeczności mieszkańców Ceuty, sądziłem, że nie należy bezkarnie puszczać takiej zniewagi. Śmiało zbliżyłem się więc do tancmistrza i porwawszy jego skrzypki, rozbiłem je w drobne kawałki, przysięgając, że żadnej nauki nie pragnę od człowieka tak źle wychowanego. Ojciec nie rzekł na to ani słowa, powstał w milczeniu, wziął mnie za rękę, zaprowadził do maleńkiej izdebki na końcu podwórza i zamknął drzwi za mną, mówiąc, że wtedy z niej wyjdę, gdy wróci mi ochota do tańca.

Wychowany w zupełnej wolności, z początku nie mogłem przywyknąć do więzienia i długo gorzko płakałem. Cały we łzach, obróciłem oczy ku jednemu kwadratowemu oknu znajdującemu się w izbie i zacząłem rachować szyby. Było ich dwadzieścia sześć na długość i tyleż na szerokość. Przypomniałem sobie lekcje arytmetyki ojca Anzelma, którego nauka nie wykraczała poza mnożenie.

Pomnożyłem wysokość kwadratów przez szerokość i z zadziwieniem ujrzałem, że wypadła mi prawdziwa ilość szyb. Ustały moje łkania i ukoїła się boleść. Powtórzyłem obliczenie, opuszczając jeden, a potem dwa pasy kwadratów, raz z szeregow pionowych, to znowu z poziomych. Zrozumiałem naowczias, że mnożenie jest tylko wielokrotnością dodawania i że powierzchnie dają się tak samo mierzyć jak i długości. Wykonałem to samo doświadczenie na kamiennych flizach, którymi moja izdebka była wyłożona; i tym razem wynik zadowolili mnie zupełnie. Wtedy nie myślałem już o płaczu, serce biło mi z radości; dziś nawet nie mogę o tym mówić bez wzruszenia.

Okolo południa matka przyniosła mi czarnego chleba i dzbanek wody. Zaklinała mnie ze łzami w oczach, abym zgodził się na życzenia ojca i rozpoczął lekcje z Folencourem. Gdy skończyła swoją przemowę, pocałowałem ją z czułością w rękę. po czym prosiłem, aby mi przysłała papieru i ołówek i nie troszczyła się więcej o mój los, gdyż - co do mnie - bynajmniej nie pragnę zmiany. Matka odeszła zadziwiona i dostarczyła mi żądanych przedmiotów. Wtedy oddałem się obliczeniom z niewypowiedzianym zapałem, przekonany, że co chwila dokonywam najważniejszych odkryć;

w istocie, wszystkie te własności liczb były dla mnie prawdziwymi odkryciami, nie miałem bowiem dotąd o nich najmniejszego pojęcia.

Tymczasem głód zaczął mi doskwierać; rozłamałem chleb i spostrzegłem, że matka umieściła w nim kurczę pieczone i kawałek szynki. Ta oznaka dobroci powiększyła moją wesołość, z radością więc powróciłem do rachunków. Wieczorem przyniesiono mi świecę i pracowałem do późnej nocy.

Nazajutrz podzieliłem na połowę boki kwadratu i ujrzałem, że mnożenie połowy przez połowę daje w wyniku ćwierć; podzieliłem dalej ten sam bok na trzy części i otrzymałem jedną dziewiątą; tak powziąłem pierwsze pojęcia o ułamkach. Upewniłem się jeszcze więcej, pomnożywszy dwa i pół przez dwa i pół, prócz bowiem kwadratu z dwóch otrzymałem pas o powierzchni dwa i ćwierć.

Tym sposobem coraz dalej posuwałem moje badania i znalazłem, że mnożąc daną liczbę przez samą siebie i podnosząc iloczyn do kwadratu, otrzymuję taki sam wynik, jak mnożąc ją trzykrotnie przez samą siebie.

Wszystkie moje odkrycia nie były wcale wyrażone algebraicznie, nie miałem bowiem o tej nauce żadnego pojęcia. Wymyśliłem sobie specjalne znaki, powzięte z kwadratu mego okna, które pomimo to zalecały się jasnością i wdziękiem.

Na koniec, szesnastego dnia, matka przyniosłszy mi obiad, rzekła:

- Drogie dziecię, przychodzę do ciebie z dobrą nowiną: odkryło się, że Folencour jest dezserterem, twój ojciec zaś, który nienawidzi dezercji, kazał go wsadzić na okręt i odesłać do Francji. Spodziewam się, że wkrótce wyjdiesz z twego więzienia.

Przyjąłem te słowa z obojętnością, która zadziwiła matkę. Niebawem wszedł ojciec, potwierdził jej wyrazy i dodał, że napisał do swoich przyjaciół, Cassiniego i Huygensa, prosząc o przysłanie mu nut i figur tańców najbardziej wziętych w Paryżu i Londynie. Wreszcie sam doskonale pamiętał sposób, w jaki brat jego Karlos okręcał się na pięcie wchodząc do salonu, a ostatecznie tego przede wszystkim chciał mnie na-uczyć.

Mówiąc to ojciec mój spostrzegł zwój papieru wyglądający mi z kieszeni i wziął go do rąk. Z początku mocno się zdziwił, widząc mnóstwo liczb, a zwłaszcza całkiem nieznanego mu znaki. Wytłumaczyłem mu je wraz z wszystkimi moimi działaniami. Zdumienie jego coraz wzrastało, ale dostrzegłem, że nie było mu zupełnie nieprzyjemne. Zapoznawszy się z moimi obliczeniami, rzekł:

- Mój synu, gdybym do tego okna, mającego 26 kwadratów we wszystkich kierunkach, dodał dwa na linii podstawy, chcąc zarazem zachować kształt kwadratu, ile by razem było kwadratów?

Odpowiedziałem bez wahania:

- Miałbym z boku i u góry dwa pasy, każdy z 52 kwadratów, a nadto w rogu mały kwadrat o czterech kwadracikach dotykający obu pasów.

Słowa te przejęły ojca żywą radością, którą jednak starał się ukryć, po czym rzekł:

- Gdybym atoli dodał u podstawy okna linię nieskończenie wąską, jaki byłby kwadrat? Zastanowiłem się przez chwilę i odpowiedziałem:

- Miałbym dwa pasy równie długie jak boki okna, ale nieskończenie wąskie, co zaś do kwadratu narożnego, ten byłby tak mały, że nie mogę go sobie żadnym sposobem wyobrazić.

Tu ojciec upadł na krzesło, złożył ręce, wznosił oczy ku niebu i rzekł:

- Wielki Boże, on sam odgadł prawo dwumianu i jeżeli mu nie przeszkodzę, gotów odkryć cały rachunek różniczkowy!

Przełękłem się widząc stan mego ojca, odwiązałem mu krawatę i zacząłem wołać o pomoc. Nareszcie wrócił do zmysłów i przycisnął mnie do serca, mówiąc:

- Moje dziecię, moje kochane dziecię, porzuć te rachunki, ucz się sarabandy, mój przyjacielu, ucz się lepiej sarabandy.

Już nie było nawet mowy o dalszym więzieniu. Tego samego wieczora obszedłem dokoła wały Ceuty i chodząc, ciągle powtarzałem: "On odgadł prawo dwumianu, on odgadł prawo dwumianu". Mogę śmiało wyznać, że odtąd z każdym dniem czyniłem nowe postępy w matematyce. Ojciec zaprzysiągł, że nigdy nie będzie mnie jej uczył, ale pewnego dnia znalazłem przy łóżku Arytmetykę ogólną don Izaaka Newtona i o ile mi się zdaje, ojciec musiał umyślnie ją tam zostawić. Czasami także znajdowałem otwarte drzwi do biblioteki i nigdy nie omieszkałem korzystać z tej sposobności.

Niekiedy jednak ojciec wracał do dawnych swoich zamiarów, chciał znowu kształcić mnie na człowieka światowego i kazał mi okręcać się na pięcie przy wchodzeniu do pokoju. Sam nucił jakąś arię udając, że nie spostrzega moich niezgrabnych ruchów, po czym zalewał się łzami mówiąc:

- Moje dziecko. Pan Bóg nie stworzył cię na aroganta. dni twoje nie będą szczęśliwsze od moich.

W pięć lat po mojej przygodzie z Folencourem matka moja zaszła w ciążę i urodziła córkę, którą nazwano Blanką, na pamiątkę pięknej, chociaż zbyt lekkomyślnej księżnej Velasquez. Jakkolwiek pani ta zabroniła memu ojcu pisać do siebie, wypadało jednak donieść jej o przyjściu na świat córki. Wkrótce nadeszła odpowiedź, która odnowiła dawne blizny, ale ojciec znacznie już się postarzał i wiek stępił w nim żywość uczuć.

Następnie upłynęło dziesięć lat, których jednostajności nie przerwał żaden wypadek. Życie moje i mego ojca uprzyjemniały tylko nowe wiadomości, jakie z każdym dniem wzbogacały nasze umysły. Ojciec porzucił nawet dawny sposób postępowania ze mną. W istocie, nie od niego nauczyłem się matematyki, on bowiem nie szczędził niczego, abym umiał sarabandę, nie miał więc sobie nic do wyrzucenia i z przyjemnością, bez skrupułu, oddawał się rozmowie ze mną, zwłaszcza w przedmiotach nauk ścisłych. Rozmowy te zwykle podniecały moją gorliwość i podwajały pilność, ale zarazem - jak to wam już mówiłem - chłonąc całą moją uwagę, budziły we mnie skłonność do roztargnienia. Stan ten musiałem często zbyt drogo opłacać: pewnego dnia - o czym wam wkrótce opowiem - wyszedłszy z Ceuty, sam nie wiem jakim sposobem znalazłem się pośród Arabów.

Siostra moja tymczasem z dnia na dzień stawała się coraz bardziej piękna i pełna wdzięku i nic by nam nie brakowało do szczęścia, gdybyśmy mogli zachować naszą matkę, ale przed rokiem nieubłagana choroba wydarła ją z naszych objęć. Ojciec przyjął wtedy do swego domu siostrę nieboszczki żony, donę Antonię de Poneras, kobietę dwudziestoletnią, owdowiałą od sześciu miesięcy. Była ona z drugiego małżeństwa mego dziada. Don Cadanza, wydawszy córkę za męż.

znalazł się nagle osamotnionym i postanowił powtórnie się ożenić, ale po sześciu latach pożycia stracił i drugą żonę, która wydała na świat dziewczynkę o pięć lat młodszą ode mnie. Dorósłszy, wyszła ona za mąż za niejakiego pana de Poneras, który zmarł w pierwszym roku po ślubie.

Moja młoda i piękna ciotka wprowadziła się do mieszkania matki i poczęła trudnić się zarządaniem całego domu. Szczególnie troszczyła się o mnie i przynajmniej dwadzieścia razy na dzień wchodziła do mego pokoju pytając, czy nie chcę czekolady, limoniady lub czego podobnego.

Odwiedziny te często były mi nader nieprzyjemne, przerywały bowiem moje obliczenia. Jeżeli przypadkiem dona Antonia mi nie przerywała, zastępowała ją jej służąca. Była to dziewczyna w równym wieku ze swoją panią, tegoż samego humoru i nazywała się Ma-rika.

Wkrótce spostrzegłem, że siostra moja wcale nie lubi ani pani, ani służącej. Podzielałem w tym względzie jej uczucia, których całą przyczyną z mojej strony było zniecierpliwienie natręctwem tych kobiet. Wprawdzie nie zawsze im się udawało mi przeszkodzić, gdyż miałem zwyczaj, gdy któraś z nich weszła, podstawiać tymczasowe wartości, i dopiero kiedy znów zostawałem sam, wracałem do moich rachunków.

Pewnego dnia, gdy byłem zajęty szukaniem jakiegoś logarytmu, Antonia weszła do mego pokoju i usiadła koło mnie na fotelu przy stole. Zaczęła uskarżać się na upał, zdjęła chustkę z ramion, złożyła ją i powiesiła na oparciu swego fotela. Poznawszy, że tym razem zabiera się na długie posiedzenie, zatrzymałem moje obliczenia przy czwartej średniej proporcjonalnej i jąłem zastanawiać się nad naturą logarytmów oraz nad niesłychaną pracą, jaką ułożenie tablic musiało kosztować sławnego barona Nepera. Wtedy Antonia, pragnąc mi przeszkodzić, wstała, zakryła mi oczy rękami i rzekła:

- Teraz spróbujemy, czy potrafisz dalej rachować, mości geometro.

Słowa ciotki zdały mi się prawdziwym wyzwaniem. Ponieważ w ostatnich czasach wiele zajmowałem się tablicami logarytmicznymi i umiałem je, jak to mówią, na pamięć, przyszła mi więc myśl rozłożenia na trzy czynniki liczby, której logarytmu szukałem. Znalazłem trzy takie, których logarytmy znałem, czym prędzej zatem dodałem je i nagle, wyrwijąc się z rąk Antonii, napisałem cały logarytm, tak że nie brakowało w nim żadnego dziesiętnego miejsca. Antonia mocno się tym rozgniewała i wyszła z pokoju, mówiąc z oburzeniem:

- Cóż to za głupcy, te geometry!

Być może chciała przez to powiedzieć, że mojej metody nie dałoby się zastosować do liczb pierwszych, ponieważ dzielą się one tylko przez jeden. Pod tym względem miała rację, niemniej metoda moja była pomysłowa i na pewno nie zasłużyłem sobie, by mnie nazywać głupcem. Wkrótce potem przyszła jej służąca, Marika, która także chciała się ze mną przekomarzać, ale byłem tak rozjątrzony słowami jej pani, że odprawiłem ją bez żadnej ceremonii.

Teraz zbliżam się do epoki mego życia, w której nadałem moim pojęciom nowy kierunek i zwróciłem je wszystkie do jednego celu. Spostrzeżecie w życiu każdego uczonego chwilę, w której silnie uderzony prawdą jakiejś zasady bada jej skutki i zastosowanie i rozwija ją w uporządkowany system. Natenczas podwaja odwagę i pracę, wraca do punktu, z którego wyszedł, i uzupełnia niedokładność pierwszych pojęć. Zastanawia się z osobna nad każdą wiadomością, spogląda na nią ze wszystkich stron, następnie łączy je wszystkie razem i porządkuje. Jeżeli nawet nie uda mu się zbudować

systemu albo też przekonać się o prawdziwości odkrytej zasady, to w każdym razie staje się mędrszy, niż wówczas, gdy przystępował do pracy, i nabywa pewnych wiadomości, o których istnieniu dotąd wcale nie myślał. Nadeszła więc i dla mnie chwila zbudowania systemu, okoliczność zaś, która podała mi pierwszą myśl, była następująca:

Pewnego wieczoru, gdy po wieczery kończyłem rozwiązanie nader zawitego zagadnienia z zakresu rachunku różniczkowego, ujrzałem wchodzącą ciotkę Antonię w samej tylko koszuli.

- Mój synowcze - rzekła do mnie - widok światła w twoim pokoju nie daje mi zasnąć, ponieważ więc matematyka jest nauką tak powabną, pragnę zatem, abyś mnie jej nauczył.

-Nie mając nic lepszego do czynienia, przystałem na żądanie ciotki. Wziąłem tablicę i wyłożyłem jej dwa pewniki Euklidesa; właśnie miałem przechodzić do trzeciego, gdy Antonia nagle wyrwijąc mi tablicę zawołała:

- Nieznośny pedancie, czyliż matematyka dotąd nie nauczyła cię, skąd się biorą dzieci na świecie?

Z początku wyrazy te wydały mi się niedorzeczne, ale głębiej się zastanowiwszy, powziąłem myśl, że zapewne chciała mnie zapytać o formułę ogólną, odpowiadającą wszystkim sposobom rozmnażania używanym przez naturę, zaczawszy od cedru - aż do porostów i od wieloryba - do żyjątek dostrzegalnych zaledwie za pomocą mikroskopu. Przypomniałem sobie zarazem uwagi, jakie niegdyś czyniłem nad różnaitością stopni pojęć u zwierząt, której przyczynę upatrywałem w odmienności sposobów płodzenia, w różności warunków rozwoju zarodka i w różności wychowania. Ta różnaitość stopni pojęć, wyrażająca się szeregami rosnącymi lub malejącymi, zaprowadziła mnie znów na teren matematyki. Jednym słowem, wpadłem na myśl wynalezienia formuły, która dla całego państwa zwierzęcego określałaby czynności jednakowego rodzaju a różnej wartości. Rozogniła się moja wyobraźnia, sądziłem, że potrafię oznaczyć miejsce geometryczne i granicę każdego z naszych pojęć i każdej wynikającej z tych pojęć czynności, czyli, wyraźniej mówiąc, zastosować obliczenie do całego systemu natury. Dręczony natłokiem myśli, uczułem potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem, wypadłem więc na wały i trzy razy je obiegłem, sam nie wiedząc, co czynię.

Nareszcie ochłonąłem nieco; dzień poczynął już świtać, chciałem zanotować sobie niektóre wnioski i tak pisząc skierowałem się w stronę domu. a raczej miałem wrażenie, że wracam drogą do domu. Stało się bowiem inaczej: zamiast pójść na prawo od wysuniętego bastionu, poszedłem na lewo i przez furtkę wypadową wyszedłem w fosę. Światło dnia było jeszcze słabe i ledwie widziałem, co piszę. Pragnąłem czym prędzej wrócić do domu i podwoiłem kroku, myśląc ciągle, że idę we właściwym kierunku, w rzeczywistości jednak szedłem po skarpie służącej do przeprowadzania dział w chwili wycieczki, i znajdowałem się już na przedpolu twierdzy.

Pomimo to bynajmniej nie spostrzegłem mojej pomyłki; nie zważając na otaczające mnie przedmioty, biegłem bez przerwy, gryzmołąc na tabliczkach, i tak coraz więcej oddalałem się od miasta. Na koniec, zmęczony, usiadłem i cały oddałem się moim rachunkom.

Po pewnym czasie podniosłem oczy i ujrzałem się wśród Arabów; ponieważ jednak znam trochę ich język, dość używany w Ceucie, powiedziałem im przeto, kim jestem, i prosiłem, żeby mnie odprowadzili do mego ojca, który nie omieszka dać im sowitego wykupu. Wyraz "wykup" zawsze

dobrze brzmi w uszach arabskich; otaczający mnie obrócili się z uśmiechem do naczelnika i zdawali się oczekiwać od niego odpowiedzi zapowiadającej im obfity zysk.

Szejk długo stał zamyślony i poważnie głaskał swoją brodę, po czym rzekł:

- Słuchaj, młody nazarejczyku. znamy twego ojca jako bogobojnego człowieka; słyszeliśmy także różne rzeczy o tobie. Powiadają, że jesteś równie dobry jak twój ojciec, ale że Pan Bóg pozbawił cię pewnej części twego rozumu. Niech cię to bynajmniej nie martwi. Bóg jest wielki i daje ludziom lub też odbiera im rozum wedle swego upodobania. Szaleńcy są żywym dowodem potęgi boskiej i nicości rozumu ludzkiego. Szaleńcy, nie znając złego ani dobrego, przedstawiają nam oprócz tego dawny stan niewinności człowieka. Są oni na pierwszym stopniu świętości. Nazywamy ich marabutami, równie jak naszych świętych. Wszystko to jest w zasadach naszej wiary; zgrzeszylibyśmy więc, wymagając za ciebie okupu. Odprowadzimy cię do pierwszej hiszpańskiej forpoczty z wszelkim szacunkiem i czcią, jakie podobnym tobie ludziom przynależą.

Wyznam wam, że mowa szejka zmieszała mnie do najwyższego stopnia.

- Jak to - rzekłem sam do siebie - na to miałebym w ślady Locke'a i Newtona dojść do ostatecznych granic pojęcia ludzkiego i postawić kilka pewnych kroków w przepaściach metafizyki, wspierając zasady pierwszego na obliczeniach drugiego - ażeby potem osądzono mnie za szaleńca? Zepchnięto do kategorii istot zaledwie należących do rodu człowieczego? Niech przepadną rachunek różniczkowy i wszystkie całkowania, do których przywiązywałem całą moją sławę!

To mówiąc porwałem tabliczki i rozbiłem je na drobne kawałki; następnie, jeszcze bardziej rozżalony, zawołałem:

- Ach, mój ojciec, miałeś słuszność, gdy chciałeś uczyć mnie sarabandy i wszystkich zuchwalstw, jakie tylko ludzie wymyślili!

Po czym jąłem mimowolnie powtarzać niektóre poruszenia sarabandy, jak to zwykł był czynić mój ojciec, i] e razy przypominał sobie dawne nieszczęścia.

Tymczasem Arabowie widząc, że potłukłem tabliczki, na których przed chwilą pisałem z taką gorliwością, i że zacząłem tańczyć, zawołali z czcią i politowaniem:

- Chwała Panu! Bóg jest wielki! Hamdullah! Allah kerim!

Po czym wzięli mnie łagodnie za ręce i odprowadzili do pierwszej forpoczty hiszpańskiej.

Gdy Velasquez doszedł do tego miejsca, zdał się nam mocno przygnębiony i roztargniony, spostrzegłszy więc, że z trudnością przyjdzie mu dalej ciągnąć opowiadanie, prosiliśmy, aby resztę odłożył na dzień następny.

Dzień dwudziesty piąty

Podróżowaliśmy dalej przez piękne, ale opuszczone okolice. Gdy obchodziliśmy jedną z gór, oddaliłem się od karawany i zdało mi się, że słyszę jęki w wydrążeniu gęsto zarosłej doliny, ciągnącej się wzdłuż drogi, na której wówczas się znajdowaliśmy. Jęki podwoiły się, zsiadłem z konia, przywiązałem go, dobyłem szpady i zapuściłem się w zarośla. Im bliżej podchodziłem, tym bardziej jęki zdawały się oddalać: nareszcie przybyłem na otwarte miejsce, gdzie znalazłem się pośród ośmiu czy dziesięciu ludzi, uzbrojonych w muszkiety i biorących mnie na cel.

Jeden z nich krzyknął, abym mu oddał szpadę: za całą odpowiedź poskoczyłem, chcąc go przesyć na wylot, ale natenczas położył muszkiet na ziemi, jakby sam zdawał się na łaskę, i ofiarował mi kapitulację, wymagając ode mnie jakowychś obietnic. Odpowiedziałem, że nie będę ani kapitulował, ani nic obiecywał.

W tej chwili usłyszano krzyki podróżnych, którzy umie przyzywali. Naczelnik - jak się zdawało - bandy rzekł do mnie:

- Senor kawalerze, szukają cię, nie mamy czasu do stracenia. Za cztery dni racz opuścić obóz i udać się drogą ku zachodowi; spotkasz osoby, które mają ci powierzyć ważną tajemnicę. Jęki, które słyszałeś, były tylko fortelem, użytym na sprowadzenie cię pośród nas. Nie zapominaj więc, abyś na czas się stawił.

Po tych słowach lekko mi się ukłonił, gwizdnął i zniknął wraz z towarzyszami. Złączyłem się z karawaną, ale nie uważałem za potrzebne zdawać sprawy z mego spotkania. Przybyliśmy wcześniej na nocleg i po wieczery prosiliśmy Velasqueza, aby kończył swoje przygody, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII VELASQUEZA

Mówiłem wam, jakim sposobem, zwracając uwagę na ogólny porządek wszechświata, sądziłem, że wynalazł zastosowania rachunkowe nikomu przedtem nie znane; powiedziałem wam następnie, jak ciotka moja Antonia swoim niedyskretnym i niestosownym zapytaniem sprawiła, że myśli moje zebrały się niejako w jedno ognisko i uporządkowały w system. Nareszcie oznajmiłem, jak - przekonawszy się, że uważano mnie za szaleńca - z największej egzaltacji umysłu od razu spadłem na samo dno zniechęcenia. Teraz wyznam wam, że stan tego przygnębienia był długi i bolesny. Nie śmiałem podnieść oczu na ludzi, zdawało mi się, że bliźni moi spiknęli się na odepchnięcie i poniżenie mnie. Z niesmakiem spoglądałem na książki, które mi tyle przyjemnych chwil użyczyły, widziałem w nich tylko nawał czczych wyrażań. Nie dotykałem więcej tabliczek, nie rachowałem, rozprzęgły się nerwy mego mózgu, straciły całą dzielność i nie miałem siły do myślenia.

Ojciec spostrzegł moje zniechęcenie i dopytywał się o przyczynę. Długo opierałem się, nareszcie powtórzyłem mu słowa szejka arabskiego i opowiedziałem smutek dręczący mnie od chwili, w której po raz pierwszy nazwano mnie szaleńcem. Ojciec opuścił głowę na piersi i zalał się łzami. Po długim milczeniu zwrócił na mnie wzrok pełen współczucia i rzekł:

- Ach, mój synu, ty tylko uchodzisz za szaleńca, a ja w istocie byłem nim przez trzy lata. Rزتargnienie twoje i miłość moja dla Blanki nie są głównymi powodami naszych trosk; nieszczęścia

nasze mają głębsze przyczyny. Natura, nieskończenie płodna i różnorodna w swoich środkach, z upodobaniem gwałci najstalsze swoje zasady; z interesu osobistego tworzy dźwignię wszystkich czynności człowieka, z tym wszystkim jednak w masie ludzi płodzi tu i ówdzie wyjątki, u których samolubstwo zaledwie jest dostrzegalne, ci bowiem na zewnątrz siebie zwracają cały prąd swych myśli i dążeń. Jedni kochają się w naukach, inni w dobrze ogółu; zalecają cudze odkrycia, jak gdyby sami do nich byli doszli, lub zbawienne dla państwa ustawy, jak gdyby sami z nich mieli korzystać. Przyzwyczajenie zaparcia się samego siebie wpływa decydująco na ich losy: nie umieją widzieć w ludziach narzędzi własnego szczęścia, a gdy los do nich kołacze, nie pomyślą o otworzeniu mu drzwi. Mało kto potrafi zapomnieć o samym sobie; znajdziesz samolubstwo w radach, jakich ludzie ci będą udzielać, w przysługach, jakie ci wyświadczą, w związkach, jakich pragną, i przyjaźniach, jakie zawierają. Przejęci własnym interesem, choćby najbardziej oddalonym, obojętni są na wszystko, co się ich nie dotyczy. Spotkawszy na swojej drodze człowieka lekceważącego własny interes, nie mogą go zrozumieć, wmawiają w niego tysiące ukrytych przyczyn, obłudę lub szaleństwo, odtrącają go od swego grona, upadają i zsyłają na opuszczoną afrykańską skałę.

Synu mój, należymy obaj do tego przeklętego plemienia, ale i my mamy nasze rozkosze, które muszę ci dać poznać. Niczego nie szczędziłem dla wykierowania cię na wietrznika i głupca, niebo jednak nie sprzyjało moim usiłowaniom i obdarzyło cię duszą tkliwą i oświeconym umysłem. Powiniennem więc odkryć ci przyjemności naszego życia; nie są one głośne i błyskotliwe, ale czyste i słodkie. Jakże byłem szczęśliwy wewnętrznie, dowiedziawszy się, że don Izaak Newton pochwałił jedną z moich bezimiennych prac i chciał koniecznie poznać autora. Nie zdradziłem się, ale ośmielony do nowych usiłowań, wzbogaciłem mój umysł mnóstwem nieznanym mi dotąd pojęć, byłem nimi przepełniony, nie mogłem ich powstrzymać, wybiegałem, aby je ogłaszać skałom Ceuty, powierzałem je całej naturze i składałem w ofierze Stwórcy. Wspomnienie moich cierpień mieszało do tych wzniosłych uczuć westchnienia i łzy, które także nie dręczyły mnie bez pewnej przyjemności. Przypominały mi one, że są wokół mnie nieszczęścia, które mogę osłodzić; łączyłem się myślą z zamiarami Opatrzności, z dziełami Stworzyciela, z postępem ducha ludzkiego. Mój umysł, moja osoba, moje przeznaczenie nie przedstawiały mi się pod cząstkową postacią, ale wchodziły w skład jednej, wielkiej całości.

Tak upłynął wiek namiętności, po czym znowu odnalazłem samego siebie. Tkliwe starania twojej matki sto razy na dzień przekonywały mnie, że jestem jedynym przedmiotem jej przywiązania. Mój duch, zamknięty sam w sobie, dał przystęp uczuciu wdzięczności, słodczy czulego współżycia. Drobnym wypadki dzieciennych lat twoich i twojej siostry utrzymywały we mnie ogień najśodszych wzruszeń.

Dzisiaj twoja matka żyje tylko w moim sercu i umysł mój, zwątlony wiekiem, nie może nic dorzucić do skarbcza wiedzy ludzkiej; atoli z radością spoglądam, jak ten skarbiec z każdym dniem się powiększa, i ścigam myślą postęp tego wzrostu. Zajęcie wiążące mnie z ogólnym ruchem umysłowym nie pozwala mi myśleć o niedolężności. smutnej towarzyszce mego wieku, i dotąd nie doznałem jeszcze nudy w życiu. Widzisz więc, mój synu, że i my mamy nasze radości, a gdybyś był został wietrznikiem, jak tego pragnąłem, miałbyś także swoje zmartwienia.

Alvarez, będąc tutaj, mówił mi o moim bracie w sposób wzbudzający raczej politowanie niż zazdrość: - Książę - prawil - zna dwór doskonale, z łatwością rozplątuje wszelkie intrygi; ale ile razy chce sięgnąć po najwyższe zaszczyty, wnet poznaje, że brak mu skrzydeł do lotu. Był ambasadorem i

powiadają, że przedstawiał swego króla i pana z wszelką przyzwoitą godnością, ale przy pierwszej trudnej sprawie musiano go odwołać. Wiesz także, że należał do składu ministerium i pełnił swoje obowiązki nie gorzej od innych, ale pomimo wszelkich starań jego podwładnych, którzy o ile możliwości usiłowali oszczędzać mu pracy, nie mógł sobie dać rady i musiał złożyć urząd. Dziś już nie ma żadnego znaczenia, ale posiada talent stwarzania mało ważnych okoliczności, które pozwalają mu zbliżyć się do monarchy i pozorować przed światem, że jest w łasce. Z tym wszystkim, nuda go pożera; tyle ma środków uniknięcia jej, a zawsze upada pod żelazną ręką dławiącego potwora. Wprawdzie unika jej, zajmując się wyłącznie samym sobą, ale to wygórowane samolubstwo uczyniło go tak drażliwym na najmniejszą przeciwność, że życie stało mu się ciężarem. Tymczasem częste choroby ostrzegły go, że ten jedyny przedmiot jego troskliwości może łatwo z rąk mu się wyśliznąć, i tą jedną myślą zatruty wszystkie jego rozkosze. - Oto jest prawie wszystko, co mi o nim mówił Alvarez, i z tego wniosłem, że w moim zaponieniu byłem może szczęśliwszy aniżeli mój brat wśród wydartych mi dóbr.

Ciebie, kochany synu, mieszkańcy Ceuty uważają za trochę szalonego, jest to skutkiem ich ciemnoty; ale jeżeli kiedyś rzucisz się w świat, wtedy dopiero poznasz niesprawiedliwość ludzi i przeciwko tej powiniesz się uzbroić. Najlepszym może środkiem byłoby stawiać zniewagę przeciw zniewadze, oszczerstwo przeciw oszczerstwu, czyli potykać się z niesprawiedliwością jej własną bronią: wszelako sztuka walczenia za pomocą niegodziwości nie jest udziałem ludzi naszego rodzaju. Gdy więc ujrzysz się przygnieciony, odsuń się, zamknij sam w sobie, karm twego ducha jego własnymi zapasami, a wtedy jeszcze doświadczysz szczęścia.

Słowa mego ojca sprawiły na mnie żywe wrażenie, odwaga znowu we mnie wstąpiła i znowu powróciłem do pracy nad moim systemem. Wtedy to zaczynałem już z każdym dniem stawać się coraz bardziej roztargniony. Rzadko kiedy słyszałem, co do mnie mówiono, z wyjątkiem ostatnich wyrazów, które głęboko wrażały mi się w pamięć. Odpowiadałem logicznie, ale prawie zawsze w godzinę lub dwie po zapytaniu. Często także szedłem nie wiedząc dokąd, tak że miałbym słuszność, gdybym jak ślepiec chodził za przewodnikiem. Roztargnienia te jednak trwały dopóty tylko, dopóki jako tako nie uporządkowałem niego systemu. Następnie, im mniej zużywałem uwagi na pracę, tym mniej z każdym dniem wpadałem w roztargnienie i dziś śmiało mogę powiedzieć, że prawie zupełnie jestem wyleczony.

- Wydawało mi się - rzekł kabalista - że czasami jeszcze wpadasz senor w roztargnienie, skoro jednak zapewniasz nas, że jesteś już wyleczony, pozwól, abym ci pierwszy tego powinszował.

- Szczerze dziękuję - odpowiedział Velasquez - gdyż zaledwie wykończyłem swój system, aliści nie przewidziany wypadek taką zmianę sprawił w moim przeznaczeniu, że teraz trudno mi będzie, nie mówię - utworzyć system, ale nawet poświęcić nędzne dziesięć lub dwanaście godzin z rzędu jednemu obliczeniu. Krótko mówiąc, niebo chciało, abym został księciem Velasquez, grandem hiszpańskim i panem ogromnego majątku.

- Jak to. książę - przerwała Rebeka - wspominasz o tym jak o rzeczy ubocznej w twojej historii? Mniemam, że kto inny na twoim miejscu zacząłby od tej wiadomości.

- Przyznaję - odparł Velasquez - że jest to współczynnik, pomnażający osobiste walory, sądziłem jednak, że nie muszę o nim wspominać, zanim nie doprowadzi mnie doń bieg wypadków. Oto, co mi jeszcze zostało do powiedzenia:

Cztery tygodnie mija, jak Diego Alvarez, syn tamtego Alvareza, przybył do Ceuty z listem od księżnej Blanki do mojego ojca. Pismo to zawierało następujące wyrazy:

Senor don Henryku!

List ten uwiadomi cię, że Bóg zapewne wkrótce do siebie powoła twego brata, księcia Velasquez. Prawa szlachty hiszpańskiej nie pozwalają, ażebyś dziedziczył po młodszym bracie, majątek zatem i tytuły przejdą na twego syna. Jestem szczęśliwa, że kończąc czterdziesty rok pokuty, będę w stanie powrócić mu dostatki, których płochość moja ciebie pozbawiła. Nie mogę wprawdzie przywrócić ci sławy, którą zdobyłbyś dzięki swoim zdolnościom, ale dziś oboje jesteśmy już u bram wieczystej chwały, ziemską nie może nas zajmować. Przebacz więc po raz ostatni grzesznej Blance i przyślij nam syna, którym cię niebo obdarzyło. Księżę, przy którego łożu jestem już od dwóch miesięcy, pragnie widzieć swojego spadkobiercę.

Blanka Velasquez

Muszę wyznać, że list ten napełnił radością wszystkich mieszkańców Ceuty, tak dalece kochano mnie i mego ojca; ja jednak daleki byłem od podzielenia powszechnej wesołości. Ceuta była dla mnie całym światem, wychodziłem z niej tylko myślą, ażeby gubić się w marzeniach; jeżeli zaś zapuszczałem kiedy wzrok za okopy na szerokie równiny, zamieszkałe przez Maurów, patrzyłem na nie jedynie jak na krajobraz:

ponieważ nie mogłem używać na nich przechadzki, obszerne okolice wydawały mi się przeto stworzone tylko dla oczu. I cóż miałbym począć gdzie indziej? W całej Ceucie nie było żadnego muru, gdzie bym nie nagryzmolił jakiegoś równania, żadnego zakątka, gdzie bym nie oddawał się rozmyślaniom, których wyniki napełniały mnie radością. Wprawdzie czasami dokuczała mi ciotka Antonia i jej służąca Marika, ale cóż znaczyły te małe przykrości w porównaniu z roztargnieniami, na jakie byłem skazany w przyszłości. Bez długich rozmyślań, bez rachunków nie pojmowałem szczęścia dla siebie. Takie myśli przychodziły mi do głowy w chwili, gdy miałem opuszczać Ceutę.

Ojciec towarzyszył mi do samego brzegu i tam, kładąc ręce na mojej głowie i błogosławiąc mnie rzekł:

- Synu mój, ujrysz Blankę; nie jest już tą zachwycającą piękną, która miała stanowić chlubę i szczęście twego ojca. Ujrysz rysy porwane wiekiem, połamane pokutą, ale bo i dlaczegóż tak długo opłakiwała błąd, który ojciec jej przebaczył? Co do mnie, nigdy nie miałem do niej żalu. Wprawdzie nie służyłem królowi na zaszczytnym stanowisku, ale za to przez czterdzieści lat pośród tych skał przyczyniłem się do szczęścia kilku uczciwych ludzi. Cała od nich wdzięczność należy się Blance; często słyszeli o jej cnotach i wszyscy ją błogosławią.

Mój ojciec nie mógł więcej mówić, tzy tłumity mu słowa. Wszyscy mieszkańcy Ceuty towarzyszyli memu odjazdowi, ze wszystkich oczu można było wyczytać smutek rozłączenia, pomieszany z radością, jaką sprawiła wieść o tak świetnej przemianie mego losu.

Rozwinęliśmy żagle i wylądowaliśmy nazajutrz w porcie Algeciras, skąd udałem się do Kordowy, następnie zaś na nocleg do Andujar. Oberżysta tameczny rozpowiadał mi jakieś nadzwyczajne historie o duchach i upiorach, których wcale nie słuchałem. Przenocowałem u niego i nazajutrz wcześniej wybrałem się w drogę. Miałem ze sobą dwóch służących; jeden jechał przodem, drugi postępował za

mną. Uderzony myślą, że w Madrycie nie będę miał czasu do pracy, dobytek moich tabliczek i zająłem się obliczeniami, których brakowało jeszcze w moim systemie.

Jechałem na mule, którego równy i wolny krok sprzyjał temu zatrudnieniu. Nie pamiętam ile czasu tym sposobem straciłem, gdy nagle mój muł się zatrzymał. Ujrzałem się u stóp szubienicy obciążonej dwoma wisielcami, których twarze zdawały się wykrzywiać i napętniały mnie zgrozą. Obejrzałem się dokoła, ale nie ujrzałem żadnego z moich służących, jąłem więc przyzywać ich z całej siły, ale nadaremnie. Postanowiłem jechać dalej prostą drogą, otwierającą się przede mną. Już noc zapadła, gdy przybyłem do obszernej i dobrze zbudowanej gospody, ale opuszczonej i próżnej.

Umieściłem muła w stajni, sam zaś wszedłem do izby, gdzie znalazłem resztki wieczerzy, mianowicie pasztet z kuropatw, chleb i flaszkę alikantu. Od Andujar nic w ustach nie miałem, sądziłem więc, że potrzeba nadaje mi prawa do pasztetu, który skądinąd był bez właściciela. Byłem także mocno spragniony, ugasiłem więc pragnienie, wprawdzie może nieco zbyt gwałtownie, gdyż wino uderzyło mi do głowy, ale spostrzegłem się poniewczasie.

W izbie stało dość porządne łóżko, rozebrałem się, położyłem i zasnąłem. Nagle, nie wiem z jakiego powodu, obudziłem się i usłyszałem zegar bijący północ. Myślałem, że w pobliżu jest jakiś klasztor, i postanowiłem zwiedzić go nazajutrz.

Wkrótce potem doszedł mnie hałas z podwórza; sądziłem, że moi służący powrócili, ale jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem wchodzącą ciotkę Antonię wraz z jej powiernicą Mańką. Ta ostatnia niosła latarnię z dwiema świecami, ciotka zaś trzymała zwój papierów w ręku.

- Kochany synowcze - rzekła do mnie - twój ojciec nas tu przysłał, abyśmy ci wręczyły ważne papiery.

Wziąłem papiery i przeczytałem napis: „Wykazanie kwadratury koła”. Wiedziałem dobrze, że mój ojciec nigdy się nie zajmował tym czczym zagadnieniem. Zdziwiony, rozwinąłem papiery, ale wnet z oburzeniem spostrzegłem że mniemana kwadratura jest znaną teorią Dinostrata, popartą dowodzeniem, w którym poznałem rękę mego ojca, ale nie jego głowę. W istocie spostrzegłem, że przytoczone dowody są tylko nędznymi paralogizmami.

Tymczasem moja ciotka zwróciła mi uwagę, że zająłem jedyne łóżko w gospodzie, i zażądała, ażeby jej połowę ustąpił. Byłem tak zmartwiony myślą, że mój ojciec mógł popaść w podobne błędy, że nie słuchałem tego wszystkiego, co mi mówiła. Bez zastanowienia zrobiłem jej miejsce, podczas gdy Marika sadowiła się w nogach, wspierając głowę na moich kolanach.

Znowu zagłębiłem się nad dowodzeniem i czy to alikant uderzył mi do głowy, czy też miałem wzrok oczarowany, słowem, nie pojmuję, jak się to stało, ale znalazłem dowody mniej błędnymi, po trzecim zaś odczytaniu byłem zupełnie przekonany.

Przewróciłem arkusz i znalazłem pasmo nadzwyczajnie pomysłowych formuł, mających służyć do kwadratowania i prostowania wszelkiego rodzaju linii krzywych, na koniec ujrzałem zagadnienie izochrony rozwiązane za pomocą zasad geometrii elementarnej. Zdziwiony, uszczęśliwiony, odurzony - jak sądzę, skutkiem działania alikantu - zawołałem:

- Tak jest, mój ojciec uczynił najważniejsze odkrycie!

- W takim razie - rzekła moja ciotka - powinieneś mi podziękować za trud, jaki podjęłam przebywając morze i przynosząc ci te gryzmoły.

Uściskałam ją.

- A ja - przerwała Marika - czyliż także nie przebyłam morza?

Uściskałam i Marikę.

Chciałem znowu zająć się papierami, ale obie moje towarzyszki tak silnie ujęły mnie w objęcia, że nie byłem w stanie im się wyrzeć; co prawda nie życzyłem sobie tego. gdyż naraz przejęły mnie dziwne Jakieś uczucia. Nowy zmysł zaczął działać na całej powierzchni mego ciała, a zwłaszcza w miejscach stykających się z obu kobietami. Przypomniały mi się pew-ne właściwości linii krzywych zwanych oskulacyjnymi. Pragnąłem zdać sobie sprawę z doznawanych wrażeń, ale wszystkie myśli pierzchały mi z głowy. Uczucia moje rozwinęły się w szereg rosnący w nieskończoność. Potem zasnąłem i ze zgrozą obudziłem się pod szubienicą, na której spostrzegłem dwóch wykrzywających się wisielców.

Taka jest powieść mego życia, do której brak tylko teorii mego systemu, czyli zastosowań matematyki do ogólnego porządku wszechświata. Spodziewam się jednak, że kiedyś dam wam ją poznać, zwłaszcza zaś tej pięknej pani, która, zdaje mi się. ma skłonność do nauk ścisłych, niezwykłą u osób jej płci.

Rebeka wdzięcznie odpowiedziała na tę grzeczność, po czym zapytała Velasqueza, co się stało z papierami, które mu jego ciotka przyniosła.

- Nie wiem, gdzie się podziały - odrzekł geometra - nie znalazłem ich wcale między papierami, które Cyganie mi przynieśli, i mocno żałuję, gdyż nie wątpię, że przejrzawszy powtórnie to mniemane dowodzenie, byłbym natychmiast fałsz odkrył; ale. jak to wam mówiłem, krew grała we mnie zbyt gwałtownie; alikant, te dwie kobiety i nieprzewyciężona senność były zapewne przyczynami mego błędu. Co mnie jednak zadziwia - to, że pismo było ręki mego ojca, mianowicie zaś sposób pisania znaków jemu tylko właściwy.

Uderzyły mnie słowa Velasqueza. zwłaszcza gdy mówił, że nie mógł oprzeć się senności. Domyślałem się, że musiano mu podać wino podobne do tego, które moje kuzynki przyprawiły mi w vencie podczas pierwszego naszego spotkania, lub też do trucizny, którą kazano mi wypić w podziemiu, a która w istocie była tylko napojem usypiającym.

Towarzystwo rozeszło się. Udając się na spoczynek, natrafiłem na wiele uwag i sądziłem, że za ich pomocą zdołam naturalnym sposobem wytłumaczyć wszystkie moje przygody. Takimi myślami zajęty, usnąłem.

Dzień dwudziesty szósty

Całą dobę poświęciliśmy spoczynkowi. Rodzaj życia naszych Cyganów i kontrabanda, stanowiąca główny sposób ich utrzymania, wymagały ciągłej i męczącej zmiany miejsca, z radością więc przepędziłem dzień tam, gdzie stanęliśmy na nocleg. Każdy zajął się nieco swoją osobą; Rebeka dodała nawet niektóre ozdoby do swego stroju i można było rzec, że stara się stać przedmiotem roztargnienia młodego księcia, tym bowiem tytułem nazywaliśmy odtąd Velasqueza.

Wszyscy zesłaliśmy się na trawniku ocienionym pięknymi kasztanami i gdy spożyliśmy obiad, wykwinniejszy niż zazwyczaj, Rebeka rzekła, że ponieważ naczelnik Cyganów mniej jest dzisiaj zatrudniony, możemy śmiało prosić go, aby opowiedział dalszą część swoich przygód. Pandesowna nie dał się długo prosić i zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Wstąpiłem wtedy dopiero do szkół, jak wam już mówiłem, gdy wyczerpał wszelkie środki uporowania zwłoki, jakie tylko mogłem wymyślić. Z początku rad byłem, znalazłszy się pośród tylu rówieśników, ale ciągła podległość, w jakiej nas nauczyciele trzymali, wkrótce stała mi się nieznośna. Byłem przyzwyczajony do pieszczot ciotki, do jej tkliwego pobjażania i pochlebiało mi to, gdy sto razy na dzień powtarzała, że mam najlepsze serce. Tu dobre serce na nic się nie przydawało, trzeba było ciągle się pilnować lub dostawać różgi. Jednego i drugiego nienawidziłem. Stąd powstała we mnie nieprzezwyciężona odraza do sutann, którą zawsze okazywałem, płatając im mnóstwo rozmaitych figlów.

Byli między uczniami chłopcy, którzy mieli lepszą pamięć niż serce i którzy z przyjemnością donosili wszystko, co wiedzieli o towarzyszach. Utworzyłem związek przeciw nim i wybryki nasze tak były urządzone, że podejrzenie zawsze padało na skarżących. Ostatecznie sutanny zniecierpiał nas wszystkich, tak oskarżonych, jak i donosicieli.

Nie będę wam rozpowiadał mało znacznych szczegółów o naszych szkolnych psotach; powiem tylko, że w przeciągu czterech lat, przez które ćwiczyłem wyobraźnię, figle moje przybierały coraz poważniejszą barwę. Nareszcie wpadłem na pomysł, zapewne dość niewinny sam w sobie, ale niegodziwy, zważywszy na środki, jakich do skutecznienia go użyłem. Mało brakowało, a byłbym przypłacił ten żart kilkoletnim więzieniem lub też utratą wolności na całe życie. Rzecz była następująca:

Pomiędzy teatynami, którzy ostro się z nami obchodzili, żaden nie dał nam uczuć tyle srogości, ile ojciec Sanudo, rektor klasy pierwszej. Duchowny ten nie był surowy z natury, przeciwnie, był nawet może zbyt czuły i jego ukryte skłonności wcale nie zgadzały się z powołaniem duchownego, tak że w trzydziestym roku życia nie zdołał jeszcze nad nimi zapanować.

Bez litości dla siebie samego, stał się nieubłagany dla innych. Ciągłe poświęcenia, jakie składał na ołtarzu obyczajów, były godne tym większej pochwały, że zdawało się, iż sama natura stworzyła go do stanu całkiem przeciwnego temu, jaki sobie obrał. Piękny, jak sobie tylko możecie człowieka

wyobrazić, na wszystkich kobietach w Burgos sprawiał niestłuchane wrażenie, ale spotykając tkliwe niewieście wejrzenia, spuszczał oczy, marszczył brwi i udawał, że ich nie widzi. Takim był przed laty teatyn, ojciec Sanudo.

Tyle jednak zwycięstw zmęczyło jego ducha; zmuszony obawiać się kobiet, nie przestawał o nich myśleć i od dawna zwalczany nieprzyjaciół z coraz świeższymi siłami występował przed jego wyobraźnią. Nareszcie gwałtownie zapadł na zdrowiu, długo potem nie mógł wrócić do sił, gdy zaś przyszedł do siebie, choroba zostawiła mu niewypowiedzianą drażliwość, objawiającą się nieustannie pod postacią zniecierpliwienia. Gniewały go najmniejsze nasze wykroczenia, a nasze usprawiedliwienia łyły mu z oczu wyciskały. Odtąd ciągle tylko marzył i często, chociaż wlepił oczy w obojętny przedmiot, wzrok jego przybierał tkliwy wyraz, gdy zaś przerywano mu chwile tego zachwycenia, spoglądał raczej boleśniej niż srogo.

Zbyt wyuczyliliśmy się śledzić naszych zwierzchników, aby tak znaczna zmiana mogła ująć naszej uwagi. Niepodobna nam jednak było domyślić się przyczyny, gdy nagle niespodziewany wypadek wskazał nam prawdziwą drogę.

Dla łatwiejszego zrozumienia mnie muszę cofnąć się nieco wstecz. Dwoma najznakomitszymi rodzinami w Burgos byli hrabiowie de Liria i margrabiowie de Fuen Castiia. Pierwsi należeli do tych, których w Hiszpanii nazywają agraviados, to jest pokrzywdzonymi przez nieudzielenie im zasłużonej godności granda. Pomimo to inni grandowie żyją z nimi poufale, jak gdyby w istocie należeli do ich klasy.

Naczelnikiem rodziny Liria był siedemdziesięcioletni starzec, nader szlachetnego i uprzejmego sposobu obejścia. Miał dwóch synów, którzy mu poumierali, i cały jego majątek miał przejść na młodą hrabiankę de Liria, jedyną córkę jego najstarszego syna.

Stary hrabia, pozbawiony dziedziców swego nazwiska, przyrzekł był rękę wnuczki dziedzicowi margrabiów de Fuen Castilla, który przy tej okoliczności miał przybrać tytuł hrabiego de Fuen de Liria y Castilla. Związek ten, ze wszech stron tak dobrany, zgadzał się z wiekiem państwa młodych, z ich powierzchownością i charakterami. Oboje kochali się serdecznie i stary Liria lubował się, spoglądając na ich niewinną miłość, która przypominała mu szczęśliwe czasy jego młodości.

Przyszła hrabina de Fuen de Liria, chociaż mieszkała w klasztorze wizytek, codziennie jednak chodziła na obiad do swego dziada i zostawała tam przez cały wieczór w towarzystwie narzeczonego. Miała wówczas przy sobie duenę-mayor nazwiskiem dona Klara Mendoza, kobietę trzydziestoletnią, nader zacną i wcale nie ponurą, gdyż stary hrabia nie lubił ludzi tego charakteru.

Codziennie panna de Liria ze swoją dueną przejeżdżały obok naszego kolegium, tędy bowiem wypadała im droga do pałacu starego hrabiego. Ponieważ mieliśmy właśnie o tej porze przerwę, wielu z nas stało w oknach, a raczej podbiegało do okien, jak tylko rozlegał się turkot powozu.

Pierwsi, którzy przybiegali do okien, często słyszeli, jak dona Mendoza mówiła do swojej młodej wychowawicy:

- Spójrzjmy, czy nie ma pięknego teatyna.

Było to nazwisko nadane przez płeć niewieścią ojcu Sanudo. W istocie, duena patrzyła w niego jak w tęczę, co zaś do młodej hrabianki, ta jednakowo spoglądała na nas wszystkich, bardziej bowiem przypominaliśmy jej wiekiem narzeczonego, lub też starała się wyszukać dwóch kuzynów, umieszczonych w naszym kolegium.

Sanudo wraz z innymi zbliżał się do okna. ale jak tylko spostrzegł, że kobiety zwracają nań uwagę, zachmurzał czoło i odchodził z pogardą. Uderzyła nas ta sprzeczność: - Ostatecznie - mówiliśmy - jeżeli ma takie obrzydzenie do kobiet, po co ciśnie się do okna, jeżeli zaś pragnie je widzieć, dlaczego odwraca oczy? Jeden z uczniów, nazwiskiem Veyras, pewnego razu rzekł mi, że Sanudo bynajmniej nie jest już, jak dawniej, nieprzyjacielem kobiet i że on musi się o tym przekonać. Ów Veyras był najlepszym moim przyjacielem w całym kolegium, czyli, wyraźniej mówiąc, dopomagał mi we wszystkich psotach, których często sam był wynalazcą.

W owym czasie pojawił się romans pod tytułem Zakochany Fernando. Autor tego dzieła odmalował w nim miłość tak żywymi barwami, że książka ta była nader niebezpieczna i nasi przełożeni surowo jej zakazali. Veyras wystarał się o egzemplarz i wsunął go w kieszeń, tak jednak, że widać było większą część. Sanudo spostrzegł i zabrał wzbronioną książkę. Zagroził Veyrasowi najsurowszą karą, jeżeliby kiedykolwiek dopuścił się podobnej winy, ale wieczorem zmyślił jakąś chorobę i nie pokazał się między nami. Pod pozorem troski o jego zdrowie weszliśmy niespodzianie do jego pokoju i zastaliśmy go zagłębionego nad niebezpiecznym Fernandem, z oczami pełnymi łez, które dowodziły, ile przyjemności sprawia mu czytanie tej książki. Sanudo zmieszał się, udaliśmy, że tego nie spostrzegamy, a wkrótce otrzymaliśmy nowy dowód wielkiej zmiany w sercu nieszczęśliwego duchownego.

Kobiety hiszpańskie pilnie przestrzegają obowiązków religijnych i za każdym razem wymagają tego samego spowiednika. Nazywają to: *buscare padre*. Stąd pochodzi, że niektórzy złośliwi żartownisie, widząc dziecko w kościele, pytają, czy nie przyszło *buscarsupadre*. to jest szukać swojego ojca.

Mieszkanki Burgos rade byłyby spowiadać się u ojca Sanudo. ale podejrzliwy zakonnik oświadczał, że nie czuje się zdolny do kierowania sumieniem kobiet;

Wszelako nazajutrz po przeczytaniu nieszczęsnej książki jedna z najpiękniejszych kobiet miasta prosiła księdza Sanudo. który natychmiast udał się do konfesjonału. Niektórzy ze znajomych winszowali mu dwuznacznie zmiany, ale Sanudo z powagą odpowiedział, że nie lęka się nieprzyjaciela, którego tylekroć już zwalczył. Być może, że zakonnicy uwierzyli temu oświadczeniu, ale my, młodzież, wiedzieliśmy, czego się trzymać.

Tymczasem Sanudo z każdym dniem coraz więcej zdawał się zajmować tajemnicami, które płeć piękna składała przed jego pokutnym trybunałem. Jako spowiednik był nader skrupulatny, starsze kobiety prędko odprawiał, młodsze zaś zatrzymywał dłużej. Nigdy nie omieszkał podejść do okna, ażeby ujrzeć piękną hrabiankę de Liria i jej powabną ochmistrzynię, po czym, gdy powóz odjechał, odwracał wzrok z pogardą.

Pewnego dnia, gdy nie uważając na lekcji doświadczyliśmy całej srogości Sanuda, Veyras tajemniczo wziął mnie na stronę i rzekł:

- Czas jest, abyśmy zemścili się nad przeklętym pedantem za tyle srogich kar, które nam wymierza, i pokut, jakimi zatruwa najpiękniejsze nasze dni. Wynalazłem doskonały figiel, ale trzeba by

koniecznie wyszukać młodej dziewczyny, podobnej z kibici do hrabianki de Liria. Wprawdzie Juanita, córka ogrodnika, gorliwie służy nam w psotach, ale do tej zabraknie jej dowcipu.

- Kochany Veyrasie - odpowiedziałem - gdybyśmy nawet znaleźli młodą dziewczynę podobną z kibici do hrabianki de Liria, nie pojmuję, jakim sposobem nadamy jej te zachwycające rysy?

- Pod tym względem jestem spokojny - odrzekł mój towarzysz. - Wiesz, że kobiety nasze podczas postu zwykły nosić zasłony, zwane catafalcos. Są to falbany z krepy, które spadając jedna na drugą, zasłaniają twarz jak na maskaradzie. Juanita zawrze się przyda, jeżeli nie do przedstawienia, to przynajmniej do przebrania fałszywej hrabianki i jej ochmistrzyni.

Veyras tego dnia nic więcej nie powiedział, ale pewnej niedzieli ojciec Sanudo, siedząc w konfesjonale, ujrzał dwie kobiety owinięte w płaszcze i okryte krepowymi zasłonami, z których jedna usiadła na ziemi na macie, według zwyczaju hiszpańskiego, druga zaś jako pokutnica przed nim uklękała. Ta, która wydawała się młodsza, chociaż przybyła do spowiedzi, nie mogła jednak powstrzymać się od gwałtownego płaczu i łkania. Sanudo, jak mógł, starał się ją uspokoić, ale ona ciągle powtarzała:

- Mój ojczy, popełniłam grzech śmiertelny. Sanudo rzekł jej, że dziś nie będzie w stanie otworzyć przed nią duszy, i kazał powrócić nazajutrz. Młoda grzesznica oddaliła się i padłszy krzyżem, modliła się długo i gorąco; nareszcie wyszła z kościoła wraz z towarzyszką.

- Wszelako - rzekł Cygan, sam sobie przerywając - nie bez wyrzutów sumienia rozpowiadam wam o tych niegodziwych igraszkach, których nawet młodość nasza nie zdoła uniewinnić, i gdybym nie liczył na wasze pobłażanie, nigdy nie ośmieliłbym się dalej mówić.

Każdy powiedział, co mu się zdało najstosowniejsze do uspokojenia naczelnika, który tak dalej ciągnął swoje opowiadanie:

Nazajutrz o tej samej godzinie powróciły obie pokutnice. Sanudo od dawna ich oczekiwał. Młodsza znowu uklękała przy konfesjonale, była nieco spokojniejsza, jednak i tym razem nie obeszło się bez szlochów. Nareszcie srebrzystym głosem wyrzekła te słowa:

- Jeszcze niedawno, mój ojczy, serce moje, zgodne z obowiązkami, zdawało się na wieki ustalone na drodze cnoty. Przeznaczono mi młodego i szlachetnego małżonka. Sądziłam, że go kocham...

Tu znowu łkania się rozpoczęły, ale Sanudo z namaszczeniem świątobliwymi wyrazy uspokoił młodą dziewczynę, która tak dalej mówiła:

- Nierozsądna ochmistrzyni zwróciła moją uwagę na zalety człowieka, do którego nigdy nie mogę należeć, o którym nigdy nie powinnam nawet myśleć; z tym wszystkim jednak, nie jestem w stanie przewyciężyć świętokradzkiej namiętności.

Wzmianka o świętokradztwie dała poznać Sanudowi, że chodziło o księdza, może nawet o niego samego.

- Cała twoja miłość - rzekł drżącym głosem - należy się małżonkowi, wybranemu ci przez rodziców.

- Ach, mój ojciec - mówiła dalej dziewczyna - dla czegoż nie jest on podobny do człowieka, którego ukochałam? dla czegoż nie ma jego czułego, choć surowego wejrzenia, jego rysów - tak pięknych i szlachetnych, jego wyniosłej postaci?

- Moja panno - przerwał Sanudo - podobna mowa nie przystoi przy spowiedzi.

- Bo też to nie jest spowiedź - odpowiedziała młoda dziewczyna - ale wyznanie.

To mówiąc powstała zapłoniona, złączyła się z towarzyszką i razem wyszły z kościoła. Sanudo ścigał je wzrokiem i przez cały dzień był zadumany. Nazajutrz zasiadł w konfesjonale, ale nikt się nie pokazał, toż samo i następnego dnia. Trzeciej dopiero doby pokutnica wróciła z ochmistrzą, uklękła przy konfesjonale i rzekła do Sanuda:

- Mój ojciec, zdaje mi się, że miałam tej nocy objawienie. Rozpacz i wstyd miały moją duszę. Mój zły duch nastęrczył mi nieszczęsną myśl, porwałam jedną z moich podwiązek i okręciłam ją koło szyi. Przystałam oddychać, gdy nagle zdało mi się, że ktoś wstrzymuje mi ręce, silne światło oćmiło mój wzrok i ujrzałam świętą Teresę, moją patronkę, stojącą przy moim łóżku. "Córko moja - rzekła do mnie - wypowiadaj się jutro przed ojcem Sanudo i proś go, aby ci dał pukiel swoich włosów, który będziesz nosiła na sercu. a który powróci ci łaskę bożą".

- Odejdź ode mnie - rzekł Sanudo - klęknij u stóp ołtarza i ze łzami błagaj niebo, aby wyrwało cię z piekielnego obłądzenia. Z mojej strony będę modlił się, wzywając dla ciebie miłosierdzia boskiego.

Sanudo wstał, wyszedł z konfesjonatu i udał się do kaplicy, gdzie aż do wieczora żarliwie się modlił.

Nazajutrz młoda grzesznica nie pokazała się, ochmistrzyni sama tylko przyszła, uklękła przed konfesjonalem i rzekła:

- Ach, mój ojciec, przychodzę błagać cię o wyrozumiałość dla młodej nieszczęśliwej, której dusza bliska jest zatracenia. Do rozpacz doprowadza ją srogość, z jaką wczoraj się z nią obszedłeś. Odmówiłeś jej, jak powiada, jakichś relikwii, które posiadasz. Obłąkał się jej umysł i teraz myśli tylko o zakończeniu życia. Pójdź do siebie, mój ojciec, przynieś te relikwie, o które cię prosiła. Zaklinam cię, nie odmawiaj mi tej łaski.

Sanudo zakrył twarz chustką, wstał, wyszedł z kościoła i wkrótce powrócił. Trzymał w ręku mały relikwiarz i rzekł, podając go ochmistrzyni:

- Weź pani ten kawałek czaszki naszego świętego założyciela. Bulla Ojca świętego przywiązuje do tych relikwii mnogie odpusty; są one najcenniejsze ze wszystkich relikwii, jakie posiadamy. Niech wychowanica twoja nosi je na sercu i oby Bóg raczył jej dopomóc.

Dostawszy relikwiarz do naszych rąk, otworzyliśmy go w nadziei, że znajdziemy w nim pukiel włosów, ale oczekiwania nasze były nadaremne. Sanudo, jakkolwiek czuły i łatwowierny, może nawet nieco próżny, był jednak cnotliwy i wiemy swoim zasadom.

Po wieczornej lekcji Veyras zapytał go, dlaczego nie wolno księżom wstępować w związki małżeńskie.

- Dla nieszczęścia na tym i może potępienia na tamtym świecie - odpowiedział Sanudo, po czym. przybrawszy surowy wyraz twarzy, dodał: - Zakazuję ci raz na zawsze zadawać podobne pytania.

Nazajutrz Sanudo nie poszedł do konfesjonatu. Ochmistrzyni dopytywała się o niego, ale przysłał na swoje miejsce innego duchownego. Jużśmy zwątpili o skutku naszych niegodziwych zamiarów, gdy wtem dopomógł nam niespodziewany wypadek.

Młoda hrabianka de Liria, na krótki czas przed zamęciem z margrabią de Fuen Castilla, rozchorowała się niebezpiecznie; mającyna w malignie, popadłszy w rodzaj obłądu. Całe Burgos szczerze zajmowało się tymi dwoma znakomitymi domami i wieść o chorobie panny de Liria przerażała wszystkich. Ojcowie teatyni także dowiedzieli się o tym, wieczorem zaś Sanudo otrzymał następujący list:

Mój ojcze!

Święta Teresa mocno jest rozgniewana i powiada, że mnie oszukałeś; nie szczędzi również gorzkich wyrzutów dla dony Mendozy za to, że codziennie przejeżdżała ze mną obok kolegium teatynów. Święta Teresa kocha mnie daleko więcej niż ty... W głowie mi się kręci - doświadczam niewypowiedzianych boleści - umieram.

List ten pisany był drżącą ręką i prawie nieczytelnie. U spodu dodano innym charakterem:

Biedna moja chora pisze na dzień dwadzieścia podobnych listów. W tej chwili nie jest już w stanie wziąć pióra do ręki. Módl się za nami, mój ojcze. Oto jest wszystko, co ci mogę donieść.

Sanudo nie zdołał znieść tego ciosu. Odurzony, pomieszany, nie mógł znaleźć sobie miejsca, zrywał się, wchodził i wychodził. Dla nas najprzyjemniejsze było to, że nie zjawiał się w klasie, lub co najwyżej przychodził na tak krótko, że mogliśmy lekcję wycierpieć bez nudów.

Kryzys przebiegł szczęśliwie i starania biegłych lekarzy ocaliły dni pięknej hrabianki de Liria. Chora z wolna powracała do zdrowia. Sanudo zaś otrzymał list następującej treści:

Mój ojcze!

Minęło niebezpieczeństwo, ale choroba dotąd umysłu jeszcze nie opuściła. Młoda osoba każdej chwili może mi się wymknąć i zdradzić swoją tajemnicę. Racz pomyśleć, czy nie mógłbyś nas przyjąć w twojej celi. Dopiero koło jedenastej zamykają u was bramę, przybędziemy więc, jak tylko zmrok zapadnie. Być może, że rady twoje więcej będą skutkowały niż relikwie.

Jeżeli taki stan rzeczy potrwa dłużej, to i ja dostanę pomieszania zmysłów. Zaklinam cię w imię Boga, mój ojcze, ratuj sławę dwóch znakomitych domów.

Słowa te tak dalece przerażyły Sanuda, że zaledwie zdołał trafić do własnej celi. Zamknął się, my zaś przyczailiśmy się przy drzwiach, aby usłyszeć, co z sobą pocnie. Naprzód zalał się rzewnymi łzami, po czym jął żarliwie się modlić. Następnie przywołał odźwiernego i rzekł mu:

- Gdyby jakie dwie kobiety przyszły dopytywać się o mnie, nie wpuścisz ich pod żadnym pozorem.

Sanudo nie przyszedł na wieczerzę i przepędził wieczór na modlitwie. Około jedenastej usłyszał stukanie do drzwi. Otworzył, młoda dziewczyna wpadła do jego celi i wyrzuciła lampę, która natychmiast zgasła. W tej samej chwili dał się słyszeć głos przeora przyzywający Sanuda.

Gdy tak mówił naczelnik Cyganów, jeden z jego ludzi przyszedł zdawać mu sprawę z czynności hordy, ale Rebeka zawołała:

- Proszę cię, abyś nie przerywał w tym miejscu twego opowiadania. Muszę dziś jeszcze dowiedzieć się, jak Sanudo wybrnął z tak drażliwego położenia.

- Pozwól pani - odrzekł Cygan - abym poświęcił kilka chwil temu człowiekowi, po czym będę mówił dalej.

Pochwaliliśmy jednogłośnie niecierpliwość Rebeki, Cygan zaś, wyprawivszy człowieka, który go zatrzymywał, tak dalej swoją rzecz ciągnął:

- Dał się więc słyszeć głos przeora, przyzywający ojca Sanudo, który zaledwie miał czas zamknąć drzwi na klucz i udać się do swego przełożonego.

Ubliżyłbym waszej przenikliwości, sądząc, że jeszcze nie odgadliście, iż fałszywą Mendozą był Veyras, hrabianką zaś ta sama dziewczyna, którą chciał zaślubić wicekról Meksyku.

Znalazłem się więc nagle zamknięty w celi Sanuda, bez światła, nie pojmując, jakim sposobem rozwiąże się cała ta przygoda, która zupełnie inaczej potoczyła się, niżśmy sobie tego życzyli. Przekonaliśmy się bowiem, że Sanudo był łatwowierny, ale ani słaby, ani obłudny. Najstosownie j byłoby zaniechać dalszych figlów i poprzestać na pierwszych. Małżeństwo panny de Liria, zawarte w kilka dni potem, i szczęście obojga małżonków byłyby dla Sanuda niewytłumaczonymi zagadkami i męczarnią na całe życie; ale pragnęliśmy być świadkami pomieszenia naszego nauczyciela, tamałem więc sobie głowę, czy należy zakończyć całą scenę głośnym wybuchem śmiechu, czy też uszczypliwą ironią. Właśnie zastanawiałem się nad tym złośliwym zamiarem, gdym usłyszał, że otwierają się drzwi. Wszedł Sanudo, a widok jego bardziej mnie zmieszał, aniżeli się tego spodziewałem. Miał na sobie komżę i stulę, w jednej ręce trzymał świecznik, w drugiej hebanowy krucyfiks. Postawił świecznik na stole, ujął w obie ręce krucyfiks i rzekł:

- Senora, widzisz mnie tu odzianego w święte szaty, które powinny ci przypomnieć charakter duchowny mojej osoby. Jako kapłan Boga Zbawiciela nie mogę lepiej wypełnić świętych obowiązków mego powołania jak wstrzymując cię nad samym brzegiem przepaści. Szatan obłąkał twój umysł, szatan wlecze cię na manowce złego. Cofnij twoje kroki, powróć na drogę cnoty, którą los usypał ci kwieciami. Młody małżonek cię wzywa; przeznacza ci go cnotliwy starzec, którego krew krąży w twych żyłach. Twój ojciec był jego synem; poprzedził on was oboje w krainie duchów czystych i stamtąd ukazuje wam drogę. Wznieś wzrok ku niebieskiemu światłu, wyrwij się z rąk kłamliwego ducha, który otumaniał twoje spojrzenia, zwracając je na sługi Boga, którego szatan jest wiecznym nieprzyjacielem.

Sanudo wyrzekł wiele jeszcze podobnych zdań, które byłyby mnie nawróciły, gdybym był w istocie panną de Liria, zakochaną w swym spowiedniku, ale cóż z tego, kiedy zamiast pięknej hrabianki stał przed nim nicpoń, osłonięty spódnicą i płaszczem i nie wiedzący, jak się to wszystko skończy. Sanudo nabrał tchu, po czym tak mówił dalej:

- Pójdź, senora. za mną, wszystko jest już przygotowane do twego wyjścia z klasztoru. Zaprowadzę cię do żony naszego ogrodnika i stamtąd pošlemy po Mendozę, ażeby przysłała po ciebie.

Po tych słowach otworzył drzwi, ja zaś natychmiast wyskoczyłem, chcąc czym prędzej uciec; jakoż powinienem był to uczynić, gdy wtem - nie wiem, jaki zły duch natchnął mnie, że odsłoniłem kwef i rzuciłem się na szyję naszego nauczyciela, mówiąc:

- Okrutny! chcesz być przyczyną śmierci zakochanej hrabianki?

Sanudo poznał mnie; z początku osłupiał, potem zalał się rzewnymi łzami i z oznakami najżywszej rozpaczyny powtarzał:

- Boże, wielki Boże, zlituj się nade mną! Racz natchnąć mnie i oświecić na drodze zwątpienia! Panie w Trójcy jedyny, cóż mam teraz począć?

Litość zdjęła mnie na widok biednego nauczyciela w tym stanie, rzuciłem mu się do nóg, błagając o przebaczenie i przysięgając, że z Veyrasem święcie dochowamy tajemnicy. Sanudo podniósł mnie i zanosząc się od łez, rzekł:

- Nieszczęśliwy chłopcze, czyż możesz przypuszczać, żeby obawa okazania się śmiesznym mogła przyprowadzić mnie do rozpaczyny? Ty to jesteś zgubiony i nad tobą płaczę. Nie lękałeś się zbeczczyć tego, co w naszej wierze jest najświętsze: wystawiłeś na szyderstwo święty trybunał pokuty. Obowiązkiem moim jest zaskarżyć cię przed inkwizycją. Grozi ci ciemnica i katusze.

Po czym, tuląc mnie do piersi, z głębokim bólem dodał:

- Dziecię moje, nie rozpaczaj jeszcze; być może, że zdołam wyjednać, aby nam pozwolono wymierzyć ci karę. Wprawdzie będzie ona okropna, ale nie wyrze zgubnego wpływu na całe twoje życie.

Powiedziawszy to Sanudo wyszedł, zamknął drzwi na klucz i zostawił mnie w osłupieniu, które możecie sobie wyobrazić, a którego nie będę nawet starał się wam opisywać. Myśl zbrodni dotąd nie stanęła mi w wyobraźni i uważałem nasze świętokradzkie wynalazki za niewinne psoty. Zagrożające mi kary pogrzyły mnie w odrętwienie, które nie pozwalało mi nawet płakać. Nie wiem, jak długo zostawałem w tym stanie; nareszcie drzwi się otworzyły. Ujrzałem przeora, penitencjarza i dwóch braci zakonnych, którzy ujęli mnie pod ręce i zaprowadzili przez nie wiem ile korytarzy do oddalonej izby. Rzucono mnie na podłogę i zatrzaśnięto za mną drzwi na podwójne rygle.

Niebawem powróciłem do zmysłów i zacząłem rozpatrywać się w moim więzieniu. Księżyc przez żelazne kraty okna oświecał izbę; spostrzegłem mury pokryte różnymi napisami pokreślonymi węglem i w kącie garść słomy.

Okno wychodziło na cmentarz. Trzy trupy, owinięte w całuny i złożone na marach, leżały pod przysionkiem. Widok ten przestraszył mnie; nie śmiałem otworzyć oczu ani na izbę, ani na cmentarz.

Wkrótce usłyszałem hałas na cmentarzu i ujrzałem wchodzącego kapucyna z czterema grabarzami. Zbliżyli się do przysionka i kapucyn rzekł:

- Oto ciało margrabiego Valomez: umieście je w izbie do balsamowania. Co zaś do tych dwóch chrześcijan, wrzucicie ich w świeży dół wykopany wczoraj.

Zaledwie kapucyn dokończył tych słów, usłyszałem przeciągły jęk i trzy ohydne widma pokazały się na murze cmentarnym.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, człowiek, który pierwszy raz nam przeszkodził, znowu przyszedł zdawać mu sprawę z czynności; ale Rebeka, ośmielona poprzednim powodzeniem, odezwała się z powagą:

- Senor naczelniku, muszę się dziś koniecznie dowiedzieć, co znaczyły te trzy widma, inaczej przez całą noc nie zasnę.

Cygan przyrzekł zadośćuczynić jej żądaniu; w istocie, nieobecność jego krótko trwała. Powrócił i tak dalej mówił:

- Powiedziałem wam, że trzy ohydne widma pokazały się na murze cmentarza. Zjawy te, wraz z towarzyszącym im przeciągłym jękiem, przeraziły czterech grabarzy i naczelnika ich, kapucyna. Wszyscy uciekli, krzycząc bez miłosierdzia. Co do mnie, przeląknęłam się także, ale z zupełnie odmiennym skutkiem, gdyż zostałam jakby przykuty do okna, odurzony i prawie bez zmysłów.

Ujrzałem wtedy, jak widma zeskakują z parkanu na cmentarz i podają ręce trzeciemu, które zdawało się schodzić z wielkim trudem. Następnie pojawiły się inne widma i złączyły z pierwszymi, tak że było ich razem dziesięć czy dwanaście. Natenczas widmo najbardziej ociężałe, które z trudnością zdołało zejść z muru, dobyło latarnię spod białego całunu, zbliżyło się do przysionka i uważnie oglądając trzy trupy, rzekło do towarzyszków:

- Moi przyjaciele, oto jest trup margrabiego Valornez. Widzieliście, jak niegodnie ze mną postąpili moi koledzy. Każdy z nich mówił jak głupiec, utrzymując, że margrabia umarł na puchlinę wodną w piersiach. Tylko ja jeden, ja, doktor Sangre Moreno, miałem słuszność dowodząc, że była to angina polyposa, znana wszystkim uczonym lekarzom. Wszelako zaledwie wymówiłem nazwę angina polyposa, gdy widzieliście, jak się skrzywili moi szanowni koledzy, których nie mogę inaczej mianować jak osłami. Widzieliście, jak wzruszali ramionami, odwracali się do mnie tyłem, jak gdybym był niegodnym członkiem ich zgromadzenia. Ach, zapewne, doktor Sangre Moreno nie jest stworzony do ich towarzystwa. Oślarze Galicji i mulnicy Estremadury - oto ludzie, którzy powinni by ich pilnować i uczyć rozumu.

Jednak niebo jest sprawiedliwe. Przeszłego roku między bydłem panowała nadzwyczajna śmiertelność; jeżeli zaraza pokaże się i tego roku, bądźcie pewni, że żaden z moich kolegów jej nie ujdzie. Natenczas doktor Sangre Moreno zostanie panem pola bitwy, wy zaś, drodzy moi uczniowie, zatkniecie na nim proporzec medycyny chemicznej. Widzieliście, jak ocaliłem hrabiankę de Liria za pomocą prostej mieszaniny fosforu i antymonu. Półmetale i mądre ich kombinacje - oto potężne środki, mogące wystąpić do walki i zwyciężyć choroby wszelkiego rodzaju. Nie wiercie w skutki żadnych ziół lub korzeni, które dobre są na paszę dla jucznych osłów, jakimi są moi szanowni koledzy.

Byliście, drodzy uczniowie, świadkami próśb, jakie zanosilem do margrabiny Valomez, aby mi tylko koniec lancetu pozwoliła zapuścić w tchawicę jej dostojnego małżonka, ale margrabina, idąc za namowami moich nieprzyjaciół, wzbronila mi pozwolenia i musiałem szukać innych środków, by postawić się w możności złożenia oczywistych na moją stronę dowodów.

Ach, jakże gorzko żałuję, że dostojny margrabia nie może być obecny przy dysekcji własnego ciała! z jakąż rozkoszą pokazałbym mu zarody hydratyczne i polipowe, tkwiące korzeniami w jego oskrzelach i wypuszczające rozgałęzienia aż do gardła!

Ale, co mówię! Skąpy ten Kastylijczyk, obojętny na postęp nauki, odmawia nam tego, czego sam wcale nie potrzebuje. Gdyby margrabia miał najmniejszy pociąg do sztuki lekarskiej, byłby nam zapisał swoje płuca, wątrobę i wszystkie wnętrzości, które na nic już przydać mu się nie mogą. Ale nie. ani pomyślał o tym i teraz musimy z narażeniem życia gwałcić przybytek śmierci i zakłócać spoczynek umarłych.

Mniejsza o to, kochani uczniowie; im więcej napotykamy przeszkód, tym większą z przewyciężenia ich zdobędziemy chwałę. Odwagi więc; czas już raz dopełnić tego wielkiego przedsięwzięcia. Po trzykrotnym gwizdnięciu towarzysze wasi, z drugiej strony parkanu pozostali, podadzą drabinę i natychmiast porwiemy dostojnego margrabiego; powinien on sobie wieszować, że zmarł na tak rzadką chorobę, a jeszcze bardziej tego, że wpadł w ręce ludzi, którzy się na niej poznali i oznaczyli właściwą nazwą.

Za trzy dni znowu tu powrócimy po pewnego znakomitego nieboszczyka, zmarłego wskutek... ale sza - cicho - nie należy o wszystkim mówić.

Gdy doktor skończył mowę, jeden z jego uczniów gwizdnął trzy razy i ujrzałem, jak podawano przez mur drabinę. Następnie owiązano sznurami trupa margrabiego i przeciągnięto go na drugą stronę. Pozdejmowano drabiny i widma pozniakały. Gdy zostałem sam, zacząłem szczerze śmiać się z pierwszej mojej bo jaźni.

Tu muszę was uwiadomić o szczególnym sposobie grzebania umarłych używanym w niektórych klasztorach hiszpańskich i sycylijskich. Zwykle urządzają w tym celu małe, ciemne jaskinie, gdzie jednak sztucznie wydrążonymi otworami powietrze szparko dochodzi. Składają w nich ciała, które pragną zachować od rozkładu; ciemność chroni je od robaków, powietrze zaś wysusza. Po sześciu miesiącach otwierają jaskinię. Jeżeli operacja się udała, mnisi w uroczystej procesji idą donieść o tym rodzinie. Następnie ubierają ciało w kapucyński habit i umieszczają w podziemiach, przeznaczonych jeżeli nie dla zupełnie świętych nieboszczyków, to przynajmniej dla posądzonych o świętość.

W klasztorach tych orszak towarzyszy pogrzebowi tylko do bramy cmentarza, po czym braciszkwowie odbierają ciało i postępują z nim wedle rozkazu przełożonych. Zazwyczaj ciało przynoszą wieczorem, przez noc przełożeni się naradzają i dopiero nad rankiem przystępują do dalszych czynności, wiele bowiem ciał nie daje się tym sposobem zasuszyć.

Kapucyni chcieli zasuszyć ciało margrabiego Valornez i właśnie mieli się tym zająć, gdy widma rozproszyły grabarzy, którzy pokazali się dopiero nad świtem, postępując cichaczem i trzymając się jeden drugiego. Strach ogromny padł na nich, gdy ujrzeni, że ciało margrabiego znikło. Osądzili, że bez wątpienia diabeł musiał je porwać.

Niebawem zbiegli się wszyscy zakonnicy, uzbrojeni w kropidła, kropiąc, egzorcyzmując i wrzeszcząc wniebogłosy. Co do mnie, padałem ze znużenia, rzuciłem się więc na słomę i natychmiast zasnąłem.

Nazajutrz pierwsza moja myśl była o karze, jaką mi gotowano, druga - o sposobach jej uniknięcia. Veyras i ja tak dalece przywykliśmy zakradać się do spiżarni, że wdrapywanie się na mury przychodziło nam z wszelką łatwością. Umieliśmy także wysadzać kraty z okien i zasadzać je na powrót, nie naruszając muru. Dobyłem noża z kieszeni i wyrwałem gwóźdź z futryny okna; gwóździem tym zamierzałem obruszyć jeden z prętów kraty. Pracowałem bez odpoczynku aż do południa. Natenczas otworzyło się okienko w drzwiach mego więzienia i poznałem twarz braciszka,

który nam usługiwał w sypialni. Podał mi kawał chleba i dzban wody i zapytał, czy nie potrzebuję czego więcej. Prosiłem go, aby poszedł ode mnie do ojca Sanudo i zaklął go o udzielenie mi pościeli; słuszna bowiem, ażebym wycierpiał karę, ale nie należy porzucać mnie w plugastwie.

Uznano rację mego wniosku, przysłano mi, czego żądałem, i dołączono nawet jakieś mięso na zimno, ażebym nie zasnął z wycieńczenia. Spróbowałem ostrożnie dowiedzieć się czegoś o Veyrasie; okazało się, że nie został uwięziony. Stwierdziłem z zadowoleniem, iż nie szukano winnych. Zapytałem, kiedy zostanie mi wymierzona kara. Braciszek odpowiedział, że nie wie, że jednak zwykle zostawiają trzy dni do rozwagi. Nie potrzebowałem więcej i zupełnie się uspokoiłem.

Użyłem wody, którą mi przyniesiono, do odwilżania muru i praca moja szybko postępowała naprzód. Trzeciego dnia krata z łatwością dawała się wyjmować. Wtedy podarłem na szmaty kołdrę i prześcieradła, uplotłem linę, która mogła służyć zamiast drabiny sznurowej, i oczekiwałem nocy, aby skutecznie ucieczkę. W istocie, nie miałem czasu do stracenia, gdyż braciszek doniósł mi, że następnego dnia mam być sądzony przez juntę, złożoną z teatynów, pod przewodnictwem członka świętej inkwizycji.

Nad wieczorem znowu przyniesiono ciało, okryte czarnym suknem ze srebrnymi frędzlami. Domyśliłem się, że musi to być ów znakomity nieboszczyk, o którym wspominał Sangre Moreno.

Jak tylko noc zapadła i cisza zaległa klasztor, wyjąłem kratę, przywiązałem drabinkę i już miałem schodzić, gdy widma ukazały się na murze cmentarnym. Byli to, jak możecie się domyślić, uczniowie doktora. Poszli prosto do znakomitego nieboszczyka i unieśli go, nie tykając wszakże sukna ze srebrnymi frędzlami. Skoro odeszli, otworzyłem okno i spuściłem się jak najszczęśliwiej. Następnie chciałem oprzeć o mur pierwsze z brzegu mury i dostać się na drugą stronę.

Właśnie zabierałem się do tego, gdym postyszał, że otwierano bramę cmentarną. Czym prędzej uciekłem do przysionka, położyłem się na marach i przykryłem suknem z frędzlami, podnosząc jednak jeden róg, abym mógł widzieć, co się dalej stanie.

Naprzód wszedł jakiś koniuszy, cały czarno ubrany, z pochodnią w jednej, a szpadą w drugiej ręce. Za nim postępowała służba odziana w żałobne szaty, nareszcie dama niezwyklej piękności, od głowy do stóp osłonięta czarną krepą. Tonąc we łzach, zbliżyła się do mar, na których leżałem, i padła na kolana, w te słowa zaczęła gorzkie narzekania:

- O drogie szczątki najukochańszego z mężów! dla-czegóż nie mogę, jak druga Artemizja, pomieszać waszych popiołów z moim pożywieniem, ażeby krążyły z moją krwią i ożywiły to serce, które zawsze biło tylko dla ciebie. Ale ponieważ wiara zabrania mi posłużyć ci za żywy grobowiec, pragnę przynajmniej wyrwać cię z tego zbiorowiska nieboszczyków, pragnę każdego dnia rzewnymi łzami zlewać kwiaty wyrosłe na twoim grobie, gdzie ostatnie moje westchnienie wkrótce połączy nas razem.

To powiedziawszy dama obróciła się ku koniuszemu, mówiąc:

- Don Diego, każ wziąć ciało twego pana; pochowamy je w ogrodowej kaplicy.

Natychmiast czterech barczystych służących porwało mury. Sądząc, że niosą umarłego, niezupełnie się mylili, gdyż w istocie byłem na pół umarły z przestachu.

Gdy Cygan doszedł do tej części swych przygód, dano mu znać, że sprawy hordy wymagają jego obecności. Opuścił nas i już go więcej tego dnia nie widzieliśmy.

Dzień dwudziesty siódmy

Następnego dnia jeszcze zostaliśmy na miejscu. Cygan miał czas wolny; Rebeka skorzystała z pierwszej sposobności i poprosiła o dalszą część przygód:

naczelnik chętnie skłonił się do jej żądań i zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Podczas gdy mnie unoszono na marach, rozprułem kawałek szwu w pokrywającym mnie suknie. Spostrzegłem, że dama wsiadła do lektyki czarno pokrytej, koniuszy jechał obok niej konno, służący zaś, którzy mię nieśli, przemieniali się dla tym prędszego zdążania.

Wyszliśmy z Burgos nie pamiętam przez którą bramę i postępowaliśmy około godziny, po czym zatrzymaliśmy się u wejścia ogrodu. Zaniesiono mnie do pawilonu i złożono pośród komnaty wybitej czarnym kirem i słabo oświetlonej kilkoma lampami.

- Don Diego - rzekła dama do swego koniuszego - zostaw mnie samą, pragnę płakać nad tymi ukochanymi szczątkami, z którymi boleść moja wkrótce mnie połączy.

Gdy koniuszy odszedł, dama usiadła przede mną i rzekła:

- Okrutniku; tu cię więc nareszcie twoja nieubłagana wściekłość doprowadziła! Potępiłeś nas bez wysłuchania - jakże teraz odpowiesz przed straszliwym trybunałem wieczności?

W tej chwili wpadła druga kobieta, na kształt furii, z rozpuszczonym włosiem i sztyletem w ręku:

- Gdzie są - zawołała - nikczemne zwłoki tego potwora w ludzkiej postaci? Dowiem się, czy miał wnętrzości, rozerwę je, dobędę to nielitościwe serce, rozszarpię je własnymi rękami i ukoję moją wściekłość.

Osądziłem, że nadszedł czas oznajmić tym paniom, z kim mają do czynienia. Wydobyłem się spod sukna i padając do nóg damy ze sztyletem, zawołałem:

- Pani, miej litość nad biednym studentem, który przed różgami skrył się pod to sukno!

- Nieszczęśliwy chłopcze - krzyknęła dama - cóż się stało z ciałem księcia Sidonii?

- Tej nocy - odpowiedziałem - porwali je uczniowie doktora Sangre Moreno.

- Sprawiedliwe nieba! - przerwała dama - on jeden wiedział, że księżę został otruty. Jestem zgubiona...

- Nie lękaj się, pani - rzekłem - doktor nigdy nie ośmieli się wyznać, że porywa trupy z cmentarza kapucynów, ci zaś ostatni, przypisując diabłu te sprawy, nie zechcą przyznać się, że szatan nabrał takiej mocy w ich świętym schronieniu.

Wtedy dama ze sztyletem, spojrzawszy na mnie surowo, rzekła:

- Ale ty, chłopcze, kto nam zaręczy, że potrafisz milczeć?

- Ja - odpowiedziałem - miałem być dziś sądzony przez juntę teatynów pod przewodnictwem członka inkwizycji. Bez wątpienia byłbym skazany na tysiąc różeg. Racz więc, pani, ukrywając mnie przed światem, upewnić się, że dochowam tajemnicy.

Dama ze sztyletem, zamiast odpowiedzi, podniosła drzwiczki zwodowe w kącie komnaty i dała mi znak, abym zszedł do podziemia. Posłuchałem rozkazu i podłoga zamknęła się za mną.

Schodziłem zupełnie ciemnymi schodami, prowadzącymi do równie ciemnego podziemia. Zawadziłem o słup, poczułem łańcuchy pod ręką, nogami zaś na-macałem kamień grobowy z żelaznym krzyżem. Wprawdzie smutne te przedmioty bynajmniej nie zapraszały do snu, ale byłem w tym szczęśliwym wieku, gdy znużenie przewycięża wszelkie inne względy. Rozciągnąłem się więc na grobowcowym marmurze i niebawem głąboko usnąłem.

Nazajutrz obudziwszy się spostrzegłem, że moje więzienie oświeca lampa, zawieszona w pobocznym podziemiu, oddzielonym, od mego żelazną kratą. Wkrótce dama ze sztyletem pokazała się u kraty i złożyła koszyk nakryty serwetą. Chciała coś mówić, ale łyzy tamowały jej głos. Oddaliła się więc, dając mi znakami do zrozumienia, że miejsce to budzi w niej straszliwe wspomnienia. Znalazłem w koszu obfite zapasy i kilka książek. Różgi przestały mnie niepokoić i byłem, pewny, że nie spotkam się z żadnym teatynem; względy te sprawiły, że dzień upłynął mi przyjemnie.

Następnego dnia posiłek przyniosła mi młoda wdowa. I ona również chciała mówić, ale zabrakło jej siły, odeszła więc, nie mogąc wyrzec ani słowa. Nazajutrz znowu powróciła; w ręku trzymała koszyk, który im podała przez kratę. W części podziemia, w której się znajdowała, wznosił się ogromny krucyfiks. Rzuciła się na kolana przed tym wizerunkiem naszego Zbawiciela i w te słowa zaczęła się modlić:

- Wielki Boże! pod tym marmurem spoczywała sponiewierane zwłoki słodkiej i czułej istoty. Dziś jest ona już bez wątpienia między aniołami, których była obrazem na ziemi, i błaga Twego miłosierdzia dla okrutnego zabójcy, dla tej, która zemściła się za jej śmierć, i dla nieszczęśliwej, która stała się mimowolną współwinowajczynią i ofiarą tyłu okropności.

Po tych słowach dama cichym głosem, ale z wielką żarliwością modliła się dalej. Wreszcie powstała, zbliżyła się do kraty i, uspokojona nieco, rzekła do mnie:

- Młody mój przyjacielu, powiedz, czy ci czego nie brakuje i w czym możemy ci usłużyć.

- Pani - odpowiedziałem - mam ciotkę, nazwiskiem Dalanosa, która mieszka obok teatynów. Rad bym, aby jej doniesiono, że żyję i że znajduję się w bezpiecznym miejscu.

- Podobne zlecenie - rzekła dama - mogłoby nas narazić na niebezpieczeństwo. Przrzekam ci jednak, że pomyślę nad sposobem uspokojenia twojej ciotki.

- Jesteś pani aniołem dobroci - mówiłem - a mąż, który uczynił cię nieszczęśliwą, musiał być potworem.

- Mylisz się, mój przyjacielu - odrzekła dama. - Był on najlepszym i najczulszym z ludzi.

Nazajutrz druga dama przyniosła mi posiłek. Tym razem wydała mi się mniej wzburzona, a przynajmniej bardziej panowała nad sobą.

- Moje dziecko - rzekła - byłam osobiście u twojej ciotki; widać, że ta kobieta kocha cię jak własnego syna. Czy nie masz już rodziców?

Odpowiedziałem, że matka moja już nie żyje i że nieszczęśliwym trafem wpadłszy w kałamarnicę mego ojca, zesłałem na wieki wygnany z jego domu. Dama zażądała, abym jej wytłumaczył te słowa. Opowiedziałem jej moje przygody, które wywołały uśmiech na jej usta.

- Zdaje mi się - rzekła - że się roześmiała, co od dawna już mi się nie przytrafiło. I ja miałam syna, który spoczywa pod tym marmurowym grobowcem, na którym siedzisz. Rada bym w tobie go odzyskać. Byłam mamką księżnej Sidonii. Jestem bowiem wiejskiego pochodzenia, ale mam serce, które umie kochać i nienawidzić, i wierzaj mi, że osoby z takim charakterem zawsze są coś warte.

Podziękowałam damie, zapewniając ją, że do grobu zachowam dla niej synowskie uczucia.

Tym sposobem upłynęło kilka tygodni i obie damy coraz bardziej do mnie się przyzwyczajały. Mamka postępowała ze mną jak z synem, a księżna okazywała mi wielką życzliwość i często długie godziny przepędzała w podziemiu.

Pewnego dnia, gdy wydała mi się mniej smutna niż zwykle, ośmieliłem się prosić ją, aby mi opowiedziała swoje nieszczęścia. Długo opierała się, wreszcie uległa moim naleganiom i zaczęła w te słowa:

HISTORIA KSIĘŻNEJ MEDINA SIDONIA

Jestem córką jedynaczką don Emanuela de Val Florida, pierwszego sekretarza stanu, zmarłego przed niedawnymi czasami. Swoją śmiercią wzbudził on żal nie tylko swego władcy, ale, jak mi mówiono, również i dworów sprzymierzonych z naszym potężnym monarchą. Dopiero w ostatnich latach jego życia poznałam tego zacnego człowieka.

Przepędziłam młodość w Asturii przy matce mojej, która, rozłączywszy się z mężem po kilku latach małżeńskiego pożycia, mieszkała u swego ojca, margrabiego Astorgas, którego była jedyną dziedziczką.

Nie wiem, w jakiej mierze matka moja zasłużyła na utratę miłości swego małżonka, pamiętam tylko, że długie cierpienia jej życia wystarczały na odpokutowanie za najstraszliwsze przewinienia. Smutek

przenikał całą jej istotę, łzy błyszczały w każdym spojrzeniu. boleść w każdym uśmiechu, snu nawet nie miała spokojnego. łkania i westchnienia ciągle go przerywały.

Wszelako rozłączenie nie było zupełne. Matka regularnie odbierała listy od swego męża i równie regularnie przysyłała mu odpowiedzi. Dwa razy odwiedziła go w Madrycie, ale serce małżonka było dla niej zamknięte na zawsze. Margrabina miała duszę tkliwą i potrzebującą kochania, całe więc przywiązanie zwróciła na ojca i uczucie to, podniesione aż do egzaltacji, osłodziło nieco gorycz długich jej zmartwień.

Co do mnie, nie umiem określić uczucia, jakie moja matka mi okazywała. Kochała mnie bez wątpienia, ale można było rzec, że lęka się kierować moim życiem. Nie tylko że nie udzielała mi żadnych nauk, ale nie śmiała w niczym mi radzić; jednym słowem, jeżeli mi to wypada powiedzieć, zszedłszy z drogi cnoty, nie czuła się godna, by wychowywać córkę. Opuszczenie, w jakim od pierwszych lat życia zostawałam, byłoby zapewne pozbawiło mnie korzyści dobrego wychowania, gdybym nie miała przy sobie Girony, naprzód mamki, następnie mojej ochmistrzyni. Znasz ją, wiesz, że posiada duszę silną i umysł nader wykształcony. Niczego nie zaniedbała, aby tylko zapewnić mi szczęście na przyszłość, ale nieubłagany los zawiódł jej nadzieje.

Pedro Giron, mąż mojej mamki, znany był jako Człowiek przedsiębiorczy, ale lichego charakteru. Zmuszony porzucić Hiszpanię, popłynął do Ameryki i nie dawał o sobie żadnych wieści. Girona miała z nim tylko jednego syna, który był moim mlecznym bratem. Dziecię to odznaczało się nadzwyczajną pięknnością, co sprawiło, że nazywano je Hermostem. Nieszczęśliwy niedługo cieszył się życiem i tym imieniem. Jedne piersi nas karmiły i często spoczywaliśmy w tej samej kołysce. Zażyłość wzrastała między nami aż do siódmego roku naszego życia. Wtedy Girona osądziła, że nadszedł czas pouczyć syna o różnicy naszych stanów i o rozdziale, jaki los położył między nim a młodą jego przyjaciółką.

Pewnego dnia, gdyśmy zapuścili się w jakąś sprzeczkę dziecinną, Girona przywołała swego syna i rzekła mu surowo:

- Proszę cię, abyś nigdy nie zapominał, że panna de Val Florida jest twoją i moją panią i że oboje jesteśmy tylko pierwszymi służącymi jej domu.

Hermosto posłuchał tych słów. Odtąd wypełniał ślepo wszelkie moje żądania, starał się nawet odgadywać je i uprzedzać. To nieograniczone postuszerstwo zdawało się mieć dla niego niewypowiedziany urok, ja zaś cieszyłam się, widząc go tak dla siebie powolnym. Naówczas Girona spostrzegła, że nowy ten sposób wzajemnego obejścia naraża nas na inne niebezpieczeństwa, postanowiła więc rozłączyć nas, jak tylko skończymy po trzynastu lat. Na razie przestała się nad tym zastanawiać i ku czemu innemu zwróciła uwagę.

Girona, jak wiesz, kobieta z wykształconym umysłem, zawczasu zaznajomiła nas z dziełami znakomitych autorów hiszpańskich i udzieliła nam pierwszych pojęć o historii. Chcąc także wykształcić w nas rozsądek, kazała nam tłumaczyć się z tego, co czytaliśmy, i pokazywała, jakim sposobem należy zastanawiać się nad wypadkami. Dzieci, ucząc się historii, zazwyczaj z namiętnością przywiązują się do osób odgrywających najświetniejsze role. W takich razach mój bohater natychmiast stawał się bohaterem mego towarzysza, gdy zaś zmieniałam przedmiot mego uwielbienia, Hermosto z tymże samym zapałem podzielał moje zdanie.

Przyzwyczałam się tak dalece do uległości Hermosita, że najmniejszy opór z jego strony byłby niesłychanie mnie zadziwił; ale nie było się czego lękać, ja sama musiałam ograniczyć moją władzę albo też przezornie jej używać.

Pewnego dnia zachciało mi się pięknej muszli, którą spostrzegłam na dnie czystej, ale głębokiej wody. Hermosito rzucił się i o mało co nie utonął. Kiedy indziej złamała się pod nim gałąź, gdy chciał wybrać gniazdo, którego żądałam. Upadł na ziemię i mocno się potłukł. Odtąd z większą przezornością oświadczałam moje życzenia, ale zarazem znajdowałam, że pięknie mieć taką władzę, a jednak jej nie używać. Był to, jeżeli sobie dobrze przypominam, pierwszy objaw mojej miłości własnej; odtąd, zdaje mi się, nieraz byłabym mogła czynić podobne spostrzeżenia.

Tak nam upłynął trzynasty rok życia. W dniu, w którym Hermosito go ukończył, matka rzekła mu:

- Synu mój, dziś obchodzimy trzynastą rocznicę twego urodzenia. Nie jesteś już dzieckiem i nie możesz tak poufałe zbliżać się do twojej pani. Pożegnaj się z nią, jutro odjedziesz do Nawarry, do twego dziadka.

Girona jeszcze nie była dokończyła tych słów, gdy Hermosito wpadł w gwałtowną rozpacz. Rozpłakał się, zemdłał, odzyskał zmysły, aby znowu zalewać się łzami. Co do mnie, bardziej zajmowałam się kojeniem jego żalu aniżeli podzieleniem zmartwienia. Uważałam go za istotę zupełnie zależną ode mnie, nie dziwiłam się więc jego rozpacz. Ale bynajmniej nie okazałam mu wzajemności. Zresztą byłam jeszcze zbyt młoda i zbyt doń przyzwyczajona, aby jego nadzwyczajna piękność mogła sprawić na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Girona nie należała do osób, które można wzruszyć łzami, nie zważała więc na żal Hermosita i gotowała wszystko do jego podróży. Ale w dwa dni po odjeździe mulnik, któremu powierzyła syna, przyszedł zafrasowany z oznajmieniem, że przechodząc przez las, odstąpił na chwilę mułów i wróciwszy nie znalazł już Hermosita, że wołał go i szukał na próżno i że bez wątpienia wilcy go pożarli. Girona była więcej zdziwiona niż zmartwiona.

- Zobaczcie - rzekła - że mały łotr wkrótce do nas powróci.

W istocie, nie omyliła się. Niebawem ujrzeliśmy naszego zbiega. Hermosito rzucił się matce do nóg mówiąc:

- Urodziłem się, ażeby służyć panie de Val Florida, i umrę. jeżeli mnie od niej oddalą.

W kilka dni potem Girona otrzymała list od męża, o którym dotąd nie miała żadnych wiadomości. Pisał do niej, że w Veracruz zebrał znaczny majątek, dodając, że rad by mieć syna przy sobie, jeżeli ten dotąd zostaje przy życiu. Girona, pragnąc przede wszystkim oddać syna, nie omieszkała korzystać z tej sposobności. Hermosito od chwili swego powrotu nie mieszkał już na zamku, ale w małej wiosce, którą posiadaliśmy nad brzegiem morza. Pewnego poranku matka przyszła do niego i zmusiła go, by wsiadł do łódki rybaka, który zobowiązał się odwieźć go do stojącego w pobliżu amerykańskiego okrętu. Hermosito wsiadł na okręt, ale podczas nocy rzucił się w morze i wpływ przyplłynął do brzegu. Girona gwałtem zmusiła go do powrotu. Były to poświęcenia, jakie czyniła z poczucia obowiązku, i łatwo było widzieć, ile ją kosztowały.

Wszystkie te wypadki, które ci opowiadam, bardzo szybko po sobie następowały, po czym nastąpiły inne, daleko smutniejsze. Mój dziad rozchorował się; matka moja, od dawna trawiona przewlekłą chorobą, zaledwie miała dość siły do pielęgnowania ostatnich jego chwil i oddała duszę równocześnie z duchem margrabiego Astorgas.

Z dnia na dzień oczekiwano przybycia mego ojca do Asturii, ale król żadną miarą nie chciał go p Liście od siebie, gdyż sprawy państwa wymagały jego obecności na dworze. Margrabia de Val Florida w pochlebnych wyrazach napisał list do Girony, polecając jej, aby mnie jak na j spiesznie j przywiozła do Madrytu. Mój ojciec przyjął do swojej służby wszystkich domowników margrabiego Astorgas, którego byłam jedyną dziedziczką. Urządziwszy mi więc świetny orszak, wybrali się ze mną w drogę. Zresztą córka sekretarza stanu może być w całej Hiszpanii pewna jak najlepszego przyjęcia; honory zaś, jakie mi wszędzie po drodze oddawano, rozbudziły w moim sercu żądzę zaszczytów, która później postanowiła o całym moim losie.

Gdy zbliżałam się do Madrytu, inny rodzaj miłości własnej przygłuszył nieco to pierwsze uczucie. Pamiętałam, że margrabina de Val Florida kochała swego ojca, ubóstwiała go, zdawała się żyć i oddychać tylko dla niego, podczas gdy do mnie odnosiła się z pewnego rodzaju chłodem. Teraz ja także miałam ojca; przyrzekłam sobie kochać go z całej duszy, chciałam przyczynić się do jego szczęścia. Nadzieja ta wbiła mnie w dumę, zapomniałam o moim wieku, sądziłam, że jestem już dorosła, chociaż liczyłam dopiero czternasty rok życia.

Jeszcze byłam zajęta tymi rozkosznymi myślami, gdy powóz wjechał w bramę naszego pałacu. Ojciec przyjął mnie u wejścia i okrył tysięcznymi pieśczołami. Niebawem rozkaz królewski wezwał go do dworu, odeszłam do moich pokojów, byłam jednak bardzo wzruszona i przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Nazajutrz z rana ojciec kazał mnie przywołać do siebie, właśnie pił czekoladę i chciał, abym z nim zjadła śniadanie. Po chwili rzekł mi:

- Kochana Eleonoro, tryb mego życia jest niewesoły i charakter mój od pewnego czasu nader zesmutniał; ponieważ jednak niebo ciebie mi powróciło, spodziewam się, że odtąd pogodniejsze dni zajaśnieją. Drzwi mego gabinetu będą zawsze dla ciebie stały otworem, przychodź tu, kiedy chcesz, z jaką niewieścią robotą. Mam drugi oddzielny gabinet do narad i tajemnych prac; w przerwach między zatrudnieniami będę mógł z tobą rozmawiać i mam nadzieję, że słodysz tego nowego pożycia przypomni mi niektóre obrazy od tak dawna straconego domowego szczęścia.

To powiedziawszy margrabia zadzwonił. Wszedł sekretarz z dwoma koszykami, z których jeden zawierał listy tego dnia nadeszłe, drugi zaś listy zadawnione, które czekały jeszcze odpowiedzi.

Spędziłam jakiś czas w gabinecie, po czym oddaliłam się do moich pokojów. Wróciwszy w chwili obiadu, zastałam kilku poufałych przyjaciół mego ojca, zatrudnionych, równie jak on, sprawami największej wagi. Nie lękali się otwarcie o wszystkim przede mną mówić, prostoduszne zaś uwagi, jakie mieszałam do ich rozmów, często widocznie ich bawiły. Spostrzegłam, że zajmują one mego ojca, i mocno byłam z tego zadowolona.

Nazajutrz, jak tylko dowiedziałam się, że jest w swoim gabinecie, natychmiast poszłam do niego. Pił czekoladę i rzekł mi z twarzą rozpromienioną:

- Dzisiaj mamy piątek, nadejdą listy z Lizbony.

Po czym zadzwonił na sekretarza, który przyniósł oba koszyki. Ojciec z niecierpliwością przetrząsnął zawartość pierwszego z nich i wyjął list zawierający dwa arkusze: jeden pisany szyfrem, który oddał sekretarzowi, drugi zaś zwyczajny, który sam zaczął czytać z pośpiechem i zadowoleniem.

Podczas gdy zajmował się czytaniem, wzięłam kopertę i jęłam przypatrywać się pieczęci. Rozpoznałam złote runo, a nad nim książęca mitrę. Niestety, ten szumny herb miał kiedyś zostać moim. Nazajutrz przyszła poczta z Francji i tak dalej przez dni następne, ale żadna nie zajmowała mego ojca tak żywo jak portugalska.

Gdy tydzień upłynął i nadszedł piątek, rzekłam wesoło do ojca, który siedział przy śniadaniu:

- Dzisiaj piątek, będziemy znowu mieli listy z Lizbony.

Następnie prosiłam, aby mi pozwolił zadzwonić, i gdy sekretarz wszedł, pobiegłam do koszyka, dobyłam upragniony list i podałam go ojcu, który w nagrodę czule mnie uściskał.

Tym sposobem postępowałam przez kilka piątków:

Nareszcie pewnego dnia ośmieliłam się zapytać mego ojca, co to za listy, których zawsze oczekuje z taką niecierpliwością.

- To listy - odpowiedział - od naszego posła w Lizbonie, księcia Medina Sidonia. mego przyjaciela i dobroczyńcy, a nawet więcej, gdyż przekonany jestem, że jego los ściśle łączy się z moim.

- W takim razie - rzekłam - ten zacny książę ma także prawo i do mego szacunku. Rada bym go lać. Nie pytam się, co pisze do ciebie szyfrem, ale zaklinam cię, drogi ojcze, przeczytaj mi ten drugi list.

Na te słowa mój ojciec gwałtownie się rozgniewał. Nazwał mnie zepsutym, samowolnym i pełnym przywidzeń dzieckiem. Dodał jeszcze wiele przykrych wyrazów. Następnie ułagodził się i nie tylko przeczytał, ale darował mi list księcia Medina Sidonia. Mam go dotąd u siebie na górze i przyniosę następnym razem, gdy przyjdę cię odwiedzić.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, dano mu znać, że sprawy hordy wymagają jego obecności, oddalił się więc i już tego dnia go nie widzieliśmy.

Dzień dwudziesty ósmy

Zebraliśmy się wszyscy dość wcześnie na śniadanie. Rebeka widząc, że naczelnik nie jest gwałtownie zatrudniony, prosiła, aby dalej ciągnął opowiadania, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

W istocie, nazajutrz księżna przyniosła mi list. o którym poprzednio wspominała, a który brzmiał, jak następuje:

DALSZY CIĄG HISTORII KSIĘŻNEJ MEDINA SIDONIA

Księżę Medina Sidonia do margrabiego de Val Florida.

Znajdziesz, kochany przyjacielu, w szyfrowanych depezech dalszy ciąg naszych układów. W tym liście chce ci opowiedzieć, co się dzieje na tym dworze świętoszków i rozpustników, na którym skazany jestem przebywać. Jeden z moich ludzi ma odwieźć list do granicy, dlatego więc szczerzej będę mógł się rozpisać.

Król don Pedro de Braganca ciągle obiera klasztory za widownię swoich miłostek. Porzucił teraz tysienie urszulanek dla przeorowsy wizytek. JKMość życzy sobie, abym mu towarzyszył w tych miłosnych pielgrzymkach, co też muszę czynić dla dobra naszych spraw. Król rozmawia z przeorowsą oddzielony od niej nieprzełamana kratą, która, jak powiadają, za pomocą ukrytych sprężyn zapada się pod dłoń potężnego monarchy.

My wszyscy, którzy mu towarzyszymy, rozchodzimy się po rozmownicach, gdzie nas przyjmują młodsze zakonnice. Portugalczycy znajdują szczególne upodobanie w rozmowie z zakonicami, których odezwania się pod względem sensu przypominają śpiew ptasząt w klatkach, żyjących, podobnie jak one, w zamknięciu. Wszelako zajmująca bladeść poświęconych dziewic, ich pobożne westchnienia, tkliwe przystosowania religijnego języka, ich prostoduszna nieświadomość i rozmarzone pragnienia - wywierają na młodych panów naszego dworu urok, jaki trudno im znaleźć w kobietach z towarzystwa lizbońskiego.

Skądinąd wszystko w tych schronieniach upaja duszę i zmysły. Powietrze tchnie balsamicznym zapachem kwiatów, nagromadzonych koło obrazów świętych, oko za kratami spostrzega dyszące wonnościami samotne sypialnie, dźwięki świeckiej gitary mieszają się z akordami poświęconych organów i osłaniają tkliwe gruchania młodzieży napierającej z obu stron na kratę. Takie zwyczaje panują w zakonach portugalskich.

Co do mnie, tylko przez krótki czas mogę wdawać się w te czule szaleństwa, rychło bowiem namiętne wyrażenia miłości przywodzą mi na myśl obrazy zbrodni i zabójstwa. A przecież popełniłem tylko jedno zabójstwo: zamordowałem przyjaciela, człowieka, który tobie i mnie życie ocalił.

Rozpustne obyczaje wielkiego świata stały się przyczyną tych nieszczęsnych wypadków, które skalaly mi serce w latach rozkwitu, w których dusza moja miała dać przystęp szczęściu, cnocie a zapewne i czystej miłości. Ale uczucie to nie mogło powstać wśród tak okropnych wrażeń. Ile razy słyszałem rozmowę o miłości, tyle razy zawsze zdawało mi się, że krew występuje mi na dłoń. Jednakże czułem potrzebę kochania, i to, co byłoby zrodziło miłość w mym sercu, przetworzyło się w uczucie życzliwości, którą starałem się dokoła rozpościerać.

Kochałem mój kraj, a nade wszystko ten dzielny lud hiszpański, przywiązany do tronu i ołtarza, wiemy obowiązkom honoru. Hiszpanie odpłacili mi wzajemnością i dwór osądził, że zbyt mnie kochano. Odtąd na zaszczytnym wygnaniu, jak mogłem, służyłem krajowi i z oddalenia przyczyniałem się do szczęścia moich poddanych. Miłość ku ojczyźnie i ludzkości napętniła serce moje słodkimi uczuciami.

Co do tej innej miłości, która miała ozdobić wiosnę mego życia, czegoż się od niej dziś mogę spodziewać? Postanowiłem zakończyć na sobie ród Medina Sidonia. Wiem, że córki wielu grandów pragną połączenia ze mną, ale nie wiedzą, że ofiara mojej ręki byłaby niebezpiecznym podarunkiem. Mój sposób myślenia nie zgadza się z dzisiejszymi zwyczajami. Ojcowie nasi uważali swoje małżonki za skarbnice swego szczęścia i honoru. W starej Kastylii puginał i trucizna karały niewiarę. Bynajmniej nie ganię moich przodków, ale też i nie chciałbym ich naśladować, ostatecznie więc lepiej, że mój ród na mnie się skończy.

Gdy ojciec mój doszedł do tego miejsca listu, zdawał się wahać i nie chciał dalej czytać, ale zaczęłam go łak usilnie prosić, że nie mógł oprzeć się moim naleganiom i tak dalej ciągnął:

Cieszę się wraz z tobą ze szczęścia, jakie ci sprawia towarzystwo zachwycającej Eleonory. Umysł w tym wieku musi przybierać czarujące kształty. To, co o nie piszesz, dowodzi, że jesteś z nią szczęśliwy; niemało przyczynia się to do mego własnego szczęścia.

Na te słowa nie mogłam wstrzymać mego uniesienia, rzuciłam się do nóg mego ojca. zaczęłam go ścisnąć, byłam pewna, że stanowią jego szczęście. Myśl ta na wskroś przejmowała mnie niewysłowioną radością.

Gdy przeszły pierwsze chwile uniesienia, zapytałam ojca, w jakim wieku jest książę Medina Sidonia.

- Jest on - rzekł - o pięć lat młodszy ode mnie, czyli ma trzydzieści pięć lat, ale należy do ludzi, którzy nigdy się nie starzeją.

Byłam w wieku, w którym młode dziewczęta wcale nie zastanawiają się nad latami mężczyzn. Chłopiec tak jak ja czternastoletni byłby mi się wydał dzieckiem niegodnym mojej uwagi. Ojca bynajmniej nie uważałam za starego, książę zaś, mając pięć lat mniej, był w moich oczach młodzieńcem. Było to pierwsze pojęcie, jakie o nim powzięłam, i później przyczyniło się ono wielce do postanowienia o moim losie.

Następnie zapytałam, co to za morderstwa, o których książę wspominał. Na te słowa mój ojciec zmarszczył czoło i po kilku chwilach zastanowienia rzekł:

- Droga Eleonoro, są to wypadki zostające w ścisłym związku z moim rozłączeniem się z twoją matką. Wprawdzie nie powinienem ci o tym mówić, ale prędzej czy później własna twoja ciekawość zwróci się w tym kierunku, zamiast więc domysłów nad przedmiotem równie drażliwym jak smutnym wolę sam o wszystkim cię uwiadomić.

Po tej przemowie ojciec w te słowa opowiedział mi przygody swego życia:

HISTORIA MARGRABIEGO DE VAL FLORIDA

Wiesz dobrze, że ród Astorgas wygaś na twojej matce. Rodzina ta wraz z domem Val Florida należała do najstarszych w Asturii. Ogólne życzenie prowincji przeznaczało mi rękę panny Astorgas. Przyzwyczajeni zawczasu do tej myśli, powzięliśmy ku sobie wzajemne uczucia, które miały ustalić nasze małżeńskie szczęście. Różne jednak okoliczności opóźniły nasz związek, tak że ożeniłem się dopiero w dwudziestym piątym roku życia.

W sześć tygodni po naszym ślubie oświadczyłem mojej żonie, że ponieważ wszyscy moi przodkowie służyli w wojsku, przeto honor nakazuje mi iść za ich przykładem, i że zresztą w wielu garnizonach hiszpańskich daleko przyjemniej można pędzić życie aniżeli w Asturii. Pani de Val Florida odpowiedziała, że zawsze zgodzi się z moim zdaniem, ile razy będzie chodziło o honor naszego domu. Uradzono więc, że wstąpię do wojska. Napisałem do ministra i otrzymałem kompanię jazdy w pułku księcia Medina Sidonia, który stał załogą w Barcelonie. Tam właśnie urodziłaś się, moje dziecię.

Wybuchła wojna; posłano nas do Portugalii, ażeby łączyć się z armią don Sancha de Saavedra. Wódz ten rozpoczął wojnę sławną potyczką pod Vila Marga. Nasz pułk, najsilniejszy wówczas w całej armii, odebrał rozkaz zniesienia kolumny angielskiej, która tworzyła lewe skrzydło nieprzyjaciela. Dwa razy natarliśmy bezskutecznie i już gotowaliśmy się do trzeciego natarcia, gdy nagle zjawił się między nami rycerz w kwiecie wieku, okryty świetną bronią.

- Za mną! - krzyknął - jestem pułkownik wasz, książe Medina Sidonia.

W istocie, słusznie uczynił, że się nazwał, gdyż bylibyśmy go wzięli za anioła wojny lub jakiegoś księcia z niebieskiej armii, tak miał w sobie coś nadludzkiego.

Tym razem rozbiliśmy angielską kolumnę i sława tego dnia należała do naszego pułku. Mogę śmiało wyznać, że po księciu ja najdzielniej sobie poczynałem. Przynajmniej tak pochlebne świadectwo pozyskałem od mego naczelnika, który natychmiast uczynił mi zaszczyt proszenia o moją przyjaźń. Nie była to czcza grzeczność z jego strony. Staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi: książe nigdy nie traktował mnie z góry, ja zaś nigdy nie zniżałem się do pochlebstw. Zarzucają Hiszpanom pewną wyniosłość w obejściu, wszelako jedynie unikając poufałości umiemy być dumni bez pychy i grzeczni bez nadskakiwania.

Zwycięstwo pod Vila Marga otworzyło wiele awansów. Książe został generałem, mnie zaś podwyższono na placu na podpułkownika i pierwszego adiutanta.

Dano nam niebezpieczne polecenie przeszkadzania nieprzyjacielowi w przejściu przez Duero. Książe zajął korzystne położenie i dość długo się na nim utrzymywał, nareszcie całe wojsko angielskie na nas uderzyło. Przewaga liczby nie mogła zmusić nas do odwrotu, powstała okropna rzeź i nasza zguba była już nieodzowna, gdy wtem niejaki van Berg, dowódca kompanii wallońskich, przybył nam na pomoc z trzema tysiącami ludzi. Dokazał cudów waleczności i nie tylko wyrwał nas z niebezpieczeństwa, ale za jego sprawą otrzymaliśmy plac boju. Pomimo to nazajutrz złączyliśmy się z głównym korpusem armii.

Gdy tak cofaliśmy się razem z Wallonami, książe zbliżył się do mnie i rzekł:

- Kochany Val Florida, wiem, że liczba dwa najlepiej przystoi przyjaźni i nie można przekroczyć jej bez narażenia świętych praw tego uczucia. Sądzę jednak, że ważna przysługa, jaką van Berg nam wyświadczył, zasługuje na wyjątek. Zdaje mi się, że wdzięczność nakazuje nam ofiarować mu naszą przyjaźń i przypuścić go jako trzeciego do węzła, który nas łączy.

Podzieliłem, zdanie księcia, który udał się do van Berga i złożył mu ofiarę naszej przyjaźni z powagą odpowiadającą znaczeniu, jakie przywiązywał do miana przyjaciela. Van Berg zdziwił się niepomału i rzekł:

- Wasza książęca mość wyświadczasz mi zbyt wielki zaszczyt. Muszę cię uprzedzić, że mam zwyczaj co dzień się upijać; gdy zaś przypadkiem nie jestem pijany, gram w grę jak można najgrubszą. Jeżeli zatem wasza książęca mość masz wstręt do podobnych zwyczajów, nie sądzą, aby nasz związek mógł być długotrwały.

Odpowiedź ta zmieszała księcia, po chwili jednak roześmiał się, zapewnił van Berga o swoim szacunku i obiecał mu, że użyje na dworze całego kredytu, aby go jak na j świetnie j wynagrodzono. Van Berg jednak nade wszystko przekładał nagrody pieniężne. Król obdarzył go baronią Deulen, położoną w okręgu Malines; van Berg tego samego dnia sprzedał ją Walterowi van Dydkowi, mieszczaninowi z Antwerpii i liwerantowi armii.

Rozłożyliśmy się na leże zimowe w Coimbrze, jednym z na j znacznie j szych miast portugalskich. Pani de Val Florida przyjechała do mnie; lubiła żyć w świecie, otworzyłem więc dom dla znaczniejszych oficerów armii. Wszelako książę i ja mało oddawaliśmy się zgiełkliwym przyjemnościom towarzystwa; ważne zatrudnienia cały nasz czas zajmowały.

Cnota była bożyszczem młodego Sidonii, dobro ogółu - Jsgo marzeniem. Zagłębialiśmy się razem nad położeniem Hiszpanii i układaliśmy plany zapewnienia jej pomyślności na przyszłość. Dla uszczęśliwienia Hiszpanów pragnęliśmy naprzód wpoić w nich miłość cnoty i odciągnąć od niepomiarkowanej chęci zysku, co bynajmniej nie wydawało się nam trudne. Chcieliśmy także wskrzesić tradycje dawnego rycerstwa. Każdy Hiszpan miał być równie wierny małżonce jak królowi i każdy powinien był mieć towarzysza broni. Ja połączyłem się już z księciem; byliśmy przekonani, że świat będzie kiedyś mówił o naszym związku i że szlachetne umysły, postępując w nasze ślady, uczynią drogę cnoty bardziej przystępną.

Wstyd mi, kochana Eleonoro, mówić ci o podobnych szaleństwach, ale od dawna już zauważono, że młodzież, zapuszczająca się w marzenia, wychodzi z czasem na pożytecznych, a nawet wielkich ludzi. Przeciwnie, młode katony, wystudzone jeszcze przed wiekiem, nie mogą nigdy wznieść się nad wyrachowanie własnej korzyści. Brak serca ścieśnia ich umysł i czyni ich niezdolnymi tak na ludzi stanu, jak też na użytecznych obywateli. Prawidło to nader mało ma wyjątków.

Tak więc, puszczając wyobraźnię na manowce cnoty łudziliśmy się nadzieją, że urzeczywistnimy kiedyś w Hiszpanii wiek Saturna i Rei. Przez ten czas van Berg, o ile możliwości, zaprowadzał wiek złoty. Sprzedał baronią Deulen za osiemkroć sto tysięcy liwrów i przysiągł na słowo honoru, że nie tylko wyda te pieniądze przez dwa miesiące leż zimowych, ale nadto zaciągnie jeszcze sto tysięcy franków długu. Marnotrawny nasz Flamandczyk obliczył następnie, że dla dotrzymania słowa należy mu wydawać dziennie tysiąc czterysta pistołów, co było dość trudne w takim mieście jak Coimbra. Uląkł się myśląc, że zbyt lekkomyślnie dał słowo, gdy mu zaś przedkładano, że może użyć część pieniędzy

na wspomnienie biednych i uszczęśliwienie tylu ludzi, odpowiedział, że przysiągł wydawać, nie zaś rozdawać, i że poczucie własnej godności nie pozwala mu najmniejszej części tych pieniędzy obrócić na dobre uczynki; gra nawet w to nie wchodzi, gdyż mógł wygrać, a pieniądze przegrane nie były wydanymi.

Tak trudne położenie zdawało się mocno trapić van Berga; przez kilka dni był roztargniony, nareszcie wpadł na sposób, który miał ocalić jego honor. Zebrał, ile tylko mógł znaleźć kucharzy, muzyków, skoczków, komediantów i innych osób wesołego rzemiosła. Rano wyprawiał sutą biesiadę, wieczorem bal i widowisko, stawiał maszty obfitości, a jeżeli pomimo wszelkich usiłowań nie udało mu się wydać tysiąca czterechset pistołów, kazał resztę wyrzucać oknem, mówiąc, że podobny postępek wchodzi w zakres marnotrawstwa.

Uspokajając w ten sposób sumienie, van Berg odzyskał dawną wesołość. W istocie, był to nader dowcipny człowiek i zręcznie umiał bronić swych dziwacznych wad, o które go wszędzie napastowano. Te rozumowania, w których się biegłe wyćwiczył, nadawały błyskotliwości jego rozmowie i odróżniały go od nas, Hiszpanów, zwykle poważnych i milczących.

Van Berg często u mnie bywał wraz ze znaczniejszymi oficerami armii, wszelako przychodził także w chwilach, gdy mnie w domu nie było. Wiedziałem o tym i bynajmniej się nie gniewałem, wyobrażałem sobie bowiem, że nieograniczone zaufanie przekona go, aż wszędzie i o każdej godzinie dobrze jest widziany.

Ogół tymczasem innego był zdania i niebawem zaczęły krążyć wieści ubliżające mojej sławie. Do mnie żadna z nich nie doszła, książę postyszał je jednak, a wiedząc, jak kocham moją żonę, przez przyjaźń cierpiał za mnie. Pewnego dnia udał się do pani de Val Florida i padł jej do nóg, zaklinając, aby nie zapomniała swoich obowiązków i nie widywała van Berga sam na sam. Nie wiem, co mu na to odpowiedziano.

Następnie książę poszedł do van Berga z zamiarem przełożenia mu w podobnym sposobie całego stanu rzeczy i zwrócenia go na drogę cnoty. Nie zastał go w domu. Powrócił po południu, w pokoju pełno było ludzi, ale van Berg sam siedział na uboczu; ponury i zapewne nieco pijany potrząsał kubkiem z kośćmi.

Książę zbliżył się do niego przyjaźnie i śmiejąc się zapytał, jak mu idą wydatki.

Van Berg rzucił nań zagniewane spojrzenie i odpowiedział:

- Wydatki moje przeznaczone są dla przyjemności moich przyjaciół, nie zaś niegodziwców, którzy mieszają się do tego, co do nich nie należy.

Kilka osób słyszało te słowa.

- Czy to do mnie ma się stosować? - rzekł książę. - Van Berg, racz natychmiast odwołać te lekkomyślne wyrazy.

- Nigdy niczego nie odwołuję - odparł van Berg. Książę ukląkł na jedno kolano, mówiąc:

- Van Berg, wyświadczyłeś mi znakomitą przysługę, dlaczegóż teraz chcesz mnie zbezczęścić? Zaklinam cię, uznaj mnie za człowieka z honorem. Van Berg rzucił jakąś zniewagę.

Książę powstał spokojnie, dobył sztyletu zza pasa i położywszy go na stole, rzekł:

- Zwyczajny pojedynek nie może załatwić tej sprawy. Jeden z nas musi umrzeć, a im prędzej to nastąpi, tym lepiej. Rzucajmy kości po kolei; kto więcej wyrzuci, weźmie sztylet i utopi go w sercu przeciwnika.

- Wyśmienicie - krzyknął van Berg - to dopiero nazywa się gruba gra! ale przysięgam, że jeżeli wygram, nie będę oszczędzał waszej książęcej mości.

Przerażeni widzowie stali na miejscu jakby skamieniali.

Van Berg wziął kubek i wyrzucił podwójną dwójkę.

- Do szatana - zawołał - coś mi się nie wiedzie! Z kolei książę potrząsnął kośćmi i wyrzucił piątkę i szóstkę. Wtedy wziął sztylet i utopił go w piersiach van Berga, po czym, obracając się ku widzom z tą samą zimną krwią, rzekł:

- Panowie, raczcie wyświadczyć ostatnią posługę temu młodzieńcowi, którego bohaterskie męstwo na lepszy los zasługiwało. Co do mnie, ruszam natychmiast do głównego audytora armii i oddaję się w ręce sprawiedliwości królewskiej.

Możecie wyobrazić sobie rozgłos, jaki ten wypadek powszechnie sprawił. Księcia nie tylko Hiszpanie kochali, ale nawet nieprzyjaciele nasi, Portugalczycy. Gdy wieść o tym doszła do Lizbony, arcybiskup tego miasta, który jest zarazem patriarchą Indii, dowiódł, że dom, gdzie zatrzymano księcia w Coimbrze, należy do kapituły, i od najdawniejszych czasów uważany był za nietykalne schronienie, że przeto książę może spokojnie w nim przebywać, nie lękając się przemocy świeckiego ramienia. Książę nader był wzruszony przywiązaniem mu okazywanym, wszelako oświadczył, że nie chce korzystać z tego przywileju.

Audytor generalny zaczął wytaczać sprawę przeciw księciu, ale Rada Kastilli postanowiła koniecznie się wmieszać; następnie wielki marszałek Aragonii, którego urząd teraz właśnie zniesiono, utrzymywał, że sądenie księcia, jako urodzonego w jego prowincji i należącego do dawnych ricos hombres, do niego należy. Słowem, wielu usilnie dobijało się o pierwszeństwo, każdy bowiem chciał go ocalić.

Pośród tej całej wrzawy łamałem sobie głowę nad wynalezieniem przyczyny nieszczęsnego pojedynku. Nareszcie jakiś znajomy zlitował się i uwiadomił mnie o postępowaniu pani de Val Florida. Nie pojmuję, jakim sposobem wyobrażałem sobie, że moja żona może tylko mnie kochać. Minęło wiele czasu, zanim zdołałem uwierzyć, że jestem w błędzie. Na koniec pewne okoliczności zdarły nieco zastanę z moich oczu, poszedłem więc do pani de Val Florida i rzekłem:

- Dowiedziałem się, że ojciec pani niebezpiecznie zasłabł; sądzę, że wypada, abyś do niego pojechała. Zresztą córka nasza potrzebuje twoich starań i, jak mniemam, odtąd osiadziesz pani na zawsze w Asturii.

Pani de Val Florida spuściła oczy i z pokorą przyjęła wyrok.

Wiesz, jak od tego czaru żyliśmy z twoją matką; miała ona tysiąc nieocenionych przymiotów, a nawet cnót, którym zawsze oddawałem sprawiedliwość.

Tymczasem proces księcia przybrał dziwny obrót. Oficerowie wallońscy podnieśli go do znaczenia ogólnej sprawy narodowej. Utrzymywali, że ponieważ grandowie hiszpańscy pozwalają sobie mordować Flamandczyków, wypada im opuścić służbę hiszpańską, Hiszpanie natomiast dowodzili, że to był pojedynek, nie zaś morderstwo. Rzeczy tak daleko zaszły, że król nakazał zwołać juntę, złożoną z dwunastu Hiszpanów i dwunastu Flamandczyków, nie dla osądzenia księcia, ale raczej dla rozstrzygnięcia, czy śmierć van Berga należy uważać za zaszłą wskutek pojedynku czy też morderstwa.

Oficerowie hiszpańscy głosowali pierwsi i - jak się można domyślić - zgodzili się na pojedynek. Jedenastu Wallończyków było przeciwnego zdania; nie usprawiedliwiali swego sądu, przede wszystkim zaś najwięcej krzyczeli.

Dwunasty - który głosował ostatni, ponieważ był najmłodszy - dał się już zaszczytnie poznać w kilku sprawach honorowych. Nazywał się don Juan van Worden.

Tu przerwałem Cyganowi, mówiąc:

- Mam zaszczyt być synem tego samego van Wordena i spodziewam się, że w twoim opowiadaniu nic takiego nie usłyszę, co by mogło honor jego na szwank wystawić.

- Mogę zaręczyć - odrzekł Cygan - że wiernie powtórzę słowa margrabiego de Val Florida do jego córki.

- Gdy kolej głosowania przysła na don Juana van Worden, zabrał głos i tak się wyraził:

- Panowie, sądzę, że dwie rzeczy oznaczają istotę pojedynku: naprzód wyzwanie, lub też, w braku tego, spotkanie, po wtóre - równość broni lub też, w braku tej, równowaga szans zadania śmierci. Tak na przykład człowiek uzbrojony w strzelbę mógłby stanąć przeciw drugiemu uzbrojonemu w króciwą, z warunkiem, ażeby jeden strzelał o sto kroków, drugi zaś o cztery, i z zastrzeżeniem, że już uprzednio zgodzono się, kto ma strzelać pierwszy. W obecnym wypadku jedna i ta sama broń służyła dla obu, nie można przeto wymagać większej równości. Kości nie były fałszywe, więc równowadze szans zadania śmierci także nic niepodobna zarzucić. Na ostatek, wyzwanie było wyraźnie oświadczone i z obu stron przyjęte.

Wyznaję, że z przykrością widzę pojedynek, tę najszlachetniejszą walkę, zniżoną do losu gry hazardowej, rodzaju zabawy, której człowiek honorowy powinien używać z nadzwyczajnym umiarkowaniem. Wszelako według zasad, jakie na początku przytoczyłem, zdaje mi się niezaprzeczonym, że zajmująca nas obecnie sprawa była pojedykiem, nie zaś morderstwem. Tak mi nakazuje mówić moje przekonanie, jakkolwiek przykro mi, że sprzeciwia się to sposobowi widzenia moich jedenastu kolegów. Będąc zatem prawie pewnym, że spotka mnie nieszczęście niełaski z ich strony, i pragnąc zarazem jak najłagodniejszymi środkami uprzedzić wyrazy ich niezadowolenia, upraszam, aby wszyscy jedenastu raczyli wyświadczyć mi zaszczyt wystąpienia ze mną do pojedynku, mianowicie sześciu z rana, pięciu po obiedzie.

Wniosek tego dowodzenia sprawił powszechną wrzawę, wszelako należało przyjąć zaproszenie. Van Worden ranił pierwszych sześciu, którzy stawili się z rana, następnie z pięcioma pozostałymi zasiadł do obiadu.

Po obiedzie znowu wzięto się do broni. Van Worden ranił trzech, dziesiąty skaleczył go w ramię, jedenasty zaś przeszył szpadą na wylot i zostawił na placu.

Biegły chirurg ocalił życie dzielnemu Flamandczykowi, ale nie myślano już ani o juncie, ani o procesie i król ułaskawił księcia Sidonię.

Odbyliśmy jeszcze jedną kampanię, nadal jako ludzie honorowi, ale już bez poprzedniego zapału. Pierwszy raz nieszczęście nas dotknęło. Księżę zawsze okazywał wiele szacunku dla odwagi i zdolności wojskowych van Berga, wyrzucał sobie przesadną gorliwość o mój spokój, która stała się przyczyną tak smutnych wypadków. Nauczył się, że nie wystarczy chcieć dobra, ale należy ponadto umieć je wyświadczać. Co do mnie, podobnie do wielu małżonków, tłumiłem w sobie boleść i tym więcej przez to cierpiałem. Odtąd przestaliśmy snuć nasze zamiary uszczęśliwienia Hiszpanii.

Tymczasem nastał pokój, księżę postanowił podróżować, przebiegliśmy więc razem Włochy, Francję i Anglię. Po powrocie szlachetny mój przyjaciel wszedł do Rady Kastylii, mnie zaś przy tej samej Radzie powierzono urząd referendarza.

Czas spędzony w podróżach oraz kilka następnych lat wywołały znaczne zmiany w umyśle księcia. Nie tylko że odstąpił od porywów swojej młodości, ale nawet przezorność stała się ulubioną jego cnotą. Dobro publiczne, przedmiot młodzieńczych marzeń, było nadal jego głęboką namiętnością, ale teraz wiedział już, że niepodobna wszystkiego od razu dokonać, że trzeba wprzód przygotować umysły, o ile możliwości zaś ukrywać własne środki i cele. Do tego stopnia posuwał ostrożność, że w Radzie zdawał się nigdy nie mieć własnego zdania i szedł za cudzym, tymczasem koledzy przemawiali jego własnymi słowami. Staranność, z jaką księżę osłaniał swoje zdolności przed wzrokiem publicznym, tym bardziej je wykrywała. Hiszpanie odgadli go i pokochali. Dwór począł mu zazdrościć. Ofiarowano księciu ambasadę w Lizbonie. Wiedział, że nie wolno mu odmówić, przyjął więc, ale z warunkiem, że ja zostanę sekretarzem stanu.

Odtąd nie widziałem go więcej, ale serca nasze zawsze żyją razem.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca swego opowiadania, dano mu znać, że sprawy hordy wymagają jego obecności. Skoro się oddalił, Velasquez zabrał głos i rzekł:

- Jakkolwiek całą uwagę zwracam na słowa naszego naczelnika, nie mogę przecie schwytać w nich najmniejszego związku. W istocie, nie wiem, kto mówi, a kto słucha. Tu margrabia de Val Florida opowiada córce swoje przygody, która opowiada je naczelnikowi, który nam znowu je opowiada. To istny labirynt. Zawsze zdawało mi się, że romanse i inne dzieła podobnego rodzaju winny być pisane w kilku kolumnach, na kształt tablic chronologicznych.

- Masz senor słuszność - odpowiedziała Rebeka. - I tak na przykład w jednej kolumnie czytano by, że pani de Val Florida oszukuje swego męża, w drugiej zaś ujrzano, czym ten wypadek go uczynił, co bez wątpienia rzuciłoby nowe światło na całe opowiadanie.

- Wcale nie to chciałem powiedzieć - rzekł Velasquez. - Ale oto jest na przykład księżę Sidonia, którego charakter mam zgłębiać, gdy tymczasem widziałem go już na marach. Czyliż nie lepiej było zacząć od wojny portugalskiej? Wtedy w drugiej kolumnie ujrzałbym doktora Sangre Moreno zastanawiającego się nad sztuką lekarską i nie zdziwiłbym się, widząc, że jeden płata zwłoki drugiego.

- Zapewne - przerwała Rebeka - ciągle niespodzianki czynią opowiadanie mało zajmującym, gdyż nigdy nie można zgadnąć, co po czym nastąpi.

Naówczas ja zabrałem głos i rzekłem, że podczas wojny portugalskiej mój ojciec był jeszcze nader młody i że nie można było dość wydziwić się roztropności, jaką okazał w sprawie księcia Medina Sidonia.

- Nie ma o czym mówić - rzekła Rebeka - gdyby twój ojciec nie był się pojedykował z jedenastu oficerami, mogłoby być przyjąć do sprzeczki, słusznie zatem uczynił, że ją uprzedził.

Wydało mi się, że Rebeka drwi z nas wszystkich. Odkryłem w jej charakterze coś szyderczego i wątpliwego. Pomyślałem, że kto wie, czy nie mogłaby nam opowiedzieć przygód wcale odmiennych od historii niebieskich bliźnięt, i postanowiłem ją o to zapytać. Tymczasem nadeszła godzina rozstania i każdy odszedł w swoją stronę.

Dzień dwudziesty dziewiąty

Zebraliśmy się dość wcześnie i Cygan, mając czas wolny, tak dalej ciągnął opowieść o swoich przygodach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Księżna Sidonia, opowiedziawszy mi historię swego ojca, przez kilka dni wcale się nie pokazała, a koszyk przynosiła mi Girona. Od niej też dowiedziałem się, że sprawa moja została załatwiona dzięki wstawiennictwu wuja mojej matki. Ostatecznie księża radzi byli, że się im wymknąłem. Wyrok świętej inkwizycji wspominał tylko o nierozwadze i o dwuletniej pokucie, nazwisko moje nawet oznaczono jedynie początkowymi zgłoskami. Girona uwiadomiła mnie także, że ciotka moja pragnie, abym ukrywał się przez dwa lata, podczas których ona sama wyjedzie do Madrytu i tam zajmie się zarządem wioski, którą ojciec wyznaczył na moje utrzymanie. Zapytałem Gironę, czy myśli, że wytrwam przez te dwa lata w podziemiu. Odpowiedziała mi, że nie mam innego wyjścia i że zresztą jej własne bezpieczeństwo wymaga tej ostrożności.

Nazajutrz ku wielkiej mojej radości przyszła sama księżna; daleko więcej ją lubiłem od jej dumnej mamki. Chciałem także dowiedzieć się o dalszym ciągu jej przygód. Prosiłem, aby mi go opowiedziała, co też uczyniła w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII KSIĘŻNEJ MEDINA SIDONIA

Podziękowałam memu ojcu za zaufanie, z jakim zapoznał mnie z ważniejszymi wypadkami swego życia. Następnego piątku znowu wręczyłam mu list od księcia Sidonii. Nie czytał mi go ani też późniejszych, które co tydzień odbierał, ale często opowiadał o swoim przyjacielu, rozmowa bowiem o księciu zawsze najwięcej go zajmowała.

Wkrótce potem odwiedziła mnie kobieta w podeszłym wieku, wdowa po pewnym oficerze. Ojciec jej był lennikiem księcia, ona zaś dopominała się o lenno zależne od księstwa Sidonia. Nigdy dotąd nikt mnie nie prosił o poparcie i sposobność ta pochlebiła mojej miłości własnej. Napisałam prośbę, w której jasno i dokładnie wyłuszczyłam wszystkie prawa biednej wdowy. Zaniósłam tę pracę memu ojcu, który mocno był z niej zadowolony i posłał ją księciu. Wyznam ci, że się tego spodziewała. Księżę uznał roszczenia wdowy i napisał mi list pełen grzeczności, unosząc się nad moim przedwczesnym rozumem. Później znowu znalazłam sposobność pisania do niego i znowu odebrałam list, w którym zachwycał się moim dowcipem. Jakoż w istocie, wiele czasu obracałam na kształcenie mego umysłu, w czym Girona mi dopomagała. Gdy Pisałam ten drugi list, kończyłam właśnie piętnaście lat życia.

Pewnego dnia znajdowałam się w gabinecie mego ojca i usłyszałam nagle hałas na ulicy i okrzyki gromadzącego się ludu. Pobiegłam do okna i ujrzałam mnóstwo ludzi tłoczących się zgiełkowie i prowadzących jakby w tryumfie złożoną karetkę, na której poznałam herby książąt Medina Sidonia. Tłum hidalgów i paziów poskoczył ku drzwiczkom i spostrzegłam wychodzącego mężczyznę nader przyjemnej postaci, w kastyljskim stroju, który na dworze wówczas wychodził właśnie z mody. Miał na sobie krótki płaszcz, krezę, pęk piór u kapelusza, najpiękniejszego zaś blasku jego ubiorowi dodawało złote runo wysadzone brylantami, zawieszane na piersiach. Mój ojciec także zbliżył się do okna.

- Ach, to on - zawołał - spodziewałem się, że przyjedzie.

Odeszłam do moich pokojów i poznałam księcia dopiero nazajutrz; później jednak co dzień go widywałam, gdyż prawie nie wychodził z domu mego ojca.

Dwór wezwał księcia dla spraw wielkiej wagi. Chodziło o uspokojenie wzburzenia, jakie nowy pobór podatków wywołał w Aragonii. W królestwie tym najznakomitsze rody noszą miano r i c o s hombres i uchodzą za równe kastyljskim grandom; ród Sidoniów był najstarszym spośród nich. Wystarczało to do zapewnienia posłuchu słowom księcia; lubiano go zresztą za jego przymioty osobiste. Księżę udał się do Saragossy i umiał pogodzić życzenie dworu z korzyścią mieszkańców. Zapytano go, jakiej żąda nagrody. Odpowiedział, że pragnie jakiś czas odetchnąć powietrzem ojczyzny.

Księżę, człowiek szczerzy i otwarty, bynajmniej nie taił przyjemności, jakiej doświadczał w moim towarzystwie, dlatego też prawie ciągle byliśmy razem, podczas gdy inni przyjaciele mego ojca zajmowali się z nim sprawami państwa.

Sidonia przyznał mi się, że jest nieco skłonny do zazdrości, a czasami nawet do gwałtownych wybuchów. W ogóle mówił mi tylko o sobie lub o mnie, gdy zaś taki rodzaj rozmowy zawiąże się między mężczyzną a kobietą, stosunki wkrótce stają się coraz ściślejsze. Wcale więc nie zdziwiłam się, gdy pewnego dnia ojciec, zawoławszy mnie do swego gabinetu, oświadczył, że księżę prosi o moją rękę.

Odpowiedziałam, że nie żądam czasu do namysłu, przewidując bowiem, że księżę może sobie upodobać córkę swego przyjaciela, zawczasu zastanowiłam się nad jego sposobem myślenia i różnicą wieku, jaka zachodzi między nami.

- Wszelako - dodałam - grandowie hiszpańscy zwykli szukać związków w równych im rodzinach. Jakimże okiem będą spoglądali na nasze połączenie? Być może nawet, że przestaną mówić "ty" do księcia, co jest pierwszym dowodem ich niechęci.

- Tę samą uwagę uczyniłem księciu - rzekł mój ojciec - ale odpowiedział na to, że pragnie tylko twego zezwolenia, o resztę zaś sam się postara.

Sidonia był w pobliżu; wszedł z bojaźliwą miną, dziwnie odbijającą od wrodzonej mu dumy. Widok ten wzruszył mnie, i księżę niedługo czekał na moją zgodę. Tym sposobem obu uszczęśliwiłam, gdyż ojciec mój nie posiadał się z radości. Girona także podzielała nasze szczęście.

Nazajutrz księżę zaprosił na obiad grandów znajdujących się podówczas w Madrycie. Gdy wszyscy zebrali się i zasiedli, odezwał się do nich w te słowa:

- Albo, do ciebie się zwracam, uważam cię bowiem za pierwszego spomiędzy nas, nie dlatego, żeby twój ród był świetniejszy od mojego, ale przez szacunek dla pamięci bohatera, którego nosisz nazwisko. Przesąd, czyniący nam zaszczyt, wymaga, abyśmy wybierali małżonki pomiędzy córkami grandów, i bez wątpienia gardziłbym tym, który by zawarł niestosowny związek przez miłość bogactw lub też dla zadośćuczynienia występnej namiętności. Wypadek, o którym pragnę wam mówić, jest wcale odmiennego rodzaju. Wiecie dobrze, że Asturyjczycy uważają się za lepiej urodzonych niż sam król; jakkolwiek zdanie to jest może nieco przesadzone, wszelako ponieważ nosili swe tytuły przeważnie jeszcze przed wkroczeniem Maurów do Hiszpanii, mają prawo uważać się za najlepszą szlachtę z całej Europy. Najczystsza krew asturyjska krąży w żyłach Eleonory de Val Florida, że już nie wspomnę o znanych powszechnie znakomitych jej przymiotach. Utrzymuję zatem, że podobny związek może tylko zaszczyt przynieść rodzinie każdego granda hiszpańskiego, kto zaś jest przeciwnego zdania, niech podniesie tę rękawicę, którą rzucam pośród zgromadzenia.

- Ja podnoszę - rzekł księżę Alba - aby ci ją oddać wraz z życzeniami szczęścia w tak pięknym związku.

To mówiąc uściskał księcia, co też reszta grandów za nim powtórzyła. Mój ojciec, opowiadając mi to zdarzenie, dodał głosem nieco smutnym:

- Zawsze w nim ta sama rycerskość, aby tylko mógł się odmienić z dawnej gwałtowności. Droga Eleonoro, zaklinam cię, staraj się nigdy w niczym go nie obrazić.

Wyznałam ci, że w moim charakterze miałam pewną skłonność do dumy, ale żądza zaszczytów opuściła mnie, jak tylko ją zaspokoiliam. Zostałam księżną Si-donia i serce moje napełniło się najśłodszymi uczuciami. Księżę w domowym pożyciu był najprzyjemniejszym z ludzi, kochał mnie bez granic, okazywał ciągle jednostajną dobroć, niewyczerpaną łagodność, czułość nieustanną i wtedy anielska jego dusza odbijała się w rysach jego twarzy. Czasami tylko, gdy posępna myśl je zmarszczyła, nabierały straszliwego wyrazu. Naówczas, drżąc, mimowolnie przypominałam sobie mordercę van Berga.

Mało jednak rzeczy mogło go rozgniewać, we mnie zaś wszystko go uszczęśliwiało. Lubił patrzeć na moje zatrudnienia, słuchać mojej mowy i zgadywał najskrytsze moje myśli. Sądziłam, że niepodobna, aby mógł mnie więcej kochać, ale przyjście na świat małej córeczki podwoiło jeszcze jego miłość i szczęście nasze stało się zupełne.

W dniu, w którym wstałam ze słabości, Girona przyszła do mnie i rzekła:

- Kochana Eleonoro, jesteś żoną i matką, jednym słowem, jesteś szczęśliwa; nie potrzebujesz mnie, a moje obowiązki gdzie indziej mnie wzywają. Postanowiłam wyjechać do Ameryki.

Chciałam ją zatrzymać.

- Nie - rzekła - moja obecność jest tam konieczna.

W kilka dni potem odjechała. Z jej odjazdem skończyły się szczęśliwe lata mego życia. Przedstawiłam ci ów okres nieziemskiej szczęśliwości; nie trwał on długo, gdyż szczęście tak wielkie jak nasze zapewne nie może spotykać ludzi za życia. Braknie mi sił, by dziś opowiedzieć ci moje niedole. Żegnaj, młody przyjacielu, jutro znowu mnie ujrzysz.

Opowiadanie młodej księżnej mocno mnie zaniepokoiło. Pragnąłem poznać jego dalszy ciąg i dowiedzieć się, jakim sposobem tak wielkie szczęście mogło przemienić się w niedolę. Wnet jednak moje myśli wzięły odmienny obrót. Przypomniałem sobie słowa Girony, która sądziła, że zdołam wytrwać przez dwa lata w zamknięciu. Nie było to bynajmniej moim zamiarem i zacząłem obmyślać ucieczkę.

Nazajutrz znowu księżna przyniosła mi pożywienie. Miała zaczerwienione oczy, jak gdyby wiele płakała. Jednakże oświadczyła, że czuje się na siłach opowiadać mi dzieje swych nieszczęść, i zaczęła w te słowa:

Mówiłam ci, że Girona pełniła przy mnie obowiązki dueny-mayor. Dano mi na jej miejsce donę Mencję, trzydziestoletnią kobietę, jeszcze dosyć piękną, która miała umysł dość wykształcony i stąd niekiedy dopuszczaliśmy ją do naszego towarzystwa. Wówczas zwykle tak postępowała, jak gdyby była zakochana w moim mężu. Śmiała się z tego i nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Zresztą dona Mencja starała mi się przypodobać, a nade wszystko dokładnie mnie poznać. Często zwracała rozmowę na dość wesołe przedmioty lub opowiadała mi miejskie plotki, tak że nieraz musiałam nakazywać jej milczenie.

Karmiłam sama moją córkę i na szczęście przestałam ją karmić przed strasznymi wypadkami, o których się dowiesz. Pierwszym ciosem, jaki we mnie uderzył, była śmierć ojca, który, złożony dokuczliwą i gwałtowną chorobą, wyzionął ducha w moich objęciach, błogosławiąc nas oboje i nie przewidując gorzkich chwil, jakie nas czekały.

Wkrótce potem wybuchły zaburzenia w Biskai. Posłano tam księcia, ja zaś towarzyszyłam mu aż do Burgos. Posiadamy majątki we wszystkich prowincjach Hiszpanii i domy prawie we wszystkich miastach; tu jednak mieliśmy tylko letni dom, o milę od miasta położony, ten sam, w którym się obecnie znajdujesz. Książę zostawił mnie z całym moim orszakiem i pojechał na miejsce swego przeznaczenia.

Pewnego dnia, wracając do domu, usłyszałam hałas na podwórzu. Doniesiono mi, że schwytano złodzieja, zraniwszy go kamieniem w głowę, i że jest to młodziwiec olśniewającej urody. Kilku służących przyniosło go do mych nóg i poznałam Hermosita.

- Nieba! - zawołałam - to nie jest złodziej, ale uczciwy chłopiec, wychowany w Astorgas u mego dziada.

Następnie, zwracając się do marszałka dworu, kazałam mu wziąć biedaka do siebie i jak najtroskliwiej go pielęgnować. Zdaje mi się nawet, że powiedziałam, że to syn Girony, ale nie przypominam sobie dokładnie.

Nazajutrz dona Mencja doniosła mi, że młodego chłopca trawi gorączka i w malignie często mnie wspomina i mówi rzeczy nader czułe i namiętne. Odpowiedziałam, że jeżeli kiedykolwiek poważy się wspominać o czymś podobnym, natychmiast każę ją wypędzić.

- Zobaczymy - rzekła.

Zabroniłam jej pokazywać mi się na oczy. Nazajutrz przyszła prosić o łaskę, padła mi do nóg i uzyskała przebaczenie.

W tydzień potem, gdy byłam sama, weszła Mencja, wspierając Hermosita, niestety osłabionego.

- Rozkazałaś mi pani przyjść - rzekł drżącym głosem.

Spojrzałam z zadziwieniem na Mencję, ale nie chcąc sprawić przykrości synowi Girony, kazałam mu przysunąć krzesło o kilka kroków ode mnie.

- Drogi Hermosito - rzekłam - twoja matka nigdy nie wspominała przede mną twego imienia, chciałabym więc teraz dowiedzieć się, co ci się przytrafiło od czasu naszego rozłączenia.

Hermosito zabrał głos i przerywając z osłabienia, tak zaczął mówić:

HISTORIA HERMOSITA

Ujrawszy nasz statek pod pełnymi żaglami, straciłem wszelką nadzieję dostania się do brzegu i rozpłakałem się nad szczególną surowością, z jaką matka wypędziła mnie od siebie. W żaden sposób nie mogłem odgadnąć przyczyn jej postępowania. Powiedziano mi, że jestem w twojej, pani, służbie, służyłem ci więc z całą gorliwością, na jaką mogłem się zdobyć. Posłuszeństwo moje było bez granic, dlategoż zatem wypędzono mnie, jak gdybym popełnił największy występki? Im więcej się nad tym zastanawiałem, tym mniej mogłem zrozumieć.

Piątego dnia naszej podróży znaleźliśmy się pośród eskadry don Femanda Arudez. Kazano nam przepływać z tyłu admirałskiego okrętu. Na złożonym i przystrojonym różnobarwnymi flagami mostku spostrzegłem don Femanda, bogato ozdobionego łańcuchami licznych orderów. Orszak oficerów otaczał go z poszanowaniem. Admirał przyłożył tubę do ust, zapytał, czy nie spotkaliśmy kogo w drodze, i kazał płynąć dalej. Minąwszy go kapitan naszego okrętu rzekł:

- Widzieliście admirała, dziś jest margrabią, a jednak zaczął od takiego chłopca okrętowego jak ten, który oto zamiata pokład.

Gdy Hermosito doszedł do tego miejsca swego opowiadania, kilka razy rzucił zakłopotanym wzrokiem na Mencję. Domyśliłam się, że nie chce się tłumaczyć w jej obecności, wyprawiłam ją zatem

z pokoju. Radziłam się w tym jedynie mojej przyjaźni dla Girony i myśl, że mogę wpaść w podejrzenie, nie przeszła mi nawet przez głowę. Gdy Mencja wyszła, Hermosito tak dalek mowił:

- Zdaje mi się, że czerpiąc pierwszy pokarm życia z jednego z toba, pani, źródła, jednakowo wykształciłem z toba duszę, tak że mogłem myśleć tylko o tobie, przez ciebie lub o tym, co cię dotyczyło. Kapitan powiedział mi, że don Femando stał się margrabią z chłopca okrętowego; wiedziałem, że twój ojciec także jest margrabią, zdawało mi się więc, że nie ma nic piękniejszego nad ten tytuł, i zapytałem, jakim sposobem don Fernando go pozyskał. Kapitan wytłumaczył mi, że postępował od stopnia do stopnia i wszędzie odznaczał się świetnymi czynami. Odtąd postanowiłem wejść do służby morskiej i zacząłem wprawiać się w bieganiu po masztach. Kapitan, któremu mnie powierzono, o ile możliwości sprzeciwiał się temu, ale nie chciałem go słuchać i byłem już dość dobrym marynarzem, gdy przybyliśmy do Veracruz.

Dom mego ojca stał nad brzegiem morza. Przybiliśmy doń szalupą. Ojciec przywitał mnie otoczony czeredą młodych Mulatek i kazał mi je kolejno uściskać. Niebawem dziewczęta rozpoczęły tańce, wabiły mnie tysiącnymi sposobami i wieczór minął na tysiącnych szaleństwach.

Nazajutrz corregidor Veracruz oznajmił memu ojcu, że nie wypada przyjmować syna do domu podobnie urządownego i że powinien umieścić mnie w kolegium teatynów. Ojciec, acz z żalem, musiał przecie być posłuszny.

W kolegium moim rektorem był zakonnik, który dla zachęcenia do nauki często nam powtarzał, że margrabia Campo Salez. naówczas drugi sekretarz stanu, także był niegdyś biednym studentem i zawdzięcza wyniesienie swoje pilności w naukach. Widząc, że i na tej drodze można zostać margrabią, przez dwa lata pracowałem z niezwykłą gorliwością.

Tymczasem przeniesiono corregidora z Veracruz, następca zaś jego był człowiekiem mniej surowych zasad. Mój ojciec odważył się zabrać mnie do domu. Znowu zostałem wystawiony na płochość młodych Mulatek, które zachęcane przez ojca kusily mnie wszelkimi sposobami. Bynajmniej nie rozmiłowałem się w tych szaleństwach, atoli nauczyłem się wielu nowych dla mnie rzeczy i teraz dopiero poznałem, dlaczego mnie oddalono z Astorgas.

Wtedy to cały mój sposób myślenia uległ okropnej zmianie. Nieznane uczucia rozwinęły się w mej duszy i obudziły wspomnienia niewinnych zabaw moich lat dziecięcych. Myśl o utraconym szczęściu, o ogrodach w Astorgas, które z toba, pani, przebiegałem, pomieszane wspomnienia tysiącnych dowodów twojej dobroci - w jednej chwili zwały się na mój umysł. Nie mogłem oprzeć się tylu nieprzyjaciołom i wpadłem w stan moralnego i fizycznego rozprężenia. Lekarze u-trzymywali, że dostałem trawiącej gorączki; co do mnie, nie uważałem się za chorego, ale często do tego stopnia wpadałem w obłąd, że spostrzegałem przedmioty wcale przed mymi oczyma nie istniejące.

Ty to, pani, najczęściej w widzeniach przedstawiałaś się rozmarzonej mojej wyobraźni - nie taka, jaką dziś cię widzę, ale jaką cię opuściłem. W nocy nagle zrywałem się z pościeli i widziałem, jak biała i promienista ukazujesz mi się w mglistej oddali. Gdy wy-szedłem z miasta, wrzawa dalekich wiosek i szmer pól powtarzały mi twoje imię. Czasami zdawało mi się, że przesuwasz się na równinie przed moim wzrokiem, gdy zaś wznosiłem oczy ku niebu, błagając je o zakończenie moich męczarni, widziałem obraz twój pławiący się w obłokach.

Zauważyłem, że zwykłe najmniej cierpię w kościele, zwłaszcza modlitwa dodawała mi ulgi. Skończyłem na tym, że całe dni przepędzałem w świętych miejscach. Pewien zakonnik, w modłach posiwiaty i pokucie, zbliżył się do mnie któregoś dnia i rzekł:

- Synu mój. serce twoje przepełnia miłość, której świat ten nie jest godny; pójdź do mojej celi, tam ci pokażę ścieżki do raj.

Poszedłem za nim i ujrzałem włosiennice, dyscypliny i tym podobne narzędzia męczeństwa, na których widok wcale się nie przeląknę, żadne bowiem cierpienia nie mogły iść w porównanie z moimi. Zakonnik przeczytał mi kilka kart z Żywotów świętych. Prosiłem go o pożyczenie mi tej książki do domu i przez całą noc oddałem się czytaniu. Nowe myśli zawładnęły moim umysłem, widziałem we śnie otwarte niebiosy i aniołów, którzy twoją postać mi przypominali.

Dowiedziano się naówczas w Veracruz o twoim zameścu z księciem Sidonia. Od dawna miałem zamiar poświęcić się stanowi duchownemu, całe moje szczęście pokładałem w modleniu się o twoje szczęście w tym i zbawienie w przyszłym życiu. Pobożny mój przewodnik powiedział mi. że rozwiąłość zakradła się do wielu amerykańskich klasztorów, i poradził mi, abym się udał na nowicjat do Madrytu.

Zawiadomiłem o tym zamiarze mego ojca. Od dawna już nie podobała mu się moja pobożność, wszelako nie ośmielając się otwarcie mnie z tej drogi sprowadzać, prosił, abym przynajmniej poczekał na mający wkrótce nastąpić przyjazd mojej matki. Odpowiedziałem mu, że nie mam już rodziców na ziemi i że niebo jest jedyną moją rodziną. Nic mi na to me odrzekł. Następnie poszedłem do corregidora. który pochwalił mój zamiar i wyprawił mnie pierwszym okrętem do Hiszpanii. Przybywszy do Bilbao, dowiedziałem się. że moja matka tylko co odpłynęła do Ameryki. Miałem, jak to już mówiłem, listy polecające do Madrytu. Gdy przejeżdżałem przez Burgos, powiedziano mi, że pani mieszkasz w okolicach tego miasta, pragnąłem więc jeszcze raz cię ujrzeć, zanim na zawsze wyrzeknę się świata. Zdawało mi się, że jeżeli raz cię jeszcze zobaczę, z tym większym zapałem będę mógł modlić się za ciebie.

Udałem się więc drogą do waszego domu. Wszedłem na pierwszy dziedziniec myśląc, że znajdę którego z dawnych twoich służących, słyszałem bowiem, że zatrzymałaś przy sobie cały dwór z Astorgas. Chciałem dać mu się poznać i prosić go, aby mnie umieścił w takim miejscu, z którego będę mógł cię zobaczyć, gdy będziesz wsiadała do karety. Pragnąłem ciebie, pani, ujrzeć, sam wcale się nie pokazując.

Tymczasem sami tylko nieznajomi przechodzili i nie wiedziałem, co z sobą począć. Wszedłem do jakiegoś całkiem próżnego pokoju; na koniec zdało mi się, że spostrzegam kogoś znajomego. Wyszedłem, gdy wtem zniemacka uderzono mnie kamieniem w głowę... Ale widzę, że opowiadanie moje sprawiło na pani żywe wrażenie.

- Mogę ci zaręczyć - mówiła dalej księżna - że nabożne obłąkanie Hermosita wzbudziło we mnie tylko litość, ale gdy zaczął mówić o ogrodach w Astorgas. o zabawach naszych lat dziecińczych - wspomnienie o szczęściu, jakiego wówczas kosztowałem, myśl o terażniejszym moim szczęściu i jakaś obawa przyszłości, jakieś uczucie mile i smutne zarazem - ścisnęły mi serce i czułam, że łzy płyną mi po twarzy.

Hermosito powstał; zdaje mi się, że chciał pocałować kraj mojej sukni, ale kolana pod nim zdrząły, głowa opadła na moje kolana i ramiona silnie okrążyły moją kibić.

W tej chwili rzuciłam wzrok na stojące naprzeciwko zwierciadło; ujrzałam Mencję i księcia, ale rysy tego ostatniego przybrały tak straszliwy wyraz, że zaledwie mogłam go poznać.

Krew mi się ścięła w żyłach; znowu podniosłam oczy na zwierciadło, ale tym razem już nikogo nie ujrzałam.

Uwolniłam się z objęć Hermosita, zawołałam Mencję, kazałam jej, aby miała staranie o tym chłopcu, który nagle zemdłał, i odeszłam do drugiego pokoju. Wypadek ten nabawił mnie mocnej niespokojności. Jakkolwiek służący zapewnili mnie, że księżę nie powrócił jeszcze z Biskai.

Nazajutrz posłałam dowiedzieć się o zdrowie Hermosita. Odpowiedziano mi, że już go w domu nie ma. W trzy dni potem, gdy miałam kłaść się do łóżka,

Mencja przyniosła mi list od księcia zawierający te tylko słowa:

Czyń, co ci poleci dona Mencja. Rozkazuje ci to twój małżonek i sędzia.

Mencja zawiązała mi oczy chustką; czułam, że porywano mnie za ręce i prowadzono do tego tu podziemia. Posłyszałam szcęk łańcuchów. Zdjęto mi chustkę i ujrzałam Hermosita przykutego za szyję do słupa, na którym się wspierasz. Oczy jego straciły blask i twarz miał niezmiernie bladą.

- Tyżeś to, pani - rzekł umierającym głosem - nie mogę mówić, nie dają mi wody i język przysycha mi do podniebienia. Męczarnie moje niedługo potrwają: jeżeli pójdę do nieba, będę się modlił za ciebie.

W tej samej chwili padł strzał z tego oto otworu w ścianie i kula strzaskała Hermositowi ramię.

- Wielki Boże - zawołał - przebacz moim katom. Drugi wystrzał zagrzmiał z tego samego miejsca, ale nie widziałam skutku, gdyż straciłam przytomność. Odzyskawszy zmysły, znalazłam się wśród moich kobiet, które zdawały się o niczym nie wiedzieć; oznajmiły mi tylko, że Mencja dom opuściła. Nazajutrz z rana przyszedł koniuszy księcia i doniósł mi, że pan jego tej nocy z tajemnym poleceniem wyjechał do Francji i że wróci dopiero za kilka miesięcy.

Zostawiona samej sobie, przyzwałam na pomoc odwagę, powierzyłam moją sprawę Najwyższemu Sędziemu i oddałam się wychowaniu mojej córki.

Po trzech miesiącach zjawiła się Girona. Z Ameryki przybyła do Madrytu, gdzie szukała syna w klasztorze, w którym miał odprawiać nowicjat. Nie znalazłszy go tam, pojechała do Bilbao i za śladami Hermosita dostała się do Burgos. Lękając się wybuchów rozpacz, opowiedziałam jej tylko część prawdy; rozżalona potrafiła wydrzeć mi całą tajemnicę. Znasz twarde i gwałtowny charakter tej kobiety. Wściekłość, rozpacz, najstraszniejsze uczucia, jakie mogą opanować duszę, miały kolejno jej umyślem. Byłam sama zbyt nieszczęśliwa, abym mogła ją pocieszać.

Pewnego dnia Girona, przestawiając meble w swoim pokoju, odkryła drzwiczki ukryte w ścianie pod obiciem i dostała się aż do podziemia, gdzie poznała słup, o którym ci wspominałam. Znać było na nim jeszcze ślady krwi. Wpadła do mnie w stanie najokropniejszego obłąkania. Odtąd często

zamykała się w swoim pokoju, ale mniemam, że musiała przesiadywać w nieszczęsnym podziemiu i roić zamiary zemsty.

W miesiąc potem oznajmiono mi przybycie księcia. Wszedł spokojny i opanowany, popiescił się z dzieckiem, po czym kazał mi usiąść i sam siadł obok mnie.

- Pani - rzekł - długo namyślałem się, jak mam z tobą postąpić; postanowiłem w niczym nie zaprowadzać odmiany. Będą ci usługiwać w moim domu z tym samym jak dotąd szacunkiem, będziesz na pozór odbierać ode mnie dowody tego samego przywiązania. Wszystko to będzie trwało, dopóki córka twoja nie dojdzie szesnastu lat.

- Skoro zaś córka moja dojdzie szesnastu lat. cóż się ze mną stanie? - zapytałam księcia.

W tej chwili Girona przyniosła czekoladę; przeszło mi przez myśl, że jest zatruta. Księżę tak dalej mówił:

- W dniu, w którym twoja córka skończy szesnasty rok, zawołam ją do siebie i tak się do niej odezwę:

"Twoje rysy, moje dziecię, przypominają mi twarz kobiety, której historię ci opowiem. Była piękna i zdawała się mieć duszę jeszcze piękniejszą, ale cóż z tego, kiedy udawała tylko cnotliwą. Tak doskonale umiała zachowywać pozory, że dzięki tej sztuce zawarła jedno z najświetniejszych małżeństw w Hiszpanii. Pewnego dnia, gdy mąż jej musiał oddalić się na kilka tygodni, kazała sprowadzić ze swych okolic małego nędznika. Przypomnieli sobie dawne miłostki i padli sobie nawzajem w objęcia. Tą wstrętną obłudnicą jest twoja matka." Następnie wypędzę cię z mojego domu i pójdiesz płakać na grobie twojej matki, która nie była więcej warta od ciebie.

Niesprawiedliwość tak dalece zahartowała już moje serce, że mowa ta nie uczyniła na mnie większego wrażenia. Wzięłam dziecię na ręce i odeszłam do mego pokoju.

Na nieszczęście zapomniałam o czekoladzie, księżę zaś, jak się później dowiedziałam, od dwóch dni nic nie jadł. Filiżanka stała przed nim, wychylił ją duszkiem, po czym odszedł do siebie. W pół godziny potem posłał po doktora Sangre Moreno i kazał, aby prócz niego nikogo nie wpuszczano.

Udano się do doktora, ale ten wyjechał do podmiejskiego domku, gdzie przeprowadzał swoje dysekcje. Pojechano za nim, ale już go tam nie było, szukano go u wszystkich jego pacjentów, nareszcie po trzech godzinach przybył i znalazł księcia trupem.

Sangre Moreno z wielką uwagą badał ciało księcia, wpatrywał się w paznokcie, oczy, język, kazał przynieść od siebie mnóstwo flaszek i zaczął czynić jakieś doświadczenia. Następnie przyszedł do mnie i rzekł:

- Mogę panią zapewnić, że księżę umarł wskutek otrucia mieszaniną żywicy narkotycznej z metalem gryzącym. Wszelako obowiązki krwawego trybunału nie do mnie należą, zostawiam więc sprawę tę Najwyższemu Sędziemu w niebie. Przed światem ogłoszę, że księżę skończył na apopleksję. Inni lekarze przyszli i potwierdzili zdanie Sangre Morena.

Kazałam przywołać Gironę i powtórzyłam jej słowa doktora. Pomieszanie jej zdradziło ją.

- Otrułaś mego małżonka - rzekłam. - Jakimże prawem chrześcijanka mogła dopuścić się podobnej zbrodni?

- Jestem chrześcijanką - odrzekła - to prawda, ale jestem także matką, i gdyby ci zamordowano własne dziecko, kto wie, czy nie stałabyś się okrutniejszą od rozjuszonej tygrysy.

Nic na to nie potrafiłam odpowiedzieć, wszelako uczyniłam jej uwagę, że mogła otruć mnie zamiast księcia.

- Bynajmniej - odparła - patrzałam przez dziurkę od klucza i byłabym natychmiast wpadła, gdybyś się była dotknęła filiżanki.

Następnie przyszli kapucyni, domagając się ciała księcia, a ponieważ przynieśli polecenie arcybiskupa, niepodobna było im się opierać.

Girona, która dotąd okazywała dość odwagi, nagle stała się niespokojna. Drżała, ażeby przy balsamowaniu ciała nie odkryto śladów trucizny, i usilne jej prośby skłoniły mnie do tej nocnej wycieczki, której zawdzięczam przyjemność posiadania cię w moim domu.

Nadęta moja mowa na cmentarzu miała za cel oszukanie służących. Spostrzegłszy zaś, że zamiast ciała ciebie tu przyniesiono, aby nie wyprowadzać ich z błędu, musiałyśmy obok kaplicy ogrodowej pochować wypchaną lalkę.

Pomimo tych ostrożności Girona dotąd jeszcze nie jest spokojna, mówi ciągle o powrocie do Ameryki i pragnie cię zatrzymać, dopóki nie powźmie jakiejś stanowczej decyzji. Co do mnie, niczego się nie lękam, i jeżeli mnie powołają przed sąd, szczerze wyznam całą prawdę. Zresztą uprzedziłam o tym Gironę.

Niesprawiedliwość i okrucieństwa księcia pozbawiły go mojej miłości, nigdy nie mogłabym żyć z nim razem. Jedynym moim szczęściem jest moja mała córeczka; nie lękam się o jej los. Odziedziczy tytuły i mnogie dostatki, nie potrzebuję więc troszczyć się o jej przyszłość.

Oto jest wszystko, o czym chciałeś się dowiedzieć, mój młody przyjacielu. Girona wie, że opowiadam ci naszą historię, i utrzymuje, że nie należy zostawiać cię w niepotrzebnych domysłach. Ale duszno mi w tym podziemiu, muszę pójść na górę odetchnąć świeżym powietrzem.

Skoro księżna odeszła, rzuciłem wzrok dokoła i w istocie znalazłem, że widok mego podziemia jest nader smutny; grób młodego męczennika i słup, do którego był przykuty, dodawały mu jeszcze posępności. Dobrze mi było w tym więzieniu, dopóki obawiałem się teatynów, ale teraz, gdy sprawa była załatwiona, pobyt w nim zaczął mi być nieznośny. Bawiła mnie ufność Girony, która zamierzała trzymać mnie tu przez dwa lata. W ogóle obie kobiety tak mało znały się na rzemiośle strażników, że zostawiały otworem drzwi od podziemia, sądząc zapewne, że oddzielająca mnie krata stanowi nieprzewyciężoną przeszkodę. Tymczasem ułożyłem już sobie plan nie tylko ucieczki, ale i całego postępowania przez dwa lata, które przeznaczono mi na pokutę. W krótkich słowach opowiem wam moje zamiary.

Podczas pobytu w kolegium teatynów często zastanawiałem się nad szczęściem, jakiego zdawali się kosztować mali żebracy, zasiadający u drzwi naszego kościoła. Ich los wydawał mi się daleko przyjemniejszy od mojego. W istocie, podczas gdy ja usychałem nad książkami, nie mogąc nigdy

zadowolić moich nauczycieli, te szczęśliwe dzieci nędzy biegały po ulicy, grały w karty na schodach przysionka i płaciły sobie kasztanami. Czasami biły się do upadłego - i nikt im nie przerywał tej rozrywki, tarzały się w piasku - i nikt nie zmuszał ich do mycia; rozbierały się na ulicy i prały koszule przy studni. Możnaż było przyjemniej żyć na świecie?

Myśli o podobnym szczęściu zajmowały mnie podczas mego pobytu w podziemiu i osądziłem, że najlepiej będzie, jeżeli wydostawszy się z więzienia, obiorę na czas pokuty stan żebraka. Wprawdzie byłem dość wykształcony i można było po mowie rozpoznać mnie od moich towarzyszków, ale spodziewałem się, że łatwo potrafię przejąć ich język i zwyczaje, by następnie po dwóch latach powrócić do moich. Jakkolwiek myśl ta była nieco dziwaczna, przecież w położeniu, w jakim się znajdowałem, nie mogłem wpaść na lepszą.

Powziąwszy takie postanowienie, złamałem ostrze noża i zacząłem pracować nad jednym z prętów kraty. Przez pięć dni męczyłem się, zanim mi się go udało obluźnić. Zbierałem starannie odłamki kamienia i zasypywałem nimi otwór, tak że niepodobna było niczego się domyślić.

W dniu, w którym dokończyłem pracy, koszyk przyniosła mi Girona. Zapytałem, czy nie lęka się, aby nie odkryto przypadkiem, że żywi jakiegoś nieznanego chłopca w podziemiu.

- Wcale nie - odpowiedziała - drzwiczki zwodowe, przez które się tu dostałeś, prowadzą do osobnego pawilonu, którego drzwi kazałam zamurować, pod pozorem, że przywodził księżnej na pamięć bolesne wspomnienia, korytarz zaś, którym przychodzimy do ciebie, prowadzi z mego sypialnego - pokoju i wejście do niego znajduje się pod obiciem ściany.

- Musi jednak być zabezpieczone żelaznymi drzwiczkami?

- Bynajmniej - odrzekła - drzwi są dość lekkie, ale starannie ukryte, zresztą wychodząc zawsze zamykam mój pokój na klucz. Są tu jeszcze inne podziemia podobne do tego i, jak mniemam, przed nami musiał tu mieszkać niejeden zazdrośnik i popełnić niejedną zbrodnię.

To mówiąc Girona chciała odejść.

- Dlaczego pani już odchodzisz? - zapytałem.

- Nie mam czasu do stracenia - odrzekła - księżna skończyła dziś szósty tydzień żałoby i pragnie udać się na przechadzkę.

Dowiedziałem się, czego chciałem, i nie zatrzymywałem więcej Girony, która wyszła, i tym razem nie zamykając drzwi za sobą. Czym prędzej napisałem do księżnej list przeproszający, położyłem go na kracie, następnie wyjąłem pręt i przez niedostępną dotąd część podziemia a potem ciemnym korytarzem dostałem się do jakichś zamkniętych drzwi. Usłyszałem turkot powozu i tętent kilku koni; wniosłem stąd, że księżna musiała wraz z mamką wyjechać z willi.

Zacząłem wyłamywać drzwi. Spróchniałe deski niedługo opierały się moim usiłowaniom. Wówczas dostałem się do pokoju mamki, wiedząc zaś, że zamykała drzwi na klucz, osądziłem, że mogę bezpiecznie udzielić sobie chwili wypoczynku.

Przejrzałem się w zwierciadło i stwierdziłem, że powierzchowność moja wcale nie odpowiada stanowi, jaki miałem obrać. Wziąłem węgiel z komina, przyćmiłem nieco bladość mojej cery,

następnie porozdzierałem koszulę i suknie. Zbliżyłem się do okna i ujrzałem, że wychodzi na ogród, miły niegdyś panom domu, w obecnej jednak chwili zupełnie opuszczony.

Otworzywszy okno, spostrzegłem, że żadne inne nie wychodzi na tę stronę; nie było wysoko, mogłem być skoczyć, ale wolałem użyć prześcieradeł Girony. Wdrapawszy się potem na pergolę, przeskoczyłem z niej na mur ogrodowy i wydostałem się na czyste pole, szczęśliwy, że oddycham wolnym powietrzem i pozbywam się teatynów, inkwizycji, księżnej i jej mamki.

Spostrzegłem z daleka Burgos, ale puściłem się w stronę przeciwną i niebawem przybyłem do nędznej karczmy; pokazałem gospodyni dwadzieścia realów, które miałem starannie zawinięte w papierze, i powiedziałem, że chcę wszystkie te pieniądze u niej wydać. Na te słowa roześmiała się i przyniosła mi za podwójną wartość chleba i cebuli. Miałem przy sobie nieco więcej pieniędzy, ale obawiałem się jej do tego przyznać. Posiliwszy się, poszedłem do stajni i zasnąłem, jak zwykle człowiek zasypia w szesnastym roku życia.

Przybyłem do Madrytu bez żadnej zasługującej na wzmiankę przygody. Gdy wchodziłem do miasta, zapadał zmrok. Odnalazłem dom mojej ciotki: możecie sobie wyobrazić, jak mnie powitała. Jednakże zatrzymałem się u niej tylko przez krótką chwilę, gdyż lękałem się, że moja obecność może zostać odkryta. Przemierzwszy cały Madryt, znalazłem się na Prado, gdzie położyłem się na ziemi i zasnąłem.

Nazajutrz obudziłem się o świcie i przebiegłem place i ulice, szukając miejsca najkorzystniejszego dla mojego nowego zajęcia. Przechodząc przez ulicę Toledo, spotkałem dziewczynę niosącą flaszkę z atramentem. Zapytałem, czy przypadkiem nie wraca od senora Avadero.

- Nie - odpowiedziała - idę od don Filipa del Tintero Largo.

Przekonałem się, że znano mego ojca nadal pod tym samym nazwiskiem i że dotąd zajmuje się tymi samymi rzeczami.

Jednakowoż należało pomyśleć o wyborze miejsca. Ujrzałem pod przysionkiem kościoła Świętego Rocha kilku żebraków w moim wieku, których powierzchowność przypadła mi do smaku. Zbliżyłem się do nich mówiąc, że przybyłem z prowincji, aby polecić się duszom miłosiernym, że jednak została mi garstka realów, którą chętnie złożę do wspólnej kasy, jeżeli taką posiadają. Słowa te sprawiły na słuchaczach miłe wrażenie. Odpowiedzieli mi, że w istocie posiadają wspólną kasę, złożoną u przekupki kasztanów na rogu ulicy. Zaprowadzili mnie tam. po czym wrócili do przysionka i zaczęliśmy grać w taroka. Podczas gdy z całą uwagą oddawaliśmy się tej grze, jakiś dobrze ubrany jegomość zdawał się nam kolejno bacznie przyglądać. Już mieliśmy krzyknąć mu jakieś głupstwo, gdy uprzedził nas i skinął rozkazująco, abym szedł za nim.

Zaprowadził mnie w boczną uliczkę i rzekł:

- Moje dziecko, wybrałem ciebie spośród twoich towarzyszków dlatego, że twarz twoja zapowiada więcej od innych rozumu, tego zaś potrzeba do polecenia, jakie masz spełnić. Słucha j że więc z uwagą. Ujrzysz tu wiele kobiet przechodzących, jednakowo ubranych w czarne aksamitne suknie i mantyle z czarnymi koronkami; które tak doskonale zasłaniają im twarze, że niepodobna żadnej rozpoznać. Na szczęście wzory aksamitu i koronek są rozmaite, tym więc sposobem łatwo iść śladami pięknych nieznanomych. Jestem kochankiem pewnej młodej osoby, która, jak mi się zdaje. ma niejaka

skłonność do niestałości, postanowiłem więc o tym stanowczo się przekonać. Oto masz dwie próbki aksamitu i dwie koronek. Jeżeli spostrzeżesz dwie kobiety, których suknie odpowiadają tym próbkom, będziesz uważał, czy wejdą do kościoła, czy też do tego oto domu naprzeciwko, należącego do kawalera Toledo. Naówczas przyjdiesz zdać mi sprawę do kupca win na rogu ulicy. Masz tymczasem jedną sztukę złota; dostaniesz drugą, jeżeli dobrze się sprawisz.

Podczas gdy nieznamy to mówił, bacznie mu się przyjrzałem i zdało mi się, że wygląda bardziej na męża niż na kochanka. Przyszły mi na myśl okrucieństwa księcia Sydonii i lękałem się zgrzeszyć, poświęcając uczucia miłości czarnym podejrzeniom hymenu. Postanowiłem więc spełnić tylko połowę polecenia, to jest donieść zazdrośnikowi, gdyby owe dwie kobiety weszły do kościoła; w przeciwnym jednak razie chciałem je uprzedzić o grożącym im niebezpieczeństwie.

Powróciłem do towarzyszków, powiedziałem im, aby grali nie zwracając na mnie uwagi, i położyłem się za nimi na ziemi, rozesałszy przed sobą próbki aksamitu i koronek.

Wkrótce mnóstwo kobiet zaczęło przybywać parami: nareszcie zbliżyły się dwie, na których poznałem suknie z takiego samego materiału jak moje próbki. Obie kobiety udały, że wchodzi do kościoła, ale zatrzymały się pod przysionkiem, obejrzały dokoła, czy kto za nimi nie idzie, po czym szybko przebiegły ulicę i weszły do domu naprzeciwko.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca opowiadania, przysłano po niego i musiał odejść. Wtedy Velasquez zabrał głos i rzekł:

- W istocie, obawiam się tej historii. Wszystkie przygody Cygana zaczynają się po prostu i słuchacz sądzi, że wkrótce dopatry się końca; tymczasem nic z tego: jedna historia rodzi drugą, z której wywija się trzecia, coś na kształt tych reszt ilorazów, które w pewnych przypadkach można dzielić aż do nieskończoności. Na zatrzymanie atoli różnego rodzaju postępów są sposoby, tu jednak za całą sumę wszystkiego, co nam Cygan opowiada, mogę otrzymać tylko niepojętą gmatwaninę.

- Pomimo to - rzekła Rebeka - słuchasz go senor z wielką przyjemnością, gdyż zdaje mi się, że miałeś zamiar udać się prosto do Madrytu, a tymczasem niepodobna ci nas opuścić.

- Dwa powody skłaniają mnie do zostania w tych stronach - odrzekł Velasquez - naprzód, zacząłem ważne obliczenia, które pragnę tu skończyć; po wtóre, wyznam pani, że w towarzystwie żadnej kobiety nie doświadczałem takiej przyjemności, jak w twoim, czyli, wyraźniej mówiąc, jesteś pani jedyną kobietą, z którą rozmowa sprawia mi przyjemność.

- Mości księżę - odpowiedziała Żydówka - rada bym, aby ten drugi powód stał się kiedyś pierwszym.

- Mało pani zapewne na tym zależy - rzekł Velasquez - czy myślę o niej przed lub po geometrii; inna rzecz wprawia mnie w kłopot. Dotąd nie znam nazwiska pani i muszę oznaczać je znakiem X lub Z, jakie w algebrze nadajemy zwykle wartościom nieznanym.

- Nazwisko moje - rzekła Żydówka - jest tajemnicą, którą chętnie powierzyłabym twojej uczciwości, gdybym się nie lękała skutków twego roztargnienia.

- Nie lękaj się, pani - przerwał Velasquez. - Używając często podstawień w rachunkach, przyzwyczałem się zawsze jednym sposobem oznaczać te same wartości. Skoro więc raz nadam ci jakie nazwisko, później, pomimo najszczerzej chęci, nie będziesz w stanie go odmienić.

- Dobrze więc - rzekła Rebeka - nazywaj mnie zatem Laurą Uzeda.

- Jak najchętniej - odparł Velasquez - albo też piękną Laurą, uczoną Laurą, zachwycającą Laurą, gdyż wszystko to są wykładniki twojej ogólnej wartości.

Gdy tak między sobą rozmawiali, przyszła mi na pamięć obietnica, jaką dałem rozbójnikowi, że go odwiedzę o czterysta kroków na zachód od obozu. Wziąłem szpadę i oddalwszy się na taką odległość od obozu, usłyszałem 'wystrzał z pistoletu. Skierowałem kroki w stronę lasu, skąd wystrzał pochodził, i znalazłem ludzi, z którymi już poprzednio miałem do czynienia. Naczelnik ich rzekł do mnie:

- Witaj, senor kawalerze, widzę, że umiesz dotrzymywać słowa, i nie wątpię, że jesteś równie odważny. Widzisz ten otwór w skale? Prowadzi on do podziemi, gdzie oczekują cię z najwyższą niecierpliwością. Spodziewam się, że nie zawiedziesz położonego w tobie zaufania.

Wszedłem do podziemia, zostawiwszy nieznanego, który wcale za mną nie zdążył. Postąpiwszy kilka kroków naprzód, usłyszałem łoskot za sobą i spostrzegłem, jak ogromne głazy zawałają wejście za pomocą niepojętego mechanizmu. Słaby płomyk światła, wdzierający się przez rozpadlinę w skale, ginął w ciemnym korytarzu. Pomimo jednak ciemności łatwo postępowałem, droga bowiem była gładka i spadzistość niewielka. Nie męczyłem się więc bynajmniej, ale sądzę, że niejedyn człowiek na moim miejscu byłby doznał obawy, zapuszczając się tak bez celu we wnętrza ziemi. Postępowałem przez dobre dwie godziny; w jednej ręce trzymałem szpadę, drugą zaś wyciągnąłem dla zabezpieczenia się przeciw uderzeniom. Nagle powietrze zadrgało obok mnie i usłyszałem cichy, harmonijny głos, który mi szeptał do ucha:

- Jakim prawem śmiertelnik odważa się wkraczać do państwa gnomów?

Drugi głos, równie łagodny, odpowiedział:

- Być może przychodzi wydrzeć nam nasze skarby. Pierwszy głos mówił dalej:

- Gdyby chciał rzucić szpadę, zbliżyłybyśmy się do niego.

Z kolei ja zabrałem głos i rzekłem:

- Czarujące gnomidy, jeżeli się nie mylę, poznaję was po głosie. Nie wolno mi rzucać szpady, ale wetknąłem ostrze w ziemię, śmiało więc możecie się przybliżyć.

Podziemne bóstwa ujęły mnie w objęcia, wszelako tajemnym uczuciem odgadłem, że to moje kuzynki. Żywe światło, które nagle ze wszech stron wytrysło, przekonało mnie, że się nie pomyliłem. Zaprowadziły mnie do jaskini wyłożonej poduszkami i ozdobionej świetnymi kruszcami, które połyskiwały tysiącnymi barwami opalu.

- Cóż - rzekła Emina - czy rad jesteś z naszego spotkania? Żyjesz teraz w towarzystwie młodej Izraelitki, której rozum dorównywa wdziękowi.

- Mogę ci zaręczyć - odpowiedziałem - że Rebeka nie sprawiła na mnie żadnego wrażenia, ale ile razy was widzę, zawsze z niepokojem myślę, że już was więcej nie ujrzę. Chciano we mnie wmówić, że jesteście nieczystymi duchami, wszelako nigdy temu nie dałem wiary. Wewnętrzny jakiś głos zapewniał mnie, że jesteście istotami mego rodzaju, stworzonymi do miłości. Powszechnie utrzymują,

że można kochać prawdziwie tylko jedną kobietę - jest to błąd bez wątpienia, gdyż ja kocham was zarówno obie. Serce moje bynajmniej was nie rozdziela, obie razem wspólnie nad nim panujecie.

- Ach! - zawołała Emina - to krew Abencerragów mówi przez ciebie, ponieważ możesz kochać razem dwie kobiety. Przyjmij więc świętą wiarę, która pozwala na wielożeństwo.

- Być może - przerwała Zibelda - że wówczas zasiadłbyś na tronie w Tunisie. Gdybyś widział ten czarowny kraj. seraje Bardo i Manuby, ogrody, wodotryski. rozkoszne łaźnie i tysiące młodych niewolnic daleko od nas piękniejszych...

- Nie mówmy - rzekłem - o tych królestwach, które słońce oświeca, jesteśmy teraz sam nie wiem w jakiej otchłani, ale jakkolwiek graniczymy z piekłem. możemy przecie znaleźć tu rozkosze, które, jak powiadają. Prorok obiecuje swoim wybranym.

Emina tęsknie się uśmiechnęła, po chwili jednak spojrzała na mnie czułymi oczyma. Zibelda zarzuciła mi ręce na szyję.

Dzień trzydziesty

Obudziwszy się nie znalazłem już moich kuzynek. Niespokojny, obejrzałem się dokoła i spostrzegłem przed sobą długą, oświetloną galerię; domyśliłem się, że jest to droga, którą powinienem postępować. Ubrałem się czym prędzej i po półgodzinnym pochodzie przybyłem do krętych schodów, którymi wedle upodobania mogłem albo wydostać się na powierzchnię ziemi, albo pogrążyć w jej wnętrznościach. Obrąłem tę drugą drogę i zaszedłem do podziemia, gdzie ujrzałem grobowiec z białego marmuru, oświetlony czterema lampami i starego derwisza, który odmawiał przy nim pacierze.

Starzec odwrócił się do mnie i rzekł łagodnym głosem:

- Witaj nam, senor Alfonsie, od dawna czekamy już na ciebie.

Zapytałem go, czy to nie są czasem podziemia Kassar-Gomelezu.

- Nie mylisz się, szlachetny nazarejczyku - odrzekł derwisz. - Grób ten zawiera w sobie sławną tajemnicę Gomelezów; ale zanim opowiem o tym ważnym przedmiocie, pozwól, abym ci ofiarował lekki posiłek. Będziesz dziś potrzebował wszystkich sił twego umysłu i ciała, a być może - dodał złośliwie - że to ostatnie domaga się wypoczynku.

Po tych słowach starzec zaprowadził, mnie do sąsiedniej jaskini, gdzie znalazłem czysto zastawione śniadanie; gdy się posiliłem, prosił mnie, abym posłuchał z uwagą, i rzekł:

- Senor Alfonsie, nie jest mi obcym, że piękne twoje kuzynki uwiadomiły cię o historii twoich przodków i o znaczeniu, jakie przywiązywali oni do tajemnicy Kassar-Gomelezu. W istocie, nic w świecie nie może być ważniejsze. Człowiek posiadający naszą tajemnicę z łatwością mógłby skłonić do posłuszeństwa całe narody i być może założyć nawet powszechną monarchię. Z drugiej jednak strony,

potężne te i niebezpieczne środki, znalazłszy się w nierozsądnych rękach, na długo mogłyby zniszczyć porządek, zaprowadzony w posłuszeństwie. Prawa od wielu wieków rządzące nami postanowiły, że tajemnica może być odkryta tylko ludzom z krwi Gomelezów, i to wtedy, gdy mnogie próby przekonają o niezłomności i prawości ich sposobu myślenia. Wypada także żądać złożenia uroczystej przysięgi, popartej całą siłą form religijnych. Wszelako znając twój charakter, poprzestaniemy na twoim słowie honoru. Ośmielam się więc prosić cię o zaręczenie słowem honoru, że nigdy nikomu nie wyjawisz tego, co tu zobaczysz lub usłyszysz.

Zdawało mi się w pierwszej chwili, że będąc w służbie króla hiszpańskiego, nie powinienem dawać mego słowa, nie dowiedziawszy się wprzód, czy nie ujrzę w jaskini rzeczy, które by sprzeciwiały się jego godności. Napomknąłem o tym derwiszowi.

- Twoja przezorność, senor, jest zupełnie na miejscu - odpowiedział starzec. - Ramię twoje należy do króla, któremu służysz, ale tu znajdujesz się w podziemnych okolicach, gdzie jego władza nigdy się nie przedarła. Krew, z której pochodzisz, także wkłada na ciebie obowiązki, nareszcie słowo honoru, jakiego od ciebie wymagam, jest tylko dalszym ciągiem tego, które dałeś twoim kuzynkom.

Poprzestałem na tym rozumowaniu, aczkolwiek nieco szczegółowym, i dałem słowo, którego ode mnie żądano.

Natenczas derwisz popchnął jedną ze ścian grobowca i wskazał mi schody prowadzące do głębszych jeszcze podziemi.

- Zejdz tędy - rzekł - ja nie potrzebuję d towarzyszyć, wszelako wieczorem przyjdę po ciebie.

Zszedłem więc i ujrzałem rzeczy, które z prawdziwą przyjemnością bym wam opowiedział, gdyby dane słowo honoru nie kładło temu nieprzewyciężonej przeszkody.

Stosownie do obietnicy derwisz przyszedł po mnie wieczorem. Wyszliśmy razem i przybyliśmy do jeszcze innej jaskini, gdzie nam zastawiono wieczerzę. Stół umieszczony był pod złotym drzewem, wyobrażającym rodowód Gomelezów. Drzewo rozrastało się na dwie główne gałęzie, z których jedna, przeznaczona dla Gomelezów-mahometan, zdawała się rozkwitać całą siłą roślinności, druga zaś, Gomelezów-chrześcijan, w sposób widoczny schła i najeżała długie i groźne ciernie. Po wieczerzy derwisz rzekł:

- Nie dziw się różnicy, jaką spostrzeżasz między tymi dwiema głównymi gałęziami. Gomelezowie wierni prawom Proroka otrzymali korony w nagrodę, podczas gdy ci drudzy żyli nieznanymi i zajmowali różne mało ważne urzędy. Żadnego z nich nigdy nie przypuszczono do naszej tajemnicy i jeżeli gwoli tobie u-czyniono wyjątek, winien to jesteś szczególnym względem, jakie sobie zjednałeś, pozyskując przychylność dwóch księżniczek z Tunisu. Pomimo to masz dotąd słabe tylko pojęcie o naszej polityce: gdybyś chciał przejść do drugiej gałęzi, do tej, która kwitnie i z każdym dniem coraz bujniej kwitnąć będzie, wtedy miałbyś czym zadowolić swoją miłość własną i mógłbyś przedsięwziąć olbrzymie zamiary.

Chciałem odpowiedzieć, ale derwisz nie dał mi wyrzec jednego słowa i tak dalej mówił:

- Wszelako należy ci się pewna część dóbr twojej rodziny i pewna nagroda za trudy, jakie podjąłeś, przybywając do naszego podziemia. Oto jest weksel Estebana Moro, najbogatszego

bankiera z Madrytu. Suma zdaje się wynosić tylko tysiąc realów, ale jedno tajemne pociągnięcie piórem czyni ją nieograniczoną i dadzą ci na twój podpis, ile sam zażadasz. Teraz pójdziesz tymi krętymi schodami i gdy naliczysz trzy tysiące pięćset stopni, dostaniesz się do nader niskiego sklepienia, gdzie musisz przeczłagać pięćdziesiąt kroków, i wtedy znajdziesz się pośród zamku Al-Kassar, czyli Kassar-Gomelez. Dobrze uczynisz, jeżeli tam przenocujesz, nazajutrz zaś u stóp góry łatwo spostrzeżesz obóz Cyganów. Żegnam cię, drogi Alfonsie, oby święty nasz Prorok raczył oświecić cię i ukazać drogę prawdy.

Derwiz uściskał mnie, pożegnał i zamknął drzwi za mną. Musiałem co do słowa wypełnić jego polecenie. Drapiąc się pod górę, często zatrzymywałem się dla nabrania oddechu; nareszcie ujrzałem nad sobą gwiaździste niebo. Położyłem się pod rozwalonym sklepieniem i zasnąłem.

Dzień trzydziesty pierwszy

Obudziwszy się spostrzegłem w dolinie obóz Cyganów i poznałem po panującym w nim ożywieniu, że mają się ku pochodowi, aby znowu rozpocząć swe błędne wędrówki. Pośpieszyłem złączyć się z nimi. Spodziewałem się licznych zapytań co do mojej nieobecności przez dwie noce, ale nikt się do mnie nie odezwał, tak dalece przygotowania do odjazdu zajmowały każdego. Skoro wszyscy dosiedliśmy koni, kabalista rzekł:

- Tym razem mogę was zapewnić, że dzisiaj do woli nasycimy się opowiadaniem Żyda Wiecznego Tułacza. Nie straciłem jeszcze mojej władzy, jak to zuchwalec sobie wyobraża. Już był blisko Tarudantu, gdy zmusiłem go do powrotu. Jest niezadowolony i idzie - jak może najwolniej, ale mam środki na przyspieszenie jego kroków.

To mówiąc dobył z kieszeni książkę, zaczął odczytywać jakieś barbarzyńskie formuły i wkrótce na wierzchołku góry spostrzegliśmy starego włóczęgę.

- Widzicie go - krzyknął Uzeda. - Łotr! Leniwiec! Zobaczycie, jak się z nim przywitam.

Rebeka zaczęła wstawiać się za winnym i brat jej, zda się, ochłonął z gniewu, wszelako gdy Żyd zbliżył się ku nam, Uzeda nie mógł powstrzymać się od uczynienia mu gwałtownych wyrzutów w języku dla mnie niezrozumiałym. Następnie rozkazał mu kroczyć obok mego konia i ciągnąc dalej opowiadanie swoich przygód od miejsca, w którym je przerwał.

Nieszczęśliwy wędrowiec nic na to nie odrzekł i tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Powiedziałem wam, że w Jerozolimie utworzyła się sekta herodian, która utrzymywała, że Herod jest Mesjaszem; nadto obiecałem wam wyjaśnić znaczenie, jakie Żydzi przywiązywali do tego wyrazu. Powiem wam więc, że Mesjasz znaczy po hebrajsku "namaszczony, pomazany olejem" - "Christos" zaś jest greckim tłumaczeniem tego imienia. Jakub, obudziwszy się po sławnym swoim widzeniu, rozlał olej na kamień, na którym głowa jego spoczywała, i nazwał to miejsce Bethel, czyli Domem Boga. Możecie przekonać się z Sanchuniatona, że Uranos wynalazł betyle, czyli ożywione kamienie.

Wierzono naówczas, że Duch Boży natychmiast wypełnia wszystko, cokolwiek zostało poświęcone przez pomazanie.

Zaczęto namaszczać królów i Mesjasz stał się synonimem króla. Gdy Dawid mówi o Mesjaszu, siebie samego ma wówczas na widoku, o czym się można przekonać z drugiego jego psalmu. Skoro jednak królestwo żydowskie - rozdzielone, następnie zajęte przez obcych - stało się igraszką sąsiednich mocarstw, zwłaszcza zaś gdy lud zaprowadzono do niewoli, prorocy co sił zaczęli go pocieszać mówiąc, że przyjdzie dzień, w którym zjawi się król z pokolenia Dawidowego. Ten upokorzy dumę Babilonu i w triumfie Żydów z niewoli wywiedzie. Najwspanialsze gmachy z łątwością wznosiły się w natchnieniach proroków, stąd też nie omieszkali tak zabudowywać przyszłego Jeruzalem, by stało się godne przyjęć w swych murach potężnego króla, z świątynią, której by nie brakowało niczego, co by tylko mogło podnieść w oczach ludu poszanowanie wiary. Żydzi, chociaż do słów ich nie przywiązywali wielkiej wagi, z przyjemnością jednak słuchali proroków. W istocie, niepodobna wymagać, aby się gorąco zajmowali wypadkami, które miały nastąpić dopiero za praprawnuków ich wnuków.

Zdaje się, że pod panowaniem Macedończyków prawie zupełnie zapomniano o prorokach, dlatego też w żadnym Machabeuszu nie widziano Mesjasza, chociaż wyzwolili oni kraj spod panowania cudzoziemców. Również o żadnym z ich potomków, którzy nosili tytuł królewski, nie mówiono, że go przepowiedzieli prorocy.

Inaczej wszakże działo się za panowania starego Heroda. Dworzanie tego władcy, wyczerpawszy przez czterdzieści lat wszystkie pochlebstwa, uprzyjemniające mu życie, wmówili w niego nareszcie, że jest Mesjaszem zapowiedzianym przez proroków. Herod, zniechęcony do wszystkiego, z wyjątkiem najwyższej władzy, której z każdym dniem coraz więcej pragnął, uznał zdanie to za jedyny środek przekonania się, którzy z poddanych są mu prawdziwie wierni.

Przyjaciele jego utworzyli więc sektę herodian, których naczelnikiem był oszust Sedekias, młodszy brat mojej babki. Pojmujecie, że ani mój dziad, ani Dellius nie myśleli już o przesiedleniu się do Jerozolimy. Kazali ukuć małą skrzynkę z brązu i zamknęli w niej kontrakt sprzedaży domu Hillela oraz rewers jego na trzydzieści tysięcy darejków wraz z cesją, którą Dellius zeznał na rzecz ojca mego, Mardocheja. Następnie przyłożyli pieczęcie i postanowili nie myśleć o tym, dopóki okoliczności nie przybiorą przyjaźniej-szego dla nich obrotu.

Herod umarł i Judea stała się pastwą najopłakańszych waśni. Trzydziestu naczelników stronnictw kazało się namaścić i ogłosić Mesjaszami. W kilka lat potem Mardochej zaślubił córkę jednego z sąsiadów i ja, jedyny owoc ich związku, przyszedłem na świat w ostatnim roku panowania Augusta. Dziad mój chciał mnie osobiście obrzezać i rozkazał w tym celu przygotować wspaniałą ucztę, ale przyzwyczajony do odosobnienia i skołatany wiekiem, wskutek tych zachodów wpadł w chorobę, która w kilka tygodni zaprowadziła go do grobu. Wyzionął ducha w objęciach Delliusa, polecając mu, aby starał się zachować dla nas brązową skrzynkę i nie pozwolił, iżby niegodziwiec spokojnie używał owoców swego łotrostwa. Moja matka, której potóg nie odbył się szczęśliwie, tylko o kilka miesięcy przeżyła swego teścia.

W owym czasie Żydzi mieli zwyczaj przybierania nazwisk greckich lub perskich. Nazwano mnie Ahaswerem. Pod tym to nazwiskiem w roku 1603 w Lubece dałem się poznać Antoniemu Kolterusowi, jak

można o tym przekonać się z pism Duduleusa: toż samo miano nosiłem także w roku 1710 w Cambridge, jak tego dowodzą dzieła uczonego Tenzeliusa.

- Senor Ahaswerze - rzekł Velasquez - wspominają także o tobie w Theatrum Europaeum.

- Być może - odpowiedział Żyd - gdyż prawie powszechnie jestem znany od czasu, jak kabaliści wpadli na pomysł przyzywania mnie z głębi Afryki.

Naówczas zabrałem głos i zapytałem Żyda, dlaczego szczególnie upodobał sobie te pustynne okolice.

- Dlatego, że nie spotykam w nich ludzi - odrzekł - jeżeli zaś czasem spotkam zabłąkanego wędrowca lub jakąś kafryjską rodzinę, wtedy, znając legowisko lwicy karmiącej swoje dzieci, prowadzę ją na zdobycz i z rozkoszą patrzę, jak ich w moich oczach pożera.

- Senor Ahaswerze - przerwał Velasquez - zdajesz mi się być człowiekiem niegodziwego sposobu myślenia.

- Uprzedzałem was - rzekł kabalista - że to największy łotr na świecie.

- Gdybyś tak jak ja żył osiemnaście wieków - odparł włóczęga - pewno nie byłbyś lepszy ode mnie.

- Spodziewam się żyć dłużej i daleko uczciwiej - przerwał kabalista. - Ale zostaw te impertynencje i opowiadaj dalej swoje przygody.

Żyd nie odpowiedział ani słowa i tak dalej mówił:

Stary Dellius został przy moim ojcu, na którego tyle trosk się od razu zważyło. Żyli nadal razem w swoim schronieniu, gdy tymczasem Sedekias, przez śmierć Heroda pozbawiony opieki, niespokojnie się o nas dopytywał. Obawa naszego przybycia do Jerozolimy bezustannie go dręczyła. Postanowił zatem poświęcić nas dla dobra własnego spokoju i wszystko zdawało się sprzyjać jego zamiarom, gdyż Dellius ociemniał, mój ojciec zaś, będąc do niego szczerze przywiązany, odosobnił się bardziej niż kiedykolwiek. Tak upłynęło sześć lat.

Pewnego dnia doniesiono nam, że jacyś Żydzi z Jerozolimy zakupili sąsiedni dom i że mieszkają w nim ludzie, którym źle z oczu patrzy i którzy wyglądają na morderców. Mój ojciec, z natury lubiący samotność, korzystał z tej okoliczności i wcale nie wychodził z domu.

Tu jakiś nagły zgiełk przerwał opowiadanie tułacza, który schwycił tę sposobność i znikł nam z oczu. Wkrótce przybyliśmy na miejsce noclegu, gdzie zastaliśmy już przygotowany i zastawiony posiłek. Jedliśmy, jak na podróżnych przystało, a gdy sprzątnięto obrus, Rebeka, zwracając się do Cygana, rzekła:

- Jeżeli się nie mylę, w chwili gdy nam przerwano, mówiłeś, że dwie kobiety upewniwszy się, iż nikt ich nie śledzi, szybko przebiegły ulicę i weszły do domu kawalera Toledo.

Naczelnik Cyganów widząc, że pragniemy usłyszeć dalszy ciąg jego przygód, zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Dogoniłem obie kobiety, właśnie gdy wchodziły na schody, i pokazawszy im próbki, powiedziałem, o poleceniu danym mi przez zazdrośnika, dodając:

- Teraz wejdźcie panie naprawdę do kościoła, ja tymczasem pobiegnę po mniemanego kochanka, który, zdaje mi się, jest mężem jednej z was. Skoro was zobaczy, nie chcąc zapewne, abyście wiedziały, że was śledził, odejdzie, a wtedy będziecie mogły pójść, dokąd wam się podoba.

Nieznajome usłuchały mojej rady, ja zaś pobiegłem do kupca win i doniosłem zazdrośnikowi, że obie kobiety rzeczywiście przybyły do kościoła. Poszliśmy razem i wtedy pokazałem mu dwie aksamitne spódnice podobne do próbek, które trzymałem w ręku.

Zdawał się jeszcze powątpiewać, ale wtem jedna z kobiet odwróciła się i jak gdyby nie naumyślnie uchyliła nieco zasłony. Wnet radość małżeńska rozlała się po rysach zazdrośnika, wkrótce wmieszał się między tłum i wyszedł z kościoła. Wybiegłem za nim na ulicę, podziękował mi i dał jeszcze jedną sztukę złota. Sumienie nie pozwalało mi jej przyjąć, ale nie chcąc się zdradzić, musiałem schować ją do kieszeni. Ściągałem go wzrokiem, następnie poszedłem po dwie kobiety i odprowadziłem je do domu kawalera. Ładniejsza z nich chciała mi dać sztukę złota.

- Przebacz, pani - rzekłem - sumienie nakazywało mi zdradzić twego mniemanego kochanka, gdyż poznałem w nim męża, ale nieuczciwie byłoby przyjmować z obu stron zapłatę.

Wróciłem do przysionka Św. Rocha i pokazałem dwie sztuki złota. Moi towarzysze krzyknęli z podziwu. Często poruczano im podobne zlecenia, ale nigdy nikt tak ich sownie nie wynagradzał. Zaniósłem złoto do wspólnej kasy; chłopcy poszli za mną, chcąc nacieszyć się zdziwieniem przekupki, która w istocie nic posiadała się ze zdumienia na widok tylu naraz pieniędzy. Oświadczyła, że nie tylko da nam tyle kasztanów, ile sami zechcemy, ale że nadto zaopatrzy się w małe kiełbaski i wszystko, czego potrzeba do ich upieczenia. Nadzieja takiej biesiady napełniła radością naszą czeredę, ja tylko jej nie podzielałem i po stanowilem wyszukać sobie lepszego kucharza. Tymczasem napełniliśmy kieszenie kasztanami i wróciliśmy do przysionka Św. Rocha. Po posiłku zawiązałem się w płaszcz i zasnąłem.

Nazajutrz jedna z poznanych wczoraj kobiet zbliżyła się do mnie i wręczyła mi list prosząc, abym zaniósł go do kawalera. Poszedłem i oddałem pismo jego kamerdynerowi. Wkrótce wprowadzono mnie do pokoju. Powierzchność kawalera Toledo sprawiła na mnie przyjemne wrażenie. Z łatwością zrozumiałem, dlaczego jest w łaskach u kobiet. Był to młodzieniec nader powabnej postaci. Nie potrzebował uśmiecha.:

się, gdyż wesołość przebijała się w każdym rysie jego twarzy, przy czym jakiś wdzięk towarzyszył wszystkim jego poruszeniom; można było tylko domyślić się lekkości i niestałości w jego obyczajach, co bez wątpliwości byłoby mu szkodliwym u kobiet, gdyby każda nie była przekonana, że potrafi ustalić najbardziej płochoego mężczyznę.

- Mój przyjacielu - rzekł kawaler - znam już twój dowcip i uczciwość. Chcesz wejść do mej służby?

- To niemożliwe - odrzekłem. - Urodziłem się szlachcicom i nie mogę podejmować się obowiązków służącego. Obratem stan żebracki, gdyż ten nikomu nie przynosi ujmy.

- Wyśmienicie - zawołał kawaler - oto odpowiedź godna prawdziwego Kastyljczyka. Powiedzże mi, co mogę dla ciebie uczynić?

- Senor kawalerze - odpowiedziałem - lubię mój stan, ponieważ jest zaszczytny i daje mi środki do życia, ale przyznam się, że kuchnia nie jest tam najlepsza. Jeżeli więc senor zechcesz mi pozwolić, abym jadał z twymi ludźmi, będę to uważał za największe dla siebie szczęście.

- Z największą chęcią - rzekł kawaler. - W dniach, gdy przyjmuję u siebie kobiety, zwykle odsyłam służących, więc gdyby wówczas szlacheckie twoje urodzenie pozwoliło ci usługiwać nam do stołu...

- Skoro senor będziesz ze swoją kochanką - odpowiedziałem - natenczas z przyjemnością mogę wam usługiwać, gdyż stając ci się użytecznym, uszlachetniam tym sposobem mój postępek.

To powiedziawszy pożegnałem kawalera i udałem się na ulicę Toledo. Zapytałem o dom senora Avadoro, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć. Wtedy zapytałem o dom Filipa del Tintero Largo. Pokazano mi balkon, na którym ujrzałem człowieka poważnej postaci, palącego cygaro i - jak mi się zdawało - liczącego dachówki pałacu księcia Alby. Głos natury żywo odezwał się w mym sercu, ale zarazem zastanowiło mnie, że natura obdarzyła ojca takim zbytkiem powagi, zarazem tak niewiele udzielając jej synowi. Sądziłem, że lepiej byłaby uczyniła rozdzielając tę powagę po równi między obydwóch, wszelako przyszło mi na myśl, że należy za wszystko dziękować Bogu, i poprzestając na tym wniosku, wróciłem do towarzyszków. Poszliśmy spróbować kiełbasek u przekupki, które tak dalece mi zasmakowały, że zupełnie zapomniałem o obiedzie u kawalera.

Nad wieczorem spostrzegłem obie kobiety, wchodzące do jego domu. Widząc, że dość długo tam bawią, poszedłem dowiedzieć się, czy nie potrzebują moich usług, ale właśnie w tej chwili wychodziły. Przemówiłem kilka dwuznacznych słów do piękniejszej, która za całą odpowiedź uderzyła mnie lekko wachlarzem po twarzy. W chwilę później zbliżył się do mnie człowiek wyniosłej postawy, z krzyżem maltańskim wyszytym na płaszczu. Reszta jego odzienia zdradzała podróznego. Zapytał mnie, gdzie mieszka kawaler Toledo. Odpowiedziałem, że mogę go zaprowadzić. Nie znaleźliśmy nikogo w przedpokoju, otworzyłem więc drzwi i wszedłem z nim razem do środka. Kawaler Toledo zdziwił się niepomąłu.

- Co widzę - zawołał - tyżeś to, mój kochany Aguilarze? Przybyłeś do Madrytu, jakże jestem szczęśliwy! Cóż się tam dzieje na Malcie? Co porabia wielki mistrz? wielki komtur, przeor nowicjatu? Drogi przyjacielu, niechże cię uściskam!

Kawaler Aguilar odpowiedział na te oświadczenia z równą czułością, wszelako z daleko większą powagą. Domyśliłem się, że dwaj przyjaciele zechcą wieczerzać razem. Znalazłem w przedpokoju nakrycie i pobiegłem czym prędzej po wieczerzę. Gdy stół był już zastawiony, kawaler Toledo kazał mi przynieść od piwniczego dwie butelki musującego francuskiego wina. Spełniłem jego rozkaz i wysadziłem korki.

Tymczasem obaj przyjaciele rozmawiali, przypominając sobie mnóstwo wspólnych wspomnień, po czym Toledo, zabrawszy głos, tak rzekł:

- Nie pojmuję, jakim sposobem, obdarzeni całe przeciwnymi charakterami, możemy żyć ze sobą w tak ścisłej przyjaźni. Ty posiadasz wszystkie cnoty, ja zaś pomimo to kocham cię, jak gdybyś był najgorszym człowiekiem na świecie. W istocie, słów tych czynem dowodzę, gdyż dotąd z nikim nie zaprzyjaźniłem się w Madrycie i ty wciąż jesteś jedynym moim przyjacielem. Ale prawdę mówiąc, nie jestem równie stały w miłości.

- Czy nadal masz te same zasady względem kobiet? - przerwał Aguilar.

- Niezupełnie - odparł Toledo - dawniej jak najszybciej porzucałem jedną kochankę dla drugiej, teraz zaś przekonałem się, że tym sposobem tracę zbyt wiele czasu, i zwykle rozpoczynam nowy związek, zanim zerwę pierwszy, podczas gdy w dali upatruję już trzeci.

- Tak więc - rzekł Aguilar - ciągle jeszcze nie wyrzekłeś się tej lekkomyślności?

- Ja nie - odpowiedział Toledo - ale lękam się, ażeby ona mnie nie opuściła. Kobiety madryckie mają w swym charakterze coś tak natarczywego, tak nieodczepnego, że często mimowolnie człowiek staje się bardziej moralny, aniżeli by sobie tego życzył.

- Nie rozumiem zupełnie twoich słów - rzekł Aguilar - zresztą nie ma w tym nic dziwnego, nasz zakon jest wojskowy, a zarazem duchowny; ślubujemy podobnie jak mnisi i księża.

- Zapewne - dodał Toledo - lub jak kobiety, gdy przysięgają na wierność małżonkom.

- I któż z nas wie - rzekł Aguilar - czy za złamanie przysięgi nie czeka ich straszna kara na tamtym świecie?

- Mój przyjacielu - powiedział Toledo - wierzę w to wszystko, w co chrześcijanin powinien wierzyć, ale zdaje mi się, że zachodzi tu pewne nieporozumienie. Jakże to, do diabła, więc chcesz, ażeby żona oidora Uscariza miała być smażona w ogniu przez całą wieczność, ponieważ dziś jedną godzinę ze mną przepędziła?

- Wiara naucza nas - rzekł Aguilar - że są inne jeszcze miejsca pokuty.

- Masz na myśli czyściec - odpowiedział Toledo. - Przeszedłem przezeń, kiedy się kochałem w tej diabelskiej Inezie z Nawarry, najdziwaczniejszym, najbardziej wymagającym i najzdrośniejszym stworzeniu, jakie kiedykolwiek w życiu spotkałem; ale też odtąd zarzekam się na wieki bogiń teatralnych. Ale ja rozprawiam, a ty ani jesz, ani pijesz; ja wypróżniłem całą butelkę, a twój kieliszek jeszcze pełny. O czym myślisz? O czym tak dumasz?

- Dumalem - rzekł Aguilar - nad słońcem, które dziś widziałem.

- Nie mogę ci tego zaprzeczyć - przerwał Toledo - gdyż ja także je widziałem.

- Dumalem także - dodał Aguilar - nad tym, czy jutro je zobaczę.

- Nie wątpię o tym, zwłaszcza jeżeli mgły nie będzie.

- Nie zaręczaj, gdyż, być może, nie dożyję jutrzejszego dnia.

- Muszę wyznać - rzekł Toledo - że przywozisz nam z Malty myśli, jak do stołu, niezbyt wesołe.

- Człowiek zawsze pewien jest śmierci - przerwał Aguilar - ale nigdy nie wie, kiedy ostatnia chwila nań przypadnie.

- Słuchaj no - rzekł Toledo - przyznaj się, od kogo zasłyszawsz te przyjemne nowiny? Musiał to być jakiś nader pocieszny śmiertelnik; czy często zapraszasz go na wieczerzę?

- Mylisz się - odrzekł Aguilar - dzisiejszego poranku mówił mi o tym spowiednik.

- Jak to - zawołał Toledo - przyjeżdżasz do Madrytu i tego samego dnia idziesz do spowiedzi? Czyżby pojedynek cię tu sprowadzał?

- Właśnie dlatego poszedłem do spowiedzi.

- Wyśmienicie - rzekł Toledo - od dawna nie trzymałem już szpady w ręku i jeżeli chcesz, mogę służyć ci za świadka.

- Mocno żałuję - odpowiedział Aguilar - ale właśnie ty jesteś jedynym człowiekiem, którego nie mogę prosić o wyświadczenie mi tej przysługi.

- Sprawiedliwe nieba! - krzyknął Toledo - znowu więc rozpocząłeś nieszczęsny spór z moim bratem?

- Nie inaczej, mój przyjacielu - odparł Aguilar - księżę Lerma nie chciał zgodzić się na zadośćuczynienie, jakiego odeń wymagałem, dziś więc w nocy mamy bić się przy pochodniach nad brzegami Man-zanaresu, pod wielkim mostem.

- Wielki Boże! - zawołał Toledo z boleścią - mamże dziś wieczorem stracić brata lub przyjaciela?

- Być może obu - odrzekł Aguilar. - Wyzwaliliśmy się na śmierć i życie; zamiast szpad, zgodziliśmy się na długi sztylet w prawej, a puginał w lewej ręce. Wiesz, że broń ta jest straszna.

Toledo, którego tkliwa dusza łatwo przejmowała wszelkie wrażenia, z najhuczniejszej wesołości od razu wpadł w najposępniejszą rozpacz.

- Przewidywałem twoją boleść - rzekł Aguilar - i dlatego nie chciałem widzieć się z tobą, ale głos z nieba dał mi się słyszeć, rozkazując, abym cię ostrzegł o karach, jakie nas czekają w przyszłym życiu.

- Ach! - zawołał Toledo - proszę cię, nie myśl wcale o moim nawróceniu.

- Jestem tylko żołnierzem - rzekł Aguilar - nie umiem wygłaszać kazań, ale powinienem słuchać głosu boskiego.

W tej chwili zegar uderzył jedenastą, Aguilar uściskał przyjaciela i rzekł:

- Posłuchaj, Toledo: tajemne przeczucie ostrzega mnie, że zginę, pragnę jednak, ażeby śmierć moja przydała się do twego zbawienia. Opóźnię walkę aż do północy. Natenczas uważaj pilnie; jeżeli umarli mogą jakimi znakami dać się słyszeć żyjącym, w takim razie bądź przekonany, że przyjaciel twój nie omieszka upewnić cię o istnieniu tamtego świata. Uprzedzam cię tylko, uważaj dobrze o samej północy.

To mówiąc Aguilar uściskał jeszcze raz przyjaciela i wyszedł, Toledo rzucił się na łóżko i zalał łzami, ja zaś wyszedłem do przedpokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Byłem ciekawy, jak się to wszystko skończy.

Toledo wstawał, spoglądał na zegarek, po czym znowu padał na łóżko i płakał. Noc była ciemna, tylko migotania dalekich błyskawic przedzierały się czasami przez szpary okiennic. Burza zbliżała się coraz bardziej i groza jej powiększała jeszcze posępność naszego położenia. Północ uderzyła i z ostatnim dźwiękiem usłyszeliśmy trzy stuknięcia w okiennicę.

Toledo otworzył okiennicę mówiąc:

- Czy zginąłeś?

- Zginąłem - odpowiedział grobowy głos.

- Czy jest czyściec na tamtym świecie? - zapytał Toledo.

- Jest, i ja się w nim już znajduję - odrzekł tenże sam głos, po czym usłyszeliśmy długi, bolesny jęk.

Toledo padł twarzą na ziemię, następnie porwał się, wziął płaszcz i wyszedł. Udałem się za nim; zwróciliśmy się drogą, ku Manzanaresowi, ale jeszcze nie doszliśmy do wielkiego mostu, gdy ujrzeliśmy czeredę ludzi, z których kilku niosło pochodnie. Toledo poznał swego brata.

- Nie masz potrzeby iść dalej - rzekł mu książę Lerma - jeżeli nie chcesz potknąć się o trupa twego przyjaciela.

Toledo padł bez zmysłów. Widząc, że jest w rękach swoich ludzi, powróciłem do mego przysionka i zacząłem rozmyślać nad tym wszystkim, czego byłem świadkiem. Ojciec Sanudo nieraz wspominał nam o czyścicu i nowe to zapewnienie nie sprawiło na mnie nadzwyczajnego wrażenia. Zasnąłem zwykłym, twardym snem.

Nazajutrz pierwszym człowiekiem, który wszedł do kościoła Św. Rocha, był Toledo, ale tak blady i znękany, że zaledwie mogłem go poznać. Długo modlił się, wreszcie zażądał spowiednika.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, przerwano mu dalsze opowiadanie, musiał nas zatem opuścić i rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

Dzień trzydziesty drugi

O wschodzie słońca puściliśmy się w dalszą drogę i zagłębili w najbardziej wewnętrzne doliny pasma. Po godzinie podróży spostrzegliśmy Żyda Ahaswera, który zbliżył się do nas i wszedłszy między mnie a Velasqueza, tak dalej opowiadał swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Pewnego dnia oznajmiono nam rzymskiego urzędnika sądowego. Wprowadzono go i dowiedzieliśmy się, że mój ojciec został oskarżony o zbrodnię stanu; zarzucano mu, że chciał wydać Egipt w ręce Arabów. Po odejściu Rzymianina Dellius rzekł:

- Kochany Mardocheju. nie masz potrzeby się usprawiedliwiać, gdyż każdy jest przekonany o twojej niewinności. Chcą ci tylko zabrać połowę twego mienia, najlepiej więc uczynisz, jeżeli oddasz je dobrowolnie.

Dellius miał słuszność, sprawa ta kosztowała nas połowę naszego majątku.

Następnego roku mój ojciec, wychodząc pewnego poranku z domu, spostrzegł leżącego przede drzwiami człowieka, który zdawał się jeszcze oddychać; kazał go więc przynieść do domu i chciał przywrócić do życia, gdy wtem ujrzał kilku urzędników sądowych i sąsiadów w liczbie ośmiu, którzy zaprzysięgli, że widzieli, jak mój ojciec zabijał tego człowieka. Ojciec przesiedział sześć miesięcy w więzieniu i wyszedł, pozbywszy się drugiej połowy majątku, czyli wszystkiego, co nam zostawało.

Miał jeszcze dom, ale zaledwie wrócił do niego, gdy nagle dom jego niegodziwych sąsiadów zajął się ogniem. Było to w nocy. Sąsiedzi wdarli się do naszego mieszkania, zabrali, co tylko mogli, i podłożyli płomień tam, gdzie go jeszcze nie było.

O wschodzie słońca w miejscu naszego domu wznosiła się kupa popiołów, po których czołgał się ślepy Dellius wraz z moim ojcem, unoszącym mnie w objęciach i opłakującym swoje nieszczęście.

Gdy pootwierano sklepy, ojciec wziął mnie za rękę i zaprowadził do piekarza, który dotychczas dostarczał nam chleba. Człowiek ten, zdjęty litością, dał nam trzy bułki. Wróciliśmy do Delliusa. Ten nam opowiedział, że podczas naszej nieobecności jakiś nieznajomy, którego nie mógł poznać po głosie, rzekł mu:

- Ach, Delliusie, oby wasze nieszczęścia spadły na głowę Sedekiasa! Przebacz tym, których niegodziwiec użył za narzędzie swych zbrodni. Zapłacono nam, abyśmy was wymordowali, ale my pomimo to zostawiliśmy was przy życiu. Oto masz - będziecie mieli przez jakiś czas z czego żyć.

Przy tych słowach nieznajomy wręczył mu kiesę z pięćdziesięciu sztukami złota.

Ta niespodziewana pomoc rozradowała mego ojca. Wesoło rozestał na popiołach na wpół spalony kobierzec, położył na nim trzy bułki chleba i poszedł przynieść wody w czerepie rozłupzonego naczynia. Miałem wówczas siedem lat i pamiętam, że dzieliłem tę chwilę wesołości z moim ojcem i udałem się razem z nim do studni. Za to też przy śniadaniu nie zapomniano o mnie.

Zaledwie zasiedliśmy do biesiady, gdy spostrzegliśmy małego chłopczynę w moim wieku, który ze łzami prosił nas o kawałek chleba.

- Jestem - rzekł nam - synem żołnierza rzymskiego i syryjskiej kobiety, która umarła, wydając mnie na świat. Żony żołnierzy z tej samej kohorty i markietanki karmiły mnie po kolei piersią; zapewne musiały dodawać do pokarmu inne jakieś pożywienie, gdyż, jak widzicie, żyję na świecie. Tymczasem ojciec mój, wysłany przeciw pewnemu pasterskiemu pokoleniu, poległ wraz ze wszystkimi towarzyszami. Wczoraj zjadłem ostatni kawałek chleba, który mi zostawiono, zebrałem więc po

mieście, ale znalazłem wszystkie drzwi zamknięte. Wy jednak nie macie ani drzwi, ani domu, spodziewam się zatem, że mnie nie odepchniecie.

Stary Dellius, który nigdy nie omieszkał korzystać ze sposobności udzielenia moralnej nauki, rzekł:

- Nie ma więc na świecie tak nędznego człowieka, który by nie był w stanie wyświadczyć bliźniemu przysługi, równie jak nie ma tak potężnego, który by nie potrzebował pomocy drugich. Tak jest, moje dziecko, witaj nam i podzielaj naszą ubogą strawę. Jak się nazywasz?

- Germanus - odpowiedział chłopiec.

- Oby ci Bóg długich lat użyczył! - rzekł Dellius. Jakoż w istocie, ten rodzaj błogosławieństwa stał się prawdziwą przepowiednią, gdyż dziecko to długo żyło i dotychczas nawet żyje w Wenecji, gdzie znają je pod nazwiskiem kawalera de Saint-Germain.

- Znam go dobrze - przerwał Uzeda - posiada on niektóre wiadomości kabalistyczne. Po czym Żyd Wieczny Tułacz tak dalej mówił:

- Po śniadaniu Dellius zapytał mego ojca, czy drzwi od piwnicy zostały wyłamane.

Mój ojciec odpowiedział, że drzwi są zamknięte i że płomień nie zdołał przedrzeć się przez sklepienie pokrywające piwnicę.

- Dobrze więc - rzekł Dellius - weź zatem z kiesy, którą mi dano, dwie sztuki złota, najmij robotników i wybuduj chatę nad tym sklepieniem. Może przydadzą się jakie szczątki naszego dawnego domu.

Stosownie do rady Delliusa znaleziono kilka belek i desek nie uszkodzonych, złożono je, jak było można, uszczelniono gałęziami palmowymi, wewnątrz wystłano matami i tym sposobem urządzono nam dość wygodne schronienie. W naszym szczęśliwym klimacie nie potrzeba więcej - najlżejszy pozór dachu wystarcza pod tak czystym niebem, jak również najprostszy pokarm jest najzdrowszy. Słusznie więc można powiedzieć, że nie obawiamy się u nas takiej nędzy, jak wy w waszych krajach, których klimat nazywacie jednak umiarkowanym.

Podczas gdy zajmowano się sporządzeniem nam mieszkania, Dellius kazał zanieść swoją matę na ulicę, usiadł na niej i zaczął grać na fenickiej cytrze, następnie zaśpiewał pieśń, którą był niegdyś ułożył dla Kleopatry. Jego głos, aczkolwiek siedemdziesięcioletni, zgromadził jednak mnóstwo słuchaczy, którzy z przyjemnością mu się przysłuchiwali. Po skończonym śpiewie rzekł do otaczających:

- Obywatele Aleksandrii, dajcie jałmużnę biednemu Delliusowi, którego wasi ojcowie znali jako pierwszego muzyka Kleopatry i ulubieńca Antoniusza.

Po tych słowach mały Germanus obniósł dokoła glinianą miseczkę, w którą każdy wrzucił swój datek.

Dellius postanowił sobie raz tylko na tydzień śpiewać i żebrać. Tego dnia zwykle tłum się wokół niego zgromadzał i obdarzał hojną jałmużną. Winniśmy byli to wsparcie nie tylko głosowi Dolliusa, ale także jego rozmowie ze słuchaczami, wesołej, nauczającej i przeplatanej opowiadaniem różnych ciekawych wydarzeń. Tym sposobem pędziliśmy dość wygodne życie, wszelako mój ojciec, znękany tyłu nieszczęściami, wpadł w przewlekłą chorobę i w przeciągu roku rozstał się z tym światem.

Naówczas zostaliśmy na łasce Delliusa i musieliśmy żyć z tego, co nam przynosił jego głos, już i tak dość stary i słaby. Następnej zimy dokuczliwy kaszel i silna chrypka pozbawiły nas tego jedyne go ratunku. Na szczęście, odziedziczyłem mały spadek po dalekim krewnym, zmarłym w Pelusium. Suma wynosiła pięćset sztuk złota, a chociaż nie była to nawet trzecia część przypadającego na mnie dziedzictwa, atoli Dellius zapewnił mnie, że ubogi nie powinien się niczego spodziewać od sprawiedliwości i że najlepiej czyni, gdy poprzestaje na tym, co mu z łaski raczyła udzielić. Pokwitował więc w moim imieniu i tak dobrze umiał zarządzić pieniędzmi, że mieliśmy z czego żyć przez cały czas mojego dzieciństwa.

Dellius nie zaniedbywał mego wychowania i pamiętał o małym Germanie. Po kolei zostawaliśmy przy nim. Gdy służba przypadła na mego towarzysza, ja uczęszczałem do małej żydowskiej szkółki w sąsiedztwie, w dniach zaś, w których ja byłem przy Delliusie, Germanus chodził na nauki do pewnego kapłana Izdy, nazwiskiem Cheremon. Następnie powierzono mu noszenie pochodni przy misteriach tej bogini i pamiętam, że często z zajęciem przysłuchiwałem się jego opowiadaniom o tych uroczystościach.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz doszedł do tego miejsca swego opowiadania, przybyliśmy na miejsce noclegu i wędrowiec, korzystając ze sposobności, przepadł gdzieś w górach. Nad wieczorem zebraliśmy się wszyscy; Cygan zdawał się być wolny, Rebeka znowu więc zaczęła mu się przymilać, dopóki nie zaczął mówić w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Kawaler Toledo bez wątpienia licznymi grzechy musiał być obciążyć swojo sumienie, gdyż długo zatrzymywał spowiednika. Nareszcie powstał, cały zapłakany, i wyszedł z kościoła, dając oznaki najgłębszej skruchy. Przechodząc przez przysionek, spostrzegł mnie i skinął, abym szedł za nim.

Dzień zaledwie świtał i na ulicach nie było jeszcze nikogo. Kawaler wziął pierwsze muły, które spotkał do najęcia, i wyjechaliśmy z miasta. Uczyniłem mu uwagę, że jogo służący będą się niepokoiili, nie widząc go tak długo.

- Bynajmniej - odpowiedział. - Uprzedziłem ich, żaden nie będzie na mnie czekał.

- Senior kawalerze - rzekłem naówczas - pozwól. abym uczynił jeszcze jedną uwagę. Głos, słyszany wczoraj, powiedział ci to, co mogłeś sam łatwo znaleźć w pierwszym lepszym katechizmie. Wypowiadał się i zapewne nie odmówiono ci rozgrzeszenia. Teraz możesz zaprowadzić niejaki e zmiany w twoim postępowaniu, ale nie widzę znowu potrzeby obarczania się niewczesnymi zgryzotami.

- Ach, mój przyjacielu - odpowiedział kawaler - kto raz słyszał głos umarłych, ten zapewne niedługo pobędzie między żyjącymi.

Zrozumiałem wówczas, że mój opiekun myśli o rychłej śmierci, że nabił sobie tym głowę, postanowiłem więc nie opuszczać go ani na chwilę.

Dostaliśmy się na mało uczęszczaną drogę, która biegła wśród dzikiej okolicy i zawiodła nas do bramy klasztoru kamedułów. Kawaler zapłacił mulników i zadzwonił. Jakiś mnich pokazał się u furty, kawaler wymienił swoje nazwisko i prosił o pozwolenie przepędzenia kilku tygodni w tym schronieniu. Zaprowadzono nas do pustelni, położonej na końcu ogrodu, i oznajmiono za pomocą znaków, że dzwonek uprzedzi nas o godzinie wspólnego posiłku w refektarzu. W celi znaleźliśmy pobożne książki, którymi kawaler wyłącznie odtąd się zajmował. Co do mnie, zaznajomiłem się z pewnym kamedułą, który łowił ryby na wędkę, przyłączyłem się do niego i zatrudnienie to było jedyną moją rozrywką.

Pierwszego dnia nie uskarżałem się na milczenie, stanowiące jedną z głównych reguł zakonu kamedułów, ale trzeciego nie mogłem już wytrzymać. Kawaler tymczasem z każdym dniem stawał się coraz posępniejszy i bardziej milczący, nareszcie zupełnie zaprzestał mówić.

Już od tygodnia przebywaliśmy w klasztorze, gdy pewnego dnia przybył jeden z moich towarzyszy z przysionka Św. Rocha. Powiedział mi, że widział, jak wsiadaliśmy na najęte muły, i że spotkawszy później mulnika, dowiedział się o miejscu naszego pobytu; doniósł mi zarazem, że zmartwienie z powodu mojej nieobecności rozproszyło część naszej gromadki. On sam wszedł do służby pewnego kupca z Kadyksu, który leży chory w Madrycie i wskutek smutnego wypadku, mając połamane ręce i nogi, nie może obejść się bez chłopca do usług.

Odpowiedziałem mu, że nie mogę już dłużej znieść pobytu u kamedułów, i prosiłem, aby chociaż na kilka dni zastąpił mnie przy kawalerze.

- Chętnie bym to uczynił - rzekł - ale lękam się opuścić mego kupca; nadto wiesz, że przyjęto mnie pod przysionkiem Św. Rocha, niedotrzymanie więc słowa mogłoby zaszkodzić całemu towarzystwu.

- W takim razie ja zastąpię cię u kupca - odrzekłem, zresztą taką miałem władzę nad moimi towarzyszami, że malec nie śmiał dłużej mi się opierać.

Zaprowadziłem go do kawalera, któremu powiedziałem, że udaję się na kilka dni do Madrytu i że na ten czas zostawiam mu towarzysza, za którego rękę tak, jak za samego siebie. Kawaler nie odrzekł ani słowa, ale dał mi znakami do zrozumienia, że przystaje na zamianę.

Pobiegłem więc do Madrytu i udałem się natychmiast do gospody wskazanej mi przez mego towarzysza. Ale tam powiedziano mi, że kupiec kazał się przenieść do pewnego sławnego lekarza, mieszkającego przy ulicy Św. Rocha. Wynałazłem go z łatwością, powiedziałem, że przychodzę na miejsce mego towarzysza Chiquito, że nazywam się Avarito i że będę pełnił z równą wiernością też same obowiązki.

Dano mi przychylną odpowiedź, ale zarazem powiedziano, że powinienem natychmiast iść spać, gdyż przez kilka nocy będę musiał czuwać przy chorym. Położyłem się więc i wieczorem stawiłem do służby. Zaprowadzono mnie do chorego, którego znalazłem rozciągniętego na łóżku w nader przykrym położeniu;

nie mógł poruszać żadnym członkiem z wyjątkiem lewej ręki. Był to młody człowiek ujmującej postaci i właściwie nic mu nie dolegało poza tym, że potrzaskane kości nabawiały go nieznośnych bólów. Starłem się dać mu zapomnieć o jego cierpieniach, zabawiając go i rozweselając wszelkimi sposobami. To postępowanie tak dalece przypadło mu do smaku, że pewnego dnia zgodził się na opowiedzenie mi swoich przygód i zaczął w te słowa:

HISTORIA LOPEZA SUAREZ

Jestem jedynym synem Gaspara Suareza, najbogatszego kupca z Kadyksu. Ojciec mój, człowiek surowy i nieugięty, chciał, abym oddał się wyłącznie zatrudnieniom kupieckim i nie myślał nawet o rozrywkach, na jakie zwykle pozwalają sobie synowie bogatszych kupców z Kadyksu. Starając się we wszystkim zadowalać mego ojca, rzadko kiedy chodziłem do teatru, w niedzielę zaś nigdy nie należałem do tych rozrywek, jakimi zabawiają się towarzystwa wielkich miast handlowych.

Ponieważ jednak umysł potrzebuje wypoczynku, szukałem go zatem w czytaniu przyjemnych, ale niebezpiecznych ksiązek, które znane są pod nazwą romansów. Zasmakowałem w nich i powoli tkliwość owtadnęła moim umysłem, ale wychodząc rzadko na miasto i wcale prawie nie widując kobiet w domu, nic znajdowałem sposobności rozporządzenia moim sercem. Tymczasem mój ojciec miał niektóre sprawy do załatwienia na dworze, postanowił więc, abym zwiedził Madryt, i oznajmił mi swój zamiar. Z radością przyjąłem tę nowinę, uszczęśliwiony, że będę mógł swobodniej odetchnąć i choć na chwilę zapomnieć o kratach naszego kantoru i pyle naszych magazynów.

Gdy wszystko było już w pogotowiu do podróży, mój ojciec kazał mnie przywołać do swego gabinetu i odezwał się w te słowa:

- Mój synu, jedziesz do miasta, gdzie kupcy nie mają takiego znaczenia jak w Kadyksie, powinni więc zachowywać się poważnie i przyzwoicie, ażeby nie poniżali stanu, który ich zaszczyca, tym bardziej, iż stan ten dzielnie przyczynia się do pomyślności ojczyzny i prawdziwej siły monarchy.

Oto są trzy prawidła, według których będziesz postępował pod groźbą mego gniewu: Naprzód, zakazuję ci wdawać się w rozmowy ze szlachtą. Panowie myślą, że czynią nam zaszczyt, gdy raczą do nas kilka słów przemówić. Jest to błąd, w którym nie powinno się ich zostawiać, gdyż nasze dobre imię bynajmniej nie od tego zależy.

Po wtóre, rozkazuję ci, abyś nazywał się po prostu "Suarez", nie zaś "don Lopez Suarez" - tytuły żadnemu kupcowi nie dodają blasku; jego dobre imię winno opierać się na rozległości stosunków i przezorności w przedsięwzięciach.

Po trzecie, zakazuję ci raz na zawsze dobywać szpady. Zwyczaj ją upowszechnił, nie zabraniam ci więc nosić tej broni, powinieneś jednak pamiętać, że honor kupca polega na rzetelności w dotrzymywaniu zobowiązań, dlatego to nie chciałem, abyś brał lekcje niebezpiecznej sztuki fechtunku.

Jeżeli przekroczysz którekolwiek z tych trzech prawideł, narazisz się na mój gniew; w razie jednak wystąpienia przeciw czwartemu, wystawisz się już nie na gniew, ale na przekleństwo moje, mego ojca i mego dziada, który jest twoim pradziadem i zarazem pierwszym sprawcą naszych dóbr. Idzie tu o to, abyś nigdy nie wchodził w żadne związki z domem braci Moro, bankierów królewskich. Bracia Moro słusznie używają powszechnego szacunku i zapewne dziwisz się ostatnim moim słowom, ale przestaniesz się dziwić, skoro się dowiesz, jakie zarzuty dom nasz im stawia. Muszę zatem w kilku słowach objaśnić ci całą historię:

HISTORIA RODZINY SUAREZ

Pierwszym z naszej rodziny, który doszedł do majątku, był Iñigo Suarez. Spędziwszy młodość na przebywaniu różnych mórz, przystąpił do spółki dzierzawiącej kopalnie w Potosi i następnie założył dom handlowy w Kadyksie.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, Velasquez dobył tabliczek i zaczął coś na nich zapisywać. Widząc to naczelnik zwrócił się ku niemu i rzekł:

- Książę zapewne życzy sobie przedsięwziąć jakieś zajmujące obliczenie, lękam się więc, aby dalsze moje opowiadanie ci w tym nie przeszkodziło.

- Bynajmniej - odparł Velasquez - właśnie zajmuję się twoim opowiadaniem. Być może, że ów Iñigo Suarez spotka w Ameryce kogoś, kto mu opowie historię kogoś drugiego, który także będzie miał historię do opowiedzenia. Aby zatem dojść z tym do ładu, wymyśliłem rubryki podobne do schematu, który nam służy przy pewnego rodzaju postępkach, ażeby można było wrócić do początkowych wyrazów. Racz więc nie zważać na mnie i ciągnąć twoją rzecz dalej. Cygan tak dalej mówił:

- Iñigo Suarez, pragnąc założyć dom handlowy, szukał przyjaźni znakomitszych kupców hiszpańskich. Rodzina Moro używała wówczas znacznej wziętości, uwiadomił ją więc o zamiarze wejścia z nią w stałe stosunki. Otrzymał od niej przyzwolenie i aby rozpocząć interesa, zawarł kilka umów w Antwerpii i wystawił na nie weksel na Madryt. Ale jakież było jego oburzenie, gdy odesłano mu jego weksel zaprotestowany. Następną pocztą otrzymał wprawdzie list pełen usprawiedliwień; Rodryg Moro pisał mu, że awiz nadszedł z opóźnieniem, że on sam przebywał wówczas w San Ildefonso u ministra, a pierwszy jego buchalter zastosował się do obowiązującej w takich wypadkach reguły postępowania, że jednak nie ma zadośćuczynienia, jakiemu z najszczerzą chęcią by się nie poddał. Ale obraza już nastąpiła. Iñigo Suarez zerwał wszelkie stosunki z rodziną Moro i umierając polecił synowi, aby nigdy nie ważył się wdawać z nią w interesy.

Ojciec mój, Ruiz Suarez, długo był posłuszny rodzicielskim rozkazom, ale liczne bankructwa, które nieoczekiwanie zmniejszyły ilość domów handlowych, zmusiły go do wejścia w stosunki z rodziną Moro. Wkrótce gorzko tego pożałował. Mówiłem ci, że mieliśmy pewien udział w spółce dzierzawiącej kopalnie w Potosi i tym sposobem otrzymując znaczną liczbę sztab srebra - zwykle wypłacaliśmy nimi nasze rachunki. W tym celu posiadaliśmy skrzynie, każda na sto funtów srebra, czyli wartości dwóch tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu piastrow. Te skrzynie, z których kilka mogłeś jeszcze widzieć, okuto były żelazem i opatrzone ołowianymi plombami z cyfrą naszego domu. Każda skrzynia miała swój numer. Szły one do Indii, wracały do Europy, płynęły do Ameryki, a nikt ich nie otwierał i każdy z przyjemnością wypłatę nimi przyjmował; w samym nawet Madrycie doskonale je znano. Tymczasem jakiś kupiec, mając uskutecznić wypłatę domowi Moro, zaniósł cztery takie skrzynie do pierwszego buchaltera, który nie tylko że je otworzył, ale nadto kazał sprawdzić próbę srebra.

Gdy wieść o tak krzywdzącym postępowaniu doszła do Kadyksu, mój ojciec wpadł w niepohamowany gniew. Następną pocztą otrzymał wprawdzie list pełen usprawiedliwień: Antonio Moro, syn Rodryga, pisał mu, że dwór zawezwał go do Valladolid i że po powrocie dopiero dowiedział

się o nierozsądnym postępku swego buchaltera, który będąc cudzoziemcem, niedawno przybyłym, nie miał jeszcze czasu poznać zwyczajów hiszpańskich. Ale ojciec bynajmniej nie poprzestał na tych usprawiedliwieniach. Zerwał wszelkie stosunki z domem Moro i umierając zakazał mi wdawać się z nimi w jakiegokolwiek interesy.

Długo święcie słuchałem jego rozkazów i dobrze mi z tym było, nareszcie nieprzewidziane okoliczności znowu połączyły mnie z domem Moro. Zapomniałem lub raczej zaniechałem na chwilę rad mego ojca i zobaczysz, jak na tym wyszedłem.

Interesy z dworem powołały mnie do Madrytu, gdzie zapoznałem się z niejakim Livardezem, który dawniej utrzymywał dom handlowy, teraz zaś żył z procentu od znacznych sum, poumieszczanych po różnych miejscach. Człowiek ten miał w swoim charakterze coś dla mnie przyciągającego. Jużemy się z sobą dość ściśle zaprzyjaźnili, gdy dowiedziałem się, że Livardez jest wujem Sancha Moro, naówczas naczelnika rodziny. Powinienem był natychmiast zerwać z nim wszelkie związki, ale ja, przeciwnie, jeszcze ściślej się z nim połączyłem.

Pewnego dnia Livardez oznajmił mi, że wiedząc, z jaką biegłością prowadzę handel z Wyspami Filipińskimi, postanowił tytułem spółki komandytowej umieścić u mnie milion. Przełożyłem mu, że jako wuj Sancha jemu raczej powinien powierzyć swoje kapitały; ale odpowiedział mi na to, że nierad z krewnymi wchodzi w interesy pieniężne. Nareszcie przekonał mnie, co mu przyszło z tym większą łatwością, że w samej rzeczy tym sposobem nie zawiązywałem żadnych stosunków z domem Moro. Wróciwszy do Kadyksu, dodałem jeden okręt do dwóch moich, które corocznie do wysp wysyłałem, i przestałem o nich myśleć. Następnego roku biedny Livardez umarł i Sancho Moro napisał mi, że znalazłszy w papierach dowód, jako wuj jego umieścił u mnie milion, prosi o zwrot tego kapitału. Być może należało zawiadomić go o naszym układzie i o spółce komandytowej ale nie chcąc mieć żadnej styczności z tym przeklętym domem, odesłałem milion bez żadnych wyjaśnień.

Po dwóch latach okręty moje wróciły i potroiły kapitał włożony w ładunek. Winienem więc być zapłacić dwa miliony nieboszczykowi Livardezowi, pomimo woli zatem musiałem napisać do braci Moro, że mam dwa miliony na ich rozkazy. Odpowiedzieli mi na to, że przed dwoma laty kapitał został wciągnięty do ksiąg i że wcale nie chcą słyszeć o tych pieniądzach.

Pojmujesz, mój synu, jak silnie uczułem tę okrutną zniewagę, wyraźnie bowiem chcieli mi podarować dwa miliony. Radziłem się kilku negocjantów z Kadyksu, którzy, jakby na złość, przyznali słuszność moim przeciwnikom, dowodząc, że ponieważ dom Moro przed dwoma laty pokwitował mnie z kapitału, nie ma zatem żadnego prawa do zyskanego dziś procentu. Gotów byłem wykazać dowodnie, że kapitał Livardeza rzeczywiście znajdował się na okrętach i że gdy-by te były zatone, miałbym prawo żądać zwrotu oddanego miliona; ale widziałem, że samo nazwisko Moro walczy przeciwko mnie i że gdybym się poddał pod polubowny sąd negocjantów, wyrok ich nie byłby dla mnie przychylny.

Udałem się do akwokata, który powiedział mi, że ponieważ bracia Moro zażądali zwrotu miliona bez pozwolenia ich zmarłego wuja, ja zaś użyłem go wedle żądania tego wuja, rzeczony zatem kapitał istotnie znajduje się dotąd u mnie, milion zaś, przed dwoma laty wciągnięty do ksiąg domu Moro, jest innym milionem, nie mającym z tym pierwszym żadnego związku. Adwokat poradził mi, abym zapozwał braci Moro przed trybunał sewilski. Poszedłem za jego radą i wytoczyłem im proces, który

ciągnął się przez sześć lat i kosztował mnie sto tysięcy piastrów. Pomimo to przegrałem we wszystkich instancjach i dwa miliony u mnie pozostały.

Z początku chciałem obrócić je na jaki zakład dobroczynny, ale obawiałem się, aby zasługa nie spadła w pewnej części na przeklętych braci Moro. Dotychczas nie wiem jeszcze, co pocznę z tymi pieniędzmi, każdego jednak roku, sumując bilans, umieszczam po stronie kredytu o dwa miliony mniej. Widzisz zatem mój synu, że mam wystarczające powody, by zakazać ci wszelkiej styczności z domem braci Moro.

Gdy Cygan kończył te słowa, przystano po niego i każdy z nas odszedł w swoją stronę.

Dzień trzydziesty trzeci

Ruszyliśmy w pochód i wkrótce spostrzeżliśmy Żyda, który złączył się z nami i tak dalej opowiadał swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Wzrastaliśmy więc nie pod oczyma zacnego Delliusa, który ich nie miał, ale pod opieką jego roztropności i przewodnictwem jego mądrych rad. Odtąd osiemnaście wieków upłynęło, a wiek mój dziecinny jest jedynym, o którym z przyjemnością wspominam.

Kochałem Delliusa jak własnego ojca i szczerze przywiązałem się do mego towarzysza Germana. Często jednakże z tym ostatnim wiodłem żwawe spory, i to zawsze w przedmiocie religii. Przejęty surowymi zasadami synagogi, ciągle mu powtarzałem:

- Twoje bałwany mają oczy, ale nie widzą, mają uszy, ale nie słyszą, złotnik je ułał i myszy się w nich gnieźdzą.

Germanus odpowiadał mi, że nie uważa wcale bałwanów za bogów i że nie mam żadnego pojęcia o religii Egipcjan.

Słowa te, często powtarzane, wzbudziły we mnie ciekawość: prosiłem Germana, aby namówił kapłana Cheremona do udzielenia mi kilku nauk jego religii, co musiało nastąpić pod tajemnicą, gdyż w razie gdyby synagoga była o tym posłyszana, niezawodnie zostałbym wyklęty. Cheremon, który bardzo kochał Germana, chętnie przystał na moją prośbę i następnej nocy udałem się do gaju sąsiadującego ze świątynią Izdy. Germanus przedstawił mnie Cheremonowi, który posadziwszy mnie obok siebie, złożył ręce, na chwilę pogrążył się w myślach i w narzeczu dolno-egipskim, które doskonale rozumiałem, zaczął odmawiać następującą modlitwę:

MODLITWA EGIPSKA

Wielki Boże, ojciec wszystkich,
Święty Boże, który objawiasz się twoim,
Jesteś świętym, który wszystko stworzył słowem,
Jesteś świętym, którego natura jest obrazem,
Jesteś świętym, którego nie natura stworzyła,
Jesteś świętym, potężniejszym od wszelkiej potęgi,
Jesteś świętym, wyższym od wszelkiej wyniosłości,
Jesteś świętym, lepszym od wszelkiej pochwały!
Przyjm dziękczynną ofiarę mego serca i stów moich.
Jestem niewysłowionym, a milczenie jest Twoim głosem,
Wytępiłeś błędy przeciwne prawdziwej świadomości.

Utwierdź mnie, daj mi siłę i pozwól przystąpić do Twojej laski tym, którzy pogrążeni są w nieświadomości, jak również tym, którzy poznali Cię i są przez to moimi braćmi a Twoimi dziećmi. Wierzę w Ciebie i głośno to wyznaję,

Wznoszę się do życia i do światła.

Pragnę uczestniczyć w Twojej świętości.

Ty bowiem zapaliłeś we mnie tę żądzę.

Gdy Cheremon odmówił tę modlitwę, obrócił się do mnie i rzekł:

- Widzisz, moje dziecko, że my, równie jak wy, uznajemy jedynego Boga, który słowem swoim stworzył świat. Modlitwa, którą słyszałeś, wyciągnięta jest z Pojmandra, księgi, którą przypisujemy trzykrotnie wielkiemu Thotowi, temu samemu, którego dzieła obnosimy w procesji podczas wszystkich naszych świąt. Posiadamy dwadzieścia sześć tysięcy zwojów przypisywanych temu filozofowi, który miał żyć przed dwoma tysiącami lat. Ponieważ jednak tylko naszym kapłanom wolno je przepisywać, być może zatem, że wiele dodatków wyszło spod ich pióra. Wreszcie, wszystkie pisma Thota pełne są ciemnej i dwuznacznej metafizyki, którą można różnymi sposobami tłumaczyć. Poprzestaną więc na wyłożeniu u ci powszechnie przyjętych dogmatów, które najwięcej zbliżają się do zasad Chaldejczyków.

Religie, równie jak wszystkie rzeczy tego świata, ulegają powolnym, lecz nieustannym oddziaływaniom, które bezustannie usiłują odmienić ich formy i istotę, tak że po kilku wiekach ta sama religia przedstawia wierze ludzkiej całkiem odmienne zasady, alegorie, których myśli ukryte niepodobna już odgadnąć, lub dogmaty, którym ogół wierzy zaledwie przez połowę. Nie mogę zatem

zaręczyć, że cię nauczę dawnej religii, której ceremonie możesz widzieć przedstawione na płaskorzeźbie Ozymandiasa w Tebach, wszelako powtórzę ci nauki moich mistrzów tak, jak wykładam je moim uczniom.

Przede wszystkim uprzedzam cię, abyś nigdy nie przywiązywał się ani do obrazu, ani do symbolu, lecz abyś wnikał w myśl w nich ukrytą. Tak na przykład ił przedstawia to wszystko, co jest materialne. Bózek siedzący na liściu lotosowym i płynący po ile - wyobraża myśl, która spoczywa na materii, wcale jej nie dotykając. Jest to symbol, jakiego użył wasz prawodawca, gdy mówił, że "Duch Boży unosił się nad wodami". Utrzymują, że Mojżesz był wychowany przez kapłanów z miasta On, czyli Heliopolis. Jakoż w istocie, wasze obrzędy bardzo zbliżają się do naszych. Równie jak wy, i my także mamy rodziny kapłańskie, proroków, zwyczaj obrzezania, wstręt do wieprzowiny i wiele tym podobnych punktów wspólnych.

Gdy Cheremon domawiał tych słów, jeden z niższych kapłanów Izidy uderzył godzinę oznaczającą północ. Mistrz oznajmił nam, że pobożne obowiązki wzywają go do świątyni, ale że możemy nazajutrz wieczorem powrócić.

- Wy sami - dodał Żyd Wieczny Tułacz - wkrótce przybędziecie na miejsce noclegu, pozwólcie więc, abym odłożył na jutro dalszą część mojej historii.

Po odejściu włóczęgi zacząłem zastanawiać się nad jego słowami i zdało mi się, że odkryłem w nich wyraźną chęć osłabienia w nas zasad naszej religii, a tym samym popierania zamiarów tych, którzy pragnęli, abym moją przemienił. Wszelako dobrze wiedziałem, co honor nakazuje mi w tym względzie, i byłem mocno przekonany o bezskuteczności wszelkich tego rodzaju usiłowań.

Tymczasem przybyliśmy na miejsce noclegu i posiliwszy się jak zwykle, korzystaliśmy z wolnego czasu naczelnika i prosiliśmy go, aby dalej raczył opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Młody Suarez, opowiedziawszy mi historię swojej rodziny, zdawał się być zmożony snem, ponieważ zaś wiedziałem, jak bardzo spoczynek jest mu potrzebny do odzyskania zdrowia, prosiłem go więc, aby odłożył dalszy ciąg swych przygód na noc następną. W istocie, spał dość dobrze. Następnego nocy wydał mi się znacznie zdrowszym, atoli nie mógł jeszcze zasnąć, prosiłem go więc, aby ciągnął dalej opowiadanie, i biedny chory tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ

Powiedziałem ci, że mój ojciec zabronił mi przybierać tytułu "don", dobywać szpady i wdawać się ze szlachtą, nade wszystko zaś wchodzić w jakiegokolwiek stosunki z rodziną Moro. Mówiłem ci także o niepowsięgnionym popędzie, jaki miałem do czytania romansów. Wbiłem więc sobie dobrze w pamięć przestrogi mego ojca, po czym obszedłem wszystkich księgarzy Kadyksu, aby zaopatrzyć się w ten rodzaj dzieł, z których, zwłaszcza w podróży, obiecywałem sobie niewypowiedzianą przyjemność.

Nareszcie wsiadłem na pinkę i muszę wyznać, że z radością opuściłem naszą suchą, spaloną i zakurzoną wyspę. Zachwylił mnie widok kwiecistych brzegów Andaluzji. Potem płynęliśmy Gwadalkiwirem i wylądowałem w Sewilli, gdzie zamierzałem nająć muły do dalszej podróży. Jeden z mulników zamiast zwykłego powozu zaofiarował mi nader wygodną karetę, przyjąłem jego usługi i napelniwszy pojazd romansami, zakupionymi w Kadyksie, odjechałem do Madrytu.

Czarujące okolice między Sewillą a Kordową, malownicze położenie gór Sierra Morena, pasterskie obyczaje mieszkańców Manszy, wszystko, co widziałem, dodawało wdzięku ulubionym moim książkom. Roztkliwiałem moją duszę: karmiłem ją czułymi i tęsknymi uczuciami tak dalece, że przybywszy do Madrytu kochałem się już szalenie, chociaż nie znałem jeszcze przedmiotu moich uwielbień.

Stanąwszy w stolicy, zatrzymałem się Pod Krzyżem Maltańskim. Południe wybiło i niebawem zastawiono mi stół do obiadu, następnie zacząłem rozkładać moje rzeczy, jak to zwykli czynić podróżni po wprowadzeniu się do nowego mieszkania. Nagle usłyszałem jakiś szmer przy zamku od drzwi. Podbiegłem i otworzyłem dosyć gwałtownie, ale opór, jakiego doznałem, przekonał mnie, że musiałem kogoś potrącić. W istocie, ujrzałem za drzwiami człowieka dość porządnie ubranego, który nos sobie z krwi ocierał.

- Senor don Lopez - rzekł mi nieznajomy - dowiedziałem się na dole w gospodzie o przybyciu zacnego syna znakomitego Gaspara Suareza i przychodzi złożyć mu moje uszanowanie.

- Mój panie - odpowiedziałem - jeżeli po prostu miałeś wejść do mnie, byłbym otwierając nabił ci guza na czole, ale to odrapanie nosa dowodzi, że zapewne musiałeś go trzymać przy dziurce od klucza.

- Wyśmienicie - zawołał nieznajomy - podziwiam twoją przenikliwość! Nie mogę utaić, że pragnę zaznajomić się z tobą, chciałem zawczasu powziąć niejaki wyobrażenie o twojej powierzchowności i byłem zachwycony na widok szlachetnej postawy, z jaką chodziłeś po pokoju i układałeś twoje rzeczy.

Po tych słowach nieznajomy, wcale nie proszony, wszedł do mnie i tak dalej mówił:

- Senor don Lopez, widzisz we mnie znakomitego potomka rodziny Busqueros ze Starej Kastylji, której nie należy mieszać z innymi Busquerami, rodom z Leonu. Co do mnie, znany jestem pod nazwiskiem don Roque Busquera, ale odtąd pragnę szczylić się jedynie moim poświęceniem dla Waszej Wielmożności.

Przypomniałem sobie wówczas przestrogi mego ojca i rzekłem:

- Senor don Roque, muszę ci wyznać, że Gaspar Suarez, którego jestem synem, żegnając się ze mną zabronił mi raz na zawsze przybierania tytułu "don" oraz rozkazał, abym nigdy nie wdawał się z żadnym szlachcicem. Stąd pojmujesz, senor, że niepodobna mi będzie korzystać z twej łaskawej dla mnie uprzejmości.

Na te słowa Busqueros przybrał poważną postać i rzekł:

- Wyrazy Waszej Wielmożności stawiają mnie w nader przykrym położeniu, albowiem mój ojciec, umierając, jak najuroczyściej rozkazał mi, abym zawsze dawał tytuł "don" znakomitym kupcom i o ile możliwości szukał ich towarzystwa. Widzisz zatem, senor don Lopez, że tylko kosztem mego

posłuszeństwa dla mojego ojca możesz słuchać rozkazów twego ojca i im bardziej będziesz mnie unikał, tym bardziej ja. jako dobry syn, muszę usiłować narzucać ci się z moją osobą.

Busqueros zmieszał mnie tą uwagą, tym bardziej, że mówił poważnie, a zakaz dobywania szpady nie pozwalał mi wszcząć kłótni.

Tymczasem don Roque znalazł na moim stole ósma-ki, czyli monety wartości ośmiu dukatów holenderskich każda.

- Senor don Lopez - rzekł - właśnie zbieram podobne sztuki złota i pomimo starań dotąd nic mam monet z tą datą. Pojmujesz, co to jest namiętność do zbiorów, i mniemam, że sprawię ci przyjemność podając ci sposobność zobowiązania mnie, czyli raczej przypadek szczególniejszy ci ją podaje, gdyż posiadam zbiór tych monet, poczynawszy od pierwszych lat. w których się pojawiły; brakowało mi tylko okazów właśnie z tych dwóch lat, które w tej chwili na nich spostrzegam.

Ofiarowałem przybyszowi żądane sztuki złota z tym większym pośpiechem, że myślałem, iż potem natychmiast odejdzie. Ale don Roque wcale tego nie uczynił i wracając do dawnej powagi, rzekł:

- Senor don Lopez, zdaje mi się, że nie wypada, abyśmy jedli z jednego talerza, lub co chwila podawali sobie kolejno łyżkę albo widelec. Każę przynieść drugie nakrycie.

To mówiąc wydał stosowne polecenia, zasiedliśmy do stołu i wyznam, że rozmowa z moim nieproszonym gościem była dość zabawna, tak że gdyby nic myśl, iż łamię ojcowskie zakazy, z przyjemnością byłbym go widywał przy moim stole.

Busqueros wyszedł od razu po obiedzie, ja zaś, przeczekawszy upał, kazałem się zaprowadzić na Prado. Z zadziwieniem spoglądałem na piękne położenie tej alei, ale zarazem z najwyższą niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której znajdę się w Buen Retiro. Odludny ten park sławny jest w naszych romansach i sam nie wiem, jakie przecucie zapowiadało mi, że wejść tam niezawodnie w jakieś czułe stosunki.

Widok Buen Retiro oczarował mnie więcej, niż Ci to mogę wypowiedzieć. Byłbym długo tak stał pogrążony w marzeniach, gdyby jakiś świecący przedmiot, leżący w trawie o dwa kroki ode mnie, nie był zwrócił mojej uwagi. Podniosłem go i spostrzegłem portret przywiązany do kawałka złotego łańcuszka. Portret w kształcie sylwetki wyobrażał bardzo przystojnego młodego mężczyznę, na odwrocie zaś dostrzegłem plecionkę z włosów, przedzieloną złotym paskiem, na którym wyczytałem napis: "Wiecznie twój, moja kochana Inezo". Schowałam klejnot do kieszeni przechadzałem się dalej.

Wróciwszy następnie na to samo miejsce, zastałem dwie kobiety, z których jedna, młoda i nadzwyczaj piękna, z niepokojem szukała czegoś na ziemi. Łatwo odgadłem, że chodzi jej o zgubiony portret. Zbliżyłem się więc do niej z uszanowaniem i rzekłem:

- Pani, zdaje mi się, że znalazłem przedmiot, którego szukasz, wszelako roztropność nie pozwala mi oddać go, zanim kilku słowami nie raczysz dowieść swoich praw własności do znalezionej przeze mnie rzeczy.

- Powiem ci zatem, senor - odpowiedziała piękna nieznajoma - że szukam portretu z kawałkiem złotego łańcuszka, którego resztę trzymam w ręku.

- Ale - dodałem - czy nie było jakiegoś napisu na portrecie?

- Był - odrzekła nieznajoma nieco się zapłoniwszy - wyczytałeś tam senor, że nazywam się Ineza i że oryginał tego portretu jest "wiecznie mój". Teraz spodziewam się, że zechcesz mi go oddać.

- Nie mówisz mi pani - rzekłem - jakim sposobem szczęśliwy ten śmiertelnik wiecznie do ciebie należy.

- Uważałam za mój obowiązek - odparła piękna nieznajoma - zadośćuczynić pańskiej przezorności, nie zaś zaspokajać jego ciekawość, i nie pojmuję, jakim prawem zadajesz mi senor podobne zapytania.

- Moja ciekawość - odpowiedziałem - może bardziej zasługiwałaby na nazwę zainteresowania. Co zaś do prawa, na mocy którego śmiem pani zadawać podobne zapytania, pozwolę sobie uczynić uwagę, że oddający zgubiony przedmiot zwykle otrzymują przyzwoitą nagrodę. Ja błagam panią o tę tylko, która może uczynić mnie najnieszczęśliwszym z ludzi.

Młoda nieznajoma zachmurzyła czoło i rzekła:

- Posuwasz się senor dość daleko, jak na pierwsze spotkanie, nie jest to bynajmniej sposób otrzymania drugiego; wszelako mogę zaspokoić ciekawość twoją w tym względzie. Portret ten...

W tej chwili Busqueros wyszedł niespodzianie z bocznej ścieżki i zbliżywszy się do nas poufale, rzekł:

- Winszuję pani, że zaznaomiłaś się z synem najbogatszego negocjanta z Kadyksu.

Na te słowa rysy twarzy mojej nieznajomej przybrały wyraz najwyższego oburzenia.

- Sądzę, że nie dałam powodu - rzekła - aby nieznajomi śmieli do mnie przemawiać. Następnie, zwracając się do mnie dodała:

- Racz senor oddać mi portret, który znalazłeś.

To powiedziawszy wsiadła do karety i zniknęła nam z oczu.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, przysłano po niego, prosił nas więc o pozwolenie odłożenia na dzień następny dalszego ciągu swojej historii. Gdy odszedł, piękna Żydówka, którą nazywaliśmy teraz po prostu Laurą, zwracając się do Velasqueza, rzekła:

- Cóż myślisz, mości książę, o egzaltowanych uczuciach młodego Suareza? Czy kiedykolwiek w życiu zastanawiałeś się choć przez chwilę nad tym, co zazwyczaj nazywają miłością?

- System mój - odpowiedział Velasquez - obejmuje całą naturę, a tym samym musi zawierać wszelkie uczucia, jakie umieściła ona w sercu ludzkim. Zgłębiłem je wszystkie i oznaczyłem, szczególnie zaś udało mi się to co do miłości, gdyż odkryłem, że można z wszelką łatwością wyrażać ją za pomocą algebry, a jak wiesz pani, kwestie algebraiczne ulegają rozwiązaniom, które nic nie pozostawiają do życzenia. W istocie, przypuśćmy, że miłość jest wartością dodatnią oznaczoną znakiem więcej, nienawiść, jako przeciwległa miłości, oznaczona będzie znakiem mniej, obojętność zaś, jako uczucie żadne, będzie równała się zeru.

Jeżeli następnie pomnożę miłość przez miłość, czyli powiem, że kocham miłość albo lubię kochać miłość, wypadną mi zawsze wartości dodatnie - więcej bowiem przez więcej daje zawsze więcej. Z drugiej strony, jeżeli nienawidzę nienawiść, wchodzę tym samym w uczucia miłości, czyli w ilości dodatnie, albowiem mniej przez mniej daje więcej.

Natomiast jeżeli nienawidzę nienawiść nienawiści, wkraczam w uczucia przeciwne miłości, to jest w wartości ujemne, sześcian bowiem z mniej daje mniej.

Co do iloczynów miłości przez nienawiść lub nienawiści przez miłość, to są one zawsze ujemne, gdyż więcej przez mniej lub mniej przez więcej daje zawsze mniej. W istocie bowiem, czy to nienawidzę miłość lub też kocham nienawiść - ciągle pozostaję w uczuciach przeciwnych miłości. Czy masz, piękna Lauro, co do zarzucenia temu dowodzeniu?

- Bynajmniej - odpowiedziała Żydówka - przeciwnie, jestem przekonana, że nie ma kobiety, która by nie uległa podobnemu rozumowaniu.

- Wcale by mnie to nie cieszyło - rzekł Velasquez - gdyż ulegając tak śpiesznie, straciłaby dalszy ciąg, czyli wnioski wynikające z moich zasad. Tymczasem postępuję dalej w moim dowodzeniu. Ponieważ miłość i nienawiść mają się do siebie jak wartości dodatnie do ujemnych, wypada zatem, że zamiast nienawiści mogą napisać mniej miłość, czego wszelako nie należy uważać za jedno z obojętnością, która w istocie równa się zeru.

Teraz wpatrz się dobrze w postępowanie dwojga kochanków. Kochają się, nienawidzą, później przeklinają nienawiść, którą mieli do siebie, dalej kochają się więcej niż kiedykolwiek, dopóki ujemny czynnik nie zamieni wszystkich ich uczuć na nienawiść. Niepodobna nie dostrzec, że iloczyny byłyby tu na przemian dodatnie i ujemne. Na koniec powiadają ci, że kochanek zamordował swoją kochankę, i sama nie wiesz, co o tym myśleć, czy to jest wynik miłości, czyli też nienawiści. Tak samo w algebrze: przychodzisz do liczb urojonych, ilekroć w pierwiastkach z mniej X wykładniki są parzyste.

Dowodzenie to do tego stopnia jest prawdziwe, że często widzisz, jak miłość zaczyna się przez pewien rodzaj wzajemnej nieśmiałości, przypominającej niechęć, małą wartość ujemną, którą możemy wyrazić przez mniej B. Niechęć ta sprowadzi waśń, którą oznaczymy przez mniej C. Iloczyn dwóch tych ilości będzie więcej BC, czyli wartością dodatnią, jednym słowem - uczuciem miłości.

Tu chytra Żydówka przerwała Velasquezowi, mówiąc:

- Mości książe, jeżeli dobrze cię zrozumiałam, najlepiej byłoby wyrazić miłość za pomocą rozwinięcia potęg (X - A), przypuszczając A daleko mniejszym od X.

- Zachwycająca Lauro - rzekł Velasquez - odgadujesz moje myśli. Tak jest, czarowna kobieto, formuła dwumianu, wynaleziona przez kawalera don Newtona, powinna nam przewodniczyć w badaniach nad sercem ludzkim, jak w ogóle we wszystkich naszych obliczeniach.

Po tej rozmowie rozłączyliśmy się; ale łatwo było spostrzec, że piękna Żydówka wywarła silne wrażenie na umyśle i sercu Velasqueza. Ponieważ równie jak i ja pochodził on z Gomelezów, nie wątpiłem, że chciano użyć wpływu tej czarującej kobiety dla namówienia go do przejścia na wiarę Proroka. Dalszy ciąg pokaże, że nie myliłem się w moich wnioskach.

Dzień trzydziesty czwarty

O wschodzie słońca dosiedliśmy koni. Żyd Wieczny Tułacz nie sądząc, abyśmy mogli tak wcześnie się wybrać, znacznie się oddalił. Długo czekaliśmy na niego, wreszcie pokazał się, zajął zwykłe miejsce obok mnie i tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Symbole nigdy nam nie przeszkadzały wierzyć w jednego Boga, wyższego nad wszystkich innych. Pisma Thota nic pozostawiają w tym względzie żadnej wątpliwości. Czytamy tam, co następuje:

Jeden ten Bóg trwa niewzruszenie w odosobnieniu swojej jedności. Nic innego, nawet żadne oderwane pojecie nie może się z nim potoczyć.

Jest swoim własnym ojcem, swoim własnym synem i jedynym ojcem Boga. Jest samym dobrem, początkiem wszystkiego i źródłem pojęć najpierwszych istnień.

Ten Bóg jedyny tłumaczy się sam z siebie, ponieważ wystarcza samemu sobie. Jest on przasadą. Bogiem bogów, monadą jedności, dawniejszą od istnienia i tirorzącą zasadę istnienia. Od niego bowiem pochodzi istnienie bytu i sam byt, i dlatego też nazywany jest Ojcem Bytu.

- Widzicie zatem, moi przyjaciele - mówił dalej Cheremon - że niepodobna mieć o bóstwie wznioślejszych pojęć od naszych, ale sądiliśmy, że wolno nam ubóstwić pewną część przymiotów Boga i stosunków jego z nami, czyniąc z nich odrębne bóstwa, a raczej wyobrażenia odrębnych boskich przymiotów.

Tak na przykład rozum boży nazywamy Emeph, gdy zaś ten słowami się wyraża - Thot, czyli przekonaniem, lub też Ermeth, to jest wykładem.

Skoro rozum boży, kryjący w sobie prawdę, schodzi na ziemię i działa pod postacią płodności, wówczas nazywa się Amun. Gdy rozum ten ujawnia się pod postacią sztuki, wówczas nazywamy go Ptaħ, czyli Wulkanem, gdy zaś objawia się w postaci dobra, zwiemy go Ozyrysem.

Uważamy Boga za jedność, wszelako nieskończona ilość dobroczynnych stosunków, jakie raczy mieć z nami, sprawia, że pozwalamy sobie, bez ubliżenia Jego czci, uważać Go za istotę zbiorową, gdyż w istocie jest On zbiorowy i nieskończenie rozmaity w przymiotach, jakie w nim spostrzegamy.

Co się tyczy duchów, wierzymy, że każdy z nas ma ich dwóch przy sobie, to jest złego i dobrego. Dusze bohaterów najbliższe są natury duchów, a zwłaszcza te, które przewodniczą w szeregu dusz.

Bogowie, co do swej istoty, dają się przyrównać do eteru, bohaterowie i duchy - do powietrza, zwyczajne zaś dusze mają w sobie już coś ziemskiego. Opatrzność boską przyrównujemy do światła, które zapełnia wszystkie przestrzenie między światłami. Dawne podania prawią nam także o mocach anielskich, czyli posłanniczych, których obowiązkiem jest oznajmiać rozkazy Boga. i o innych mocach, jeszcze wyższego stopnia, które Żydzi hellenizujący nazwali archontami lub archaniołami.

Ci spomiędzy nas, którzy poświęcili się kapłaństwu, są przekonani, że posiadają władzę sprowadzania obecności bogów, duchów, aniołów, bohaterów i dusz. Wszelako nie mogą wykonywać

tych teurgii bez naruszania ogólnego porządku wszechświata. Gdy bogowie schodzą na ziemię, słońce i księżyc skrywają się na jakiś czas przed wzrokiem śmiertelnych.

Archaniołowie otoczeni są jaśniejszym światłem niż aniołowie. Dusze bohaterów mają mniej blasku, aniżeli aniołów, jednakże więcej niż dusze zwykłych śmiertelników, które okrywa cień.

Książęta zwierzyńca niebieskiego ukazują się pod nader wspaniałymi postaciami. Nadto rozróżniamy mnóstwo szczególnych okoliczności towarzyszących ukazywaniu się rozmaitych istot i służących do odróżnienia jednych od drugich. Tak na przykład złe duchy można poznać po złośliwych wpływach, jakie w ślad za nimi ciągną.

Co do bałwanów, wierzymy, że jeżeli wyrabiamy je przy pewnym określonym położeniu ciał niebieskich lub też z pewnymi ceremoniami teurgicznymi, naówczas możemy ściągnąć na nie niejakię część istoty boskiej. Jednakowoż sztuka ta jest tak zwodnicza i niegodna prawdziwej świadomości Boga, że zwykle zostawiamy ją kapłanom daleko niższego stopnia aniżeli ten, do którego mam zaszczyt należeć.

Skoro który z naszych kapłanów wywołuje bogów, pod pewnym względem uczestniczy w ich istocie. Wszelako nie przestaje być człowiekiem, ale tylko natura boska przenika go do pewnego stopnia i łączy się on w pewien sposób z Bogiem. Znalazłszy się w takim stanie, z łatwością może rozkazywać duchom nieczystym, czyli ziemskim, i wypędzać je z ciał, które opętały. Czasami nasi kapłani, łącząc kamienie, zioła i materie zwierzęce, tworzą mieszaninę, która może stać się przybytkiem bóstwa; atoli prawdziwym węzłem łączącym kapłana z bóstwem jest modlitwa.

Wszystkie te obrzędy i dogmaty, jakie wam wyłożyłem, przypisujemy nie Thotowi, czyli trzeciemu Merkuremu, który żył za Ozymandiasa, ale prorokowi Bitysowi, który żył na dwa tysiące lat przedtem i wytłumaczył zasady pierwszego Merkurego. Atoli, jak to wam już mówiłem, czas wiele dodał, przemienił, tak że nie sądzę, aby dawna religia miała się dostać do nas w swym pierwotnym składzie. Na koniec, jeżeli mam już wam wszystko powiedzieć, nasi kapłani czasami odważają się grozić własnym bogom; wtedy podczas składania ofiar tak się wyrażają: "Jeżeli nie spełnisz mego żądania, odsłonię najskrytsze tajniki Izydy, zdradzę tajemnice otchłani, zdruzgocę skrzynię Ozyrysa i rozsypię jego członki".

Wyznam wam, że wcale nie pochwalam tych formuł, od których nawet Chaldejczycy zupełnie się wstrzymują.

Gdy Cheremon doszedł był do tego miejsca swojej nauki, jeden z niższych kapłanów uderzył w dzwon na północ; ponieważ jednak i wy także zbliżacie się do miejsca waszego noclegu, pozwólcie zatem, abym odłożył na jutro dalszy ciąg mego opowiadania.

Żyd Wieczny Tułacz oddalił się, Velasquez zaś zapewnił nas, że niczego nie dowiedział się nowego i wszystko to można znaleźć w księdze Jamblicha.

- Jest to dzieło - dodał - które czytałem z wielką uwagą i nigdy nie mogłem pojąć, jakim sposobem krytycy, którzy uważali za wiarogodny list Porfiriusza do Anebona Egipcjanina, uznali odpowiedź Egipcjanina Abammona za wymysł Porfiriusza. Sądzę, że Porfiriusz po prostu dołączył do swego dzieła odpowiedź Abammona dodając niektóre własne uwagi nad filozofami greckimi i Chaldejczykami.

- Ktokolwiek to był, Anebon czy Abammon - rzekł Uzeda - mogę zaręczyć, że Żyd mówił wam szczerą prawdę.

Przybyliśmy na miejsce noclegu i spożyliśmy lekki posiłek. Cygan, mając czas wolny, tak dalej jął rozpowiadać swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Młody Suarez, opowiedziawszy mi, jak skończyło się pierwsze jego spotkanie w Buen Retiro, nie mógł oprzeć się snowi, którego w istocie gwałtownie do odzyskania sił potrzebował. Wkrótce zasnął głęboko, następnej jednak nocy w te słowa dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ

Opuściłem Buen Retiro z sercem przepelnionym miłością dla pięknej nieznanym i oburzeniem przeciw Busquerowi. Nazajutrz, a była to właśnie niedziela, sądziłem, że spotkam w którymś kościele przedmiot moich marzeń. Przebiegłem trzy nadaremnie, wreszcie znalazłem ją w czwartym. Poznała mnie, po mszy wyszła z kościoła i przechodząc zbliżyła się ku mnie, mówiąc półgłosem:

- To był portret mego brata.

Już znikła, a ja stałem jeszcze jak przykuty na moim miejscu, oczarowany tymi kilkoma słowami, które usłyszałem, byłem bowiem przekonany, że obojętność nie byłaby jej podała tej uspokajającej mnie myśli.

Wróciwszy do gospody, kazałem przynieść sobie obiad, w nadziei, że tym razem uniknę mego nieproszonego gościa, ale wraz z pierwszym daniem Busqu-eros wszedł, krzycząc na całe gardło:

- Senor don Lopez, odmówiłem dwadzieścia zaproszeń i przychodzę do ciebie. Oświadczyłem ci już, że jestem zupełnie oddany na twoje usługi!

Wzięła mnie chęć powiedzieć coś nieprzyjemnego natrętowi, ale przypomniałem sobie, że ojciec zabronił mi dobywać szpady, musiałem więc mimowolnie unikać kłótni.

Busqueros kazał sobie przynieść nakrycie, zasiadł i zwracając się do mnie z uradowaną twarzą, rzekł:

- Przyszaj, senor don Lopez, że oddałem ci wczoraj wielką przysługę: niby niechcący uprzedziłem młodą osobę, że jesteś synem jednego z najbogatszych negocjantów Kadyksu. Wprawdzie udała ona gniew niepoohamowany, ale to tylko dlatego, aby cię przekonać, że bogactwa nie sprawiają na jej sercu żadnego wrażenia. Nie wierz temu, senor don Lopez. Jesteś młody, przystojny, rozumny, ale pamiętaj, że w żadnej miłostce złoto ci nie zaszkodzi. Ze mną na przykład rzecz ma się inaczej. Gdy

mnie kochano, to tylko dla mnie samego i nigdy nie wzbudziłem namiętności, w której by zwracano uwagę na mój majątek.

Busqueros długo jeszcze wygadywał podobne niedorzeczności, wreszcie, zjadłszy obiad, odszedł. Nad wieczorem udałem się do Buen Retiro, wszelako z tajemnym przecuciom, że tym razem nie spotkam pięknej Inezy. W istocie, nie przyszła, ale natomiast zastałem tam Busquera, który przez cały wieczór już mnie nie odstąpił.

Nazajutrz znowu przyszedł na obiad i wychodząc oświadczył mi, że wieczorem zejdzie się ze mną w Buen Retiro. Odpowiedziałem, że mnie tam nic zastanie, będąc zaś przekonany, że nie zaufa memu słowu, nad wieczorem skryłem się do pewnego sklepu przy drodze do Buen Retiro i po chwili spostrzegłem Busquera, który śpieszył do parku. Nie znalazłszy mnie tam, wrócił zafrasowany i poszedł szukać mnie w Prado. Wtedy czym prędzej udałem się do Buen Retiro i przeszedłszy się kilka razy po głównej alei, spostrzegłem moją piękną nieznajomą. Zbliżyłem się do niej z uszanowaniem, które, o ile mogłem zauważyć, dość jej się podobało; nie wiedziałem jednakże, czy mam jej podziękować za to, co mi powiedziała w kościele. Ona sama snadź chciała wywieść mnie z kłopotu, gdyż śmiejąc się rzekła:

- Utrzymujesz senor, że należy się przyzwoita nagroda temu, kto znalazł stracony przedmiot, i dlatego znalazłszy ten portret, chciałeś dowiedzieć się, jakie stosunki łączą mnie z oryginałem. Teraz znasz je już; nie pytaj zatem o nic więcej, chyba że znowu znajdziesz jaką rzecz do mnie należącą, gdyż wówczas bez wątpienia mógłbyś rościć prawo do nowych nagród. Wszelako nie wypada, aby zbyt często widziano nas przechadzających się razem. Żegnaj cię, ale nie zabraniam ci zbliżać się do mnie, ile razy będziesz miał mi co do powiedzenia.

To mówiąc nieznajoma wdzięcznie mi się skłoniła; odpowiedziałem jej głębokim ukłonem, po czym oddaliłem się do sąsiedniej, równoległej alei, spoglądając jednakże często na tę, którą tylko co opuściłem. Po skończonej przechadzce Ineza wsiadła do powozu, rzuciwszy mi pożegnalne spojrzenie, jak mi się wydawało, pełne nie tajonej przychylności.

Nazajutrz z rana, zajęty powstającym we mnie uczuciem i rozmyślając nad jego postępami, oszczędziłem, że zapewne wkrótce piękna Ineza pozwoli mi pisać do siebie. Ponieważ zaś nigdy w życiu nie pisałem miłosnych listów, zdało mi się, że powinienem wprawić się nieco w styl. Wziąłem więc pióro do ręki i napisałem list następującej treści:

Lopez Suarez do Inezy ***

Ręka moja, drżąca wraz z bojaźliwym uczuciem, obawia się kreślić te słowa. W istocie, cóż mogą one wyrazić. Jakież śmiertelnik zdoła pisać, idąc za głosem miłości? Gdzież pióro, które za nim nadaży?

Chciałbym w tym liście zebrać wszystkie moje myśli, ale cóż, kiedy uciekają przede mną. Błądzą po ścieżkach Buen Retiro, zatrzymują się na piasku, który ślady stóp twoich zachował, i nie mogą się stamtąd oderwać.

Czyliż w istocie ów ogród naszych królów jest tak piękny, jak mi się wydaje? Bez wątpienia - nie; urok jest w moich oczach, a ty. Pani, jesteś jedyną jego przyczyną. Czyż park ten byłby tak odludny, gdyby inni widzieli w nim te piękności, jakie ja na każdym kroku odkrywam?

Trawnik tam żywiej zielenieje, jaśmin tchnie bardziej balsamicznym zapachem, a drzewa, pod którymi przeszedłem, z większą siłą opierają się palącym promieniom słońca. A przecież tylko przeszedłem pod nimi, cóż się więc stanie z sercem, w którym raczysz zostać na zawsze?

Napisawszy ten list, odczytałem go i spostrzegłem w nim pełno niedorzeczności, dlatego też nie chciałem go ani oddać, ani odesłać. Tymczasem, niby dla przyjemnego złudzenia, zapieczętowałem go, zaadresowałem: "Do pięknej Inezy" i wrzuciłem do szuflady, po czym udałem się na przechadzkę.

Przebiegłem ulicę Madrytu i przechodząc obok gospody Pod Białym Lwem, pomyślałem, że dobrze uczynię, jeżeli zjem w niej obiad i tym sposobem uniknę przeklętego natręta. Jakoż kazałem sobie dać obiad i dopiero posiliwszy się wróciłem do mojej gospody.

Otworzyłem szufladę, gdzie leżał mój list miłosny, ale już go tam nie znalazłem. Pytałem moich służących, którzy powiedzieli mi, że wyjąwszy Busquera nikt więcej u mnie nie był. Nie wątpiłem, że on go zabrał, i byłem bardzo niespokojny, co z nim pocznie.

Nad wieczorem nie poszedłem prosto do Buen Retiro, ale skryłem się do tego samego sklepu, który mi już służył poprzednio. Wkrótce spostrzegłem karetę pięknej Inezy i Busquera biegnącego za nią z całych sił i pokazującego list, który trzymał w ręku. Łotr tak krzyczał i wywijał rękami, że zatrzymano kareta i mógł oddać list do własnych rąk adresatki.

Następnie karetę potoczyła się ku Buen Retiro, Busqueros zaś poszedł w przeciwną stronę.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak skończy się ta przygoda, i z wolna podążyłem ku ogrodowi. Zastałem tam już piękną Inezę siedzącą wraz ze swoją towarzyszką na ławce przypartej do gęstego szpaleru. Dała mi znak, abym zbliżył się, kazała usiąść i rzekła:

- Chciałam, senior, kilka słów z tobą pomówić. Naprzód proszę cię, abyś raczył mi powiedzieć, dlaczego napisałeś te wszystkie niedorzeczności, a następnie, dlaczego użyłeś do oddania mi ich człowieka, którego zuchwalstwo, jak wiesz, już raz mi się nie podobało?

- Nie mogę zaprzeczyć - odrzekłem - że ja ten list pisałem, wszelako nigdy nie miałem zamiaru wręczać go pani. Napisałem go jedynie dla własnej przyjemności i schowałem do szuflady, z której wykradł go ten niegodziwiec Busqueros, który od czasu mego przybycia do Madrytu jak zły duch ciągle mnie ściga.

Ineza zaczęła śmiać się i odczytała mój list z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Nazywasz się więc Lopez Suarez? Czy jesteś, senior, krewnym owego bogatego Suareza, negocjanta z Kadyksu?

Odpowiedziałem, że jestem jego jedynym synem. Ineza wszczęła rozmowę o rzeczach obojętnych i udała się ku swojej karcie. Zanim wsiadła do powozu, rzekła:

- Nie wypada, abym zatrzymywała przy sobie podobne niedorzeczności; oddaję ci je, z warunkiem jednak, abyś ich nie zgubił. Być może, że się jeszcze kiedy o nie zapytam.

Oddając mi list, Ineza uściśnęła mi lekko rękę. Dotychczas nigdy żadna kobieta nie uściśnęła mnie za rękę. Wprawdzie widziałem podobne przykłady w romansach, ale czytając nie mogłem sobie

dostatecznie wyobrazić rozkoszy, jaka z takiego uścisku wynika. Znalazłem zachwycającym ten sposób wyrażania uczuć i wróciłem do domu w przeświadczeniu, że jestem najszczęśliwszym z ludzi.

Nazajutrz Busqueros znowu uczynił mi zaszczyt obiadowania ze mną.

- No cóż - rzekł - list doszedł swego przeznaczenia? Widzę po twojej twarzy, senior, że sprawił pożądane wrażenie.

Musiałem wyznać, że poczuwam się względem niego do pewnej wdzięczności.

Nad wieczorem poszedłem do Buen Retiro. Zaraz przy wejściu spostrzegłem Inezę, która poprzedała mnie o pięćdziesiąt kroków. Była sama, służący tylko szedł za nią z daleka. Obróciła się, później szła dalej i upuściła wachlarz. Podjąłem go czym prędzej. Przyjęła zgubę z wdzięcznym uśmiechem i rzekła:

- Obiecałam ci, senior, przyzwoitą nagrodę, ile razy tylko powrócisz mi jaki zgubiony przedmiot. Usiądźmy na tej ławce i zastanówmy się nad tą ważną sprawą.

Zaprowadziła mnie do tej samej ławki, na której ją wczoraj widziałem, i tak dalej mówiła:

- Gdy odniosłeś mi zgubiony portret, dowiedziałeś się, że przedstawiał mego brata. O czymże teraz chcesz się dowiedzieć?

- Ach, pani - odpowiedziałem - pragnę się dowiedzieć, kim jesteś i jak się nazywasz.

- Posłuchaj więc, senior - rzekła Ineza - mogłeś pomyśleć, że twoje bogactwa mnie zaślepiły, ale pozbędziesz się tego mniemania, gdy usłyszysz, że jestem córką człowieka równie bogatego jak twój ojciec, a mianowicie bankiera Moro.

- Sprawiedliwe nieba! - zawołałem - mamże wierzyć moim uszom? Ach, pani, jestem najniezwyklejszym z ludzi, nie wolno mi myśleć o tobie pod groźbą przekleństwa mego ojca, mego dziada i mego pradziada Iñiga Suareza, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyksie. Teraz śmierć mi tylko pozostaje!

W tej chwili głowa don Busquera przedarła się przez gęsty szpaler, do którego nasza ławka była przyparta, i pokazując się między mną a Inezą, rzekła:

- Nie wierz mu, pani, on tak zawsze czyni, gdy chce się kogo pozbyć. Niedawno, mało dbając o moją znajomość, dowodził, że ojciec zakazał mu wdawać się ze szlachtą; teraz lęka się obrazić swego pradziada Iñiga Suareza, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyksie. Nie trać pani odwagi. Te małe krezusy zawsze z trudnością chwytają za haczyk, ale prędzej czy później przychodzi na nich kolej.

Ineza powstała w najwyższym oburzeniu i wróciła do swojej karety.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca swego opowiadania, przerwano mu i już go więcej tego dnia nie widzieliśmy.

Dzień trzydziesty piąty

Wsiedliśmy na konie, zapuściliśmy się znowu w góry i po godzinnym pochodzie spotkaliśmy Żyda Wiecznego Tułacza. Zajął zwykłe miejsce pomiędzy mną a Velasquezem i tymi słowy opowiadał dalej swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Następną nocą czcigodny Cheromon przyjął nas ze zwykłą mu dobrocią i tak zaczął mówić:

- Obfitość przedmiotów, jakie wczoraj wam wykladałem, nic pozwoliła mi mówić o powszechnie przyjętym przez nas dogmacie, który jednak większej jaszcze wziętości używa pomiędzy Grekami z powodu rozgłosu, jaki mu nadał Plato. Mam na myśli wiarę w Słowo, czyli w mądrość boską, którą my nazywamy raz Mander, to znowu Meth, lub też czasami Thot, czyli przekonaniom.

Jest jeszcze inny dogmat, o którym muszę wam wspomnieć, a który wprowadził jeden z trzech Thotów, zwany Trismegistą, czyli trzykroć wielkim, ponieważ pojmował bóstwo jako podzielone na trzy wielkie potęgi, mianowicie na samego Boga, którego nazwał Ojcem, następnie na Słowo i Ducha.

Takimi są nasze dogmaty. Co do zasad, są one równie czyste, zwłaszcza dla nas, kapłanów. Praktykowanie cnoty, post i modlitwy wypełniają dni naszego życia.

Pokarmy roślinne, które spożywamy, nie zapalają w nas krwi i łatwiej pozwalają nam pokonywać nasze namiętności. Kapłani Apisa wystrzegają się wszelkich stosunków z kobietami.

Taką jest dziś nasza religia. Oddala się ona od dawnej w wielu ważnych punktach, zwłaszcza we względzie metempsychozy, która dziś mało ma zwolenników, chociaż przed siedmiuset laty, gdy Pitagoras zwiedzał nasz kraj, była powszechnie przyjęta. Nasza dawna mitologia często także wspomina o bogach planetarnych, inaczej nazywanych rządcami, wszelako dziś zaledwie niektórzy wróżbici horoskopów trzymają się tej nauki. Mówiłem wam już, że religie, jak wszystkie inne rzeczy, zmieniają się na świecie.

Pozostaje mi objaśnić wam nasze święte misteria; wkrótce o wszystkim się dowiedziecie. Naprzód, bądźcie przekonani, że gdybyście nawet zostali wtajemniczeni, nie byłibyście mędrszymi co do początków naszej mitologii. Otwórzcie historyka Herodota, należał on do wtajemniczonych i na każdym kroku szczył się tym, a jednak czynił poszukiwania nad pochodzeniem bogów greckich jak taki, który by nie miał w tym względzie jaśniejszych pojęć od reszty ludzi. To, co on nazywa świętą mową, nie miało żadnego związku z historią. Były to, według określenia Rzymian, turpiloquentia, czyli bezwstydną mowę. Każdy nowy adept musiał wysłuchać opowiadania obrażającego ogólnie przyjętą przystojność. W Eleuzis mówiono o Baubie, która przyjmowała u siebie Cererę, we Frygii zaś o miłośkach Bachusa. My tu w Egipcie wierzymy, że bezwstydną ta jest symbolem oznaczającym nikczemność istoty materii i więcej nic w tej mierze nie wiemy.

Pewien znakomity konsularny mąż, nazwiskiem Cycero, w ostatnich czasach napisał książkę o naturze bogów. Wyznaje tam, że nie wie, skąd Italia przyjęła swoją wiarę, a jednak był augurem, a tym samym znalazł wszystkie misteria toskańskiej religii. Nieświadomość, przebijająca we wszystkich

dzielał pisarzy wtajemniczonych, dowodzi wam, że wtajemniczenie bynajmniej nie uczyniłoby was mądrzejszymi w kwestii początków naszej religii. W każdym razie misteria sięgają nader odległej epoki. Możecie widzieć uroczysty pochód Ozyrysa na płaskorzeźbie Ozymandiasa. Cześć Apisa i Mnewisa wprowadził do Egiptu Bachus przed przeszło trzema tysiącami lat.

Wtajemniczenie nie rzuca żadnego światła ani na początek wiary, ani na historię bogów, ani nawet na myśl w symbolach ukrytą, jednakże wprowadzenie misteriów potrzebne było dla rodzaju ludzkiego. Człowiek mający sobie jakiś wielki grzech do zarzucenia lub taki, który splamił swe ręce zabójstwem - staje przed kapłanami misteriów, wyznaje winy i odchodzi oczyszczony za pośrednictwem wody. Przed ustanowieniem tego zbawienego obrzędu społeczeństwo odpychało od siebie ludzi nic mogących przystępować do ołtarzów, a ci następnie z rozpaczy stawali się rozbójnikami.

W misteriach Mitry podają adeptowi chleb i wino i ucztę tę nazywają Eucharystią. Grzesznik, pogodzony z Bogiem, zaczyna nowe życie, uczciwsze od tego, jakie dotąd prowadził.

Tu przerwałem Żydowi, czyniąc mu uwagę, że zdawało mi się, jakoby Eucharystia należała wyłącznie do religii chrześcijańskiej. Naówczas Velasquez zabrał głos i rzekł:

- Przebac mi, ale słowa Żyda Wiecznego Tułacza zgadzają się zupełnie z tym, co sam czytałem w pismach św. Justyna męczennika, który dodaje nawet, że złe duchy przez złośliwość przed czasem wprowadziły obrzęd, który przeznaczony był dopiero dla chrześcijan. Racz więc, senor Żydie, mówić dalej.

Żyd Wieczny Tułacz tak dalej ciągnął swoje opowiadanie:

- Misteria - rzekł Cheremon - mają jeszcze jeden obrzęd wszystkim wspólny. Gdy bóg jaki umrze. grzebią go, płaczą nad nim przez kilka dni, po czym bóg ku wielkiej wszystkim radości zmartwychwstaje. Niektórzy utrzymują, że symbol ten wyobraża słońce, ale na ogół panuje przekonanie, że chodzi o ziarna powierzone ziemi.

- Oto jest wszystko, mój młody Izraelito - dodał kapłan - co ci mogę powiedzieć o naszych dogmatach i obrzędach. Widzisz więc, że wcale nic jesteśmy bałwochwalcami, jak to nam wasi prorocy często zarzucali, ale wyznam ci, że sądzę, iż wkrótce ani moja. ani twoja religia nie wystarczy już dla ludzkości. Rzuciwszy wzrok dokoła, wszędy spostrzegamy jakąś niespokojność i popęd do nowości.

W Palestynie lud tłumem wychodzi na puszczy, ażeby słuchać nowego proroka, który chrzci wodą z Jordanu. Tu znowu widać terapeutów, czyli magów-uzdrowicieli, którzy do wiary naszej mieszają wiarę Persów. Jasnowłosy Apolloniusz wędruje z miasta do miasta i udaje Pitagorasa: kuglarze podają się za kapłanów Izdy, porzucono już dawną cześć bogini, opustoszały jej świątynie i kadzidła przestały dymić na Jej ołtarzach.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz kończył te słowa, spostrzegł, że zbliżamy się do miejsca noclegu, i przepadł gdzieś w wąwozie.

Wziąłem na stronę księcia Velasqueza i rzekłem mu:

- Pozwól, abym cię zapytał, co myślisz o rzeczach, które nam Żyd Wieczny Tułacz opowiada. Mniemam, że nie należy nam wszystkiego słuchać, większa bowiem część tych rzeczy sprzeciwia się wierze, jaką wyznajemy.

- Senor Alfonsie - odparł Velasquez - twoja pobożność przynosi ci zaszczyt w oczach każdego myślącego człowieka. Wiara moja, śmiem to utrzymywać, jest bardziej oświecona od twojej, chociaż równie gorąca i czysta. Najlepszy tego dowód masz w moim systemie, o którym kilkakrotnie już wspominałem, a który jest tylko szeregiem uwag nad bóstwem i jego nieskończoną mądrością. Sądzę zatem, senor Alfonsie, że tego, czego ja spokojnie słucham, możesz także słuchać z czystym sumieniem.

Odpowiedź Velasqueza uspokoiła mnie zupełnie, wieczorem zaś Cygan, mający wolny czas, tak dalej ją opowiadać swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Młody Suarez, opowiedziawszy mi smutną swoją przygodę w ogrodzie Buen Retiro, nie mógł oprzeć się ogarniającemu go snowi, zostawiłem go więc w spokoju; ale następnej nocy, gdy znowu przyszedłem przy nim czuwać, prosiłem go, aby raczył zadowolić moją ciekawość względem dalszych wydarzeń, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ

Byłem przepełniony miłością dla Inezy i jak możesz domyślić się - oburzony na Busquera. Pomimo to jednak nazajutrz, razem z wazą, zjawił się nieznośny natręt. Zaspokoiwszy pierwszy głód, rzekł:

- Pojmuję, senor don Lopez, że w twoim wieku nie masz ochoty do małżeństwa; jest to niedorzeczność, którą i tak zawsze zbyt wcześnie popełniamy. Wszelako dziwne wydało mi się, że podajesz za wymówkę młodej dziewczynie obawę gniewu twego pradziada, Iñiga Suareza, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyksie. Twoje szczęście, don Lopez, że przecież naprawiłem jakoś całą rzecz.

- Senor don Roquo - odpowiedziałem - racz przydać jeszcze jedną przysługę do tych, jakie mi wyświadczyłeś; nic chodź dziś wieczorem do Buen Retiro. Jestem przekonany, że piękna Ineza wcale tam nie przyjdzie, jeżeli zaś ją zastanę, bez wątpienia nie będzie chciała słowa do mnie przemówić. Jednakowoż muszę usiąść na tej samej ławce, na której wczoraj ją widziałem, optakać tam moje nieszczęście i ponarzekać do woli.

Don Roque przybrał zagniewaną minę i rzekł:

- Senor don Lopez, słowa, jakie do mnie wyrzekłeś, mają w sobie coś nader obrażającego i mogą naprowadzić mnie na myśl, że poświęcenie moje nie miało szczęścia przypaść ci do smaku. Wprawdzie mógłbym oszczędzić sobie trudu i pozwolić ci samemu optakiwać twoje nieszczęście, ale

przecież piękna Ineza mogłaby nadejść, a jeżeli mnie tam nic będzie, kto wówczas naprawi twoje niedorzeczności? Nie, señor don Lopez, zbyt ci jestem oddany, ażebym mógł być posłuszny.

Don Roque wyszedł natychmiast po obiedzie, ja zaś przeczekałem upał i udałem się drogą ku Buen Retiro, ale wprzód nie omieszkałem skryć się na jakiś czas w moim sklepiu. Busqueros zjawił się niebawem, poszedł mnie szukać do Buen Retiro i nie znalazłszy mnie tam, wrócił i udał się, jak sądziłem, drogą do Prado. Naówczas opuściłem moją kryjówkę i poszedłem w te same miejsca, w których doznałem już tyle rozkoszy i zmartwień. Usiadłem na ławce i zacząłem gorzko płakać.

Nagle uczułem, że ktoś uderza mnie w ramię. Sądziłem, że to Busqueros, i odwróciłem się z gniewem. gdy wtem spostrzegłem Inezę, uśmiechającą się z anielskim wdziękiem. Usiadła obok mnie, kazała oddalić się swojej towarzyszce i tak zaczęła mówić:

- Kochany Suarezie, rozgniewałam się wczoraj na ciebie, gdyż nie zrozumiałam, dlaczego mówiłeś mi o twoim dziadzie i pradziadzie, ale zasięgnąwszy bliższych wiadomości, dowiedziałam się, że już prawic od wieku dom wasz nie chce mieć żadnych stosunków z naszym, i to dla nader błahych, jak utrzymują, powodów.

Jeżeli jednak z twojej strony zachodzą trudności, i mnie na nich nie zbywa. Mój ojciec od dawna już rozporządził mną i lęka się, abym nie przedsięwzięła zamiarów na przyszłość przeciwnych jego widokom. Dlatego nie życzy sobie, abym często wychodziła z domu i zabrania mi bywać w Prado, a nawet w teatrze. Ponieważ jednak muszę czasami odetchnąć świeżym powietrzem, pozwala mi przyjeżdżać tu z ochmistrzynią, a to dlatego, że mało kto tu przychodzi, może więc być o mnie zupełnie spokojny.

Przyszłym moim małżonkiem jest pewien magnat neapolitański. nazwiskiem ksiądz Santa Maura. Zdaje mi się, że pragnie on tylko mego majątku dla pod-ratowania swego. Zawsze czułam nieprzewyciężony wstręt do tego związku i uczucie to powiększyło się jeszcze od chwili, gdy cię poznałam. Mój ojciec jest człowiekiem nieugiętego sposobu myślenia, wszelako pani Avalos, jego najmłodsza siostra, ma wielką nad nim władzę. Kochana ciotka nader jest do mnie przywiązana, nie cierpi zaś neapolitańskiego księcia. Mówiłam jej o tobie, pragnie cię poznać, odprowadź mnie więc do mego powozu, a przy bramie ogrodowej znajdziesz jednego ze służących pani Avalos, który cię do niej zawiedzie.

Słowa zachwycającej Inezy przepełniły mnie radością i tysiące czarownych nadziei ogarnęło moją duszę. Odprowadziłem Inezę do karety, po czym udałem się do jej ciotki. Miałem szczęście spodobać się pani Avalos; odwiedzałem ją odtąd co dzień o tej samej godzinie i zawsze zastawałem u niej piękną jej siostrzenicę.

Shczęście moje trwało przez sześć dni. Siódmego dowiedziałem się o przybyciu księcia Santa Maura. Pani Avalos kazała mi nie tracić odwagi, służąca zaś z jej domu oddała mi list następującej treści:

Ineza Moro do Lopeza Suarez.

Nienawistny człowiek, któremu mnie przeznaczono, przybył do Madrytu, orszak jego cały nasz dom zapełnia. Pozwolono mi oddalić się w głąb mieszkania; jedno z moich okien wychodzi na uliczkę Augustianów. Nie jest ono zbyt wysoko, będziemy więc mogli parę chwil ze sobą pomówić. Muszę zawiadomić cię o niektórych ważnych dla nas sprawach. Przyjdź, jak tylko noc zapadnie.

Otrzymałem ten list o piątej, słońce zachodziło o dziewiątej, pozostawało mi więc jeszcze cztery godziny, z którymi nie wiedziałem, co począć. Postanowiłem udać się do Buen Retiro. Widok tych miejsc pogrążał mnie zawsze w słodkich marzeniach, na których, sam nie wiedząc kiedy, spędzałem długie godziny. Już przeszedłem się kilka razy po parku, gdy z daleka spostrzegłem wchodzącego Busquera. Zrazu chciałem wdrapać się na stojący w pobliżu sękaty dąb, ale zabrakło mi sił, zeszedłem więc na ziemię, usiadłem na ławce i śmiało oczekiwałem nieprzyjaciela.

Don Roque, zadowolony z siebie jak zawsze, zbliżył się do mnie ze zwykłą poufałością i rzekł:

- No cóż, señor don Lopez? Zdaje mi się, że piękna Ineza Moro zmiękczy nareszcie twego pradziada, Iñiga Suareza, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyksie. Nie odpowiadasz mi, señor don Lopez; dobrze więc, ponieważ chcesz milczeć, usiądę obok ciebie i opowiem ci moją historię, w której znajdziesz niejedno zadziwiające zdarzenie.

Postanowiłem spokojnie wycierpieć natręta aż do zachodu słońca, pozwoliłem mu przeto mówić i don Roque zaczął w te słowa:

HISTORIA DON ROQUE BUSQUERA

Jestem jedynym synem don Błażeja Busquera, najmłodszego syna najmłodszego brata innego Busquera, który także pochodził z młodszej linii. Mój ojciec miał zaszczyt służyć królowi przez trzydzieści lat jako alferez, czyli chorąży, w pułku piechoty; widząc jednakże, że pomimo uporczywości nigdy nie dosłużył się stopnia podporucznika, porzucił służbę i zamieszkał w mieście Alazuelos, gdzie ożenił się z młodą szlachcianką, której wuj, kanonik, zostawił był sześćset piastrow dożywotniego dochodu. Jestem jedynym owocem tego związku, który nie trwał długo, ojciec bowiem odumarał mnie, gdy kończyłem ósmy rok życia.

Tak zostałem na opiece mojej matki, która jednak niewiele o mnie dbała i będąc zapewne przekonana, że dzieci potrzebują wiele ruchu - od rana do wieczora pozwalała mi biegać po ulicy wcale się o mnie nie troszcząc. Innym dzieciom w moim wieku nie pozwalano wychodzić, kiedy chciały, najczęściej więc ja je odwiedzałem. Rodzice ich przyzwyczaili się do moich odwiedzin i w końcu wcale na mnie nie zważali. Dzięki temu mogłem wchodzić o każdej godzinie do każdego domu naszej miejsciny.

Będąc z natury spostrzegawczym, ciekawie śledziłem najmniejsze szczegóły gospodarstwa we wszystkich mieszkaniach i opowiadałem je potem mojej matce, która przysłuchiwała się temu z wielkim upodobaniem. Muszę nawet wyznać, że jej to mądrym radom zawdzięczam ów szczęśliwy talent mieszania się do cudzych spraw, choć zazwyczaj nie mam z tego żadnej dla siebie korzyści. Przez pewien czas myślałem, że sprawię wielką przyjemność mojej matce, jeżeli będę uwiadomił sąsiadów o tym, co się u nas dzieje. Skoro więc kto ją odwiedził lub rozmawiał z kimkolwiek, natychmiast biegłem o wszystkim zawiadomić całe miasto. Wszelako rozgłos taki bynajmniej nie przypadł jej do smaku i niebawem porządne oćwiczenie nauczyło mnie, że należy tylko przynosić nowiny, nie zaś wynosić je z domu.

Po upływie pewnego czasu spostrzegłem, że ludzie zaczynają kryć się przede mną. Mocno mnie to ubodło i przeszkody, jakie mi stawiano, tym więcej rozjątrzyły moją ciekawość. Wynajdywałem tysiące sposobów, aby tylko móc zajrzeć do wnętrza ich mieszkań, rodzaj zaś budynków, z jakich składa się nasza miejscina, sprzyjał moim zamiarom. Sufity były z desek źle spojonych, nocami więc dostawałem się na poddasza, wierciłem świdrem dziury i tak nieraz wysłuchiwałem niejednej ważnej domowej tajemnicy. Naówczas biegłem do matki, opowiadałem jej wszystko, ona zaś powtarzała nowiny przed sąsiadami, ale zawsze przed każdym z osobna.

Domyślano się, że to ja przynoszę mojej matce te wiadomości, i z każdym dniem coraz bardziej mnie nie cierpiano. Wszystkie domy były dla mnie zamknięte, ale wszystkie szpary pootwierane; skulony gdzieś na poddaszu, przebywałem wśród moich współobywateli, obywając się bez ich zaproszenia. Przyjmowali mnie mimo woli i wbrew swoim chęciom; jak szczur mieszkalem w ich domach, a nawet zakradałem się do spiżarni i wedle możliwości napoczywałem zapasy.

Gdy skończyłem osiemnaście lat, matka moja oświadczyła mi, że czas, abym obrał sobie jakiś zawód. Od dawna uczyniłem już wybór: postanowiłem zostać prawnikiem, aby tym sposobem zyskać sposobność poznania tajników rodzin i mieszkania się do ich spraw. Pochwalono mój zamiar i odesłano mnie na nauki do Salamanki.

Cóż to za różnica między wielkim miastem a miejsciną, w której po raz pierwszy ujrzałem światło dzienne! Cóż to za szerokie pole dla mojej ciekawości, ale zarazem ileż nowych przeszkód! Domy miały po kilka pięter, były szczelnie na noc pozamykane, i jak gdyby na złość mieszkańcy drugiego i trzeciego piętra otwierali na całą noc okna dla świeżego powietrza. Poznałem za pierwszym rzutem oka, że sam niczego nie dokonam i że trzeba mi dobrać sobie towarzyszy, zdatnych do wspierania mnie w tak niebezpiecznych przedsięwzięciach.

Zacząłem uczęszczać na kursa prawne i przez ten czas badałem charaktery moich współuczniów, ażeby zbyt lekkomyślnie nie obdarzyć ich zaufaniem. Nareszcie znalazłem czterech, o których sądziłem, że posiadają niezbędne przymioty, zebrałem ich więc i z początku chodziliśmy - tylko hałasując trochę po ulicach; nareszcie, gdy osądziłem, że są dostatecznie przygotowani, rzekłem do nich:

- Drodzy przyjaciele, czy nie podziwiacie śmiałości, z jaką mieszkańcy Salamanki przez całe noce zostawiają otwarte okna? Cóż więc, czy dlatego, że wznieśli się o dwadzieścia stóp nad nasze głowy, mają mieć prawo strojenia drwinek z uczniów uniwersytetu? Sen ich krzywdzi nas, a spokojność dolega. Postanowiłem naprzód zbadać, co się u nich dzieje, następnie zaś pokazać im, do czego jesteśmy zdolni.

Słowa te przyjęto oklaskami, chociaż nie wiedziano jeszcze, jakie są moje zamiary. Wtedy wytłumaczyłem się jaśniej:

- Kochani przyjaciele - rzekłem - naprzód trzeba postarać się o drabinę przynajmniej na piętnaście stóp wysoką. Trzech z was zawinąwszy się w płaszcze, będzie mogło nieść ją z łatwością, powinni tylko spokojnie postępować jeden za drugim, wybierać stronę ulicy mniej oświetloną i trzymać drabinę od ściany. Gdy będziemy chcieli użyć drabiny, oprzemy ją o okno i podczas gdy jeden z nas wdrapie się na wysokość upatrzonego mieszkania, reszta rozstawi się w pewnej odległości, by czuć

nad ogólnym bezpieczeństwem. Powziąwszy wiadomość o tym, co się dzieje w górnych krainach, zastanowimy się nad dalszym postępowaniem.

Zgodzono się jednomyślnie na mój zamiar. Kazałem sporządzić lekką, ale mocną drabinę, i jak tylko została wykonana, natychmiast wzięliśmy się do dzieła. Wybrałem dom przyzwoitej powierzchowności, którego okna nie były bardzo wysoko. Przystawiliśmy drabinę i wszedłem tak, aby tylko głowę moją można było spostrzec z wnętrza mieszkania.

Księżyc jasno oświecał cały pokój, pomimo to w pierwszej chwili nic nie mogłem rozpoznać, wkrótce jednak spostrzegłem w łóżku człowieka, który wpatrywał się we mnie błędnymi oczyma. Bojaźń, jak się zdawało, odjęła mu mowę, po chwili jednak odzyskał ją i rzekł:

- Straszliwa i krwawa głowo, przestań mnie ścigać i nie wyrzucaj mi mimowolnego morderstwa.

Gdy don Roque domawiał tych słów, zdało mi się, że słońce chyli się ku zachodowi, nie mając ze sobą zegarka, zapytałem go o godzinę.

To zapytanie obruszyło nieco Busquera, zmarszczył czoło i rzekł:

- Mniemam, senior don Lopez, że gdy przyzwoity człowiek ma zaszczyt opowiadać ci swoją historię, nie powinienes przerywać mu w najbardziej zajmującym miejscu, chyba że chcesz mu dać poznać, iż jest - mówiąc po hiszpańsku - pesado, czyli nudziarzem. Nie myślę, aby podobny zarzut mógł się do mnie stosować, i dlatego ciągnę moją rzecz dalej.

- Widząc, że sprawiłem wrażenie krwawej i straszliwej głowy, nadałem rysom mojej twarzy jak można najokropniejszy wyraz, znajomy nie mógł tego znieść, wyskoczył z łóżka i uciekł z pokoju. Młoda jakaś kobieta, która spoczywała na tym samym łóżku, obudziła się, wysunęła spod kołdry dwa śnieżne ramiona i przeciągnęła się, otrząsając się ze snu. Spostrzegłszy mnie, nie była zaskoczona; wstała, zamknęła na klucz drzwi, przez które uciekł jej mąż, po czym dała mi znak, abym wszedł do środka. Drabina była nieco za krótka, wsparłem się więc na ozdobach architektonicznych i śmiało wskoczyłem do pokoju. Młoda kobieta, przypatrzwszy mi się bliżej, poznała swoją omyłkę, ja zaś zrozumiałem, że nie jestem tym, którego oczekiwała. Jednakże kazała mi usiąść, okryła się szalem i usiadłszy o kilka kroków ode mnie, rzekła:

- Senior, muszę ci wyznać, że czekałam na jednego z moich krewnych, z którym miałam pomówić o pewnych sprawach dotyczących naszej rodziny, i pojmujesz, że jeżeli miał wejść oknem, zapewne nie czynił tego bez nader ważnych powodów. Ciebie zaś, senior, nie mam zaszczytu znać i nie rozumiem przyczyny, dla której przychodzisz do mnie w godzinie tak niewłaściwej do składania odwiedzin.

- Nie miałem zamiaru - odrzekłem - wchodzić do pani pokoju. Chciałem tylko wznieść moją głowę do wysokości okna, aby się dowiedzieć, jak to mieszkanie wygląda.

Naówczas uwiadomiłem nieznaną o moich upodobaniach, zajęciach, młodości i o spółce, jaką zawarłem z czterema towarzyszami, którzy mieli dopomagać mi w przedsięwzięciach.

Młoda kobieta wysłuchiwała mnie z wielką uwagą, po czym rzekła:

- Opowiadanie twoje, senior, wraca ci mój szacunek. Masz słuszność, nie ma na świecie nic przyjemniejszego niż wiedzieć, co się dzieje u innych. Od pierwszych lat mego życia zawsze miałam to

przekonanie. Teraz niepodobna mi dłużej cię tu, senor, zatrzymywać, ale spodziewam się, że nie po raz ostatni cię widzę.

- Zanim się pani obudziłaś - rzekłem - małżonek twój uczynił mi zaszczyt wzięcia mojej twarzy za krwawą i straszliwą głowę, która przychodzi wyrzucać mu mimowolne morderstwo. Racz więc pani z kolei uczynić mi zaszczyt, opowiadając mi okoliczności tej sprawy.

- Pochwalam tę ciekawość - odrzekła - przyjdź więc senor jutro o piątej wieczorem do miejskiego parku. Zastaniesz mnie tam z jedną z moich przyjaciółek. Tymczasem do widzenia.

Młoda kobieta z niepospolitą grzecznością odprowadziła mnie do okna; zeszedłem po drabinie i połączyłem się z moimi towarzyszami, którym wiernie wszystko opowiedziałem. Nazajutrz punktualnie o piątej udałem się do parku.

Gdy to Busqueros mówił, zdawało mi się, że słońce zupełnie już zachodzi, zniecierpliwiony więc rzekłam:

- Senor don Roque, zaręczam ci, że ważna sprawa nie pozwala mi dłużej pozostać. Będziesz mógł z łatwością skończyć twoją historię za pierwszym razem, gdy zechcesz uczynić mi zaszczyt przyjścia do mnie na obiad.

Busqueros przybrał tym razem jeszcze więcej zagniewaną minę i rzekł:

- Wyraźnie przekonywam się, senor don Lopez, że chcesz mnie obrazić. W takim razie lepiej uczynisz, mówiąc mi otwarcie, że uważasz mnie za bezwstydnego gadułę i nudziarza. Ale nie, senor don Lopez, nie mogę przypuścić, abyś miał tak źle o mnie myśleć, prowadzę więc dalej opowiadanie:

- Zastałem już w parku wczorajszą moją znajomą z jedną z jej przyjaciółek, wysoką, młodą i wcale niebrzydką kobietą. Usiedliśmy na ławce i młoda kobieta, pragnąc, abym ja bliżej poznał, tak zaczęła opowiadać szczegóły swego życia:

HISTORIA FRASQUETY SALERO

Jestem najmłodszą córką dzielnego oficera, który tak dalece zasłużył się krajowi, że po jego śmierci przyznano całkowity żołąd jego żonie. Moja matka, będąc rodem z Salamanki, wróciła wówczas do rodzinnego miasta ze mną i z moją siostrą Dorotą. Posiadała mały dom w oddalonej części miasta; kazała go wyporządzić i osiadliśmy w nim, żyjąc z oszczędnością odpowiadającą zupełnie skromnej powierzchowności naszego mieszkania.

Matka nie pozwalała nam uczęszczać ani do teatru, ani na walki byków; sama też nie bywała u nikogo i nie przyjmowała żadnych odwiedzin. Nie mając przeto żadnych rozrywek, prawie całe dnie przepędzałam w oknie. Będąc z natury nader skłoną do grzeczności, skoro tylko jaki porządnie ubrany mężczyzna przechodził przez naszą ulicę, wnet ścigałam go wzrokiem lub spoglądałam na niego tak, ażeby myślał, że obudził we mnie pewno zajęcie. Przechodzący zwykle nie byli nieczułymi na te oznaki grzeczności. Niektórzy składali mi głębokie ukłony, inni rzucali na mnie podobne memu

wejrzenia, prawie wszyscy zaś wracali na naszą ulicę jedynie po to, aby mnie raz jeszcze ujrzeć. Ilekroć moja matka spostrzegła te umizgi, wnet wołała na mnie:

- Frasqueta! Frasqueta! co tam dokazujesz? Bądź skromna i poważna, jak twoja siostra, inaczej nigdy nic znajdziesz męża.

Matka myliła się, gdyż moja siostra dotąd jeszcze jest panną, ja zaś już przeszło od roku mam męża.

Nasza ulica była dość odludna i rzadko kiedy miałam przyjemność widywać przechodniów, których powierzchowność zasługiwałaby na moją uwagę. Wszelako pewna okoliczność sprzyjała moim zamiarom. Tuż pod naszymi oknami stała kamienna ławka pod rozłożystym drzewem, tak że kto chciał mi się przyjrzeć, mógł bezpiecznie na niej usiąść, nie wzbudzając żadnego podejrzenia.

Pewnego dnia jakiś młody człowiek, daleko wykwintniej ubrany od tych, których dotąd widywałam, usiadł na ławce, wyjął książkę z kieszeni i zaczął czytać, atoli skoro tylko mnie spostrzegł, porzucił czytanie i odtąd oczu ze mnie nie spuszczał. Nieznajomy powracał przez kilka następných dni, aż pewnego razu zbliżył się do mego okna, jak gdyby czegoś szukając, i rzekł:

- Czy pani nic nie upuściłaś? Odpowiedziałam mu, że nie.

- Tym gorzej - przerwał - gdybyś pani bowiem była upuściła ten krzyżyk, który nosisz na szyi, byłbym go podniósł i z radością zabrał ze sobą do domu. Posiadając cośkolwiek, co do ciebie, pani, należy, byłbym sobie wyobraził, że nie jestem ci tak obojętny, jak inni ludzie, którzy siadają na tej ławce. Wrażenie, jakie pani sprawiłaś na moim sercu, być może zasługuje na to, abyś mnie nieco odróżniła od tłumu.

W tej chwili weszła moja matka, nie mogłam więc nic odpowiedzieć, ale odwiązałam zręcznie krzyżyk i upuściłam go na ulicę.

Nad wieczorem spostrzegłam dwie panie ze służącym w bogatej liberii. Usiadły na ławce, zdjęły mantyle, po czym jedna z nich dobyła kawałek papieru;

rozwinęła go, wyjęła mały złoty krzyżyk i rzuciła na mnie drwiące spojrzenie. Byłam przekonana, że młody człowiek poświęcił tej kobiecie pierwszy dowód mej życzliwości, gwałtowny gniew mnie opanował, tak że przez całą noc nie zmrużyłam oka. Nazajutrz obłudnik znowu usiadł na ławce i z wielkim zadziwieniem spostrzegłam, że dobył z kieszeni kawałek papieru, rozwinął, wyjął krzyżyk i zaczął go całować.

Nad wieczorem ujrzałam dwóch służących ubranych podobnie jak ten, którego widziałam wczoraj. Przynieśli stół, nakryli go, po czym odeszli i wrócili z lodami, oranżadą, czekoladą, ciastami i innymi łakociami. Wkrótce pokazały się te same dwie panie, zasiadły na ławce i kazały podać sobie przyniesione rzeczy.

Moja matka i siostra, które nigdy nie wyglądały oknem, nie mogły tym razem oprzeć się ciekawości, zwłaszcza słysząc brzęk talerzy i szklanek. Jedna z tych kobiet, spostrzegłszy je w oknie, zaprosiła obie na podwieczorek, dodając tylko, aby raczyły kazać wynieść kilka krzesel.

Matka chętnie przyjęła zaprosiny i poleciła wynieść krzesła na ulicę, my zaś poprawiwszy nieco nasze stroje, poszliśmy podziękować pani, która okazała się dla nas tak grzeczna. Zbliżywszy się do

niej, spostrzegłem, że bardzo jest podobna do mego młodego nieznajomego, i wniosłam, że musi być jego siostrą; zapewne brat mówił jej o mnie, dał jej mój krzyżyk i dobra siostra przyszła wczoraj pod nasze okna jedynie po to, aby mnie zobaczyć.

Wkrótce spostrzeżono, że brakuje łyżek, wyprawiono więc po nie moją siostrę; po chwili zabrakło serwet, matka moja chciała mnie postać, ale młoda dama mrugnęła na mnie i odpowiedziałam, że nie potrafię ich znaleźć, matka musiała więc pójść sama. Skoro tylko odeszła, rzekłam do nieznajomej:

- Zdaje mi się, że pani masz brata, nadzwyczaj do ciebie podobnego.

- Bynajmniej - odpowiedziała - tym bratem. o którym pani mówisz, jestem ja sam. Moim bratem jest książę San Lugar, ja zaś wkrótce mam zostać księżniczką Arcos, gdyż zaślubiam dziedziczkę tego tytułu. Nienawidzę mojej przyszłej małżonki, wszelako gdybym nie przystał na ten związek, powstałyby w mojej rodzinie okropne sceny, do których nie mam najmniejszego pociągu. Nie mogąc rozporządzać moją ręką wedle skłonności, postanowiłem zachować serce dla kogoś bardziej godnego miłości aniżeli księżniczka Arcos. Nie sądzę pani jednak, że zamierzam mówić o rzeczach ubliżających twojej sławie, ale ani pani, ani ja nie porzucamy Hiszpanii; los może nas znowu połączyć, w razie zaś gdyby nam nie sprzyjał, potrafię wynaleźć inne sposoby, by cię widywać. Matka twoja wkrótce powróci, racz więc tymczasem przyjąć ten brylantowy pierścień na dowód, że nie skłamałem, mówiąc o moim urodzeniu. Zaklinam cię, pani, nie odrzucaj tego upominku, który rad bym, aby wiecznie przypominał mnie twojej pamięci.

Matka moja wychowywała mnie w surowych zasadach i wiedziałam, że nie należy od nieznajomych przyjmować podarunków, ale pewne spostrzeżenia, jakie uczyniłam naówczas, a których teraz sobie już nie przypominam, sprawiły, że wzięłam pierścień. Moja matka tymczasem powróciła z serwetkami, a siostra z łyżkami. Nieznajoma pani była nader uprzejma tego wieczoru i wszyscy rozeszliśmy się zadowoleni ze spotkania. Nazajutrz, równie jak następnym dni, powabny młodzieniec nie pokazał się więcej pod moimi oknami. Zapewne pojechał zaślubić księżniczkę Arcos.

Pierwszej niedzieli po tym wypadku pomyślałam, że prędzej czy później odkryto by u mnie pierścień, będąc więc w kościele udałam, że znalazłam go pod nogami, i pokazałam mojej matce, która orzekła, że jest to bez wątpienia kawałek szkła, oprawny w tombak; zaleciła mi jednak, abym go schowała do kieszeni. Jubiler mieszkał w naszym sąsiedztwie, pokazano mu pierścień; ocenił go na osiem tysięcy pistolów. Cena tak znaczna uszczęśliwiła moją matkę; oświadczyła mi, że najwłaściwiej wprawdzie byłoby ofiarować pierścień św. Antoniemu Padewskiemu jako szczególnemu opiekunowi naszej rodziny, ale z drugiej strony, suma uzyskana ze sprzedaży pozwoliłaby wyposażyć mnie i moją siostrę.

- Przebacz mi, droga mamo - odpowiedziałam - ale naprzód wypada ogłosić, że znalazłyśmy pierścień, nie wymieniając jego wartości. Jego właściciel zjawi się, oddamy zgubę, w przeciwnym zaś razie moja siostra równie jak św. Antoni Padewski nie mają doń żadnego prawa, ja bowiem znalazłam pierścień i do mnie on wyłącznie należy.

Matka nic mi na to nie odrzekła.

Ogłoszono w Salamance wiadomość o znalezionym pierścieniu, zachowując w tajemnicy jego wartość, ale jak możesz łatwo odgadnąć - nikt się nie zgłosił.

Młodzieniec, od którego otrzymałam tak kosztowny podarunek, sprawił żywe wrażenie na moim sercu i przez tydzień nie pokazywałam się w oknie. Wszelako skłonności naturalne wzięły górę, wróciłam do dawnego zwyczaju i jak przedtem całe dni przepędzałam, wyglądając na ulicę.

Kamienną ławkę, na której młody książę siadywał, zajmował naówczas jakiś tłusty jegomość, z wyglądu spokojny i zrównoważony. Spozrzegł mnie w oknie i zdało mi się, że wcale go mój widok nie cieszy. Odwrócił się, ale zapewne i wtedy drażniła go moja obecność, gdyż chociaż mnie nie widział, często obracał się z niepokojem. Wkrótce odszedł, dając mi wzrokiem uczuć całe oburzenie, jakie go na widok mojej ciekawości przejmowało, ale nazajutrz powrócił i powtórzył te same dziwactwa. Na koniec dopóty przychodził i odchodził, aż wreszcie po dwóch miesiącach tej krętaniny zażądał mojej ręki.

Matka moja oświadczyła, że niełatwo o sposobność lak korzystnego związku i rozkazała mi dać mu przychylną odpowiedź. Byłam posłuszna. Zmieniłam nazwisko Frasquety Salero na dony Franciszki Cornadez i wprowadziłam się do domu, w którym senior widziałeś mnie wczoraj.

Zostawszy żoną don Cornadczą, zajęłam się wyłącznie jego szczęściem. Niestety, zamiary moje zbyt mi się powiodły. Po trzech miesiącach pożycia znalazłam go szczęśliwszym niżeli chciałam, i co gorsza, wpoilałam w niego przekonanie, że on także mnie uszczęśliwia. Z wyrazem zadowolenia wcale nie było mu do twarzy, odstręczał mnie tym od siebie i coraz bardziej niecierpliwiał. Na szczęście błogi ten stan trwał niedługo.

Pewnego dnia Cornadez, wychodząc z domu, spostrzegł małego chłopca, który trzymał papier w ręku i zdawał się szukać kogoś. Chcąc go wybawić z kłopotu, wziął od niego list i rzucił okiem na adres: "Do zachwycającej Frasquety". Cornadez skrzywił się tak, że mały poseł uciekł ze strachu, po czym zaniósł do siebie ten cenny dokument i przeczytał, co następuje:

Możeż to być, żeby ani moje bogactwa, ani moje zalety, ani moje nazwisko nie zwróciły na mnie twojej uwagi? Jestem gotów na wszelkie wydatki, wszelkie czyny, wszelkie przedsięwzięcia, aby tylko zyskać choć jedno twoje spojrzenie. Ci, którzy obiecali mi usłużyć, zawiedli mnie, gdyż nie otrzymałem od ciebie żadnego znaku porozumienia. Wszelako tym razem postanowiłem użyć wrodzonej mi śmiałości; odtąd nic mnie już nie powstrzyma, gdyż chodzi o namiętność, która od samego początku nie zna ani miary, ani wędzidła. Lękam się jednej tylko rzeczy, to jest twojej obojętności.

Hrabia de Peña Flor

Wyrazy tego listu rozproszyły w jednej chwili całe szczęście, jakiego kosztował mój małżonek. Stał się niespokojny, podejrzliwy, nie pozwalał mi wychodzić, chyba z jedną z naszych sąsiadek, której wprawdzie nie znał bliżej, ale którą polubił dla jej przykładnej pobożności.

Jednakowoż Cornadez nie śmiał wspomnieć mi o swoich męczarniach, nie wiedział bowiem, jak daleko rzeczy zaszyły z hrabią de Peña Flor ani też, czy wiem co o jego ku mnie zapalach. Niebawem tysiączne okoliczności coraz bardziej zwiększały jego niespokojność. Pewnego razu znalazł drabinkę opartą o mur ogrodowy, kiedy indziej znów jakiś nieznajomy wkradł się cichaczem do domu. Co więcej, pod moimi oknami brzmiały ciągle serenady i muzyka, tak zniechęcona przez zazdrośników. Na koniec zuchwalstwo hrabiego przeszło wszelkie granice. Pewnego dnia udałam się z moją nabożną sąsiadką na Prado, gdzie zabawiłyśmy dość długo; była późna pora i prawie same chodziłyśmy po głównej alei. Hrabia zbliżył się do nas, wyraźnie oświadczyć mi swoją namiętność, powiedział, że musi

zdobyć moje serce, nareszcie zuchwale porwał mnie za rękę i sama nie wiem, czego ten szaleniec nie byłby się dopuścił, gdybyśmy nie zaczęły z całych sił krzyczeć.

Wróciłyśmy do domu w ogromnym pomieszeniu. Nabożna sąsiadka oznajmiła memu mężowi, że za żadne skarby nie chce ze mną wychodzić i że szkoda, iż nie mam brata, który by obronił mnie przed natarczywością hrabiego, kiedy własny mąż tak mało się o mnie troszczy.

- Wprawdzie religia zabrania zemsty - dodała - wszelako honor tkliwej i wiernej żony zasługuje na większą dbałość. Hrabia de Peña Flor z pewnością dlatego tak śmiało postępuje, ponieważ wie, senor Cornadez, o twojej pobłażliwości.

Następnej nocy mąż mój wracał zwykłą drogą do domu i przechodząc przez ciasną uliczkę, spostrzegł, że zagradza ją dwóch ludzi. Jeden z nich uderzał w mur szpadą niezmiernej długości, drugi zaś mówił doń:

- Wyśmienicie, senor don Ramiro! Jeżeli tak będziesz sobie poczynił z dostojnym hrabią de Peña Flor, niedługo będzie on postrachem braci i mężów.

Nienawistne nazwisko hrabiego zwróciło uwagę Cornadeza, zatrzymał się więc i przyczał pod drzewem.

- Kochany przyjacielu - odpowiedział człowiek z długą szpadą - nietrudno by mi było położyć koniec miłosnym sukcesom hrabiego de Peña Flor. Nie pragnę wcale go zabić, chcę tylko dać mu nauczkę, żeby się tu więcej nie pokazywał. Nie na próżno nazywają don Ramira Caramanzę pierwszym rębaczem w Hiszpanii, lękam się tylko skutków takiego pojedynku. Gdybym mógł dostać gdzie sto dublonów, pojechałbym przepędzić jakiś czas na wyspach.

Dwaj przyjaciele jeszcze przez pewien czas rozmawiali w podobnym tonie, na koniec mieli już odejść, gdy mąż mój wyszedł z kryjówki, zbliżył się do nich i rzekł:

- Panowie, jestem jednym z tych małżonków, którym hrabia de Peña Flor zakłóca spokój. Gdybyście mieli zamiar zgładzić go z tego świata, nie mieszałbym się do waszej rozmowy, ale ponieważ chcecie mu dać tylko małą nauczkę, z przyjemnością ofiaruję wam sto dublonów, których potrzebujecie dla udania się na wyspy. Raczcie tu poczekać, zaraz wam przyniosę pieniądze.

W istocie, wyrzekłszy te słowa, poszedł do domu i powrócił ze stoma dublonami, które wręczył straszliwemu Caramanzie.

We dwa dni potem wieczorem usłyszeliśmy gwałtowne stukanie do naszego domu. Otworzono i ujrzeliśmy urzędnika sądowego z dwoma alguacilami. Urzędnik w te słowa odezwał się do mego męża:

- Przez wzgląd na ciebie, senor, przyszliśmy tu w nocy, pragnąc, aby nasz widok nie zaszkodził twojej dobrej sławie i nie przstraszył sąsiadów. Chodzi nam o hrabiego de Peña Flor, którego wczoraj zamordowano. Dowiedzieliśmy się z listu, który, jak mówią, wypadł z kieszeni jednego z morderców, że poświęciłeś sto dublonów, by zachęcić ich do zbrodni i ułatwić im ucieczkę.

Mój mąż odpowiedział z przytomnością umysłu, o którą nigdy nie byłabym go posądziła.

- Nigdy w życiu nie widziałem hrabiego de Peña Flor. Dwóch nie znanych mi ludzi przyszło do mnie wczoraj z wekslem na sto dublonów, który przeszłego roku wystawiłem w Madrycie, musiałem go więc zapłacić. Jeżeli tego senior żądasz, natychmiast pójdę po weksel.

Urzędnik dobył list z kieszeni i rzekł:

- Czytaj senior: "Jutro odpływa na San Domingo z dublonami pocziwego Cornadeza".

- Prawda - odparł mój mąż - są to zapewne owe 3 dublony za weksel. Wystawiłem go na okaziciela, nie miałem więc prawa nikomu odmawiać wypłaty ani też dopytywać się o nazwisko.

- Nałożę do sądu kryminalnego - rzekł urzędnik - i nie powinienem mieszać się do spraw handlowych. Żegnam cię, senior Cornadez; przebaczą, żeśmy cię niepokoiili.

Jak to ci już mówiłam, zdziwiła mnie ta nadzwyczajna przytomność umysłu mego małżonka, chociaż nieraz już zauważyłam, że objawiał prawdziwy geniusz, ile razy chodziło o jego własną korzyść lub bezpieczeństwo jego osoby. Po pierwszym przestraszeniu zapytałam kochanego Cornadeza, czy w istocie kazał zamordować hrabiego de Peña Flor. Z początku zapierał się, nareszcie wyznał, że dał sto dublonów rębaczowi Caramanzie, wszelako nie za zabicie, ale tylko za upuszczenie hrabiemu odrobiny zbyt gwałtownej krwi.

- Jakkolwiek mimo woli tylko przyczyniłem się do tego morderstwa - dodał - to jednak ciąży mi ono na sumieniu. Postanowiłem odprawić pielgrzymkę do św. Jakuba z Komposteli, lub może i dalej, byle tylko uzyskać jak najwięcej odpustów.

Od dnia, w którym mąż uczynił mi to wyznanie, zaczęły zachodzić w naszym domu różne zadziwiające wypadki. Cornadezowi co noc pokazywało się jakieś straszliwe zjawisko i zakłócało spokój już i tak nadwerżonego sumienia. Nieszczęsne dublony zawsze zjawiały się nieproszone. Czasami wśród ciemności słyszano ponury głos: "Oddaję ci twoje sto dublonów" - po czym rozlegał się brzęk, jak gdyby kto liczył pieniądze.

Pewnego wieczora służąca spostrzegła w kącie miskę napełnioną dublonami, włożyła w nią rękę, ale znalazła tylko kupę suchych liści, które nam wraz z miską przyniosła.

Nazajutrz wieczorem mój mąż, przechodząc przez pokój słabo oświetlony promieniami księżyca, ujrzał w kącie głowę ludzką na miednicy; przestraszony uciekł z pokoju i opowiedział mi cały wypadek. Poszłam sama i znalazłam drewnianą głowę od jego peruki, którą przypadkiem postawiono na miedniczkę od golenia. Nie chcąc wieść z nim sporów i pragnąc zarazem utrzymać w nim tę ciągłą niespokojność, zaczęłam przeraźliwie krzyczeć i upewniłam go, że także widziałam krwawą i straszliwą głowę.

Odtąd głowa ta pokazywała się prawie wszystkim mieszkańcom naszego domu i tak dalece przerażała mego męża, że lękałam się o jego rozum. Nie potrzebuję ci chyba mówić, że wszystkie te zjawiska były moim wynalazkiem. Hrabia de Peña Flor był tylko wymysłem, stworzonym dla niepokojenia Cornadeza i wyleczenia go z dotychczasowego błogostanu. Urzędnicy sprawiedliwości, równie jak rębacze, byli służącymi księcia Arcos, który natychmiast po ślubie przybył do Salamanki.

Minionej nocy postanowiłam nowym sposobem przestraszyć mego męża, nie wątpiłam bowiem, że natychmiast ucieknie z sypialni do swojego pokoju, gdzie stoi kłęcznik; wtedy miałam zamiar zamknąć

drzwi na klucz i oknem wpuścić do siebie księcia. Nie obawiałam się, aby mój mąż go spostrzegł lub też, by odkrył drabinę, gdyż każdego wieczora pilnie zamykaliśmy dom, klucz zaś chowałam pod poduszkę. Gdy nagle zjawiłeś się w oknie, mąż mój znowu był przekonany, że głowa hrabiego de Peña Flor przychodzi wymawiać mu dane sto dublonów.

Na koniec pozostaje mi napomknąć kilka słów o tej nabożnej i przykładnej sąsiadce, która wzbudziła w moim mężu tak nieograniczone zaufanie. Niestety! ta sąsiadka, którą widzisz koło mnie, to sam książe, przebrany w niewieście suknie. Tak jest, sam książe, który kocha mnie nad życie, może dlatego, że wciąż jeszcze nie jest pewien mojej wzajemności.

Na tych słowach Frasqueta skończyła swoje opowiadanie, książe zaś zwrócił się do mnie i rzekł:

- Odbarczając cię naszym zaufaniem, mieliśmy na uwadze twoją zręczność, która może się nam przydać. Chodzi o przyspieszenie wyjazdu Cornadeza; chcemy ponadto, aby nie poprzestał na pielgrzymce, ale żeby przez jakiś czas odpokutował w którymś ze świętych miejsc. Potrzebujemy do tego ciebie i twoich czterech przyjaciół, którzy zostają pod twymi rozkazami. Wytlumaczę ci zaraz mój pomysł.

Gdy Busqueros domawiał tych słów, spostrzegłem z przestachem, że słońce już zaszło i że mogę spóźnić się na spotkanie naznaczone mi przez zachwycającą Inezę. Przerwałem mu więc dalszy ciąg i zaklinałem, aby raczył odłożyć na dzień następny opowiadanie o pomysłach księcia Arcos. Busqueros odpowiedział mi ze zwykłym zuchwalstwem. Wtedy, nie mogąc już powściągnąć gniewu, zawołałem:

- Niegodziwy natręcie, wydrzyj więc to życie, które mi zatruwasz, albo broń twego!

To mówiąc dobyłem szpady i zmusiłem mego przeciwnika, by to samo uczynił.

Ponieważ mój ojciec nigdy nie pozwalał mi dobywać szpady, nie wiedziałem więc, jak sobie z nią poczynać. Naprzód zacząłem obracać młyńca, który zdziwił mego przeciwnika, wkrótce jednak Busqueros złożył się i przeszył mi rękę, a nadto czubek jego szpady zranił mi ramię. Broń wypadła mi z ręki, upadłem zalany krwią, wszelako najbardziej dręczyła mnie myśl, że nie będę mógł stawić się na umówioną godzinę i dowiedzieć rzeczy, o których piękna Ineza chciała mnie uwiadomić.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, odwołano go do spraw hordy. Po jego odejściu Velasquez rzekł:

- Przewidywałem, że historio Cygana będą ciągle wysnuwać się jedna z drugiej. Frasqueta Salero opowiedziała swoją historię Busquerowi, ten Lopezowi Suarez, który znowu opowiedział ją Cyganowi. Spodziewam się, że na koniec powie nam, co się stało z piękną Inezą; jeżeli jednak zacznie jeszcze jaką nową historię, pogniewam się z nim, jak Suarez pogniewał się z Busquerem. Sądzę atoli, że nasz opowiadacz dziś już do nas nie powróci.

W istocie. Cygan nie pokazał się więcej i niebawem rozeszliśmy się na spoczynek.

Dzień trzydziesty szósty

Ruszyliśmy w pochód. Żyd Wieczny Tułacz wkrótce złączył się z nami i tak dalej ciągnął opowiadanie swoich przygód.

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Nauki mądrego Cheromona były daleko dłuższe od wyciągu, jaki wam uczyniłem. Ogólnym ich wnioskiem było, że pewien prorok, imieniem Bitys, dowiódł w swoich dziełach istnienia Boga i aniołów, i że drugi prorok, nazwany Thot, osłonił te pojęcia ciemną metafizyką, która zdawała się tym wznioślejszą.

W teologii tej Bóg, którego nazywano Ojcem, czczony był jodynie przez milczenie; wszelako gdy chciano wyrazić, że sam sobie wystarcza, mówiono, że jest swoim własnym ojcem i własnym synem. Czczono go także pod postacią syna i wtedy nazywano "rozumem bożym" lub Thotem, co znaczy po egipsku - przekonanie.

Na koniec, ponieważ spostrzegano w naturze ducha i materię, poczytywano ducha za emanację Boga i przedstawiano go pływającego po ile, jak to wam już gdzie indziej powiedziałem. Twórca tej metafizyki zwany był "trzykroć wielkim". Plato, który przepędził osiemnaście lat w Egipcie, wprowadził do Grecji naukę o Słowie, za co uzyskał od Greków przydomek boskiego.

Cheremon utrzymywał, że wszystko to nie istniało zupełnie w duchu dawnej religii egipskiej, że ta zmieniła się, gdyż w ogóle zmiana leży w naturze każdej religii. Zdanie jego pod tym względem wkrótce potwierdziły wypadki zaszłe w synagodze aleksandryjskiej.

Nie byłem jedynym Żydem, który badał teologię egipską; inni także zasmakowali w niej, zwłaszcza zaś oczarował ich duch enigmatyczny, który panował w całej egipskiej literaturze, a który pochodził zapewne z pisma hieroglificznego i z zasady nieprzywiązywania się do symbolu, ale do myśli w nim ukrytej.

Nasi rabinowie aleksandryjscy pragnęli także mieć zagadki do rozwiązywania i wyobrazili sobie, że pisma Mojżesza, jakkolwiek przedstawiają opowiadania faktów i rzeczywistą historię, są wszelako pisane z tak boską sztuką, że obok myśli dziejowej skrywają jeszcze myśl inną, tajemniczą i alegoryczną. Niektórzy z naszych uczonych wyjaśnili tę myśl ukrytą z przenikliwością, która im zaszczyt w owym czasie przyniosła, jednakże ze wszystkich rabinów najwięcej odznaczył się Filon. Długie badania nad Platonem wprawiły go w rzucanie pozornego światła na ciemności metafizyki, stąd też nazywano go Platonem synagogi.

Pierwsze dzieło Filona traktowało o stworzeniu świata, szczególnie zaś zastanawiało się nad własnościami liczby siedem. W piśmie tym autor nazywa Boga Ojcem, co zupełnie wchodzi w zakres teologii egipskiej, nie zaś stylu Biblii. Znajdujemy tam również, że wąż jest alegorią rozkoszy i że historia kobiety stworzonej z żebra mężczyzny jest także alegoryczna.

Tenże sam Filon napisał również dzieło o snach, gdzie mówi, że Bóg ma dwie świątynie: jedną z nich stanowi cały świat, a jej kapłanem jest słowo boże; drugą zaś stanowi dusza czysta i rozumna, której kapłanem jest człowiek.

W książce swojej o Abrahamie Filon jeszcze wydatniej wyraża się w duchu egipskim, gdyż mówi:

Ten, którego Pismo święte nazywa bodącym (czyli tym, który jest), w istocie jest ojcem wszystkiego. Z dwóch stron otaczają go potęgi bytu, najdawniejsze i najściślej z nim związane, potęga twórcza, i potęga rządząca. Jedna zwana jest Bogiem, druga Panem. Złączony z tymi potęgami ukazuje się nam raz w pojedynczym, a raz w potrójnym kształcie: w pojedynczym, gdy dusza zupełnie oczyszczona wzniosłszy się ponad wszystkie liczby, nawet ponad liczbą dwa, tak bliską jedności, osiąga pojęcia prostego i samowystarczającego; w potrójnym zaś przedstawia się duszy niezupełnie jeszcze przypuszczonej do wielkich tajemnic.

Tenże Filon, który tak aż do utraty rozumu się rozplatonował, jest tym samym, który później był posłem do cesarza Klaudiusza. Cieszył się on wielką powagą w Aleksandrii i prawie wszyscy hellenizujący Żydzi, porwani urokiem jego stylu i popędem, jaki wszyscy ludzie mają do nowości, przyjęli jego naukę tak dalece, że wkrótce byli tylko, że tak powiem, Żydami z nazwiska. Księgi Mojżeszowe stały się dla nich pewnego rodzaju tłem, na którym tkali według upodobania własne alegorie i tajemnice, zwłaszcza zaś mit potrójnego kształtu.

W owej epoce Esseńczycy już byli utworzyli dziwaczne swe stowarzyszenie. Nie żenili się i nie posiadali żadnych majątków, wszystko należało do ogółu. Na koniec ujrzano powstające wokół nowe religie, mieszanki judaizmu i magizmu, saboizmu i platoizmu, wszędzie zaś mnóstwo przesądów gwiazdziarskich. Dawne religie zewsząd waliły się ze swych posad.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz kończył te słowa, znaleźliśmy się niedaleko miejsca spoczynku, porzucił nas więc i przepadł gdzieś w górach. Nad wieczorem Cygan, mając czas wolny, tak dalej ciągnął swoje opowiadanie:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Młody Suarez, opowiedziawszy mi historię swego pojedynku z Busquerem, uczuł się zmorzony snem, zostawiłem go więc w spokoju, nazajutrz zaś zapytawszy, co się dalej stało, taką otrzymałem odpowiedź:

DALSZY CIĄG HISTORII LOPEZA SUAREZ

Busqueros, zraniwszy mnie w ramię, rzekł, że prawdziwym szczęściem jest dlań ta nowa sposobność okazania mi swego poświęcenia. Rozdarł moją koszulę, owiązał mi ramię, okrył płaszczem i zawiódł do chirurga. Ten opatrzył mi rany, sprowadził powóz i odwiózł do domu. Busqueros kazał wnieść sobie łóżko do przedpokoju. Nieszczęsny skutek moich usiłowań pozbycia się natręta odstręczył mnie od podejmowania nowych i poddałem się memu losowi.

Nazajutrz dostałem gorączki, jaka zwykle nawiedza rannych. Busqueros nadal narzucał mi się z usługami i na chwilę mnie nie opuszczał. Czwartego dnia mogłem nareszcie z przewiazaną ręką wyjść na ulicę, piątego zaś przyszedł do mnie służący pani Avalos i przyniósł list, który Busqueros natychmiast pochwycił i czytał, co następuje:

Ineza Moro do Lopeza Suarez.

Dowiedziałam się, że miałeś pojedynek i zostałeś ranny u: ramie. Wierz mi, że bardzo nad tym cierpiałam. Teraz trzeba będzie użyć ostatecznych środków. Chce, aby mój ojciec zastał cię u mnie. Przedsięwzięcie jest śmiałe, ale mamy za sobą ciotkę Avalos, która nam pomoże. Zaufaj człowiekowi, który wręczy ci ten list - jutro już będzie za późno.

- Senor don Lopez - rzekł nienawistny mi Busqueros - widzisz, że tym razem nie możesz obejść się beze mnie. Przyznasz chyba, że każde podobne przedsięwzięcie z natury swojej do mnie należy. Uważałem cię zawsze za zbyt szczęśliwego, że potrafiłeś zjednać sobie moją przyjaźń, atoli dziś więcej niż kiedykolwiek poznasz całą jej wartość. Na św. Rocha, mego patrona, gdybyś był pozwolił mi dokończyć mojej historii, byłbyś zobaczył co uczyniłem dla księcia Arcos, ale przerwałeś mi, i to jeszcze tak gwałtownym sposobem. Zresztą nie skarżę się, gdyż rana, którą ci zadałem, pozwoliła mi dać nowe dowody mego dla ciebie poświęcenia. Teraz, senor don Lopez, błagam cię tylko o jedną łaskę: nie mieszaj się do niczego, póki nie nadejdzie stanowcza chwila. Tymczasem żadnej gadaniny, żadnych pytań! Zaufaj mi, senor don Lopez, zaufaj!

To powiedziawszy Busqueros wyszedł do drugiego pokoju z powiernikiem panny Moro. Długo szepotali coś między sobą. wreszcie Busqueros sam powrócił, niosąc w ręku pewien rodzaj planu wyobrażającego uliczkę Augustianów.

- Oto jest - rzekł - koniec ulicy, która prowadzi do dominikanów. Tam bodzie stał służący panny Moro wraz z dwoma ludźmi, za których mi ręczy. Ja zaczaję się na przeciwnym końcu ulicy z kilku zaufanymi przyjaciółmi, którzy i ciebie darzą przyjaźnią, senor don Lopez. Nie, nie mylę się. Będzie ich tylko dwóch, reszta zostanie przy tylnych drzwiczkach, by trzymać w szachu ludzi Santa Maury.

Sądziłem, że plany te dają i mnie prawo objawienia swego zdania. Chciałem dowiedzieć się, co przez ten czas będę porabiał, ale Busqueros przerwał mi opryskliwie i rzekł:

- Żadnej gadaniny, don Lopez, żadnych pytań! Taka była nasza umowa; jeżeli ty o niej zapomniłeś, ja dobrze ją pamiętam.

Przez resztę dnia Busqueros ciągle wchodził i wychodził. Wieczorem nastąpiło to samo; raz dom sąsiedni był zanadto oświetlony, to znowu pokazywali się na ulicy jacyś podejrzani ludzie lub też nie spostrzeżono jeszcze umówionych znaków. Czasami Busqueros przychodził sam, kiedy indziej przysyłał z doniesieniem jednego ze swoich powierników. Nareszcie przyszedł po mnie i wymógł, że udałem się za nim. Możesz domyślić się, jak mi serce biło. Myśl, że gwałcę ojcowskie rozkazy, przyczyniła się do mego pomieszania, wszelako miłość brała górę nad innymi uczuciami.

Busqueros, wchodząc w uliczkę Augustianów, pokazał mi posterunek swych przyjaciół i dał im hasło.

- W razie gdyby kto obcy tędy przechodził - rzekł do mnie - moi przyjaciele udadzą, że kłócą się między sobą, tak więc, chcąc nie chcąc, będzie musiał zawrócić. Teraz - dodał - jesteśmy już u celu. Oto drabina, po której dostaniesz się na górę. Widzisz, że mocno jest oparta o cegły. Ja będę uważał na znaki, a skoro uderzę w rękę, zaczniesz wstępować.

Ale któż by mógł przypuszczać, że po tych wszystkich planach i przygotowaniach Busqueros pomyli się w oknach. Uczynił to jednak i zobaczysz, co z tego wynikło.

Skoro tylko postyszałem znak, chociaż z przewiązonym ramieniem, natychmiast zacząłem wstępować, opierając się na jednym ręku. Dostawszy się na górę, nie znalazłem według przyrzeczenia otwartej okiennicy, musiałem więc stukać, wsparty tylko na nogach. W tej chwili ktoś gwałtownie otworzył okno uderzając mnie okiennicą. Straciłem równowagę i ze szczytu drabiny spadłem na cegły leżące na dole. Złamałem sobie w dwóch miejscach ramię już zranione, potrzaskałem nogę, którą zaczepliłem między szczeblami, drugą wywichnąłem i pokaleczyłem się od karku aż do krzyżów. Człowiek, który otworzył okiennicę, życzył sobie zapewne mojej śmierci, gdyż zawołał:

- Czy zginąłeś?

Bałem się, że zechce mnie dobić, odpowiedziałem więc, że zginąłem. Po chwili odezwał się ten sam głos:

- Czy jest czyściec na tamtym świecie? Ponieważ cierpiałem niewypowiedziane bóle, odrzekłem przeto, że jest i że już się w nim znajduję. Następnie, zdaje mi się, straciłem przytomność.

Tu przerwałem Suarezowi i zapytałem go, czy była tego wieczora burza.

- Bez wątpienia - odpowiedział - grzmiało, błyskało się i być może dlatego Busqueros pomylił się w oknach.

- Co słyszę - zawołałem zdziwiony - to jest więc nasza dusza czyścowa! nasz biedny Aguilar!

To mówiąc wybiegłem jak strzała na ulicę. Dzień zaczynał świtać, nająłem dwa muły i czym prędzej pośpieszyłem do klasztoru kamedułów. Znalazłem kawalera Toledo leżącego krzyżem przed świętym obrazem. Położyłem się obok niego, a ponieważ u kamedułów nie wolno głośno mówić, na ucho opowiedziałem mu pokrótce całą historię Suareza. Zrazu słowa moje nie wywarły nań na pozór żadnego wrażenia, wnet jednak dostrzegłem, że się uśmiecha. Nachylił mi się do ucha i rzekł:

- Kochany Avarito, jak ci się zdaje, czy żona oidora Uscariza kocha mnie i czy jest jeszcze wierna?

- Niezawodnie - odpowiedziałem - ale cicho, nie gorszmy tych zacnych pustelników. Módl się senor jak zazwyczaj, ja zaś tymczasem pójdę powiedzieć, że skończyliśmy już naszą pokutę.

Przeor, usłyszawszy, że kawaler pragnie wrócić do świata, pożegnał go, niemniej jednak chwając jego pobożność.

Jak tylko wydobyliśmy się z klasztoru, kawaler natychmiast odzyskał dawną wesołość. Opowiadałem mu o Busquorze; powiedział mi na to, że go zna i że jest to szlachcic z orszaku księcia Arcos, uchodzący za najnieznośniejszego człowieka w całym Madrycie.

Gdy to Cygan mówił, jeden z jego podwładnych przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności i już go więcej tego dnia nie ujrzeliśmy.

Dzień trzydziesty siódmy

Następny dzień poświęciliśmy spoczynkowi. Śniadanie było obfitsze i lepiej przyrządzone. Zeszliśmy się wszyscy. Piękna Żydówka przyszła ustrojona z większą starannością niż zazwyczaj, ale zachody te były zbyteczne, jeżeli czyniła je w celu przypodobania się księciu, wcale bowiem nic postać jej go oczarowała. Velasquez widział w Rebecce kobietę odznaczającą się od innych większą głębością myśli i umysłem wydoskonalonym przez nauki ścisłe.

Rebeka od dawna pragnęła poznać poglądy księcia na religię, żywiła bowiem zdecydowaną niechęć do chrystianizmu i wchodziła do spisku, którego celem było skłonienie nas do przejścia na wiarę Proroka. Zagadnęła więc księcia wpół poważnie, a wpół żartobliwie, czy w swojej religii nie znalazł takiego równania, którego rozwiązanie nastęczałoby mu trudność.

Na wzmiankę o religii Velasquez zachmurzył czoło, ale widząc, że prawie żartem zadawano mu pytanie, z twarzą niezbyt zadowoloną zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział tymi słowy:

- Widzę, dokąd pani zmierzasz; zadajesz mi pytanie geometryczne, odpowiem więc wspierając się na zasadach tej nauki. Chcąc oznaczyć nieskończoną wielkość, piszę leżącą ósemkę μ i dzielę ją przez jedność; przeciwnie, jeżeli pragnę oznaczyć nieskończoną małość, piszę jednostkę i dzielę ją przez taką ósemkę. Wszelako znaki te, których używam w rachunkach, nie dają mi żadnego pojęcia o tym, co chcę wyrazić. Nieskończona wielkość jest to niebo ze swymi gwiazdami, wzięte nieskończoną ilość razy. Nieskończona małość jest to nieskończenie mała cząstka najmniejszego z atomów. Oznaczam więc nieskończoność, ale jej nie pojmuję. Jeżeli zatem nie mogę pojąć i nie mogę wyrazić, a za ledwie tylko mogę oznaczyć lub raczej z daleka wskazać nieskończoną małość i nieskończoną wielkość, jakimże sposobem wyrażę to, co jest zarazem nieskończenie wielkie, nieskończenie rozumne, nieskończenie dobre i jest twórcą wszelkich nieskończoności?

Tu Kościół przybywa mojej geometrii na pomoc. Ukazuje mi trójkę, która mieści się w jednostce, ale jej nie niweczy. Cóż mogę zarzucić temu, co przechodzi moje pojęcie? Muszę się poddać.

Nauka nigdy nie prowadzi do niewiary, nieuctwo nas tylko w niej pogrąża. Nieuk, który co dzień widzi jakąś rzecz, wnet mniema, że ją rozumie. Prawdziwy badacz natury porusza się pośród zagadek; ciągle zajęty zgłębianiem, pojmuje zawsze przez pół, uczy się wierzyć w to, czego nic rozumie, i tak zbliża się do świątyni wiary. Don Newton i don Leibniz byli szczerymi chrześcijanami, a nawet teologami, i obaj przyjęli tajemnicę liczb, której nie mogli pojąć.

Gdyby urodzili się w naszym wyznaniu, byliby przyjęli również i drugą tajemnicę, niemniej niepojętą, która polega na możliwości ścisłego połączenia się człowieka ze Stwórcą. Nie przemawia za nią żaden oczywisty fakt, przeciwnie, same tylko niewiadome, ale, z drugiej strony, przekonywa nas ona o zasadniczej różnicy, zachodzącej między człowiekiem a innymi istotami odzianymi w materię. Jeżeli bowiem człowiek rzeczywiście jest jedynym w swoim rodzaju na tej ziemi, jeżeli dowodnie

przekonani jesteśmy, że różni się od całego królestwa zwierzęcego, natenczas łatwiej przypuścimy możliwość połączenia się jego z Bogiem. Po tym przygotowaniu zajmijmy się na chwilę siłą pojmowania, jaką mogą odznaczać się zwierzęta.

Zwierzę chce, pamięta, rozważa, waha się, rozstrzyga. Zwierzę myśli, ale nie może przedmiotem swojego myślenia uczynić własnych myśli, co stanowiłoby siłą pojmowania podniesioną do drugiej potęgi. Zwierzę nie mówi: "Jestem istotą myślącą". Abstrakcja tak mało jest dlań przystępna, że nigdy nie widziano zwierzęcia, które by miało najmniejsze pojęcie o liczbach. Liczby jednak stanowią najprostszy rodzaj abstrakcji.

Sroka nie opuszcza swego gniazda, dopóki nie jest pewna, że żaden człowiek nie znajduje się w pobliżu. Chciano przekonać się o rozległości jej inteligencji. Pięciu strzelców weszło do kryjówki; wyszli jeden po drugim i sroka nie porzuciła gniazda, dopóki nie ujrzała piątego wychodzącego. Skoro strzelcy przysli w sześciu lub siedmiu, sroka nie mogła się ich doliczyć lub też odlatywała za piątym, skąd niektórzy wniesli, że sroka umie liczyć do pięciu. Mylili się; sroka zatrzymała obraz zbiorowy pięciu ludzi, ale bynajmniej ich nie policzyła. Liczyć jest to odrywać liczbę od rzeczy. Widzimy nieraz szarlatanów pokazujących małe konie, które uderzają nogą tyle razy, ile jest pików albo trefli na karcie, ale to tylko skinienie ich pana skłania je do uderzeń. Zwierzęta nie mają żadnego pojęcia o liczeniu i tę abstrakcję, najprostszą wszystkich, można uznać za granicę ich inteligencji.

Jednakże nie ma wątpliwości, że inteligencja u zwierząt często zbliża się do naszej. Pies z łatwością poznaje pana domu i odróżnia jego przyjaciół od obcych; pierwszych lubi, drugich zaledwie znosi. Nienawidzi ludzi, którym źle z oczu patrzy, miesza się, kręci, niepokoi. Spodziewa się kary i wstydu, gdy go schwytać na wzbronionym uczynku. Pliniusz mówi, że wyuczono słonie tańczyć i że wypatrzone raz, jak przy świetle księżyca powtarzały lekcję.

Inteligencja zwierząt dziwi nas, ale zawsze dotyczy pojedynczych wypadków. Zwierzęta wykonywają dane im rozkazy, unikają rzeczy wzbronionych, jak zresztą wszystkiego, co mogłoby im przynieść szkodę, natomiast niezdolne są wytworzyć sobie ogólnego pojęcia o dobrym przy pomocy szczegółowego pojęcia o tym albo owym czynie. Nie mogą one swoich czynów oceniać, nie mogą ich rozdzielać na dobre i złe; abstrakcja ta jest daleko trudniejsza od abstrakcji liczbowej, ponieważ zaś niepodobna im zdobyć się na mniej, nie ma przyczyny, dla której potrafiłyby więcej.

Sumienie jest w pewnej części dziełem człowieka, gdyż to, co uważa się w jednym kraju za dobre, w drugim poczytuje się za złe. Na ogół jednak sumienie wskazuje na to, co proces abstrakcji tym lub owym sposobem oznaczył jako rzecz dobrą lub złą. Zwierzęta nie są zdolne do takiej abstrakcji, nie mają zatem sumienia, nie mogą iść za jego głosem, nie zasługują więc ani na nagrodę, ani na karę, chyba na takie, które stają się ich udziałem dla naszego, nigdy zaś dla ich własnego pożytku.

Widzimy stąd, że człowiek jest jedynym w swoim rodzaju na ziemi, na której wszystko inne wchodzi do ogólnego systemu. Tylko człowiek może przedmiotem swego myślenia uczynić własne myśli, tylko on umie abstrahować i uogólniać takie czy inne właściwości. Tym samym zdolny jest do położenia zasługi lub wyrządzenia krzywdy, albowiem abstrahowanie, uogólnianie oraz rozróżnianie zła i dobra ukształtowało w nim sumienie.

Jednakże, dlaczego człowiek posiada przymioty, odróżniające go od wszystkich innych istot żywych? Tu przez analogię dochodzimy do wniosku, że jeżeli wszystko na świecie ma postawiony sobie pewien cel, sumienie nie może być bez celu dane człowiekowi.

Oto dokąd nas to rozumowanie doprowadziło - do religii naturalnej, ta zaś - dokąd nas wiedzie, jeżeli nic do tego samego celu, co i religia objawiona, to jest do przyszłej nagrody lub kary. Skoro iloczyn jest taki sam, mnożne i mnożniki nie mogą być rozmaite.

Z tym wszystkim rozumowanie, na jakim religia naturalna się zasadza, jest często niebezpieczną bronią, raniącą tego, kto Jej używa. Jakież cnoty nie chciano potępić za pomocą rozumowania lub jakiej nie próbowano usprawiedliwić zbrodni! Czyliż Opatrzność wieczna rzeczywiście zamierzała zdać moralność na łaskę sofistyki? Bez wątplenia - nie; wiara więc, wsparta na zwyczajach powziętych od dziecinnych lat, na miłości dzieci ku rodzicom, na potrzebach serca, ukazuje człowiekowi fundament daleko pewniejszy od rozumowania. Zwątpiono nawet o sumieniu, które wyróżnia nas od zwierząt; sceptycy chcieli sobie uczynić z niego igraszkę. Usiłowali nam wmówić, jakoby człowiek w niczym nie różnił się od tysiąca innych istot pojmujących, odzianych w materię i zaludniających kulę ziemską. Ale na przekór im człowiek czuje w sobie sumienie, kapłan zaś przy konsekracji mówi mu: "Bóg jedyny zstępuje na ten ołtarz i łączy się z tobą". Wtedy człowiek przypomina sobie, że nie należy do świata zwierząt; wchodzi w samego siebie i znajduje sumienie.

Moglibyście zapytać mnie, po co usiłuję was przekonać, iż religia naturalna prowadzi do tego samego celu, co i religia objawiona, bo przecież skoro jestem chrześcijaninem, powinienem wyznawać tę ostatnią i wierzyć w cuda, które stworzyły jej fundament. Pozwólcie zatem, że naprzód oznaczymy różnicę między religią naturalną a objawioną.

Podług teologa Bóg jest twórcą religii chrześcijańskiej, podług filozofa także, ponieważ wszystko, co się dzieje, pochodzi z woli boskiej; ale teolog wspiera się na cudach, które są wyjątkami w ogólnych prawach natury i tym samym nie przypadają do smaku filozofowi. Ten ostatni, jako badacz natury, skłonny jest mniemać, że Bóg, twórca naszej świętej religii, chciał ją ufundować przy pomocy ludzkich środków, nie wyłamując się z powszechnych praw, rządzących światem duchowym i materialnym.

Tutaj różnica nie jest jeszcze tak znaczna, wszelako badacz natury pragnie wprowadzić jeszcze jedno subtelne rozróżnienie. Powiada on do teologa: Ci, którzy widzieli cuda na własne oczy, mogli im z łatwością uwierzyć. Dla ciebie, urodzonego o osiemnaście wieków później, wiara jest zasługą, a jeżeli wiara jest zasługą, to twoją wiarę można uważać za jednakowo wypróbowaną zarówno w wypadku jeżeli cuda te rzeczywiście miały miejsce, jak też wówczas jeżeli to tylko uświęcona tradycja podała je do twojej wiadomości. Skoro zaś wiarę w obu tych razach można uważać za jednakowo wypróbowaną, zasługa również musi być jednaka.

Tu teolog przechodzi do natarcia i mówi do badacza natury: Tobie zaś kto odkrył prawa natury? Skąd wiesz, czy cuda, zamiast być wyjątkami, nie są raczej objawami nie znanych tobie zjawisk? Nie możesz bowiem powiedzieć, że znasz dokładnie prawa natury, do których odwołujesz się od wyroków religii. Promienie twego wzroku podciągnąłeś pod prawa optyki; jakim więc sposobem, wszędzie się przedzierając, i o nic nie uderzając, nagle, spotkawszy zwierciadło, wracają, jak gdyby odbiły się o jakieś ciało sprężyste? Dźwięki również się odbijają, a echo jest ich obrazem; z pewnym przybliżeniem stosują się do nich te same prawa, co do promieni świetlnych, chociaż mają raczej charakter

modalny, podczas gdy promienie świetlne zdają się nam ciałami. Ty jednak nie wiesz tego, gdyż w gruncie rzeczy nic nie wiesz.

Badacz natury musi przyznać, że nic nie wie, wszelako dodaje: Jeżeli ja nic jestem w stanie określić cudu, to ty znów, senior teologu, nic masz prawa odrzucać świadectwa Ojców Kościoła, którzy przyznają, że nasze dogmaty i tajemnice istniały już w religiach przedchrześcijańskich. Ponieważ więc nie weszły do tych poprzednich religii za pomocą objawienia, musisz zatem zbliżyć się do mego zdania i przyznać, że można było sformułować te same dogmaty bez pomocy cudów. Zresztą - mówi badacz - jeżeli chcesz, abym ci otwarcie powiedział, jaki mam pogląd na pochodzenie chrześcijaństwa, to proszę, posłuchaj: Świątynie starożytnych były po prostu jatkami, bogowie ich bezwstydnymi rozpustnikami, ale w niektórych zgromadzeniach ludzi pobożnych panowały zasady daleko czystsze i składano ofiary mniej odrażające. Filozofowie oznaczali Bóstwo imieniem Theos, nie wymieniając ani Jowisza, ani Saturna. Rzym podbijał naówczas ziemię i przypuszczał ją do swoich bezceństw. Mistrz boski zjawił się w Palestynie, zaczął nauczać miłości bliźniego, pogardy bogactw, zapomnienia krzywd, poddania się woli Ojca, który jest w niebie. Ludzie prości towarzyszyli mu za życia. Po jego śmierci zesłali się z ludźmi oświeconszymi i wybrali z obrzędów pogańskich to, co najlepiej przystawało do nowej wiary. Nareszcie Ojcowie Kościoła zabłysnęli z kazalnicy wymową bez porównania bardziej przekonującą od tej, jaką dotąd słyszano z mównic. Takim sposobem, za pomocą środków na pozór ludzkich, chrystianizm utworzył się z tego, co było najczystsze w religiach pogan i żydów.

Tak właśnie spełniają się zawsze wyroki Opatrzności. Stwórca światów mógł bez wątpienia ognistymi głoskami wypisać swoje święte prawa na gwiazdzistym niebie, ale nie uczynił tego. Skrył w starożytnych misteriach obrzędy doskonalszej religii, zupełnie tak, jak w żółędzi ukrywa las, który będzie kiedyś ocieniał naszych potomków. My sami, aczkolwiek nic wiemy o tym, żyjemy przecież wśród przyczyn, nad których skutkami potomność będzie się zdumiewać. Dlatego to nazywamy Boga Opatrznością, w przeciwnym bowiem razie nazywalibyśmy Go tylko Potęgą.

Tak wyobraża sobie badacz natury początki chrześcijaństwa. Teolog się z nim bynajmniej nie zgadza, ale też i nie odważa się go zwalczać, ponieważ dostrzegą w poglądach swego przeciwnika myśli słuszne i wielkie, skłaniające go do pobłażliwości wobec błędów, które można wybaczyć.

Tym sposobem zdania filozofa i teologa mogą, na kształt linii znanych pod nazwą asymptot, nigdy nie spotykając się, coraz bardziej się zbliżać, aż do odległości mniejszej od wszelkiej, jaką możemy sobie wyobrazić, czyli że różnica między nimi będzie mniejsza od wszelkiej różnicy możliwej do oznaczenia i od wszelkiej ilości, mogącej być ocenioną. Skoro zatem nie jestem w stanie ocenić różnicy, jakim prawem odważę się występować z moim zdaniem przeciw przekonaniom moich braci i Kościoła? Czyż mogę rozsiewać moje wątpiwości pośród wiary, jaką oni wyznają i którą przyjęli za podstawę swej moralności? Bez wątpienia - nie; nie mam do tego prawa, poddaję się więc sercem i duszą. Don Newton i don Leibniz, jak powiedziałem, byli chrześcijanami, a nawet teologami; ten ostatni wiele zajmował się połączeniem Kościołów. Co do mnie, nie powinienem wymieniać się po tych wielkich mężach; badam teologię w dziełach stworzenia, ażeby wynaleźć nowe powody wielbienia Stwórcy.

To powiedziawszy Velasquez zdjął kapelusz, przybrał zamyśloną minę i wpadł w zadumę, którą u ascety można by wziąć za ekstazę. Rebeka nieco się zmieszala, ja zaś zrozumiałem, że dla tych, którzy chcą osłabić w nas zasady religii i namówić do przejścia na wiarę Proroka, sprawa równie trudna będzie z Velasquezem jak ze mną.

Dzień trzydziesty ósmy

Spoczynek poprzedniego dnia pokrzepił nasze siły. Ruszyliśmy w drogę z większą ochotą. Żyd Wieczny Tułacz nie pokazał się dnia wczorajszego, gdyż nie mając prawa ani na chwilę pozostać na miejscu, mógł nam opowiadać swą historię tylko wtedy, gdy byliśmy w drodze. Zaledwie jednak ujechaliśmy ćwierć mili, zjawił się, zajął zwykłe miejsce między mną a Velasquezem i zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Dellius starzał się i czując zbliżającą się ostatnią godzinę, przywołał mnie i Germana i kazał nam kopać w piwnicy tuż przy drzwiach, mówiąc, że znajdziemy tam małą skrzynkę z brązu, którą mamy ma przynieść. Wykonaliśmy jego rozkazy, znaleźliśmy i przynieśli mu skrzynkę.

Dellius dobył klucza, który miał zawieszony na szyi, otworzył skrzynkę i rzekł nam:

- Oto są dwa pergaminy, opatrzone podpisami i pieczęciami. Pierwszy zapewni ci, mój synu, posiadanie najpiękniejszego domu w Jerozolimie, drugi jest rewersem na trzydzieści tysięcy darejków i procenta od wielu lat urosłe.

Naówczas opowiedział mi historię dziada mego Hiskiasa i wuja Sedekiasa, po czym dodał:

- Chciwy i podły ten człowiek żyje dotąd, co dowodzi, że wyrzuty sumienia nie zabijają. Moje dzieci, skoro ja żyć przestanę, udajcie się do Jerozolimy, wszelako nie dawajcie się poznać, dopóki nie znajdziecie opiekunów; może nawet lepiej byłoby zaczekać, aż Sedekias umrze, co - z uwagi na jego podeszły wiek - zapewne wkrótce nastąpi. Tymczasem będziecie mogli żyć z pięciuset darejków; znajdziecie je zaszyte w mojej poduszce, której nigdy na chwilę nie odstępuję. Jeszcze jednej rady chciałbym wam udzielić: życie zawsze uczciwie, a za to będziecie mieli wieczór życia spokojny. Co do mnie - umrę, jakem żył, to jest śpiewając; będzie to, jak mówią, łabędzi śpiew. Homer, ślepy równie jak ja, ułożył hymn do Apollina, wyobrażającego to słońce, którego równie jak i ja nie widział. Przed lata podłożyłem pod ten hymn muzykę, zacznę więc pierwszą strofę, ale wątpię, czy zdołam dokończyć ostatniej.

To mówiąc Dellius zawiódł hymn, zaczynający się od słów: "Witaj, szczęśliwa Latono", ale kiedy doszedł do "Delos, jeżeli chcesz, aby syn mój zamieszkiwał twoje brzegi" - głos jego osłabł, pochylił głowę na moje ramię i wyzionął ducha.

Długo opłakiwaliśmy naszego opiekuna, wreszcie udaliśmy się do Palestyny i dwunastego dnia po opuszczeniu Aleksandrii stanęliśmy w Jerozolimie. Dla większego bezpieczeństwa odmieniliśmy nazwiska. Ja przybrałem miano Antypa, Germanus zaś kazał się nazywać Glaphrysem. Zatrzymaliśmy się w gospodzie przed murami miasta i prosiliśmy o wskazanie nam mieszkania Sedekiasa. Natychmiast nam je pokazano. Był to najpiękniejszy dom w całej

Jerozolimie, prawdziwy pałac, godny mieścić w sobie syna królewskiego. Najęliśmy nędzną izdebkę u szewca, który mieszkał naprzeciwko Sedekiasa. Ja prawie ciągle siedziałem w domu, Germanus zaś biegał mieście i zbierał nowiny.

W kilka dni po naszym przybyciu wbiegł do mnie i rzekł:

- Kochany przyjacielu, zrobiłem ciekawe odkrycie. Potok Cedron tuż za domem Sedekiasa rozlewa się we wspaniałe jezioro. Starzec zwykł tam przepędzać wieczory w jaśminowej altanie. Już się tam dziś zapewne znajduje; chodź, pokażę ci twego prześladowcę.

Poszedłem za Germanem i przybyliśmy nad brzeg potoku naprzeciw pięknego ogrodu, gdzie ujrzałem śpiącego starca. Usiadłem i zacząłem mu się przypatrywać. Jakże sen jego odmienny był od Delliusowego. Snadź trapiące go sny straszliwie go niepokoiły, gdyż wzdrygał się co chwila.

- Ach, Delliusie - zawołałem - zaprawdę, mądrze radziłeś mi, abym żył uczciwie.

Germanus uczynił tę samą uwagę.

Gdyśmy się tak zastanawiali, spostrzegliśmy przedmiot, na którego widok zapomnieliśmy o wszystkich naszych uwagach. Była to młoda dziewczyna, najwyżej szesnastoletnia, nadzwyczajnej piękności, którą podnosił jeszcze bogaty ubiór. Perły i łańcuchy, wysadzone kosztownymi kamieniami, zdobiły jej szyję, ramiona i nogi. Na sobie miała lekką tunikę Inianą, przetykaną złotem. Germanus pierwszy krzyknął: - To istna Wenus! - ja zaś mimowolnym poruszeniem padłem przed nią na kolana. Młoda piękność spostrzegła nas i nieco się zmieszła, wkrótce jednak opanowała się, wzięła wachlarz z pawich piór i zaczęła owiewać głowę starca, dla ochłodzenia go i przedłużenia mu snu.

Gormanus dobył książki, którą przyniósł był ze sobą, i udał, że czyta, ja zaś - że go słucham, jednakże zajmowaliśmy się wyłącznie tym, co się działo w ogrodzie.

Starzec ocknął się; po kilku pytaniach, jakie zadał młodej dziewczynie, poznaliśmy się, że ma wzrok osłabiony i że nie może dostrzec nas z tak daleka, co nas mocno ucieszyło, postanowiliśmy bowiem jak najczęściej tu wracać.

Sedekias odszedł, wspierając się na młodej dziewczynie, my zaś powróciliśmy do domu. Nie mając innego zatrudnienia, wdaliśmy się w rozmowę z naszym szewcem, który nam powiedział, że Sedekias nie ma żyjącego syna, że cały jego majątek odziedziczy córka jednego z jego synów, że ta młoda wnuczka nazywa się Sara i że dziadek nadzwyczajnie ją kocha.

Gdyśmy odeszli do naszej izdebki, Germanus rzekł:

- Kochany przyjacielu, przychodzi mi na myśl sposób szybkiego skończenia twego sporu z Sedekiasem. Musisz ożenić się z jego wnuczką, w przeprowadzeniu jednak tego zamiaru do skutku potrzeba wielkiej przezorności.

Pomysł ten bardzo mi się podobał; długo rozmawialiśmy o wnuczce Sedekiasa i przez całą noc o niej tylko marzyłem.

Nazajutrz i następnych dni o tej samej porze wracałem do potoku. Stale widywałem w ogrodzie moją piękną kuzynkę z dziadkiem lub samą, a chociaż nie przemówiłem do niej ani słowa, nie wątpiłem jednak, że wiedziała, dla kogo tam przychodzi.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz domawiał tych słów przybyliśmy na miejsce noclegu i nieszczęśliwy włóczęga przepadł gdzieś w górach.

Rebeka nic zagadywała już księcia o religię, ponieważ jednak chciała poznać to, co nazywał on swoim

systemem, schwyciła pierwszą sposobność i zarzuciła go pytaniami.

- Pani - odparł Velasquez - jesteśmy jako ślepi: wiemy, gdzie znajdują się narożniki kilku domów, i znamy końce paru ulic, wszelako nie należy na pytać o plan całego miasta. Ponieważ jednak nastajesz na mnie, będę usiłował dać ci pewne pojęcie o tym, co zowiesz moim systemem, co zaś ja sam nazywam raczej sposobem zapatrywania się na rzeczy.

Wszystko zatem, co nasze oko obejmuje, cały widnokrąg rozciągający się u stóp gór, nareszcie całą naturę dostrzegalną za pomocą naszych zmysłów - możemy podzielić na materię martwą i organiczną. Materia organiczna różni się od martwej posiadaniem organów, zresztą utworzona jest z tych samych pierwiastków. Tak więc moglibyśmy znaleźć w tej skale, na której siedzisz, lub w tym trawniku takie samo pierwiastki, z jakich pani się składasz. W istocie, masz pani wapno w swoich kościach, krzemionkę w ciele, alkalia w żółci, żelazo we krwi, sól w łzach. Warstwy tłuszczowe twego ciała są po prostu kombinacją materii palnych z pewnymi pierwiastkami powietrza. Nareszcie, gdyby panią wsadzono do pieca chemicznego, można by cię sprowadzić do stanu flaszeczki szklanej; gdyby zaś dodać nieco metalicznego wapna, mógłby być z pani bardzo piękny obiekt do teleskopu.

- Przedstawiasz mi, książę, zachwycający obraz - rzekła Rebeka. - Proszę cię, racz mówić dalej.

Velasquez mniemał, że sam nic wiedząc kiedy powiedział jakąś grzeczność pięknej Żydówce, uchylił więc z wdziękiem kapelusza i tak ciągnął dalej:

- Widzimy w pierwiastkach materii nieożywionej spontaniczną dążność jeżeli nic do form organicznych, to przynajmniej do kombinacji. Pierwiastki to łączą się, rozdzielają, aby znowu łączyć się z innymi. Znajdują upodobanie w pewnych kształtach: można by pomyśleć, że stworzone są do bytu organicznego, wszelako same przez się nic mogą się organizować i bez iskry zapładniającej nie zdołają przejść do takiego rodzaju kombinacji, którego ostatecznym wynikiem jest życie.

Podobnie jak fluid magnetyczny, życie spostrzegamy tylko w przejawach jego działania. Pierwszym takim przejawem jest powstrzymywanie w ciałach organicznych fermentacji wewnętrznej, którą nazywamy rozkładem. Zaczyna się on w ciałach organicznych, skoro tylko życie je opuści.

Życie długo może ukrywać się w płynie, jak na przykład w jajku lub też w materii stałej, jak choćby w ziarnie, by potem rozwinąć się w przyjaznych okolicznościach.

Życie znajduje się we wszystkich częściach ciała, nawet w płynach, nawet we krwi, która psuje się, dobytą z naszych żył.

Życie jest w ścianach żołądka, które chroni przed działaniem soku żołądkowego, rozpuszczającego ciała martwe dostające się do wnętrza.

Życie utrzymuje się przez pewien czas w członkach oddzielonych od reszty ciała. Nareszcie, życie użycza zdolności rozrodczych. Nazywamy to tajemnicą poczęcia, która tak jest dla nas niepojęta, jak prawie wszystko w naturze.

Istoty organiczne dzielą się na dwa wielkie rodzaje: pierwszy podczas spalania wydziela alkalia stałe, drugi obfituje w alkalia lotne. Rośliny wchodzą do pierwszego rodzaju, zwierzęta do drugiego.

Są zwierzęta, które pod względem budowy swego organizmu zdają się być o wiele niższe od niektórych roślin. Takimi są ameby, które można ujrzyć unoszące się w morzu, lub wodnice, które włożą owcom w mózgi.

Są inne, daleko wyższego organizmu, w których jednak niepodobna jasno rozpoznać tego, co nazywamy wolą. Tak na przykład gdy koral rozwiera swoją jamę dla pochłonięcia małych żyjątek, którymi się karmi, możemy przyjąć, że poruszenie to jest skutkiem jego budowy, jak to widzimy w kwiatach, które zamykają się na noc, we dnie zaś obracają ku słońcu.

Rodzaj woli polipa wyciągającego czułki i rozwierającego jamę można dość trafnie przyrównać do woli oka nowo narodzonego, które chce, choć jeszcze nie myśli. Wola bowiem u dzieci poprzedza myśl i jest bezpośrednim następstwem potrzeby lub cierpienia.

W istocie, przygnieciony jaki członek naszego ciała chce koniecznie rozciągnąć się i zmusza nas do wypełnienia jego woli. Żołądek często opiera się sposobowi żywienia, jaki mu przepisują. Gruczoły ślinowe wzbierają na widok pożądaney strawy, a podniebienie zaczyna łechtać, tak że często rozum zaledwie z trudnością może zapanować. Gdybyśmy sobie wyobrazili człowieka, który przez długi czas nie jadł, nie pił, leżał ze skurczonymi członkami i żył w celibacie, zobaczylibyśmy wówczas, że różne części jego ciała nastęrczałyby mu jednocześnie rozmaite chęci.

Wolę pochodzącą bezpośrednio z potrzeby spostrzegamy zarówno w dorosłym polipie, jak i w nowo narodzonym dziecku. Są to elementarne pierwiastki wyższej woli, która następnie rozwija się w miarę doskonalenia się organizmu. Wola w dziecku nowo narodzonym zapewne poprzedza myśl, ale bardzo niewiele, myśl zaś ma także swoje elementarne pierwiastki, które musicie poznać.

Gdy Velasquez rozwijał tak swoje poglądy, przerwano mu dalsze dowodzenie. Rebeka oświadczyła księciu całą przyjemność, z jaką go słuchała, i odłożono na następny dzień dalszy ciąg nauki, która mnie także mocno zajęła.

Dzień trzydziesty dziewiąty

O wschodzie słońca ruszyliśmy w dalszą drogę. Żyd wkrótce się z nami złączył i tak ciągnął swoje opowiadanie:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Podczas gdy całą duszą oddawałem się marzeniom o pięknej Sarze, Germanus, którego moje zamiary mało co obchodziły, przepędził kilka dni na słuchaniu nauk pewnego mistrza, zwanego Jozue, który stał się później sławny pod imieniem Jezusa, Jezus albowiem po grecku znaczy to samo, co Jehoszua po hebrajsku, jak możecie przekonać się o tym z przekładu Siedemdziesiąciu. Germanus chciał nawet udać się za swoim mistrzem do Galilei, atoli myśl, że może stać mi się użyteczny, zatrzymała go w Jerozolimie.

Pewnego wieczoru Sara zdjęła swoją zasłonę i chciała zawiesić ją na gałęziach drzewa balsamowego, ale w tej samej chwili wiatr pochwycił lekką tkaninę i powiewając nią zaniósł na środek Cedronu. Rzuciłem się w fale potoku, porwałem zasłonę i zaczepiłem ją na krzakach u stóp ogrodowego tarasu. Sara rzuciła mi złoty łańcuszek, który zdjęła z szyi. Pocałowałem go, a polem wpływ powróciłem na drugą stronę potoku.

Plusk wody obudził starego Sedekiasa. Chciał dowiedzieć się, co zaszło. Sara zaczęła mu opowiadać zdarzenie, starzec postąpił parę kroków naprzód, myśląc, że stoi tuż przy balustradzie; tymczasem wszedł na skałę, gdzie nie umieszczono żadnej poręczy z powodu gęstych krzewów, które ją tam zastępowały. Noga pośliznęła mu się, rozchyliły się krzewy i Sedekias stoczył się w potok. Rzuciłem się za nim, schwyciłem go i wyniosłem na brzeg. Wszystko to stało się w jednej chwili.

Sedekias odzyskał przytomność i widząc się w moich objęciach, zrozumiał, że zawdzięcza mi życie. Zapytał mnie, kim jestem.

- Żydem z Aleksandrii - odpowiedziałem - nazywam się Antyp; straciłem ojca i matkę, nie wiedząc zatem, co począć, przyszedłem szukać szczęścia w Jerozolimie.

- Ja ci zastąpię ojca - rzekł Sedekias - odtąd będziesz mieszkał w moim domu.

Przyjąłem zaproszenie, nic wspominając wcale o towarzyszu, który nie wziął mi tego za złe i sam mieszkał u naszego szewca. Takim sposobem wszedłem do domu mego najzaciętszego wroga i z każdym dniem zyskiwałem coraz większy szacunek człowieka, który byłby mnie zamordował, gdyby się dowiedział, że większa część jego majątku, prawem dziedzictwa, do mnie należy. Sara ze swej strony okazywała mi co dzień większą przychylność.

Wymiana pieniędzy odbywała się wówczas w Jerozolimie tak samo, jak dziś jeszcze odbywa się na całym Wschodzie. Jeżeli będziecie w Kairze lub w Bagdadzie, zobaczycie u drzwi meczetów ludzi siedzących na ziemi i trzymających na kolanach małe stoliki z rowkiem w rogu do zsypywania odrachowanych monet. Przy nich stoją worki ze srebrem i złotem, które otwierają dla żądających tego lub owego rodzaju pieniędzy. Wymieniaczów tych nazywają dziś sarafami. Wasi ewangeliści mianowali ich trapezytami, z powodu kształtu stolików, o których wam mówiłem.

Prawie wszyscy wymieniacze jerozolimscy pracowali na rachunek Sedekiasa, on zaś porozumiewał się z dzierżawcami rzymskimi i z celnikami, podbijając lub zniżając kurs pieniędzy stosownie do własnej korzyści.

Zrozumiałem wkrótce, że najlepszym sposobem pozyskania łaski mego wuja będzie dokładne poznanie pieniężnych operacji i pilne baczenie na zwyczki i niżki kursów. Zamiar mój tak dalece mi się powiódł, że po dwóch miesiącach nie ośmielano się przeprowadzić żadnej operacji, nie zasięgnąwszy wprzód mojego zdania.

Okolo tego czasu rozeszła się pogłoska, Jakoby Tyberiusz miał w całym państwie nakazać powszechne przetopienie pieniędzy. Srebrne monety nie miały więcej krążyć; rzekomo zamierzano zlać je w sztaby i odesłać do cesarskiego skarbcza. Nie ja wymyśliłem tę pogłoskę, ale sądziłem, że wolno mi ją rozsiewać. Możecie wyobrazić sobie, jakie wrażenie sprawiła na wszystkich jerozolimskich wymieniaczach. Sam Sedekias nie wiedział, co o tym sądzić i nie potrafił powziąć żadnej stanowczej decyzji.

Mówiłem wam już, że na całym Wschodzie wymieniacze zasiadają u drzwi meczetów; w Jerozolimie mieliśmy nasze kantory w samej świątyni, która była tak obszerna, że sprawy, jakie w jednym z jej kątów załatwialiśmy, bynajmniej nie przeszkadzały służbie bożej. Od kilku dni wszelako taki strach padł na wszystkich, że żaden wymieniacz się nie pokazał. Sedekias nie pytał mnie o zdanie, ale chciał, zda się, wyczytać je z moich oczu.

Nareszcie, gdy doszedłem do wniosku, że srebrne pieniądze dostatecznie już zostały zdyskredytowane, przedstawiłem plan mój starcowi. Słuchał mnie z uwagą, długo zdawał się zastanawiać i namyślać, nareszcie rzekł:

- Kochany Antypie, mam w piwnicy dwa miliony złotych sestercji; jeżeli twój plan się powiedzie, będziesz mógł poprosić o rękę Sary.

Nadzieja posiadania pięknej Sary i widok złota, zawsze dla Żyda ponętny, wprawiły mnie w zachwyt, który jednak nie przeszkodził mi natychmiast wybiec na ulicę z zamiarem ostatecznego zdyskredytowania srebrnej monety. Germanus z całych sił mi dopomagał; przekupiłem także kilku kupców, którzy za moją namową wzbraniли się sprzedawać towary za srebro. W krótkim czasie rzeczy zaszyły tak daleko, że mieszkańcy Jerozolimy znienawidzili srebrne pieniądze. Skoro przekonaliśmy się, że uczucie to jest już dostatecznie silne, przystąpiliśmy do wykonania naszego planu.

Upatrzonego dnia kazałem zanieść do świątyni wszystko złoto w zakrytych spiżowych naczyniach; zarazem oznajmiłem, że Sedekias, mając uskutecznić znaczne wypłaty w srebrze, powziął zamiar zakupu dwóchkroć stu tysięcy sestercji i ofiaruje uncję złota za dwadzieścia pięć uncji srebra. Zyskiwaliśmy na tym obrocie przeszło sto od sta.

Natychmiast lud ze wszystkich stron zaczął się cisnąć i niebawem wymieniłem połowę mego złota. Nasi służący co chwila odnosili srebro, tak że powszechnie mniemano, iż utargowałem dotąd zaledwie dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy sestercji. Wszystko szło przewybornie i byłbym niezawodnie podwoił majątek Sedekiasa, gdy wtem jakiś faryzeusz przyszedł nam oznajmić...

Gdy Żyd Wieczny Tułacz doszedł do tego miejsca swego opowiadania, obrócił się do Uzedy i rzekł:

- Potężniejszy od ciebie kabalista wzywa mnie gdzie indziej.

- Zapewne - odparł kabalista - nie chcesz nam opowiedzieć o zgiełku, jaki wszczął się w świątyni, i o razach, które otrzymałeś.

- Starzec z góry Libanu wzywa mnie - rzekł Żyd i zniknął nam z oczu.

Wyznam, że nie bardzo się tym zmartwiłem i nie życzyłem sobie jego powrotu, gdyż podejrzewałem, że człowiek ten jest oszustem doskonale znającym historię, który pod pozorem opowiadania własnych przygód mówi nam rzeczy, których nie powinniśmy słuchać.

Tymczasem przybyliśmy na miejsce noclegu i Rebeka zaczęła prosić księcia, aby raczył dalej wykladać swój system. Velasquez zamyślił się przez chwilę, po czym jął mówić w te słowa:

- Staralem się wczoraj objaśnić wam elementarne pierwiastki woli i powiedziałem, że wola poprzedza myśl. Mieliśmy następnie mówić o elementarnych pierwiastkach myśli. Jeden z najgłębszych filozofów starożytnych wskazał nam prawdziwą drogę, po której trzeba postępować w badaniach metafizycznych, ci zaś, którzy sądzą, że do jego odkryć nowe dodali, moim zdaniem nie uczynili żadnego kroku naprzód.

Dawno już przed Arystotelesom wyraz "pojęcie", "idea", znaczył u Greków "obraz", i stąd poszła nazwa: bożyszczce - idol. Arystoteles, rozpatrzywszy się dobrze w swych pojęciach, poznał, że wszystkie rzeczywiście pochodzą od obrazów, czyli od wrażeń sprawionych na naszych zmysłach. Tu widzimy przyczynę, dla której geniusz nawet najbardziej twórczy nie jest w stanie wymyślić niczego nowego. Twórcy mitologii złączyli popiersie mężczyzny z kadłubem konia, ciało kobiety z ogonem ryby, odjęli cykloptom jedno oko, Briarejowi dodali ramiona, ale nic nowego nie wymyślili, nie jest to bowiem w mocy człowieka. Od Arystotelesa powszechnie przyjęto zasadę, że to tylko jest w myśli, co wprzód przeszło przez zmysły.

Za naszych jednak czasów powstałi filozofowie, którzy uważali się za daleko głębszych i mówili:

- Przyznajemy, że umysł nie mógłby wyrobić w sobie zdolności bez pośrednictwa zmysłów, ale gdy zdolności te raz się już rozwiną, umysł pojmuje rzeczy, które nigdy nie przechodziły przez zmysły, jak na przykład: przestrzeń, wieczność lub twierdzenia matematyczne.

Przyznam się, że wcale nie pochwalam tej nowej teorii. Abstrakcja nie wydaje mi się niczym więcej, jak tylko odejmowaniem. Chcąc abstrahować, trzeba odejmować. Jeżeli w myśli odejmę od mego pokoju wszystko, co się w nim znajduje, nie wyłączając powietrza, wtedy pozostanie mi czysta przestrzeń. Jeżeli od pewnego okresu czasu odejmę początek i koniec, mam pojęcie o wieczności. Jeżeli od istoty myślącej odejmę ciało, mam pojęcie o aniołach. Jeżeli od linii odejmę w myśli ich szerokość, aby zastanawiać się tylko nad ich długością i płaszczyznami, jakie w sobie zamykają, otrzymam pewniki Euklidesa. Jeżeli odejmę człowiekowi jedno oko i dodam mu wzrostu, będę miał postać cyklopa. Wszystko to są obrazy otrzymane za pośrednictwem zmysłów. Jeżeli nowi mędracy przedstawiają mi jedną abstrakcję, której nie potrafiłbym sprowadzić do odejmowania, natychmiast stanę się ich uczniem. Tymczasem będę trzymał się starego Arystotelesa.

Wyraz: "idea", "pojęcie" ("obraz") nie odnosi się wyłącznie do tego, co sprawia wrażenie na naszym wzroku. Dźwięk uderza nasze ucho i daje nam pojęcie należące do zmysłu słuchu. Zęby cierpną nam od cytryny i tym sposobem nabywamy pojęcia o kwasie.

Wszelako zauważcie, że nasze zmysły są w możności odebrać wrażenie wtedy nawet, gdy przedmiot znajduje się poza ich zasięgiem. Skoro wspomną nam o ugryzieniu cytryny, na samo pojęcie ślina idzie nam do ust i zęby cierpną. Przerażliwa muzyka brzmi nam w uszach, choć orkiestra dawno już

przestała grać. W teraźniejszym stanie fizjologii nie umiemy jeszcze wytłumaczyć snu i marzeń w nim doświadczanych, wszelako domyślamy się, że nasze organy, wskutek poruszeń niezależnych od naszej woli, znajdują się w czasie snu w takim samym stanie, w jakim znajdowały się podczas odbierania danego wrażenia zmysłowego, czyli, inaczej mówiąc, podczas powzięcia idei.

Stąd także wynika, że zanim dalej postąpimy w naukach fizjologicznych, możemy teoretycznie uważać pojęcia za wrażenia sprawione na naszym mózgu, za wrażenia, które organy mogą odbierać - świadomie lub mimowolnie - również i w nieobecności przedmiotu. Zauważcie, że gdy myślimy o przedmiocie, który znajduje się poza zasięgiem naszych zmysłów, wrażenie jest mniej żywe, w stanie jednak gorączkowym może być równie silne jak to, które niegdyś odebrane zostało za pomocą zmysłów.

Po tym paśmie określeń i wniosków, nieco trudnym do natychmiastowego ogarnięcia, przejdźmy do uwag, które mogą rzucić na to zagadnienie nowe światło.

Zwierzęta budową swego organizmu zbliżające się do człowieka i wykazujące mniejszą lub większą inteligencję - posiadają (o ile wiem - wszystkie) organ zwany mózgiem. Przeciwnie, w zwierzętach zbliżających się do roślin niepodobna wyśledzić tego organu.

Rośliny żyją, a nawet niektóre z nich poruszają się. Pomiędzy zwierzętami morskimi są takie, które, podobnie jak rośliny, nie mogą poruszać się z miejsca na miejsce. Widziałem inne znowu zwierzęta morskie które poruszają się zawsze jednakowo, na kształt naszych płuc, jak gdyby zupełnie nie miały żadnej woli.

Zwierzęta lepiej uorganizowane posiadają wolę i zdolność pojmowania, ale jeden tylko człowiek używa władzy abstrahowania.

Wszelako nic wszyscy ludzie posiadają tę władzę. Dezorganizacja systemu gruczołowego pozbawia tej władzy chorych na wole górali. Z drugiej strony, brak jednego lub dwóch zmysłów ogromnie utrudnia abstrahowanie. Głuchoniemi, którzy przez brak mowy podobni są do zwierząt, z trudnością mogą chwycić oderwane pojęcia, pokazując im jednak pięć lub dziesięć palców, kiedy rzecz bynajmniej nie chodzi o palce, daje się im pojęcie o liczbach. Widzą modlitwę, pokłony i nabierają pojęcia o bóstwie.

Ociemniali mają w tym względzie daleko mniej trudności, gdyż przy pomocy mowy, będącej potężnym narzędziem ludzkiej inteligencji, można im podsuwać gotowe pojęcia oderwane. Z drugiej strony, niemożność oddawania się roztargnieniu nadaje ociemniałym szczególniejszą zdolność do kombinacji.

Jeżeli jednak wyobrazicie sobie nowo narodzone dziecię zupełnie głuche i ślepe, możecie być przekonani, że nie będzie ono w stanie przyswoić sobie żadnych pojęć oderwanych. Jedynymi pojęciami, jakie poweźmie, będą te, do których dojdzie za pośrednictwem powonienia, smaku lub dotyku. Człowiek taki będzie nawet mógł marzyć o podobnych pojęciach. Jeżeli użycie czegoś wyrządzi mu szkodę, na drugi raz potrafi się od tego powstrzymać, nie zbywa mu bowiem na pamięci. Atoli nie sądzę, aby jakimkolwiek sposobem można wpoić w jego umysł oderwane pojęcie o ziem. Nie będzie miał sumienia, nic zasłuży więc nigdy ani na nagrodę, ani na naganę. Gdyby popełnił

morderstwo, sprawiedliwość nie miałyby prawa wymierzyć mu kary. Oto są więc dwa ciuchu. dwie części tchnienia boskiego, ale jakież niepodobne do siebie! A różnica dotyczy tylko dwóch zmysłów.

Daleko mniejsza różnica, aczkolwiek nader jeszcze wielka, zachodzi między Eskimosem lub Hotentotem a człowiekiem z wykształconym umysłem. Jakaż jest przyczyna tej różnicy? Nie jest nią brak jednego lub więcej zmysłów, ale odmienna ilość pojęć i kombinacji. Człowiek, który obejrzał całą ziemię oczami podróżników, który widział w dziejach wszystkie ważne wypadki, rzeczywiście ma w głowie mnóstwo obrazów, których nie posiada wieśniak; jeżeli zaś kombinuje swoje pojęcia, zestawia je i porównywa, natenczas mówimy, że ma wiedzę i rozum.

Don Newton miał zwyczaj ciągłego kombinowania pojęć i z mnóstwa pojęć, jakie nagromadził, powstała między innymi kombinacja spadającego jabłka i księżycy przytwierdzonego w swojej orbicie do ziemi.

Stąd wniosłem, że różnica między rozumami polega na ilości obrazów i na łatwości ich kombinowania, czyli, jeżeli wolno mi się tak wyrazić, jest wprost proporcjonalna do liczby obrazów i do łatwości ich kombinowania. Tu jeszcze na chwilę poproszę was o baczną uwagę.

Zwierzęta, których organizm jest niezogniskowany, nie mają zapewne ani woli, ani pojęć. Poruszenia ich, jak poruszenia mimozy, są pomimowolne. Możemy wszelako przypuścić, że gdy słodkowodny polip wyciąga czułki, by pochłonąć robaczki, i połyka takie, które bardziej mu smakują od innych, to nabiera pojęcia o złym, dobrym lub lepszym. Jeżeli zaś ma możliwość odrzucania złych robaczków, musimy przypuścić, że nie brak mu woli. Pierwszą zatem wolą była potrzeba, która zmusiła go do wyciągnięcia ośmiu czułków, połknięte zaś żyjątka dały mu dwa lub trzy pojęcia. Odrzucić jedno żyjątko, połknąć drugie - należy do wolnego wyboru, który wypływa z jednego lub kilku pojęć.

Zastosowawszy to samo dowodzenie do dziecka, zobaczymy, że pierwsza jego wola pochodzi bezpośrednio z potrzeby. Ta to wola zmusza je do przytknięcia ust do piersi mamki. ale skoro tylko skosztowało pokarmu, natychmiast nabiera pojęcia, potem zmysły jego odbierają nowe wrażenia, i tak nabywa drugiego pojęcia, następnie trzeciego itd.

Pojęcia zatem można tak samo policzyć, jak widzieliśmy, że można je kombinować. A wobec tego da się do nich zastosować jeżeli nic rachunek kombinacyjny, to przynajmniej zasady tego rachunku.

Nazywam kombinacją układ niezależnie od ustawienia: tak więc na przykład AB jest tą samą kombinacją co BA. Dwie przeto litery dają się ułożyć jednym tylko sposobem.

Trzy litery, wzięte po dwie, dają się ułożyć, czyli kombinować, trzema sposobami. Czwarty jest - gdy wszystkie trzy stawiamy razem.

Cztery litery, wzięte po dwie, dają sześć kombinacji, po trzy - cztery, razem - jedną, czyli w ogóle - jedenaście. Następnie: pięć liter daje razem 26 kombinacji, sześć 57, siedem 120, osiem 247, dziewięć 502, dziesięć 1013, jedenaście 2036.

Widzimy więc, że każde nowe pojęcie podwaja liczbę kombinacji i że kombinacje pięciu pojęć tak się mają do kombinacji dziesięciu pojęć, jak 26 do 1013, czyli jak 1 do 39.

Wcale nie jest moim zamiarem obliczać rozum za pomocą tego materialnego rachunku; chciałem tylko wykazać ogólne zasady wszystkiego, co jest zdolne do kombinacji.

Powiedzieliśmy, że różnica rozumów jest wprost proporcjonalna do ilości pojęć i do łatwości ich kombinowania. Możemy zatem wyobrazić sobie skalę wszystkich tych rozmaitych rozumów. Przypuśćmy, że na szczycie skali stoi don Izaak Newton, którego rozum przedstawiałoby sto milionów, na dole zaś chłop alpejski, którego rozum wyobrazili sto tysięcy. Pomiedzy dwiema tymi liczbami możemy umieścić nieskończoność średnich proporcjonalnych, które będą oznaczały rozumy wyższe od chłopskiego, niższe zaś od geniuszu don Newtona.

W tej skali znajdzie się również mój rozum i rozum pani. Własnościami umysłów znajdujących się u góry będą: do odkryć Newtona przydawanie nowych, pojmowanie ich, uchwycenie pewnej ich części i zawładnięcie umiejętnością kombinowania.

Tak samo można sobie wyobrazić skalę zstępującą do dołu, która by zaczynała się od chłopca oznaczonego przez sto tysięcy, schodziła do umysłów oznaczonych przez szesnaście, jedenaście, pięć i kończyła na istotach mających cztery pojęcia i jedenaście kombinacji, nareszcie trzy pojęcia i cztery kombinacje.

Dzieci mające cztery pojęcia i jedenaście kombinacji nie umie jeszcze abstrahować myśli; wszelako pomiędzy tą liczbą a stoma tysiącami znajdzie się rozum złożony z pewnej ilości pojęć z takimi kombinacjami, których wynikiem będą pojęcia oderwane. Do tego złożonego rozumu zwierzęta nigdy nie dochodzą ani też dzieci głuche i ociemniałe. Te - dla braku wrażeń, zwierzęta dla braku kombinacji.

Najprostszym oderwanym pojęciem jest to, które odnosi się do liczb. Polega ono na oddzielaniu od przedmiotów ich własności liczbowych. Dziecko, zanim przyswoi sobie to najprostsze pojęcie oderwane, nie umie abstrahować, może ono tylko odejmować za pośrednictwem analizy własności, co zresztą też jest w pewnym sensie abstrahowaniem. Do pierwszego pojęcia oderwanego dochodzi dziecko stopniowo, a następne wytwarza sobie w miarę jak zdobywa nowe pojęcia i uczy się je kombinować.

A zatem skala poziomów inteligencji, od najniższego aż do najwyższego, składa się ze szczebli jakościowo identycznych. Jej kolejne stopnie tworzy wzrastająca liczba pojęć, a odpowiada im, stosownie do prawideł, wzrastająca liczba kombinacji. Są to wszędzie i zawsze to same elementy.

Wynika stąd, że inteligencja istot należących do różnych rodzajów może być uważana za w gruncie rzeczy jakościowo identyczną, zupełnie tak, jak najbardziej zawikłany rachunek nie jest niczym innym, jeno pasmem dodawań i odejmowań, czyli czynności jakościowo identycznych. Tak samo każde zagadnienie matematyczne, jeżeli nic posiada luk, jest w gruncie rzeczy pasmem abstrakcji, poczynając od najprostszych, a kończąc na najwyższych i najtrudniejszych.

Velasquez dodał jeszcze kilka podobnych porównań, których Rebeka zdawała się słuchać z przyjemnością, tak że oboje rozeszli się nawzajem z siebie zadowoleni.

Dzień czterdziesty

Obudziłem się wcześniej i wyszedłem z namiotu, aby ochłodzić się świeżym powietrzem poranku. Velasquez i Rebeka wyszli w tymże samym celu.

Zwróciliśmy nasze kroki ku drodze dla przekonania się, czy nie przejeżdżają nią jacy podróżni. Przyszedłszy do wąwozu, wijącego się między dwiema skałami, postanowiliśmy usiąść.

Niebawem spostrzegliśmy karawanę, która zbliżała się ku wąwozowi i przeciągała o pięćdziesiąt stóp pod skałami, na których się znajdowaliśmy. Im bardziej podróżni ci ku nam się zbliżali, tym większą obudzali w nas ciekawość. Czterech Indian otwierało pochod. Za całe odzienie mieli długie koszule obszyte koronkami. Słomiane kapelusze z pękami piór okrywały ich głowy. Wszyscy czterej uzbrojeni byli w długie strzelby. Dalej postępowało stado wigoni; na każdym z nich siedziała małpa. Potem na dzielnych koniach ciągnął orszak Murzynów, dobrze uzbrojonych. Za nimi jechało dwóch mężczyzn w podeszłym wieku, na przepysznych rumakach andaluzyjskich. Obaj starcy owinięci byli w płaszcze z błękitnego aksamitu, na których wyhaftowano krzyże Calatravy. Za nimi ośmiu wyspiarzy moluckich niosło chiński palankin, w którym siedziała młoda kobieta w bogatym hiszpańskim stroju. Młody człowiek na dziarskim rumaku wdzięcznie galopował przy drzewczkach jej palankinu.

Następnie ujrzelśmy młodą osobę leżącą, a nawet omdlałą, w lektyce; obok niej ksiądz jechał na mule, skraplał jej twarz święconą wodą i, jak się zdawało, odprawiał egzorcyzmy. Na koniec zamykał pochod długi szereg ludzi wszystkich odcieni, zaczawszy od czarnohebanowego aż do oliwkowego, białego bowiem wcale nie spostrzegliśmy.

Dopóki karawana mijala nas, nie pomyśleliśmy o tym, żeby zapytać, kim są ci ludzie, skoro jednak ostatni z nich przeszedł, Rebeka rzekła:

- W istocie, warto by się dowiedzieć, co to za jedni.

Gdy Rebeka czyniła tę uwagę, spostrzegłem jakiegoś człowieka, należącego do karawany, który pozostał w tyle. Odważyłem się zejść ze skały i pobiegłem za maruderem. Ten padł przede mną na kolana, i cały drżąc z przestachu, rzekł:

- Senor złodzieju, zlituj się, oszczędź szlachcica, który chociaż urodził się pośród kopalń złota, grosza jednak nic ma przy duszy.

Odpowiedziałem mu na to, że nie jestem złodziejem i że chcę tylko dowiedzieć się, kim są te znakomite osoby, które tylko co przeszły.

- Jeżeli tylko o to idzie - rzekł Amerykanin powstając - chętnie zadowolę twoją ciekawość. Wdrapiemy się na tę wysoką skalę; z niej będziemy mogli obejrzeć całą karawanę. Na przedzie widzisz senor ludzi dziwnie ubranych, którzy otwierają pochod. Są to górale z Cuzco i Quito, strażnicy tych pięknych wigoni, które pan mój ma zamiar ofiarować najjaśniejszemu królowi Hiszpanii i Indii.

Murzyni są niewolnikami mego pana. lub raczej byli nimi, gdyż ziemia hiszpańska nie cierpi równie niewoli jak kacerstwa, i od chwili, gdy ci czarni stanęli na tej świętej ziemi, są równie wolni jak ty i ja.

Ten pan w podeszłym wieku, którego senor widzisz na prawo, to hrabia de Peña Velez, siostrzeniec sławnego wicekróla tegoż nazwiska i grand pierwszej klasy. Ten drugi starzec to margrabia Torres Rovellas, syn margrabiego Torres i małżonek ostatniej dziedziczki rodziny Rovellas. Obaj ci panowie żyli zawsze w najściślejszej przyjaźni, którą utrwalili jeszcze małżeństwo młodego Peña Velez z córką jedynaczką margrabiego Torres Rovellas.

Widzisz stąd tę zachwycającą parę. Młodzieniec dosiada wspaniałego rumaka, narzeczona zaś spoczywa w palankinie, który król Borneo darował był przed laty nieboszczykowi wicekrólowi de Peña Velez.

Natomiast dziewczyny w lektyce, nad którą ksiądz odprawia egzorcyzmy, równie jak ty, senor, nic znam. Wczoraj rano przez ciekawość podszedłem do jakiejś szubienicy, stojącej tuż przy drodze. Znalazłem tam tę młodą dziewczynę leżącą między dwoma wisielcami, przywołałem więc resztę towarzystwa, chcąc im pokazać tę osobliwość. Hrabia, mój pan, widząc, że młoda dziewczyna jeszcze oddycha, kazał ją zanieść na miejsce naszego noclegu, postanowił nawet zatrzymać się tam jeszcze przez jeden dzień, aby można było lepiej doglądać chorej. W istocie, nieznajoma zasługuje na te starania, gdyż jest nadzwyczaj piękna. Dziś odważono się umieścić ją w lektyce, ale biedaczka co chwila upada na siłach i omdlewa.

Dworzanin, który postępuje za lektyką, to don Alvar Massa Gordo, pierwszy kuchmistrz, a raczej marszałek dworu hrabiego. Obok niego kroczą pasztetnik Lemada i cukiernik Lecho.

- Dziękuję ci, senor - rzekłem - mówisz mi daleko więcej, niż chciałem wiedzieć.

- Nareszcie - dodał - tym, który zamyka pochód i ma zaszczyt mówić z tobą, jest don Gonzalw de Hierro Sangre, szlachcic peruwiański, wywodzący się od Pizarrów i Almagrów i dziedzic ich męstwa.

Podziękowałem znakomitemu Peruwianinowi i złączyłem się z moim towarzystwem, któremu powtórzyłem zebrane wiadomości. Wróciliśmy do obozu i powiedzieliśmy naczelnikowi Cyganów, że spotkaliśmy jego małego Lonzeta i córkę owej pięknej Elwiry, której miejsce zajmował niegdyś przy wicekrólu. Cygan odrzekł nam, iż wie, że od dawna mieli oni zamiar opuścić Amerykę: przeszłego miesiąca wylądowali w Kadyksie, wyjechali stamtąd w zeszłym tygodniu i przepędzili dwie noce nad brzegiem Gwadalkwiwiru, niedaleko szubienicy braci Zota, gdzie znaleźli młodą dziewczynę między dwoma wisielcami.

Następnie dodał:

- Zdaje mi się, że ta młoda dziewczyna nie ma żadnego związku z Gomelezami; ja w każdym razie zupełnie jej nie znam.

- Jak to - zawołałem zdziwiony - ta dziewczyna nie jest narzędziem Gomelezów, a jednak znaleziono ją pod szubienicą? Miałyby te harce piekielnych duchów być prawdziwe?

- Kto wie, może się nie mylisz - odparł Cygan.

- Trzeba by koniecznie - rzekła Rebeka - przez kilka dni zatrzymać tu tych podróżnych.

- Myślałem już o tym - odpowiedział Cygan - i tej jeszcze nocy każę im skrać połowę ich wigoni.

Dzień czterdziesty pierwszy

Taki sposób zatrzymywania podróżnych wydał mi się nieco dziwnym, chciałem nawet przedłożyć w tym względzie naczelnikowi pewne moje uwagi; ale Cygan o wschodzie słońca kazał zwinąć obóz i poznałem po głosie, jakim wydawał rozkazy, że rady moje pozostałyby bez skutku.

Tym razem posunęliśmy się tylko o kilka staj, do miejsca, które musiało być niegdyś ulec trzęsieniu ziemi, gdyż spostrzegliśmy ogromną skałę prawie na dwoje rozłupaną. Zjedliśmy obiad, po czym każdy odszedł do swego namiotu.

Nad wieczorem udałem się do naczelnika, posłyszałem bowiem w jego namiocie nadzwyczajną wrzawę. Zastałem tam dwóch Amerykanów i potomka Pizarrów, który z wyniosłą natarczywością dopominał się o oddanie mu wigoni. Naczelnik słuchał go cierpliwie, a pokora ta ośmieliła senora de Hierro Sangre tak, że jeszcze głośniej zaczął wrzeszczeć, nie szczędząc Cyganowi przydomków łotra, złodzieja, rozbójnika i tym podobnych. Natenczas naczelnik gwizdnął przeraźliwie i namiot zaczął stopniowo napełniać się uzbrojonymi Cyganami. W miarę jak ich było coraz więcej, senior de Hierro Sangre coraz bardziej spuszczał z tonu. wreszcie tak zaczął drzeć, że zaledwie można było dosłyszeć, co mówi. Naczelnik widząc, że się uspokoił, podał mu przyjaźnie rękę i rzekł:

- Wybacz, dzielny Peruwianinie, pozory przemawiają przeciw mnie i pojmuję słuszny twój gniew, ale pójdź, proszę, do margrabiego Torres Rovellas i zapytaj go, czy nie przypomina sobie niejakiej pani Dalanosy. której siostrzeniec, powodowany jedynie grzecznością, podjął się zostać wicekrólową Meksyku na miejscu panny Rovellas. Jeżeli nie zapomniał o tym, proś go, aby raczył zaszczycić nas swymi odwiedzinami.

Don Gonzalw de Hierro Sangre. zachwycony, że sytuacja, która zaczynała go mocno niepokoić, tak szczęśliwie się zakończyła, przyrzekł co do słowa wypełnić dane mu polecenie. Po jego odejściu Cygan rzekł do mnie:

- Dawnymi czasy margrabia Torres Rovellas miał szczególne upodobanie do romansowości, trzeba zatem przyjąć go w takim miejscu, które mogłoby mu się podobać.

Weszliśmy w rozpadlinę skały, ocienioną z obu stron gęstymi zaroślami, i nagle uderzył mnie widok przyrody całkiem odmienny od tych, jakie dotychczas widziałem. Ostre skały - poprzerywane a zarazem ozdobione łąkami, na których kunsztownie, ale nie zachowując symetrii, rozsadzono kępy kwitnących krzewów - otaczały jezioro o wodzie ciemnozielonej, lecz przezroczystej aż do samego dna. Gdzie tylko skały dochodziły do wody. wąskie ścieżki wykute w kamieniu prowadziły z jednej łąki na drugą. Gdzieniedzie woda wpływała do jaskiń, podobnych do tych, jakie zdobiły wyspę Kalipso. Były to czarowne schronienia, upał nigdy tam nie dochodził, a orzeźwiająca kąpiel zdawała się wzywać przechodnia. Głębokie milczenie oznaczało, że od dawna żaden człowiek w te miejsca się nie przedarł.

Oto jest - rzekł naczelnik - prowincja mego małego państwa, w której przepędziłem kilka lat życia, jeżeli nie najszczęśliwszych, to przynajmniej najmniej burzliwych. Ale wkrótce zapewne przybędą obaj Amerykanie; zobaczmy, czy nie ma jakiego schronienia, gdzie byśmy mogli ich oczekiwać.

Po tych słowach weszliśmy wszyscy do jednej z najpowabniejszych jaskiń, gdzie złączyli się z nami Rebeka, jej brat i Velasquez. Niebawem spostrzeżliśmy zbliżających się obu starców.

- Możeż to być - rzekł jeden z nich - abym po tylu latach znowu spotykał człowieka, który w młodości mojej wyświadczył mi tak ważną przysługę? Często dopytywałem się o ciebie, donosiłem ci nawet o sobie, podczas gdy znajdowałeś się jeszcze przy kawalerze Toledo, ale odtąd...

- Tak jest - przerwał stary naczelnik - odtąd trudniej było mnie wynaleźć; dziś jednak, gdy znowu jesteśmy razem, spodziewam się, że uczynisz mi, senor, zaszczyt przepędzenia kilku dni w tej okolicy. Sądzę, że po trudach tak męczącej podróży wypoczynek nie będzie zbyteczny.

- Jest to doprawdy czarodziejska okolica - rzekł margrabia.

- Za taką przynajmniej uchodzi - odpowiedział Cygan. - Za panowania Arabów nazywano to miejsce Ifrit hamami, czyli Diabelską Łażnią, dziś okolica nosi nazwę La Frita. Mieszkańcy Sierra Moreny lękają się do niej zbliżyć i wieczorami opowiadają sobie o niezwykłych rzeczach, które się tutaj dzieją. Nie mam zamiaru wyprowadzać ich z błędu, dlatego prosiłbym, aby większa część waszego orszaku pozostała zewnątrz doliny, tam gdzie rozłożyłem mój własny obóz.

- Drogi przyjacielu - odrzekł margrabia - pozwól tylko, abym wyjął spod tego prawa moją córkę i przyszłego mego zięcia.

Za całą odpowiedź naczelnik skłonił się głęboko i posłał swoich ludzi dla przeprowadzenia rodziny i kilku służących margrabiego.

Podczas gdy Cygan oprowadzał swoich gości po dolinie, Velasquez podjął kamyk, przyjrzał mu się uważnie i rzekł:

- Nie ma wątpliwości, że w każdej z naszych hut szklanych można by stopić ten kamyk na zwykłym ogniu, nie potrzebując doń dodawać żadnych innych składników. Jesteśmy tu w kraterze wygasłego wulkanu. Ma on kształt odwróconego stożka; gdybyśmy znali długość ściany, to można by obliczyć jego głębokość i obrachować siłę użytą na jego wydrążenie. Warto się nad tym głębiej zastanowić.

Velasquez zadumał się przez chwilę, dobył tabliczek, zaczął coś na nich pisać, po czym dodał:

- Mój ojciec miał nader trafne pojęcie o wulkanach. Jego zdaniem siła wybuchowa, powstająca w ognisku wulkanu, jest daleko większa od sił, które przypisujemy czy to parze wodnej, czy też prochowi strzelniczemu, i stąd wnosił, że ludzie przyjdą kiedyś do poznania płynów, których działanie wytłumaczy im większą część zjawisk natury.

- Mniemasz zatem, księżę - rzekła Rebeka - że wulkan wydrążył to jezioro?

- Nie inaczej - odparł Velasquez - rodzaj kamienia i kształt jeziora dostatecznie nam tego dowodzą. Sądząc z pozornej wielkości przedmiotów, jakie spostrzegam na przeciwnym brzegu, średnica jeziora wynosi około trzystu sążni; ponieważ zaś kąt pochylenia ściany stożka wynosi mniej więcej siedemdziesiąt stopni, możemy przyjąć, że ognisko znajdowało się na głębokości 413 sążni. Oznacza to, że wulkan wyrzucił dziewięć milionów siedemkroć trzydzieści cztery tysiące, czterysta pięćdziesiąt pięć sążni kwadratowych materii. Powiedziałem zaś już, że siły natury dotąd nam znane, w jakiegokolwiek ilości zebrane, nie byłyby w stanie sprawić podobnego skutku.

Rebeka chciała odpowiedzieć na to dowodzenie, gdy wtem wszedł margrabia ze swoją rodziną; ponieważ zaś rozmowa ta nie byłaby równie dla wszystkich zajmująca, naczelnik przeto, chcąc położyć koniec matematycznym zagłębianiem Velasqueza, rzekł do swego gościa:

- Kiedym cię znał, senior, duszę twoją przepełniały tkliwe uczucia i byłeś piękny, jak bożek miłości. Związek twój z Elwirą musiał być pasmem niewypowiedzianych rozkoszy. Zrywałeś róże na drodze życia, nic tykając wcale cierni.

- Niezupełnie - odrzekł margrabia. - Wprawdzie uczucia tkliwe pochłoneły może zbyt wielką część mego życia, ale ponieważ nie zaniedbałem żadnego obowiązku uczciwego człowieka, mogę zatem śmiało przyznać się do tej mojej słabej strony. Usiedliśmy w miejscu nader przyjaznym dla romansowych opowiadań i jeżeli chcecie, dam wam poznać historię mego życia.

Całe towarzystwo z rozkoszą przyjęło oświadczenie margrabiego, który zaczął w te słowa:

HISTORIA MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS

Gdy oddano cię do kolegium teatynów, mieszkaliśmy, jak wiesz, niedaleko twojej ciotki Dalanosy. Matka moja często chodziła odwiedzać Elwirę, ale nigdy mnie ze sobą nie brała. Elwira wstąpiła do klasztoru, udając chęć zostania zakonnice i nie wypadało, aby przyjmowała odwiedziny młodego chłopca. Tak więc wystawieni byliśmy na wszystkie dolegliwości rozłączenia, które o ile możliwości osładzaliśmy sobie jak najczęstszymi listy. Matka moja zwykle je odnosiła, chociaż zawsze wzdragała się, utrzymując, że nie tak łatwo otrzymać dyspensę z Rzymu i że właściwie dopiero po jej uzyskaniu mielibyśmy prawo pisywać do siebie. Pomimo jednak tych skrupułów nie zaprzestała noszenia listów i przynoszenia mi odpowiedzi. Co się tyczy majątku Elwiry, nikt nie śmiał go ruszyć, gdyż z chwilą jej obłóczyn miał przejść na poboczną linię rodziny Rovellas.

Ciotka twoja mówiła mojej matce o swoim wuju teatynie, jako o doświadczonym i rozsądnym człowieku, który może jej poradzić w sprawie uzyskania dyspensy. Matka moja z wdzięcznością podziękowała twojej ciotce i napisała do ojca Santez, który znalazł sprawę tę nader ważną i, zamiast odpowiedzi, sam przybył do Burgos z pewnym radcą nuncjatury.

Ten ostatni przybrał zmyślane nazwisko, z powodu tajemnicy, jaką chciano osłonić całą sprawę. Postanowiono, że Elwira przez sześć miesięcy zostanie w nowicjacie, po czym, gdy się pokaże, że ominęła ją chęć do powołania zakonnego, będzie tylko mieszkała w klasztorze jako osoba wysokiego stanu, z przyzwoitym orszakiem, to jest z kobietami wraz z nią zamkniętymi: nadto, że będzie miała osobny dom zewnątrz klasztoru, urządzone tak, jak gdyby w nim mieszkała. Na razie zajęła go moja matka oraz kilku prawników zajmujących się szczegółami opieki. Ja miałem udać się z nauczycielem do Rzymu, radca zaś niebawem miał wyjechać za nami. Ten ostatni jednak zamiar nie przyszedł do skutku, gdyż uznano mnie za zbyt młodego, abym śmiał prosić o dyspensę, i dwa lata upłynęły, zanim opuściłem Burgos.

Podczas tych dwóch lat co dnia widywałem Elwirę w rozmównicy, resztę zaś czasu poświęcałem na pisanie do niej listów lub czytanie romansów, z których po większej części czerpałem myśli do moich oświadczeń miłosnych. Elwira czytywała te same książki i w tymże duchu mi odpowiadała. W ogóle

do całej tej korespondencji niewiele zużyliśmy naszych własnych myśli, ale nasze uczucia były prawdziwe, a w każdym razie czuliśmy wzajemny ku sobie pociąg. Krata dzieląca nas podniecała naszą miłość, krew wrzała w nas całym ogniom młodości, i pomieszanie naszych zmysłów powiększało jeszcze zamęt, panujący w naszych głowach.

Nadszedł czas wyjazdu. Chwila pożegnania była okropna. Nie wyuczyliśmy się ani też nie udawaliśmy naszej boleści, która rzeczywiście graniczyła z obłędem. Elwira zwłaszcza była w przerażającym stanie. lękano się o jej zdrowie. Moje cierpienie nie było mniejsze, ale dzielniej je znosiłem, tym bardziej że rozrywki podróży znacznie je uśmierzały. Wiele także byłem winien mojemu mentorowi, który wcale nie zakrawał na pedanta wydobytego z pyłu szkolnego, ale, przeciwnie, był dawnym wojskowym i jakiś czas nawet przepędził na królewskim dworze. Nazywał się Diego Santez i był bliskim krewnym teatyna tegoż nazwiska. Człowiek ten, równie bystry jak obeznany ze zwyczajami świata, starał się tysiącnymi sposobami sprowadzić mój umysł na drogę szczerzej otwartości, ale skłonność do urojeń zbyt silnie się już we mnie zakorzeniła.

Przybyliśmy do Rzymu i natychmiast udaliśmy się do monsignora Ricardi, audytora rot, cieszącego się znacznymi wpływami, szczególnie zaś dobrze widzianego od o. jezuitów, którzy podówczas rej wodzili w Rzymie. Monsignore Ricardi, człowiek dumnej i wyniosłej postaci, z wielkim krzyżem diamentowym na piersiach, przyjął nas uprzejmie i oznajmił, że zna powód, dla którego przyjechaliśmy do Rzymu, że sprawa nasza wymaga tajemnicy i że nie powinniśmy zbyt wiele być w towarzystwach.

- Wszelako - dodał - słusznie uczynicie, jeżeli będziecie do mnie przychodzili. Zajęcie, jakie wam będę okazywał, zwróci na was ogólną uwagę, unikanie zaś rozrywek światowych pokaże skromność, która postawi was w korzystnym świetle. Ja tymczasem wybadam usposobienie umysłów Św. Kolegium dla waszej sprawy.

Poszliśmy za radą Ricardiego. Z rana zwiedzałem starożytności Rzymu, wieczory zaś przepędzałem w willi, którą Ricardi posiadał niedaleko pałacu Barberinich. Margrabina Paduli przyjmowała gości. Była to młoda wdowa, która mieszkała u Ricardiego, nie mając bliższych krewnych. Tak przynajmniej ludzie mówili, prawdy bowiem nikt nie znał, gdyż Ricardi był rodem z Genui, mniemany zaś margrabia Paduli umarł w zagranicznej służbie.

Młoda wdowa posiadała wszelkie przymioty, jakich potrzeba do uprzyjemnienia domowego pożycia. Z ujmującą postacią łączyła grzeczność dla wszystkich, powściągliwość i pełną godność. Wszelako zdało mi się, że spogląda na mnie bardziej przyjaznym okiem niż na innych i okazuje mi pewną przychylność, która zdradzała się nieustannie, ale w szczegółach niedostrzegalnych dla reszty towarzystwa. Poznałem te tajemne uczucia, jakimi wszystkie romanse są przepętione, i żałowałem pani Paduli, że zwraca swoje zapały do człowieka, który żadnym sposobem nie może jej odpłacić wzajemnością. Pomimo to chętnie wdawałem się w rozmowę z margrabiną i rozprawiałem z nią o ulubionym moim przedmiocie, to jest o miłości, o różnych sposobach kochania, o różnicy między uczuciem a namiętnością, między stałością a wiernością. Gdy zgłębiałem ważne te zagadnienia z piękną Włoszką, nigdy mi nie przyszło na myśl, żebym mógł jakimkolwiek sposobem stać się niewierny Elwirze. Listy moje do Burgos zawsze ten sam cechował zapał.

Pewnego dnia udałem się do willi bez mego mentora. Nie zastawszy Ricardiego, zwróciłem kroki do ogrodu i zaszedłem do jaskini osłoniętej gęstymi krzewami jaśminu i akacji. Zastałem tam margrabinę

pogrążoną w głębokim dumaniu, z którego wyrwał ją szelest, jaki wchodząc sprawiłem. Żywe zdziwienie, jakie ujrzałem na jej obliczu, dało mi prawie do zrozumienia, że byłem jedynym przedmiotem jej marzeń. Oczy miała zalęknione, jak gdyby wypatrujące ratunku przed niebezpieczeństwem. Ocknęła się jednak posadziła mnie obok siebie i zaczęła zwykłym w. Włoszech zapytaniem:

- Lei a girato questa mattina? Czy chodziłeś pan na przechadzkę tego poranku? Odpowiedziałem, że byłem na korso, gdzie widziałem wiele pięknych kobiet między którymi najpiękniejsza była margrabina Lepari.

- Nie znasz więc signor piękniejszej? - zapytała moja sąsiadka.

- Wybacz pani - odpowiedziałem - znam w Hiszpanii pewną młodą osobę daleko piękniejszą.

Odpowiedź ta musiała sprawić przykrość margrabinie, gdyż znowu utonęła w zadumie, spuściła piękne oczy i wzrok pełen smutku utkwiała w ziemi. Dla rozerwania jej zacząłem zwykłą rozmowę o uczuciach miłosnych; natenczas podniosła na mnie omdlewające spojrzenie i rzekła:

- Doświadczyłeś kiedy tych uczuć, które tak wybornie umiesz malować?

- Bez wątpienia - zawołałem - stokroć nawet żywszych, stokroć bardziej tkliwych, i to właśnie dla osoby, o której nadzwyczajnej piękności pani wspomniałem.

Zaledwie domówiłem tych słów, gdy twarz margrabiny pokryła się śmiertelną bladością; padła na ziemię, jak gdyby bez duszy. Nigdy dotąd nic zdarzyło mi się widzieć kobiety w podobnym stanie i sam nie wiedziałem, co począć; szczęściem. spostrzegłem dwie służące na drugim końcu ogrodu, pobiegłem wice i przysłałem je na ratunek ich pani.

Następnie wyszedłem z ogrodu, rozmyślając nad tym, co mi się przydarzyło, podziwiając nade wszystko potęgę miłości i to, że jedna iskierka, padając na serce, może w nim spowodować nieopisane. spustoszenie. Żal mi było margrabiny, wyrzucałem. sobie, że stałem się powodem jej cierpienia, wszelako nie wyobrażałem sobie, abym mógł, tak dla Włoszki jak dla jakiegokolwiek innej kobiety w świecie zapomnieć o Elwirze.

Nazajutrz poszedłem do willi, ale mnie nie przyjęto. Pani Paduli była mocno cierpiąca; następnego dnia w Rzymie głośno mówiono o jej chorobie, lękano się o jej życie, ja zaś znowu dręczyłem się myślą, że stałem się przyczyną jej nieszczęścia.

Piątego dnia po tym wypadku weszła do mnie młoda dziewczyna osłonięta mantylą, która jej całą twarz zakrywała. Nieznajoma rzekła mi tajemniczym głosem.

- Signor forestiero, pewna umierająca kobieta pragnie koniecznie cię widzieć, pójdź za mną.

Domyśliłem się, że chodzi o panią Paduli, nic śmiałem jednak opierać się życzeniom konającej. Powóz czekał na mnie na końcu ulicy, wsiałem doń i przybyliśmy do willi.

Tylnym wejściem dostaliśmy się do ogrodu, weszliśmy w jakąś ciemną aleję, stamtąd zaś przez długi korytarz i kilka równie ciemnych pokojów przybyliśmy do komnaty margrabiny. Pani Paduli leżała w łóżku, podała mi śnieżną rękę, powiodła po mnie łzawymi oczyma i drżącym głosem przemówiła kilka słów, których z początku dosłyszeć nawet nie mogłem. Spojrzałem na nią. Jakże jej pięknie było z tą

bladością. Wewnętrzne cierpienia konwulsyjnie łamany jej rysy. na ustach jednak błąkał się anielski uśmiech. Ta sama kobieta, przed kilku dniami tak zdrowa i wesola, dziś chyliła się już do grobu. Ja więc byłem owym niegodziwcem, który podciął ten kwiat w samym rozkwicie, ja miałem wtrącić w przepaść tyle wdzięków. Na tę myśl serce ścisnęło mi się lodem, niewypowiedziany żal mnie ogarnął, pomyślałem, że może kilkoma wyrazami mogę jej życie ocalić padłem więc przed nią na kolana i przycisnąłem jej rękę do moich ust.

Jej palce pałały: sądziłem, że to z gorączki. Podniosłem oczy na chorą i ujrzałem, że leży na wpół naga. Aż do owej chwili nigdy nic widziałem, żeby kobieta miała odsłonięte coś więcej niż twarz i rękę. Wzrok mój zmieszał się i kolana zdrząły. Stałem się niewierny Elwirze, sam nie wiedząc, jak do tego doszło.

- Boże miłości - zawołała Włoszka - zdziałałeś cud! Ten, którego kocham, przywraca mi życie.

Ze stanu całkowitej niewinności wpadłem w odmęt najbardziej wyrafinowanych rozkoszy. Uszczęśliwiony nadzieją powrotu margrabiny do zdrowia, już sam nie wiem, co mówiłem; duma z wszechmocności moich uczuć ogarnęła całą moją istotę, jedne oświadczenia ścigały drugie, odpowiadałem nie pytany i pytałem nie czekając odpowiedzi. Margrabina widocznie odzyskiwała siły. Tak minęło cztery godziny, na koniec służąca przyszła nam dać znać, że czas się rozłączyć.

Szedłem do powozu z pewnym trudem, zmuszony oprzeć się na ramieniu dziewczyny, która rzucała na mnie równie jak jej pani płomienne spojrzenia. Byłem przekonany, że dobra dziewczyna tym sposobem wyraża mi swoją wdzięczność za przywrócenie zdrowia jej pani, i uszczęśliwiony moim powodzeniem uściskałem ją z całego serca. W istocie, wdzięczność młodej dziewczyny musiała być bez granic, gdyż oddała mi równie serdeczny uścisk, mówiąc:

- I na mnie przyjdzie kolej.

Zaledwie jednak wsiadłem do powozu, gdy myśl, że zdradzam Elwirę, zaczęła mnie niewypowiedzianie dręczyć.

- Elwiro - zawołałem - moja luba Elwiro, zdradziłem cię!... Nie jestem ciebie godny!... Przeklęta niech będzie chwila, w której dałem się namówić na powrócenie zdrowia margrabinie!

Tak wypowiedziałem wszystko, co się zwykle mówi w podobnych wypadkach, i przybyłem do domu z mocnym postanowieniem niepowracania więcej do margrabiny.

Gdy gość nasz domawiał tych słów, Cyganie przyszli po rozkazy do naczelnika, który poprosił swego dawnego przyjaciela, aby raczył odłożyć na jutro dalszy ciąg opowiadania, i sam odszedł.

Dzień czterdziesty drugi

Nazajutrz zebraliśmy się wszyscy w tej samej jaskini i margrabia widząc, że z niecierpliw ością pragniemy poznać dalszy ciąg jego przygód, zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS

Mówiłem wam już o wyrzutach, jakie mnie dręczyły na myśl o sprzeniewierzeniu się Elwirze. Nie wątpiłem, że służąca margrabiny zjawi się nazajutrz, aby mnie znowu zaprowadzić do łóżka swojej pani, ale przyrzekłem sobie, że przyjmę ją jak najgorzej. Wszelako, ku wielkiemu memu zdziwieniu, Sylwia ani nazajutrz, ani następnych dni wcale się nie pokazała. Nareszcie po tygodniu przyszła wystrojona bardziej, niżeli powabna jej postać tego potrzebowała. Dawno już spostrzegłem, że służąca piękniejsza jest od pani.

- Sylwio - rzekłem - idź sobie ode mnie. Z twojej to przyczyny sprzeniewierzyłem się zachwycającej kobiecie, którą kocham. Oszukałaś mnie. Myślałem, że idę do konającej, tymczasem zawiodłaś mnie do kobiety opętanej żądzą rozkoszy. Chociaż serce moje jest niewinne, to jednak nie mogę tego o samym sobie powiedzieć.

- Mój młody cudzoziemcze - odrzekła Sylwia - uspokój się, jesteś niewinny, pod tym względem możesz być zupełnie spokojny, ale nie myśl, że chcę zaprowadzić cię do mojej pani, która spoczywa teraz w ramionach Ricardiego.

- W ramionach swojego wuja? - zawołałem.

- Bynajmniej, Ricardi nie jest jej wujem; chodź ze mną, wszystko ci wytłumaczę.

Zdjęty ciekawością, poszedłem za Sylwią. Wsiadliśmy do powozu, przybyliśmy do willi, zeszliśmy do ogrodu, po czym piękna posłanniczka zaprowadziła mnie do swego pokoju, prawdziwej izdebki garderobianej, zdobnej w słoiki z pomadą, grzebienie i tym podobne przybory do strojów. W głębi stało śnieżnobiałe łóżeczko, spod którego wyglądała para uderzająco wykwintych pantofelków. Sylwia zdjęła rękawiczki, mantylę i chustkę, którą miała na piersi.

- Wstrzymaj się - zawołałem - takim samym sposobem uwiodła mnie twoja pani.

- Pani moja - odrzekła Sylwia - ucieka się do ostatecznych środków, bez których ja na razie potrafię się obejść.

To mówiąc otworzyła szafkę, dobytek owoców, ciasta, butelkę wina, postawiła to wszystko na stole, który przysunęła do łóżka, i rzekła:

- Wybacz, piękny Hiszpanie, że nie mogę ofiarować ci krzesła, ale tego poranku zabrano mi ostatnie, służące zaś zwykle nie mają wielkiego zbytku w sprzętach. Siadaj zatem obok mnie i racz przyjąć ten skromny posiłek, z całego serca cię zapraszam.

Nie mogłem odrzucić tak wdzięcznej ofiary, usiadłem więc obok Sylwii, zacząłem jeść owoce i pić wino, po czym poprosiłem ją, aby mi opowiedziała historię swej pani, co też uczyniła w tych słowach:

HISTORIA MONSIGNORA RICARDI I LAURY CERELLI, ZWANEJ MARGRABINĄ PADULI

Ricardi, najmłodszy syn znakomitej genueńskiej rodziny, popierany przez wuja swego, który był generałem jezuitów, wcześniej wstąpił do zakonu i niebawem został prałatem. Ujmująca postać i fioletowe pończochy szczególne wówczas wywierały wrażenie na wszystkich kobietach rzymskich. Ricardi nie omieszczał korzystać ze swoich powabów i postępując za przykładem konfratrów, tak

dalece nadużył światowych uciech, że w trzydziestym roku życia wszystkie go znudziły i zamierzył zająć się poważniejszymi sprawami.

Nie myślał oczywiście wyrzec się zupełnie kobiet, wszelako zapragnął nawiązać trwalsze i spokojniejsze stosunki. Nie wiedział jednak, jak sobie począć. Przez jakiś czas był cavaliere servente najpiękniejszych pań rzymskich, ale piękne panie zaczęły go dla młodszych prałatów opuszczać, zresztą znudziły go już te ciągłe nadszkakiwania, zmuszające do nieustannych kręceń się i biegań. Utrzymanki też go nie mogły zadowolić; nie biorą one udziału w życiu towarzyskim, więc nie wiadomo, o czym z nimi mówić.

Pośród tych niepewności Ricardi powziął zamiar, który przed nim i po nim niejednemu już przychodził na myśl. Postanowił wynaleźć małą dziewczynkę i wychować ją na swój sposób, ażeby go potem mogła uczynić szczęśliwym. W istocie, cóż można porównać z rozkoszą codziennego spoglądania na młodą istotę, której wdzięki umysłu rozwijają się razem z powabami ciała. Jakież szczęście pokazywać jej samemu świat, towarzystwo, zachwycać się jej spostrzeżeniami, śledzić pierwsze błyski uczucia, wpajać w nią swoje przekonania, jednym słowem, utworzyć z niej istotę całkowicie sobie oddaną. Ale cóż później począć z takim czarującym stworzeniem? Wielu żeni się, by wybrnąć z kłopotu. Ricardi nie mógł tego uczynić.

Śród tych rozpustnych zamiarów prałat nasz nie zaniedbywał swojej kariery. Jeden z jego krewnych, audytor roty, spodziewał się czerwonego kapelusza i otrzymał obietnicę, że będzie mógł wtedy ustąpić swego dotychczasowego miejsca siostrzeńcowi. Trzeba było jednak cztery, a może i pięć lat poczekać, Ricardi zatem osądził, że tymczasem może wyjechać do swojej ojczyzny, a nawet podróżować.

Pewnego dnia, gdy Ricardi przechadzał się po ulicach Genui, zaczepiła go młoda trzynastoletnia dziewczyna z koszykiem pomarańcz i ze szczególnym wdziękiem prosiła, aby raczył kilka od niej kupić. Ricardi rozpustną dłońią odsłonił źle uczesane włosy spadające na twarz dziewczynki i odkrył rysy, zapowiadające niezwykłą piękność. Zapytał małej przekupki, kim są jej rodzice. Odpowiedziała, że ma tylko matkę, bardzo biedną, nazwiskiem Bastiana Cerlli. Ricardi kazał się do niej zaprowadzić, wymienił swoje nazwisko i oznajmił wdowie, że ma daleką krewną nader miłosierną, która z upodobaniem oddaje się wychowywaniu młodych dziewcząt i wyposażaniu ich, po czym dodał, że postara się umieścić u niej małą Laurę.

Matka uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Nie znam krewniej monsignora, która zapewne musi być zacną damą, wszelako słyszałam już o twoim miłosierdziu dla młodych dziewcząt i z chęcią powierzę ci moją córkę. Nie wiem, czy wychowasz ją w cnocie, ale przynajmniej wydobędziesz ją z nędzy, która jest nieznośniejsza od wszelkich występków. Ricardi poprosił, ażeby podała swoje warunki.

- Nie sprzedaję mojej córki - odrzekła - ale przyjmę każdy podarunek, który zechcesz mi, monsignore, ofiarować. Trzeba przecież żyć, a często z głodu sił mi do pracy brakuje.

Tegoż samego dnia Ricardi oddał Laurę na wychowanie jednemu ze swoich klientów. Natychmiast nasmarowano jej ręce migdałowym kremem, zawinięto włosy w pierścienie, na szyi zawieszono perły, a ramiona obrzucono koronkami. Dziewczynka, przejrzawszy się w zwierciadle, nie mogła się

poznać, od pierwszego jednak dnia domyśliła się przyszłości i starała się dostosować do swojej sytuacji.

Tymczasem Laura miała rówienniczki i rówienników. którzy nie wiedząc, co się z nią stało, mocno się o nią niepokoiili. Najzawziętym w odszukaniu jej był Cecco Boscone, czternastoletni chłopiec, syn tragarza, niezwykle jak na swój wiek silny i na zabój zakochany w małej przekupce pomarańcz, którą często widywał bądź na ulicy, bądź też u nas w domu, był bowiem naszym dalekim krewnym. Mówię naszym, gdyż także nazywam się Cerelli i mam zaszczyt być stryjeczną siostrą mojej pani.

Tym więcej niepokoiiliśmy się o naszą kuzynkę, że nic tylko nigdy nam o niej nie wspomniano, ale nawet zakazano nam wymawiać jej imię. Ja trudniłam się zwykle szyciem grubej bielizny, Cecco zaś biegał z posyłkami po porcie, gdzie w przyszłości miał trudnić się przenoszeniem towarów. Skończywszy dzienną pracę, chodziłam do niego pod przysionek jednego z kościołów i tam gorzkimi łzami, we dwoje opłakiwaliśmy los biednej Laury. Pewnego wieczora Cecco rzekł do mnie:

- Przychodzi mi wyborna myśl. Przez ostatnie dni padał ulewny deszcz i pani Cerelli na krok nie wychodziła z domu; jestem jednak przekonany, że jak tylko nastanie pogoda, nie wytrzyma i jeżeli Laura znajduje się w Genui, pójdzie ją odwiedzić. Wtedy z daleka pobiegnę za nią i tak dowiemy się, gdzie Laurę schowano.

Pochwaliłam ten zamiar. Nazajutrz wypogodziło się, poszłam więc do pani Cerelli. Spostrzegłam, jak wyciągała ze starej szafy jeszcze starszą mantylę, porozmawiałam z nią przez chwilę i czym prędzej pośpieszyłam uprzedzić Cecca. Zaczailiśmy się i wkrótce ujrzeliśmy wychodzącą panią Cerelli. Cichaczem postępowaliśmy za nią na drugi koniec miasta i widząc, że wchodzi do jakiegoś domu, skryliśmy się znowu. Po jakimś czasie pani Cerelli wyszła i udała się do siebie. Wchodzimy do domu, wbiegamy na schody, skacząc jedno przez drugie, otwieramy drzwi przepysznego mieszkania i na środku pokoju spostrzegamy Laurę. Rzucam się jej na szyję, ale Cecco wyrwa mnie z jej objęć i zawisa jej na ustach. W tej chwili otwierają się drzwi od przyległego pokoju i wchodzi Ricardi. Dostałam tuzin policzków, a Cecco tyleż kopniaków. Nadbiegła służba i w mgnieniu oka znaleźliśmy się na ulicy, zbici, sponiewierani i nauczeni, że powinniśmy przestać interesować się losem naszej kuzynki. Cecco zaciągnął się jako chłopiec okrętowy na okręt maltańskich korsarzy i już więcej o nim nie słyszałam, ja jednak nie porzuciłam wcale chęci złączenia się z Laurą, ale przeciwnie, chęć ta we mnie coraz bardziej wzrastała.

Służyłam w kilku domach, nareszcie dostałam się do margrabiego Ricardi, który jest starszym bratem prałata. Mówiono tam wiele o pani Paduli, nie pojmując, gdzie prałat wynalazł tę krewną. Długo cała rodzina nie mogła się niczego wywiedzieć, nareszcie, czego panowie nie potrafili, tego dokonała ciekawość służących. Zaczęliśmy z naszej strony czynić poszukiwania i niebawem odkryliśmy, że mniemana margrabina jest po prostu Laurą Cerelli. Margrabia przykazał nam dochować tajemnicy i posłał mnie do swego brata, uprzedzając go, aby podwoił ostrożność, jeżeli nie chce ściągnąć na siebie nader nieprzyjemnych kłopotów.

Wszelako nie obiecywałam ci rozpowiadać własnych przygód i nie powinnam mówić ci jeszcze o margrabinie Paduli, kiedy dotąd znasz tylko Laurę Cerelli, umieszczoną na wychowanie u klienta Ricardięgo. Niedługo tam zabawiła; wkrótce przeniesiono ją do pobliskiego małego miasteczka, gdzie Ricardi często ją odwiedzał, a po każdej bytności powracał coraz więcej zadowolony ze swego dzieła.

Po dwóch latach Ricardi wyjechał do Londynu. Podróżował pod przybranym nazwiskiem i podawał się za kupca włoskiego. Laura mu towarzyszyła i uchodziła za jego żonę. Zawiózł ją do Paryża i do innych wielkich miast, gdzie łatwiej było zachować incognito. Laura z każdym dniem stawała się miłsza, ubóstwiała swego dobroczyńcę i czyniła go najszcześniejszym z ludzi. Tak minęło trzy lata z szybkością błyskawicy. Wuj Ricardiego miał otrzymać kapelusz i naglił do jak najspieszniejszego powrotu do Rzymu. Ricardi zawiózł swoją lubą do włości, które pogadał niedaleko Gorycji. Nazajutrz po przybyciu rzekł do niej:

- Muszę pani oznajmić nowinę, jak sądzę, dość przyjemną. Jesteś wdową po margrabim Paduli, który przed niedawnymi czasy umarł w służbie cesarskiej. Oto są papiery potwierdzające moje słowa. Paduli był naszym krewnym. Spodziewam się, że nie odrzucisz, pani. moich prośb, że raczysz pojechać do Rzymu i przyjąć schronienie w moim domu. W kilka dni potem Ricardi wyjechał. Nowa margrabina, zostawiona swoim własnym myślom, zaczęła zastanawiać się nad charakterem Ricardiego, nad swymi z nim stosunkami i nad dalszym swoim postępowaniem. Po upływie trzech miesięcy rzekomy wuj zawezwał ją do siebie. Jaśniał całym blaskiem nowego urzędu; pewna część tego blasku spadła także i na Laurę i zewsząd ciśnięto się do niej z hołdami. Ricardi oznajmił rodzinie, że przyjął do siebie wdowę po margrabim Paduli, krewnym Ricardich po kądzieli.

Margrabia Ricardi nigdy nie słyszał, żeby Paduli był żonaty. Rozpoczął więc w tym względzie poszukiwania, o których ci wspominałam, i wysłał mnie do nowej margrabiny dla zalecenia jej jak największej ostrożności. Odbiłam podróż morzem, wylądowałam w Civitavecchia i udałam się do Rzymu. Stanęłam przed margrabiną, która wyprawiła służących i padła w moje objęcia. Zaczęłyśmy przypominać sobie nasze dziecinne lata, moją matkę, jej matkę, kasztany, które jadałyśmy razem, nie zapomniałyśmy też o małym Cecco; opowiedziałam, jak biedny chłopiec zaciągnął się na okręt korsarski i przepadł bez wieści. Laura, rozczulona, załała się łzami, tak że zaledwie zdołałam ją uspokoić. Prosiła mnie, żebym nie dała poznać się prałatowi i żebym udawała jej garderobianą. Gdyby mnie miała zdradzić moja wymowa, to powinnam utrzymywać, że pochodzę spod Genui, a nie z samego miasta.

Laura miała już ułożony plan działania. Przez dwa tygodnie ciągle była równie wesoła i rozmowna, ale potem stała się ponura, zamyślona, kapryśna i zniechęcona do wszystkiego. Ricardi usiłował podobać się jej wszelkimi sposobami, nie mógł jednak powrócić jej dawnej wesołości.

- Kochana Lauro - rzekł pewnego dnia - powiedz, czego ci tu brakuje? Porównaj twój teraźniejszy stan z tym, z jakiego cię wydobyłem.

- Któż cię prosił, abyś mnie z niego wydobywał? - odparła Laura z największą gwałtownością. - Tak jest, żałuję teraz dawnej mojej nędzy. Cóż ja tu pocznę między tymi wszystkimi damami z wielkiego świata? Wolałabym otwarte zniewagi od ich dwuznacznych grzeczności. Ach, moje łachmany! jakże teraz płaczę za wami! Nie mogę bez łez pomyśleć o moim czarnym chlebie, moich Kasztanach i o tobie, drogi Cecco, który miałeś mnie zaślubić, Jak tylko zostaniesz tragarzem. Z tobą byłabym doznała może nędzy, ale nigdy trosk, zgryzot i nudy; księżniczki byłyby zazdrościły mego losu.

- Lauro! Lauro! co znaczy ta mowa? - zawołał Ricardi.

- To głos natury - odrzekła Laura - która stworzyła kobiety na żony i matki, nie zaś na siostrzenice rozpustnych prałatów.

To mówiąc wyszła do drugiego pokoju i drzwi za sobą na klucz zamknęła.

Ricardi zmieszał się; podawał panią Paduli za swoją siostrzenicę i teraz drżał na myśl, że nierozważna może odkryć prawdę i zniszczyć jego widoki na przyszłość. Przy tym kochał niegodziwą, był zazdrosny, słowem - nic nie wiedział, jak wyrwać się otaczającemu go zewsząd nieszczęściu.

Nazajutrz Ricardi cały drżący wszedł do pokoju Laury i - ku swemu rozkosznemu zdziwieniu - został jak najmilej przyjęty.

- Przebac mi, drogi wuju - rzekła - kochany mój dobroczyńco, jestem niewdzięcznicą nie zasługującą, aby żyć na świecie. Jestem dziełem twoich rąk, ty wykształciłeś mój umysł, winnam ci wszystko; wybacz dziwactwo, które bynajmniej nie pochodziło z serca.

Tak nastąpiła zgoda. W kilka dni potem Laura rzekła do Ricardiego:

- Nie mogę być z tobą szczęśliwa. Zbyt jesteś panem w tym domu, wszystko w nim do ciebie nałoży, jestem tu zupełnie twoją niewolnicą. Ten lord, który nas odwiedza, darował Biance Capuzzi najpiękniejszy majątek z księstwa Urbino. Oto jest prawdziwie kochający człowiek! Ja zaś jestem pewna, że gdybym cię prosiła o tę małą baronię, w której przepędziłam trzy miesiące, bez wątpienia byś mi jej odmówił. A przecież jest to zapis twego wuja Cambiasiego i możesz nim według upodobania rozporządzać.

- Chcesz mnie więc opuścić - rzekł Ricardi - kiedy tak pragniesz niezawisłego losu?

- Chcę cię więcej kochać - odparła Laura. Ricardi nie wiedział, czy dać, czy odmówić; kochał, był zazdrosny, lękał się, żeby jego powaga nie została naruszona i żeby nie popadł w zależność od swojej kochanki. Laura czytała w jego duszy i byłaby przyprowadziła go do ostateczności, ale Ricardi miał niezmierny wpływ w Rzymie i na jedno jego słowo czterech zbirów byłoby schwytało siostrzenicę i zawiozło na długą pokutę do jakiego klasztoru.

Ta obawa wstrzymywała Laurę; aby jednak postawić na swoim, udała niebezpiecznie chorą. Właśnie rozmyślała nad tym zamiarem, gdy wszedł do jaskini.

- Jak to - zawołałem zdumiony - nie o mnie więc myślała?

- Nie, moje dziecię - rzekła Sylwia - dumiała o zyskowej baronii z dwoma tysiącami skudów rocznego dochodu. Nagle przyszła jej myśl jak najspiesniejszego udania chorej, a nawet umierającej. Wprowadziła się w to już dawniej, naśladowując aktorki, które widziała w Londynie, i chciała przekonać się, czy potrafi cię omamić. Widzisz więc, mój młody Hiszpanie, że wpadłeś w zastawioną siatkę, wszelako nie możesz się skarżyć, ani też moja pani, na koniec komedii. Nigdy nie zapomnę, jak byłeś piękny, gdy wyszedłszy od Laury szukałeś mojego ramienia, by się na nim wesprzeć. Przysięgam sobie wtedy, że i na mnie musi przyjść kolej.

Cóż mogę wam więcej powiedzieć? Wysłuchałem Sylwii pomieszany, w jednej chwili tracąc wszystkie złudzenia. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Sylwia korzystała z mojego stanu, ażeby wprowadzić zamęt w moje zmysły. Łatwo jej to poszło, nadużyła nawet swojej przewagi. W końcu, gdy odprowadzała mnie do powozu, nie wiedziałem, czy należy dręczyć się nowymi wyrzutami, czy też wcale ich sobie nie czynić.

Gdy margrabia doszedł do tego miejsca swojej powieści, Cygan, mając ważne sprawy do załatwienia, prosił go, aby raczył dalszy ciąg odłożyć na dzień następny.

Dzień czterdziesty trzeci

Zebrano się jak zazwyczaj i margrabia, widząc wszystkich czekających w milczeniu, zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS

Mówiłem wam, jak sprzeniewierzywszy się dwa razy Elwirze, za pierwszym doznałem bolesnych wyrzutów sumienia, za drugim zaś nie wiedziałem, czy znowu mam je sobie czynić, czy też wcale o nich nie myśleć. Zresztą mogę wam zaręczyć, że zawsze jednakowo kochałem moją kuzynkę i równie płomienne pisywałem do niej listy. Mentor mój, pragnąc za wszelką cenę wyleczyć mnie z romansowości, pozwalał sobie czasami na czyny, które wychodziły nieco z zakresu jego powołania. Udając, że o niczym nie wie, wystawiał mnie na pokusy, którym nigdy nie zdołałem się oprzeć; wszelako miłość moja dla Elwiry była zawsze jednakowa i z niecierpliwością wyglądałem chwili udzielenia mi przez kancelarię apostolską dyspensy na małżeństwo.

Nareszcie pewnego dnia Ricardi kazał przywołać mnie i Santeza. Postawa jego była uroczysta, zrozumieliśmy więc, że ma dla nas jakąś ważną wiadomość. Złagodziwszy surowość twarzy łagodnym uśmiechem, rzekł:

- Sprawa wasza jest załatwiona, chociaż nie bez wielkich trudności. Wprawdzie dość łatwo udzielamy dyspensy dla niektórych krajów katolickich, ale inaczej rzecz się ma z Hiszpanią, gdzie wiara jest czystsza i zasady jej ściślej zachowywane. Pomimo to Jego Świątobliwość, zważając na liczne pobożne fundacje, jakie rodzina Rovellas założyła w Ameryce, zważając nadto, że błąd obojga dzieci był następstwem nieszczęść rzeczonyj rodziny, nie zaś owocem rozpustnego wychowania, Jego Świątobliwość, powtarzam, rozwiązał węzły pokrewieństwa, jakie was między sobą na ziemi łączyły. Będą one zarówno rozwiązane w niebie; jednakowoż - aby nie zachęcać tym przykładem młodzieży do wpadania w podobne błędy - nakazane wam jest nosić na szyi różaniec o stu ziarnach i przez trzy lata codziennie go odmawiać. Oprócz tego macie wystawić kościół dla teatynów z Veracruz. Teraz mam zaszczyt złożyć ci, mój młody przyjacielu, jako też przyszłej margrabinie życzenia wszelkich pomyślności i szczęścia.

Możecie wyobrazić sobie moją radość. Czym prędzej pobiegłem po breve Jego Świątobliwości i w dwa dni potem wyjechaliśmy z Rzymu.

Pędziliśmy dzień i noc, wreszcie stanęliśmy w Burgos. Ujrzałem Elwirę, która przez ten czas jeszcze wypiękniała. Pozostawało nam tylko prosić dwór o potwierdzenie naszego małżeństwa, ale Elwira była już panią swego majątku, nie zbywało nam więc na przyjaciółach. Otrzymaliśmy upragnione potwierdzenie, do którego dwór dołączył dla mnie tytuł margrabiego Torres Rovellas. Odtąd zajęto się wyłącznie sukniami, klejnotami i tym podobnymi kłopotami, tak rozkosznymi dla młodej dziewczyny mającej zostać małżonką. Tkliwa jednak Elwira mało zwracała uwagi na te przygotowania i zajmowała się tylko szczęściem swego narzeczonego. Nadeszła wreszcie chwila naszego związku.

Dzień wydawał mi się nieznośnie długi, obrzęd bowiem miał odbyć się dopiero wieczorem w kaplicy letniego domu, który posiadaliśmy niedaleko od Burgos.

Przechadzałem się po ogrodzie dla zagłuszenia trawiącej mnie niecierpliwości, następnie usiadłem na ławce i zacząłem zastanawiać się nad moim postępowaniem, tak mało godnym tego anioła, z którym wkrótce miałem się połączyć. Przypominając sobie wszystkie popełnione przemieszta, naliczyłem aż do dwunastu. Natenczas wyrzuty sumienia znowu, owładnęły moją duszą i gorzko sam na siebie wyrzekając, rzekłem:

- Nieszczęsny niewdzięczniku, pomyślałeś o skarbie, jaki ci przeznaczono, o tej boskiej istocie, która wzdycha i oddycha tylko dla ciebie, która kocha cię nad życie i która do kogo innego nigdy słowa nawet nie przemówiła?

Podczas tego aktu skruchy usłyszałem, jak dwie garderobiane Elwiry usiadły na ławce przypartej do przeciwnej strony szpaleru i zaczęły między sobą rozmowę. Pierwsze zaraz słowa zwróciły całą moją uwagę.

- Cóż więc, Manuelo - rzekła jedna z dziewczyn - nasza pani musi się bardzo cieszyć, że będzie mogła kochać naprawdę i dać prawdziwe dowody miłości, zamiast tych drobiazgowych oznak przychylności, jakie tak hojnie rozdawała zalotnikom u kraty?

- Mówisz zapewne - odrzekła druga - o tym nauczycielu gitary, który całował ją ukradkiem w rękę udając, że uczy ją przebierać palcami po strunach.

- Wcale nic - odpowiedziała pierwsza - mówię tu o tuzinie miłostek, wprowadzie niewinnych, ale którymi nasza pani bawiła się i na swój sposób do nich zachęcała. Naprzód ten mały bakalarz, który ją uczył geografii - o! ten kochał się szalenie, dała mu też za to pęk włosów, tak że następnego dnia nie wiedziałam, jak ją mam uczesać. Później ów wygadany administrator, który donosił o stanie jej majątków i zawiadamił ją o dochodach. Ten to miał swoje sposoby, obsypywał naszą panią pochwałami i upajał pochlebstwem. Dała mu też za to swoją sylwetkę portretową, dała ze sto razy przez kratę rękę do pocałowania, a co kwiatów i bukiecików nawzajem sobie posyła!

Nie przypominam sobie w tej chwili dalszego ciągu rozmowy, ale mogę was zapewnić, że do tuzina ani jednego nie zabrakło. Byłem wstrząśnięty. Zapewne, Elwira okazywała swoim zalotnikom względy w gruncie rzeczy niewinne, były to raczej dziecinady, ale Elwira, jaką sobie wyobrażałem, nie powinna była pozwolić sobie nawet na najmniejszy pozór przemieszta. Teraz wyznaję, że rozumowanie moje było całe niedorzeczne. Elwira od pierwszych lat życia mówiła tylko o miłości, należało mi zatem zrozumieć, że - zamiłowana w rozmowie o tym przedmiocie, nie tylko ze mną będzie o nim rozmawiała. Nigdy nie byłbym uwierzył w takie postępowanie, ale przekonany na własne uszy, poczułem się zawiedziony i pogrążyłem się w smutku.

Wtem dano mi znać, że wszystko już jest gotowe.

Wszedłem do kaplicy z twarzą zmienioną, która zdziwiła moją matkę i zaniepokoiła narzeczoną. Sam ksiądz zmieszał się i nie wiedział, czy ma nas pobłogosławić. W końcu dał nam ślub, ale mogę wam śmiało wyznać, że nigdy tak gorąco oczekiwany dzień tak źle nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

W nocy było inaczej. Bożek małżeństwa, zapaliwszy swoje pochodnie, osłonił nas welonem swoich pierwszych rozkoszy. Wszystkie miłostki uleciały Elwirze z pamięci, a nieznanne dotychczas uniesienie wypełniło jej serce miłością i wdzięcznością. Cała należała do swego małżonka.

Nazajutrz oboje mieliśmy wygląd ludzi szczęśliwych, jakżeż zresztą mógłbym trwać w moim smutku!

Ludzie, którzy przeszli przez życie, wiedzą, że wśród wszystkich jego darów nie ma niczego, co można by porównać ze szczęściem, jakim obdarza nas młoda małżonka, wnosząc w małżeńskie łóżko tyle nie zgłębionych tajemnic, tyle nie urzeczywistnionych marzeń, tyle rozkosznych myśli. Czymże jest reszta życia wobec tych dni, spędzonych między świeżym wspomnieniem słodkich przeżyć a zwodniczymi złudzeniami na przyszłość, którą nadzieja zdobi w najpiękniejsze barwy.

Przyjaciele naszego domu przez pewien czas zostawili nas w naszym upojeniu samym sobie, ale kiedy uznali, że już jesteśmy w stanie z nimi rozmawiać, zaczęli rozbudzać w nas chęć dostąpienia zaszczytów.

Hrabia Rovellas spodziewał się być niegdyś otrzymać tytuł granda, my więc, zdaniem naszych przyjaciół, powinni byliśmy przyprowadzić jego zamiar do skutku; nie tylko dla nas samych winniśmy to uczynić, ale również dla dzieci, którymi niebo miało nas w przyszłości obdarzyć. Jaki by nie był skutek naszych starań, moglibyśmy później żałować takiego zaniedbania, a zawsze lepiej jest zawczasu oszczędzić sobie wyrzutów. Byliśmy w wieku, w którym ludzie zwykli postępować za radami otaczających, pozwoliliśmy więc zawieźć się do Madrytu.

Wicekról, dowiedziawszy się o naszych zamysłach, napisał za nami list pełen najusilniejszych poleceń. Z początku pozory zdawały się nam sprzyjać, ale były to tylko pozory, które niebawem przybrały na się zwodnicze kształty dworskie i nigdy się nie urzeczywistniły.

Zawiedzione nadzieje martwiły przyjaciół naszego domu i - na nieszczęście - moją matkę, która byłaby wszystko oddała na świecie, żeby tylko ujrzeć swego małego Lonzeta grandem hiszpańskim. Wkrótce biedna kobieta wpadła w przewlekłą chorobę i poznała, że niewiele już pozostaje jej do życia. Natenczas, pomyślawszy naprzód o zbawieniu duszy, zapragnęła przede wszystkim zostawić dowody wdzięczności uczciwym mieszkańcom miasteczka Villaca, którzy tak nas kochali, gdy byliśmy w biedzie. Zwłaszcza rada była coś uczynić dla alkada i dla proboszcza. Matka moja nic nie miała swego, ale Elwira z chęcią postanowiła dopomóc jej w tak szlachetnych celach i posłała im dary przewyższające chęci mojej matki.

Dawni nasi przyjaciele, dowiedziawszy się o szczęściu, jakie ich spotkało, przybyli do Madrytu i otoczyli łóżko swej dobrodziejki. Matka porzucała nas szczęśliwych, bogatych i jeszcze kochających się nawzajem. Ostatnie jej chwile były pełne słodyczy. Spokojnie zasnęła snem wieczystym i w tym jeszcze życiu odebrała pewną część nagród, na jakie zasługiwała przez swoje cnoty, a zwłaszcza przez swą niewypowiedzianą dobroć.

Niedługo potem spadły na nas nieszczęścia. Dwóch synów, jakimi Elwira mnie obdarzyła, po krótkiej chorobie zeszło z tego świata. Wtedy tytuł granda przestał już nas nęcić, zaprzestaliśmy dalszych zabiegów i postanowiliśmy udać się do Meksyku, gdzie stan naszych interesów wymagał naszej obecności. Zdrowie margrabiny było znacznie nadwerężone i lekarze utrzymywali, że podróż morską może ją do sił powrócić. Wybraliśmy się więc w drogę i po dziesięciotygodniowej żegludze, która w

istocie wywarła nader zbawienny wpływ na zdrowie margrabiny, wylądowaliśmy w Veracruz. Elwira przybyła do Ameryki nie tylko zupełnie zdrowa, ale piękniejsza niż kiedykolwiek.

Zastaliśmy w Veracruz jednego z pierwszych oficerów wicekróla, wysłanego na powitanie nas i przeprowadzenie do Meksyku. Człowiek ten wiele opowiadał nam o wspaniałości hrabiego de Peña Velez i o obyczajach, jakie panują na jego dworze. Wiedzieliśmy już o niektórych szczegółach przez stosunki z Ameryką. Zaspokoiwszy zupełnie dumę, wicekról rozniecił w sobie gwałtowną skłonność do kobiet i nie mogąc być szczęśliwym w małżeństwie, szukał pociechy w ujmującym i grzecznym obejściu z kobietami, jakim przed laty odznaczało się towarzystwo hiszpańskie.

Niedługo bawiliśmy w Veracruz i odbyliśmy podróż do Meksyku z wszelkimi wygodami. Jak wiecie, stolica ta leży pośród jeziora: noc już zapadła, gdy przybyliśmy na brzeg. Wkrótce spostrzegliśmy ze sto gondoli oświetlonych lampionami. Najwspanialsza wysunęła się naprzód, przybiła do lądu i ujrzeliśmy wychodzącego z niej wicekróla, który zwracając się do mojej małżonki, rzekł:

- Cóрко nieporównana kobiety, której nie przestałem dotąd uwielbiać! Sądziłem, że to niebo nie pozwoliło ci wejść w związek ze mną, ale widzę, że nie zamierzało ono pozbawić świata najpiękniejszej jego ozdoby, za co składam mu dzięki. Pójdź, piękna Elwiro, zdobądź naszą półkulę, która, posiadając ciebie, nie będzie miała czego zazdrościć Staremu Światu.

Wicekról uczynił uwagę, że Elwira tak dalece się zmieniła, że nigdy nie byłby jej poznał.

- Wszelako - dodał - pamiętam cię daleko młodszą i nie powinnaś się dziwić, że krótkowzroki śmiertelnik w róży nie poznaje pączka.

Następnie zaszczycił mnie uściskiem i wprowadził nas oboje do swojej gondoli.

Po półgodzinnej żegludze przybiliśmy do pływającej wyspy, która dzięki pomysłowemu urządzeniu wyglądała zupełnie jak prawdziwa; okrywały ją pomarańczowe drzewa i mnóstwo innych krzewów, a mimo to utrzymywała się na powierzchni wody. Wyspę tę można było popychać na różne strony jeziora i tak cieszyć się coraz nowym widokiem. W Meksyku często można widzieć podobnego rodzaju budowy, zwane chinampas. Na wyspie stał okrągły budynek rześiste oświetlony i brzmiący z daleka głośną muzyką. Wkrótce spostrzegliśmy, że lampiony układają się w kształt monogramu Elwiry. Zbliżając się do brzegu, ujrzeliśmy dwie grupy mężczyzn i kobiet, odzianych w przepyszne, ale dziwaczne stroje, na których żywe barwy rozmaitych piór walczyły o lepsze z blaskiem najdroższych klejnotów.

- Pani - rzeki wicekról - jedną z tych grup składają sami Meksykanie. Ta piękna kobieta na czele - to margrabina Montezuma, ostatnia przedstawicielka wielkiego nazwiska, które nosili niegdyś władcy tego kraju. Polityka gabinetu madryckiego zabrania jej korzystać z przywilejów, które wielu Meksykanów dotąd uważa za prawowite. Jest za to królową naszych rozrywek; jedyny to hołd, jaki wolno jej składać. Mężczyźni drugiej grupy mienią się Inkami peruwiańskimi; dowiedziawszy się, że córka słońca wylądowała w Meksyku, przychodzą palić jej ofiary.

Podczas gdy wicekról obsypywał moją żonę podobnymi grzecznościami, bacznie w nią się wpatrywałem i zdało mi się, że spostrzegam w jej oczach jakiś ogień, wybłyśły z iskry miłości własnej, która od siedmiu lat naszego pożycia nie miała dotąd czasu się rozżarzyć. W istocie, pomimo całych

naszych bogactw nie mogliśmy nigdy stanąć na czele towarzystwa madryckiego. Elwira, zajęta moją matką, dziećmi, zdrowiem - nie miała sposobności błyszczenia, podróż jednakże wraz ze zdrowiem powróciła jej dawną piękność. Umieszczona na pierwszym szczeblu naszego społeczeństwa, gotowa była, jak mi się zdawało, nabrać przesadnego wyobrażenia o sobie i objawić chęć zwracania na siebie powszechnej uwagi.

Wicekról mianował Elwirę królową Peruwiańczyków, po czym rzekł do mnie:

- Jesteś bez wątpienia pierwszym poddanym córki słońca, ale ponieważ wszyscy dziś przebraliśmy się, raczysz przeto aż do końca balu poddać się prawom innej władczyni.

To mówiąc przedstawił mnie margrabinie Montezuma i złożył moją rękę w jej dłoni. Weszliśmy w zgiełk balu, obie grupy zaczęły tańczyć raz wspólnie, to znowu osobno, i wzajemne ich współzawodnictwo ożywiło uroczystość.

Postanowiono przedłużyć maskaradę aż do końca sezonu, zostałem więc poddanym dziedziczki Meksyku, podczas gdy moja żona władała swoimi podwładnymi z ujmującym wdziękiem, który zwrócił na siebie moją uwagę. Muszę jednak opisać wam córkę kacyków, czyli raczej dać wam niejaki pojęcie o jej powierzchowności, gdyż nie byłbym w stanie słowami oddać tego dzikiego wdzięku i tego zmieniającego się wciąż wyrazu, jaki namiętna jej dusza nadawała jej twarzy.

Tlaskala Montezuma urodziła się w górzystej okolicy Meksyku i nie miała wcale ogorzałej cery, jaką odznaczają się mieszkańcy nizin. Cera jej była delikatna jak u blondynek, choć ciemniejsza, a jej blask podkreślały czarne oczy podobne do klejnotów. Rysy jej, mniej wydatne niż u Europejczyków, nie były spłaszczone, jak to widzimy u ludzi z amerykańskich plemion. Tlaskala przypominała ich tylko ustami, dość pełnymi, ale zachwycającymi, ile razy przelotny uśmiech przydawał im wdzięku. Co do jej kibici, nic wam nie mogę powiedzieć, zdaję się całkiem na waszą wyobraźnię albo raczej na wyobraźnię malarza, który zamierzałby namalować Dianę lub Atalantę. Wszystkie jej ruchy miały w sobie coś szczególnego, przebijał się w nich gwałtowny poryw namiętności, hamowany z wysiłkiem. Spokojność nie wydawała się w niej spoczynkiem i zdradzała ciągły wewnętrzny niepokój.

Krew Montezumów zbyt często przypominała Tlaskali, że jest urodzona do panowania nad szeroką częścią świata. Zbliżywszy się do niej, spostrzegało się naprzód dumną postawę obrażonej królowej, ale zaledwie otworzyła usta, wnet słodkie spojrzenie wprawiało w zachwyt i każdy ulegał czarowi jej słów. Gdy wchodziła w podwoje wicekróla, zdawało się, że z oburzeniem spogląda na równych sobie, ale niebawem wszyscy widzieli, że nic ma sobie równej. Serca pochopne do uczuć poznawały w niej władczynię i słały się jej do stóp. Tlaskala przestawała być królową, była kobietą i przyjmowała hołd sobie należny.

Pierwszego zaraz wieczoru uderzył mnie ten wyniosły jej sposób myślenia. Wydawało mi się, że powinienem powiedzieć jej jakąś grzeczność, stosowną do charakteru jej przebrania i do godności pierwszego poddanego, jaką mnie wicekról zaszczycił, ale Tlaskala bardzo źle przyjęła moje oświadczenia i rzekła:

- Korona balowa może tylko tym pochlebiać, których urodzenie nie powołało do tronu.

To mówiąc rzuciła wzrok na moją żonę. Elwirę w tej chwili otaczali Peruwiańczycy i służyli jej na klęczkach. Duma i radość wprawiały ją w zachwyt;

zawstydzilem się za nią i tego samego wieczoru mówiłem z nią o tej sprawie. Z roztargnieniem słuchała moich uwag i chłodno odpowiadała na moje oświadczenia miłosne. Miłość własna weszła do jej duszy i zastąpiła miejsce prawdziwego kochania.

Upojenie, jakie sprawia kadzidło pochlebstwa, z trudnością daje się rozproszyć; Elwira coraz bardziej się w nim pogrążyła. Cały Meksyk rozdzielił się na wielbicieli jej doskonałej piękności i czcicieli nieporównanych wdzięków Tlaskali. Dni Elwiry mijały na radości z powodzeń wczorajszych i na przygotowywaniu jutrzejszych. Z zamkniętymi oczyma leciała w przepaść rozrywek wszelkiego rodzaju. Chciałem ją zatrzymać, ale nadaremnie; ja sam czułem się popychany, ale w przeciwnym kierunku i daleko od kwiecistych ścieżek, po jakich stąpała moja małżonka.

Miałem wówczas niespełna trzydzieści lat. Byłem w wieku, w którym uczucia mają całą świeżość młodzieńczą, namiętności zaś są w pełnym rozkwicie siły męskiej. Miłość moja, zrodzona przy kolebce Elwiry, na chwilę nie wyszła ze świata dzieciennych pojęć, umysł zaś mojej małżonki, karmiony szaleństwami romansowymi, nigdy nie miał czasu dojrzeć. Mój rozum nie o wiele ją wyprzedzał, wszelako tyłem już był postąpił, że z łatwością mogłem widzieć, jak pojęcia Elwiry krążą wokół drobnostek, małych próżności, czasami nawet małych obmów, słowem, w tym ciasnym kręgu, w którym częściej słabość charakteru niż rozum zatrzymuje kobietę. Wyjątki pod tym względem są rzadkie; sądziłem nawet, że wcale ich nie ma, ale przekonałem się, że jest inaczej, gdy poznałem Tlaskalę.

Żadna zazdrość, żadne współzawodnictwo nie znajdowały przystępu do jej serca. Cała jej płeć miała równe prawa do jej przychylności i ta, która swojej płci najwięcej przynosiła zaszczytu pięknnością, wdziękami lub uczuciami, najsilniejsze w niej obudzała zajęcie. Rada by była widzieć wszystkie kobiety obok siebie, zasłużyć na ich zaufanie i pozyskać ich przyjaźń. O mężczyznach mówiła rzadko, i to z wielką powściągliwością, chyba że szło o pochwałę jakiegoś szlachetnego uczynku. Wtedy wyrażała swój podziw szczerze, a nawet z zapałem. Zresztą najwięcej rozmawiała o przedmiotach ogólnych i wtedy tylko ożywiała się, gdy mówiła o pomyślności Meksyku i zapewnieniu szczęścia jego mieszkańcom. Był to ulubiony jej przedmiot, do którego wracała, ile razy zdarzała się po temu sposobność.

Wielu ludzi zapewne gwiazda ich, a także sposób myślenia, przeznacza na pędzenie życia pod prawami tej płci, która musi rozkazywać, kiedy nie może być posłuszna. Bez wątplenia ja do tych ludzi należę. Byłem pokornym wielbicielem Elwiry, następnie uległym jej małżonkiem, ale sama rozluźniła moje więzy małocennością, jaką zdawała się do nich przywiązywać.

Bale i maskarady następowały jedne po drugich i obowiązki towarzyskie, że tak powiem, przywiązywały mnie do osoby Tlaskali. Prawdę mówiąc, serce jeszcze więcej mnie przywiązywało i pierwszą zmianą, jaką w sobie spostrzegłem, był polot mojej myśli i wzniesienie ducha. Sposób mego myślenia nabrał więcej siły, wola - dzielności. Czułem potrzebę urzeczywistnienia moich uczuć w czynie i chciałem zdobyć wpływ na losy moich bliźnich.

Prosiłem i otrzymałem posadę. Urząd mi powierzony oddawał kilka prowincji pod mój zarząd; spostrzegłem, że krajowcy gnębieni są przez Hiszpanów, i stanąłem w ich obronie. Powstali przeciw mnie potężni nieprzyjaciele, wpadłem w niełaskę ministerium, dwór zaczął mi zagrażać; stawiałem dzielny opór. Meksykanie mnie kochali, Hiszpanie szanowali, najwięcej jednak uszczęśliwiała mnie żywe zajęcie, jakie wzbudziłem w sercu ukochanej kobiety. Wprawdzie Tlaskala postępowała ze mną

zawsze z tą samą, a może nawet z większą powściągliwością, ale wzrok jej szukał moich oczu, spoczywał na nich z upodobaniem i odwracał się z niepokojem. Mało do mnie mówiła, nie wspominała o tym, co czyniłem dla Amerykanów, ale ilekroć do mnie się zwracała, głos jej drżał, wyrazy tłumity się w piersiach, tak że najobojętniejsza rozmowa toczyła się w tonie wzrastającej zażyłości. Tlaskala sądziła, że znalazła we mnie duszę podobną do swojej. Myliła się, jej to własna dusza przelała się w moją, dodawała mi natchnienia i prowadziła na drodze czynów. Mnie samego ogarnęły złudzenia o sile mego charakteru. Myśli moje przybrały kształt rozważań, pojęcia o szczęściu Ameryki przemieniły się w zuchwałe plany, rozrywki nawet stroiły się w barwę bohaterstwa. Ścigałem w lasach jaguary i pumy i w pojedynkę polowałem na te dzikie zwierzęta. Najczęściej jednak zapuszczałem się w dalekie wąwozy, a echo było jedynym powiernikiem miłości, z którą nie śmiałem się zwierzyć uwielbianej tajemnie kobiecie.

Tlaskala odgadła mnie, ja także sądziłem, że zabłyś mi promyk nadziei, i mogliśmy łatwo zdradzić się przed oczyma przenikliwego ogółu. Na szczęście uniknęliśmy powszechnej uwagi. Wicekról miał ważne sprawy do załatwienia, które przecięły pasmo uroczystości, jakim on sam, a za nim cały Meksyk zapamiętało się oddawał. Przyjeliśmy naówczas spokojniejszy tryb życia. Tlaskala oddaliła się do domu, który posiadała na północ od jeziora. Z początku zacząłem dość często ją odwiedzać, nareszcie przychodziłem co dzień. Nie mogę wytłumaczyć wam zobopólnego naszego obejścia. Z mojej strony była to cześć posunięta prawie do fanatyzmu, z jej zaś - jak gdyby święty ogień, którego płomień podsycala żarliwie i w skupieniu.

Wyznanie wzajemnych uczuć błąkało się nam na ustach, ale nie śmieliśmy go wymówić. Stan ten był czarujący, poiliśmy się jego rozkoszą i lękaliśmy się w czymkolwiek go zmienić.

Gdy margrabia doszedł do tego miejsca, odwołano Cygana dla spraw hordy i musieliśmy do następnego dnia odłożyć zaspokojenie naszej ciekawości.

Dzień czterdziesty czwarty

Zebraliśmy się wszyscy w milczeniu i margrabia, zasiadłszy, tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS

Mówiłem wam o mojej miłości do zachwycającej Tlaskali, odmalowałem wam jej postać i duszę; dalszy ciąg mojej historii najlepiej da ją wam poznać.

Tlaskala wierzyła w prawdy naszej świętej wiary, ale zarazem miała głębokie poszanowanie dla pamięci swych ojców i, w tak pomieszany sposób widzenia tych spraw, ułożyła sobie osobny raj, który nie był w niebie, ale w jakiejś pośredniej krainie. Podzielała nawet do pewnego stopnia zabobony swoich rodaków, wierzyła, że znakomite cienie królów jej pokolenia wśród ciemnych nocy schodzą na ziemię i odwiedzają starodawny cmentarz położony w górach. Tlaskala za nic w świecie nie byłaby tam poszła w nocy. Czasami jednak chodziliśmy tam w dzień i długie spędzaliśmy godziny.

Tlaskala tłumaczyła mi hieroglify wyryte na grobowcach jej przodków i objaśniała je podaniami, w których była nader biegła.

Znaliśmy już większą część napisów i postępując dalej w naszych poszukiwaniach, wynajdywaliśmy nowe, które oczyszczaliśmy z mchu i cierniów je pokrywających. Pewnego dnia Tlaskala pokazała mi kolczasty krzak i rzekła, że ma on tu swoje znaczenie, gdyż ten, który go posadził, powziął wprzódy zamiar sprowadzenia zemsty niebios na cienie nieprzyjaciół, i że dobrze uczynię wytępiając tę złowrogą roślinę. Wziąłem siekierę z rąk idącego za nami Meksykanina i wyciąłem nieszczęsny krzak. Wtedy spostrzegliśmy kamień, pokryty hieroglifami gęściej niż nagrobki, które dotychczas oglądaliśmy.

- Napis ten - rzekła Tlaskala - położony został już po zdobyciu naszego kraju. Meksykanie naówczas miesza hieroglify z niektórymi literami alfabetu, które przejęli od Hiszpanów. Napisy owoczesne łatwiejsze są do odczytania.

W istocie, zaczęła czytać, ale za każdym wyrazem coraz większa boleść malowała się w jej rysach, nareszcie padła bez zmysłów na głaz, który przez dwa wieki ukrywał powód jej nagłego przerażenia.

Przeniesiono Tlaskalę do domu, odzyskała nieco przytomność, ale nie mogła związać dwóch myśli razem i ciągle mówiła od rzeczy. Powróciłem do siebie w najgwałtowniejszej rozpacz, a nazajutrz otrzymałem list następującej treści:

Alonzo, ażeby napisać te kilka słów, musiałam zebrać wszystkie siły i myśli moje. Pismo to wręczy ci stary Xoaz, dawny mój nauczyciel mowy ojców moich. Zaprowadź go do kamienia, który wczoraj wynaleźliśmy, i proś, aby ci wytłumaczył napis. Wzrok mój miesza się, gęsta mgła pokrywa moje oczy. Alonzo-20, straszliwe widziadła snują się pomiędzy nami - Alonzo - tracę cię z oczu.

Xoaz był jednym z teoksychów, czyli pochodził z dawnych kapłanów. Zaprowadziłem go na cmentarz i pokazałem nieszczęsny kamień. Przepisał hieroglify i zaniósł odpis do siebie. Poszedłem do Tlaskali, ale maligna jej nie odstąpiła; spojrzała na mnie błędnymi oczyma i nie mogła mnie poznać. Nad wieczorem gorączka nieco opadła, wszelako lekarz prosił mnie, abym do chorej nie chodził.

Nazajutrz Xoaz przyniósł mi tłumaczenie meksykańskiego napisu w następujących słowach:

Ja, Koatrii, syn Montezumy, złożyłem tu ciało nikczemnej Mariny, która poświęciła serce i ojczyznę niegodziwemu Kortezowi, naczelnikowi rozbójników morskich. Duchy moich przodków, które zstępujecie tu wśród ciemnych nocy, przywróćcie na chwilę te zwłótki do życia i zadajcie im najstraszliwsze męczarnie konania. Duchy moich przodków, wysłuchajcie mego głosu, wysłuchajcie moich przekleństw. Spójrzycie na moje dłonie dymiące jeszcze krwią ofiar ludzkich!

Ja, Koatril, syn Montezumy, jestem ojcem; córki moje błądzą po lodowiskach dalekich gór. Piękność jest dziedzicznym przymiotem naszego sławnego rodu. Duchy moich, przodków, jeżeli kiedykolwiek córka Koatрила lub córka jego córki albo jego syna, jeżeli kiedykolwiek która kobieta z mego rodu odda serce i wdzięki komukolwiek z wiarołomnego plemienia rozbójników przybyłych zza morza, jeżeli między kobietami z mojej krwi znajdzie się druga Marina, duchy moich przodków, zstępujące tu wśród ciemnych nocy, ukarżcie ją najstraszliwszymi męczarniami. Zstąpcie wśród ciemnej nocy pod postacią plemiennych żmij, poszarpcie jej ciało, rozwlecżcie po całej ziemi i wtedy niech każda cząstka doznaje osobno boleści śmiertelnego konania. Zstąpcie wśród ciemnej nocy pod postacią sępów z żelaznymi

dzioby, rozżarzonymi w ogniu, poszarpcie jej ciało, rozproszcie je w powietrznym przestworzu i wtedy niech każda cząstka osobno doznaje bólesci śmiertelnego konania. Duchy moich przodków, jeżeli nie wypełnicie mojego żądania - z rękami splamionymi krwią ludzkich ofiar wzywam przeciw wam potęgę bogów zemsty. Oby wam zadali podobne męczarnie!

Wyrętem to przekleństwo, ja, Koatrii, syn Montezumy, i posadziłem na grobie krzak Meskusksaltry.

Mało brakowało, a napis ten uczyniłby na mnie podobne wrażenie, jakie sprawił na Tlaskali. Chciałem przekonać Xoaza o niedorzeczności zabobonów meksykańskich, ale wkrótce spostrzegłem, że nie należy zaczepiać go z tej strony. Starzec pokazał mi inny sposób, jakim mógłbym wnieść pociechę do duszy Tlaskali.

- Nie ma wątpliwości - rzekł do mnie - że duchy królów zstępują na ten cmentarz i że posiadają władzę zadawania męczarni tak żywym, jak i umarłym, zwłaszcza jeżeli kto ich zawezwie za pomocą zaklęć podobnych do tych, jakie widziałeś wyrte na kamieniu. Istnieją jednakże okoliczności mogące osłabić te straszliwe skutki. Naprzód, wyciąłeś, senior, złowrogi krzew, zasadzony na tym nieszczęsnym grobie;

następnie, cóż senior masz wspólnego z dzikimi towarzyszami Korteza? Opiekuj się dalej Meksykanami i bądź przekonany, że mamy środki na uspokojenie duchów, a nawet straszliwych bogów, czczonych niegdyś w Meksyku, których wasi kapłani nazywają szatanami.

Poradziłem Xoazowi, aby tak otwarcie nie wynurzał swoich przekonań religijnych, w duchu zaś postanowiłem korzystać z wszelkich sposobności wyświadczenia przysługi krajowcom. Nastręczyły mi się niebawem. Wybuchło powstanie w prowincjach zdobytych przez wicekróla; wprawdzie był to tylko słuszny opór przeciw uciskom, sprzeciwiającym się nawet zamiarom dworu, ale nieubłagany wicekról bynajmniej na to nie zważał. Stanął na czele wojska, wkroczył do Nowego Meksyku, rozproszył zbiegowisko i wziął w niewolę dwóch kacyków, których przeznaczył na ścięcie w stolicy Nowego Świata. Właśnie miano czytać im wyrok, gdy wystąpiwszy na środek sali sądowej, położyłem ręce na oskarżonych i wymówiłem te wyrazy: *Los toco por parte de el Rey*, co znaczy: "Dotykam się ich w imieniu króla".

Ta starożytna formuła prawa hiszpańskiego takiej jeszcze do dzisiejszego dnia używa więźności, że żaden trybunał nie poważy się jej oprzeć i wstrzymuje wykonanie każdego wyroku. Używający wszelako tej formuły odpowiada własną osobą. Wicekról miał prawo wymierzyć mi taką samą karę, jaką mieli ponieść dwaj oskarżeni. Nie omieszkał skorzystać z tego przy-wileju, postąpił ze mną z całą srogością i kazał wtrącić do więzienia, gdzie ubiegły mi najśrodsze chwile mego życia.

Pewnej nocy, a w ciemnym moim podziemiu noc była wieczna, spostrzegłem na końcu długiego korytarza słabe i blade światło, które, zbliżając się ku mnie coraz bardziej, oświeciło zachwycające rysy Tlaskali. Sam ten widok wystarczył, że moje więzienie zmieniło się w rajski przybytek. Ale nie tylko swoją obecnością je upiększyła: przygotowała dla mnie słodką niespodziankę, wyznając mi miłość równie gorącą jak moja.

- Alonzo - rzekła - cnotliwy Alonzo, zwyciężyłeś. Cienie moich ojców są uspokojone. To serce, którego żaden śmiertelnik nie miał posiadać, stało się twoim i jest nagrodą za poświęcenia, jakich nie przestajesz podejmować dla dobra moich nieszczęśliwych rodaków.

Zaledwie Tlaskala domówiła tych słów, gdy padła w moje objęcia bez czucia i prawie bez duszy. Przypisywałem wypadek ten nadzwyczajnemu wzruszeniu, ale - niestety - przyczyna była zupełnie inna i daleko bardziej niebezpieczna. Zgroza, jakiej doświadczyła na cmentarzu, gorączka z maligną, w którą następnie zapadła, nadwerężyły jej zdrowie.

Jednakowoż Tlaskala otworzyła oczy i niebiańska jasność zdawała się zmieniać moje podziemie w promieniejący szczęściem przybytek. Miłości, bożku starożytnych, którzy czcili oię, ponieważ żyli wedle praw natury, boska miłości, nigdy w Paphos ani w Knidos potęga twoja nie okazała się tak wielka, jak w tym posępnym więzieniu Nowego Świata! Podziemie moje stało się twoją świątynią, słup, do którego byłem przykuty, twoim ołtarzem, łańcuchy zaś - wieńcami.

Urok ten dotąd się jeszcze nie rozproszył, dotąd tkwi jeszcze w moim sercu, wyziębionym przez lata, i gdy myśl moja, kołysana wspomnieniami, chce przenieść się w krainę ułud przeszłości, nie zatrzymuje się na pierwszych chwilach miłosnych uniesień z Elwirą ani na zapędach namiętnej Laury, ale przylega do wilgotnych murów więzienia.

Powiedziałem wam, że wicekról uniósł się na mnie niepohamowanym gniewem. Gwałtowność jego sposobu myślenia przemogła w nim poczucie sprawiedliwości i przyjaźń, jaką miał ku mnie. Wyprawił lekki okręt do Europy i posłał raport oskarżający mnie o podżeganie do buntów. Zaledwie jednak okręt wyruszył, gdy dobroć i sprawiedliwość wzięły górę w sercu wicekróla i począł z innego punktu zapatrywać się na moją sprawę. Gdyby nie obawa zadania fałszu samemu sobie, byłby wysłał drugi raport, całkiem przeciwny pierwszemu; wyprawił atoli natychmiast okręt z depezbami, które powinny były 2łagodzić surowość poprzedzających.

Rada Indii, dość powolna we wszystkich postanowieniach, otrzymała drugi raport na czas i wreszcie przysłała odpowiedź taką, jakiej można było się spodziewać po najbieglejszej roztropności. Wyrok Rady zdawał się być wynikiem nieubłaganej srogości i skazywał na śmierć buntowników. Ale gdyby miano się ściśle trzymać jego sformułowań, byłoby nader trudno odnaleźć winnych, wicekról zaś otrzymał tajemne polecenia zabraniające ich szukać. Ogłoszono nam tylko oficjalną część wyroku, która zadała ostateczny cios nadwątłonemu zdrowiu Tlaskali. Nieszczęśliwa dostała krwotoku z płuc; gorączka, zrazu powolna, niebawem jednak coraz gwałtowniej się rozwijająca...

Rozżalony starzec nie mógł więcej mówić, łkania stłumiły mu głos w piersiach; oddalił się, chcąc dać upust łzom, my zaś pozostaliśmy pogrążeni w uroczystym milczeniu. Każdy z osobna ubolewał nad losem pięknej Meksykanki.

Dzień czterdziesty piąty

Zebraliśmy się o zwykłej godzinie i prosiliśmy margrabiego. aby raczył dalej opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS

Mówiąc wam, że wpadłem w niełaskę, nie wspominałam ani słowa, co przez ten czas porabiała moja żona. Elwira z początku sprawiła sobie kilka sukien z ciemnych materii, następnie zaś odjechała do klasztoru, którego rozmownica od razu zmieniała się w salon do przyjmowania gości. Wszelako żona moja pokazywała się tylko z chustką w rękę i rozpuszczonymi włosami. Dowody tak niezmiennego przywiązania mocno mnie wzruszyły. Jakkolwiek uniewinniony, atoli: tak dla formalności prawnych, jak też wskutek powolności wrodzonej Hiszpanom, musiałem jeszcze cztery miesiące przesiedzieć w więzieniu. Skoro odzyskałem wolność, natychmiast udałem się do klasztoru margrabin i przywiozłem ją do domu;

gdzie powrót jej uświetnił wspaniały bal - ale jaki bal! sprawiedliwe nieba!

Tlaskali już nie było, najobojętniejsi ze łzami w oczach ją wspominali. Możecie wyobrazić sobie moją boleść; odchodziłem od zmysłów i nic dokoła nie spostrzegałem. Dopiero nowe uczucie, budzą: błogie nadzieje, wyrwało mnie z tego opłakanego stanu.

Człowiek młody, obdarzony szczęśliwymi skłonnościami, pała chęcią odznaczenia się. W trzydziestym roku życia pragnie popularności, później szacunku i poważania. Osiągnąłem już popularność, ale zapewne nie pozyskałbym jej, gdyby wiedziano, w jakim stopniu miłość powodowała wszystkimi moimi czynami. Tymczasem przypisywano moje postęпки rzadkim cnotom, popartym niepospolitą dzielnością charakteru. Do tego przyłączał się pewien rodzaj entuzjazmu, jakiego zwykle nie szczędzi się dla tych, którzy przez jakiś czas, kosztem własnego bezpieczeństwa, zajmowali publiczną uwagę.

Popularność, otaczająca mnie w Meksyku, dała mi poznać wysokie przekonanie, jakie o mnie powzięto, i pochlebne hołdy wyrwały mnie z głębokiej rozpacz, w jakiej byłem pogrążony. Czuję, że nie zasługuję jeszcze na taką popularność, ale miałem nadzieję, że okażę się jej godny. Tak więc, gdy znękani bólem, widzimy tylko posępną przyszłość przed nami, nagłe Opatrzność, troskliwa o nasze losy, rozpala niespodziewane światła, które znowu rozświecają nam drogę żywota.

Powziąłem więc zamiar zaśluzenia sobie we własnym przekonaniu na popularność, jaka mnie otaczała; otrzymałem udział w zarządzie kraju i wykonywałem moje obowiązki z czynną i dla wszystkich równą sprawiedliwością. Atoli stworzony byłem dla miłości. Obraz Tlaskali ciągle trwał w moim sercu, niemniej odczuwałem w nim pustkę. Postanowiłem ją zapełnić.

Przeszedłszy trzydziesty rok, można jeszcze doznać silnego przywiązania, a nawet wzbudzić je, ale biada człowiekowi, który w tym wieku chce mieszać się do młodzieńczych igraszek miłości. Uśmiech nie igra mu już na ustach, tkliwa radość nie błyszczy w oczach. mowa nie nagina się do czarownych niedorzeczności: szuka sposobów podobania się, ale niełatwo udaje mu się je wynaleźć. Płochą i złośliwą czeredą poznaje się na tym i całym rozpędem skrzydeł ucieka od niego, szukając młodzieńczego grona.

Nareszcie, jeżeli mam wam powiedzieć niepoetycznie, nie zbywało mi na kochankach, które odpłacały mi wzajemnością, ale czułość ich zwykle miała inne widoki na celu i jak możecie się domyślić, często opuszczały mnie dla młodszych. Takie postępowanie bodło mnie czasami, ale nigdy

nie martwiło. Jedne lekkie więzy zmieniałem na drugie, nie więcej ciężkie, i śmiało wyznam, że w stosunkach tych więcej doznałem rozkoszy niż zmartwienia.

Moja żona zaczynała czterdziesty rok życia: zachowała jeszcze wiele z dawnej swej piękności. Hołdy jeszcze ją otaczały, ale były teraz raczej objawem szacunku; tłum cisnął się do rozmowy z nią, ale już nie ona była tej rozmowy przedmiotem. Świat jeszcze jej nie opuszczał, chociaż dla niej cały wdzięk już postradał.

Śród tego wicekról umarł. Elwira, która dotychczas zwykle przebywała w jego towarzystwie, teraz zapragnęła u siebie mieszać gości. Lubilem jeszcze wówczas towarzystwo kobiet, z przyjemnością zatem po-myślałem, że byłem zszedł o jedno piętro niżej, zawsze je znajdę. Margrabina stała się dla mnie jak gdyby nową znajomością. Wydała mi się pociągającą i starałem się odzyskać jej względy. Córka, która mi towarzyszy w tej podróży, jest owocem naszego ponownego związku.

Późny jednak połów wywarł zgubny wpływ na zdrowie margrabiny. Parokrotnie zaniemogła, wreszcie wpadła w przewlekłą chorobę, która zaprowadziła ją do grobu. Szczerze ją opłakiwałem. Była pierwszą moją kochanką i ostatnią przyjaciółką. Związki krwi nas łączyły, winieniem jej był mój majątek i stanowisko; tyle razem przyczyn do opłakiwania jej straty. Tracąc Tlaskalę, otoczony jeszcze byłem wszystkimi złudzeniami życia. Margrabina zostawiła mnie samego, bez pociechy i w przygnębieniu, z którego nic nie mogło mnie wyrwać.

Jednakże zdołałem odzyskać równowagę. Wyjechałem do moich majątków, zamieszkałem u jednego z moich wasali, którego córka, zbyt młoda jeszcze, aby miała zważać na mój wiek, obdarzyła mnie uczuciem przypominającym miłość i pozwoliła mi zerwać kilka kwiatów w ostatnich dniach jesieni mojego życia.

Nareszcie wiek ściął lodem prąd moich zmysłów. ale czułość nie opuściła mego serca. Przywiązanie do mojej córki żywiej drga we mnie od wszystkich dawnych namiętności. Jedynym moim życzeniem jest widzieć ją szczęśliwą i umrzeć na jej rękach. Nie mogę zalić się, drogie dziecię ze swojej strony odpłaca mi jak najszczerzą wzajemnością. Los jej jest już zapewniony, okoliczności sprzyjają, zdaje mi się, że zabezpieczyłem jej przyszłość, o ile można zabezpieczyć ją komu na ziemi. Spokojnie, choć nie bez żalu, rozstanę się z tym światem, na którym, jak każdy człowiek, doznałem wiele smutku, ale i wiele szczęścia.

Oto jest cała historia mego życia. Lękam się jednak, że was znudziła, zwłaszcza że widzę, iż ten oto senior od pewnego czasu wolał oddać się jakimś obliczeniom.

W istocie, Velasquez dobył tabliczek i pilnie coś obliczał.

- Przebacz mi, senior - odpowiedział nasz matematyk - opowiadanie twoje żywo mnie zajęło i na chwilę nie odwróciłem od niego uwagi. Postępując za tobą po drodze twego życia i widząc, że ta sama namiętność wznosiła cię ku górze, kiedy zacząłeś posuwać się naprzód, utrzymywała cię na osiągniętej wysokości w połowie twego życia i wspiera cię jeszcze u schyłku twoich dni - zdawało mi się, że dostrzegam zamkniętą krzywą, której rzędne w miarę posuwania się na osi zrazu wzrastają, zgodnie z równaniem krzywej, potem koło środka osi są sobie niemal równe, a następnie maleją wprost proporcjonalnie do poprzedniego wzrastania.

- W istocie - odparł margrabia - sądziłem, że można z przygód moich wyciągnąć naukę moralną, ale nigdy nie myślałem, aby dały się ująć w równanie.

- Nie idzie tu o twoje, senior, przygody - rzekł Velasquez - ale o życie ludzkie w ogólności, ale o dzielność fizyczną i moralną, wzrastającą z wiekiem, zatrzymującą się na chwilę, potem zstępującą, a tym samym, podobnie jak inne siły, podległą stałemu prawu, to jest pewnemu stosunkowi między liczbą lat a miarą dzielności wznieconej przez stan duszy. Pragnę dokładniej się wytłumaczyć. Przypuśćmy, że bieg twego życia jest wielką osią elipsy, że wielka ta oś dzieli na dziewięćdziesiąt lat wyznaczonych do przeżycia, a połowa małej osi podzielona została na piętnaście równych odcinków. Zauważcie teraz, że odcinki małej osi, wyobrażające stopnie dzielności nie są takimi samymi wielkościami, jak części wielkiej osi, oznaczające lata. Z natury więc elipsy otrzymamy linię krzywą, bystro się naprzód podnoszącą, zatrzymującą się na chwilę prawie w miejscu, następnie zaś zniżającą proporcjonalnie do pierwszego podnoszenia.

Uznajmy chwilę przyjścia na świat za początek współrzędnych, gdzie X i Y równają się jeszcze zeru. Rodzisz się, senior, i po upływie jednego roku rzędna wynosi $31/10$. Następne rzędne nie będą już wzrastać o $31/10$. Stąd różnica od zera do istoty zaledwie jękającej o pierwiastkach pojęć jest daleko znaczniejsza od każdej późniejszej różnicy.

Człowiek w dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu latach ma za rzędne swojej dzielności $44/10$, następnie $54/10$, $62/10$, $69/10$, $75/10$, $80/10$, różnice wynoszą więc: $13/10$, $10/10$, $8/10$, $7/10$, $6/10$, $5/10$.

Rzędna czternastu lat wynosi $109/10$, a suma różnic w całym drugim siedmioleciu nie przekracza $29/10$. W czternastym roku życia człowiek zaczyna być dopiero młodzieńcem, jest nim jeszcze w 21, suma jednak różnic przez te siedem lat wynosi tylko $18/10$, od 21 zaś do 28 lat - $12/10$. Przypominam wam, że moja krzywa linia wyobraża tylko życie tych ludzi, których namiętności są umiarkowane i którzy są najdzielniejszymi, gdy przejdą czterdziesty rok i zbliżają się do czterdziestego piątego. Dla ciebie, senior, w którego życiu miłość była głównym czynnikiem, największa rzędna powinna była przypaść przynajmniej o dziesięć lat wcześniej, tak gdzieś między trzydziestym a trzydziestym piątym rokiem życia. Musiałeś atoli wznosić się stosunkowo szybciej. W istocie, największa twoja rzędna przypadła na 35 rok, buduję więc twoją elipsę na wielkiej osi, podzielonej na 70 lat. Stąd rzędna czternastu lat, która u człowieka umiarkowanego wynosiła $109/10$, u ciebie wynosi $120/10$; rzędna 21 lat zamiast $127/10$ wynosi u ciebie $137/10$. Natomiast w 42 roku życia u człowieka umiarkowanego dzielność wciąż jeszcze wzrasta, a u ciebie już się obniża.

Racz na chwilę jeszcze skupić całą twoją uwagę. W 14 roku życia kochasz młodą dziewczynę, przeszedłszy 21 lat życia stajesz się najlepszym z mężów. W 28 roku pierwszy raz wyraźnie się sprzeniewierzasz, ale kobieta, którą kochałeś, ma wzniosłą duszę, ogarnia zapałem twoją i w 35 roku szlachetnie występujesz na widownię społeczeństwa. Wkrótce jednak przychodzi ci popęd do miłostek, doznany już w 28 roku, którego rzędna równa się rzędnej 42 lat.

Następnie znowu stajesz się dobrym mężem, jakim byłeś w 21 roku, którego rzędna równa się rzędnej 49 lat. Nareszcie wyjeżdżasz do jednego z twoich wasali, gdzie zapalasz się miłością ku młodej dziewczynie, takiej, jaką kochałeś w 14 roku, którego rzędna równa się rzędnej 56 lat. Upraszam cię jednak, mości margrabio, abys nie myślał, że dzieląc wielką oś twojej elipsy na siedemdziesiąt części, ograniczam twoje życie tylko do tej liczby lat. Przeciwnie, możesz bezpiecznie żyć dziewięćdziesiąt, a

nawet więcej, ale w takim razie elipsa twoja zmieni się stopniowo w innego rodzaju krzywą, przypuszczalnie zbliżoną do łańcuchowej.

To mówiąc Velasquez powstał, strasznie wywijał rękami, porwał szpadę, zaczął kreślić nią linię na piasku i zapewne byłby nam wyłożył całą teorię linii krzywych zwanych łańcuchowymi, gdyby margrabia, równie jak i reszta towarzystwa, mało ciekawy dowodzeń naszego matematyka, nie prosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Sama tylko Rebeka pozostała. Velasquez bynajmniej nie zważał na odchodzących, dość mu było pięknej Żydówki, jął więc przed nią dalej wykładać swój system. Długo mu się przysłuchiwałem, aż nareszcie, zmęczony mnóstwem naukowych wyrażań i liczb, do których nigdy nie miałem szczególniejszego upodobania, nie mogłem oprzeć się snowi i poszedłem na spoczynek. Velasquez ciągle dalej rozprawiał.

Dzień czterdziesty szósty

Meksykanie, którzy dłużej już z nami pozostawali, aniżeli zamierzeli, postanowili nareszcie nas opuścić. Margrabia usiłował namówić naczelnika Cyganów, aby udał się wraz z nimi do Madrytu i zaczął wieść życie bardziej odpowiednie do swego urodzenia, ale Cygan nie chciał żadnym sposobem na to przystać. Prosił nawet margrabiego, aby nigdy o nim nie wspominał i szanował tajemnicę, którą osłania swoje istnienie. Podróżni oświadczyli przysłuszanemu księciu Velasquezowi cały szacunek, jaki mieli dla niego, i uczynili mi zaszczyt żądania mojej przyjaźni.

Odprowadziwszy ich do końca doliny długo ścigaliśmy wzrokiem odjeżdżających. Gdy wracałem, przyszło mi na myśl, że kogoś brakowało w karawanie;

przypomniałem sobie dziewczynę znaną pod nieszczęsną szubienicą Los Hermanos, zapytałem więc naczelnika, co się z nią stało i czy w istocie jest to znowu jakaś nadzwyczajna przygoda, jakieś sprawy przeklętych piekielników, którzy tak nam się dali we znaki. Cygan szydersko uśmiechnął się i rzekł:

- Tym razem mylisz się, senor Alfonsie, ale taka jest natura ludzka, że raz zasmakowawszy w cudowności, rada by najprostsze wypadki życia pod nią podciągać.

- Masz słuszność - przerwał Velasquez - do tych pojęć także można zastosować teorię postępów geometrycznych, których pierwszym wyrazem będzie ciemny zabobonnik, ostatnim zaś alchemista lub astrolog. Między dwoma tymi wyrazami znajdzie się jeszcze wiele miejsca na mnóstwo przesądów ciężących nad ludzkością.

- Nie mam nic przeciw temu dowodzeniu - rzekłem - ale to wszystko nic wyjaśnia mi jeszcze, kim była owa nieznaną dziewczyna.

- Posłałem jednego z moich ludzi - odpowiedział Cygan - dla dowiedzenia się o niej szczegółów. Doniesiono mi, że jest to biedna sierota, która po śmierci kochanka dostała pomieszania zmysłów i nie mając nigdzie przytułku, żyje z dobroczynności podróżnych lub miłosierdzia pasterzy. Zwykle samotnie błądzi po górach i śpi tam, gdzie ją noc zaskoczy. Zapewne więc tym razem zaszła pod

szubienicę Los Hermanos i nie pojmując okropności miejsca, jak najspokojniej zasnęła. Margrabia, zdjęty litością, kazał ją pielęgnować, ale wariatka, przyszedłszy do sił, wymknęła się spod straży i przepadła gdzieś w górach. Dziwi mnie, że dotąd nigdzie jej nie spotkaliście. Biedaczka skończy na tym, że zsunie się gdzie ze skały i marnie zginie, chociaż przyznam się, że nie ma co żałować tak nędznego życia. Czasami pasterze, rozpaliwszy w nocy ognisko, widzą ją nagle zjawiającą się u ognia. Wtedy Dolorita, tak się bowiem ta nieszczęsna nazywa, siada spokojnie, wpatruje się bystrym wzrokiem w jednego z nich, nagle zarzuca mu ręce na szyję i nazywa go imieniem zmarłego kochanka. Z początku pasterze uciekali od niej, ale późniejszy zwyczajili się i bezpiecznie pozwalają jej błądzić, a nawet dzielają z nią strawę.

Gdy tak Cygan mówił, Velasquez tymczasem ją dowodził o siłach sobie przeciwległych, pochtaniających jedną drugą, o namiętności, która po długiej walce z rozumem zniszczyła go nareszcie i - uzbrojona berłem niedorzeczności - sama rozsiała się w mózgu. Co do mnie, zdziwiłem się, słysząc słowa Cygana, byłem bowiem pewny, że nie zaniedba korzystać z okoliczności i znowu uraczy nas sążnistą historią. Być może, że jedynym powodem skrócenia przygód Dolority było zjawienie się Żyda Wiecznego Tułacza, który bystrym krokiem obiegał górę. Kabalista zaczął wymawiać jakieś straszliwe zaklęcia, ale Żyd długo na nie nie zważał, nareszcie, jak gdyby tylko przez grzeczność dla towarzystwa, zbliżył się do nas i rzekł do Uzedy:

- Skończone twoje panowanie, straciłeś władzę, której okazałeś się niegodnym. Straszliwa przyszłość cię oczekuje.

Kabalista roześmiał się na całe gardło, ale ślad śmiechu nie szedł mu z serca, gdyż prawie błagalnym głosem w nieznanym języku zaczął przemawiać do Żyda.

- Dobrze - odparł Ahaswer - dziś jeszcze, dziś ostatni raz. Już mnie nigdy nie ujrzysz.

- Mniejsza o to - rzekł Uzeda - zobaczymy, co się stanie później. Tymczasem, stary zuchwalcze, korzystaj z chwili naszej przechadzki i ciągnij dalej twoje opowiadanie. Już my potrafimy się przekonać, czy szejk Tarudantu ma więcej władzy ode mnie. Zresztą znam powody, dla których nas unikasz, i bądź pewny, że je wszystkim wyjawię.

Nieszczęśliwy włóczęga spojrzawszy zabójczym wzrokiem na kabalistę, widząc jednak, że nie zdoła mu się oprzeć, wszedł wedle zwyczaju między mnie a Velasqueza i po chwili milczenia tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA

Wspomniałem wam, jak wtedy właśnie, gdy miałem osiągnąć najgorętszy cel moich życzeń, powstała wrzawa w świątyni i przypadł do nas jakiś faryzeusz, nazywając mnie oszustem. Jak się to zwykle czyni w podobnych wypadkach, odpowiedziałem mu, że jest oszczercą i że jeżeli natychmiast sam się nie wyniesie, każę go moim ludziom za drzwi wyrzucić.

- Dość już tego - zawołał faryzeusz, obracając się do obecnych - niegodziwy ten saduceusz oszukuje was. Rozsiał fałszywą pogłoskę, aby z bogactwem waszym kosztem; korzysta z waszej łatwowierności, ale czas już zderzyć z niego maskę. Aby wam dowieść prawdy moich słów, ofiaruję każdemu dwa razy większą ilość złota za uncję srebra.

Tym sposobem faryzeusz zyskiwał jeszcze dwadzieścia pięć od sta, ale lud, uniesiony chęcią zysku, zaczął tłumnie garnać się do niego i okrzykiwać go dobroczyńcą miasta, podczas gdy dla mnie nie szczędził najostrzejszych przymówek. Powoli rozjątrzyły się umysły, od słów przyszło do czynnej zwady i w mgnieniu oka taki hałas powstał w świątyni, że jeden drugiego nie mógł zrozumieć. Widząc, że się zanosi na straszną burzę, czym prędzej odesłałem do domu, co mogłem srebra i złota; zanim jednak służący zdążyli wszystko zabrać, lud, uniesiony wściekłością, rzucił się na stoły i zaczął rozrywać pozostałe pieniądze. Nadaremnie usiłowałem stawić jak najdzielniejszy opór, siła przeciwna przemagała. W jednej chwili świątynia zamieniła się w pole boju. Nie wiem, na czym byłoby się skończyło, może nawet nie byłbym żywy wyszedł, krew bowiem lała mi się z głowy, gdy wtem wszedł Prorok Nazarejski ze swymi uczniami.

Nigdy nie zapomnę tego groźnego i uroczystego głosu, który w jednej chwili uśmierzył całą wrzawę. Czekaliśmy, za kim się opowie. Faryzeusz był przekonany, że wygra sprawę, ale Prorok powstał na oba stronnictwa i zaczął wyrzucać im świętokradztwo, bezczeszczenie przybytku Pańskiego i to, że wzgardzili Stwórcą dla dobra diabelskiego. Słowa jego sprawiły silne wrażenie na zgromadzonych, świątynia zaczęła napełniać się ludem, między którym było wielu zwolenników nowej nauki. Obie strony poznały, że źle wyjdą na wmieszanym się trzeciego. W istocie nie myliliśmy się, gdyż okrzyk: "Precz ze świątyni" dał się słyszeć jak gdyby z jednej piersi. Lud tym razem nie baczył już na własną korzyść, ale, uniesiony fanatycznym zapałem, począł wyrzucać stoliki i wypychać nas za drzwi.

Na ulicy ciżba coraz bardziej wzrastała, ale lud większą zwracał uwagę na Proroka niż na nas. korzystając przeto z ogólnego zamieszania, chyłkiem, bocznymi uliczkami dopadłem do domu. Zastałem przy drzwiach służących naszych, uciekających z ocalonymi pieniędzmi. Jeden rzut oka na worki upewnił mnie, że jakkolwiek spełży nadzieje na zysk, straty jednak nie było żadnej. Na tę myśl odetchnąłem.

Sedekias o wszystkim już wiedział. Sara z niepokojem wyglądała mego powrotu; widząc mnie skrawionego zbladła i rzuciła mi się na szyję. Starzec długo spoglądał w milczeniu, trząsł głową, jak gdyby szukał jakiejś myśli, nareszcie rzeki:

- Przyrzekłem, że Sara będzie twoja, jeżeli podwoisz powierzone ci pieniądze. Cóżś z nimi uczynił?

- Nie moja wina - odpowiedziałem - jeżeli nieprzewidziany wypadek zniszczył moje zamiary; broniłem twego dobra z narażeniem własnego życia. Możesz obliczyć twoje pieniądze, nic nie straciłeś, owszem, są nawet pewne zyski, o których wszelako nie warto wspominać w porównaniu z tymi, jakie nas oczekiwały.

Tu nagle szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy, postanowiłem wszystko od razu rzucić na szalę losu i dodałem:

- Jeżeli jednak chcesz, aby dzień dzisiejszy był dniem zysku, mogę innym sposobem zapełnić szczerbę.

- Jak to? - zawołał Sedekias. - Rozumiem, pewnie znowu jakieś przedsięwzięcia, które tak udadzą się jak poprzednie.

- Bynajmniej - odpowiedziałem - sam się przekonasz, że wartość, jaką ci zaofiaruję, jest rzeczywista.

To mówiąc spiesznie wybiegłem i po chwili wróciłem, niosąc moją skrzynkę z brązu pod pachą. Sedekias bacznie na mnie spoglądał, uśmiech nadziei przeleciał po ustach Sary, ja zaś tymczasem otworzyłem skrzynkę, wyjąłem znajdujące się w niej papiery i rozdarłem je na połowę, podałem starcowi. Sedekias w jednej chwili poznał, o co chodzi, ścisnął konwulsyjnie papiery w rękę, wyraz niewypowiedzianego gniewu wybiegi mu na lica, powstał, chciał coś mówić, ale słowa uwięzły mu w piersiach. Los mój miał się rozstrzygnąć. Padłem do nóg starcowi i zacząłem oblewać je rzewnymi łzami.

Na ten widok Sara uklękła koło mnie i, sama nie wiedząc dlaczego, cała zapłakana jęła całować dziadka po rękach. Starzec zwiesił głowę na piersi, tysiące uczuć krzyżowało się w jego duszy, w milczeniu darł papiery na drobne kawałki, wreszcie zerwał się i śpiesznie wyszedł z izby. Zostaliśmy sami, pogrążeni w najboleśniejszej niepewności. Przyznam się, że straciłem wszelką nadzieję; po tym jednak, co zaszło, poznałem, że nie powinienem dłużej zostawać w domu Sedekiasa. Spojrzałem po raz ostatni na zapłakaną Sarę i wyszedłem, gdy nagle ujrzałem w przysionku krzątanie się i ciżbę. Zapytałem o przyczynę, odpowiedziano mi z uśmiechem, że mniej od kogokolwiek powinienem czynić podobne zapytania.

- Wszakże to - dodano - Sedekias wydaje za ciebie swoją wnuczkę i kazał, aby czym prędzej pośpieszono z przygotowaniami do wesela.

Możecie sobie wyobrazić, jak z rozpaczą od razu przeszedłem do stanu nieopisanego szczęścia. W kilkanaście dni potem pojąłem Sarę za żonę. Brakowało mi tylko, aby przyjaciel uczestniczył w tak świetnej zmianie mego losu; ale Germanus, porwany nauką Proroka Nazarejskiego, należał do tych, którzy wyrzucali nas ze świątyni, pomimo więc przyjaźni, jaką miałem dla niego, musiałem zerwać z nim wszelkie stosunki i odtąd zupełnie straciłem go z oczu.

Po doświadczeniu tylu przeciwności zdawało mi się, że zacznę kosztować spokojnego życia, tym bardziej że odrzekłem się wekslarstwa, które tak niebezpiecznie dało mi się już we znaki. Chciałem żyć z mego majątku; aby jednak czasu nie trawić na próżno, postanowiłem wypożyczać pieniądze. W istocie, nie zbywało mi na żądających, ciągnąłem więc znaczna zyski; Sara z każdym dniem coraz więcej uprzyjemniała mi życie, gdy wtem nagły wypadek zmienił dotychczasowy stan rzeczy.

Ale słońce już zachodzi, zbliża się dla was godzina spoczynku, mnie zaś wzywa potężne zakłęcie, któremu oprzeć się nie mogę. Jakieś dziwne uczucia przejmują moją duszę: miałżeby to być koniec moich cierpień? Żegnam was.

To mówiąc włóczęga znikł w pobliskim wąwozie. Zdziwiły mnie ostatnie jego słowa, zapytałem o ich znaczenie kabalistę.

- Wątpię - odrzekł Uzeda - abyśmy usłyszeli dalszą część przygód Żyda. Łotr ten, ile razy dochodzi do epoki, w której za znieważenie Proroka skazany został na wieczną pielgrzymkę, zazwyczaj znika i już żadna siła nie potrafi go na powrót przywołać. Ostatnie jego wyrazy wcale mnie nie zdziwiły. Od niejakiego czasu sam spostrzegam, że włóczęga znacznie się postarzał, ale przecież do śmierci go to nie doprowadzi, gdyż w takim razie cóż by stało się z waszym podaniem.

Widząc, że kabalista chce wpaść na drogę uwag, których nie wypadało słuchać prawowiernym katolikom, uciąłem dalszą rozmowę, oddałem się od reszty towarzystwa i sam wróciłem do mego namiotu.

Niebawem wszyscy powrócili, zapewne jednak nie udali się zaraz na spoczynek, gdyż długo jeszcze słyszałem głos Velasqueza, rozwijającego przed Rebeką jakieś matematyczne dowodzenie.

Dzień czterdziesty siódmy

Nazajutrz Cygan oznajmił nam, że oczekuje nowego dowozu towarów i dla bezpieczeństwa umyślił jakiś czas w tym miejscu przepędzić. Z przyjemnością przyjęliśmy tę nowinę, niepodobna bowiem było w całym pasmie Sierra Moreny wynaleźć czarowniejszego zakątka. Z rana zapuściłem się z kilku Cyganami na polowanie w góry, wieczorem zaś wróciwszy złączyłem się z resztą towarzystwa i słuchałem dalszego opowiadania naczelnika, który zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Wróciłem do Madrytu z Toledem, który szczerze obiecywał sobie wynagrodzić czas stracony w kła torze kamedułów. Przygody Lopeza Suarez żywo zajęły, przez drogę opowiedziałem mu bliższe szczegóły, kawaler baczenie się im przysłuchiwał, nareszcie rzekł:

- Wchodząc niejako w nową epokę życia po pokucie, należałoby zacząć od wyświadczenia komu dobrego uczynku. Żal mi tego biednego młodzieńca, który bez przyjaciół, znajomych, chory, opuszczony, a do tego zakochany, sam nie wie, jak sobie dać radę w obcym mieście. Avarito, zaprowadzisz mnie do Suareza, być może, że mu się na co przydam.

Zamiar Toledo bynajmniej mnie nie zdziwił, od dawna już bowiem miałem sposobność przekonać się o jego szlachetnym sposobie myślenia i skwapliwości do niesienia pomocy drugim.

W istocie, przyjechawszy do Madrytu, kawaler natychmiast udał się do Suareza. Poszedłem za nim. Zaraz na samym wejściu dziwny nas uderzył widok. Lopez leżał w najgwałtowniejszej gorączce. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział, czasami tylko błędny uśmiech przelatywał mu po spiekłych ustach, snadź marzył wtedy o ukochanej Inezie. Tuż przy nim w fotelu siedział Busqueros, ale nie obejrzał się nawet, gdyśmy wchodzili. Zbliżyłem się do niego i poznałem, że śpi. Toledo przystąpił do sprawy nieszczęść biednego Suareza i targnął go za ramię. Don Roque ocknął się, przetarł oczy, wytrzeszczał je i zawołał:

- Co widzę, senior don Jose tutaj? Wczoraj miałem zaszczyt spotkać w Prado jaśnie oświeconego księcia Lermę, który pilnie mi się przyglądał, zapewne chciał się ze mną bliżej poznać. Jeżeli jego książęca mość potrzebuje moich usług, racz senior oświadczyć zacnemu swemu bratu, że każdej chwili gotów jestem na jego rozkazy.

Toledo powstrzymał niekończący się potok słów Busquera i zapytał go:

- Nie o to tu teraz chodzi. Przeszedłem dowiedzieć się, jak się ma chory i czy czego nie potrzebuje.

- Chory ma się źle - odpowiedział don Roque - potrzebuje zaś przede wszystkim zdrowia, pociechy i ręki pięknej Inezy.

- Co do pierwszego - przerwał Toledo - pójdę natychmiast po lekarza mego brata, który jest jednym z najbieglejszych w Madrycie.

- Co do drugiego - dodał Busqueros - nic mu senor nie pomożesz, gdyż nie wrócisz życia jego ojca; względem zaś trzeciego, mogę zapewnić, że nie szczędzę zachodów, aby przyprowadzić ten zamiar do skutku.

- Jak to? - zawołałem. - Umarł ojciec don Lopeza?

- Tak jest - odpowiedział Busqueros - wnuk tego samego Iñiga Suareza, który, przebywszy wiele mórz, założył dom handlowy w Kadyksie. Chory miał się już daleko lepiej i wkrótce zapewne byłby zupełnie odzyskał siły, gdyby wiadomość o śmierci sprawcy jego życia nie była go powtórnie rzuciła na łożo. Ponieważ jednak senor - mówił dalej Busqueros, zwracając mowę do Toledo - szczerze zajmujesz się losem mego przyjaciela, pozwól, abym ci towarzyszył w wyszukaniu lekarza i zarazem ofiarował moje usługi.

Po tych słowach obaj wyszli, ja zaś sam zostałem przy chorym. Długo wpatrywałem się w blade jego oblicze, na które cierpienia w tak krótkim czasie w zmarszczkach wybiegły, i w duchu przeklinałem natręta, jako przyczynę wszystkich nieszczęść Suareza. Chory usnął, wstrzymywałem oddech, aby mimowolnym poruszeniem nie przerwać mu chwili spoczynku, gdy wtem zastukano do drzwi. Zniecierpliwiony wstałem i na palcach pomykając się ku drzwiom, poszedłem otworzyć. Spostrzegłem niemłodą już, ale nader przyjemnej postaci kobietę, która widząc, że kładę palec na ustach na znak milczenia, kazała mi, abym wyszedł do niej do sieni.

- Mój młody przyjacielu - rzekła do mnie - nie mógłbyś mi powiedzieć, jak się ma dzisiaj senor Suarez?

- Zdaje mi się, że niedobrze - odpowiedziałem - ale w tej chwili usnął i mam nadzieję, że sen go nieco pokrzepi.

- Mówiono mi, że jest mocno cierpiący - ciągnęła dalej nieznajoma - i pewna osoba, która szczerze się nim zajmuje, prosiła mnie, abym sama przekonała się o stanie jego zdrowia. Bądź tak grzeczny i jak się przebudzi, oddaj mu ten bilecik. Jutro przyjdę sama dowiedzieć się, czy mu lepiej.

Po tych słowach dama znikła, ja zaś schowałem bilecik do kieszeni i wróciłem do izby.

Po chwili przyszedł Toledo z lekarzem; zacny kapłan Eskulapa przypominał mi z wyglądu doktora Sangre Moreno. Zastanowił się nad chorym, pokiwał głową, po czym dodał, że w tej chwili za nic nie może ręczyć, że jednak pozostanie przez całą noc przy Suarezie i że nazajutrz będzie w stanie udzielić ostatecznej odpowiedzi. Toledo uścisnął go przyjacielsko, polecił, aby nie szczędził wszelkich starań, i wyszliśmy razem, obiecując sobie, każdy w duszy, nazajutrz ze świtem powrócić. W drodze opowiedziałem kawalerowi odwiedziny nieznajomej kobiety; wziął ode mnie bilecik i rzekł:

- Jestem pewny, że to pismo pięknej Inezy. Jutro, jeżeli Suarez będzie zdrowszy, możemy mu je oddać. W istocie rad bym połowę życia okupił szczęście tego młodego człowieka, któremu zadałem

tyłe cierpień. Ale jest już późno, my także po naszej podróży potrzebujemy wypoczynku. Chodź, prześpisz się u mnie.

Z chęcią przyjąłem zaproszenie człowieka, do którego coraz silniej zacząłem się przywiązywać, i posiliwszy się wieczną, niebawem twardym snem za-snąłem.

Nazajutrz poszliśmy do Suareza. Po twarzy lekarza poznałem, że sztuka odniosła zwycięstwo nad niemocą. Chory był jeszcze bardzo osłabiony, ale poznał mnie i szczerze powitał. Toledo opowiedział mu, jakim sposobem stał się przyczyną jego potłuczenia, zapewnił, że użyje wszelkich środków, aby mu w przyszłości wynagrodzić doznane boleści, i prosił, aby odtąd raczył uważać go za przyjaciela. Suarez wdzięcznie przyjął tę ofiarę i osłabioną rękę podał kawalerowi. Toledo wyszedł do drugiego pokoju z lekarzem; wtedy, korzystając ze sposobności, oddałem Suarezowi bilecik. Słowa w nim zawarte były zapewne najlepszym lekarstwem, gdyż Lopez siadł na łóżku, łzy puściły mu się z oczu, przycisnął pismo do serca i głosem przerywanym łkaniem rzekł:

- Wielki Boże, więc nie opuścisz mnie, nie jestem sam jeden, na świecie! Ineza, moja droga Ineza nie zapomniała o mnie, ona mnie kocha! Zaczyna pani Avalos sama przyszła dowiedzieć się o moje zdrowie.

- Tak jest, senor Lopez - odpowiedziałem - ale na miłość boską, uspokój się, nagłe wzruszenie mogłoby ci zaszkodzić.

Toledo usłyszał ostatnie moje słowa, wszedł więc z lekarzem, który zalecił choremu przede wszystkim spoczynek, przepisał mu chłodzące napoje i obiecawszy powrócić wieczorem, oddalił się. Po chwili drzwi otworzyły się i ujrzeliśmy wchodzącego Busquera.

- Brawo! - zawołał - wyśmienicie, nasz chory, jak widzę, jest dziś daleko zdrowszy! Tym lepiej, wkrótce bowiem będziemy musieli rozwinąć całą naszą działalność. W mieście rozchodzi się pogłoska, że córka bankiera w tych dniach wychodzi za mąż za księcia Santa Maura. Niech sobie gadają, co chcą;

zobaczymy, kto postawi na swoim. Spotkałem właśnie w gospodzie Pod Złotym Jeleniem dworzanina z orszaku księcia i dałem mu lekko uczuć, że nie mieli tu po co przyjeżdżać.

- Bez wątpienia - przerwał Toledo - i ja mniemam, że senor Lopez nie powinien tracić nadziei, atoli w takim razie pragnąłbym, abyś waszeć nie mieszał się do niczego.

Kawaler wyrzekł te słowa z przyciskiem. Don Roque snadź nie śmiał mu nic odpowiedzieć; zauważyłem tylko, że z przyjemnością spogląda na Toledo, żegnającego się z Suarezem.

- Piękne słówka do niczego nas nie doprowadzą - rzekł don Roque, gdyśmy zostali sami - tu trzeba działać, i to jak najspieszniej.

Gdy natręt domawiał tych słów, usłyszałem stukanie do drzwi. Domyśliłem się, że to pani Avalos, szepnąłem więc do ucha Suarezowi, aby wyprawił Busquera tylnymi drzwiami, ale ten oburzył się na te słowa i rzekł:

- Tu trzeba działać, powtarzam, jeżeli zaś są to odwiedziny mające styczność z główną naszą sprawą, ja muszę być przy nich obecny albo przynajmniej słyszeć całą rozmowę z drugiego pokoju.

Suarez rzucił błagalny wzrok na Busquera, który widząc, że chory mocno sobie nie życzy jego obecności, wszedł do pobocznej izby i ukrył się za drzwiami. Pani Avalos niedługo bawiła; z radością powitała powrót Suareza do zdrowia, zapewniła go, że Ineza nie przestaje o nim myśleć ani go kochać, że na jej to prośby przyszła go odwiedzić i że na koniec Ineza, niespokojna o niego, dowiedziawszy się o nowym nieszczęściu, jakie nań spadło, postanowiła tego wieczora odwiedzić go z ciotką i słowami pociechy i nadziei dodać mu odwagi do przecierpienia przeciwnych chwil losu.

Po odejściu pani Avalos Busqueros wpadł znowu do pokoju i rzekł:

- Co słyszałem? Piękna Ineza chce nas odwiedzić dzisiejszego wieczora? Otóż to jest dopiero prawdziwy dowód miłości! Biedna dziewczyna nie myśli nawet, że tym nierozważnym postępkim może zgubić się na wieki; ale my tu za nią pomyślimy. Senor don Lopez, biegnę do moich przyjaciół, rozstawię ich na czatach i każę, aby nikogo z obcych nie wpuszczali do domu. Bądź spokojny, ja całą sprawę biorę na siebie.

Suarez chciał mu coś odpowiedzieć, ale don Roque wyskoczył jak oparzony. Widząc, że zanosi się na nową burzę, i że Busqueros znów zamyśla wypłatać jakiegoś figla, nie mówiąc ani słowa choremu, pobiegłem czym prędzej do Toleda i opowiedziałem mu wszystko, co zaszło. Kawaler zachmurzył czoło, zamyślił się i kazał, abym wrócił do Suareza i zapewnił go, że użyje wszelkich środków dla zapobieżenia nedorzecznosciom natręta. Wieczorom usłyszeliśmy turkot zatrzymującego się powozu. Po chwili weszła Ineza ze swoją ciotką. Nie chcąc także być natrętnym, cichaczem wysunąłem się za drzwi, gdy wtem z dołu doszedł mnie hałas. Zbiegłem i ujrzałem Toleda wiodącego żywą sprzeczkę z jakimś nieznanym.

- Mój panie - mówił cudzoziemiec - zaręczam ci, że potrafię tu wejść. Moja narieczona naznacza sobie w tym domu schadzki miłosne z jakimś mieszczaninem z Kadyksu, wiem o tym z pewnością. Przyjaciół tego niegodziwca Pod Złotym Jeleniem w obecności marszałka mego dworu werbował jakichś urwiszów, którzy mieli mu dopomagać w pilnowaniu, żeby kto nie splotzył pary gołębi.

- Przebacz, senor - odpowiedział Toledo - ale żadnym sposobem nie mogę pozwolić ci wejść do tego domu. Nie zaprzeczam, że przed chwilą weszła tu młoda kobieta, ale jest to jedna z moich krewnych, której nikomu ubliżyć nic dozwolę.

- Kłamstwo! - krzyknął nieznanomy. - Kobieta ta jest Ineza Moro i moją narieczoną.

- Senor, nazwałeś mnie kłamcą - rzekł Toledo. - Nie wchodzę, czy masz słusność, czy też nie, ale ubliżyłeś mi i zanim krok stąd postąpisz, raczysz dać mi zadośćuczynienie. Jestem kawaler Toledo, brat księcia Lermy.

Nieznanomy uchylił kapelusza i odparł:

- Książę Santa Maura gotów jest na twoje, senor, rozkazy.

To mówiąc odrzucił płaszcz i dobył szpady. Latarnia, zawieszona nad drzwiami, rzucała blade światło na walczących. Przytuliłem się do ściany, oczekując końca tej nieszczęsnej przygody. Nagle książę wypuścił szpadę z ręki, schwycił się za piersi i padł jak długi. W tej samej chwili, jak na szczęście, lekarz księcia Lermy przychodził odwiedzić Suareza. Toledo przyprowadził go do księcia i z niepokojem zapytał, czy rana jest śmiertelna.

- Bynajmniej - odrzekł lekarz. - Każcie go tylko jak najspieszniej przenieść do domu i opatrzyć, za kilkanaście dni będzie zdrow, szpada wcale nie tknęła płuc.

To mówiąc podał rannemu orzeźwiający sole. Santa Maura otworzył oczy; wtedy kawaler przystąpił do niego i rzekł:

- Mości księżę, nie myliłeś się, piękna Ineza jest tutaj, u młodego człowieka, którego kocha nad życie. Po tym, co pomiędzy nami zaszło, sądzę, że wasza księżęca mość jesteś zbyt szlachetny, abyś chciał zmuszać młodą dziewczynę do zawarcia związku przeciwnego jej sercu.

- Senior kawalerze - odparł słabym głosem Santa Maura - nie godzi mi się powątpiewać o prawdzie twoich słów, wszelako dziwi mnie, że piękna Ineza sama nie uprzedziła mnie, iż serce jej nie jest już wolne. Kilka słów z jej ust lub kilka liter jej ręką napisanych...

Księżę chciał mówić dalej, ale powtórnie omdlał: odniesiono go do domu, Toledo zaś pobiegł na górę donieść Inezie, czego wymaga jej zalotnik, godząc się zostawić ją w spokoju i rzec się jej ręki.

Cóż mam wam więcej powiedzieć? Sami domyślcie się końca przygody. Suarez, zapewniony o miłości kochanki, szybko powracał do zdrowia. Stracił ojca, ale pozyskał przyjaciela i żonę, ojciec bowiem Inezy nie podzielał nienawiści, jaką pałał ku niemu nieboszczyk Gaspar Suarez, i z chęcią zezwolił na ich połączenie. Państwo młodzi natychmiast po ślubie wyjechali do Kadyksu. Busqueros odprowadził ich o kilka mil za Madryt i potrafił wyłudzić od nowożeńca za mniemane przysługi kieszonkę złotą. Co do mnie, sądziłem, że los nigdy nie zetknie mnie już z nieznośnym natrętem, do którego czułem niewymowną odrazę, ale tymczasem inaczej się stało.

Od pewnego czasu zauważyłem, że don Roque wymawia nazwisko mego ojca. Przewidywałem, że znajomość ta nie może być dla nas korzystna, zacząłem więc śledzić każdy jego krok i dowiedziałem się, że Busqueros ma krewną, nazwiskiem Gita Cimiento, którą chce koniecznie wydać za mego ojca, wiedząc, że don Avadoro jest człowiekiem majątnym, a może nawet bogatszym, niż powszechnie sądzono.

W istocie, piękna Gita zajmowała już mieszkanie w domu przy wąskiej uliczce, na którą wychodził balkon mego ojca.

Ciotka moja była naówczas w Madrycie. Nie mogłem wytrzymać, aby jej nie uściskać. Zaczyna pani Dalanosa widząc mnie rozczuliła się do łez, wszelako zaklinała, abym się nie pokazywał na świat, dopóki czas mojej pokuty nie upłynie. Opowiedziałem jej zamiary Busquera. Uznała, że należy je koniecznie zniweczyć, i udała się po radę do wuja swego, szanownego teatyna Geronimo Santez, ale ten stanowczo odmówił swojej pomocy, utrzymując, że jako zakonnik nie powinien wdawać się w sprawy światowe i że wtedy tylko miesza się do spraw rodziny, gdy chodzi o pogodzenie zwaśnionych lub zapobieżenie zgorzeniu, o wszystkich zaś wypadkach innego rodzaju wcale nie chce słyszeć. Zdany na własne środki, chciałem zwierzyć się kawalerowi; ale wtedy musiałbym mu powiedzieć, kim jestem, czego bez przekroczenia zasad honoru w żaden sposób nie mogłem uczynić. Tymczasem więc jąłem pilnie uważać na Busquera, który po odjeździe Suareza przyczepił się do Toleda, wszelako z daleko mniejszą natarczywością, i codziennie z rana przychodził pytać się, czy kawaler nie potrzebuje jego usług.

Gdy Cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności i już go tego dnia więcej nie widzieliśmy.

Dzień czterdziesty ósmy

Nazajutrz, gdy zebraliśmy się razem, Cygan, ulegając powszechnym naleganiom, tak dalej jął rozpowiadać:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Lopez Suarez już od dwóch tygodni był szczęśliwym małżonkiem zachwycającej Inezy, Busqueros zaś, dokonawszy, jak mu się zdawało, tego ważnego przedsięwzięcia, przyczepił się do Toledo. Uprzedziłem kawalera o natręctwie jego satelity, ale don Roque sam czuł dobrze, że tym razem należy być przezorniejszym. Toledo pozwolił mu przychodzić do siebie i Busqueros wiedział, że dla zachowania prawa nie należy go nadużywać.

Pewnego dnia kawaler zapytał go, co to była za miłostka, której księżę Arcos przez tyle lat się oddawał, i czy w istocie kobieta owa była tak zachwycająca, że potrafiła na tak długo przywiązać do siebie księcia. Busqueros przybrał poważny wyraz twarzy i rzekł:

- Wasza wielmożność jest bez wątpienia silnie przekonany o moim dla niego poświęceniu, kiedy raczy pytać mnie o tajemnice dawnego mego opiekuna. Z drugiej strony szcycę się na tyle bliską znajomością waszej wielmożności, by nie wątpić, że pewnego rodzaju lekkość, jaką spostrzegłem w jego obejściu z kobietami, bynajmniej nie będzie do mnie się stosowała i że wasza wielmożność wydaniem tajemnicy nie zechce narazić swego wiernego sługi.

- Senor Busqueros - odparł kawaler - wcale nie prosiłem cię o panegiryk.

- Wiem o tym - rzekł Busqueros - ale panegiryk waszej wysokości zawsze znajduje się na ustach tych, którzy mieli zaszczyt zawrzeć z nim znajomość. Historię, o którą wasza wielmożność raczy mnie pytać, zacząłem opowiadać młodemu negocjantowi, którego przed niedawnym czasem połączyliśmy z piękną Inezą.

- Ale nie skończyłeś jej. Lopez Suarez powtórzył ją małemu Avarito, który mnie z nią zapoznał. Stanąłeś na tym, gdy Frasqueta opowiedziała ci swoją historię w ogrodzie, księżę Arcos zaś, przebrany za jej przyjaciółkę, zbliżył się do ciebie i rzekł, że chodzi mu o przyspieszenie wyjazdu Cornadeza i że chce, aby ten nie poprzestał na pielgrzymce, lecz aby przez jakiś czas odprawiał pokutę w jednym ze świętych miejsc.

- Wasza wielmożność - przerwał Busqueros - ma zadziwiającą pamięć. W istocie, tymi słowami odezwał się do mnie jaśnie oświecony księżę; ponieważ jednak historia żony jest już waszej

wielmożności znana, wypada dla zachowania porządku, abym przystąpił do historii męża i opowiedział, jakim sposobem zawarł on znajomość ze straszliwym pielgrzymem, nazwiskiem Hervas.

Toledo zasiadł i dodał, że zazdrości księciu takiej kochanki, jaką była Frasqueta, że lubił zawsze zuchwałe kobiety i że ta przewyższała pod tym względem wszystkie, jakie dotąd znał. Busqueros uśmiechnął się dwuznacznie, po czym tak zaczął mówić:

HISTORIA CORNADEZA

Małżonek Frasquety był synem mieszczanina z Salamanki; nazwisko jego stanowiło prawdziwe nomen-omen. Długo w jednym z biur miejskich zajmował jakiś podrzędny urząd i prowadził zarazem mały handel hurtowy, zaopatrując kilku detalistów. Następnie odziedziczył znaczny spadek i postanowił, zwyczajem większej części swych rodaków, oddać się wyłącznie próżniactwu. Całe zatrudnienie jego polegało na ucześnieści do kościołów, miejsc publicznych i paleniu cygar.

Wasza wielmożność powie zapewne, że Cornadez z tak wyjątkowym upodobaniem do spokojności nie powinien był żenić się z pierwszą lepszą swawolnicą, która stroiła doń miny przez okno; ale na tym właśnie polega wielka zagadka serca ludzkiego, że nikt nie postępuje tak, jak postępować powinien. Jeden całe szczęście upatruje w małżeństwie, przez całe życie zastanawia się nad wyborem i umiera nareszcie bezżenny; drugi przysięga nigdy się nie żenić, a mimo to bierze jedną żonę po drugiej. Takim sposobem i nasz Cornadez ożenił się. Z początku szczęście jego było nie do opisania; niebawem jednak począł żałować, zwłaszcza gdy ujrzał, że mu siedzi na karku nie tylko hrabia de Peña Flor, ale nadto cień jego, który na męczarnie nieszczęsnego małżonka wymknął się z piekieł. Cornadez zesmutniał i nie odzywał się do nikogo. Wkrótce kazał przenieść swoje łóżko do gabinetu, gdzie stał klęcznik i kropielnica. W dzień rzadko kiedy widywał żonę i częściej niż kiedykolwiek chodził do kościoła.

Pewnego dnia stanął obok jakiegoś pielgrzyma, który wlepił weń tak przerażający wzrok, że Cornadez w najwyższej niespokojności musiał wyjść z kościoła. Wieczorem znowu spotkał go na promenadzie i odtąd zawsze i wszędzie go spotykał. Gdziekolwiek się znalazł, nieruchomy i przenikliwy wzrok pielgrzyma napawał go niewysłowioną udręką. Nareszcie Cornadez, przewyciężając wrodzoną bojaźliwość, rzekł:

- Mój panie, oskarżę cię przed alka-dem, jeżeli nie przestaniesz mnie prześladować.

- Prześladować! prześladować! - odparł pielgrzym ponurym i grobowym głosem. - W istocie, prześladowają cię, ale twoje sto dublonów dane za głowę i zamordowany człowiek, który umarł bez sakramentów. Cóż? Czy nie zgadłem?

- Kto jesteś? - zapytał Cornadez, zdjęty strachem.

- Jestem potępieńcom - odparł pielgrzym - ale pokładam ufność w miłosierdziu bożym. Czy słyszałeś o uczonym Hervasie?

- Obiła mi się o uszy jego historia - rzekł Cornadez. - Był to bezbożnik, który smutnie skończył.

- Ten sam właśnie - rzekł pielgrzym. - Jestem jego synem, od przyjścia na świat naznaczonym piętnem potępienia, ale w zamian udzielona mi została władza odkrywania piętna na czołach grzeszników i sprowadzania ich na drogę zbawienia. Chodź za mną, nieszczęsna igraszko szatana, dam ci się bliżej poznać.

Pielgrzym zaprowadził Cornadza do ogrodu ojców celestynów i usiadłszy z nim na ławce w jednej z najbardziej odludnych alei, tak mu jął rozpowiadać:

HISTORIA DIEGA HERVASA OPOWIADANA PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA

Nazywam się Błażej Hervas. Ojciec mój, Diego Hervas, w młodym wieku wysłany na uniwersytet w Salamance, niebawem odznaczył się szczególniejszym zapałem do nauk. Wkrótce daleko zostawił za sobą swoich kolegów, po kilku zaś latach więcej umiał od wszystkich profesorów. Natenczas, zamknąwszy się w swojej izdebce z dziełami pierwszych mistrzów we wszystkich naukach, powziął błogą nadzieję, że osiągnie taką samą sławę i że nazwisko jego wymieniane będzie wśród nazwisk najznakomitszych uczonych.

Do tej żądzy, jak widzisz, wcale nieumiarkowanej, Diego inną jeszcze przyłączył. Chciał bezimiennie wydawać dzieła i dopiero gdy wartość ich zostanie powszechnie uznana, wyjawić swoje nazwisko i zdobyć w jednej chwili sławę. Tymi zamiarami zajęty, osądził, że Salamanka nie jest widnokresem, nad którym wspaniała gwiazda jego przeznaczenia mogłaby uzyskać należyty blask, zwrócił więc swoje spojrzenia ku stolicy. Tam bez wątplenia ludzie odznaczający się geniuszem używali należytego im szacunku, hołdów ogółu, zaufania ministrów, a nawet łaski królewskiej.

Diego wyobraził sobie zatem, że tylko stolica może sprawiedliwie ocenić jego znakomite zdolności. Młody nasz uczonec miał przed oczyma geometrię Kartezjusza, analizę Harriota, dzieła Fermata i Roberval'a. Spostrzegł jasno, że wielcy ci geniusze, torując drogę nauce, postępowali przecież niepewnym krokiem. Zebrał razem wszystkie ich odkrycia, dołączył wnioski, o jakich dotąd nie pomyślano, i przedstawił poprawki do używanych naówczas logarytmów. Hervas przeszło rok pracował nad swoim dziełem. W owym czasie książki o geometrii pisano wyłącznie po łacinie; Hervas, dla większego upowszechnienia, napisał swoją po hiszpańsku, dla zaostrożenia zaś ogólnej ciekawości nadał jej tytuł: Odstłonięte tajemnice analizy wraz z wiadomością o nieskończonościach w każdym wymiarze.

Gdy rękopis był już ukończony, mój ojciec właśnie wychodził z małoletności i otrzymał w tym względzie uwiadomienie od swoich opiekunów; oświadczyli mu oni zarazem, że jego majątek, który z początku zdawał się służyć z ośmiu tysięcy pistołów, z powodu różnych nieprzewidzianych wypadków spadł do ośmiuset, które po urzędowym skwitowaniu z opieki natychmiast mu będą wręczone. Hervas obliczył, że potrzebuje akurat ośmiuset pistołów na wydrukowanie swego rękopisu i podróż do Madrytu, czym prędzej więc podpisał pokwitowanie z opieki, odebrał pieniądze i podał rękopis do cenzury. Cenzorowie z wydziału teologicznego zaczęli robić niejaki trudności, ponieważ analiza nieskończenia małych wielkości zdawała się prowadzić do atomów Epikura, którą to naukę Kościół potępił. Wytłumaczono im, że chodzi o wielkości oderwane, a nie o cząstki materialne, i cofnęli swój sprzeciw.

Z cenzury dzieło przeszło do drukarza. Był to wielki tom in quarto, do którego trzeba było ułożyć brakujące czcionki algebraiczne, a nawet sporządzić nowe matryce. Tym sposobem wydanie tysięcy

egzemplarzy kosztowało siedemset pistołów. Hervas tym chętniej je poświęcił, że spodziewał się za każdy egzemplarz dostać trzy pistole, co mu zapowiadało dwa tysiące trzysta pistołów czystego zysku. Aczkolwiek nie ubiegał się za zyskiem, atoli nic bez pewnej przyjemności myślał o zebraniu tej okrągłej sumki.

Druk trwał ponad sześć miesięcy, Hervas sam przeprowadzał korektę i nudna ta praca więcej go kosztowała wysiłku aniżeli samo napisanie dzieła. Nareszcie największy wóz, jaki można było znaleźć w Salamance, przywiózł do jego mieszkania ciężkie paki, na których zasadzał terażniejszą chwałę i przyszłą nieśmiertelność.

Nazajutrz Hervas, upojony radością i odurzony nadzieją, objuczył swoim dziełem osiem mułów, sam wsiadł na dziewiątego i ruszył drogą do Madrytu. Przybywszy do stolicy, zsiadł przed księgarzem Moreno i rzekł mu:

- Senor Moreno, te osiem mułów przywiozło dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć egzemplarzy dzieła. którego mam zaszczyt wręczyć ci egzemplarz tysiacy. Sto egzemplarzy możesz senor sprzedać na własną korzyść za trzysta pistołów, z pozostałych zaś raczysz zdać mi rachunek. Pochlebiam sobie, że wydanie w przeciągu kilku tygodni będzie wyczerpano i że będę mógł przedsięwziąć drugie, do którego dodam pewne objaśnienia, jakie podczas druku przyszły mi do głowy.

Moreno zdawał się powątpiewać o tak szybidej sprzedaży, ale widząc zezwolenie cenzorów z Salamanki, przyjął paki do swego magazynu i wystawił w księgarni kilka egzemplarzy na sprzedaż. Hervas wprowadził się do gospody i nie tracąc czasu, natychmiast zajął się objaśnieniami, które chciał przyłączyć do drugiego wydania.

Po upływie trzech tygodni nasz geometra osądził, że czas udać się do Morena po pieniądze za sprzedane książki i że przynajmniej z tysiąc pistołów przyniesie do domu. Poszedł więc i z niesłychanym zmartwieniem dowiedział się, że dotąd nie sprzedano ani jednego egzemplarza. Wkrótce jeszcze dotkliwszy cios weń ugodził, wróciwszy bowiem do gospody, zastał nadwornego alguacila, który kazał mu wsiąść do zamkniętego powozu i zawiózł do Wieży Segowskiej.

Dziwne się wydaje, że postępowano z geometrą jak gdyby z więźniem stanu, ale przyczyna tego była następująca: Egzemplarze wystawione w księgarni u Morena wpadły wkrótce w ręce kilku ciekawców uczęszczających do jego sklepu. Jeden z nich, przeczytawszy nagłówek: "Odsłonięte tajemnice analizy" rzekł, że musi to być jakiś paszkwil na rząd; drugi przypatrzwszy się bacznie tytułowi, dodał ze złośliwym uśmiechem, że niezawodnie jest to satyra na don Pedra de Alanyes, ministra skarbu, gdyż analize jest anagramem nazwiska Alanyes, następna zaś część tytułu, "o nieskończonościach w każdym wymiarze", wyraźnie stosuje się do tego ministra, który w istocie materialnie był nieskończenie mały i nieskończenie opasty, moralnie zaś nieskończenie wyniosły i nieskończenie prostacki. Łatwo wnieść z tego żartu, że bywalcom księgarni Morena wolno było wszystko mówić i że rząd przez szpary patrzył na tę małą juntę szyderców.

Ci, którzy znają Madryt, wiedzą, że pod pewnymi względami lud w tym mieście dorównywa klasom wyższym; zajmują go te same wypadki, podziela te same zdania, a dowcipy z wielkiego świata podawane z ust do ust krążą po ulicach. To samo stało się z przycinkami bywalców księgarni Morena. Wkrótce wszyscy balwierze, a za nimi i cały lud nauczył się ich na pamięć. Odtąd nie nazywano inaczej

ministra Alanyes jak senorem "Analizą nieskończoności". Dygnitarz ten przyzwyczał się już do niechęci, jaką wzbudzał w ludzie, i bynajmniej na nią nie zważał, ale uderzony często powtarzanym przewiskiem, zapytał pewnego razu swego sekretarza o jego znaczenie. Otrzymał odpowiedź, że początek temu żartowi dała pewna książka matematyczna, którą sprzedawano u Morena. Minister, nie wchodząc w bliższe szczegóły, kazał naprzód uwięzić autora, następnie zaś skonfiskować wydanie.

Hervas, nie znając powodu swej kary, zamknięty w Wieży Segowskiej, pozbawiony piór i atramentu, nie wiedząc, kiedy go wypuszczą na wolność, postanowił dla uprzyjemnienia nudów przypomnieć sobie w umyśle wszystkie swoje wiadomości, czyli przywieść na pamięć wszystko, co umiał z każdej nauki. Natenczas z wielkim zadowoleniem spostrzegł, że rzeczywiście ogarnia cały obszar wiedzy ludzkiej i że byłby mógł jak niegdyś Pico della Mirandola, podołać dyspacie de omni scibili.

Zapalony żądzą wstawienia swego nazwiska w uczonym świecie, zamierzył więc napisać dzieło w stu tomach, które miało zawierać wszystko, co ludzie w owym czasie wiedzieli. Chciał wydać je bezimiennie. Publiczność bez wątpienia byłaby myślała, że dzieło to musi być utworem jakiegoś naukowego towarzystwa; wtedy Hervas chciał ujawnić swe nazwisko i od razu pozyskać sławę i miano wszechstronnego mędrca. Trzeba przyznać, że siły jego umysłu istotnie odpowiadały temu olbrzymiemu przedsięwzięciu. Sam czuł to bardzo dobrze i całą duszą oddał się zamiarowi, który pochlebiał dwom namiętnościom jego duszy: miłości do nauk i miłości własnej.

Sześć tygodni szybko tym sposobem ubiegło Hervasowi; po upływie tego czasu gubernator zamku zawezwał go do siebie. Zastał tam pierwszego sekretarza ministra skarbu. Człowiek ten skłonił się przed nim z pewnego rodzaju poszanowaniem i rzekł:

- Don Diego, chciałeś wejść w świat bez żadnego opiekuna, co było nader wielką nierozwagą; gdy więc oskarżono cię, nikt nie stanął w twojej obronie. Zarzucają ci, że wystosowałeś przeciw ministrowi skarbu twoją analizę nieskończoności. Don Pedro de Alanyes, słusznie rozgniewany, rozkazał spalić cały nakład twego dzieła; ale poprzestając na tym zadośćuczynieniu, raczy ci przebaczyć i ofiaruje ci w swoim biurze miejsce contadora. Będziesz miał sobie powierzone pewne rachunki, których zagmatwanie czasami wprawia nas w kłopot. Wyjdź z tego więzienia, do którego nigdy więcej nie powrócisz.

Hervas z początku wpadł w smutek dowiedziawszy się, że mu spalono dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć egzemplarzy dzieła, które go kosztowało tyle zabiegów, ale ponieważ teraz już na czym innym zasadał swoją sławę, wkrótce pocieszył się i poszedł zająć ofiarowane mu miejsce.

Tam podano mu rejestry annat, tabele dyskonta z gotówkowym rabatem i inne tym podobne obliczenia, które uskutecznił z niewypowiedzianą łatwością, pozyskując szacunek swoich naczelników. Wypłacono mu z góry Kwartalną pensję i dano mieszkanie w domu należącym do ministerium.

Gdy Cygan domawiał tych słów, odwołano go dla spraw hordy, musieliśmy więc do następnej doby odłożyć zaspokojenie naszej niecierpliwości.

Dzień czterdziesty dziewiąty

Zebraliśmy się wcześniej w jaskini; Rebeka uczyniła uwagę, że Busqueros z wielką zręcznością ułożył swoje opowiadanie.

- Zwyczajny intrygant - mówiła - byłby dla przestraszenia Cornadeza wprowadził widma okryte całunami, które byłyby wywarły nań przelotne wrażenie, ustępujące po kilku chwilach rozwagi. Tymczasem Busqueros postępuje odmiennie: stara się wpłynąć nań tylko słowami. Wszyscy znają historię ateusza Hervas. Jezuita Granada podał ją w przy-piskach do swego dzieła. Potępiony pielgrzym udaje, że jest jego synem, dla tym silniejszego przepełnienia zgrozą duszy Cornadeza.

- Zbyt pośpieszasz się z twoim sądem - odrzekł stary naczelnik. - Pielgrzym mógł w istocie być synem ateusza Hervas i nie ma wątpliwości, że tego, o czym mówi, nie znajdziesz w legendzie, o jakiej wspominasz; napotykamy tam zaledwie niektóre szczegóły o śmierci Hervas. Ale racz cierpliwie wysłuchać tej historii aż do końca.

DALSZY CIĄG HISTORII DIEGA HERVASA, OPOWIADANY PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA

Powrócono więc Hervasowi wolność i zapewniono mu środki do życia. Praca, jakiej wymagano po nim, zaledwie kilka godzin z rana mu zajmowała, mógł zatem swobodnie oddać się wykonaniu swego wielkiego zamiaru, wyczerpując wszystkie siły swego geniuszu i rozkoszując się swoją wiedzą. Nasz chciwy sławy poligraf postanowił o każdej nauce napisać jeden tom in octavo. Zauważywszy, że mowa jest szczególną właściwością człowieka, pierwszy tom poświęcił gramatyce ogólnej. Wyłożył w nim nieskończenie urozmaicone sposoby, za których pomocą w poszczególnych językach wyraża się rozmaite części mowy i nadaje rozmaite kształty elementom myśli.

Następnie z myśli wewnętrznej człowieka przechodząc do pojęć, jakie mu otaczające przedmioty nastroją, Hervas poświęcił 2. tom historii naturalnej w ogólności, 3. zoologii, czyli nauce o zwierzętach, 4. ornitologii, czyli znajomości ptaków, 5. ichtiologii, czyli nauce o rybach, 6. entomologii, to jest nauce o owadach, 7. skolekologii, czyli nauce o robakach, 8. konchologii, czyli znajomości muszel, 9. botanice, 10. geologii, to jest nauce o składzie ziemi, 11. biologii, czyli nauce o kamieniach, 12. oryktologii albo nauce o skamienielinach, 13. metalurgii, sztuce wydobywania i przerabiania kruszców, 14. dokimastyce, to jest sztuce próbowania tychże kruszców.

Z kolei Hervas znów zajął się człowiekiem: 15. tom obejmował fizjologię, czyli naukę o ciele ludzkim, 16. anatomię, 17. miologię, to jest naukę o mięśniach, 18. osteologię, 19. neurologię, 20. flebologię, to jest naukę o systemie żylnym.

21. tom poświęcony był medycynie ogólnej, 22. no-sogii, czyli nauce o chorobach, 23. etiologii, to jest nauce o ich przyczynach, 24. patologii albo -nauce o cierpieniach, jakie wywołują, 25. semiotyce, czyli znajomości symptomów, 26. klinice, to jest nauce o sposobach postępowania z obłożnie chorymi, 27. terapeutyce, czyli nauce uzdrawiania (najtrudniejszej ze wszystkich), 28. dietetyce albo znajomości sposobów żywienia, 29. higienie, to jest sztuce zachowywania zdrowia, 30. chirurgii, 31. farmacji, 32. weterynarii.:

Dalej następował tom 33. zawierający fizykę ogólną; 34. fizykę właściwą, 35. fizykę eksperymentalną, 36. meteorologię, 37. chemię, a potem szły błędne nauki do jakich ta zaprowadziła, mianowicie zaś: 38. tom zawierający alchemię i 39. filozofię hermetyczną.

Po naukach przyrodniczych następowały inne, wynikające ze stanu wojny, o którym sądzą, że także jest przyrodzony człowiekowi, stąd też 40. tom zawierał strategię, czyli sztukę wojowania, 41. kastrametację, to jest sztukę zakładania obozów, 42. naukę o fortyfikacjach, 43. wojnę podziemną, czyli naukę o minach i podkopywaniu się, 44. pirotechnikę, to jest naukę o artylerii, 45. balistykę, czyli sztukę miotania ciał ciężkich. Wprawdzie artyleria usunęła ostatnio tę umiejętność, ale Hervas, że tak powiem, wskrzesił ją dzięki swym uczonym badaniom nad machinami używanymi w starożytności.

Przechodząc do sztuk uprawianych w czasie pokoju, Hervas poświęcił 46. tom architekturze, 47. budowie portów, 48. budowie okrętów i 49. żegludze.

Po czym, traktując człowieka znowu jako jednostkę wchodzącą w skład społeczeństwa, w 50. tomie umieścił prawodawstwo, w 51. prawo cywilne, w 52. prawo karne, w 53. prawo państwowe, w 54. historię, w 55. mitologię, w 56. chronologię, w 57. biografię, w 58. archeologię, czyli znajomość starożytności, w 59. numizmatykę, w 60. heraldykę, w 61. dyplomatykę, czyli naukę o nadaniach, ustawach i dokumentach, w 62. dyplomację, czyli naukę o wyprawianiu poselstw i załatwianiu spraw politycznych, w 63. idiomatologię, to jest ogólną naukę o wszystkich językach, i w 64. bibliografię, czyli naukę o rękopisach, książkach i wydaniach.

Następnie zwracając się do oderwanych pojęć umysłowych, poświęcił 65. tom logice, 66. retoryce, 67. etyce, czyli nauce moralnej, 68. estetyce, to jest analizie wrażeń, jakie odbieramy za pomocą zmysłów.

Tom 69. obejmował teozofię, czyli badanie mądrości objawiającej się w religii, 70. teologię ogólną, 71. dogmatykę, 72. topikę polemiki, czyli znajomość ogólnych zasad prowadzenia dyskusji, 73. ascetykę, która poucza o pobożnych ćwiczeniach, 74. egzegezę, czyli wykład ksiąg Pisma świętego, 75. hermeneutykę, która te księgi wyjaśnia, 76. scholastykę, która jest sztuką dowodzenia w zupełnej niezależności od zdrowego rozsądku i 77. teologię mistyki, czyli panteizm rytualizmu.

Z teologii Hervas może nieco zbyt śmiało przeszedł w 78. tomie do onejromancji, czyli umiejętność wykładania snów. Tom ten należał do najbardziej zajmujących. Hervas wykazywał w nim, jakim sposobem kłamliwe i czcze złudzenia przez długie wieki rządziły światem. Przekonywamy się bowiem z dziejów, że sen o chudych i tłustych krowach zmienił ustrój Egiptu, w którym ziemskie dzierzawy od tej pory stały się własnością monarszą. W pięćset lat potem widzimy Agamemnona opowiadającego swoje sny zebranym Grekom. Na koniec w sześć wieków po zdobyciu Troi wykładali sny Chaldejczycy babilońscy i wyrocznia delficka.

79. tom zawierał ornitomancję, czyli sztukę wróżenia z lotu ptaków, używaną zwłaszcza przez augurów tokańskich. Seneka przekazał nam wiadomości o ich obrzędach.

80. tom, uczeńszy od innych, obejmował pierwsze Początki magii, sięgając czasów Zoroastra i Ostanesa. Znalazła się w nim historia tej nieszczęsnej nauki, która ze wstydem naszego wieku zbecześciła jego początek i dotąd nie jest jeszcze zupełnie zarzucona.

Tom 81. poświęcony był kabale i różnym sposobom wróżenia, jako to: rądomancji albo zgadywaniu przyszłości za pomocą pręcików, chiromancji, geomancji, hydromancji itp.

Ze wszystkich tych obłądów Hervas nagle przechodził do najbardziej niezaprzeczonych prawd, tak więc tom 82. zawierał geometrię, 83. arytmetykę, 84. algebrę, 85. trygonometrię, 86. stereometrię, czyli naukę o bryłach zastosowaną do rżnięcia kamieni, 87. geografii, 88. astronomię wraz z fałszywym jej płodem, znanym pod nazwą astrologii.

W 89. umieścił mechanikę, w 90. dynamikę, czyli naukę o siłach działających, w 91. statykę, to jest naukę o siłach zostających w równowadze, w 92. hydraulikę, w 93. hydrostatykę, w 94. hydrodynamikę, w 95. optykę i naukę o perspektywie, w 96. dioptrykę, w 97. katoptrykę, w 98. geometrię analityczną, w 99. pierwsze pojęcia o rachunku różniczkowym, nareszcie 100. tom zawierał analizę, która, według Hervas, była umiejętnością nad umiejętnościami i ostatnią granicą, do jakiej mógł przebić się rozum ludzki.

Głęboka znajomość stu rozmaitych nauk mogłaby się komu wydawać przechodzącą siły umysłowe jednego człowieka. Nie ulega jednak wątpliwości, że Hervas o każdej z tych nauk napisał jeden tom, który zaczynał się od historii nauki, a kończył na uwagach pełnych prawdziwej przenikliwości nad sposobami wzbogacenia i - że tak powiem - rozszerzenia we wszystkich kierunkach granic wiedzy człowieka.

Hervas podołał temu wszystkiemu dzięki oszczędności czasu i wielkiemu porządkowi w jego rozkładzie. Wstawał równo ze świtem i przygotowywał się do biurowej pracy, rozważając działania, jakie miał skutecznie. Szedł do ministra na pół godziny przed wszystkimi i czekał na uderzenie naznaczonej godziny z piórem w ręku i głową wolną od wszelkich myśli dotyczących się wielkiego dzieła. Gdy godzina wybiła, zaczynał swoje rachunki i dokonywał ich z niepojętą szybkością.

Następnie ruszał do księgarza Moreno, którego zaufanie umiał sobie pozyskać, brał książki, których potrzebował, i wracał do domu. Po chwili wychodził, aby się czymś posilić, powracał do siebie przed pierwszą i pracował aż do ósmej wieczorem. Po pracy grał w pelotę z chłopcami z sąsiedztwa, wypijał filiżankę czekolady i szedł spać. Niedzielę spędzał poza domem, obmyślając pracę - na następny tydzień.

Tym sposobem Hervas mógł rocznie około trzech tysięcy godzin obrócić na dokonanie swego uniwersalnego dzieła, co po piętnastu latach utworzyło sumę czterdziestu pięciu tysięcy godzin. W istocie, nadzwyczajna ta praca została ukończona tak, że nikt w Madrycie jej się nie domyślał, Hervas bowiem z nikim się nie wdawał, nikomu o swoim dziele nie wspominał, chcąc nagle świat zadziwić, rozciągając przed nim niezmierny obszar wiedzy. Ukończył swoje dzieło wraz z trzydziestym dziewiątym rokiem życia i cieszył się, że zacznie czterdziesty u progu ogromnej sławy.

Z tym wszystkim pewnego rodzaju smutek wypełniał mu serce. Przyzwyczajenie do ciągłej pracy, podtrzymywane nadzieją, było dlań najmiłszym towarzystwem, zapełniającym wszystkie chwile jego życia. Teraz stracił to towarzystwo i nuda, której dotąd nigdy nie zaznał, zaczęła mu doskwierać. Stan ten, zupełnie nowy dla Hervas, wyrwał go z dotychczasowego trybu życia.

Przestał szukać samotności i odtąd widywano go po wszystkich publicznych miejscach. Robił wrażenie, jak gdyby chciał wszystkich zagadywać, ale nie znając nikogo i nie będąc przyzwyczajonym

do prowadzenia rozmów, cofał się, nie wyrzekłszy ani słowa. Wszelako pocieszał się myślą, że wkrótce cały Madryt pozna go, będzie poszukiwał i o nim tylko mówił. Dręczony żądzą rozrywki, Hervas postanowił odwiedzić swoje rodzinne strony, nikomu nie znane miasteczko, które spodziewał się wsławić. Od piętnastu lat za całą zabawę pozwalał sobie tylko grać w pelotę z chłopcami z sąsiedztwa; teraz radował się na myśl, że będzie mógł oddać się tej rozrywce w miejscu, gdzie spędził pierwsze lata dzieciństwa.

Przed wyjazdem jednak chciał jeszcze nacieszyć się widokiem swoich stu tomów uporządkowanych na jednym wielkim stole. Rękopis był tego samego rozmiaru, jaki miał wyjść w druku, powierzył go więc introligatorowi, polecając wytłoczyć wzdłuż grzbietu każdej książki tytuły poszczególnych nauk i liczby porządkowe, od pierwszej na Gramatyce ogólnej aż do setnej na Analizie. Po upływie trzech tygodni introligator przyniósł książki, stół zaś był już przygotowany. Hervas ustawił na nim okazały szereg tomów, pozostałymi zaś brulionami i odpisami z radością zapalił w piecu. Następnie zamknął drzwi na podwójne rygle, przyłożył na nich swoją pieczęć i wyjechał do Asturii.

Rzeczywiście, widok miejsc rodzinnych napełnił Hervasa oczekiwaną rozkoszą; tysiące wspomnień słodkich i niewinnych wyciskało mu z oczu łzy radości, których źródło, zdawało się, dwadzieścia lat suchej i mozolnej pracy powinno było zupełnie wysuszyć. Nasz poligraf byłby chętnie resztę swego życia spędził w rodzinnym miasteczku, ale stutomowe dzieło powoływało go z powrotem do Madrytu. Rusza więc drogą do stolicy, przybywa do siebie, znajduje nienaruszoną pieczęć na drzwiach, otwiera je... i spostrzega sto swoich tomów podartych na strzępy, ogołoconych z oprawy, z kartkami pomieszanymi i porozrzucanymi na podłodze. Straszny ten widok pomieszał mu zmysły; padł wśród szczątków swego dzieła i postradał uczucie własnego istnienia.

Niestety! przyczyna tej klęski była następująca:

Hervas przedtem nigdy nie jadał w domu, szczury zatem, tak licznie zamieszkujące inne domy Madrytu, nie miały po co zaglądać do jego mieszkania, znalazłyby tam bowiem co najwyżej kilka zużytych piór. Ale inaczej się stało, gdy przyniesiono do izby sto tomów nasyconych świeżym klejem i gdy tego samego dnia właściciel wyniósł się z mieszkania. Szczury, znęcone wonią kleju, zachęczone milczeniem, hurmem się zebrały, przewracały, pogryzły i podarły książki...

Hervas wróciwszy do przytomności spostrzegł, jak jeden z tych potworów ciągnął do swojej nory ostatnie karty jego Analizy. Hervas chyba nigdy dotąd nie uniósł się gniewem, ale teraz nie mógł powstrzymać gwałtownego wybuchu, rzucił się na wydziercę jego geometrii transcendentalnej, uderzył głową o ścianę i padł powtórnie omdlały.

Wróciwszy po raz drugi do zmysłów, pozbierał strzępy rozproszone po całej izbie, wrzucił je do skrzyni, po czym usiadł na niej i oddał się najposępniejszym myślom. Niebawem dreszcz go wskroś przejął i biedny uczonek wpadł w żółciową gorączkę połączoną ze śpiączką i z maligną. Oddano go w ręce lekarzom.

Odwołano Cygana dla spraw jego hordy, odłożył więc do następnego dnia dalsze opowiadanie.

Dzień pięćdziesiąty

Nazajutrz naczelnik, widząc wszystkich zebranych, tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII DIEGA HERVASA, OPOWIADANY PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA

Hervas, pozbawiony przez szczury swojej sławy, opuszczony przez lekarzy, znalazł przecież opiekę w doglądającej go w chorobie kobiecie. Nie szczędziła ona starań i niebawem szczęśliwy kryzys ocalił mu życie. Była to trzydziestoletnia dziewczyna, imieniem Marika, która z litości przyszła się nim opiekować, wynagradzając tym uprzejmość, z jaką czasami wieczorem rozmawiał z jej ojcem, szewcem z sąsiedztwa. Hervas, przyszedłszy do zdrowia, uczuł całą wdzięczność, jaką był jej winien.

- Mariko - rzekł do niej - ocaliłaś mi życie i osładzasz teraz mój powrót do zdrowia. Powiedz, co mogę dla ciebie uczynić?

- Mógłbyś, senior, uczynić mnie szczęśliwą - odpowiedziała - ale nie śmiem powiedzieć, jakim sposobem.

- Mów - przerwał Hervas - i bądź pewna, że uczynię wszystko, co będzie w mojej możliwości.

- A gdybym - rzekła Marika - prosiła, abyś się ze mną ożenił?

- Z największą chęcią, z całego serca - odrzekł Hervas. - Będiesz mnie żywiła, gdy będę zdrow, będziesz mnie pielęgnowała podczas choroby i obronisz mnie od szczurów w razie, gdybym na jakiś czas wyjechał z domu. Tak jest, Mariko, ożenię się z tobą. kiedy tylko sama zechcesz, a im prędzej się to stanie, tym lepiej.

Hervas, nie odzyskawszy jeszcze dość sił, otworzył skrzynię zawierającą szczątki encyklopedii. Chciał pozbierać szpargały i wpadł w recydywę, która go mocno osłabiła. Gdy wreszcie wrócił do zdrowia, natychmiast poszedł do ministra skarbu, któremu oświadczył, że pracował przez piętnaście lat i wykształcił uczniów, którzy są w stanie go zastąpić, że nadwerżył sobie zdrowie, i poprosił o uwolnienie od służby i udzielenie mu dożywotniej renty, odpowiadającej połowie jego płacy. W Hiszpanii ten rodzaj łaski nie jest trudny do otrzymania, Hervas uzyskał więc, czego żądał, i ożenił się z Marika.

Wtedy nasz uczyony zmienił dotychczasowy sposób życia. Najął mieszkanie w oddalonej części miasta i postanowił nie ruszyć się z domu, dopóki na powrót nie uzupełni swoich stu tomów. Szczury pogryzły wszystek papier przyklejony do grzbietów książek i pozostawiły tylko mocno uszkodzone połowy kartek; wszelako wystarczyło to Hervasowi, żeby sobie przypomnieć resztę. Tak więc zajął się powtórny wykończeniem swego dzieła. W tym samym czasie dokonał drugiego, cał odmiennego rodzaju. Marika wydała mnie na świat, mnie, Potępionego Pielgrzyma. Ach, niestety, dzień mego urodzenia był z pewnością świętowany w krainach piekielnych; wieczne płomienie tej straszliwej siedziby rozgorzały nowym blaskiem, a szatany podwoiły męczarnie potępionych, aby tym więcej cieszyć się ich wyciem.

Pielgrzym, domawiając tych słów, zdawał się być pogrążony w głębokiej rozpacz, zalał się łzami, i zwracając się do Cornadeza, rzekł:

- Dziś nie jestem już w stanie dłużej opowiadać. Bądź tutaj jutro o tej samej godzinie, ale nie waż się nie przyjść, idzie tu bowiem o twoje zbawienie lub zatrąę.

Cornadez wrócił do domu z duszą przepętnoną przerażeniem; w nocy nieboszyk Peña Flor znowu go obudził i liczył mu nad uchem dublony, od pierwszego aż do setnego. Nazajutrz udał się do ogrodu ojców celestynów i zastał tam już pielgrzyma, który tak dalej mówił:

W kilka godzin po moim przyjściu na świat matka moja umarła. Hervas znał przyjaźń i miłość tylko z określenia tych dwóch uczuć, jakie umieścił w 67. tomie swego dzieła. Strata małżonki dowiodła mu jednak, że i on także był stworzony do przyjaźni i miłości. W istocie, tym razem w jeszcze głębszy wpadł smutek aniżeli wówczas, gdy szczury pożarły mu jego stutomowe dzieło. Mały domek Hervas trząsł się od krzyków, jakimi go napełniałem. Niepodobna było dłużej mnie w nim zostawić. Dziad mój, szewc Ma-rañon, przyjął mnie do siebie uszczęśliwiony, że będzie miał w swoim domu wnuka, który jest synem contadora i szlachcica. Dziad mój. uczciwy rzemieślnik, używał przyzwoitego bytu. Posyłał mnie do szkół, gdy zaś doszedłem szesnastu lat, sprawił mi wykwintny ubiór i pozwolił w szczęśliwym próżniactwie przechadzać się po ulicach Madrytu. Uważał, że dość był wynagrodzony za swoje trudy, gdy mógł powiedzieć:

Mio nieto, el hijo del contado r, mój wnuk, syn contadora. Ale pozwól, żebym wrócił do mego ojca i dobrze znanego smutnego jego losu. Oby mógł on posłużyć za przykład i za naukę dla bezbożników!

Diego Hervas przez osiem lat naprawiał szkodę zrządzoną mu przez szczury. Dzieło było już prawie ukończone, gdy z dzienników zagranicznych, które wpadły mu w ręce, zorientował się, że w ostatnich latach nauki znacznie postąpiły naprzód. Hervas westchnął nad tym powiększeniem pracy, wszelako nie chciał, aby dzieło jego było niezupełne, dodał więc do każdej nauki nowo poczynione odkrycia. Praca ta zajęła mu cztery lata; tak więc dwanaście lat przepędził, nie wychodząc prawie z domu i wiecznie ślęcząc nad swoim dziełem.

Siedzący tryb życia zniszczył jego zdrowie. Dostał boleści w biodrach, bólu w krzyżach, piasku w pęcherzu i wszystkich objawów zapowiadających podagrę. Natomiast stutomowa encyklopedia była skończona. Hervas zaprosił do siebie księgarza Moreno, syna tego samego, który niegdyś wystawił na sprzedaż jego nieszczęśliwą Analizę, i rzekł mu:

- Senor Moreno, oto widzisz przed sobą sto tomów, które zawierają w sobie cały obszar wiedzy ludzkiej. Encyklopedia ta przyniesie zaszczyt twemu zakładowi, a nawet mogę powiedzieć - całej Hiszpanii. Nie żądam żadnej zapłaty za rękopis, racz tylko najła-skawiej wydrukować go, ażeby wiekopomna moja praca nie poszła na marne.

Moreno przejrzał wszystkie tomy, bacznie im się po kolei przypatrzył i rzekł:

- Chętnie podejmę się druku tego dzieła, ale musisz, don Diego, skrócić je do 25 tomów.

- Zostaw mnie w spokoju - odparł Hervas z najgłębszym oburzeniem - zostaw mnie, wracaj do twego sklepu i drukuj ramoty romansowe lub głupio-uczone, które wstydem okrywają Hiszpanię. Zostaw mnie z moim piaskiem w pęcherzu i moim geniuszem, o którym gdyby się ludzkość mogła

dowiedzieć, byłaby mnie otoczyła czią i poszanowanym. Ale te-raz niczego już nie wymagam od ludzi, a tym mniej od księgarzy. Zostaw mnie w spokoju!

Moreno odszedł, Hervas zaś wpadł w najczarniejszą melancholię. Ciągle miał przed oczyma swoje sto tomów, dzieci jego geniuszu, poczęte z rozkoszą, wydane na świat z bólem, choć nie bez przyjemności, a teraz tonące w falach zapomnienia. Widział, że zmarnował całe życie i zniszczył byt swój w terażniejszości i przyszłości. Wtedy to umysł jego, wyćwiczony w przenikaniu tajemnic przyrody, na nieszczęście zwrócił się do zgłębiania przepaści nieszczęść ludzkich i Hervas, przemierzając tę głębię, odkrywał wszędzie zło, prócz złego nic więcej nie widział, zawołał więc w duchu:

- Stwórco złego, kimże jesteś? Hervas sam przeląkł się tej myśli i postanowił rozważyć, czy zło, aby istnieć, musiało zostać stworzone. Następnie z szerszego punktu widzenia jął zastanawiać się nad tą zagadką. Zwrócił się do sił przyrody i przypisał materii energię, która zdawała mu się wszystko tłumaczyć bez potrzeby uznania Stwórcy.

Co się tyczy człowieka i zwierząt, przyznawał początek ich bytu rodzącemu kwasowi, który powodując fermentację materii, nadaje jej stałe kształty, tak samo prawie jak kwasy krystalizujące zasady alkaliczne i ziemne w podobne do siebie wieloboki. Uważał materie gąbczaste, wytwarzane przez wilgotne drzewo, za ogniwo łączące krystalizację skamielin z rozradzaniem się roślin i zwierząt, i wykazując jeżeli nie tożsamość tych procesów, to przynajmniej ich nader ściśle podobieństwo.

Hervas, pełen nauki, z łatwością podparł swój fałszywy system sofistycznymi dowodami, zmierzającymi do obłąkania umysłów. Tak na przykład znajdował, że muły, które wywodzą się od dwóch gatunków zwierząt, mogą być porównane do soli powstałych z pomieszanych zasad, których krystalizacja nie jest klarowna. Reakcja niektórych minerałów, pieniających się w zetknięciu z kwasami, zdawała mu się przypominać fermentację roślin śluzowych; tę ostatnią uważał za początek życia, które dla braku przyjaznych okoliczności nie mogło bardziej się rozwinąć.

Hervas zauważył, że kryształy podczas tworzenia się osiadają w najsilniej oświetlonych częściach naczyń, a z trudnością ścinają się w ciemni. Ponieważ zaś światło sprzyja również i roślinności, poczytał więc fluid świetlny za jeden z elementów, z których składa się kwas uniwersalny, ożywiający przyrodę. Widział także, iż światło po pewnym przeciągu czasu czerwieni papier błękitny, i to był jeszcze jeden powód, że uznał światło za kwas.

Hervas wiedział, że w wysokiej szerokości geograficznej, około biegunów, krew w braku dostatecznego ciepła jest wystawiona na alkalizowanie się i że dla zaradzenia temu stanowi trzeba spożywać kwasy. Z tego wniósł, że skoro kwas może w pewnych wypadkach zastąpić ciepło, to musi ono być rodzajem kwasu lub przynajmniej jednym z elementów kwasu uniwersalnego.

Hervas wiedział, że grzmoty kwaszą wino i powodują jego fermentację. Czytał w Sanchuniatonie, że na początku świata gwałtowne grzmoty ożywiły istoty przeznaczone do życia i nieszczęśliwy nasz uczoney nie lękał się oprzeć na tej pogańskiej kosmogonii, by dowieść, że materia piorunu mogła być wprawić w działanie kwas rodzący, nieskończenie rozmaity, ale niezmienny w odtwarzaniu tych samych kształtów.

Hervas, starając się przeniknąć tajemnice stworzenia, powinien był odnieść całą sławę do Stwórcy i oby był tak uczynił; ale jego anioł stróż go opuścił i umysł jego, obłąkany pychą wiedzy, rzucił go bezbronny obłędowi wyniosłych duchów, których upadek pociągnął za sobą zgubę świata.

Niestety! Podczas gdy Hervas wznosił swoje grzeszne myśli ponad sfery pojęcia ludzkiego, bliska zatrała zagrażała jego śmiertelnej powłoce. Na domiar złego do przewlekłych jego cierpień dołączyły się ostre choroby. Bóle w biodrach przybrały na sile i odjęły mu władzę w prawej nodze, żwirowaty piasek zaczął kaleczyć mu pęcherz, chiragra powykrzywiła palce lewej ręki i zaczęła zagrażać palcom prawej, na koniec najczarniejsza melancholia zniszczyła siły jego duszy i ciała zarazem. Lękał się świadków swego poniżenia, odepchnął moje starania i nie chciał wcale mnie widzieć. Stary jakiś inwalida zużywał resztki sił na krzątanie się koło niego. Wreszcie i ten zaniemógł i mój ojciec musiał zgodzić się na moją obecność.

Wkrótce dziad mój Marańon także zapadł na zgniłą gorączkę. Chorował tylko przez pięć dni i czując się bliskim śmierci, zawołał mnie do siebie i rzekł:

- Błażeju, mój drogi Błażeju, chcę cię jeszcze ostatni raz pobłogosławić. Urodziłeś się z ojca uczonego, któremu oby niebo było mniej udzieliło tej nauki. Szczęściem dla ciebie, dziad twój jest człowiekiem prostym w wierze i uczynkach i wychował cię w tejsze samej prostocie. Nie daj się obłąkać twemu ojcu, od kilku lat nie dba on wcale o religię i zdań jego powstydziliby się niejeden heretyk. Błażeju, nie ufaj mądrości ludzkiej; za kilka chwil ja będę mędrszym od wszystkich filozofów. Błażeju, błogosławię cię - umieram.

W istocie, mówiąc to wyzionął ducha.

Oddałem mu ostatnią posługę i wróciłem do mego ojca, którego od czterech dni nie widziałem. Tymczasem stary inwalida także zmarł i bracia miłosierni zajęli się jego pogrzebem. Wiedziałem, że mój ojciec jest sam, i chciałem zaopiekować się nim, ale gdy wszedłem do niego, nadzwyczajny widok uderzył mój wzrok i zatrzymałem się w przedpokoju, zdjęty niewypowiedzianym uczuciem zgrozy.

Mój ojciec pozrzucał suknie i owinął się prześcieradłem na kształt całunu. Siedział, wpatrując się w zachodzące słońce. Przez dłuższy czas trwał w milczeniu, potem podniósł głos i rzekł:

- Gwiazdo, której gasnące promienie po raz ostatni odbiły się o moje oczy, dlaczegoś oświeciłaś dzień mojego urodzenia? Czyliż chciałem przyjść na świat? I po co nań przyszedłem? Ludzie powiedzieli mi, że mam duszę, i zająłem się jej kształceniem kosztem mego ciała. Wydoskonalilem mój umysł, ale szczury pożarły moje dzieło, a księgarze nim wzgardzili. Nic ze mnie nie pozostanie, umieram cały bez śladu, tak jak gdybym nie był się narodził. Nicości! - pochłoń swą zdobycz!

Hervas jakiś czas tonął w posępnych dumaniach, następnie wziął kubek, który zdawał mi się napelniony starym winem, wznosił oczy ku niebu i rzekł:

- Boże, jeżeli gdzie jesteś, zlituj się nad moją duszą, jeżeli ją posiadam!

To mówiąc wychylił kubek i postawił go na stole; następnie położył rękę na serce, jak gdyby doświadczał w nim bolesnego ściśnienia. Obok przygotowany był drugi stół, obłożony poduszkami; Hervas położył się na nim, skrzyżował ręce na piersiach i słowa więcej nie wymówił.

Dziwisz się, że widząc te przygotowania do samobójstwa, nie rzuciłem się na kubek i nie zwołałem o pomoc. Dziś sam się temu dziwię, ale zarazem pamiętam, że jakaś nadprzyrodzona siła przykuła mnie na miejscu, tak że nie mogłem wykonać żadnego poruszenia. Włosy tylko najeżyły mi się z przestרחu.

Bracia miłosierni, którzy pogrzebali naszego inwalidę, znaleźli mnie w takim właśnie stanie. Spostreegli ojca leżącego na stole i owiniętego w całun, zapytali mnie więc, czy umarł. Odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem. Wtedy zapytali się, kto go owinął całunem. Powiedziałem, że sam to sobie uczynił. Przypatrzyli się ciału i w istocie znaleźli je bez życia. Ujrzeni stojący obok kubek z resztką płynu i zabrali go z sobą dla przekonania się, czy nie ma w nim śladów trucizny, po czym wyszli, dając oznaki oburzenia i zostawili mnie w nieopisanym przygnębieniu. Następnie zeszli się ludzie z parafii, zadawali mi te same zapytania i odeszli, mówiąc:

- Umarł, jak żył, pogrzeb jego nie do nas należy.

Zostałem sam na sam z nieboszczykiem. Straciłem zupełnie odwagę, a razem z nią władzę czucia i myślenia. Rzuciłem się na fotel, na którym jeszcze niedawno siedział mój ojciec, i znowu wpadłem w odrętwienie.

Nocą niebo pokryło się chmurami, a gwałtowna zawierucha rozwarła okno pokoju. Błękitnawa błyskawica przeleciała obok mnie i pogrzyżyła izbę w większej niż przedtem ciemności. Śród tej ciemności dostrzegłem jakby jakieś fantastyczne kształty, ciało mego ojca wydało długi, przeciągły jęk, który dalekie echa rozniosły po przestrzeni. Chciałem wstać, ale nie mogłem się ruszyć, jak gdybym był przykuty do miejsca. Lodowaty dreszcz przebiegł mi po członkach, krew gorączkowo zaczęła bić w żyłach, dziwaczne marzenia obłąkały moją duszę, sen zaś opanował zmysły.

Nagle zerwałem się: ujrzałem sześć wysokich świec woskowych zapalonych wokół ciała mego ojca i jakiegoś człowieka siedzącego naprzeciw mnie, który zdawał się oczekiwać chwili mego przebudzenia. Wygląd jego był wspaniały i majestatyczny. Wzrostu był wysokiego, włosy czarne, nieco kędzierzawe, spadały mu na czoło, wzrok miał bystry i przenikliwy, ale zarazem łagodny i przyciągający. Nosił na sobie krezę i szary płaszcz, podobne do tych, w jakie szlachta po wsiach się odziewa.

Nieznajomy spostrzegłszy, że się obudziłem, uśmiechnął się do mnie uprzejmie i rzekł:

- Synu mój - tak cię nazywam, traktuję cię bowiem, jak gdybyś już do mnie należał - Bóg i ludzie opuścili cię, a ziemia nie chce przyjąć do swego łona mędrca, który dał ci życie; wszelako my cię nigdy nie opuścimy.

- Mówisz, senior - odrzekłem - że Bóg i ludzie mnie opuścili. Co się tyczy tych ostatnich, masz słuszność, sądzę jednak, że Bóg nigdy nie może opuścić żadnego ze swoich stworzeń.

- Uwaga twoja pod pewnym względem nie jest bezzasadna - przerwał nieznajomy - kiedy indziej jaśniej ci to wytłumaczę. Tymczasem, ażebyś przekonał się, jak bardzo się tobą interesujemy, przyjmij tę kiesę z tysiącem pistoletów. Młody człowiek powinien mieć namiętności i środki do ich zaspokajania. Nie oszczędzaj złota i licz zawsze na nas.

Po tych słowach nieznajomy klasnął w dłonie i sześciu zamaskowanych ludzi uniosło ciało Hervasa. Świece pogasty i ciemność znowu ogarnęła izbę. Nie pozostałem w niej dłużej; po omacku dotarłem

do drzwi, wyszedłem na ulicę i dopiero ujrawszy niebo zasiane gwiazdami, odetchnąłem swobodniej. Tysiąc pistoletów, które czułem w kieszeni, niemało przyczyniło się do dodania mi odwagi. Przebiegłem Madryt i przybyłem na kraniec Prado, do zakątka, gdzie później postawiono olbrzymi posąg Cybeli. Tam położyłem się na ławce i wkrótce twardym snem zasnąłem.

Cygan, domówiwszy tych słów, prosił nas o pozwolenie odłożenia dalszego opowiadania na dzień następny i w istocie już go więcej tego dnia nie ujrzelśmy.

Dzień pięćdziesiąty pierwszy

Zebrano się o zwykłej godzinie. Rebeka zwróciła się do starego naczelnika, mówiąc, że historia Diega Hervasa, jakkolwiek po części znana, mocno ją jednak zajęła.

- Sądzę atoli - dodała - że zbyt wiele zadawano sobie zachodów dla oszukania biednego małżonka, którego można było łatwiejszym sposobem wyprowadzić w pole. Być może wszelako, że opowiadano historię ateusza dla przejęcia tym większym przestachem struchlałej duszy Cornadeza.

- Pozwól - odrzekł naczelnik - abym ci uczynił uwagę, że zbyt wczesnie wydajesz sąd o przygodach, jakie mam zaszczyt wam opowiadać. Książę Arcos był to wielki i wspaniały pan, można więc było dla przysłużenia mu się wynajdywać i udawać różne osoby; z drugiej zaś strony nie ma żadnej podstawy do przypuszczeń, ażeby w tym celu opowiadano Cornadezowi historię syna, o której nigdy dotąd nie słyszałaś.

Rebeka zapewniła naczelnika, że opowiadanie jego ją zajmuje, po czym starzec tak dalej mówił:

HISTORIA BŁAŻEJA HERVASA, CZYLI POTĘPIONEGO PIELGRZYMA

Mówiłem ci więc, że położyłem się i zasnąłem na ławce przy końcu głównej alei w Prado. Słońce już dość wysoko się wzbilo, gdy się obudziłem. Sen mój przerwało, jak sądzę, uderzenie chustki, którą poczułem na twarzy, ocknąwszy się bowiem, spostrzegłem młodą dziewczynę, która chustką oganiała moją twarz od much, ażeby mi nie przerywały snu. Daleko bardziej się jednak zdziwiłem ujrawszy, że głowa moja miękko spoczywa na kolanach drugiej młodej dziewczyny, której łagodny oddech czułem w moich włosach. Budząc się, nie uczyniłem żadnego gwałtownego poruszenia, śmiało więc, udając, że śpię, mogłem przedłużyć moje położenie. Zamknąłem oczy i wkrótce usłyszałem głos, w którym brzmiała nagana, ale bynajmniej nie przykry, skierowany do moich piastunek:

- Celio, Zorillo, co wy tu porabiacie? Myślałam, że jesteście w kościele, a tymczasem zastaję was tu przy pięknym nabożeństwie.

- Ależ, mamó - odrzekła dziewczyna, która mi służyła za poduszkę - czyż nie mówiłaś nam, że uczynki równą mają zasługę jak modlitwa? A czyż to nie miłosierny uczynek przedłużyć sen biednemu młodzieńcowi, który musiał bardzo przykrą noc przepędzić?

- Zapewne - odezwał się głos, tym razem bardziej ze śmiechem niż z naganą - zapewne, i w tym Jest zasługa. Oto myśl, która więcej dowodzi waszej prostoty niż pobożności, ale teraz, moja ty miłosierna Zorillo, połóż łagodnie głowę tego młodzieńca na ławce i wracajmy do domu.

- Ach, kochana mamó - odparła młoda dziewczyna - patrz, jak on spokojnie śpi. Zamiast go budzić, lepiej byś uczyniła, gdybyś mu odwiązała tę krezę, która go dusi.

- A jakże - rzekła matka - piękne mi dajecie polecenia! Ale też w istocie, młodzieniec ten ma nader ujmujący wygląd.

Jednocześnie ręka jej delikatnie musnęła mnie pod brodę odpinając krezę.

- Tak mu nawet bardziej do twarzy - zauważyła Celta, która dotąd się jeszcze nie odzywała - teraz swobodniej oddycha; jak to dobre uczynki zaraz pociągają za sobą nagrodę.

- Uwaga ta - rzekła matka - dobrze świadczy o twoim rozsądku, ale nie trzeba za daleko posuwać miłosierdzia. Dalej, Zorillo, złóż łagodnie tę piękną głowę na ławce i chodźmy do domu.

Zorilla ostrożnie podłożyła obie ręce pod moją głowę i cofnęła kolana. Pomyślałem naówczas, że nie warto już dłużej udawać śpiącego; podniosłem się na ławce i otworzyłem oczy. Matka krzyknęła, córki zaś chciały uciekać. Zatrzymałem je.

- Celio, Zorillo - rzekłem - jesteście równie piękne jak niewinne; ty zaś, pani, która wydajesz się ich matką dlatego tylko, że wdzięki twoje są bardziej rozwinięte, pozwól, abym zanim mnie opuścicie, poświęcił kilka chwil podziwowi, w jaki wszystkie trzy mnie wprawiacie.

W istocie, mówiłem im szczerą prawdę. Celia i Zorilla byłyby doskonałymi pięknosciami, gdyby wiek dozwolił rozwinąć się ich wdziękcom, matka zaś ich, która nic miała jeszcze trzydziestu lat, zdawała się liczyć najwyżej dwudziestą piątą wiosnę.

- Senor kawalerze - rzekła ta ostatnia - jeżeli. tylko udawałeś śpiącego, mogłeś się przekonać o niewinności moich córek i powziąć korzystne mniemanie o ich matce. Nie lękam się zmiany twego zdania, gdy cię poproszę, abys raczył nas odprowadzić do domu. Znajomość tak dziwnym sposobem zaczęta zasługuje, aby się przemieniła w zażyłość.

Poszedłem z nimi i przybyliśmy do ich domu, którego okna wychodziły na Prado. Córki zajęły się przyrządzaniem czekolady, matka zaś, posadziwszy mnie obok siebie, rzekła:

- Jesteś w domu może nieco za zbyt kownym na nasze terażniejsze położenie, ale najęłam go jeszcze w pomyślniejszych czasach. Dzisiaj z chęcią odnajęłabym pierwsze piętro, ale nie śmiem tego uczynić. Okoliczności, w jakich się znajduję, nie pozwalają. abym kogokolwiek widywała.

- Pani - odpowiedziałem - ja także mam powody, dla których pragnę żyć w odosobnieniu, i gdyby pani nic przeciw temu nic miała, z największym szczęściem zająłbym c u a r t o p r i n c i p a l, to jest pierwsze piętro.

To mówiąc dobyłem kiesę i widok złota usunął przeszkody, jakie by nieznajoma mogła mi czynić. Zapłaciłem stół i mieszkanie za trzy miesiące z góry. Ułożyliśmy się, że obiad będzie przynoszony do mego pokoju i ze zaufany służący będzie mi usługiwał i załatwiał moje posyłki na mieście.

Gdy Celta i Zorilla wróciły z czekoladą, zawiadomiono je o warunkach naszej ugody. Spojrzenia ich zdawały się obejmować w posiadanie moją osobę; ale wzrok matki wydawał się odmawiać im praw do mnie. Dostrzegłem tę walkę zalotności i wynik jej zostawiłem przeznaczaniu, sam zaś zajęłem się wyłącznie wprowadzaniem do mego nowego mieszkania. Nie musiałem długo czekać, by znalazło się w nim wszystko, czego potrzebowałem do wygodnego i przyjemnego życia. Raz Zorilla przynosiła mi atrament, to znowu Celia przychodziła ustawiać na moim stole lampę i układać książki. O niczym nie zapomniano. Każda z nich zjawiała się osobno, a gdy czasami się spotkały, dopiero to były śmiechy, żarty, wesołość bez miary. Matka także miała swoją kolej; zajęła się zwłaszcza moim łóżkiem, kazała rozestawić na nim prześcieradła z holenderskiego płótna, piękną jedwabną kołdrę i stos poduszek.

Zatrudnienia te zabrały mi cały poranek. Nadeszło południe. Zastawiono mi nakrycie w moim pokoju.

Byłem zachwycony. Z rozkoszą spoglądałem na trzy czarujące stworzenia, które prześcigały się w staraniach około mnie i z wdzięcznością przyjmowały najłżejsze z mojej strony podziękowanie. Ale na wszystko jest czas; z przyjemnością oddałem się zaspokojeniu mego głodu, nie kłopotząc się na razie niczym innym.

Po obiedzie wzięłem kapelusz i szpadę i wyszedłem do miasta. Nigdy jeszcze nie przechadzałem się z taką jak wówczas rozkoszą. Byłem niezależny, kieszenie miałem pełne pieniędzy, czułem się pełen zdrowia, życia i dzięki nadskakiwaniem trzech kobiet powziąłem sam o sobie korzystne wyobrażenie. Tak to zwykle młodzież o tyle sama się ceni, o ile zyskuje w tym względzie potwierdzenie płci pięknej.

Wstąpiłem do jubilera, gdzie nakupiłem klejnotów, stamtąd zaś udałem się do teatru. Wieczorem, wróciwszy do siebie, zastałem trzy kobiety siedzące przed drzwiami domu. Zorilla śpiewała przy towarzyszeniu gitary, a pozostałe dwie robiły siatkę na włosy.

- Senor kawalerze - rzekła mi matka - zamieszkałeś w naszym domu, okazujesz nam zaufanie bez granic, a jednak nie pytasz, kim jesteśmy. Wypada wszelako o wszystkim cię zawiadomić. Dowiedz się zatem, senor, że nazywam się Inez Santarez i jestem wdową po Juanie Santarez, corregidorze Hawany. Ożenił się on ze mną bez majątku i tak samo mnie też zostawił, z dwiema córkami, które tu widzisz, i bez żadnych środków do życia. Gdy owdowiałam, nędza wprawiła mnie w najwyższy kłopot i sama nie wiedziałam, co począć, gdy niespodziewanie odebrałam list od mego ojca. Pozwolisz, że zamilczę o jego nazwisku. Niestety! On także przez całe życie walczył z losem, nareszcie, jak mi to donosił w swym piśmie, fortuna uśmiechnęła mu się i został mianowany podskarbnym wojennym. Zarazem przysłał mi weksel na dwa tysiące pistołów i polecił bezzwłocznie powracać do Madrytu. Przyjechałam więc - by dowiedzieć się, że oskarżono mego ojca o sprzeniewierzenie rządowych pieniędzy, a nawet o zdradę stanu i uwięziono w Wieży Segowskiej. Tymczasem ten dom najęto dla nas, wprowadziłam się więc i żyję w jak najściślejszym odosobnieniu, nie widując nikogo, wyjąwszy pewnego młodego urzędnika z biura ministerium wojny. Przychodzi on donosić mi o biegu sprawy mego ojca. Prócz niego nikt nie wie o naszych stosunkach z nieszczęśliwym więźniem.

Domawiając tych słów, pani Santarez zalała się łzami.

- Nie płacz, droga mamó - rzekła jej Celia - jak wszystko na świecie, i zmartwienia kończą się kiedyś. Widzisz, już spotkałyśmy tego młodego senora, którego postać jest tak ujmująca. Szczęśliwie to zdarzenie zdaje się być dla nas pomyślną wróżbą.

- W istocie - dodała Zorilla - od czasu, jak się do nas wprowadził, nasza samotność nie ma w sobie już nic smutnego.

Pani Santarez rzuciła na mnie na pół tęskne, na pół czułe wejrzenie. Córki także spojrzały na mnie, po czym spuściły oczy, zapłoniły się. zmieszały i wpadły w rozmarzenie. Nie było wątpliwości, wszystkie trzy kochały się we mnie; stan ten przepełnił pierś moją szczęściem.

Śród tego zbliżył się do nas jakiś kształtny, wysoki młodzieniec. Wziął panią Santarez za rękę, odprowadził na stronę i długo wiódł z nią cichą rozmowę. Wróciwszy z nim, rzekła do mnie:

- Senor kawalerze, oto don Krzysztof Sparadoz, o którym ci wspominałam, jedyny człowiek, jakiego widzimy w Madrycie. Chciałam także i jemu sprawić przyjemność, zaznajamiając go z tobą, ale chociaż mieszkamy w jednym domu, dotąd nie wiem, z kim mam zaszczyt rozmawiać.

- Pani - odpowiedziałem - jestem szlachcicem z Asturii, nazywam się Leganez.

Sądziłem, że lepiej uczynię, gdy zamilczę o nazwisku Hervas, które mogło być znane.

Młody Sparadoz zmierzył mnie od stóp do głowy zuchwałym spojrzeniem i zdawał się odmawiać mi nawet ukłonu. Weszliśmy do domu, gdzie pani Santarez kazała zastawić lekką wieczerzę z ciast i owoców. Byłem jeszcze głównym celem nadszkwierzeń trzech piękności, ale spostrzegłem, że i dla nowo przybyłego nie szczędzono spojrzeń i uśmiechów. Ubodło mnie to, chcąc zatem na siebie zwrócić całą uwagę, podwoiłem grzeczności i starałem się, o ile mogłem, rozwinąć mój dowcip. Kiedy triumf mój był oczywisty, don Krzysztof założył prawą nogę na lewe kolano i przypatrując się podeszwie swego trzewika, rzekł:

- W istocie, od czasu jak szewc Marańon rozstał się z tym światem, niepodobna dostać w Madrycie porządnego trzewika.

To mówiąc spojrzał na mnie z szyderstwem i pogardą.

Szewc Marańon był moim dziadem macierzystym, który mnie wychował i dla którego przechowywałem w sercu najżywszą wdzięczność. Pomimo to zdawało mi się, że nazwisko jego szpeci moje drzewo genealogiczne. Sądziłem, że wyjawienie tajemnicy mego urodzenia zgubiłoby mnie w oczach moich pięknych gospodyń. Natychmiast straciłem wszelką wesołość. Rzucałem na don Krzysztofa czasami pogardliwie, czasami dumne i rozgniewane spojrzenia. Postanowiłem zabronić mu wstępu do naszego domu. Gdy odszedł, pobiegłem za nim, chcąc mu to oświadczyć. Dogoniłem go przy końcu ulicy i wypowiedziałem, com sobie wprzódy już w myśli ułożył. Mniemałem, że się rozgniewa, ale przeciwnie, udał uprzejmość i wziął mnie pod brodę, jak gdyby chciał mnie popieścić. Nagle poderwał mnie do góry tak gwałtownie, że straciłem ziemię pod sobą, a potem puścił, podcinając mi nogi. Upadłem nosem w rynsztok. Z początku nie wiedziałem, co się ze mną stało, wkrótce jednak podniosłem się. okryty błotem i miotany niewypowiedzianą wściekłością.

Wróciłem do domu. Kobiety udały się na spoczynek, ale ja na próżno usiłowałem zasnąć. Dwie namiętności mnie dręczyły: miłość i nienawiść. Ostatnia ogarniała tylko don Krzysztofa, pierwsza zaś

zawisła pomiędzy trzema pięknosciami. Celta, Zorilla i matka ich kolejno mnie zajmowały, urocze ich obrazy krzyżowały się w moich marzeniach i przez całą noc niepokoiły. Usnąłem nad rankiem i późno już było, gdy się obudziłem. Otworzywszy oczy, ujrzałem panią Santarez siedzącą u moich nóg. Zdawała się zapłakana.

- Mój młody gościu - rzekła - przyszedłem do ciebie po opiekę. Niegodziwi ludzie żądają ode mnie pieniędzy, których nie jestem w stanie zapłacić. Niestety! Mam długi, ale czyż mogłam zostawić te biedne dzieci bez odzieży i pokarmu? Biedaczki i tak muszą sobie wszystkiego odmawiać.

Tu pani Santarez zaczęła szlochać, a oczy jej, łzami zalane, mimowolnie obróciły się ku mojej kiesie, która tuż obok mnie leżała na stoliku. Pojąłem tę niemą prośbę. Wysypałem złoto na stolik, rozdzieliłem je na połowę i ofiarowałem jedną pani Santarez. Nie spodziewała się tak nadzwyczajnej wspaniałości. Z początku oniemiała z podziwienia, następnie ujęła mnie za rękę, jęła całować je z uniesieniem, przyciskać do serca, po czym zebrała pistole, mówiąc:

- Ach, moje dzieci, moje drogie dzieci! Wkrótce nadeszły córki i także okryły moje ręce pocałunkami. Wszystkie te dowody wdzięczności rozogniły we mnie krew, i tak już wzburzoną przez nocne marzenia. Ubrałem się czym prędzej i chciałem wyjść na

taras naszego domu. Przechodząc obok pokoju dziewcząt usłyszałem, jak płakały i łkając ścisnęły się nawzajem. Nasłuchiwałem chwilę, a potem wszedłem do środka. Celia, spostrzegłszy mnie, rzekła:

- Postępujaj mnie, nasz kochany, drogi, najmilszy gościu! Znajdujesz nas w stanie najwyższego wzburzenia. Od czasu naszego urodzenia żadna chmurka nie zasępiła naszych wzajemnych uczuć. Miłość więcej niż sama krew nas łączyła. Od chwili twego przybycia wszystko się zmieniło. Zazdrość wkraść się do naszych dusz i może byłybyśmy się znenawidziły, łagodny jednak charakter Zorilli zapobiegł straszliwemu nieszczęściu. Padła w moje objęcia, pomieszały się nasze łzy i zbliżyły serca. Ty, kochany nasz gościu, musisz dokonać reszty. Przrzeknij obie nas zarówno kochać i zarówno dzielić między nas twoje pieszczoty.

Cóż miałem odpowiedzieć na tak płomienną i natarczywą prośbę? Po kolei w ramionach uspokoiłem obie dziewczęta. Osuszyłem ich łzy i smutek ich ustąpił najtkliwszemu szaleństwu.

Wyszliśmy razem na taras, gdzie pani Santarez wkrótce się z nami złączyła. Radość z wydobycia się z długów opromieniła jej twarz. Zaprosiła mnie na obiad i dodała, że rada by cały dzień ze mną przepędzić. Zaufanie i zażyłość towarzyszyły naszej uczcie. Służących oddalono i dziewczęta kolejno nam usługiwały. Pani Santarez, wycieńczona doznanymi wzruszeniami, wypita dwa kieliszki starego wina z Roty. Zamglone jej oczy tym więcej po tym zabłyśły i tak się ożywiła, że teraz córki mogłyby mieć powód do zazdrości; wszelako szacunek, jakim matkę darzyły, nie dozwolił temu uczuciu wkraść się do ich serc. Wino wzburzyło krew pani Santarez, pomimo to jednak niepodobna było nic zarzucić jej obejściu.

Z mojej strony myśl o uwodzeniu jej wcale nie przeszła mi przez głowę. Płeć i wiek były naszymi uwodzicielami. Słodkie podniecie natury nadawały naszemu obejściu niewypowiedziany urok, tak że z przykrością myśleliśmy o rozłączeniu. Zachodzące słońce byłoby nas rozdzieliło, ale zamówiłem napoje chłodzące u sąsiedniego cukiernika. Wszyscy z przyjemnością powitaliśmy ich zjawienie się, tym sposobem bowiem mogliśmy pozostać razem.

Zaledwie jednak zasiedliśmy do stołu, gdy drzwi otworzyły się i wszedł don Krzysztof Sparadoz. Wkroczenie szlachcica francuskiego do haremu sułtana nie byłoby sprawiło na władcy przykrzejszego wrażenia od tego, jakiego doznałem na widok don Krzysztofa. Pani Santarez i jej córki nie były wprawdzie mymi małżonkami i nie składały mego haremu, ale serce moje pod pewnym względem zawładnęło nimi i nadwzięcie moich praw zadawało mi śmiertelną boleść.

Don Krzysztof wcale się tym nie przejął i nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, ukłonił się kobietom, odprowadził panią Santarez na koniec tarasu, długo z nią rozmawiał, po czym, nie proszony, zasiadł do stołu. Jadł, pił i milczał, gdy jednak rozmowa zesła na walki byków, odepchnął swój talerz i uderzywszy pięścią w stół rzekł:

- Na świętego Krzysztofa, mego patrona, dlaczego muszę ślęczeć w tym przeklętym ministerium? Wolałbym być ostatnim toreadorem w Madrycie, aniżeli przewodniczyć wszystkim Kortezom Kastylii.

To mówiąc wyciągnął rękę, jak gdyby chciał przebić byka, i wystawił na nasz podziw olbrzymie muskuły swego ramienia. Następnie dla pokazania swojej siły umieścił wszystkie trzy kobiety w jednym fotelu i zaczął je nosić po całym pokoju.

Don Krzysztof taką przyjemność znajdował w tej zabawie, że starał się o ile możliwości ją przedłużyć. Nareszcie wziął kapelusz i szpadę i zabierał się do wyjścia. Dotychczas nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, teraz jednak, zwracając się do mnie, rzekł:

- Słuchaj no, mój dobrze urodzony przyjacielu, powiedz mi, kto po śmierci szewca Marańona robi najlepsze trzewiki?

Kobietom słowa te wydały się jeszcze jednym błazeństwem, jakich wiele wychodziło z ust don Krzysztofa, ja natomiast wpadłem w wściekłość. Pobiegłem po szpadę i pogoniłem za don Krzysztofem. Doścignąłem go u wylotu bocznej uliczki i stanąwszy przed nim, zawołałem:

- Zuchwalcze, zapłacisz mi za twoje nikczemne zniewagi!

Don Krzysztof ujął za rękę szpady, ale spostrzegłszy na ziemi kawał kija, porwał go, uderzył w moją klingę i wytrącił mi szpadę z ręki. Następnie zbliżył się do mnie, porwał mnie za kark, zaniósł do rynsztoka i rzucił weń, podobnie jak poprzedniego dnia, ale jeszcze gwałtowniej, tak że przez dłuższą chwilę leżałem ogłuszony, nie wiedząc, co się ze mną dzieje.

Ktoś wziął mnie za rękę, żeby mnie podnieść; poznałem tego samego szlachcica, który polecił był unieść ciało mego ojca i dał mi tysiąc pistoletów. Padłem mu do nóg, podniósł mnie z dobrocią i kazał, abym udał się za nim. Szliśmy w milczeniu i przybyliśmy do mostu na Manzanaresie, gdzie zastaliśmy dwa karę konie. Pół godziny galopowaliśmy wzdłuż rzeki, wreszcie stanęliśmy u wrót opuszczonego domu, którego drzwi same się przed nami podmykały. Weszliśmy do pokoju wybitego ciemną szarszą i oświetlonego srebrnymi świecznikami. Gdy zasiedliśmy w fotelach, nieznajomy tak do mnie przemówił:

- Senor Hervas, widzisz, jakie rzeczy dzieją się na tym świecie, którego urządzenie, szeroko podziwiane, nie odznacza się bynajmniej sprawiedliwym podziałem dóbr. Jednym natura dała osiemset funtów siły, drugim osiemdziesiąt. Na szczęście wynaleziono zdradę, która częściowo przywraca równowagę.

Po tych słowach nieznajomy wyciągnął szufladę, dobył z niej puginał i dodał:

- Spójrz na to narzędzie: jego zakończenie, uformowane na kształt oliwki, przechodzi w szpic cieńszy od włosa. Zatknij je za pas. Żegnam cię młodzieńcze, nie zapominaj o prawdziwym twym przyjacielu, don Belialu de Gehenna. Jeżeli będziesz mnie potrzebował, przyjdź o północy na most na Manzanaresie, klaśnij trzy razy w dłoń, a natychmiast ujrzysz karę rumaki. Zaczekaj, zapomniałem o najważniejszej rzeczy. Oto masz drugą kieszę, może będziesz potrzebował złota.

Podziękowałem wspaniałomyślnemu don Belialowi, dosiadłem karego rumaka, Murzyn jakiś wsiadł na drugiego i przybyliśmy do mostu, gdzie trzeba było się rozłączyć.

Powróciłem do mego mieszkania. Ległem na łóżku i zasnąłem, ale straszliwe sny mną miotały. Wsunąłem puginał pod poduszkę; zdawało mi się, że stamtąd wychodzi i zapuszcza się w sam środek mego serca. Widziałem także don Krzysztofa, porywającego mi sprzed nosa moje trzy piękności.

Nazajutrz ponury smutek mną owładnął i obecność dwojga dziewcząt nie mogła go rozproszyć. Starania ich, ażeby mnie rozweselić, odniosły wprost przeciwny skutek i pieszczoty moje stały się mniej niewinne. Zostawszy sam, chwyciłem za puginał i groziłem nim don Krzysztofowi, którego, zdawało mi się, ciągle widzę przed sobą.

Nienawistny natręt wieczorem znowu się zjawił i znowu nie zwracał na mnie uwagi, ale natomiast więcej zalecał się kobietom. Przekomarzał się z nimi, a gdy się dąsały, bawił je i rozśmieszał. Jego głupkowate dowcipy więcej podobały się od mojej grzeczności.

Kazałem przynieść wieszak bardziej wykwintną niż obfitą; don Krzysztof prawic sam zjadł całą. Następnie wziął kapelusz i nagle zwracając się do mnie, rzekł:

- Mój szlachetnie urodzony przyjacielu, powiedz mi, co znaczy ten puginał za twoim pasem? Lepiej byś uczynił, gdybyś sobie zatknął sztyło od szewca.

To powiedziawszy wybuchnął śmiechem i wyszedł. Wymknąłem się za nim i dopadłszy go na zakręcie ulicy, ze wszystkich sił uderzyłem go w lewą pierś puginałem. Ale łotr odepchnął mnie z równą siłą, z jaką na niego napadłem. Potem obrócił się do mnie i z zimną krwią rzekł:

- Cóż to, chłystku, nie wiesz, że noszę na piersiach stalową siatkę?

Po tych słowach porwał mnie za kark i znowu wrzucił w rynsztok, ale tym razem ku wielkiemu mojemu zadowoleniu, gdyż rad byłem, że nie popełniłem morderstwa. Podniosłem się dość wesoło, wróciłem do domu i położywszy się do łóżka, spałem znacznie spokojniej niż ubiegłej nocy.

Nazajutrz kobiety znalazły mnie daleko spokojniejszym niż poprzedniego dnia i oświadczyły mi swoją z tego powodu radość. Wszelako nie śmiałem pozostać u nich na wieczór. Lękałem się, że nie zdołam spojrzeć w oczy człowiekowi, którego chciałem zamordować. Przez cały wieczór z wściekłością przechadzałem się po ulicach, myśląc o wilku, który zakradł się do mojej owczarni.

O północy poszedłem na most i klasnąłem trzy razy w dłoń; zjawiły się karę rumaki, wskoczyłem na mojego i popędziłem za przewodnikiem aż do domu don Beliala. Drzwi same się otworzyły, mój opiekun wyszedł mi naprzeciw, wprowadził mnie do tej samej komnaty i rzekł głosem nieco szyderskim:

- Cóż, mój młody przyjacielu, morderstwo się nam nie udało? Nie zważaj na to, chęć stanie za uczynek. Zresztą pomyśleliśmy już o uwolnieniu cię od natrętnego współzawodnika. Doniesiono władzom, że wydawał tajemnice stanu, został więc wrzucony do tego samego więzienia, gdzie przebywa ojciec pani Santarez. Teraz od ciebie zależy umieć korzystać z twego szczęścia lepiej, niżeli to dotychczas czyniłeś. Przyjm w darze ode mnie to pudełko, znajdują się w nim cukierki nadzwyczajnych przymiotów, poczęstuj nimi twoje gospodynie i sam zjedz kilka.

Wziąłem pudełko, które roznosiło nader przyjemną woń, i rzekłem do don Beliala:

- Nic wiem, co senior nazywasz korzystaniem ze szczęścia. Byłbym potworem, gdybym chciał nadużyć zaufania matki i niewinności jej córek. Nie jestem tak przewrotny, jak senior sądzisz.

- Sądzę - odparł don Belial - że nie jesteś ani lepszy, ani gorszy od reszty dzieci Adama. Zwykle ludzie mają skrupuły przed popełnieniem zbrodni, a po jej dokonaniu doświadczają wyrzutów sumienia. myśląc, że dzięki temu zdołają utrzymać się na drodze cnoty. Oszczędziliby sobie tych nieprzyjemnych uczuć, gdyby chcieli sobie wytłumaczyć, co to jest cnota. Uważają cnotę za wartość idealną, której istnienie przyjmują bez zastanowienia, a przez to samo pomieszczają ją w liczbie przesądów, które, jak wiesz, są zdaniem nie popartymi poprzednim zgłębieniem rzeczy.

- Senior don Belialu - odpowiedziałem - mój ojciec dał mi pewnego razu sześćdziesiąty siódmy tom swego dzieła, zawierający zasady nauki moralnej. Przesąd, według niego, nie jest zdaniem nie popartym poprzednim zgłębieniem rzeczy, ale zdaniem już osądzonym przed naszym przyjściem na świat i przekazany nam, że tak powiem, dziedzicznie. Przyzwyczajenia dzieciennych lat rzucają w naszą duszę pierwsze zarodki tych zdań, przykład je rozwija, znajomość zaś spraw ustala. Stosując się do nich, jesteśmy uczciwymi ludźmi, wykonując więcej, niż prawa nakazują, stajemy się cnotliwymi.

- Określenie to - rzekł don Belial - nie jest zupełnie zło i przynosi zaszczyt twemu ojcu. Dobrze on pisał, lepiej jeszcze myślał. Kto wie, może i ty pójdiesz w jego ślady. Wracajmy jednak do twojego określenia. Zgadzam się z tobą, że przesady są zdaniem już osądzonymi, ale to nie powód, żebyśmy ich sami nie mieli sądzić, jeżeli czujemy w nas wykształcony sąd o rzeczach. Umysł żądny zgłębienia rzeczy poddaje przesady krytyce i bada, czy prawa równie wszystkich obowiązują. Tak postępując, jasno zobaczysz, że prawny porządek wynaleziono tylko na korzyść tych zimnych i leniwych charakterów, które dopiero od hymenu oczekują uczuć rozkoszy, dobrego bytu zaś od oszczędności i pracy. Inaczej jednak dzieje się z geniuszami, z charakterami namiętnymi, chciwymi złota i rozkoszy, które by pragnęły lata w jednej chwili pochłonąć. Cóż dla nich utworzył porządek społeczny? Przepędzają życie w więzieniach i kończą je w męczarniach. Na szczęście, prawa ludzkie są czym innym, aniżeli tym, czym się wydają. Są to zapory, przed którymi przechodzień zwraca się na inną drogę, ale ci, którzy chcą je przewartościwić, przeskakują lub podłazą. Przedmiot ten jednak za daleko by mnie zaprowadził, a jest już późno. Żegnaj cię, mój młody przyjacielu, pokosztuj moich cukierków i licz zawsze na moją opiekę.

Pożegnałem seniora don Beliala i wróciłem do domu. Otworzono mi drzwi, rzuciłem się na łóżko i starałem się zasnąć. Pudełko stało obok mnie i roznosiło najrozkoszniejsze wonie. Nie mogłem oprzeć się pokusie, zjadłem dwa cukierki i zasnawszy miałem noc nader niespokojną.

O zwykłej godzinie przyszły moje młode przyjaciółki. Znalazły szczególną odmianę w moim wzroku, jakoż w istocie spoglądałem na nie innymi oczyma. Zdawało mi się, że wszystkie ich poruszenia

wynikają z niepohamowanej chęci, by uczynić wrażenie na moich zmysłach; słowom ich, nawet najbardziej obojętnym, toż samo nadawałem znaczenie. Wszystko w nich pociągało moją uwagę i pogrążało mnie w odmęt myśli, o jakich przedtem nie miałem żadnego pojęcia.

Zorilla spostrzegła pudełko. Zjadła dwa cukierki i podała kilka siostrze. Wkrótce złudzenia moje zmieniły się w rzeczywistość. Tajemne wewnętrzne uczucie opanowało obie siostry, które mu się bezwiednie oddały. Same się tego przestraszyły i uciekły ode mnie powodowane ostatkami wstydlivości, w której jakaś dzikość się przebijała.

Weszła ich matka. Od chwili gdy ją uwolniłem od wierzyli, postępowanie jej ze mną nabrało niewypowiedzianej czułości. Tkliwość jej na chwilę mnie uspokoiła, ale wkrótce spojrzałem na nią tym samym wzrokiem, co na córki. Poznała, co się we mnie dzieje, zmieszała się i spojrzenia jej, unikając moich, padły na nieszczęsne pudełko. Wzięła kilka cukierków i odeszła, niebawem jednak wróciła, okryła mnie pieścizotami i ścisłała w swoich objęciach, nazywając synem.

Opuściła mnie z widoczną przykrością, z trudem się przewycięzając. Pomieszanie moich zmysłów dochodziło do szaleństwa. Czuję, jak ogień krąży mi po żyłach, zaledwo widziałem otaczające mnie przedmioty, mgła jakaś zasnęła mi oczy.

Chciałem wyjść na taras. Drzwi od pokoju dziewcząt były uchylone, nie mogłem się powstrzymać i wszedłem do środka. Zmysły ich były w daleko większym nieładzie od moich. Przeląknęłem się. chciałem wyrwać się z ich objęć, ale nie miałem na to dość siły. Matka weszła, wymówki zamarzyły na jej ustach, a wkrótce nie miała już prawa czynić nam wyrzutów.

Przebac, senior don Cornadez - dodał pielgrzym - przebac, że mówię ci o rzeczach, których samo opowiadanie jest już śmiertelnym grzechem. Ale historia ta potrzebna jest do twego zbawienia, postanowiłem wyrwać cię z zatracie i spodziewam się, że dokonam mego zamiaru. Pamiętaj stawić się tu jutro o tej samej godzinie.

Cornadez wrócił do domu, gdzie w nocy znowu go prześladował cień zamordowanego hrabiego de Peña Flor.

Cygan, domawiając tych słów, musiał się z nami rozłączyć i odłożyć dalsze opowiadanie na dzień następny.

Dzień pięćdziesiąty drugi

Zebraliśmy się o zwykłej godzinie i stary naczelnik, ulegając niecierpliwości słuchaczy, pośpieszył z dalszym ciągiem historii, którą Busqueros opowiadał na życzenie Toleda.

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Jak tylko Cornadez stawiał się o oznaczonej godzinie, pielgrzym tak dalej jął rozpowiadać:

DALSZY CIĄG HISTORII POTĘPIONEGO PIELGRZYMA

Pudełko moje było próżne, cukierki wszystkie zjedzone, ale spojrzenia nasze zdawały się chcieć ożywić przygasłe zapały. Nasze myśli karmiły się występnyymi wspomnieniami, a nasza niemoc miała swój grzeszny urok.

Jest właściwością występku, że zagłusza uczucia natury. Pani Santarez, cała oddana wyuzdanym żądom, zapomniała, że ojciec jej jęczy w więzieniu i że wyrok śmierci może zostać już na niego podpisany. Ja tym mniej o nim myślałem, gdy szczególna okoliczność, która opowiem, zwróciła nań moją uwagę.

Pewnego wieczora wszedł do mnie jakiś nieznajomy, starannie osłonięty szerokim płaszczem. Przeląknęłam się go nieco, tym bardziej że twarz ukrywał pod maską. Tajemniczy człowiek skinął mi, abym usiadł, i uczyniwszy to samo, rzekł:

- Senor Hervas, zdajesz się być przyjacielem pani Santarez. pragnę więc szczerze i otwarcie z tobą pomówić. Sprawa jest poważna i nierad bym załatwiać jej z kobietą. Pani Santarez zaufała wietrznikowi nazwiskiem don Krzysztof Sparadoz. Dziś przebywa on w więzieniu razem z senorem Goranezem, ojcem twojej gospodyni. Szaleniec ten myślał, że posiadał tajemnicę znaną tylko kilku dygnitarzom, ale mylił się; ja za to znam ją dokładnie. Wyjawię ci ją w kilku słowach. Od dziś za tydzień w pół godziny po zachodzie słońca przejdę przed waszymi drzwiami i trzy razy wymówię nazwisko uwięzionego: Goranez, Goranez, Goranez. Za trzecim razem wręczysz mi kiesę z trzema tysiącami pistoletów. Senor Goranez nie przebywa już w Segowii, został przewieziony do więzienia w Madrycie. Los jego ma być rozstrzygnięty przed połową tejże samej nocy. Oto jest wszystko, co miałem ci powiedzieć.

To mówiąc zamaskowany człowiek wstał i odszedł.

Wiedziałem, a raczej domyślałem się, że pani Santarez nie ma żadnych zasobów pieniężnych, postanowiłem więc uciec się do łaski don Beliala. Uwiadomiłem moją gospodynię, że don Krzysztof wpadł w podejrzenie swych przełożonych i nie może więcej u niej bywać, ale że ja mam znajomych w ministerium i spodziewam się szczęśliwego wyniku moich starań. Nadzieja ocalenia życia ojcu napełniła panią Santarez najwyższą radością. Dodała wdzięczność do wszystkich uczuć, jakimi już była ku mnie przejęta. Jej oddanie wydało się jej mniej występne. Tak wielkie dobrodziejstwo zupełnie ją we własnych oczach rozgrzeszało. Nowe rozkosze zajęły nam wszystkie chwile.

Wyrwałem się na jedną noc, ażeby pójść do don Beliala.

- Czekałem cię - rzekł do mnie. - Wiedziałem, że skrupuły twoje krótko będą trwałe, a wyrzuty sumienia jeszcze krócej. Wszyscy synowie Adama ulepieni są z jednej gliny. Ale nie spodziewałem się, żeby tak wcześnie znudziły ci się rozkosze, jakich nigdy nie doznawali sami nawet królowie tej małej kuli, którzy nie znali moich cukierków.

- Niestety, senior don Belialu - odpowiedziałem - w połowie prawdę wyrzekłeś, ale co do teraźniejszego mojego trybu życia, ten bynajmniej mi się nie znudził. Przeciwnie, obawiam się, że gdyby się miał kiedykolwiek odmienić, życie straciłoby dla mnie swój urok.

- Pomimo to - rzekł don Belial - przyszedłeś do mnie po trzy tysiące pistoletów, którymi chcesz okupić wolność senora Goraneza. Zapewne nic wiesz, że skoro tylko zostanie uniewinniony, natychmiast sprowadzi do swego domu córkę i wnuczki, które od dawna przeznaczył na żony dwom młodym urzędnikom ze swego biura. Ujrzysz w objęciach tych szczęśliwych małżonków dwa zachwycające stworzenia, które poświęciły ci swą niewinność i za całą nagrodę żądały tylko pewnego udziału w rozkoszach, jakich ty sam byłeś ogniskiem. Bardziej natchniona współubieganiem aniżeli zazdrością, każda z nich znajdowała najwyższą nagrodę w szczęściu, którego była przyczyną, i bez zawiści cieszyła się szczęściem, którym darzyła cię druga. Matka ich, bardziej doświadczona, ale niemniej namiętna, dzięki moim cukierkom mogła bez urazy spoglądać na szczęście córek. Po takich chwilach cóż poczniesz z resztą twego życia? Czy pójdiesz szukać uprawnionych rozkoszy małżeństwa lub wzdychać do uczuć zalotnicy, która nie przyrzecze ci nawet cienia rozkoszy, jakich żaden śmiertelnik przed tobą nie doznał? Tu don Belial zmienił nagle ton i rzekł:

- Ależ nie, nie mam racji. Ojciec pani Santarez jest naprawdę niewinny i wolność jego od ciebie zależy. Rozkosz z wypełnienia dobrego uczynku powinna wszystkie inne przewyższać.

- Senior don Belialu - rzekłem - bardzo zimno mówisz o dobrych uczynkach, natomiast bardzo gorąco o rozkoszach, które ostatecznie są grzechami. Myślałby kto, że pragniesz mojej zatury wiecznej, i mógłbym mniemać, że jesteś...

Don Belial nie dał mi dokończyć.

- Jestem - rzekł - jednym z głównych członków potężnego stowarzyszenia, które postawiło sobie za cel uszczęśliwianie ludzi i leczenie ich z nierozsądnych przesądów, jakie wysysają z mlekiem matek, a które potem w poprzek stają wszystkim ich pragnieniom. Wydaliśmy już wiele mądrych książek, gdzie jak najoczywiście dowodzimy, że miłość samego siebie jest zasadą wszystkich czynów ludzkich i że miłosierdzie, przywiązanie dzieci do rodziców, gorąca i tkliwa miłość, łaskawość królów są tylko wyrafinowanymi formami samolubstwa. Jeżeli więc miłość samego siebie jest sprężyną naszych postępów, zaspokojenie naszych pragnień powinno być zatem naturalnym ich celem. Wiedzieli o tym dobrze prawodawcy i dlatego tak napisali prawa, żeby można je obchodzić, z czego też ludzie nie zaniebują korzystając.

- Jak to, senior don Belialu - przerwałem - czy-liż nie uważasz, że sprawiedliwość i niesprawiedliwość są wartościami rzeczywistymi?

- Są to - odrzekł - wartości względne. Dokładnej to zrozumiesz za pomocą przypowieści, słuchaj tylko z uwagą:

Małeńkie owady pełzały po wierzchołkach wysokiego zielska. Jeden z nich rzekł do drugich: "Patrzcie na tego tygrysa leżącego obok nas. Jest to najłagodniejsze ze zwierząt, nigdy nie robi nam nic złego;

tymczasem, przeciwnie, baran - to dziki zwierz, który gdyby tu przyszedł, natychmiast by nas pożarł wraz z zielskiem służącym nam za schronienie. Ale tygrys jest sprawiedliwy i pomściłby naszą śmierć".

Z tego możesz wnieść, mój młody przyjacielu, że wszystkie pojęcia o sprawiedliwości i niesprawiedliwości, złem i dobrem są względnymi, nigdy zaś absolutnymi ani ogólnymi. Zgadzam się z tobą, że istnieje pewnego rodzaju głupawe zadowolenie, przywiązane do tego, co nazywają dobrymi uczynkami. Odczujesz je niezawodnie, ocalając niewinnie oskarżonego Goraneza. Nie powinieneś na chwilę się wahać, jeżeli znudziła cię już jego rodzina. Zastanów się, masz na to dość czasu. Powinieneś wręczyć nieznanemu pieniądze w sobotę, w pół godziny po zachodzie słońca. Przybądź tu w nocy z piątku na sobotę, trzy tysiące pistoletów będzie czekać na ciebie punktualnie o północy. Tymczasem żegnaj cię; przyjmij, proszę, jeszcze jedno pudełko z cukierkami.

Wróciłem do domu i przez drogę zjadłem kilka cukierków. Pani Santarez i jej córki jeszcze nie spały, czekały na mnie. Chciałem mówić o nieszczęśliwym więźniu, ale nie dano mi na to czasu... Lecz po cóż mam wyjawiać tak haniebne postęпки? Wystarczy ci wiedzieć, że rozpuściwszy cugle wyuzdanym żądom, straciliśmy miarę czasu i nie liczyliśmy dni. O więźniu zupełnie zapomniano.

Sobotni dzień chylił się już ku końcowi. Słońce zachodzące za chmury zdawało się rzucać po niebie krwawe odbłyски. Gwałtowne błyskawice przejęły mnie trwogą, usiłowałem przypomnieć sobie ostatnią rozmowę z don Belialem. Nagle usłyszałem głuchy, grobowy głos po trzykroć powtarzający:

- Goranez! Goranez! Goranez!

- Sprawiedliwe nieba! - krzyknęła pani Santarez - jestże to duch nieba lub piekieł, który do mnie przemawia i oznajmia mi o śmierci mego biednego ojca?

Straciłem przytomność. Odzyskawszy ją, pobiegłem drogą ku Manzanaresowi. chcąc po raz ostatni błagać o litość don Beliala. Alguacilowie zatrzymali mnie i zaprowadzili na nie znaną ulicę, do domu równie mi nie znanego, ale w którym wkrótce poznałem więzienie. Okuto mnie w łańcuchy i wrzucono do ciemnego lochu. Posłyszałem obok siebie brzęk łańcuchów.

- Czy to młody Hervas? - zapytał towarzysz mojej niedoli.

- Tak jest - odpowiedziałem - jestem Hervas i poznaję po głosie, że mówię z don Krzysztofem Sparadoz. Czy wiesz co o Goranezie? Czy był on niewinny?

- Jak najniewinniejszy - odparł don Krzysztof - ale oskarżyciel jego zastawił nań tak sztuczną zasadzkę, że mógł go według upodobania zgubić albo ocalić. Żądał od niego trzech tysięcy pistoletów. Goranez nie mógł nigdzie ich dostać i przed chwilą udusił się w więzieniu. Mnie także dano do wyboru podobną śmierć albo też dożywotnie więzienie w zamku Larache na brzegach Afryki. Wybrałem to ostatnie w nadziei, że za pierwszą sposobnością umknę i wtedy przejdę na wiarę mahometańską. Co zaś do ciebie, mój przyjacielu, wkrótce wezmą cię na tortury, ażeby zapytać o rzeczy, o których nie masz żadnego wyobrażenia. Mieszkałeś razem z panią Santarez, domyślają się więc, że jesteś współwinowajcą jej ojca.

Wystaw sobie człowieka, którego duch i ciało zniewieściały w rozkoszach, nagle zagrożonego okropnościami długich męczarni. Zdawało mi się, że już doznaję bólesci tortury. Włosy mi powstały na głowie, trwoga zdjęła członki, które odmówiły mi posłuszeństwa i zaczęły drgać konwulsyjnie.

Odźwierny wszedł do więzienia po Sparadoza, który odchodząc rzucił mi sztylet. Nie miałem siły go podnieść, a cóż dopiero, gdyby przyszło się nim przebić. Rozpacz moja do tego stopnia dobiegła, że sama śmierć nie byłaby mnie mogła uspokoić.

- Ach, Belialu! - zawołałem - Belialu, wiem dobrze, kim jesteś, a jednak cię przyzywam.

- Staję na twoje wezwanie - krzyknął duch nieczysty. - Weź ten sztylet, doładź krwi z palca i podpisz papier, który ci podaję.

- O, mój aniele stróżu - zawołałem - więc już zupełnie mnie opuścisz?

- Za późno go przyzywasz - wrzasnął szatan, zgrzytając zębami i buchając płomieniem. Zarazem wbił mi szpony w czoło.

Uczułem palący ból i zemdlałem, a raczej wpadłem w zachwycenie. Nagłe światło rozjaśniło lochy. Złotoskrzydły cherub pokazał mi zwierciadło i rzekł:

- Widzisz na twoim czole przewrócone Thau. Jest to znak potępienia. Dojrzysz go na czołach innych grzeszników, sprowadzisz dwunastu na drogę zbawienia i wtedy sam na nią powrócisz. Przywdziej ten ubiór pielgrzymi i chodź za mną!

Obudziłem się, czyli raczej miałem wrażenie, że się budzę; w istocie, nie znajdowałem się już w więzieniu, ale na drodze do Galicji. Strój pątniczy miałem na sobie.

Wkrótce spostrzegłem czeredę pielgrzymów idących do świętego Jakuba z Komposteli. Złączyłem się z nimi i obszedłem wszystkie miejsca święte w Hiszpanii. Chciałem przejść do Wioch i odwiedzić Loreto. Byłem wtedy w Asturii, obróciłem więc drogę przez Madryt. Przybywszy do tego miasta, poszedłem na Prado, chcąc odszukać dom pani Santarez. Jednakże nie odnalazłem go, choć rozpoznałem wszystkie sąsiednie domy. Dowiodło mi to, że jestem jeszcze pod władzą szatana. Nie śmiałem dalej prowadzić moich poszukiwań.

Zwiedziłem kilka kościołów, po czym udałem się do Buen Retiro. Nikogo nie zastałem w ogrodzie, prócz człowieka siedzącego na oddalonej ławce. Wielki krzyż maltański, wyszyty na jego płaszczu, oznajmił mi, że należy do starszyny tego zakonu. Zdawał się dumać; siedział nieruchomo, pogrążony w marzeniach.

Gdy się zbliżyłem do niego, zdało mi się, że widzę pod jego nogami przepaść, w której twarz jego odbija się odwrotnie, jak to zdarza się siedzącym nad wodą. Przepaść jednak pełna była ognia.

Gdy postąpiłem kilka kroków naprzód, złudzenie znikło, ale przypatrzwszy się nieznajomemu spostrzegłem, że ma na czole przewrócone Thau, znak potępienia, jaki cherub pokazał mi w zwierciadle na moim własnym czole.

Gdy Cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności, musiał więc rozłączyć się z nami.

Dzień pięćdziesiąty trzeci

Nazajutrz stary naczelnik, powtarzając słowa Busquera, tak dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORII POTĘPIONEGO PIELGRZYMA

Łatwo zrozumiałem, że widzę przed sobą jednego z dwunastu grzeszników, których miałem nawrócić na drogę zbawienia. Starałem się pozyskać jego zaufanie. Zamiar mój powiódł mi się w zupełności i gdy nieznajomy przekonał się, że nie ciekawość wyłącznie Miną powoduje, pewnego dnia, ulegając moim prośbom, w te słowa zaczął opowiadać swoje przygody:

HISTORIA KOMANDORA TORALVY

Wstąpiłem do zakonu maltańskiego, nie wyszedłszy jeszcze z lat dziecinnych, zapisano mnie bowiem do służby jako pazia. Opiekunowie, jakich miałem u dworu, wyjednali dla mnie w dwudziestym piątym roku dowództwo galery, wielki mistrz zaś, rozdając w rok później urzędy, powierzył mi najlepszą komandorię Aragonii. Mogłem więc i dziś jeszcze mogę ubiegać się o najpierwsze godności w zakonie; ale ponieważ dopiero w późnym wieku można je osiągnąć i ponieważ tymczasem nic nie miałem do czynienia, poszedłem więc za przykładem naszych baillich, którzy może powinni mi byli lepsi następcy. jednym słowem, oddałem się miłostkom. Wprawdzie wtedy już uważałem je za grzech, ale obym był nigdy większego nie popełnił. Ten, który dziś ciąży mi na sumieniu, wyniknął z karygodnej porywczokości, która sprawiła, że obraziłem to, co w naszej wierze jest najświętsze. Z przestraczem budzę w sobie te wspomnienia, ale niepotrzebnie je przedwcześnie wywołuję.

Wiesz zapewne, że mamy na Malcie kilka szlacheckich rodzin wyspiarskich, które bynajmniej nie wchodzą do zakonu i nie mają żadnych stosunków z kawalerami jakiego bądź stopnia. Uznają one tylko najwyższą władzę wielkiego mistrza i kapituły, składającej jego radę.

Po tej klasie następuje druga, pośrednia, która zajmuje urzędy i poszukuje opieki kawalerów. Kobiety tej klasy nazywają po włosku onorate, co znaczy "poważane". W istocie zasługują na ten tytuł przez przyzwoitość w postępowaniu i, jeżeli ci mam wszystko powiedzieć, przez tajemnicę, jaką osłaniają swoje miłostki.

Długie doświadczenie nauczyło kobiety "onorate", że zachowanie tajemnicy nie zgadza się z charakterem kawalerów francuskich, a przynajmniej, że niesłuchanie rzadko się zdarza, żeby który z nich łączył dyskrecję z innymi świetnymi przymiotami, jakie ich w ogóle cechują. Z tego wynikało, że młodzi ludzie tej nacji, przyzwyczajeni w innych krajach do wielkiego powodzenia u kobiet, na Malcie muszą wdawać się z dziewczętami ulicznymi. Kawalerowie niemieccy, zresztą mniej liczni, najwięcej mają szczęścia u kobiet "onorate" i zawdzięczają to, jak sądzą, swej biało-różowej cerze. Za nimi idą Hiszpanie, których uczciwy i pewny sposób myślenia główną jest zaletą.

Kawalerowie francuscy, zwłaszcza zaś karawaniści, mszczą się na kobietach "onorate", drwiąc z nich wszelkimi sposobami i odkrywając ich tajemne miłostki, ponieważ jednak żyją zawsze osobno i nie chcą uczyć się włoskiego języka, którym cały kraj mówi, nikt przeto nie zważa na ich plotki.

Żyliśmy więc spokojnie z naszymi kobietami "onorate", gdy pewnego dnia okręt francuski przywiózł komandora de Foulequere, ze starożytnego domu seneszałów Poitou, pochodzącego od hrabiów Angouleme. Komandor był już raz na Malcie i wstąpił się znaczną liczbą pojedynków. Teraz przybywał starać się o generalne dowództwo galer. Przeżył już trzydzieści sześć lat życia, spodziewano się zatem, że mu-siał się usatkwować. W istocie, przestał być zawadiaką i hałaburdą, ale za to stał się wyniosły, dumny, buntowniczy i rościł pretensje, by go więcej poważano, aniżeli samego wielkiego mistrza.

Komandor otworzył swój dom. Kawalerowie francuscy tłumnie się do niego schodzili. My rzadko kiedy do niego uczęszczaliśmy, na koniec zupełnie z nim zerwali, zawsze bowiem toczono u niego nieprzyjemną dla nas rozmowę, między innymi o kobietach "onorate", które szanowaliśmy i kochali. Gdy komandor wychodził, rój młodych karawanistów zawsze go otaczał. Komandor prowadził ich do "Ciasnej Uliczki", pokazywał miejsca, gdzie się pojedynkował, i opowiadał wszystkie szczegóły swoich pojedynków.

Muszę ci powiedzieć, że według naszych zwyczajów, pojedynki są zakazane na Malcie, z wyjątkiem Ciasnej Uliczki, przejścia, na które nie wychodzi żadne okno. Uliczka ma tyle szerokości, ile potrzeba dla dwóch ludzi, którzy chcą złożyć się i skrzyżować szpady. Żaden z nich jednak nie może się cofnąć.

Przeciwnicy stają w poprzek uliczki, przyjaciele ich zaś zatrzymują przechodzących, ażeby im nie przeszkadzali. Zwyczaj ten zaprowadzono niegdyś dla zapobieżenia morderstwom, człowiek bowiem, który wie, że ma nieprzyjaciela, nie przechodzi przez Ciasną Uliczkę, gdy zaś morderstwo gdzie indziej zostaje popełnione, niepodobna już podać je za pojedynek.

Wreszcie, pod karą śmierci, nie wolno ze sztyletem przechodzić przez Ciasną Uliczkę. Widzisz więc, że pojedynek jest nie tylko tolerowany, ale nawet pozwolony na Malcie, chociaż wyraźnie pozwolenie to nie jest ogłoszone. Kawalerowie ze swojej strony nie tylko że nie nadużywają tej swobody, ale mówią nawet o niej z pewnego rodzaju oburzeniem, jako o występku przeciw miłosierdziu chrześcijańskiemu, rażącym zwłaszcza w siedzibie zakonu.

Przechadzki komandora po Ciasnej Uliczce nie były zatem na swoim miejscu, toteż nic dziwnego, że odniosły zły skutek: karawaniści francuscy stali się zawadiakami, do czego zresztą i tak mieli wrodzoną skłonność. Ich złe obyczaje z dnia na dzień się pogarszały. Kawalerowie hiszpańscy jeszcze bardziej się od nich odstrychnęli, nareszcie zebrali się u mnie, zapytując, co mają czynić dla pohamowania warcholstwa, które zaczynało być nieznośne. Podziękowałem rodakom za zaszczyt, jaki mi wyświadczyli, pokładając we mnie zaufanie. Przyrzekłem im, że pomówię o tym z komandorem i przedstawię mu postępowanie młodych Francuzów jako pewien rodzaj nadużycia, którego postępy on sam tylko może powściągnąć dzięki wysokiemu poważaniu i szacunkowi, jakimi go otaczają trzy języki jego narodu. Obiecywałem sobie, że uczynię to z należytą grzecznością, na którą komandor tak bardzo był wrażliwy, jednakże nie miałem nadziei, aby mogło obejść się bez pojedynku. Pomimo to myślałem o tym bez przykrości, ponieważ pojedynek taki z uwagi na swój powód byłby dla mnie nader zaszczytny. Na koniec sądziłem, że tym sposobem pofolguję odrazie, którą od dawna czułem do komandora.

Był wówczas właśnie Wielki Tydzień, postanowiono więc, że dopiero za dwa tygodnie będę miał rozmowę z komandorem. Zdaje mi się, że doniesiono mu o moim zamiarze i chciał go uprzedzić, szukając ze mną zwady.

Nadszedł Wielki Piątek. Wiesz, że według zwyczaju hiszpańskiego podaje się tego dnia wodę święconą uwielbianej kobiecie, idąc za nią z kościoła do kościoła. Pod pewnym względem pobudza do tego zazdrość i obawa, aby ktoś inny nie podał wody i tym sposobem nie starał się zawrzeć znajomości. Zwyczaj ten wprowadzono również na Maltę. Stosownie do niego, udałem się za pewną młodą kobietą "onorata", z którą od kilku lat zostawałem z związkach. Ale w pierwszym kościele, do którego weszła, komandor zbliżył się do niej przede mną. Stanął pomiędzy nami zwrócony do mnie tyłem i cofnął się o kilka kroków, jak gdyby chciał nadepnąć mi na nogę. Postępowanie to zwróciło uwagę kilku obecnych kawalerów.

Wyszedłszy z kościoła, zbliżyłem się obojętnie do komandora, pragnąc niby pomówić z nim o mało ważnych rzeczach. Zapytałem go, do jakiego kościoła zamierza się teraz udać. Nazwał mi jakiegoś świętego. Ofiarowałem się, że go zaprowadzę krótszą drogą, i tak, że się nie spostrzegł, zawiodłem go w Ciasną Uliczkę. Stanąwszy tam, dobyłem szpady, pewny, że nikt nam nie przeszkodzi, wszyscy bowiem tego dnia znajdowali się w kościołach.

Komandor także dobył szpady, ale zniżył jej ostrze.

- Jak to - rzekł - w Wielki Piątek? Nie chciałem go słuchać.

- Racz uwzględnić - dodał - że od przeszło sześciu lat nie byłem u spowiedzi. Przeraza mnie stan mego sumienia. Za trzy dni...

Zwykle jestem spokojnego sposobu myślenia, a wiesz, że ludzie tego charakteru, raz przyprowadzeni do ostateczności, nie mogą się już opamiętać. Zmusiłem komandora, by stanął do walki, ale - rzecz dziwna - jakiś przestרח rozlał się po jego twarzy. Oparł się o mur i jak gdyby przewidując, że upadnie, zawczasu szukał oparcia.

W istocie, za pierwszym ciosem utopiłem mu szpadę w piersiach. Pochylił ostrze, zatoczył się na mur i rzekł umierającym głosem:

- Przebaczam ci, oby niebo chciało ci również przebaczyć. Zanieś moją szpadę do Tete-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej.

Wyzionął ducha. W pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na jego ostatnie słowa i jeżeli później przypomniałem je sobie, to dlatego, że je powtórnie usłyszałem. Złożyłem deklarację w zwykłej formie i mogę rzec, że przed światem pojedynek ten wcale mi nie zaszkodził. Nie cierpiano komandora i uznano, że zasłużył na swój los; sądziłem jednak, że zgrzeszyłem przed Bogiem, zwłaszcza uwłaczając świętości sakramentów, i sumienie czyniło mi gorzkie wyrzuty. Trwało to przez tydzień.

W nocy z piątku na sobotę nagle obudziłem się i gdy spojrzałem dokoła, zdało mi się, że nie znajduję się w swoim pokoju, ale leżę na bruku w Ciasnej Uliczce. Zdziwiłem się niepomału, gdy ujrzałem wyraźnie komandora opartego o mur. Widmo zdawało się dobywać nadprzyrodzonych sił i rzekło:

- Zanieś moją szpadę do Tete-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej.

Zaledwie usłyszałem te słowa, gdy wpadłem w sen letargiczny. Nazajutrz obudziłem się w moim pokoju i w moim łóżku, ale zachowałem jak najdokładniej wspomnienie mego widzenia.

Następnej nocy kazałem służącemu spać w moim pokoju i nic nie widziałem. Przez cały tydzień byłem spokojny, ale w nocy z piątku na sobotę znowu miałem to samo widzenie, z tą różnicą, że służący mój leżał na bruku o kilka kroków ode mnie. Widmo komandora pokazało mi się a powtórzyło te same słowa.

Odtąd co piątek widziałem to samo zjawisko. Służący mój śnił, że leży w Ciasnej Uliczce, ale poza tym nie widział ani nie słyszał komandora.

Z początku nie wiedziałem, co to za Tete-Foulque, dokąd, według żądania komandora, miałem zanieść jego szpadę. Kawalerowie z Poitou powiedzieli mi, że jest to zamek położony o trzy mile od Poitiers, wśród lasu, że opowiadano o nim w kraju wiele nadzwyczajnych rzeczy i że chodzono tam dla oglądania niektórych ciekawych przedmiotów, jak na przykład zbroi Foulque'a Taillefer i broni pozabijanych przez niego rycerzy, że nareszcie, według zwyczaju przyjętego w rodzinie Foulequere, składano tam broń, która służyła jej członkom bądź w bitwach, bądź też w pojedynkach. Wszystko to mocno mnie zajęło, musiałem jednak pomyśleć wprzód o moim sumieniu.

Udałem się do Rzymu, wyznałem moje grzechy przed wielkim spowiednikiem i nie tałem mu widzenia, które ciągle mnie prześladowało. Nie odmówił mi rozgrzeszenia, ale udzielił go warunkowo. Po odbyciu pokuty miałem nie zapomnieć o stu mszach w kaplicy zamku Tete-Foulque. Niebo tymczasem przyjęło moją ofiarę i od chwili gdy się wyspowiadałem, widmo komandora przestało mnie dręczyć. Przywiozłem był z Malty jego szpadę, natychmiast więc wybrałem się w drogę do Francji.

Gdy przybyłem do Poitiers, wiadano tam już o śmierci komandora i zauważyłem, że nie więcej go żałowano niż na Malcie. Zostawiłem w mieście moich służących, sam zaś przywdziałem ubiór pielgrzymi i nająłem przewodnika. Uważałem za właściwe pójść piechotą do zamku, zresztą droga do Tete-Foulque była nieprzystępna dla powozów.

Zastaliśmy bramę zamkniętą, długo dzwoniliśmy i wołaliśmy, wreszcie pokazał się murgrabia. Był on jedynym mieszkańcem Tete-Foulque, oprócz pustelnika, który doglądał kaplicy i którego właśnie znaleźliśmy na modlitwie. Gdy skończył swoje pacierze, powiedziałem mu, że przychodzę prosić go o sto mszy.

To mówiąc złożyłem ofiarę na ołtarzu, chciałem także i szpadę komandora na nim zostawić, ale murgrabia oznajmił mi, że należy odnieść ją do zbrojowni, gdzie, według zwyczaju, składano zawsze broń wszystkich Foulequere'ów poległych w walkach, jak również oręż zabitych przez nich przeciwników. Udałem się za murgrabia do zbrojowni i w istocie spostrzegłem mnóstwo szpad rozmaitej wielkości i liczne portrety, zaczawszy od Foulque'a Taillefer, hrabiego Angouleme, który wybudował Tete-Foulque dla syna swego z nieprawego łoża, który to syn był później seneszalem Poitou i protoplastą Foulequere'ów z Tete-Foulque.

Portrety seneszala i jego żony wisały po obu stronach wielkiego komina, umieszczonego w rogu zbrojowni. Postacie wyglądały na nich jak żywe. Inne portrety były równie dobrze namalowane, każdy w stylu swojej epoki, wszelako żaden z nich nie był tak uderzający jak portret Foulque'a Taillefer. Obraz był naturalnej wielkości. Rycerz stał na nim w bawolim kaftanie, w jednej ręce trzymał szpadę,

drugą zaś brał tarczę, którą mu podawał koniuszy. Większa część szpad wisiła misternie ułożona obok tego portretu.

Prosiłem murgrabiego, aby kazał zapalić ogień i przynieść mi wieczerzę.

- Zgoda co do wieczerzy - odpowiedział - ale co się tyczy noclegu, radziłbym ci, mój pielgrzymie, abyś przespał się raczej w moim pokoju.

Zapytałem go o powód tej ostrożności.

- Niepotrzebnie się pytasz - odparł murgrabia - zaufaj mi, każ sobie pościć obok mego łóżka.

Przystałem na jego propozycję z tym większą przyjemnością, że właśnie był piątek i lękałem się powrotu mego zjawiska.

Murgrabia wyszedł, aby zająć się wieczerzą, ja zaś zacząłem przypatrywać się broni i portretom, które, jak powiedziałem, wymalowano były z niesłychaną prawdą. Im bardziej dzień chylił się ku schyłkowi, tym więcej szaty, malowane ciemnymi barwami, zlewały się w jedno z mrocznym tłem obrazów, ogień tylko komina jaskrawo odznaczał twarze. Było w tym coś przerażającego, może zresztą dałem się zbyt unieść wyobraźni, stan bowiem sumienia utrzymywał mnie w ciągłej trwodze.

Murgrabia przyniósł mi wieczerzę, złożoną z półmiska pstrągów złowionych w sąsiednim potoku. Dano mi także flaszkę niezłego wina. Chciałem, żeby pustelnik usiadł z nami do stołu, ale ten żył tylko korzonkami, gotowanymi w wodzie.

Miałem zwyczaj codziennie odmawiać brewiarz, jak przystało na zakonnika, tym bardziej hiszpańskiego. Dobyłem więc książki i różańca; powiedziałem murgrabiemu, że ponieważ sen mnie jeszcze nie morzy, pomodłę się zatem w zbrojowni do późnej nocy, i prosiłem go, aby mi tylko wskazał mój pokój.

- Bardzo chętnie - odpowiedział - pustelnik przyjdzie o północy modlić się do kaplicy. Wtedy zejdziesz tymi małymi schodkami i nie będziesz mógł ominąć mego pokoju, którego drzwi zostawię otwarte. Pamiętaj tylko, abyś po północy tu nie zostawał.

Murgrabia wyszedł. Zacząłem się modlić, dorzucając od czasu do czasu drzewa na ogień. Nie śmiałem jednak zbyt przypatrywać się ścianom, portrety bowiem zdawały się ożywiać. Jeżeli przypadkiem spojrzałem na który, natychmiast zdawał mi się mrugać oczami i wykrzywiać usta. Zwłaszcza seneszał i jego żona, którzy wisieli po obu stronach komina, rzucali na mnie gniewne spojrzenia, po czym spoglądali po sobie. Nagłe uderzenie wiatru, który zatrzęsł oknami tak, że broń na ścianie zagrzecotała, podwoiło moją trwogę. Wszelako nie przestawałem żarliwie się modlić.

Nareszcie usłyszałem pustelnika śpiewającego psalmy, i gdy śpiew ustał, zszedłem schodami, chcąc udać się do pokoju murgrabiego. Trzymałem w ręku kawałek świeczki, wiatr ją zgasił, powróciłem więc, aby ją zapalić, ale jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem seneszala i jego żonę, którzy wyszli z ram i siedzieli przy kominie. Rozmawiali ze sobą poufale i można było wyraźnie słyszeć ich słowa:

- Moja duszko - mówił seneszał - cóż myślisz o tym Kastyli jeżyku, który uśmiercił komandora, nie pozwalając mu się nawet wypowiedzieć?

- Myślę, mój miłościwy mężu i panie - odrzekło widmo niewieście - że jest to wielki grzech a nie-godziwość. Mam jednak nadzieję, że miłościwy Taillefer nie wypuści tak na sucho owego Kastylijczyka z zamku i że ciśnie mu rękawicę.

Strach mnie zdjął niezmierny, wypadłem na schodki, chciałem po omacku trafić do drzwi murgrabiego, ale nadaremnie. W rękę wciąż jeszcze trzymałem świeczkę; pomyślałem o tym, żeby ją zapalić, i nieco się uspokoiłem, usiłowałem wytłumaczyć sobie, że to moja rozogniona wyobraźnia spłodziła owe postacie, które widziałem był przy kominie. Wróciłem więc i stanąwszy w drzwiach zbrojowni, przekonałem się, że rzeczywiście przy kominie nikogo nic ma. Wszedłem śmiało, ale postąpiwszy kilka kroków - cóż ujrzałem na środku sali? Miłościwy Taillefer w wojowniczej postawie składał się do mnie końcem swojej szpady. Chciałem uciec na schodki, ale we drzwiach stała mara koniuszego, która rzuciła mi rękawicę pod nogi.

Nie wiedząc, co począć, pochwyciłem pierwszą lepszą szpadę ze ściany i rzuciłem się na mego urojonego przeciwnika. Zdawało mi się nawet, że go przeciął na dwoje, ale w tej samej chwili odebrałem cios pod sercem, który sparzył mnie jak rozpalone żelazo. Krew moja zalała posadzkę i padłem bez zmysłów.

Obudziłem się nazajutrz w pokoju murgrabiego, który widząc, że nie powracam, wziął święconej wody i przyszedł po mnie. Znalazł mnie rozciągniętego bez przytomności na podłodze. Spojrzałem na piersi, nie miałem żadnej rany, cios więc, który otrzymałem, był tylko przywidzeniem. Murgrabia o nic mnie nie pytał, ale radził, abym niezwłocznie opuścił zamek.

Poszedłem za jego radą i udałem się drogą do Hiszpanii. Po tygodniu stanąłem w Bayonne. Przybyłem tam w piątek i zamieszkałem w gospodzie. Śród nocy obudziłem się nagle i ujrzałem przed sobą miłościwego Taillefera, który składał się do mnie szpadą. Przeżegnałem się znakiem krzyża i widmo rozwiało się oparem. Wszelako uczułem taki sam cios, jaki otrzymałem w zamku Tete-Foulque. Zdawało mi się, że krew mnie zalewa, chciałem wołać o pomoc, uciec z łóżka, ale jedno i drugie było niemożliwe. Ta niewypowiedziana męczarnia trwała aż do pierwszego piania kogutów; wtedy zasnąłem, ale nazajutrz zdrowie moje było w stanie godnym politowania. Odtąd co piątek to samo widzenie się powtarza i żadne pobożne uczynki nie mogą go oddalić. Smutek mój spycha mnie do grobu; legnę w nim, zanim zdołam wydobyć się spod władzy szatana; słaby promyk nadziei w miłosierdziu boskim podtrzymuje mnie jeszcze i dodaje sił do znoszenia moich cierpień.

Na tym komandor Toralva skończył swoją opowieść, albo raczej Pielgrzym Potępiony, który rozpowiedziałwszy ją Cornadezowi, tymi słowy ciągnął dalej własne przygody:

Komandor Toralva był człowiekiem pobożnym, chociaż zgwałcił święte zasady religii, pojedynkując się z przeciwnikiem, któremu nie pozwolił nawet porachować się z sumieniem. Łatwo przekonałem go, że jeżeli rzeczywiście pragnie uwolnić się od nagabywań szatana, powinien zwiedzić święte miejsca, w których grzesznicy zawsze znajdują pociechę i łaskę.

Toralva posłuchał mojej rady i razem zwiedziliśmy cudowne miejsca w Hiszpanii. Następnie udaliśmy się do Włoch. Byliśmy w Loreto i w Rzymie. Wielki spowiednik udzielił mu nie tylko warunkowego, ale i ogólnego rozgrzeszenia, do którego dodał odpust papieski. Toralva, zupełnie wyzwolony, odjechał na Maltę, ja zaś przybyłem do Madrytu, a stamtąd do Salamanki.

Gdy cię ujrzałem, spostrzegłem na twoim czole znak potępienia i została mi objawiona cała twoja historia. Hrabia de Peña Flor w istocie miał zamiar zbałamucić i uwieść wszystkie kobiety, ale dotąd żadnej jeszcze nie uwiódł i nie zbałamucił. Ponieważ grzeszył tylko myślą, dusza jego nie była jeszcze w niebezpieczeństwie; od dwóch lat jednak zaniedbał obowiązki religii i właśnie miał im zadośćuczynić, gdy ty kazałeś go zamordować, albo raczej przyczyniłeś się do jego śmierci. Oto jest przyczyna, dla której widmo cię prześladowuje. Jeden jest tylko sposób odzyskania spokoju. Musisz pójść za przykładem komandora. Ja posłużę ci za przewodnika, od tego bowiem i moje własne zbawienie zależy.

Comadez dał się przekonać. Zwiedził cudowne miejsca w Hiszpanii, następnie udał się do Włoch i dwa lata zeszło mu na tej pielgrzymce. Pani Cornadez przepędziła ten czas w Madrycie, gdzie osiedliły się jej matka i siostra.

Wróciwszy do Salamanki, Comadez znalazł dom swój w jak najlepszym porządku. Żona jego, piękniejsza niż kiedykolwiek, okazywała mu wiele słodyczy. W dwa miesiące później pojechała jeszcze raz do Madrytu w odwiedziny do matki i siostry, po czym wróciła do Salamanki i na stałe już w niej pozostała, zwłaszcza gdy księciu Arcos powierzono ambasadę w Londynie.

Tu kawaler Toledo zabrał głos i rzekł:

- Senor Busqueros, nie myślę darować ci dalszego ciągu; stanowczo muszę dowiedzieć się, co ostatecznie stało się z panią Comadez?

- Owdowiała - odparł Busqueros - po czym znowu wyszła za mąż i odtąd jak najprzykładniej się prowadzi. Ale co widzę? Oto właśnie i ona, zmierza w tę stronę i jeżeli się nie mylę, idzie prosto do twojego domu.

- Co mówisz? - zawołał Toledo - ależ to pani Uscariz. Ach, niegodziwa! Wmówiła we mnie, że jestem pierwszym jej kochankiem, ale sownie mi za to zapłaci.

Kawaler, pragnąc zostać sam na sam ze swoją kochanką, czym prędzej nas od siebie wyprawił.

Dzień pięćdziesiąty czwarty

Nazajutrz zebraliśmy się o zwykłej godzinie i poprosiwszy Cygana, aby dalej raczył ciągnąć opowiadanie swych przygód, taką otrzymaliśmy odpowiedź:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Toledo, uwiadomiony o prawdziwej historii pani Uscariz, przez jakiś czas zabawiał się opowiadaniem jej o Frasquecie Cornadez jako o zachwycającej kobiecie, którą rad byłby poznać i

która jedna tylko mogłaby go uszczęśliwić, przywiązać i na wieki ustalić. Nareszcie znudziły go wszystkie miłostki, równie jak i sama pani Uscariz.

Rodzina jego, nader wzięta u dworu, przeznaczała mu przeorstwo kastylijskie, które właśnie podówczas zawakowało. Kawaler pośpieszył objąć nową godność do Malty, ja zaś straciłem jedyne go opiekuna, który mógłby mi dopomóc zniweczyć zamiary Busquera względem mego ojca. Musiałem pozostać biernym widzem tej intrygi, nie mogąc stanąć jej na przeszkodzie. Rzecz zaś tak się miała:

Mówiłem wam już na początku mego opowiadania, że ojciec mój każdego poranku dla odetchnięcia świeżym powietrzem stawał na balkonie wychodzącym na ulicę Toledo, następnie szedł na drugi balkon, który wychodził na małą uliczkę, i jak tylko spostrzegł naprzeciwko sąsiadów, wnet witał ich, mówiąc agur. Niechętnie wracał do pokoju, jeżeli ich nie pozdrowił. Sąsiedzi, aby go długo nie zatrzymywali, spieszyli odebrać od niego dzień dobry; poza tym nie miał z nimi żadnych innych stosunków. Owi uprzejmi sąsiedzi wyprowadzili się jednak, a miejsce ich zajęły panie Cimiento, dalekie krewne don Roque Busquera. Pani Cimiento, ciotka, była to czterdziestoletnia osoba ze świeżą cerą i słodkim, ale statecznym wejrzeniem. Panna Cimiento, bratanica, była wysoką, kształtnej kibici, o ładnych oczach i wytoczonych ramionach dziewczyną.

Obie kobiety wprowadziły się, jak tylko mieszkanie było wolne, i nazajutrz mój ojciec, wyszedłszy na balkon, oczarowany był ich widokiem. Swoim zwyczajem powiedział im dzień dobry, one zaś odkloniły mu się, jak można najwdzięczniej. Niespodzianka ta sprawiła mu niewypowiedzianą przyjemność, wszelako oddalił się do swego pokoju, co też i obie kobiety wkrótce uczyniły.

Wymiana wzajemnych grzeczności trwała tylko tydzień, po którego upływie ojciec mój odkrył w pokoju panny Cimiento jakiś przedmiot, który do najwyższego stopnia zaostrzył jego ciekawość. Była to mała szklana szafa, napełniona słoikami i fiolkami kryształowymi. Jedne z nich zdawały się zawierać jaskrawe farby, jak gdyby do barwienia, drugie piasek złoty, srebrny i błękitny, inne nareszcie lakier złotawy. Szafa stała tuż przy oknie. Panna Cimiento, odziana w lekki staniczek, przychodziła to po jedną, to po drugą fiolkę i alabastrowym ramieniem zdawała się zaćmiewać świetne barwy, jakie dobywała z szafy. Co jednak z nimi począła, tego mój ojciec nie mógł odgadnąć, nie mając zaś zwyczaju nigdy o nic się pytać, wolał raczej pozostać w nieświadomości.

Pewnego dnia panna Cimiento usiadła przy oknie i zaczęła pisać. Atrament był za gęsty; dołała doń wody i tak go rozrzedziła, że zrobił się do niczego. Mój ojciec, idąc za popędem wrodzonej mu grzeczności, napełnił fiolkę atramentem i posłał ją sąsiadce. Służąca wraz z podziękowaniem przyniosła mu pudełko z kartonu, zawierające dwanaście lasek laku rozmaitej barwy; każdą laskę zdobiły napisy lub godła nader misternie wykończone.

Ojciec nareszcie dowiedział się, czym trudni się panna Cimiento. Praca ta, podobna do jego zajęcia, była niejako ostatecznym dopełnieniem zatrudnienia, jakiemu się oddawał. Wydoskonalenie fabrykacji laku, według zdania prawdziwych znawców, wyżej jeszcze było doprowadzone aniżeli atramentu. Ojciec, pełen podziwu, wystrzygł kopertę, zaadresował ją swoim doskonałym atramentem i zapieczętował nowym lakiem. Pieczęć odbiła się wyśmienicie. Położył kopertę na stole i długo się w nią wpatrywał.

Wieczorem poszedł do księgarza Moreno, gdzie zastał jakiegoś nie znanego mu człowieka, który przyniósł podobne pudełko z tyluż laskami laku. Obecni wzięli się do próbowania i nie mogli się dość

nachwalić doskonałości wyrobu. Mój ojciec przepędził tam cały wieczór, w nocy zaś marzył tylko o laku.

Nazajutrz z rana oddał sąsiadkom zwykło pozdrowienie: chciał nawet więcej powiedzieć, otworzył usta, ale nic nie rzekł i odszedł do swego pokoju, wszelako tak usiadł, żeby móc dokładnie widzieć, co się dzieje u panny Cimiento. Służąca okurzała sprzęty, piękna zaś bratanica za pomocą powiększającego szkła śledziła najłżejsze źdźbła pyłu, a kiedy udało jej się jakie wynaleźć, kazała sprzątać powtórnie. Ojciec, niestychnie przywiązany do porządku, widząc to samo upodobanie w sąsiadce, powziął ku niej szczególniejszy szacunek.

Mówiłem wam, że głównym zajęciem mego ojca było palenie cygar i rachowanie przechodniów lub dachówek pałacu księcia Alby; wszelako odtąd nic poświęcał już, jak przedtem, całych godzin tej rozrywce, zaledwie kilka minut przy niej wysiedziało, gdyż potężny urok ciągnął go bezustannie do balkonu wychodzącego na małą uliczkę.

Busqueros pierwszy spostrzegł tę zmianę i przy mnie nieraz zaręczał, że niezadługo don Felipe Avadoro wróci do swego nazwiska i pozbędzie się przydomku: del Tintero Largo. Jakkolwiek mało znałem się na interesach, wszelako domyśliłem się, że małżeństwo mego ojca w żadnym wypadku nie może być dla mnie korzystne, znowu więc pobiegłem do ciotki Dalanosy, zaklinając ją, aby koniecznie starała się złemu zapobiec. Ciotka moja szczerze się tą wieścią zmartwiła i powtórnie udała się do wuja Santeza; ale teatyn odpowiedział, że małżeństwo jest sakramentem boskim, na który nie ma prawa nastawać, że jednak będzie czuwał, aby mi w niczym krzywdy nie wyrządzono.

Kawaler Toledo od dawna wyjechał już na Malte, tak więc bezsilnie musiałem patrzeć na to wszystko, a czasami nawet i działać, gdyż Busqueros posyłał mnie z listami do swoich krewnych, sam bowiem u nich nie bywał.

Pani Cimiento nigdy nie wychodziła z domu i nikogo u siebie nie przyjmowała. Mój ojciec ze swej strony coraz rzadziej wychodził na miasto. Nigdy dawniej nie byłby się wyrzekł swego teatru ani też zmienił ustalonego porządku dnia, teraz jednak korzystał z najłżejszego kataru lub przeziębienia i kamieniem siedział w domu. Wtedy nie mógł oderwać się od okna wychodzącego na małą uliczkę i przypatrywał się, jak panna Cimiento ustawia flaszki lub układa laski laku. Widok dwóch śnieżnych ramion, ciągle migających mu przed oczyma, zapalił jego wyobraźnię tak, że nie mógł o niczym innym myśleć.

Wkrótce nowy przedmiot podniecił jego ciekawość. Był to kociolatek dość podobny do tego, w jakim przyprawiał swój atrament, ale daleko mniejszy i postawiony na żelaznym trójnogu. Lampy, palące się pod nim, utrzymywały ciągle umiarkowane ciepło. Niebawem przybyły dwa takie same kociolki.

Nazajutrz ojciec mój, wyszedłszy na balkon i powiedziawszy agur, otworzył usta chcąc zapytać się, co znaczą te kociolki, ale ponieważ nie miał zwyczaju mówienia, nic przeto nie rzekł i odszedł do siebie. Dręczony ciekawością postanowił posłać pannie Cimiento jeszcze jedną butelkę swego atramentu. W podzięce otrzymał trzy flaszki napełnione różnobarwnym atramentem: czerwonym, zielonym i niebieskim.

Wieczorem ojciec poszedł do księgarza Moreno. Zastał tam jakiegoś urzędnika z ministerium skarbu, który trzymał pod pachą ogólne sprawozdanie z rachunków kasy. W sprawozdaniu tym niektóre kolumny nakreślone były atramentem czerwonym, tytuły - niebieskim, linie zaś zielonym.

Urządник dowodził, że sam jeden posiada tajemnicę sporządzania takich atramentów, i że nikt w mieście nie jest w stanie poszczycić się podobnymi. Na te słowa jakiś nieznajomy obrócił się do mego ojca i rzekł:

- Senor Avadoro, ty, który tak wyśmienicie fabrykujesz czarny atrament, miałabyś nie znać sposobów sporządzania kolorowego?

Mój ojciec nie lubił, gdy go o co pytano, i z łatwością się mieszał. Otworzył jednak usta, aby odpowiedzieć, ale nic nie rzekł, gdyż wolał pobiec do siebie i przynieść flaszki do Morena. Obecni nie mogli dość wydziwić się doskonałości atramentów, urzędnik zaś prosił o pozwolenie wzięcia kilku próbek do domu. Ojciec, obsypany pochwałami, skrycie oddawał całą sławę panie Cimiento, której nazwiska dotąd jeszcze nic? znał. Powróciwszy do siebie, otworzył książkę z przepisami i znalazł dwa na niebieski, trzy na zielony i siedem na czerwony. Tyle na raz przepisów pomieszało mu się w głowie, nie umiał zebrać dwóch myśli, piękne tylko ramiona sąsiadki żywo malowały się przed jego wyobraźnią. Uśpione jego zmysły ocknęły się i dały mu odczuć całą swoją potęgę.

Nazajutrz z rana, pozdrawiając obie sąsiadki, postanowił stanowczo dowiedzieć się o ich nazwisku, otworzył więc usta, aby je o to zapytać, ale znowu nic nie rzekł i wrócił do swego pokoju. Następnie wyszedł na balkon od ulicy Toledo, skąd spostrzegł człowieka dość przyzwoicie ubranego, trzymającego w ręku czarną butelkę. Zrozumiał, że jest to ktoś żądający atramentu, zamieszał więc w kotle, aby mu dać jak najlepszego. Kurek od kotła znajdował się na jednej trzeciej wysokości, tak że męty zostawały na spodzie. Nieznajomy wszedł, ale zamiast odejść, gdy ojciec napełnił mu już butelkę, postawił ją na stole, usiadł i prosił o pozwolenie wypalenia cygara. Ojciec chciał coś odpowiedzieć, ale nic nie rzekł, nieznajomy dobył więc z kieszeni cygara i zapalił je u lampy stojącej na stole.

Nieznajomym tym był niegodziwy Busqueros.

- Senor Avadoro - rzekł do mego ojca - zajmujesz się wyrabianiem płynu, który niemało zaszkodził ludzkości. Ileż to spisków, zdrad, podstępów, złych książek wyszło na świat za pośrednictwem atramentu, że nie wspomnę o bilecikach miłosnych i sprzysiężeniach na szczęście i honor mężów. Jakież jest twoje zdanie w tym względzie, senor Avadoro? Nie odpowiadasz, przyzwyczyłeś się bowiem do milczenia. Mniejsza o to, jeżeli ty nic nie mówisz, ja za to mówię za dwóch, taki już mam zwyczaj. A więc, senor Avadoro, racz usiąść tu na tym krześle, wytłumaczę ci pokrótce moją myśl. Utrzymuję, że z tej butelki atramentu wyjdzie...

To mówiąc Busqueros popchnął butelkę i atrament wylał się na kolana mego ojca, który w milczeniu pośpieszył obetrzeć się i zmienić ubranie. Wróciwszy zastał Busquera z kapeluszem w ręku, chcącego z nim się pożegnać. Ojciec, uszczęśliwiony, że go się pozbędzie, otworzył mu drzwi. W istocie, Busqueros wyszedł, ale po chwili wrócił:

- Przepraszam cię, senor Avadoro - rzekł - ale zapomnieliśmy obaj, że butelka jest próżna, wszelako nie zadawaj sobie trudu, ja sam potrafię ją napełnić.

Busqueros wziął lejek, wsadził go do butelki i odkręcił kurek. Gdy butelka była pełna, ojciec znowu poszedł otworzyć mu drzwi. Don Roque wyniósł się czym prędzej, gdy wtem nagle mój ojciec spostrzegł, że kurek jest odkręcony i atrament leje się na pokój. Pobiegnął zakręcić kurek, a w tejże

chwili Busqueros jeszcze raz powrócił i udając, że nie spostrzeża szkody, jaką wyrządził, postawił butelkę na stole, rozwalił się na tym samym krześle, dobył cygara z kieszeni i zapalił je u lampy.

- Prawdaż to, señor Avadero - rzekł do mego ojca - że miałeś syna, który utonął w tym kotle? Gdyby biedak umiał pływać, byłby niezawodnie się wyratował. Gdzież to señor nabyłeś ten kocioł? Jestem pewien, że w Toboso. Doskonała glina, takiej samej używają do gotowania saletry. Twarda jak kamień, pozwól, spróbuję.

Mój ojciec chciał przeszkodzić próbie, ale Busqueros uderzył włosiem w kocioł i rozbił go na kawałki. Atrament strumieniem wytrysnął, zalał mego ojra i wszystko, co się znajdowało w pokoju, nie wyłączając nawet Busquera, którego także mocno obrzygał.

Ojciec, który rzadko kiedy otwierał usta, tym razem zaczął krzyczeć na całe gardło. Sąsiadki pokazały się na balkonie.

- Ach, zacne panie - zawołał Busqueros - stał nam się straszny wypadek, wielki kocioł stłukł się i cały pokój zalał atramentem. Señor Tintero nie wie, gdzie się podziać. Okażcie nam miłosierdzie chrześcijańskie i przyjmijcie nas do waszego mieszkania.

Sąsiadki zdawały się zgadzać z radością i ojciec, pomimo swego pomieszenia, doznał przyjemności na myśl, że zbliży się do pięknej nieznajomej, która z daleka wyciągała do niego śnieżne ramiona i uśmiechała się ze szczególniejszym wdziękiem.

Busqueros zarzucił memu ojcu płaszcz na plecy i zaprowadził go do domu pań Cimienta. Zaledwie ojciec tam wszedł, gdy odebrał nieprzyjemne poselstwo. Kupiec bławatów, który miał sklep pod jego mieszkaniem, przybył z doniesieniem, że atrament przeciekł na jego towary i że posłał po urzędników sądowych dla opisanie szkody. Zarazem gospodarz domu uprzedził mego ojca, że dłużej nie ścierpi go u siebie.

Ojciec, wypędzony ze swego mieszkania i skąpany w atramencie, przybrał najsmutniejszy w świecie wyraz twarzy.

- Nie potrzebujesz martwić się, señor Avadero - rzekł mu Busqueros. - Te panie mają w podwórzu obszerne mieszkanie, którego wcale nie potrzebują;

każę natychmiast przenieść do niego twoje rzeczy. Będzie ci tu bardzo wygodnie, znajdziesz pod dostatkiem atramentu czerwonego, niebieskiego, zielonego, daleko lepszego, aniżeli był twój czarny. Wszelako radzę ci, abyś przez jakiś czas nie wychodził z tego domu, gdybyś bowiem poszedł do Morena, każdy kazałby ci opowiadać przygodę o stłuczonym kotle, a wiem, że nie lubisz wiele mówić. Spójrz, oto wszyscy okoliczni próżniacy oglądają już w twoim mieszkaniu powódź atramentu; jutro w całym mieście nie będzie się o niczym innym mówiło.

Ojciec był przerażony, ale jedno ponętne wejrzenie panny Cimienta przywróciło mu odwagę, poszedł więc rozgościć się w nowym swoim mieszkaniu. Niedługo w nim sam zostawał: pani Cimienta przyszła do niego i powiedziała, że naradziwszy się z bratanicą, postanowiła oddać mu cuarto principal, to jest mieszkanie wychodzące na ulicę. Ojciec, który z upodobaniem liczył przechodniów lub dachówki pałacu księcia Alby, z ochotą przystał na zamianę. Proszono go tylko o pozwolenie zostawienia kolorowych atramentów na dawnym miejscu. Ojciec kiwnięciem wyraził swoją zgodę.

Kociołki stały w środkowym pokoju; panna Cimiento przychodziła, wychodziła, brała farby, nie mówiąc ani słowa, tak że w całym domu panowało jak najgłębsze milczenie. Ojciec nigdy nie był równie szczęśliwy. Tak przeszło osiem dni. Dziewiątego Busqueros odwiedził mego ojca i rzekł mu:

- Senor Avadero. przychodzę donieść ci o pomyślnym spełnieniu życzeń, o których marzyłeś, ale których dotąd nie odważyłeś się wypowiedzieć. Wzruszyłeś serce panny Cimionto, otrzymasz jej rękę; ale musisz wprzód podpisać ten papier, który ze sobą przynoszę, jeżeli chcesz, ażeby w niedzielę ogłoszono zapowiedzi.

Ojciec, niestychanie zdziwiony, chciał odpowiedzieć, ale Busqueros nie dał mu na to czasu i ciągnął dalej:

- Senor Avadero, przyszłe twoje małżeństwo dla nikogo nie jest tajemnicą. Cały Madryt o nim tylko mówi. Jeżeli masz zamiar je opóźnić, krewni panny Cimiento zbiorą się u mnie, a wtedy przyjdiesz i sam wyłożysz im powody zwłoki. Jest to postępowanie, którego żadnym sposobem nie możesz uniknąć.

Ojciec osłupiał na myśl, że będzie musiał czynić wyjaśnienia przed całą rodziną, chciał coś powiedzieć, ale don Roque znowu mu przerwał i rzekł:

- Rozumiem cię doskonale, chcesz upewnić się o twoim szczęściu z ust samej panny Cimiento. Oto i ona; zostawiam was samych.

Panna Cimiento weszła cała zmieszana, nie śmiejąc podnieść oczu na mego ojca; wzięła kilka farb i zaczęła je mieszać w milczeniu. Bojaźliwość jej podniosła odwagę w don Filipie, utkwiał w niej oczy i nic mógł ich oderwać. Tym razem zupełnie innym wzrokiem na nią patrzył.

Busqueros zostawił na stole papiery potrzebne do ogłoszenia zapowiedzi. Panna Cimiento zbliżyła się z drżeniem. wzięła je do ręki. przeczytała, po czym zasłoniła oczy dłonią i uroniła kilka łez. Ojciec od śmierci swojej małżonki ani sam nigdy nie płakał, ani też nie dał nikomu powodu do płaczu. Łzy przez niego spowodowane tym bardziej go wzruszyły, że nie mógł dokładnie odgadnąć ich przyczyny. Rozmyślał więc, czy panna Cimiento płacze z powodu treści pisma, czy też dla braku podpisu? Czy chce zaślubić go, czy nie? Jednakowoż ciągle płakała. Zbyt okrutnym byłoby pozwolić jej dalej płakać, chcąc zaś, aby się wytłumaczyła, należało wdać się z nią w rozmowę, ojciec przeto wziął pióro i podpisał. Panna Cimiento pocałowała go w rękę, zabrała papier i wyszła; wróciła o zwykłej godzinie, znów pocałowała ojca w rękę i nie mówiąc ani słowa, zajęła się fabrykacją niebieskiego laku. Ojciec tymczasem palił cygaro i liczył dachówki pałacu księcia Alby. W południe przyszedł fra Geronimo Santez i przyniósł ze sobą kontrakt ślubny, w którym nie zapomniano o mnie. Ojciec podpisał go, panna Cimiento także go podpisała, pocałowała mego ojca w rękę i wróciła w milczeniu do swego laku.

Od chwili potłuczenia wielkiego kałamarza ojciec nie śmiał pokazywać się w teatrze, a tym mniej u księgarza Moreno. Takie odosobnienie zaczęło go już po trosze nudzić. Trzy dni upłynęły od podpisania kontraktu. Busqueros przyszedł namawiać mego ojca, aby wybrał się z nim na przejażdżkę. Ojciec dał się nakłonić i pojechali na drugą stronę Manzanaresu. Niebawem stanęli przed małym kościółkiem franciszkanów. Don Roque wysadził mego ojca, weszli razem do kościółka, gdzie zastali pannę Cimiento, która już ich oczekiwała. Ojciec otworzył usta, chcąc powiedzieć, że myślał, iż

wyjechał tylko dla odetchnięcia świeżym powietrzem, ale nic nie rzekł, wziął pannę Cimiento pod rękę i zaprowadził ją do ołtarza.

Po wyjściu z kościoła nowożeńcy wsiedli do wspaniałego powozu i wrócili do Madrytu, do pięknego domu, gdzie czekał ich świetny bal. Pani Avadero rozpoczęła go z jakimś młodzieńcem nader przyjemnej postaci. Tańczyli fandango nagradzani rześzystymi oklaskami.

Mój ojciec na próżno szukał w swojej małżonce tej cichej i potulnej dziewczyny, która całowała go w rękę z uczuciem tak głębokiej pokory. Zamiast tego z nieopisanym zdziwieniem spostrzegał kobietę żywą, hałaśliwą i płochą. Do nikogo się nie odzywał, a ponieważ nikt go o nic nie pytał, milczenie to było jedyną jego pociechą.

Zastawiono mięsa na zimno i napoje chłodzące; ojciec, zmorzony snem, odważył się zapytać, czy nie byłaby już pora wracać do domu. Odpowiedziano mu, że znajduje się we własnym mieszkaniu. Ojciec pomyślał, że dom ten stanowi część posagu jego żony: kazał sobie pokazać sypialny pokój i legł na spoczynek.

Nazajutrz don Roque rozbudził nowożeńców.

- Senor, kochany mój kuzynie - rzekł do mojego ojca - nazywam cię tak, albowiem żona twoja jest najbliższą krewną, jaką mam na ziemi. Matka jej pochodzi z rodziny Busquerów z Leonu. Dotychczas nie chciałem ci wspominać o twoich interesach, ale odtąd zamierzam zająć się nimi więcej niż mymi własnymi, prawdę bowiem mówiąc, nie mam żadnych własnych interesów. Co się tyczy twego majątku, senor Avadero, wywiedziałem się dokładnie o twoich dochodach i o sposobie, w jaki je od szesnastu lat wydajesz.

Oto są papiery dotyczące twego stanu posiadania. Żeniąc się po raz pierwszy, miałeś cztery tysiące pistolów rocznego dochodu, którego, nawiasem mówiąc, nie umiałeś wydawać. Brałeś dla siebie sześćset pistolów, dwieście zaś przeznaczałeś na wychowanie syna. Zostawało ci więc trzy tysiące dwieście pistolów, które umieszczałeś w banku handlowym, procent zaś od nich oddawałeś teatynowi Geronimo na miłosierne uczynki. Bynajmniej cię w tym nie ganię, ale, na honor, żał mi teraz ubogich, będą bowiem musieli obejść się bez twego wsparcia.

Naprzód, my sami potrafimy wydać twoje cztery tysiące pistolów rocznego dochodu, co zaś do pięćdziesięciu jeden tysięcy dwustu złożonych w banku handlowym - oto sposób, jakim nimi rozporządzimy: za ten dom osiemnaście tysięcy pistolów - jest to wiele, wyznaję, ale sprzedawca jest moim krewnym, moi zaś krewni są twoimi, senor Avadero. Naszyjnik i kolczyki, jakie pani Avadero wczoraj miała na sobie. warte są osiem tysięcy pistolów, przypuśćmy dziesięć, później przyczynę ci wytłumaczę. Zostaje nam jeszcze dwadzieścia trzy tysiące dwieście pistolów. Przeklęty teatyn zachował piętnaście tysięcy dla twego nicponia syna, w razie gdyby się ten kiedy wynalazł. Pięć tysięcy na wyposażenie twego domu nie będzie zbyt wiele, gdyż, szczerze mówiąc, wyprawa twojej żony składa się z sześciu koszul i tyluż par pończoch. Powiesz mi, że w ten sposób zostaje ci jeszcze trzy tysiące dwieście pistolów, z którymi sam nie wiesz, co począć. Ażeby wydobyć cię z kłopotu, pożyczam je u ciebie na procent, o który się już ułożymy. Oto jest, senor Avadero, pełnomocnictwo, racz je podpisać.

Mój ojciec nie mógł ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiły go słowa Busquera, otworzył usta, aby coś odpowiedzieć, ale nie wiedząc, jak zacząć, odwrócił się do ściany i nacisnął szlafmycę na oczy.

- Mniejsza o to - rzekł Busqueros - nie jesteś pierwszym, który chciał uciec przede mną w swoją szlafmycę i udawać, że śpi. Znam się na tych wybiegach i zawsze noszę szlafmycę w kieszeni, położę się na kanapie, prześpiemy się obaj, a gdy obudzimy się, powrócimy znowu do naszego pełnomocnictwa, albo też, jeżeliby ci to bardziej odpowiadało, zbierzemy moich i twoich krewnych i zobaczymy, czy ta rzecz nie da się inaczej ułożyć.

Mój ojciec z głową wepchniętą między poduszki zaczął rozmyślać nad swoim położeniem i środkami, za których pomocą mógłby odzyskać spokój. Wyobraził sobie, że zostawiając żonie wszelką wolność, może zdoła wrócić do dawnego sposobu życia, będzie mógł chodzić do teatru, do księgarza Moreno, a nawet od-dawać się rozkoszy wyrabiania atramentu. Pocieszony nieco tą myślą, otworzył oczy i dał znak, że podpisze pełnomocnictwo.

W istocie, podpisał i chciał wstać z łóżka.

- Wstrzymaj się, senor Avadero - rzekł mu Busqueros - zanim wstaniesz, powinieneś ułożyć sobie, co będziesz przez cały dzień porabiał. Ja ci w tym dopomogę i spodziewam się, że będziesz zadowolony z planu, jaki ci podam, tym bardziej, że dzień ten rozpocznie pasmo równie przyjemnych jak rozmaitych zatrudnień. Naprzód przynoszę ci tu parę haftowanych kamaszy i całkowity ubiór do konnej jazdy; dzielny rumak czeka na ciebie u bramy, przejedziemy się po Prado, dokąd i pani Avadero niebawem przybędzie w karecie. Przekonasz się, senor don Filipie, że małżonka twoja ma w mieście znakomitych przyjaciół, którzy staną się także twoimi. Wprawdzie od niejakiego czasu ostygli nieco dla niej, ale teraz, widząc ją połączoną z człowiekiem tak zacnym jak ty, bez wątpienia zapomną o dawnym swym do niej uprzedzeniu. Powtarzam ci, pierwsi dostojnicy dworu będą cię szukali, nadskakowali, ściskali, co mówię - dusili w namiętnych uściskach przyjaźni!

Na te słowa ojciec mój zemdlał albo też raczej wpadł w stan zupełnego odrętwienia. Busqueros nic spostrzegł tego i dalej tak mówił:

- Niektórzy z tych panów uczynią ci zaszczyt, zapraszając się na twoje obiady. Tak jest, senor Avadero, uczynią ci ten zaszczyt i myślisz, że nie zawiodą się na tobie. Przekonasz się, jak twoja żona umie przyjmować gości. Na honor, nie poznasz skromnej fabrykantki laku! Nic mi na to nie odpowiadasz, senor Avadero, i masz słuszość, że mi nie przerywasz. Tak na przykład lubisz komedię hiszpańską, ale założę się, że nigdy nie byłeś na operze włoskiej, która cały dwór się zachwyca. Dobrze więc, dziś wieczorem pójdiesz na operę i zgadnij, do czyjej loży? Do don Fernanda de Thaz, wielkiego koniuszego, ani mniej, ani więcej. Stamtąd udamy się na bal do tegoż pana, gdzie spotkasz całe dworskie towarzystwo. Wszyscy będą z tobą rozmawiali, przygotuj się na odpowiedzi.

Ojciec mój wrócił tymczasem do zmysłów, wszelako zimny pot wystąpił mu na czoło, ramiona zdrętwiały, szyja się skurczyła, głowa opadła na poduszki, wytrzeszczył okropnie oczy, z piersi wydarły mu się gwałtowne westchnienia, słowem, dostał konwulsji. Busqueros spostrzegł nareszcie, jaki skutek wywarły jego słowa, zawołał o pomoc, sam zaś udał się na Prado, dokąd i moja macocha wkrótce za nim pośpieszyła.

Ojciec wpadł w rodzaj letargu. Przyszedłszy do sił, nie poznawał (nikogo, z wyjątkiem żony i Busquera. Skoro ich spostrzegł, wściekłość malowała się w jego rysach, zresztą był spokojny, milczał i nie chciał wstawać z łóżka. Gdy czasami musiał powstać na chwilę, zdawał się być zziębnięty i dzwonił zębami przez pół godziny. Wkrótce objawy słabości stały się przykrzejsze. Chory mógł

przyjmować pożywienie tylko w bardzo małych porcjach. Spazm konwulsyjny ścisnął mu gardło, język opuchł i zeszywniał, oczy straciły blask, wzrok stał się błędny, a ciemnożółta skóra pokryła się białymi gruzełkami.

Zdobyłem przystęp do jego domu, udając służącego, i zdjęty smutkiem spoglądałem na postęp choroby. Ciotka Dalanosa, którą przypuściłem do tajemnicy, czuwała przy nim nocami, ale chory jej nie poznawał; co zaś do mojej macochy, widoczne było, że obecność jej wielce mu szkodzi, tak że fra Geronimo namówił ją, aby wyjechała na prowincję, dokąd i Busqueros za nią pospieszył.

Wymyśliłem ostatni środek, który mógł wyciągnąć ojca z nieszczęsnej melancholii i który w istocie powiódł się na chwilę. Pewnego dnia ojciec ujrzał przez uchylone drzwi w drugim pokoju kociąt, zupełnie podobny do tego, jakiego dawniej używał do sporządzania atramentu; obok stał stolik z różnymi flaszkami i wagami do odmierzania ingrediencji. Cicha wesołość wybiegła na lica ojca, wstał, zbliżył się do stolika, zażądał fotela, ale ponieważ był bardzo osłabiony, kto inny musiał zająć się fabrykacją, której ojciec bacznie się przyglądał. Nazajutrz mógł już sam do pracy rękę przyłożyć, następnego dnia stan jego znacznie się polepszył, ale w kilka dni potem pojawiła się gorączka, zupełnie obca dotychczasowej chorobie. Objawy wcale nic były przykre, wszelako chory tak upadł na siłach, że stracił całą odporność. Zgasł, nie poznawszy mnie nawet, chociaż wszelkimi sposobami usiłowano przypomnieć mnie jego pamięci.

Tak umarł człowiek, który nie przyniósł ze sobą na świat tego stopnia sił moralnych i fizycznych, jaki mógłby mu zapewnić przynajmniej przeciętną dzielność. Instynkt, że tak powiem, skłonił go do wybrania trybu życia stosownego do jego możliwości. Zginął, gdy go chciano rzucić w życie czynu.

Czas już, abym powrócił do własnych przygód. Skończyły się nareszcie dwa lata mojej pokuty. Trybunał inkwizycji za wstawiennictwem fra Geronimo pozwolił mi wrócić do własnego nazwiska pod warunkiem, że odbędę wyprawę na galerach maltańskich. Z radością przyjąłem ten rozkaz, spodziewając się, że spotkam komandora Toledo już nie jako służący, ale prawie jako równy.

Miałem już dosyć noszenia żebrackich łachmanów. Oporządziłem się zbytkownie, przymierzając stroje u ciotki Dalanosy, która umierała z zachwytu. Wyjechałem o wschodzie słońca, ażeby ukryć przed ciekawymi moją przemianę. Wsiadłem na okręt w Barcelonie i po krótkiej podróży przybyłem na Maltę. Spotkanie z kawalerem sprawiło mi większą przyjemność, aniżeli się spodziewałem. Toledo zapewnił mnie, że nigdy nie dał się omamić memu przebraniu i że zamierzał mi ofiarować swoją przyjaźń, jak tylko powrócę do pierwotnego stanu. Kawaler dowodził główną galerą, wziął mnie więc na swój pokład i krążyliśmy po morzu przez cztery miesiące, nie zaszkodziwszy wiele Berbery językom, którzy na lekkich statkach łatwo przed nami umykali.

Tu kończy się historia moich lat dziecięcych. Opowiedziałem wam ją ze wszelkimi szczegółami, gdyż dotąd są one przytomne mojej pamięci. Zdaje mi się, że widzę przed sobą celę mojego rektora u teatynów w Burgos, a w niej surową postać ojca Sanudo: zdaje mi się, że zajadam kasztany pod przysionkiem kościoła Św. Rocha i wyciągam ręce do szlachetnego Toleda.

Nie opowiem wam z równą dokładnością przygód mojej młodości. Ile razy przenoszę się wyobraźnią w te najświetniejsze czasy mego życia, widzę tylko zgiełk rozmaitych namiętności i pomieszaną wrzawę burz. Głębokie zapomnienie ukrywa przede mną uczucia, jakie napętniały duszę moją i unosiły ją chwilowym szczęściem. Spozrzegam wprawdzie promyki odwzajemnionej miłości,

przedzierające się do mnie przez mgłę minionych dni, ale płaczą się przedmioty tej miłości i widzę tylko pogmatwane obrazy pięknych, rozczulonych kobiet, wesołych dziewcząt, zarzucających mi na szyję śnieżne ramiona, widzę nawet, jak posępne ochmistryn timer, nie mogąc oprzeć się tak wzruszającemu widokowi, łączą kochanków, których by na zawsze powinny rozdzielić. Widzę upragnioną lampę dającą mi znak z okna, tajemne schodki prowadzące mnie do skrytych drzwi. Chwile te - to rozkosz w całej potędze. Czwarta godzina bije, zaczyna dzień, trzeba się rozstać, ach! i rozstanie ma także swoją słodycz.

Mniemam, że od jednego końca świata do drugiego historia miłostek wszędzie jest jednakowa. Opowiadanie moich mogłoby nie być dla was zbyt zajmujące, ale sądzę, że radzi posłuchacie historię pierwszych moich uczuć. Szczegóły ich są zadziwiające, mógłbym nawet poczytać je za cudowne. Dziś jednak jest już za późno, muszę jeszcze pomyśleć o sprawach mojej hor dy, pozwólcie więc, abym dalszy ciąg odłożył na jutro.

Dzień pięćdziesiąty piąty

Zebraliśmy się o zwykłej godzinie i Cygan, mając czas wolny, tak dalej zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Następnego roku kawaler Toledo objął główne dowództwo nad galerami, brat zaś jego przysłał mu na wydatki sześćkroć sto tysięcy plastrów. Zakon miał wówczas sześć galer, do których Toledo dwie własnym kosztem uzbroił. Kawalerów zebrało się sześciuset. Była to najpierwsza młodzież Europy. Naówczas zacyzano we Francji dawać wojsku mundury, co dotąd nie było jeszcze w zwyczaju. Toledo dał nam mundur na wpół francuski, a na wpół hiszpański. Nosiliśmy purpurowy kaftan, czarną zbroję z krzyżem maltańskim na piersiach, krezę i hiszpański kapelusz. Ubiór ten dziwnie pięknie przypadał nam do twarzy. Gdzie tylko przybijaliśmy, kobiety nie odchodziły od okien, ochmistryn timer zaś biegały z miłosnymi bilecikami, które często przez omyłkę oddawały komu innemu. Zamiany takie stawały się powodem (najzabawniejszych wydarzeń. Przybijaliśmy do wszystkich portów Śródziemnego Morza i wszędzie oczekiwały nas nowe uroczystości.

W czasie tych rozrywek zacząłem dwudziesty rok życia: Toledo miał dziesięć lat więcej. Wielki mistrz mianował go wielkim baillim i nadał mu sub-priorat Kastylii. Opuścił Maltę okryty tymi nowymi zaszczytami i namówił mnie, abym towarzyszył mu w podróży po Włoszech. Wsiedliśmy na okręt i szczęśliwie przybyliśmy do Neapolu. Nieprędko byśmy stamtąd wyjechali, gdyby powabny Toledo był tak łatwy do zatrzymania, jak łatwo dawał się chwytać w sieci pięknych kobiet; ale przyjaciel mój w wysokim stopniu posiadał sztukę porzucania kochanek, nie zrywając z nimi dobrych stosunków. Opuścił więc miłostki neapolitańskie dla przyjęcia nowych więzów kolejno we Florencji, Mediolanie, Wenecji, Genui, tak że dopiero następnego roku przybyliśmy do Madrytu.

Gdy tylko znaleźliśmy się w stolicy, Toledo poszedł przedstawić się królowi, następnie zaś, wzięwszy najpiękniejszego konia ze stajni swego brata, księcia Lermy, kazał osiodłać dla mnie drugiego, niemniej pięknego, i pojechaliśmy na Prado zmieszać się z czeredą galopującą przy drzewkach kobiecych powozów.

Przepyszny pojazd zwrócił naszą uwagę. Była to otwarta kareta, w której siedziały dwie kobiety w na pół żałobnym stroju. Toledo poznał dumną księżniczkę Avila i podjechał, aby się z nią przywitać. Druga z kobiet odwróciła się ku niemu; nie znał jej wcale i zdawał się być oczarowany jej pięknnością.

Nieznajomą tą była piękna księżna Medina Sidonia, która porzuciwszy domowe zacisze, wracała do świata. Poznała dawnego swego więźnia i położyła palec na ustach, dając znak, abym nie wydał jej tajemnicy. Następnie obróciła piękne swe oczy na Toleda, którego twarz wyrażała powagę i nieśmiałość, jakiej w nim dotąd nie widziałem przy żadnej kobiecie. Księżna Sidonia oświadczyła, że nie wejdzie już w powtórne związki; księżniczka Avila zaś, że nigdy nie pójdzie za mąż. Wobec tak nieodmiennie obranych postanowień, kawaler maltański właśnie w sam czas przybywał. Obie damy nader mile przyjęły Toleda, który z wdzięcznością podziękował im za łaskę, księżna Sidonia zaś, udając, że mnie po raz pierwszy widzi, potrafiła zwrócić na mnie uwagę swej przyjaciółki. Tym sposobem utworzyliśmy dwie pary, które ciągle spotykały się podczas wszystkich rozrywek stolicy. Toledo - kochany po raz setny w życiu, zakochał się po raz pierwszy. Ja starałem się składać hołdy pełne poszanowania u stóp księżniczki Avila. Zanim jednak przystąpię do historii moich stosunków z tą damą, muszę powiedzieć wam kilka słów o położeniu, w jakim naówczas się znajdowała.

Księżę Avila, ojciec jej, umarł podczas naszego pobytu na Malcie. Śmierć człowieka ambitnego zawsze wielkie na ludziach wywiera wrażenie, jego upadek wzrusza ich i zadziwia. Pamiętano w Madrycie infantkę Beatrycze i tajemny jej związek z księciem. Zaczęto mówić o synu, na którym miały spoczywać dalsze losy tej rodziny. Spodziewano się, że testament nieboszczyka objaśni tę tajemnicę, ale powszechnie oczekiwania spełzły na niczym, testament bowiem niczego nie wyjaśnił. Dwór milczał, tymczasem zaś dumna księżniczka Avila weszła w świat wynioślejsza, bardziej gardząca zalotnikami i stanem małżeńskim niż kiedykolwiek.

Chociaż urodziłem się z dobrej szlacheckiej rodziny, atoli w pojęciach hiszpańskich nie mogła istnieć żadna równość między mną a księżniczką, do której mogłem tylko zbliżyć się jako młody człowiek szukający opieki dla wyrobienia sobie losu. Toledo był niejako rycerzem pięknej Sidonii, ja zaś jakby koniuszym jej przyjaciółki.

Służba taka nie była dla mnie nieprzyjemna; mogłem, nie zdradzając mojej namiętności, uprzedzać wszelkie chęci zachwycającej Manueli, wypełniać jej rozkazy, słowem, wyłącznie poświęcić się na jej usługi. Wiernie pilnując skinień mojej władczyni, strzegłem się, aby żaden wyraz, spojrzenie lub westchnienie nie wydały uczuć mego serca. Obawa, by jej nie ubliżyć i nie narazić się na zakaz widywania, jaki łatwo mógł po tym nastąpić, dodawała mi siły w opanowywaniu mojej namiętności. Księżna Sidonia starała się o ile możliwości podnieść mnie w oczach swej przyjaciółki, ale łaski, jakie otrzymywała dla mnie, ograniczały się jedynie do kilku przyjaznych uśmiechów, wyrażających zimną przychyłność.

Stan taki trwał przez przeszło rok. Widywałem księżniczkę w kościele, w Prado, odbierałem jej rozkazy na cały dzień, ale nigdy noga moja nie postąpiła w jej domu. Pewnego dnia kazała mnie do

siebie przywołać. Zastałem ją nad krosnami, otoczoną orszakiem służebnic. Wskazawszy mi krzesło, spojrzała na mnie wyniośle i rzekła:

- Senor Avadero, ubliżyłabym pamięci mych przodków, których krew płynie w moich żyłach, gdybym nie użyła całej wziętości mojej rodziny do wynagrodzenia usług, jakie codziennie mi wyświadczasz. Wuj mój, ksiązę Sorriente, uczynił mi też samą uwagę i ofiaruje ci miejsce pułkownika w pułku jego nazwiska. Spodziewam się, że nie odmówisz mu zaszczytu przyjęcia tej godności. Zastanów się.

- Pani - odpowiedziałem - połączyłem moją przyszłość z losem kawalera Toledo i nic pragnę innych godności oprócz tych, które on sam dla mnie otrzyma. Co zaś do przysług, jakie mam szczęście codziennie waszej książęcej mości wyświadczają, najśłodszą dla mnie nagrodą będzie pozwolenie, abym ich nie przerywał.

Księżniczka nic mi na to nie odrzekła, tylko lekkim skinieniem głowy dała znak, że mogę odejść.

W tydzień potem znowu przywołano mnie do dumnej księżniczki. Przyjęła mnie podobnie jak za pierwszym razem i rzekła:

- Senor Avadero, nie mogę do nie mogę dopuścić do tego, abyś miał przewyższyć we wspaniałomyślności Avilów, Sorrientów i innych grandów należących do mojej rodziny. Mam zamiar przedstawić ci nowe widoki korzystne dla twego szczęścia. Pewien szlachcic, którego rodzina przywiązana jest do naszego rodu, zyskał znaczny majątek w Meksyku. Ma córkę jedynaczkę i daje jej w posagu milion...

Nie pozwoliłem dokończyć księżniczce tych słów i powstawszy, z niejakim oburzeniem odparłem:

- Chociaż krew Avilów i Sorrientów nie płynie w moich żyłach, serce jednak, jakie we mnie bije, za wysoko jest umieszczone, aby milion mógł do niego dosięgnąć.

Chciałem odejść, ale księżniczka kazała mi pozostać;

oddaliła kobiety do sąsiedniej komnaty, zostawiając drzwi otwarte, i rzekła:

- Senor Avadero, jedną tylko nagrodę mogę ci ofiarować: gorliwość, jaką okazujesz, spełniając moje życzenia, pozwala mi się spodziewać, że tym razem nie odmówisz. Idzie o oddanie mi ważnej przysługi.

- W istocie - odrzekłem - jest to jedyna nagroda, jaka mnie może uszczęśliwić. Żadnej innej nie pragnę i przyjąć nie mogę.

- Przybliź się - mówiła dalej księżniczka - nie chcę, aby nas słyszano z drugiego pokoju. Avadero, wiesz zapewne, że ojciec mój potajemnie był małżonkiem infantki Beatrycze i być może, że wspomniano ci nawet w tajemnicy, jakoby miał z nią syna. Mój ojciec sam tę pogłoskę rozpuścił dla zbicia dworzan z tropu, w rzeczywistości bowiem zostawił córkę, która żyje i wychowuje się w jednym z klasztorów niedaleko Madrytu. Ojciec mój umierając odkrył mi tajemnicę jej urodzenia, o której ona sama nie wie. Zawiadomił mnie także o zamiarach, jakie względem niej powziął, ale śmierć położyła koniec wszystkiemu. Niepodobna byłoby odnowić całej sieci ambitnych intryg, jaką ksiązę utkał dla dopięcia swoich celów. Zupelne uprawnienie mojej siostry jest niemożliwe do przeprowadzenia i

pierwszy krok, jaki byśmy przedsięwzięli, mógłby za sobą pociągnąć zgubę tej nieszczęśliwej. Niedawno byłam u niej. Leonora jest prostą, dobrą i wesołą dziewczyną. Pokochałam ją z całego serca, ale ksieni tyle mi nagadała o jej nadzwyczajnym podobieństwie do mnie, że nie śmiałam więcej powracać. Pomimo to oświadczyłam, że pragnę szczerze się nią opiekować i że jest ona jednym z owoców niezliczonych miłostek, jakie mój ojciec miał w swojej młodości. Przed kilku dniami doniesiono mi, że dwór zaczął wypytywać się o nią w klasztorze; wieść ta napełniła mnie niepokojem, postanowiłam więc sprowadzić ją do Madrytu.

Posiadam na opuszczonej ulicy, która nawet nazywa się Retrada, niepozorny domek. Kazałam nająć dom naprzeciwko i proszę cię, abyś w nim zamieszkał i czuwał nad skarbem, jaki ci powierzam. Oto jest adres twego nowego mieszkania, tu zaś list, który oddasz ksieni urszulanek z Peñon. Weźmiesz ze sobą czterech jezdnych i powóz z dwoma mułami. Ochmistrzyni przyjedzie z moją siostrą i będzie z nią mieszkała. We wszystkim do niej się odwołasz, do domu zaś nie wolno ci wchodzić. Córka mego ojca i infantki nie powinna dawać nawet pozorów mogących skazić jej sławę.

To powiedziawszy, księżniczka lekko skinęła głową. Był to dla mnie znak odejścia. Opuściłam ją i udałam się naprzód do mego nowego mieszkania, które wydało mi się wygodne, a nawet dość zbytkownie urządzone. Zostawiłam w nim dwóch wiernych służących i wróciłam do mieszkania, jakie zajmowałam u Toleda. Co zaś do domu pozostałego mi po ojcu, wypuściłam go za czterysta piastrów.

Widziałem także dom przeznaczony dla Leonory. Zastałam w nim dwie służące i starego sługę rodziny Avilów, który nie nosił liberii. Dom obficie i wytwornie zaopatrzony był we wszystko, czego potrzeba do dostatniego mieszczańskiego gospodarstwa.

Nazajutrz wziąłem ze sobą czterech jezdnych, powóz i pośpieszyłem do klasztoru w Peñon. Wprowadzono mnie do rozmównicy, gdzie ksieni już na mnie czekała. Przeczytała list, uśmiechnęła się i westchnęła.

- Słodki Jezu - rzekła - ileż to grzechów popełnia się na świecie! Jakże szczęśliwa jestem, że go porzuciła! Na przykład, mój kawalerze, panna, po którą przyjeżdżasz, tak jest podobna do księżniczki Avila, ale tak, że dwa obrazy słodkiego Jezusa nie mogą być bardziej do siebie podobne. Kim zaś są rodzice tej młodej dziewczyny, nikt o tym nie wie. Nieboszczyk książe Avila, Panie świeć nad jego duszą...

Ksieni byłaby nigdy nie skończyła swej gadaniny, ale dałem jej do zrozumienia, że muszę jak najprędzej wypełnić polecenie, kiwnęła więc głową, dodała kilka "niestety" i "słodki Jezu", po czym kazała mi pomówić z odźwierną.

Udałem się do furty. Wkrótce wyszły dwie kobiety zupełnie zasłonięte i wsiadły do powozu, nie mówiąc ani słowa. Wskoczyłem na konia i podążyłem za nimi, również nie odzywając się do nikogo. Gdy przybyliśmy do Madrytu, wyprzedziłem nieco powóz i przywitałem obie kobiety przy drzwiach domu. Sam nie wszedłem za nimi, ale udałem się do mego mieszkania, skąd widziałem, jak się moje podróżne rozgaszczają u siebie.

W istocie, znalazłem wielkie podobieństwo między księżniczką a Leonorą, z tą jednak różnicą, że Leonora miała płeć bielszą, włosy zupełnie jasne i nieco tęższą figurę. Tak przynajmniej zdawało mi się z mego okna, ale ponieważ Leonorą ani na chwilę nie usiadła na miejscu, nie mogłem przeto dokładnie jej się przypatrzeć. Szczęśliwa, że wydobyła się z klasztoru, cała oddawała się

niepomiarowanej radości. Obiegała dom od poddasza aż do piwnic, zachwycając się sprzętami gospodarskimi, unosząc nad pięknością rynki lub kociołka. Zadawała tysiące pytań ochmistrzyni, która nie mogła za nią nadążyć i zamknęła nareszcie żaluzje na klucz, tak że odtąd nic już nie widziałem.

Po południu poszedłem do księżniczki i zdałem jej sprawę z moich czynności. Przyjęła mnie ze zwykłą zimną powagą.

- Senor Avadero - rzekła - Leonora przeznaczona jest na uszczęśliwienie kogo swoją ręką. Stosownie do naszych obyczajów nie możesz u niej bywać, chociażbyś sam miał zostać jej mężem, wszelako powiem ochmistrzyni, aby otwierała jedną żaluzję od strony twoich okien, natomiast wymagam, aby twoje żaluzje były zawsze pozamykane. Będziesz mi zdawał sprawę z wszelkich czynności Leonory, atoli może znajomość z tobą byłaby dla niej niebezpieczna, zwłaszcza zaś jeżeli masz do małżeństwa taki wstręt, jaki kilka dni temu w tobie spostrzegłam.

- Pani - odpowiedziałem - mówiłem tylko, że w wyborze nie będę powodował się zyskiem, chociaż, prawdę mówiąc, wyznam, że postanowiłem nigdy się nie żenić.

Wyszedłem od księżniczki i udałem się do Toleda, któremu jednak nie zwierzałem się z moich tajemnic, po czym wróciłem do mego mieszkania przy ulicy Retrada. Żaluzje naprzeciwno, a nawet okna były pootwierane. Stary służyący, Andrado, grał na gitarze, Leonora zaś tańczyła bolero, z żywością i wdziękiem, jakiego nigdy nie byłbym się spodziewał po wychowawicy karmelitanek, tam bowiem przepędziła pierwsze lata życia i dopiero po śmierci księcia oddano ją do urszulanek. Leonora stroiła tysiączne psoty, chcąc koniecznie namówić swoją ochmistrzynię do tańczenia z Andradem. Nie mogłem się nadziwić, że poważna i zimna księżniczka ma tak wesołą siostrę. Poza tym podobieństwo było uderzające. Kochałem się szalenie w księżniczce, żywy zatem obraz jej wdzięków mocno mnie zajmował. Gdy tak oddawałem się rozkoszy spoglądania na Leonorę, ochmistrzyni zamknęła żaluzje i nic już więcej nie ujrzałem.

Nazajutrz poszedłem do księżniczki i opowiedziałem jej wczorajsze moje spostrzeżenia. Nie tailem niewymownej rozkoszy, jakiej doznałem, spoglądając na niewinne zabawy jej siostry, ośmieliłem się nawet przypisać zachwycenie moje podobieństwu, jakie w Leonorze do księżniczki upatrzyłem.

Słowa te wyglądały z daleka na rodzaj oświadczenia miłosnego. Księżniczka zachmurzyła czoło, spojrzała jeszcze zimniej niż zwykle i rzekła:

- Senor Avadero, jakkolwiek istnieje podobieństwo między dwoma siostrami, proszę, abyś nigdy nie łączył ich razem w twoich pochwałach. Tymczasem czekam cię jutro rano. Mam zamiar wyjechać na kilka dni i chciałabym przed podróżą z tobą pomówić.

- Pani - odpowiedziałem - powinienem zginąć pod ciosem twego gniewu: rysy twoje wryte są w mojej duszy jak obraz jakiegoś bóstwa. Wiem, że zbyt wielka przestrzeń nas rozdziela, abym śmiało wznosić ku tobie uczucia. Dziś jednak nagle znajduję obraz boskiej twojej piękności w osobie młodej, wesołej, szczerzej, prostej i otwartej, któż mi więc zabroni cię, pani, w niej ubóstwiać?

Z każdym moim słowem rysy księżniczki przybierały coraz surowszy wyraz. Myślałem, że każe mi odejść i nie pokazywać się więcej na oczy; ale nie, powtórzyła mi tylko, abym nazajutrz powrócił.

Obiadałem z Toledem, wieczorem zaś wróciłem na moje stanowisko. Okna naprzeciwko były pootwierane, tak że dokładnie mogłem widzieć, co się dzieje w całym mieszkaniu. Leonora stała w kuchni i przyprawiała olla podridę. Co chwila pytała się ochmistrzyni o radę, krajała mięso i układała je na półmisku, śmiejąc się ciągle i okazując najżywszą radość. Następnie nakryła stół białym obrusem i postawiła na nim dwa skromne nakrycia. Ubrana była w skromny stanik, z rękawami od koszuli zawiniętymi aż po łokcie.

Zamknięto okna i żaluzje, ale to, co widziałem, sprawiło na mnie silne wrażenie, któryż bowiem młody człowiek może z zimną krwią spoglądać na wnętrze domowego życia. Obrazy tego rodzaju są przyczyną, że ludzie się żenią.

Nazajutrz poszedłem do księżniczki sam już nie wiem, co jej mówiłem. Ona zdawała się znowu obawiać oświadczenia miłosnego.

- Senor Avadoro - rzekła przerywając mi - wyjeżdżam, jak ci to już wczoraj mówiłam, przepędzę jakiś czas w księstwie Avila. Pozwoliłam mojej siostrze używać przechadzki po zachodzie słońca, nie odchodząc wszakże daleko od domu. Jeżeli naówczas zechcesz się do niej zbliżyć, uprzedziłam ochmistrzynię, aby nie broniła ci z nią rozmawiać tak długo, jak tylko sam zechcesz. Staraj się zbadać serce i sposób myślenia tej młodej osoby, zdasz mi z nich potem sprawę.

Po tych słowach lekkie skinienie głowy dało mi znak odejścia. Z boleścią rozstawałem się z księżniczką, kochałem ją bowiem z całego serca. Jej nadzwyczajna duma wcale mnie nie zrażała, sądziłem bowiem, że gdy zechce oddać komu swoje serce, wybierze zapewne kochanka z niższego stanu, jak się to zwykle dzieje w Hiszpanii. Wyobraziłem sobie, że może nawet i mnie kiedyś pokocha, choć postępowanie jej ze mną powinno było rozwiać wszystkie moje nadzieje. Jednym słowem, przez cały dzień rozmyślałem o księżniczce, ale wieczorem zacząłem myśleć o jej siostrze. Poszedłem na ulicę Retrada. Księżyc jasno świecił, ujrzałem Leonorę siedzącą z ochmistrzynią na ławce, tuż przy drzwiach. Ochmistrzyni spostrzegła mnie, zbliżyła się, zaprosiła, abym usiadł przy jej wychowanicy, sama zaś odeszła. Po chwili milczenia Leonora rzekła:

- Senor więc jesteś tym młodym człowiekiem, którego mi pozwolono widywać? Mogę liczyć na twoją przyjaźń?

Odpowiedziałem, że nigdy się na niej nie zawiedzie.

- Dobrze więc - rzekła - w takim razie racz mi powiedzieć, jak się nazywam.

- Leonora - odrzekłem.

- Nie o to się pytam - przerwała - muszę przecież mieć jeszcze nazwisko. Nie jestem już tak prosta, jaką byłam u karmelitanek. Tam myślałam, że świat składa się tylko z zakonnic i spowiedników, ale teraz wiem, że są żony i mężowie, którzy ich nigdy nie opuszczają, i że dzieci noszą nazwisko ojca. Dlatego to pragnę dowiedzieć się mego nazwiska.

Ponieważ karmelitanek w niektórych klasztorach żyją według nader ostrej reguły, nie zdziwiła mnie więc ta nieświadomość u dwudziestoletniej dziewczyny. Odparłem przeto, że niestety nie znam jej nazwiska. Powiedziałem następnie, że widziałem ją tańczącą w jej pokoju i że zapewne nie u karmelitanek uczyła się tańca.

- Nie - odpowiedziała - książę Avila umieścił mnie u karmelitanek, ale po jego śmierci odwieziono mnie do urszulanek, gdzie jedna z wychowanie nauczyła mnie tańca, inna śpiewu; o sposobie zaś, w jaki mężowie żyją ze swymi żonami, wszystkie mi mówiły, nie uważając tego wcale za tajemnicę. Co do mnie, chciałabym koniecznie mieć nazwisko, ale do tego potrzeba, abym poszła za męża.

Następnie Leonora mówiła mi o teatrze, o przechadzkach, walkach byków i oświadczyła niepomiarkowaną ciekawość ujrzenia tych wszystkich rzeczy. Odtąd kilka razy z nią rozmawiałem, ale zawsze wieczorem. W tydzień potem otrzymałem od księżniczki list następującej treści:

Zbliżając cię do Leonory spodziewałam się, że obudzę w niej pewną skłonność ku tobie. Ochmistrzyń naręcza mi, że spełniły się moje nadzieje. Jeżeli po-święcenie, jakie zawsze dla mnie okazywałeś, jest szczere, zaślubisz Leonorę. Pomyśl, że odmowa będzie dla mnie obrazą.

Odpowiedziałem tymi słowy:

Pani!

Poświęcenie moje dla waszej książęcej mości jest jedynym uczuciem, jakie wypełnia moją duszę. Uczucia należne małżonce zapewne nie znalazłyby już w niej miejsca. Leonora zasługuje na męża, który by tylko ją kochał.

Otrzymałem następującą odpowiedź:

Zbyteczne byłoby dłużej ukrywać przed tobą, że jesteś dla mnie niebezpieczny i że twoja odmowa sprawiła mi najżywszą radość, jakiej w życiu doznałam. Postanowiłam się jednak przezwyciężyć. Daję ci do wyboru: albo zaślubić Leonorę, lub też na zawsze być odsuniętym ode mnie, a może nawet wygnanym z Hiszpanii. Wiesz, że rodzina moja ma dość wpływów na dworze. Nie odpisuj mi więc; wydałam ochmistrzyń stosowne polecenia.

Jakkolwiek zakochany byłem w księżniczce, tak niepomiarkowana duma mocno mnie jednak ubodła. Zrazu chciałem wszystko wyznać przed Toledem i uciec się pod jego opiekę, ale kawaler, wciąż zakochany w księżnej Sidonii, nader był przywiązany do jej przyjaciółki i nigdy nie byłby nic przeciw niej przedsięwziął. Postanowiłem więc milczeć i wieczorem siadłem w oknie, aby się przypatrzeć mojej przyszłej małżonce.

Okna były otwarte, widziałem dokładnie całe mieszkanie. Leonora siedziała wśród czterech kobiet, które zajmowały się jej ubiorem. Miała na sobie atłasową białą suknię, haftowaną srebrem, wieniec z kwiatów na głowie i diamentowy naszyjnik. Długi biały welon okrywał ją od stóp aż do głowy.

Zadziwiły mnie te przygotowania; wkrótce zdumienie moje jeszcze się powiększyło. W głębi pokoju postawiono stół, ubrano go jak ołtarz i zapalono na nim świece. Wszedł ksiądz z dwoma panami, którzy zdawali się być świadkami obrzędu, brakowało tylko nowożeńca. Usłyszałem stukanie do mych drzwi i głos ochmistrzyń, która mi rzekła:

- Czekają na ciebie, senor. A może zamierzasz sprzeciwić się rozkazom księżniczki?

Poszedłem za ochmistrzynią. Panna młoda nie zdjęła welonu, położono jej rękę w moją, słowem, pożeniono nas. Świadkowie złożyli mi życzenia szczęścia, równie jak mojej małżonce, której oblicza

nie widnieli, i odeszli. Ochmistrzyni powiodła nas do komnaty, słabo oświetlonej promieniami księżycy, i zamknęła za nami drzwi.

Gdy Cygan domawiał tych słów, jeden z członków bandy zażądał jego obecności. Odszedł i już go tego dnia więcej nie widzieliśmy.

Dzień pięćdziesiąty szósty

Zeszliśmy się o zwykłej godzinie i Cygan, mając czas wolny, tak nam dalej opowiadał:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Opowiedziałem wam o dziwnym moim ślubie. Sposób, w jaki żyłem z moją żoną, był równie szczególny. Po zachodzie słońca otwierała się żaluzja i widziałem całe wnętrze jej mieszkania, wszelako nie wychodziła z domu i nie miałem sposobności, by zbliżyć się do niej. Dopiero o północy ochmistrzyni przychodziła po mnie i odprowadzała nad rankiem.

W tydzień potem księżniczka wróciła do Madrytu. Stałem przed nią mocno zmieszany. Popeniłem świętokradztwo wobec miłości, jaką ku niej pałałem, i gorzko je sobie wyrzucałem. Ona, przeciwnie, odnosiła się do mnie z niewypowiedzianą przychylnością. Ile razy sam na sam ze mną się znajdowała, porzucała dawny zimny sposób obejścia, byłem dla niej bratem i przyjacielem.

Pewnego wieczora, wracając do siebie, właśnie zamykałem drzwi, gdy uczułem, że ktoś ciągnie mnie za poję. Obróciłem się i poznałem Busquera.

- Mam cię nareszcie, senor - rzekł. - Kawaler Toledo żali się, że cię od tak dawna nie widział, że kryjesz się przed nim i że nie może domyślić się, co tak ważnego porabiasz. Prosiłem go o dwadzieścia cztery godziny czasu, po upływie których obiecałem mu o wszystkim wiernie donieść. Powiodły mi się zamiary. Ale ty, paniczku, nie zapominaj o uszanowaniu, jakie mi winienes, ożeniłem się bowiem z twoją macochą.

Ostatnie te słowa przypomniały mi, ile Busqueros przyczynił się do śmierci mego ojca, nie mogłem się więc powstrzymać od okazania mu niechęci i udało mi się od niego uwolnić.

Nazajutrz poszedłem do księżniczki i opowiedziałem jej to nieszczęsne spotkanie. Zdawała się być mocno zmartwiona.

- Busqueros - rzekła - to szpieg, którego uwadze nic ujść nie zdoła. Trzeba usunąć Leonorę sprzed jego ciekawości. Dziś jeszcze wyprawię ją do Avila. Nie miej mi tego za złe, Avadoro, czynię to dla waszego wspólnego szczęścia.

- Pani - odpowiedziałem - warunkiem szczęścia jest spełnienie życzeń, ja zaś nigdy nie życzyłem sobie zostać małżonkiem Leonory. Pomimo to muszę wyznać, że teraz przywiązałem się do niej i

miłość moja z każdym dniem wzrasta, jeżeli w ogóle wolno mi użyć tego wyrażenia, nigdy jej bowiem w dzień nie widuję.

Tego samego wieczora poszedłem na ulicę Retrada, ale nikogo nie zastałem. Drzwi i okna były pozamykane.

W kilka dni potem Toledo kazał mnie przywołać do swego gabinetu i rzekł:

- Mówiłem o tobie królowi. Najjaśniejszy Pan wysłał cię z depezbami do Neapolu. Peterborough, ten zacny Anglik, dla nader ważnych spraw pragnie widzieć się ze mną w Neapolu. JKMość nie życzy sobie, abym odbył tę podróż, ty więc musisz mnie zastąpić. Wszelako - dodał - zdaje mi się, że ten zamiar nie bardzo przypada ci do smaku.

- Nieskończenie wdzięczny jestem za łaskę JKMości - odpowiedziałem - ale mam tu w Madrycie opiekunkę, bez której przyzwolenia nic nie odważę się przedsięwziąć.

Toledo uśmiechnął się i rzekł:

- Mówiłem już o tym z księżniczką; dziś jeszcze udaj się do niej.

Poszedłem do księżniczki, która mi rzekła:

- Kochany Avadoro, znasz obecne położenie monarchii hiszpańskiej. Król bliski jest grobu i na nim gaśnie linia austriacka. W tak krytycznych okolicznościach każdy prawy Hiszpan powinien zapomnieć o sobie i korzystać z wszelkich sposobności służenia swemu krajowi. Twoja żona jest w bezpiecznym miejscu. Leonora nie będzie do ciebie pisała, nic umie bowiem pisać; karmelitanki jej tego nie nauczyły. Ja zastąpię ją i jeżeli mam wierzyć ochmistryni, wkrótce doniosę ci wieści, które cię jeszcze więcej do niej przywiążą.

To mówiąc księżniczka spuściła oczy, spłonęła rumieńcem, po czym dała mi znak do odejścia.

Poszedłem do ministra po rozkazy, które tyczyły się polityki zewnętrznej i rozciągały także na administrację królestwa neapolitańskiego, chciano je bowiem wszelkimi sposobami przywiązać do Hiszpanii. Wyjechałem nazajutrz i odbyłem podróż z możliwie największym pośpiechem.

Zacząłem wypełniać dane mi polecenia z gorliwością zwykłą przy każdej pierwszej pracy, w chwilach jednak wolnych od zatrudnień wspomnienia Madrytu całkiem wypełniały mi umysł. Bądź co bądź księżniczka mnie kochała, uczyniła mi wyznanie; spokrewniwszy się jednak ze mną, wyleczyła się z namiętności, zachowała atoli przywiązanie, którego tysiącnie odbierałem dowody. Leonora, tajemnicza bogini moich nocy, rękami hymenu podała mi czarę rozkoszy.

Wspomnienie jej panowało nad moimi zmysłami równie jak nad sercem. Żal mój za nią zmieniał się prawie w rozpacz. Oprócz tych dwu kobiet cała reszta płci pięknej była mi obojętna.

Listy od księżniczki dochodziły mnie razem z papierami od ministra. Były nie podpisane i charakter pisma był zmieniony. Dowiedziałem się, że Leonora zaszła w ciążę, ale że jest chora i znacznie opadła na siłach. Niebawem doszły mnie wieści, że zostałem ojcem i że Leonora ogromnie cierpi. Nowiny, które odbierałem o jej zdrowiu, zdawały się przygotowywać mnie do strasznego ciosu, jaki miał wkrótce we mnie ugodzić.

Nareszcie ujrzałem przybywającego Toledo, w chwili gdy najmniej się tego spodziewałem. Rzucił się w moje objęcia...

- Przybywam - rzekł - za sprawami królewskimi, ale naprawdę to przysyłają mnie obie księżniczki.

Przy tych słowach podał mi list, który drżąc otworzyłem. Przewidywałem jego treść. Księżniczka donosiła mi o śmierci Leonory i ofiarowała pociechy najczulszej przyjaźni.

Toledo, który od dawna miał na mnie wielki wpływ, użył go dla przywrócenia mi spokoju. Wprawdzie nie znałem Leonory, ale była ona moją żoną i myśl o niej łączyła się z rozkosznymi wspomnieniami krótkiego naszego związku. Choć ból ustąpił, byłem ciągle smutny i znękanym.

Toledo wziął na siebie wszystkie sprawy, a gdy zostały załatwione, wróciliśmy do Madrytu. W pobliżu bram stolicy kawaler wysiadł z powozu i przemykając się krętymi ścieżkami, zaprowadził mnie na cmentarz karmelitanek. Tam pokazał mi urnę z czarnego marmuru. Na podstawie błyszczało nazwisko Leonory Avadoro. Obląłem grobowiec rzewnymi łzami i kilka razy wracałem do niego, zanim poszedłem przywitać się z księżniczką. Nie miała mi tego za złe, przeciwnie, za pierwszym naszym spotkaniem okazała mi sympatię graniczącą z czułością. Zaprowadziła mnie do ostatniego pokoju swego mieszkania i pokazała dziecko w kolebce. Wzruszenie moje doszło do najwyższego stopnia. Padłem na kolana, księżniczka podała mi rękę i kazała powstać, po czym dała mi znak do odejścia.

Nazajutrz byłem u ministra, który przedstawił mnie JKMości. Toledo, wysyłając mnie do Neapolu, szukał pozoru, by wyjednać dla mnie jakąś łaskę. Zostałem zaszczycony godnością kawalera orderu Calatravy. Jakkolwiek odznaczenie to nie stawiało mnie na równi z pierwszymi panami, wszelako znacznie już do nich zbliżało. Odtąd księżniczka, księżna Sidonia i Toledo starali się we wszystkim dowieść, że uważają mnie za równego. Wreszcie, im byłem winien cały mój los, z przyjemnością więc spoglądali na moje wzniesienie się.

Wkrótce potem księżniczka Avila poleciła mi przeprowadzić pewną sprawę, którą miała w Radzie Kastylji. Dopełniłem jej poleceń z gorliwością i przezornością, która powiększyła szacunek mojej opiekunki. Z każdym dniem księżniczka stawała się dla mnie bardziej przychylna. I tu zaczyna się najprzedziwniejsza część całej historii.

Po powrocie z Włoch wprowadziłem się do mego mieszkania u Toledo, pomimo to jednak zachowałem dawne przy ulicy Retrada. Zostawiłem tam na straży służącego imieniem Ambrosio. Dom naprzeciwko, ten sam, w którym brałem ślub, należał do księżniczki, był zamknięty i przez nikogo nie zamieszkanym. Pewnego poranku przyszedł Ambrosio, prosząc mnie, abym kogo innego przysłał na jego miejsce, zwłaszcza kogoś odważnego, gdyż po północy dziwne rzeczy dzieją się w domu naprzeciwko. Chciałem, aby mi wytłumaczył naturę tych zjawisk, ale Ambrosio zapewnił, że ze strachu na nic nie patrzył, że zresztą za żadne skarby w świecie nie podjąłby się przepędzenia nocy w moim mieszkaniu, ani sam, ani w towarzystwie.

Słowa te obudziły moją ciekawość. Postanowiłem najbliższej nocy naocznie o wszystkim się przekonać.

Wewnątrz domu było jeszcze trochę sprzętów; przeniosłem się tam po wieczery. Kazałem jednemu ze służących spać w przedpokoju, sam zaś zająłem pokój, którego okna wychodziły na dawny dom Leonory. Wypiłem kilka filiżanek czarnej kawy, ażeby nie zasnąć, i doczekałem się północy. Była to

godzina, o której, według słów Ambrosia, duchy się pojawiały. By ich nie spłoszyć, zgasłem świecę. Wkrótce w domu naprzeciwko ujrzałem światło, które przechodziło z piętra na piętro i z pokoju do pokoju.

Żaluzje nie pozwalały mi dostrzec, skąd to światło pochodzi, nazajutrz jednak posłałem do księżniczki po klucze od jej domu i poszedłem go obejrzeć. Nie znalazłem żadnych sprzętów, żadnego śladu czyjegokolwiek pobytu. Odczepiłem po jednej żaluzji na każdym piętrze i wyszedłem.

Wieczorem udałem się na moje stanowisko, a o północy znowu to samo światło zabłyśło w domu naprzeciwko. Tym razem jednak spostrzegłem, skąd pochodziło. Kobieta w bieli, z lampą w ręku, obeszła wolnym krokiem wszystkie pokoje na pierwszym piętrze, przeszła na drugie i znikła. Lampa zbyt blado ją oświecała, abym mógł rozeznaczyć jej rysy, po jasnych jednak włosach poznałem Leonorę.

Nazajutrz pośpieszyłem do księżniczki, ale nie zastałem jej w domu. Udałem się do pokoju mego dziecięcia; znalazłem tam kilka kobiet, niestychanie zmieszanych i niespokojnych. Z początku nie chciano mi nic powiedzieć, nareszcie mamka wyznała, że w nocy weszła jakaś kobieta w bieli, z lampą w ręku, że długo spoglądała na dziecko, pobłogosławiła je i odeszła. Wtem księżniczka wróciła do domu, kazała mnie przywołać i rzekła:

- Mam pewne przyczyny, dla których nie chcę, aby twoje dziecko dłużej tu pozostawało. Wydałam rozkazy, aby mu przygotowano mieszkanie w domu przy ulicy Retrada. Tam odtąd będzie mieszkało z mamką i kobietą, która uchodzi za jego matkę. Chciałam ci w tym samym domu ofiarować mieszkanie, ale obawiam się, że mogłyby stąd urósć niepotrzebne domysły.

Odpowiedziałem, że zachowam mieszkanie naprzeciwko i czasami będę tam nocował.

Zastosowano się do woli księżniczki i przeniesiono dziecko. Postarałem się, aby je umieszczono w pokoju wychodzącym na ulicę i aby nie zamykano żaluzji. Gdy północ wybiła, poszedłem do okna. Spostrzegłem w pokoju naprzeciwko dziecko śpiące obok mamki. Kobieta w bieli pokazała się z lampą w ręku, zbliżyła do kolebki, długo spoglądała na dziecko, pobłogosławiła je, po czym stanęła w oknie i zaczęła patrzeć na mnie. Po chwili wyszła i ujrzałem światło na drugim piętrze, na koniec wydostała się na dach, lekko po nim przebiegła, przeskoczyła na sąsiedni i znikła mi z oczu.

Wyznaję, że mocno byłem tym wszystkim zmieszany. Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwałem północy. Jak tylko wybiła, usiadłem w oknie. Wkrótce ujrzałem już nie kobietę w bieli, ale jakiegoś karła z siną twarzą, jedną nogą drewnianą i lampą w ręku. Zbliżył się do dziecka, bacznie mu się przyjrzał, a następnie podwinąwszy nogi usiadł w oknie i zaczął z uwagą mi się przypatrywać. Niebawem z okna zeskoczył albo raczej ześliznął się na ulicę i jął stukać do moich drzwi. Stojąc w oknie, zapytałem go, kim jest i czego żąda. Zamiast odpowiedzi rzekł:

- Don Juanie Avadoro, weź szpadę i kapelusz i pójdz za mną.

Uczyniłem, co chciał, zszedłem na ulicę i ujrzałem karła o dwadzieścia kroków przede mną, kulejącego na swojej drewnianej nodze i pokazującego mi drogę latarnią. Uszedłszy około stu kroków, zboczył na lewo i wprowadził mnie w opuszczoną część miasta, która się ciągnęła między ulicą Retrada a rzeką Manzanares. Przeszliśmy pod sklepieniem i dostaliśmy się na patio zasadzone drzewami. Patio jest to podwórze, na które nie zajeżdżają powozy. W głębi podwórza znajdowała się

w mała fasada gotycka, będąca jak gdyby bramą od jakiejś kaplicy. Zza kolumny pokazała się kobieta w bieli, karzeł oświecił latarnią moją twarz.

- To on! - zawołało zjawisko - on sam! mój mąż! mój najdroższy małżonek!

- Pani - odrzekłem - byłem przekonany, że umarłaś.

W istocie, była to Leonora, poznałem ją po dźwięku głosu, a bardziej jeszcze po namiętych uściskach, których gwałtowność sprawiła, że nie zastanawiałem się nawet nad niezwykłością tego zdarzenia. Nie miałem na to zresztą czasu; Leonora wnet wyśliznęła się z moich objęć i zniknęła w ciemności. Nie wiedziałem, co z sobą począć; na szczęście karzeł ofiarował mi pomoc swojej latarni, udałem się za nim przez zwaliska i opuszczone ulice, gdy wtem nagle latarnia zagasała. Karzeł, którego przywoływałem, nie odpowiadał na moje krzyki; noc była zupełnie ciemna, postanowiłem położyć się na ziemi i doczekać dnia.

Obudziłem się, gdy słońce już było wysoko. Leżałem pod urną z czarnego marmuru, na którym wyczytałem napis złożony złotymi literami: "Leonora Avadoro". Nie było wątpliwości, przepędziłem noc przy grobowcu mojej żony. Przypomniłem sobie zaszłe wypadki i wyznam, że wspomnienie ich mocno mnie zmieszało. Od dawna nie zbliżałem się do trybunały pokuty. Poszedłem do teatynów i zażądałem dziada mego, fra Geronimo. Powiedziano mi, że leży chory, poprosiłem przeto o innego spowiednika. Zapytałem go, czy złe duchy mogą przybierać na się kształty ludzkie.

- Bez wątpienia - odpowiedział. - Św. Tomasz w swej Summie wspomina o tego rodzaju widmach. Idzie tu o grzech wyjątkowy, z którego nie każdy spowiednik może uwolnić. Gdy człowiek długo nie przystępuje do sakramentów, szatany nabierają nad nim nadzwyczajnego wpływu; ukazują mu się pod postacią kobiet i wodzą go na pokuszenie. Jeżeli myślisz, mój synu, że spotkałeś takie widma, udaj się do wielkiego spowiednika. Nie trać czasu, nikt nie jest pewny godziny śmierci.

Odpowiedziałem, że spotkało mnie dziwne zdarzenie, które może było tylko złudzeniem zmysłów, po czym prosiłem go, aby mi pozwolił przerwać spowiedź.

Poszedłem do Toleda, który oświadczył, że zaprowadzi mnie na obiad do księżniczki Avila, gdzie będzie także księżna Sidonia. Zauważył, że jestem roztargniony, i zapytał o przyczynę. W istocie, byłem zamyślony i odpowiadałem bez związku na pytania. Obiad u księżniczki nie rozproszył mego smutku, jednakże wesołość Toleda i obu dam była tak żywa, że nareszcie rozchmurzyłem czoło.

Podczas obiadu dostrzegłem znaki porozumiewawcze i uśmiechy, które zdawały się mnie dotyczyć. Wstaliśmy od stołu, ale zamiast udać się do bawialnej komnaty, przeszliśmy do dalszych pokojów. Wówczas Toledo zamknął drzwi na klucz i rzekł:

- Szlachetny kawalerze Calatravy, klęknij przed księżniczką, która już od przeszło roku jest twoją żoną. Spodziewam się, iż nie powiesz, żeś się tego domyślał. Ludzie, którym byś chciał opowiedzieć twoje przygody, mogliby odgadnąć tajemnicę, najwięcej nam jednak zależało na tym, aby podejrzenia dusić w zarodku, i dotąd usiłowania nasze pomyślny skutek uwieńczyła. Prawda, tajemnice dumnego księcia Avila wybornie nam posłużyły. W istocie, miał on syna, którego chciał przyznać, ale syn ów umarł, księżę zaś naówczas zażądał od córki, ażeby nigdy nie wchodziła w małżeńskie związki i tym sposobem zostawiła cały majątek Sorrientom, którzy są młodszą linią Avilów.

Wyniosła nasza księżniczka za nic w świecie nie byłaby przyjęta niczyjej władzy, ale od chwili naszego powrotu z Malty wyniosłość ta mocno się zniżyła i groziło jej zupełne rozbicie. Na szczęście księżniczka Avila ma przyjaciółkę, która jest także twoją, kochany Avadero. Zwierzyła się jej ze swymi uczuciami i wtedy złożyliśmy we troje walną radę. Wynaleźliśmy, a raczej wymyśliliśmy Leonorę, córkę nieboszczyka księcia i infantki, która była po prostu księżniczką, przybraną w jasną perukę, wybieloną i rozrosłą za pomocą sukni. Ty jednak ani mogłeś poznać dumnej twojej władczyni w skromnej wychowawicy karmelitanek. Byłem obecny przy kilku próbach tej roli i wyznam, że również dałbym się omamić.

Księżniczka widząc, że odrzucasz najświetniejsze związki jedynie dla chęci służenia jej, postanowiła cię zaślubić. Jesteście pożenieni przed Bogiem i Kościołem, ale nie przed ludźmi, a przynajmniej na próżno usiłowałibyście udowodnić wasze małżeństwo. Tym sposobem księżniczka dotrzymała przyjętych zobowiązań.

Połączyliście się świętym związkiem, skutkiem czego księżniczka musiała przepędzić kilka miesięcy na wsi, dla ukrycia się przed wzrokiem ogółu. Busqueros przybył do Madrytu, kazałem mu, aby cię śledził, i pod pozorem uniknięcia przenikliwości szpiega wyprawiliśmy Leonorę na wieś. Następnie wypadło nam wysłać cię do Neapolu, nie wiedzieliśmy bowiem, jak cię uspokoić względem twojej żony, księżniczka zaś wtedy dopiero chciała dać ci się poznać, gdy żywy dowód waszej miłości ustali twoje do niej prawa.

Teraz, kochany Avadero, błagam cię o przebaczenie. Utopiłem sztylet w twym sercu, donosząc ci o śmierci osoby, która nigdy nie istniała. Wszelako szczerzy twój żal nie był stracony. Księżniczka ze wzruszeniem przekonała się, że kochałeś ją pod dwiema tak różnymi postaciami.

Od tygodnia pragnie koniecznie wszystko ci wyjawić, ale tu znowu cała wina spada na mnie. Uparłem się, aby z tamtego świata przywołać Leonorę. Księżniczka zgodziła się przybrać na siebie rolę kobiety w bieli, ale nie ona to z taką lekkością biegła po dachu. Leonorą tą był mały kominiarczyk, rodem z Sabaudii. Ten sam hultaj następnej nocy przyszedł udawać kulawego diabła. Usiadł na oknie i spuścił się na ulicę za pomocą sznura przywiązanego do zasuwki od okna.

Nie wiem, co się działo na podwórzu u karmelitanek, ale dzisiejszego poranku znowu kazałem cię śledzić i dowiedziałem się, że długo klęczałeś przy konfesjonale. Nie lubię mieć do czynienia z Kościołem i lękałem się, aby żart nie był za daleko posunięty. Nie sprzeciwiałem się już zatem życzeniom księżniczki i postanowiliśmy, że dziś dowiesz się o wszystkim.

Tymi mniej więcej słowy przemówił do mnie Toledo, ale ja niewiele go słuchałem. Klęczałem u nóg Manueli, rozkoszne pomieszenie malowało się w jej rysach, wyraźnie czytałem w nich wyznanie porażki. Zwycięstwo moje miało tylko dwóch świadków, ale wcale mnie przez to mniej nie uszczęśliwiało. Doznałem najwyższego powodzenia w miłości, w przyjaźni,

a nawet w miłości własnej. Cóż za chwila dla młodego człowieka!

Gdy Cygan domawiał tych słów, dano mu znać, że czas zająć się sprawami hordy. Zwróciłem się do Rebeki i uczyniłem jej uwagę, że słyszeliśmy opowiadanie nadzwyczajnych przygód, które jednak wytłumaczono nam zwykłym sposobem.

- Masz słuszność - odpowiedziała - być może, że i twoje tak samo dadzą się wytłumaczyć.

Dzień pięćdziesiąty siódmy

Oczekiwaliśmy jakichś ważnych wypadków. Cygan wysyłał posłańców na różne strony, z niecierpliwością wyglądał ich powrotu, na pytania zaś. kiedy ruszymy z miejsca, trząsał głową i odpowiadał. że nie może dokładnie naznaczyć terminu. Pobyt w górach zaczął mnie już nudzić, rad byłbym czym prędzej przybyć do pułku, ale pomimo najszczerzej chęci musiałem jeszcze przez jakiś czas się zatrzymać. Dni upływały nam dość jednostajnie, natomiast wieczory uprzyjemniało towarzystwo naczelnika, w którym coraz nowe odkrywałem zalety. Ciekawy dalszych jego przygód, tym razem sam go już prosiłem, aby zaspokoił naszą ciekawość, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Przypominacie sobie obiad mój z księżniczką, księżną Sidonia i przyjacielem moim Toledem, i to, że naówczas dopiero dowiedziałem się, iż dumna Manuela jest moją żoną. Powozy na nas czekały, udaliśmy się do zamku Sorriente. Tam zastałem nową niespodziankę. Ta sama ochmistrzyni, która służyła fałszywej Leonorze przy ulicy Retrada, przedstawiła mi małą Manuełę. Ochmistrzyni nazywała się dona Rosalba i dziecko uważało ją za matkę.

Sorriente leży nad brzegami Tagu, w jednej z najczarowniejszych okolic na świecie. Wszelako pomyślna natura przez chwilę tylko zajmowała moją uwagę. Uczucia ojcowskie, miłość, przyjaźń, słodkie zaufanie, ogólna poufała uprzejmość - kolejno uprzyjemniały dni. To, co nazywamy szczęściem w tym krótkim życiu, zapełniało wszystkie moje chwile. Stan ten trwał, o ile sobie przypominam, przez sześć tygodni. Trzeba było wracać do Madrytu. Przybyliśmy późnym wieczorem do stolicy. Towarzyszyłem księżniczce do jej pałacu i wprowadziłem ją na schody. Była mocno wzruszona.

- Don Juanie - rzekła do mnie - w Sorriente byłeś małżonkiem Manuely, w Madrycie jesteś jeszcze wdowcem po Leonorze.

Gdy domawiała tych słów, spostrzegłem cię przesuwający się za poręczami od schodów. Schwyciłem cię za kołnierz i przyprowadziłem do latarni. Poznałem don Busquera. Już miałem mu wypłacić nagrodę za jego szpiegostwo, gdy jedno spojrzenie księżniczki wstrzymało moje ramię. Spojrzenie to nie uszło uwagi Busquera. Przybrał zwykłą zuchwałą minę i rzekł:

- Pani, nie mogłem oprzeć się pokusie podziwiania przez chwilę wspaniałości twojej osoby i zapewne nikt nie byłby mnie odkrył w moim schronieniu, gdyby blask twojej piękności, jak samo słońce, nie był oświecił tych schodów.

Powiedziawszy tę grzeczność, Busqueros skłonił się głęboko i odszedł.

- Lękam się - rzekła księżniczka - czy słowa moje nie doszły ciekawych uszu tego niegodziwca. Idź, don Juanie, pomów z nim i staraj się wybić mu z głowy niepotrzebne domysły.

Wypadek ten zdawał się mocno niepokoić księżniczkę. Opuściłem ją i odnalazłem Busquera na ulicy.

- Mości pasierbie - rzekł do mnie - o mało co nie wygrzmociłeś mnie kijem i bez wątpienia byłbyś bardzo źle się znalazł. Naprzód, byłbyś uchybił winnego mi uszanowania, jako mężowi tej, która była twoją macochą; następnie, powinieneś wiedzieć, że nie jestem już podrzędnym słuźalcem, jakim mnie niegdyś znałeś. Od tego czasu wybiłem się i ministerium, a nawet dwór poznał się na moich zdolnościach. Księżę Arcos powrócił z Londynu i jest obecnie w łasce. Pani Uscariz, dawna jego kochanka, owdowiała i żyje w ścisłej przyjaźni z moją żoną. Zadzieramy więc nosa i nie boimy się nikogo.

Ale ty, kochany pasierbie, powiedz no, co ci takiego mówiła księżniczka? Zdawaliście się niesłychanie obawiać, abym was nie podsłuchał. Uprzedzam cię, że nie bardzo lubimy ani Avilów, ani Sidoniów, ani nawet twego wychuchanego Toleda. Pani Uscariz nie może mu przebaczyć, że ją porzucił. Nie pojmuję, po co jeździliście wszyscy do Sorriente; wszelako podczas waszej nieobecności gorliwie zajmowano się wami. Wy o tym nic nie wiecie, wy jesteście niewinni jak nowo narodzone dzieci. Margrabia Medina, rzeczywiście wiodący swój ród z Sidoniów, zada tytułu księcia i ręki młodej księżniczki dla swego syna. Mała nie skończyła jeszcze jedenastu lat, ale to nic nie szkodzi. Margrabia od dawna żyje w przyjaźni z księciem Arcos, który jest ulubieńcom kardynała Portocarrero, ten zaś jest wszechmocny u dworu, jakoś więc da się to ułożyć; możesz zapewnić o tym księżnę.

Ale zaczekaj no jeszcze, mości pasierbie, nie myśl, żebym nie poznawał w tobie małego żebraka spod przysionka św. Rocha. Byłeś jednak wówczas w niezgodzie ze świętą inkwizycją, a ja nie jestem ciekawy spraw mających styczność z tym trybunałem. Żegnam cię teraz, do widzenia!

Busqueros odszedł, ja zaś poznałem, że nadal jest tak samo wścibski i natrętny, z tą tylko różnicą, że w wyższych sferach spożytkowuje teraz swoje zdolności.

Nazajutrz obiadowałem z księżniczką, księżną Sidonia i Toledem. Opowiedziałem im wczorajszą moją rozmowę. Sprawiała ona większe wrażenie na słuchaczach, aniżeli się spodziewałem. Toledo, który nie był już tak piękny i nie miał już dawnej ochoty do zalecanek, byłby chętnie próbował zadośćuczynić swojej chęci zaszczytów, ale na nieszczęście minister, na którego liczył, hrabia Oropesa, opuścił służbę. Rozmyślał przeto nad wyborem innej drogi. Powrót księcia Arcos ani też łaska, w jakiej tenże był u kardynała, wcale go nie cieszyły.

Księżna Sidonia z przerażeniem zdawała się oczekiwać chwili, w której zostanie dożywotniczką. Księżniczka Avila zaś, ile razy wspomniano o dworze lub łasce, przybierała jeszcze dumniejszy niż zwykle wyraz twarzy. W takich chwilach wyraźnie spostrzegałem, że nierówność stanów nawet śród poufałej przyjaźni daje się odczuwać.

W kilka dni potem, gdy obiadowaliśmy u księżnej Sidonii, koniuszy księcia Velasqueza zapowiedział nam odwiedziny swego pana. Księżę był wówczas w kwiecie wieku. Twarz miał piękną, strój zaś francuski, którego nigdy nie chciał porzucić, korzystnie go od innych odznaczał. Wymowa także odróżniała go od Hiszpanów, którzy często prawie nic nie mówią i zapewne dlatego uciekają się do gitary i cygar. Velasquez, przeciwnie, swobodnie z jednego przedmiotu przechodził do drugiego i zawsze znajdował sposobność, aby powiedzieć naszym paniom jaką grzeczność.

Bez wątpienia Toledo miał więcej rozumu, ale rozum czasami się tylko objawia, wielomówność zaś przeciwnie - jest niewyczerpana. Rozmowa z Velasquezem dość przypadła nam do smaku, on sam

nawet spostrzegł, że słuchacze nie są dlań obojętni. Wtedy, zwracając się do księżnej Sidonii, z głośnym wybuchem śmiechu rzekł:

- W istocie, muszę wyznać, że byłoby to zachwycające!

- Cóż takiego? - zapytała księżna.

- Tak jest, pani - odrzekł Velasquez - piękność, młodość masz wspólnie z wielu innymi kobietami; ale bez wątpienia byłabyś najmłodsza i najpiękniejszą ze wszystkich teściowych.

Księżna dotąd nigdy się nad tym nie zastanawiała. Miała dwadzieścia osiem lat. Bardzo młode kobiety były od niej znacznie młodsze, to zaś byłby nowy sposób, ażeby się odmłodzić.

- Wierzaj mi, pani - dodał Velasquez - mówię najszczerzą prawdę. Król polecił mi prosić cię o rękę twojej córki dla młodego margrabiego Mediny. Jego królewska Mość usilnie pragnie, aby znakomity wasz ród nie wygasł. Wszyscy grandowie umieją cenić tę pieczołowitość. Co się zaś ciebie, pani, tyczy, cóż byłoby równie czarowne, jak widzieć cię prowadzącą córkę do ołtarza. Ogólne zainteresowanie będzie musiało rozdzielić się na dwoje. Na pani miejscu wystąpiłbym w ubiorze zupełnie podobnym do stroju córki:

w białej atlasowej sukni haftowanej srebrem. Radzę sprowadzić materię z Paryża, wskażę pani do tego najwytworniejsze magazyny. Obiecałem już ustroić pana młodego, i to z francuska, w jasną perukę. Żegnam panie: Portocarrero chce mnie używać do poselstw, pragnę, aby zawsze nastęrczał mi równie przyjemne.

To powiedziawszy Velasquez spojrział kolejno na obie damy, dając każdej do zrozumienia, że większe na nim sprawiła wrażenie niż sąsiadka, ukłonił się kilka razy, wykręcił na pięcie i odszedł. Nazywano to wówczas we Francji światowym łożeniem.

Po odejściu księcia Velasqueza nastąpiło dłubie milczenie. Kobiety zadumały się nad sukniami haftowanymi srebrem, Toledo zaś zwrócił uwagę na bieżące sprawy kraju i zawołał:

- Jak to, czyliż nie myśli on nikogo innego używać prócz takich Arcosów i Velasquezów, to jest ludzi najbardziej lekkomyślnych w całej Hiszpanii? Jeżeli stronnictwo francuskie tak te rzeczy rozumie, trzeba będzie zwrócić się do Austrii.

W istocie, Toledo natychmiast poszedł do hrabiego Harracha, który był naówczas ambasadorem cesarskim w Madrycie. Damy udały się na Prado, ja zaś

pojechałem za nimi konno.

Wkrótce spotkaliśmy przepyszny powóz, w którym rozpierały się panie Uscariz i Busqueros. Księżę Arcos jechał obok nich konno. Busqueros, który także pośpieszał za księciem, tego samego dnia otrzymał był order Calatravy i nosił go na piersiach. Osłupiałem na ten widok. Miałem order Calatravy i sądziłem, że dano mi go w nagrodę za moje zasługi, a nade wszystko za prawość w postępowaniu, która zjednała mi znakomitych i możliwych przyjaciół. Teraz, widząc ten sam order na piersiach człowieka, którym najbardziej pogardzałem, wyznam wam, że byłem zupełnie zmieszany. Stałem jak przykuty na miejscu, gdzie spotkałem powóz pani Uscariz. Okrążywszy Prado i widząc mnie nadal

na tym samym miejscu, gdzie mnie był wprzódki zostawił, Busqueros zbliżył się do mnie poufale i rzekł:

- Przekonywałeś się, mój przyjacielu, że różne drogi prowadzą do tego samego celu. I ja także, równie dobrze jak ty, jestem kawalerem Calatravy.

Byłem do najwyższego stopnia oburzony.

- Przyznaję - odpowiedziałem - ale czy jesteś lub nie jesteś kawalerem, senor Busqueros, przestrzegam cię, że jeżeli kiedykolwiek spotkam cię szpiegującego po domach, w których bywam, postąpię z tobą jak z ostatnim nędznikiem.

Busqueros przybrał jak mógł najstodszą minę i rzekł:

- Kochany pasierbie, powinienem żądać od ciebie wyjaśnień, ale nie mogę się na ciebie gniewać i zawsze jestem i będę twoim przyjacielem. Na dowód pragnąłbym pomówić z tobą o niektórych dotyczących cię nader ważnych rzeczach, zwłaszcza zaś co do księżniczki Avila. Jeżeli ciekawy jesteś i chcesz posłuchać, oddaj twego konia masztalerzowi i chodź ze mną do pobliskiej cukierni.

Zdjęty ciekawością i troskliwy o spokojność drogiej sercu memu osoby, dałem się namówić. Busqueros kazał przynieść chłodzące napoje i zaczął mówić rzeczy nie mające ze sobą żadnego związku. Byliśmy sami, wkrótce jednak przyszło kilku oficerów z gwardii wallońskiej. Zasiedli do stołu i kazali sobie przynieść czekolady.

Busqueros pochylił się ku mnie i półgłosem rzekł:

- Kochany przyjacielu, rozgniewałeś się nieco, ponieważ myślałeś, że zakradłem się do księżniczki Avila; jednakże usłyszałem tam kilka słów, które odtąd ciągle krążą mi po głowie.

Tu Busqueros zaczął śmiać się do rozpuku i spoglądać na oficerów wallońskich, po czym tak dalej ciągnął:

- Kochany pasierbie, księżniczka mówiła do ciebie: "tam małżonek Manueli, tu wdowiec po Leonorze".

To mówiąc Busqueros znowu zaczął się śmiać do rozpuku, ciągle spoglądając na oficerów wallońskich. Kilka razy powtórzył tę samą igraszkę. Wallończycy powstali, odeszli do kąta i z kolei oni zaczęli nami się zajmować. Wtem Busqueros nagle zerwał się i ani słowa nie powiedziawszy wyszedł. Wallończycy zbliżyli się do mego stolika i jeden z nich, zwracając się do mnie z wielką grzecznością, rzekł:

- Moi towarzysze i ja radzi byśmy dowiedzieć się, co pański towarzysz upatrzył w nas tak nadzwyczajnie śmiesznego.

- Senor kawalerze - odpowiedziałem - pytanie to jest zupełnie na swoim miejscu. W istocie, mój towarzysz pękał od śmiechu, którego bynajmniej nie zgaduję przyczyny. Mogę jednak zaręczyć, że przedmiot naszej rozmowy wcale was nie dotyczył i rozmowa toczyła się o sprawach rodzinnych, w których niepodobna było upatrzeć niczego śmiesznego.

- Senor kawalerze - odparł oficer walloński - wyznaję, że odpowiedź twoja niezupełnie mnie zadowala, jakkolwiek czyni mi niezaprzeczony zaszczyt. Pójdę oznajmić ją moim towarzyszom.

Wallończycy zdawali się naradzać między sobą i sprzeczać z tym, który ze mną mówił. Po chwili tenże sam oficer znowu zbliżył się do mnie i rzekł:

- Towarzysze moi i ja nie zgadzamy się co do skutków, jakie powinny wyniknąć z łaskawie udzielonego mi przez ciebie, senor kawalerze, wyjaśnienia. Towarzysze moi utrzymują, że powinniśmy na nim poprzestać. Na nieszczęście, jestem przeciwnego zdania, co tak dalece mnie martwi, że chcąc zapobiec skutkom mego przekonania, ofiarowałem im każdemu z osobna zadośćuczynienie. Co się tyczy ciebie, senor kawalerze, wyznaję, że powinienem udać się do senora Busquera, ale śmiem utrzymywać, że sława, jakiej tenże używa, w pojedynku z nim nie obiecuje mi żadnego zaszczytu. Z drugiej strony, senor, znajdowałeś się razem z don Busquerem, a nawet, gdy ten śmiał się, spoglądałeś na nas. Sądzę przeto, że nie nadając bynajmniej ważności tej sprawie, słuszna, abyśmy zakończyli nasze wyjaśnienia tą samą szpadą, którą każdy z nas ma przy boku.

Towarzysze kapitana z początku chcieli go przekonać, że nie ma się o co bić ani z nimi, ani ze mną, ale wiedząc, z kim mają do czynienia, przestali wreszcie odradzać i jeden z nich ofiarował mi się za świadka. Udaliśmy się wszyscy na plac boju. Zraniłem lekko kapitana, ale w tej samej chwili odebrałem nad prawą pierś cios, który poczułem jak ukłucie szpilki. Wkrótce jednak zdjął mnie dreszcz śmiertelny i padłem bez zmysłów.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca swoich przygód, przerwano mu i musiał pójść zająć się sprawami hordy.

Kabalista zwrócił się do mnie i rzekł:

- Jeżeli się nie mylę, oficerem, który zranił senora Avadero, był właśnie twój ojciec.

- Wcale się nie mylisz - odpowiedziałem - kronika pojedynków, ułożona przez mego ojca, wspomina o tym i ojciec mój dodaje, że obawiając się niepotrzebnej kłótni z oficerami, którzy nie podzielali jego zdania, tego samego dnia bił się z trzema i poranił ich.

- Senor kapitanie - rzekła Rebeka - twój ojciec dał dowód niezwyklej przezorności. Obawa niepotrzebnej kłótni skłoniła go do pojedynkowania się cztery razy tego samego dnia.

Żart, na jaki Rebeka pozwoliła sobie względem mego ojca, bardzo mi się nie podobał i już chciałem jej coś odpowiedzieć, gdy wtem towarzystwo rozeszło się i zebrało dopiero nazajutrz.

Dzień pięćdziesiąty ósmy

Wieczorem Cygan tak mówił dalej:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Wróciwszy do zmysłów, spostrzegłem, że z obu rąk krew mi puszczano. Jak przez mgłę ujrzałem księżniczkę, księżną Sidonię i Toleda; wszyscy mieli łzy w oczach. Znowu postradałem przytomność. Przez sześć tygodni znajdowałem się w stanie podobnym do ciągłego snu, a nawet do śmierci. Z obawy o mój wzrok okiennice ciągle były zamknięte, podczas owijania zaś rany zawiązywano mi oczy.

Na koniec pozwolono mi patrzeć i mówić. Lekarz mój przyniósł mi dwa listy; pierwszy był od Toleda, który donosił mi, że wyjechał do Wiednia, ale z jakimi poleceniami, tego nie mogłem odgadnąć. Drugi list był od księżniczki Avila, ale nie jej ręką pisany. Oznajmiała mi, że przedsięwzięto poszukiwania na ulicy Retrada i że nawet zaczęto szpiegować ją w jej własnym domu. Zniecierpliwiona, wyjechała do swoich majątków lub też, jak to się mówi w Hiszpanii, do swoich państw. Gdy przeczytałem oba listy, lekarz kazał zamknąć na powrót okiennice i zostawił mnie własnym myślom. W istocie, tym razem na dobre zacząłem się zastanawiać. Dotychczas życie przedstawiało mi się jako ścieżka usłana kwieciami: teraz dopiero poczułem ciernie.

Po upływie piętnastu dni pozwolono mi przejechać się po Prado. Chciałem wysiąść i przejść się, ale zabrakło mi sił, usiadłem więc na ławce. Niebawem zbliżył się do mnie ten sam oficer walloński, który służył mi za świadka. Powiedział mi, że przeciwnik mój przez cały czas, gdy znajdowałem się w niebezpieczeństwie, był w najgwałtowniejszej rozpacz i że błaga o pozwolenie uściskania mnie. Zgodziłem się, mój przeciwnik padł mi do nóg, przycisnął mnie do serca i odchodząc rzekł głosem przerywanym łzami:

- Senor Avadoro, daj mi sposobność pojedynkowania się za ciebie, będzie to najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Wkrótce potem ujrzałem Busquera, który zbliżył się do mnie ze zwykłą bezczelnością i rzekł:

- Kochany pasierbie, odebrałeś cokolwiek za ostrą naukę. Wprawdzie ja powinienem ci jej udzielić, ale zapewne nie byłbym tak dobrze się znalazł.

- Drogi ojczymie - odpowiedziałem - wcale nie skarżę się na ranę, jaką mi zadał ów mężny oficer. Noszę szpadę w przewidywaniu, że coś podobnego może mi się wydarzyć. Co zaś do twojego w tym względzie przyczynienia się, sądzę, że należałoby je wynagrodzić, garbując ci porządnie kijem skórę.

- Z wolna, kochany pasierbie - przerwał Busqueros - to ostatnie wcale nie jest konieczne i w obecnej chwili wychodzi nawet z prawideł grzeczności. Od czasu naszego rozstania zostałem ważnym człowiekiem, niby podministrem drugiego rzędu. Muszę ci to opowiedzieć z pewnymi szczegółami.

Jego eminencja kardynał Portocarrero, widząc mnie kilka razy w orszaku księcia Arcos, raczył uśmiechnąć się ze szczególniejszą łaskawością. To ośmieliło mnie i zacząłem składać mu uszanowanie w dniach audiencji. Pewnego dnia jego eminencja zbliżył się do mnie i rzekł półgłosem:

- Wiem, senor Busqueros, że jesteś jednym z ludzi najlepiej świadomych wszystkiego, co się dzieje w mieście.

Na to odpowiedziałem z dziwną przytomnością umysłu:

- Wasza eminencjo, Wenecjanie, którzy uchodzą za niezłych rządców swym krajem, kładą tę świadomość w liczbę takich, które są niezbędne dla każdego człowieka chcącego trudnić się sprawami państwa.

- I mają słuszność - dodał kardynał, po czym pomówił jeszcze z kilkoma osobami i odszedł. W kwadrans potem marszałek dworu podszedł do mnie mówiąc:

- Senor Busqueros, jego eminencja polecił mi, abym zaprosił cię na obiad, i jak mi się zdaje, po obiedzie chce nawet z tobą pomówić. Uprzedzam cię jednak, senor, abyś w takim razie zbyt nie przedłużał rozmowy, gdyż jego eminencja dużo je i następnie od snu wstrzymać się nie może.

Podziękowałem marszałkowi za przyjacielską radę i zostałem na obiedzie wraz z kilkunastoma innymi współbiesiadnikami. Kardynał prawie sam zjadł całego szczupaka. Po obiedzie kazał mnie przywołać do swego gabinetu.

- No cóż, senor don Busqueros - rzekł - nie dowiedziałeś się w tych dniach czego zajmującego?

Zapytanie kardynała mocno mnie zmieszało, gdyż w istocie ani tego dnia, ani poprzednich nic nie odkryłem zajmującego. Zastanowiwszy się jednak przez chwilę, odpowiedziałem:

- Wasza eminencjo, w tych dniach dowiedziałem się o istnieniu dziecięcia z krwi austriackiej. Kardynał nadzwyczajnie się zdziwił.

- Tak jest - dodałem - wasza eminencja przypomina sobie, że księżę Avila połączony był tajemnym związkiem z infantką Beatrycze. Pozostała po nim z tego związku córka imieniem Leonora, która poszła za mąż i miała dziecko. Leonora umarła, pochowano ją w klasztorze karmelitanek. Widziałem jej nagrobek, który później znikł bez śladu.

- To będzie mogło wielce zaszkodzić Avilom i Sorrientom - rzekł kardynał.

Jego eminencja byłby może więcej mówił, ale szczupak przyśpieszył chwilę snu, uznałem więc za stosowne wynieść się. Wszystko to działo się przed trzema tygodniami. W istocie, kochany pasierbie, nie ma już nagrobka tam, gdzie go wprzód widziałem. A przecież wyraźnie na nim czytałem: "Leonora Avadoro". Wstrzymałem się od wymienienia cię przed jego eminencją nie dlatego, abym chciał dochować ci tajemnicy, ale po prostu na później odłożyłem to doniesienie.

Lekarz towarzyszący mi na przechadzce oddalił się był o kilka kroków. Nagle spostrzegł, że zbladłem i jestem bliski postradania przytomności. Powiedział Busquerowi, że obowiązek zmusza go do przerwania rozmowy i odprowadzenia mnie do domu. Wróciłem więc; lekarz przepisał mi chłodzący napój i kazał przymknąć okiennice. Naówczas oddałem się rozmyślaniom; niektóre uwagi upokorzyły mnie do najwyższego stopnia.

- Otóż to - mówiłem w duchu - tak zawsze wychodzi, kto przestaje z wyższymi od siebie. Księżniczka zawiera ze mną małżeństwo, które nic nie ma w sobie rzeczywistego, i dla jakiejś wymyślonej Leonory popadam w podejrzenie rządu i muszę słuchać plotek człowieka, którym pogardzam. Z drugiej strony, nie mogę usprawiedliwić się, nie zdradzając księżniczki, która zbyt jest dumna, aby kiedykolwiek przyznać się do mnie chciała.

Następnie pomyślałem o maleńkiej dwuletniej Maleli, którą tuliłem do łona w Sorriente, a której nie śmiałem nazwać moją córką. - Lube moje dziecię - zawołałem - jakaż przyszłość los ci gotuje? Może klasztor? Ale nie, ja jestem twoim ojcem i gdy będzie chodziło o twój los, potrafię zaprzeć się wszelkiej ludzkiej przeczności. Będę twoim opiekunem, chociażbym miał własnym życiem to przyplącić.

Myśl o moim dziecięciu rozrzewniła mnie: zalałem się łzami, a wkrótce potem i krwią, gdyż rana mi się otworzyła. Krzyknąłem na chirurgów, przewinięto mi ją na nowo, po czym napisałem do księżniczki i posłałem list przez jednego z jej służących, którego przy mnie zostawiła.

W dwa dni potem znowu udałem się na Prado. Dokoła ujrzałem zgiełk niezwykły. Powiedziano mi, że król kona. Wniosłem stąd, że może zapomną o mojej sprawie, jakoż nie pomyliłem się. Król umarł nazajutrz. Natychmiast wysłałem drugiego gońca dla zawiadomienia o tym księżniczki.

W dwa dni potem otworzono testament królewski i dowiedziano się, że don Filip Andegaweński został powołany na tron. Umiano ściśle dochować tajemnicy, tak, że wieść ta, rozszedłszy się od razu, niewymownie wszystkich zadziwiła. Wysłałem do księżniczki trzeciego gońca. Odpowiedziała mi od razu na moje trzy listy i nazaczyła spotkanie w Sorriente. Jak tylko poczułem się nieco na siłach, wyjechałem do Sorriente, dokąd księżniczka przybyła w dwa dni później.

- Szczęśliwie udało nam się wywinąć - rzekła do mnie - ten łotr Busqueros był już na prawdziwej drodze i skończyłby niezawodnie na odkryciu naszego małżeństwa. Byłabym umarła ze zmartwienia. Bez wątplenia, czuję, że nie mam słuszności, ale gardząc małżeństwem, zdaje mi się, że wznoszę się nad naszą płeć, a nawet i nad waszą. Nieszczęśliwa duma owładnęła moją duszą i chociażbym na przewyciężenie jej wszystkich sił użyła, przysięgam ci, że byłoby to daremne.

- A córka twoja? - przerwałem. - Jakż będzie jej los? Czyż mam jej już nigdy nie zobaczyć?

- Ujrysz ją - rzekła księżniczka - ale teraz mi o niej nie wspominaj. Wierzaj mi, że więcej, niż możesz sobie wyobrazić, cierpię z powodu tej konieczności ukrywania jej przed światem.

W istocie, księżniczka cierpiała, do moich jednak cierpień dodawała jeszcze upokorzenie. Moja duma także złączyła się z miłością, jaką miałem ku księżniczce. Za grzech odbierałem zastużoną karę.

Stronnictwo austriackie nazaczyło Sorriente na miejsce ogólnego zjazdu. Ujrzałem kolejno przybywających: hrabiego Oropesę, księcia Infantado, hrabiego Melzara i wiele innych znakomitych osób, że już takich nie wymieniam, którzy wydawali się podejrzanymi. Pomędzy tymi ostatnimi spostrzegłem niejakiego Uzedę, który podawał się za astrologa i usilnie wpraszał się do mojej przyjaźni.

Nareszcie przybył pewien Austriak, nazwiskiem Berlepsch, ulubieniec królowej-wdowy i zastępca posła od chwili wyjazdu hrabiego Harracha. Kilka dni przepędzono na naradach, na koniec utworzono

uroczyste posiedzenie wokół wielkiego stołu przykrytego zielonym sukniem. Księżniczka została przypuszczona do obrad i przekonałem się, że duma, a raczej chęć wmieszania się do spraw państwa zupełnie ośwładnęła jej umysł.

Hrabia Oropesa, zwracając się do Berlopscha, rzekł:

- Widzisz tu senior zebrane osoby, z którymi ostatni ambasador austriacki naradzał się względem spraw hiszpańskich. Nie jesteśmy ani Francuzami, ani Austriakami, ale Hiszpanami. Jeżeli król francuski przyjmie testament, jego wnuk bez wątpienia zostanie naszym królem. Nie przewidujemy wydarzeń, jakie mogłyby z tego wyniknąć, ale mogę zaręczyć, że żaden z nas nie rozpocznie wojny domowej.

Berlepsch zapewnił, że cała Europa się uzbroi i że nigdy nie ścierpi, aby rodzina Burbonów obejmowała władzę nad tak rozległymi państwami. Następnie zażądał, aby panowie należący do stronnictwa austriackiego wysłali do Wiednia swego pełnomocnika. Hrabia Oropesa zwrócił oczy na mnie i już myślałem, że mnie przedstawi, ale zamyślił się i odpowiedział, że nie nadeszła jeszcze pora do przedsięwzięcia tak stanowczego kroku.

Berlepsch oznajmił, że zostawi kogoś w kraju; zresztą z łatwością spostrzegając, że panowie, obecni na tym posiedzeniu, tylko czekają na sprzyjającą chwilę do otwartego wystąpienia.

Po skończonym posiedzeniu poszedłem do ogrodu złączyć się z księżniczką i powiedziałem jej, że hrabia Oropesa spojrział na mnie, gdy chodziło o wysłanie pełnomocnika do Austrii.

- Senior don Juanie - rzekła - wyznaję, że mówiliśmy już o tobie w tym względzie i że sama cię nawet wysunęłam. Masz ochotę wyrzucić mi moje postępowanie. Nie ma co mówić, jestem winna, ale wprzódy pragnę wytłumaczyć ci moje położenie. Nie byłam stworzona do miłości, twoja jednak potrafiła wzruszyć moje serce. Zanim miałam na zawsze porzucić rozkosze miłości, chciałam wprzódy je poznać. Cóż powiesz? Nie zmieniły one w niczym mego sposobu myślenia. Prawa, jakie ci nadałam nad moim sercem i moją osobą, jakkolwiek słabe, nie mogą już istnieć. Zatarłam najmniejsze ich ślady. Zamierzam teraz przepędzić kilka lat w świecie i jeżeli można, wpłynąć na losy Hiszpanii. Następnie założę zakon szlacheckich panien, którego sama będę pierwszą księżką.

Co się tyczy ciebie, senior don Juanie, pojedziesz do przeora Toledo, który opuścił już Wiedeń i udał się na Maltę. Ponieważ jednak stronnictwo, w jakie wszedłeś, mogłoby cię narazić, kupuję przeto cały twój majątek i zabezpieczam jego wartość na moich dobrach w Portugalii, w królestwie Algarve. Nie jest to jedyna ostrożność, senior don Juanie, jaką powinienes przedsięwziąć. Są w Hiszpanii miejsca, nie znane rządowi, gdzie bezpiecznie można całe życie przepędzić. Polecę cię komuś, kto da ci je poznać. Słowa moje zdają się zadziwiać cię, senior don Juanie. Dawniej okazywałam ci większą czułość, ale zatrwożyły mnie szpiegostwa Busquera i zamiar mój jest nieodwołalny.

To powiedziawszy księżniczka zostawiła mnie własnym myślom, które wcale nie sprzyjały wielkim panom.

- Bogdaj przepadli - zawołałem - półbożkowie tej ziemi, dla których reszta śmiertelnych jest niczym. Zostałem igraszką kobiety, która próbowała na mnie, czy jej serce stworzone jest do miłości, i która skazuje mnie na wygnanie, uważając mnie za zbyt szczęśliwego, że mogę poświęcić się jej własnej i

przyjaciół jej sprawie! Ale nic z tego nie będzie. Dzięki mojej małoważności będę jeszcze mógł żyć w spokoju.

Wymówiłem ostatnie wyrazy dość głośno, gdy wtem jakiś głos mi odpowiedział:

- Nie, senor Avadoro, ty nie możesz żyć w spokoju.

Obróciłem się i ujrzałem między drzewami tego samego astrologa Uzedę, o którym wam już wspominałem.

- Senor don Juanie - rzekł do mnie - słyszałem pewną część twego monologu i mogę cię zapewnić, że w burzliwych czasach nikt spokoju znaleźć nie zdoła. Zasiania cię można opieką, nie powinienes jej marnować. Jedź do Madrytu, dopełnij sprzedaży proponowanej ci przez księżniczkę i stamtąd udaj się do mego zamku.

- Nie wspominaj mi o księżniczce - przerwałem oburzony.

- Dobrze więc - rzekł astrolog - w takim razie pomówimy o twojej córce, która w tej chwili znajduje się w moim zamku.

Choć uściskania mego dziecięcia uśmierzyła mój gniew, z drugiej zaś strony rzeczywiście nie należało mi porzucać moich opiekunów. Udałem się do Madrytu i oświadczyłem, że wyjeżdżam do Ameryki. Oddałem mój dom i wszystko, co posiadałem, w ręce prawnika księżniczki i wybrałem się w drogę ze służącym, którego mi nastroczył Uzeda. Przez różne manowce dotarliśmy do zamku, w którym byliście i gdzieście poznali jego syna, obecnego tu szanownego kabalistę. Astrolog przyjął mnie u bramy i rzeki:

- Senor don Juanie, tu nie jestem już Uzedą, ale Mamunem Ben Gersom, Żydem z religii i pochodzenia.

Następnie oprowadził mnie po swoim obserwatorium, pracowni i wszystkich kątach swej tajemniczej siedziby.

- Racz mnie objaśnić - rzekłem do niego - czy twoja sztuka zasadza się na czymś rzeczywistym. Powiedziano mi bowiem, że jesteś astrologiem, a nawet czarnoksiężnikiem.

- Chcesz zobaczyć próbę? - przerwał Mamun. - Spójrz w to weneckie zwierciadło, ja zaś tymczasem pójdę zamknąć okiennice.

Z początku nic nie spostrzegłem, po chwili jednak tło zwierciadła zdawało się z wolna rozjaśniać. Ujrzałem księżniczkę Manuelę z dziećciem na ręku.

Gdy Cygan kończył te słowa i wszyscy natężyliśmy słuch, ciekawi, co się dalej stanie, jeden z jego hordy przyszedł zdać mu sprawę z dziennych czynności. Naczelnik oddalił się i już go więcej tego dnia nie widzieliśmy.

Dzień pięćdziesiąty dziewiąty

Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru. Cygan zastał nas już od dawna razem zebranych. Zadowolony z zainteresowania, jakie mu okazywaliśmy, nie dał się nawet prosić i sam zaczął mówić w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Powiedziałem wam, że utkwiałem wzrok w weneckie zwierciadło i spostrzegłem w nim księżniczkę z dziećciem na ręku. Po chwili widzenie znikło, Mamun otworzył okiennice i wtedy rzekłem:

- Mości czarnoksiężniku, mniemam, że do oczarowania mego wzroku nie potrzebowałeś współuczestnictwa złych duchów. Znam księżniczkę, już mnie raz oszukała w sposób daleko bardziej zadziwiający. Jednym słowem, jeżeli jej obraz widziałem w zwierciadle, nie wątpię, że ona sama także znajduje się w tym zamku.

- Nie mylisz się - odparł Mamun - i natychmiast pójdziemy do niej na śniadanie.

Otworzył skryte drzwiczki i padłem do nóg mojej małżonki, która nie mogła ukryć swego wzruszenia. Nareszcie przyszła do siebie i rzekła:

- Don Juanie, musiałam to wszystko ci powiedzieć, o czym mówiłam w Sorriente, gdyż była to prawda. Zamiary moje są nieodwołalne, wszelako po twoim odjeździe wyrzucałam sobie moją nieczułość. Instykt mojej płci wrodzony wzdraga się przed każdym postępowaniem, w którym by można upatrzeć brak serca. Powodowana nim, postanowiłam tu czekać na ciebie i po raz ostatni się z tobą pożegnać.

- Pani - odrzekłem księżniczce - ty byłaś jedynym marzeniem mego życia i ty mi zastąpisz wszelką rzeczywistość. W przyszłych kolejach twego losu zapomnij na wieki o don Juanie. Przystaję na to, ale pomnij, że zostawiam dziecko moje przy tobie.

- Wkrótce je ujrzysz - przerwała księżniczka - i oboje razem powierzmy je tym, którzy mają zająć się jego wychowaniem.

Cóż mam wam powiedzieć? Zdawało mi się naówczas i w tej chwili jeszcze mi się zdaje, że księżniczka miała słuszność. W istocie, czy mogłem żyć z nią będąc i nie będąc jej mężem? Jeżeli nawet zdołaliśmy ująć przed przenikliwością ogółu, to nie uniknęlibyśmy wzroku naszych służących, a wtedy tajemnicy nie można by zachować. Nie ma wątpliwości, że wówczas cały los księżniczki byłby się zmienił, zdawało mi się więc, że słuszność była po jej stronie. Poddałem się zatem i wkrótce miałem ujrzeć moją małą Ondynę. Tak ją bowiem nazwano, ponieważ była ochrzczona z wody, nie zaś z oleju.

Zeszliśmy razem na obiad. Mamun rzekł do księżniczki:

- Pani, sądzę, że należałoby uwiadomić senora o pewnych rzeczach, o których musi się dowiedzieć, i jeżeli podzielasz moje zdanie, ja się tego podejmę.

Księżniczka przystała. Wówczas Mamun, zwracając się do mnie, tymi słowy się odezwał:

- Senior don Juanie, deprecz tu ziemię, nieprzeniknioną dla zwyczajnego wzroku, gdzie każdy strzeże jakiejś tajemnicy. W paśmie tych gór znajdują się obszerne jaskinie i podziemia. Żyją tam Maurowie, którzy od czasów wygnania ich z Hiszpanii nigdy z nich nie wychodzili. W tej oto dolinie, rozciągającej się przed twymi oczyma, zobaczysz mniemanych Cyganów, z których jedni są mahometanami, drudzy chrześcijanami, ostatni wreszcie żadnej nie wyznają wiary. Na szczycie tej skały widzisz dzwonnice z krzyżem na wierzchu. Jest to klasztor dominikanów. Inkwizycja święta ma powody, dla których przez szpary patrzy na to, co się tutaj dzieje, dominikanie zaś obowiązani są nic nie widzieć. Dom, w którym się znajdujesz, zamieszkują Izraelici. Co siedem lat Żydzi hiszpańscy i portugalscy zgromadzają się tu dla święcenia roku sabatowego, obecnie będącego czterechsetną trzydziestą ósmą rocznicą jubileuszu, jaki odprawił Jozue. Powiedziałem ci, senior Avadero, że pomiędzy Cyganami z doliny jedni są mahometanami, drudzy chrześcijanami, inni nareszcie żadnej nie wyznają wiary. W istocie, ci ostatni - to poganie pochodzący od Kartagińczyków. Za panowania don Filipa II spalono kilkaset takich rodzin, niektóre tylko schroniły się wokół małego jeziora, utworzonego, jak mówią, przez wybuch wulkanu. Dominikanie z tego klasztoru mają tam swoją kaplicę.

Oto, senior Avadero, co wymyśliliśmy względem małej Ondyny, która nigdy nie dowie się o swoim pochodzeniu: Ochmistrzyni, kobieta całkiem oddana księżniczce, uchodzi za jej matkę. Wybudowano dla twojej córki piękny domek na brzegach jeziora; dominikanie z klasztoru udzielą jej pierwszych zasad religii. Resztę pozostawimy staraniom Opatrzności. Nikt ciekawski nie będzie mógł zwiedzać brzegów jeziora La Frita.

Gdy to Mamun mówił, księżniczka uroniła kilka łez, ja zaś nie mogłem wstrzymać się od płaczu. Nazajutrz udaliśmy się do tego samego jeziora, koło którego teraz się znajdujemy, i umieściliśmy tam małą Ondynę. Następnego dnia księżniczka odzyskała dawną dumę i wyniosłość i wyznam, że pożegnanie nasze nie było nader rozczulające. Nie zatrzymując się dłużej w zamku, wsiadłem na statek, wylądowałem w Sycylii i ugodziłem się z padronem Speronara, który podjął się zawieźć mnie na Maltę.

Udałem się do przeora Toleda. Szlachetny mój przyjaciel czule mnie uściskał, wprowadził do osobnego pokoju i drzwi zamknął na klucz. W pół godziny potem marszałek przeora przyniósł mi obfity posiłek, nad wieczorem zaś sam Toledo przyszedł, niosąc pod pachą wielką plikę listów, czyli - jak je politycy nazywają - depesz. Nazajutrz jechałem już z poselstwem do arcyksięcia don Karlosa.

Zastałem jego cesarzewiczowską mość w Wiedniu. Skoro tylko oddałem mu depesze, natychmiast zamknięto mnie w osobnym pokoju, tak samo jak na Malcie. Po upływie godziny sam arcyksiążę przyszedł do mnie, zaprowadził do cesarza i rzekł:

- Mam zaszczyt przedstawić Waszej Cesarsko-Apostolskiej Mości margrabiego Castelli, szlachcica sardyńskiego, i zarazem upraszać dla niego o klucz szambelański.

Cesarz Leopold, nadając swojej dolnej wardze jak najłagodniejszy wyraz, zapytał mnie po włosku, od jak dawna opuściłem Sycylię.

Nie byłem przyzwyczajony do rozmawiania z monarchami, a jeszcze mniej do kłamstwa, za całą wiec odpowiedź skłoniłem się głęboko.

- To dobrze - rzekł cesarz - przyłączam WPana do świty mego syna.

Tym sposobem od razu, chcąc nie chcąc, zostałem margrabią Castelli i szlachcicem sardyńskim.

Tego samego wieczora dostałem nadzwyczajnego bólu głowy, nazajutrz gorączki, a w dwa dni potem - ospy. Zaraziłem się nią w jednej z gospod w Karyntii.

Choroba moja była gwałtowna i nader niebezpieczna, wyleczyłem się jednak, i to nie bez korzyści, margrabia Castelli bowiem w niczym nie był podobny do don Avadora i zmieniając nazwisko, zmieniłem zarazem i powierzchowność. Teraz mniej niż kiedykolwiek poznano by we mnie ową Elwirę, która niegdyś miała zostać wicekrólową Meksyku.

Skoro tylko wróciłem do zdrowia, wnet powierzono mi korespondencję z Hiszpanią.

Tymczasem don Filip Andegaweński królował nad Hiszpanią i Indiami, a nawet nad sercami swoich poddanych. Ale nie pojmuję, jaki szatan miesza się właśnie w takich chwilach do władców i ich spraw. Król don Filip i królowa, jego małżonka, stali się niejako pierwszymi poddanymi księżnej Orsini. Nadto do rady państwa przypuszczono postać francuskiego, kardynała d'Estrees, co do najwyższego stopnia oburzyło Hiszpanów. Z drugiej strony, król francuski Ludwik XIV myśląc, że wszystko mu wolno, obsadził Mantuę załogą francuską. Wtedy arcyksiążę don Karlos powziął nadzieje panowania.

Było to w samym początku roku 1703, gdy pewnego wieczora arcyksiążę rozkazał mnie przywołać. Postąpił kilka kroków naprzeciw mnie, raczył mnie objąć, a nawet czule uściskać. Przyjęcie to zapowiadało mi coś nadzwyczajnego.

- Castelli - rzekł arcyksiążę - czy nie odebrałeś żadnych wiadomości od przeora Toleda? Odpowiedziałem, że dotąd żadnych nie miałem.

- Był to znakomity człowiek - dodał po chwili arcyksiążę.

- Jak to - był? - przerwałem.

- Tak jest - odparł arcyksiążę - był; przeor Toledo umarł na Malcie na zgniłą gorączkę, ale znajdziesz we mnie drugiego Toleda. Opłakuj twego przyjaciela i bądź mi wierny.

Opłakałem rzewnymi łzami stratę przyjaciela i pojąłem, że teraz nie potrafię już przestać być Castellim.

Mimowolnie stałem się niewolniczym narzędziem arcyksięcia.

Następnego roku udaliśmy się do Londynu. Stamtąd arcyksiążę wyruszył do Lizbony, ja zaś pojechałem złączyć się z wojskiem lorda Peterborougha, którego, jak to wam już mówiłem, miałem niegdyś zaszczyt poznać w Neapolu. Byłem z nim razem, gdy - zmuszając Barcelonę do poddania się - dał poznać swój charakter szlachetnym czynem, powszechnie wówczas sławionym. Podczas kapitulacji niektóre oddziały wojska sprzymierzonego weszły do miasta i zaczęły je rabować. Książę Popoli, który wówczas dowodził w imieniu króla don Filipa, żalił się na to przed lordem.

- Pozwól mi na chwilę wejść do miasta z moimi Anglikami - rzekł Peterborough - a zaręczam, że wszystko przyprowadzę do porządku. Uczynił, jak powiedział, po czym opuścił miasto i ofiarował mu zaszczytną kapitulację.

Wkrótce potem arcyksiążę, zawładnąwszy prawie całą Hiszpanią, przybył do Barcelony. Znowu zająłem stanowisko w jego orszaku, nadal pod nazwiskiem margrabiego Castelli. Pewnego wieczora, przechadzając się w świetle arcyksięcia po głównym placu, spostrzegłem człowieka, którego chód raz wolny, to znowu przyspieszony, przypominał mi don Busquera. Kazałem go śledzić. Doniesiono mi, że jest to jakiś człowiek z fałszywym nosem, który każe nazywać się doktorem Robusti. Nie wątpiłem na chwilę, że jest to mój łotr, który w celu szpiegowania nas wcisnął się do miasta.

Opowiedziałem to arcyksięciu, który upoważnił mnie do postąpienia z nim, jak mi się tylko podoba. Naprzód więc kazałem zamknąć niegodziwca na odwachu, a następnie w godzinie parady ustawiłem od odwachu aż do portu dwa rzędy grenadierów, uzbrojony wprzód każdego giętkim brzoźowym prętem. Jeden od drugiego stał w odległości nie zawadzającej wolnym poruszeniem prawej ręki. Don Busqueros, wychodząc z odwachu, poznał, że te przygotowania jego się tyczą i że jest, jak to mówią, królem tej uroczystości. Puścił się więc z całej siły, unikając tym sposobem połowy razów, wszelako dostał ich przynajmniej ze dwieście. W porcie wpadł do szalupy, która go zawiozła na pokład fregaty, gdzie dozwolono mu zająć się leczeniem swego grzbietu.

Czas było już zająć się sprawami hordy, Cygan opuścił nas więc, zostawiając dalsze przygody na dzień następny.

Dzień sześćdziesiąty

Cygan nazajutrz tak dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Od dziesięciu lat zostawałem ciągle przy boku arcyksięcia. Smutnie upłynęły mi najpiękniejsze lata mego życia, chociaż co prawda nie weselej upływały one dla reszty Hiszpanów. Zaburzenia zdawały się co dzień kończyć, nigdy jednak nie ustawały. Stronnicy don Filipa rozpaczali nad jego słabością do księżnej Orsini, partia zaś don Karlosa także nie miała z czego się cieszyć. Oba stronnictwa popełniły mnóstwo błędów: uczucie zmęczenia i niechęć było powszechne.

Księżniczka Avila, przez długi czas będąc duszą stronnictwa austriackiego, byłaby może przeszła na stronę don Filipa, ale razila ją niepohamowana duma księżnej Orsini. Nareszcie ta ostatnia musiała na jakiś czas opuścić widownię swoich czynności i oddalić się do Rzymu; wkrótce jednak powróciła bardziej triumfująca niż kiedykolwiek. Wtedy księżniczka Avila wyjechała do Algarve i zajęła się fundacją swego klasztoru. Księżna Sidonia kolejno straciła córkę i zięcia. Ród Sidoniów ostatecznie wygasł, majątki przeszły do rodziny Medina Celi, księżna zaś wyjechała do Andaluzji.

Roku 1711 arcyksiążę wstąpił na tron po swoim bracie Józefie i został cesarzem pod imieniem Karola VI. Zazdrość Europy, zamiast na Francję, zwróciła się teraz na arcyksięcia. Nie chciano, aby Hiszpania była pod jednym berłem z Węgrami. Austriacy opuścili Barcelonę i zostawili w niej margrabiego Castelli, w którym mieszkańcy pokładali nieograniczone zaufanie. Nie szczędziłem wszystkich starań, aby ich tylko przyprowadzić do rozsądku, ale zabiegi moje okazały się bezskuteczne. Nic pojmuję, jaka wściekłość owładnęła umysłami Katalończyków: sądzili, że potrafią stawić czoło całej Europie.

Śród tych wypadków odebrałem list od księżniczki Avila. Podpisywała się już ksienią z Val Santa. List zawierał te jedynie wyrazy:

Jak tylko bodziesz mógł, jedź do Uzedy i staraj się widzieć Ondynę. Wprzód jednak nie zaniechaj pomówić z przeorem dominikanów,

Księżę Popoli, naczelny wódz wojsk króla don Fi-lipa, obieł Barcelonę. Przede wszystkim kazał wznieść szubienicę na dwadzieścia pięć stóp wysoką, przeznaczoną dla margrabiego Castelli. Zebrałem znaczniejszych mieszkańców Barcelony i rzekłem do nich:

- Panowie, umiem cenić zaszczyt, jaki mi sprawia wasze do mnie zaufanie, ale nie jestem wojskowym, a tym samym nie zdam się na waszego dowódcę. Z drugiej strony, jeżeli kiedykolwiek będziecie zmuszeni do kapitulacji, za pierwszy warunek położą wam wydanie mnie, co bez wątpienia będzie dla was na-der drażliwe. Lepiej zatem, abym się z wami pożegnał i na zawsze was opuścił.

Gdy lud raz wpadnie na drogę niedorzeczności, chętnie naówczas pociąga za sobą jak najwięcej indywiduów i sądzi, że wiele zyska na odmówieniu paszportu. Nie pozwolono mi zatem wyjechać, ale zamiar mój od dawna już był przygotowany. Zamówiona łódź oczekiwała mnie na brzegu; o północy wsiadłem w nią i nazajutrz wieczorem wylądowałem we Floriano, rybackiej wiosce w Andaluzji.

Nagrodziwszy hojnie marynarzy, odesłałem ich, sam zaś zapiściłem się w góry. Długo nie mogłem rozpoznać drogi, nareszcie odnalazłem zamek Uzedy i samego właściciela, który pomimo astrologii z trudnością zdołał mnie sobie przypomnieć.

- Senor don Juanie - rzekł - lub raczej senor Castelli, twoja córka jest zdrowa i niewypowiedzianie piękna. Co do reszty, rozmówisz się z przeorem dominikanów.

W dwa dni potem ujrzałem przybywającego sędziwego zakonnika, który rzekł do mnie:

- Senor kawalerze, święta inkwizycja, której jestem członkiem, mniema, że na wiele rzeczy w tych górach powinna patrzeć przez szpary. Czyni to w nadziei nawrócenia zabłąkanych owieczek, w znacznej liczbie tu się znajdujących. Przykład ich wywarł na młodą Ondynę zgubne skutki. Zresztą jest to dziewczyna dziwnego sposobu myślenia. Gdyśmy ją nauczali zasad świętej naszej wiary, słuchała z uwagą i nie dawała poznać po sobie, że wątpi w prawdę naszych słów; po chwili jednak uczestniczyła w modlitwach mahometańskich, a nawet przy uroczystościach pogan. Idź, senor kawalerze, do jeziora La Frita i ponieważ masz do niej prawo, staraj się zbadać jej serce.

Podziękowałem szanownemu dominikanowi i udałem się na brzeg jeziora. Przybyłem na przylądek położony od północy. Ujrzałem żagiel przesuwający się po wodzie z szybkością błyskawicy. Zacząłem podziwiać budowę statku. Była to łódka wąska i długa, na kształt łyżwy, opatrzona dwoma drągami,

których przeciwwaga chroniła ją od wywrotu. Silny maszt utrzymywał trójkątny żagiel, młoda zaś dziewczyna, wsparta na wiosłach, zdawała się ulatywać i muskać powierzchnię wód. Szczególny ten statek przybił do miejsca, na którym stałem. Młoda dziewczyna wysiadła; miała ramiona i nogi obnażone, zielona jedwabna suknia przylegała jej do ciała, włosy spadały w bujnych pierścieniach na śnieżną szyję, niekiedy wstrząsała nimi jak grzywą. Widok ten przypomniat mi dzikich mieszkańców Ameryki.

- Ach, Manuelo - zawołałem - Manuelo, więc to jest nasza córka?!

W istocie była to ona. Udałem się do jej mieszkania, Ochmistrzyni Ondyny przed kilku laty umarła, wtedy księżniczka sama przyjechała i powierzyła córkę pewnej rodzinie wallońskiej. Ondyna wszelako nie chciała uznawać żadnej władzy nad sobą. W ogóle mało mówiła, wdrapywała się na drzewa, wspinała na skały i rzucała w jezioro. Z tym wszystkim nie brakowało jej pojętności. Tak na przykład sama wymyśliła ten wdzięczny statek, który przed chwilą wam opisywałem. Jeden tylko wyraz zmuszał ją do posłuszeństwa. Było to wspomnienie o jej ojcu i gdy chciano, aby co uczyniła, wtedy rozkazywano jej w imieniu ojca. Skoro przybyłem do jej mieszkania, natychmiast postanowiono ją zawołać. Przyszła cała drżąca i uklękła przede mną. Przycisnąłem ją do serca, okryłem pieścotami, ale nie mogłem z niej wydobyć ani jednego słowa.

Po obiedzie Ondyna odeszła znowu do swej łodzi, wsiadłem razem z nią, pochwyciła oba wiosła i wypłynęła na środek jeziora. Starąłem się wszcząć z nią rozmowę. Naówczas położyła wiosła i zdawała się słuchać mnie z uwagą. Znajdowaliśmy się na wschodniej części jeziora. tuż koło otaczających je stromych skał.

- Droga Ondyno - rzekłem - czy uważałaś pilnie na święte nauki ojców z klasztoru? Ondyno. jesteś przecie istotą rozumną, masz duszę i religia powinna przewodniczyć ci na drodze życia.

Gdy tak w najlepsze zabrałem się do udzielania jej ojcowskich przestróg, nagle wskoczyła do wody i znikła mi z oczu. Trwoga mnie zdjęła, czym prędzej powróciłem do mieszkania i zacząłem wołać o pomoc. Odpowiedziano mi, że nie mam się czego obawiać, że wzdłuż skał są jaskinie, czyli sklepienia, łączące się między sobą. Ondyna znała te przejścia, zanurzała się, znikła i w kilka godzin potem wracała. W istocie, wkrótce powróciła, ale tym razem zaniechałem już moich przestróg. Ondynie, jak to już mówiłem, nie brakowało pojętności, ale wychowana w pustyni, zostawiona samej sobie, nie miała żadnego wyobrażenia o stosunkach towarzyskich.

Po kilku dniach jakiś braciszek klasztorny przyszedł do mnie od księżniczki, czyli raczej od ksieni Manueli. Miał mi dać habit podobny do swego i do niej zaprowadzić. Szliśmy wzdłuż brzegu morskiego aż do ujścia Guadiany, skąd dostaliśmy się do Algarve i przybyli wreszcie do Val Santa. Klasztor był już na ukończeniu. Ksieni przyjęła mnie w rozmównicy ze zwykłą godnością; odesławszy jednak świadków, nie mogła wstrzymać się od rozczenia. Rozwiały się marzenia jej dumy, zostały tylko tęskno żale za niepowrotnymi uczuciami miłości. Chciałem mówić jej o Ondynie; ksieni z westchnieniem prosiła mnie, abym odłożył tę rozmowę na dzień następny.

- Mówmy o tobie - rzekła mi - przyjaciele twoi nie zapomnieli o twoim losie. Twój majątek podwoił się w ich rękach; ale idzie o to, pod jakim nazwiskiem będziesz mógł go używać, niepodobna bowiem, abyś dłużej chciał uchodzić za margrabiego Castelli. Król nie przebacza tym, którzy należeli do powstania w Katalonii.

Długo rozmawialiśmy o tym przedmiocie, nie mogąc się zgodzić na nic stanowczego. W kilka dni potem Manuela oddała mi sekretny list odebrany od posła austriackiego. Pismo w pochlebnych wyrazach zapraszało mnie do Wiednia. Wyznam, że mało rzeczy w życiu równie mnie uszczęśliwiło. Gorliwie służyłem cesarzowi i wdzięczność jego dla mnie wydała mi się najśodszą nagrodą.

Wszelako nie dałem się omamić łudzącym nadziejom, znałem dobrze dworskie zwyczaje. Pozwalano mi być w łasce u arcyksięcia, który na próżno dobijał się o tron, ale nie mogłem spodziewać się, aby mnie ścierpiano przy boku najpierwszego monarchy chrześcijańskiego. Obawiałem się nade wszystko pewnego pana austriackiego, który zawsze usiłował mi szkodzić. Był to ów hrabia Altheim, który później nabrał takiego znaczenia. Pomimo to udałem się do Wiednia i uściskałem kolana Jego Apostolskiej Mości. Cesarz raczył rozważać ze mną, czyby nic lepiej było zostać przy dawnym nazwisku Castelli aniżeli wracać do swojego, i ofiarował mi znaczny urząd w swoim państwie. Dobroć jego mnie rozrzewniła, ale skryte przeczucie ostrzegało mnie, że nie będę z niej korzystał.

W owym czasie kilku panów hiszpańskich porzuciło na zawsze ojczyznę i osiedliło się w Austrii. Między nimi byli hrabiowie Lorios, Oias, Vasquez, Taruca i kilku innych. Znałem ich dobrze i wszyscy namawiali mnie, abym poszedł za ich przykładem. Był to także mój zamiar; ale skryty nieprzyjaciel, o którym wam wspominałem, czuwał. Dowiedział się o wszystkim, co zaszło podczas mego posłuchania, i natychmiast uwiadomił o tym posła hiszpańskiego. Ten mniemał, że prześladowając mnie wywiąże się z obowiązku dyplomatycznego. Właśnie toczyły się ważne układy. Poseł zaczął wynajdować przeszkody i do wysuniętych trudności dołączył uwagi nad moją osobą i nad rolą, jaką odgrywałem. Droga ta zaprowadziła go do zamierzonego celu. Wkrótce spostrzegłem, że położenie moje całkiem się odmieniło. Obecność moja zdawała się mieszać układnych dworzan. Przewidywałem taką zmianę jeszcze przed przyjazdem do Wiednia i nic bardzo się nią zmartwiłem. Prosiłem o pożegnalne posłuchanie. Udzielono mi go, nie wspominając o niczym. Wyjechałem do Londynu i po kilku latach dopiero wróciłem do Hiszpanii.

Znalazłem ksienię bladą i zagrożoną wycieńczeniem.

- Don Juanie - rzekła do mnie - musiałeś spostrzec zmiany, jakie czas na mnie poczynił. W istocie, czuję, że niedługo doczekam się końca życia, które nie ma już dla mnie żadnego powabu. Wielki Boże. na ileż zarzutów zasłużyłam z twojej strony! Posłuchaj, don Juanie, moja córka umarła w pogaństwie. a wnuczka moja jest mahometanką. Myśl ta zabija mnie, weź - czytaj.

To mówiąc podała mi list od Uzedy następującej treści:

Pani i wielbna ksieni!

Poszedłszy odwiedzić Maurów w ich jaskiniach, do-wiedziałem się, że jakaś kobieta pragnie ze mną pomówić. Udałem się za nią do jej mieszkania, gdzie mi rzekła: „Senor astrologu, ty, który wiesz o wszystkim, wytłumacz mi wypadek, jaki się zdarzył memu synowi. Nachodziwszy się przez cały dzień wśród wąwozów i przepaści naszych gór, zaszedł do bardzo pięknego źródła. Tam wyszła do niego jakaś prześliczna dziewczyna, w której mój syn się zakochał, chociaż sądził, że ma do czynienia z wróżką. Mój syn wyjechał w daleką podróż i prosił mnie, abym wszelkimi sposobami starała się wyjaśnić tę tajemnicę.”

Tak do mnie mówiła Mauretanka, ja zaś natychmiast odgadłem, że wróżką tą była nasza Ondyna, która rzeczywiście ma zwyczaj zanurzania się w niektórych jaskiniach i wyptywania z drugiej strony że

źródła. Odpowiedziałem Mauretance kilka mało znaczących słów, aby ją uspokoić, sam zaś udałem się do jeziora. Staralem się wybadać Ondynę, ale na próżno, znasz pani jej wstręt do rozmowy. Wkrótce jednak nie potrzebowałem o nic się pytać, postać jej zdradziła tajemnicę. Przeprowadziłem ją do mego zamku, gdzie szczęśliwie powiła córeczkę. Żądna powrotu do jeziora, niebawem uciekła z zamku, rozpoczęła dawny, gwałtowny tryb życia i w kilka dni potem uległa chorobie. Nareszcie, muszę bowiem wszystko wyznać, nie pomiętam, aby kiedykolwiek oświadczyła się z przywiązaniem do tej lub owej religii. Co do jej córki, to pochodząc po ojcu z najczystszej krwi mauretańskiej, musi nieodmiennie zostać mahometanką. W przeciwnym razie moglibyśmy na nas wszystkich ściągnąć zemstę mieszkańców podziemia.

- Przekonywasz się, don Juanie - dodała księżniczka w najwyższej rozpacz - jak muszę być nieszczęśliwa. Moja córka umarła w pogaństwie, moja wnuczka musi zostać muzulmanką!... Wielki Boże - jakże srogo mnie karzesz!

Gdy Cygan domawiał tych słów, spostrzegł, że jest już późno, odszedł więc do swoich ludzi, my zaś wszyscy udaliśmy się na spoczynek.

Dzień sześćdziesiąty pierwszy

Przewidywaliśmy, że przygody Cygana zmierzają już ku końcowi, z tym większą przeto niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru i natężyliśmy całą uwagę, gdy naczelnik tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW

Znakomita ksieni Val Santa może nie byłaby upadła pod brzemieniem zgryzot, ale naznaczyła sobie ostre pokuty, którym wycieńczony jej organizm nie mógł się oprzeć. Widziałem, jak gaśnie powoli, i nie mogłem odważyć się, aby ją porzucić. Moja suknia zakonna pozwalała mi o każdej porze wchodzić do klasztoru i pewnego dnia nieszczęśliwa Manuela na moim łonie wyzionęła ducha. Księżę Sorriente, spadkobierca księżniczki, znajdował się podówczas w Val Santa. Pan ten postępował ze mną nader otwarcie.

- Znam - rzekł do mnie - stosunki, jakie miałeś ze stronnictwem austriackim, do którego sam także należałem. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował jakiej usługi, proszę cię, racz mnie nie pomijać. Będę to sobie uważał za łaskę. Co do otwartych związków z tobą, pojmujesz, że bez niepotrzebnego narażenia nas obu żadnym sposobem nie mogę w nie wchodzić.

Księżę Sorriente miał słuszność. Byłem jedną ze straconych placówek stronnictwa. Wystawiono mnie naprzód, aby mnie potem wedle upodobania opuścić. Zostawał mi jeszcze majątek znaczny i łatwy do przeniesienia, cały bowiem znajdował się w rękach braci Moro. Chciałem wyjechać do Rzymu albo do Anglii, ale gdy szło o powzięcie stanowczego zamiaru, nie mogłem nic przedsięwziąć.

Wzdrygałem się na samą myśl powrotu do świata. Pogarda dla stosunków towarzyskich stała się pod pewnym względem chorobą mego umysłu.

Uzeda widząc, że waham się i nie wiem, co począć, namówił mnie do wejścia w służbę szejka Gomelezów.

- Cóż to za służba? - zapytałem. - Nic sprzeciwia się ona w niczym spokojowi mojej ojczyzny?

- W niczym - odpowiedział. - Maurowie kryjący się w tych górach przygotowują rewolucję w islamie; powoduje nimi polityka i fanatyzm. Do dopięcia celu mają niezmiernie środki. Niektóre najznakomitsze rodziny hiszpańskie dla własnej korzyści weszły z ni-mi w stosunki. Inkwizycja ciągnie z nich znaczne pieniądze i pozwala na to w głębi ziemi, czego by nie ścierpiała na powierzchni. Zresztą, don Juanie, wierzaj mi, zakosztuj życia, jakie prowadzimy w naszych dolinach.

Znudzony światem, postanowiłem pójść za radą Uzedy. Cyganie muzułmańscy i pogańscy przyjęli mnie jako człowieka przeznaczonego na ich naczelnika i przysięgli mi niezmiernie posłuszeństwo. Do Cyganek jednak należało ostatecznie wpłynąć na moje postanowienie. Dwie zwłaszcza nader wpadły mi w oko, jedna nazywała się Quitta, druga Zitta. Obie były zachwycające i nie wiedziałem, którą mam wybrać. Spozstrzegły moją niepewność i wydzwignęły mnie z kłopotu mówiąc, że wielożeństwo jest u nich dozwolone i że nie potrzeba żadnego obrzędu religijnego do uświęcenia małżeńskiego związku.

Wyznaję ze wstydem, że uwiodła mnie ta występna rozpusta. Niestety, jeden jest tylko sposób utrzymania się na drodze cnoty: należy unikać wszelkich ścieżek, których ona jasno nie oświeca. Jeżeli człowiek ukrywa swoje nazwisko, uczynki lub zamiary, niedługo będzie musiał tać się z całym swoim życiem. Związek mój z księżniczką w tym tylko był naganny, że musiałem go ukrywać, i wszystkie tajemnice mego życia stały się koniecznym jego następstwem. Bardziej niewinny urok zatrzymywał mnie w tych dolinach, a mianowicie urok życia, jakie w nich prowadzono. Widnokrąg niebios zawsze rozpięty nad naszymi głowami, świeżość jaskiń i lasów, woń powietrza, kryształowy wód, kwiaty, wyrastające niemal za każdym naszym krokiem, nareszcie cała natura wystrojona we wszystkie ponęty - działały kojąco na moją duszę znękaną światem i zgiełkliwą jego wrzawą.

Moje małżonki obdarzyły mnie dwiema córkami. Naówczas zacząłem zwracać większą uwagę na głos mego sumienia. Widziałem zgryzoty Manueli, które zaprowadziły ją do grobu. Postanowiłem, że moje córki nie będą ani mahometankami, ani pogankami. Należało nad nimi czuwać, nie było więc nad czym się namyślać, pozostałem w służbie Gomelezów. Powierzone mi nader ważne sprawy i niezmiernie sumy pieniędzy. Byłem bogaty, niczego dla siebie nie żądałem, ale za pozwoleniem mego zwierzchnika, ile mogłem, oddawałem się dobroczynności. Często udawało mi się wybawiać ludzi z wielkich nieszczęść.

W ogóle prowadziłem w głębi ziemi życie, jakie rozpocząłem na jej powierzchni. Znowu zostałem agentem dyplomatycznym. Jeździłem kilka razy do Madrytu i odbyłem kilka podróży poza granice Hiszpanii. Ten czynny sposób życia powrócił mi straconą dzielność. Coraz więcej do niego się przywiązywałem.

Tymczasem córki moje podrasstały. Podczas ostatniej mojej wycieczki wziąłem je ze sobą do Madrytu. Dwóch szlachetnie urodzonych młodzieńców potrafiło zjednać sobie ich serca. Ich rodziny zostają w związkach z mieszkańcami naszych podziemi i nie lękamy się, aby rozgadali to, co córki

moje mogłyby im powiedzieć o naszych dolinach. Skoro tylko obie wydam za mąż, natychmiast wstąpię do jakiegoś świętego schronienia, gdzie spokojnie będę oczekiwał końca życia, które chociaż niezupełnie było wolne od błędów, nic może się jednak nazywać występny. Chcieliście, abym wam opowiedział moje przygody, pragnę, abyście teraz nie żalowali waszej ciekawości.

- Rada bym tylko - rzekła Rebeka - dowiedzieć się, co się stało z Busquerem.

- Zaraz ci to opowiem - odparł Cygin. - Oćwiczenie w Barcelonie zraziło go do szpiegostwa, ale ponieważ otrzymał je pod nazwiskiem Robustiego, mniemał przeto, że w niczym nie mogło ono zaszkodzić sławie Busquera. Śmiało więc ofiarował swoje usługi kardynałowi Alberoniemu i został w jego ministerium gmatwaczem podrzędnym, podobnym w tym do swego opiekuna, który był znakomitym gmatwaczem.

Następnie inny awanturnik, nazwiskiem Ripperda, rządził Hiszpanią. Pod jego władzą Busqueros doznał jeszcze kilku pomyślnych dni, ale czas, który kładzie tamę najświetniejszym losom, pozbawił Busquera możliwości używania własnych nóg. Dotknięty paraliżem, kazał się zanosić na Plaza del Sol i tam jeszcze rozwijał zwykłą swą czynność, zatrzymując przechodniów i o ile możliwości mieszając się do ich spraw. Ostatnim razem widziałem go w Madrycie obok najzabawniejszej w świecie postaci, w której poznałem poetę Aguadeza. Wiek pozbawił go wzroku i bieda k pocieszał się myślą, że Homer także był ślepy. Busqueros opowiadał mu plotki miejskie, Agudez układał je wierszami i niekiedy słuchano go z przyjemnością, chociaż został mu tylko cień dawnych zdolności.

- Senor Avadoro - zapytałem z kolei - cóż się stało z córką Ondyny?

- Dowiesz się o tym później, tymczasem racz zająć się przygotowaniem do twego odjazdu.

Udaliśmy się w pochód i po długiej podróży przybyliśmy do doliny głęboko wydrążonej i zewsząd opasanej skałami. Gdy rozbito namioty, naczelnik Cyganów przyszedł do mnie i rzekł:

- Senor Alfonsie, weź twój kapelusz i szpadę i udaj się za mną.

Postąpiliśmy o sto kroków dalej i przybyliśmy do otworu w skale, przez który ujrzałem długą, ciemną galerię.

- Senor Alfonsie - rzekł do mnie naczelnik - znamy twoją odwagę, zresztą nie pierwszy raz odbywasz tę drogę. Wejdz w tę galerię i tak jak poprzednim razem zapuść się we wnętrzu ziemi. Żegnam cię, tu już musimy się rozstać.

Pamiętny pierwszej wycieczki, spokojnie postępowałem przez kilka godzin w ciemności. Nareszcie spostrzegłem światło i przybyłem do grobowca, gdzie ujrzałem tego samego modlącego się starego derwisza. Na szmer, który wchodząc sprawiłem, derwisz odwrócił się i rzekł:

- Witam cię, młodzieńcze! Z prawdziwą przyjemnością znowu cię tu oglądam. Umiąłeś dotrzymać twego słowa względem pewnej części naszej tajemnicy, teraz odkryjemy ci całą i nie prosimy już o milczenie. Tymczasem odpocznij i pokrzep siły.

Usiadłem na kamieniu i derwisz przyniósł mi koszyk, w którym znalazłem mięso, chleb i wino. Gdy posiliłem się, derwisz popchnął jedną ze ścian grobowca, obrócił ją na zawiasach i wskazał mi kręcone schodki.

- Zejdź tędy - rzekł do mnie - zobaczysz, co będziesz miał do czynienia.

Naliczyłem jeszcze blisko tysiąca schodów w ciemności i dostałem się do jaskini oświetlonej kilku lampami. Spostrzegłem kamienną ławkę, na której leżały uporządkowane dłuta stalowe i młotki z tegoż samego kruszcu. Przed ławką błyskała żyła złota objętości człowieka. Kruszec był ciemnożółty i zdawał się zupełnie czysty. Zrozumiałem, czego ode mnie żądano. Chciano, abym wykuł tyle złota, ile tylko będę mógł.

Ująłem dłuto lewą, młotek zaś prawą ręką i w krótkim czasie stałem się dość biegłym górnikiem; ale dłuta się tępiły i często musiałem je zmieniać. Po upływie trzech godzin wykułem więcej złota, aniżeli jeden człowiek mógłby udźwignąć.

Wtedy spostrzegłem, że jaskinia napełnia się wodą; wszedłem na schodki, ale woda ciągle się wznosiła, musiałem więc całkiem jaskinię opuścić. W grobowcu zastałem derwisza; pobłogosławił mnie i pokazał kręcone schodki, prowadzące do góry, którymi miałem się udać. Zacząłem wstępować i uszedłszy znowu jakie tysiąc kroków, znalazłem się w okrągłej sali, oświetlonej mnóstwem lamp, których blask odbijał się w płytach miki i opalu, zdobiących ściany.

W głębi sali wznosił się złoty tron, na którym siedział starzec w śnieżnym turbanie na głowie. Poznałem w nim pustelnika z doliny. Moje kuzynki bogato ubrane stały tuż przy nim. Kilku derwiszów w białej odzieży otaczało go z obu stron.

- Młody nazarejczyku - rzekł do mnie szejk - poznajesz we mnie pustelnika, który cię przyjmował w dolinie Gwadalkwiwuru, ale zarazem zgadujesz, że jesieni wielkim szejkiem Gomelezów. Przypominasz sobie zapewne twoje dwie małżonki. Prorok pobłogosławił ich pobożną tkliwością, obie wkrótce zostaną matkami i będą mogły ustalić plemię przeznaczone do powrócenia kalifatu rodzinie Alego. Nie zawiodłeś naszych nadziei, wróciłeś do obozu i najmniejszym słówkiem nie dałeś poznać tego, co ci się w naszych podziemiach przytrafiło. Oby Allah spuścił rosę szczęścia na twoją głowę!

To powiedziawszy szejk zszedł z tronu i uściskał mnie, kuzynki uczyniły to samo. Odesłano derwiszów, przeszliśmy do drugiej komnaty, gdzie w głębi zastawiono wieczerzę. Nie było tam już żadnych uroczystych przemów, żadnych namawiań do mahometanizmu. Wesoło przepędziliśmy razem znaczną część nocy.

Dzień sześćdziesiąty drugi

Nazajutrz z rana znowu posłano mnie do kopalni, gdzie wykułem taką samą ilość złota jak wczoraj. Wieczorem poszedłem do szejka i zastałem u niego obie moje małżonki. Prosiłem go, aby raczył zadowolić moją ciekawość względem wielu rzeczy, o których chciałem się dowiedzieć, zwłaszcza zaś o jego własnych przygodach. Szejk odpowiedział, że w istocie przyszedł czas, w którym należy mi odkryć całą tajemnicę, i zaczął w te słowa:

HISTORIA WIELKIEGO SZEJKA GOMELEZÓW

Widzisz we mnie pięćdziesiątego drugiego następcę Masuda Ben-Taher, pierwszego szejka Gomelezów, który wybudował Kassar, zniknął ostatniego piątku każdego miesiąca i następnego dopiero powracał.

Kuzynki twoje już ci niektóre rzeczy opowiedziały:

ja dokończę ich opowieść i odsłonię ci wszystkie nasze tajemnice. Maurowie już od kilku lat znajdowali się w Hiszpanii, gdy dopiero pomyśleli o zapuszczeniu się w doliny Alpuhary. Doliny te zamieszkiwał naówczas lud zwany Turdulami lub Turdetanami Krajowcy ci sami siebie nazywali Tarszisz i utrzymywali, że niegdyś przebywali w okolicach Kadyksu. Zatrzymali wiele wyrazów ze swego starożytnego języka, którym umieli nawet pisać. Litery tego języka oznaczano w Hiszpanii nazwą descunoseidas. Pod panowaniem Rzymian, a następnie Wizygotów Turdetanie składali bogate haracze, a w zamian za to zachowywali zupełną niepodległość i dawną wiarę. Czcili Boga pod imieniem Jahh i składali mu ofiary na górze, zwanej Gomelez Jahh, co oznaczało w ich języku Góra Jahha. Arabowie zdobywcy, nieprzyjaciele chrześcijan, jeszcze bardziej nienawidzili pogan lub tych, którzy za takich uchodzili.

Pewnego dnia Masud w podziemiach zamku znalazł kamień pokryty starożytnymi literami. Podniósł go i spostrzegł kręcone schodki, prowadzące do wnętrza góry, kazał więc przynieść sobie pochodnię i sam zapuścił się do środka. Znalazł komnaty, przejścia, korytarze, ale obawiając się zabłądzić, powrócił. Następnego dnia znowu zwiedził podziemia i spostrzegł pod nogami cząstki wypolerowane i świecące. Zebrał je, zaniósł do siebie i przekonał się, że to czyste złoto. Przedsięwziął trzecią podróż i idąc za śladem złotego pyłu dostał się do tej samej żyły złota, nad którą pracowałeś. Ostąpił na widok tylu bogactw. Powrócił czym prędzej i nie zaniechał wszelkich ostrożności, jakie tylko mógł wymyślić, dla zatajenia przed światem swego skarbu. Przy wejściu do podziemia kazał zbudować kaplicę i udał, że chce w niej prowadzić pustelnicze życie na modlitwie i rozmyślanu. Tymczasem ciągle pracował nad żyłą złota i kuł drogi kruszec, o ile możliwości najwięcej. Praca szła mu niezmiernie wolno, gdyż nie tylko nie śmiał przybrać pomocnika, ale nadto musiał potajemnie starać się o stalowe narzędzia, potrzebne mu do górniczej pracy.

Masud ujrzał wtedy, że bogactwa wcale nie stanowią o władzy, miał bowiem przed sobą więcej złota aniżeli wszyscy panowie ziemscy. Dobywanie jednak przychodziło mu z niesłychaną trudnością; poza tym nie wiedział, co począć ze złotem i gdzie je schować.

Masud był gorliwym wyznawcą Proroka i zagorzałym stronnikiem Alego. Mniemał, że sam Prorok odkrył mu i dał to złoto dla przywrócenia kalifatu swojej rodzinie, to jest potomkom Alego, i następnie przez nich dla nawrócenia świata na islam. Myśl ta zaprzętnęła jego umysł. Oddał się jej z tym większym zapałem, że ród Omajadów chwał się w Bagdadzie i powzięto nadzieję przywrócenia do tronu Alidów. W istocie, Abbasydzi wytopili Omajadów, ale żadna stąd korzyść nie wynikła dla rodu Alego, przeciwnie, jeden nawet z Omajadów przybył do Hiszpanii i został kalifem Kordowy.

Masud, widząc się bardziej niż kiedykolwiek otoczonym nieprzyjaciółmi, umiał pilnie się ukrywać. Zaniechał nawet wykonania swoich zamiarów, ale nadał im kształt, który, że tak powiem, zachowywał

je na przyszłość. Wybrał sześciu naczelników rodzin ze swego pokolenia, zobowiązał ich świętą przysięgą i odkrywszy im tajemnicę złotej żyły, rzekł:

- Od dziesięciu lat posiadam już ten skarb i nie mogłem uczynić z niego żadnego użytku. Gdybym był młodszy, byłbym mógł zebrać wojowników i panować złotem i mieczem. Ale odkryłem moje bogactwa za późno. Znano mnie jako stronnika Alego i zanim zdążyłbym zebrać stronnictwo, nie omieszkało by mnie zamordować. Mam nadzieję, że Prorok nasz przywróci kiedyś kalifat swojej rodzinie i że wtedy cały świat przejdzie na jego wiarę. Czas jeszcze nie nadszedł, należy go jednak przygotować. Mam stosunki w Afryce, gdzie tajemnie popieram Alidów, trzeba także w Hiszpanii utwierdzić potęgę naszego pokolenia. Na-de wszystko zaś musimy ukrywać nasze środki. Nie powinniśmy wszyscy nosić tego samego nazwiska. Ty więc, krewny mój, Zegrysie, z całym twoim rodem osiedlisz się w Grenadzie. Moi zostaną w górach i zachowają nazwisko Gomelezów. Inni oddalą się do Afryki i tam zaślubią córki Fatymidów. Zwłaszcza należy zwracać uwagę na młodzież, zgłębiać jej sposób myślenia i wystawiać na rozmaite próby. Jeżeli kiedykolwiek znajdzie się między nią młodzieniec obdarzony niepospolitymi zdolnościami i dzielnością, naówczas postara się o zrzucenie z tronu Abbasydów, wyępienie do szczętu Omajadów i przywrócenie kalifatu potomkom Alego. Według mego zdania, przyszły zdobywca powinien przyjąć tytuł Mahdiego, czyli Dwunastego Imama, i zastosować do siebie przepowiednię Proroka, który powiada, że "słońce wstanie na zachodzie".

Takie były zamiary Masuda. Zapisał je w księdze i nic odtąd nie przedsięwziął bez rady sześciu naczelników pokolenia. Nareszcie złożył godność i jednemu z nich powierzył miejsce wielkiego szejka i zamek Kassar-Gomelez. Ośmiu szejków nastąpiło po sobie. Zegryrowie i Gomelezi nabyli najpiękniejsze majątki w Hiszpanii, niektórzy przeszli do Afryki, objęli ważne stanowiska i spokrewnili się z najmożniejszymi rodzinami.

Już upływał drugi wiek Hegiry, gdy jeden z Zegryrowów ośmielił się ogłosić Mahdim, czyli naczelnikiem według prawa. Założył stolicę w Kairuanie, o jeden dzień drogi od Tunisu, podbił całą Afrykę i stał się głową rodu kalifów Fatymidów. Szejk Kassar-Gomelezu posłał mu mnóstwo złota, zresztą musiał więcej niż kiedykolwiek osłaniać się mrokiem tajemnicy, chrześcijanie bowiem brali górę i obawiano się, aby Kassar nie popadł w ich ręce. Wkrótce szejk wpadł w drugi kłopot. Było nim nagłe wzniesienie się Abencerragów, rodu nieprzyjaznego naszemu i zupełnie odmiennego od nas sposobu myślenia.

Zegryrowie i Gomelezi byli dzikimi, zamkniętymi w sobie i gorliwymi o wiarę; przeciwnie, Abencerragowie postępowali łagodnie, dworsko z kobietami i przyjaźnie z chrześcijanami. Przeniknęli do pewnego stopnia nasze tajemnice i otoczyli nas zasadzkami.

Następcy Mahdiego zdobyli Egipt i zostali uznani w Syrii równie jak w Persji. Potęga Abbasydów runęła ze szczętem. Książęta turkmeńscy owładnęli Bagdadem, pomimo to jednak wyznanie Alego mało co się rozszerzało i wyznanie sunnickie wciąż miało nad nim przewagę.

W Hiszpanii Abencerragowie coraz bardziej psuli obyczaje. Kobiety pokazywały się bez zastón, mężczyźni zaś wzdychali u ich nóg. Szejkowie Kassaru nie wychodzili więcej z zamku i nie dotykali się złota. Stan ten trwał długo, nareszcie Zegryrowie i Gomelezi, pragnąc ocalić wiarę i królestwo, spiknęli się przeciw Abencerragom i wymordowali ich na Lwim Podwórzcu, we własnym ich pałacu, zwanym Alhambra.

Nieszczęsny ten wypadek pozbawił Grenadę znacznej części obrońców i przyspieszył jej zgon. Doliny Alpuhary, idąc za przykładem reszty kraju, poddały się zwycięzcom. Szejk Kassar-Gomelezu zburzył swój zamek i schronił się do wnętrza podziemi, do tych samych komnat, gdzie widział braci Zota. Sześć rodzin ukryło się wraz z nim we wnętrzościach ziemi, reszta schroniła się do przyległych jaskiń, których otwory wychodziły na inne doliny.

Niektórzy z Zegryków i Gomelezów przyjęli wiarę chrześcijańską lub przynajmniej udali nawrócenie. W ich liczbie była rodzina Morów, którzy trzymali wprzódy dom handlowy w Grenadzie, a następnie zostali nadwornymi bankierami. Nie obawiali się braku funduszy, mieli bowiem do rozporządzenia wszystkie skarby podziemia. Związki z Afryką ciągle trwały, zwłaszcza zaś z królestwem Tunisu. Wszystko szło dość dobrze, aż do czasów Karola, cesarza i króla hiszpańskiego. Zakon Proroka, który już nie błyszczał w Azji tak świetnie jak za kalifów, szerzył się natomiast w Europie, wsparty podbojami Otomanów.

W owej epoce niezgoda, wszystko burząca na ziemi, wdarła się także i pod ziemię, czyli do naszych jaskiń. Szczupłość przestrzeni rozjątrzała jeszcze wzajemne nienawiści. Sefi i Billah powadzili się o godność szejka, o którą w istocie warto było się ubiegać, jako o nadającą prawo rozporządzania niewyczerpaną kopalnią. Sefi, przekonany o swojej słabości, chciał przejść na stronę chrześcijan; Billah utopił mu sztylet w piersiach, po czym zastanowił się nad bezpieczeństwem ogółu. Tajemnicę podziemia spisano na pergaminie i pokrajano go na sześć pasek, prostopadłych do pisma. Tylko więc razem złączone można je było przeczytać. Każdy pasek powierzono jednemu z sześciu naczelników rodzin i pod karą śmierci zakazano udzielać innym. Wtajemniczony nosił pasek na prawym ramieniu. Billah nad wszystkimi mieszkańcami podziemia i okolic zachował prawo życia i śmierci. Sztylet, który zanurzył w piersiach Sefiego, stał się oznaką jego władzy i przechodził w dziedzictwie do następców. Zaprowadziwszy tym sposobem surowy rząd w podziemiach, Billah z niezłomną energią zajął się sprawami Afryki. Gomelezowie posiadli w niej kilka tronów. Zapanowali w Tarudancie i Tlemcenie, ale Afrykańczycy są to ludzie lekkomyślni, słuchający przede wszystkim głosu namiętności, działalność więc Gomelezów w tej części świata nigdy nie dawała takich wyników, jakich by się należało spodziewać.

Około tego czasu zaczęto prześladować Maurów pozostałych w Hiszpanii. Billah zręcznie skorzystał z tej okoliczności. Z niesłychaną przebiegłością urządził system wzajemnej opieki między podziemiem a ludźmi piastującymi wysokie urzędy. Ci sądzili, że opiekują się tylko kilkoma rodzinami mauretańskimi, chcącymi pozostać w spokoju, rzeczywiście zaś dopomagali zamiarom szejka, który w nagrodę otwierał im swoją kieszę. Spostrzegam także w naszych rocznikach, że Billah ustanowił, a raczej przywrócił próby, przez jakie młodzież musiała przechodzić dla udowodnienia dzielności swego charakteru. Próby te przed Billahem puszczone w zapomnienie. Wkrótce nastąpiło wygnanie Maurów. Szejk podziemia nazywał się Kader. Był to człek mądry, który nie zaniechał wszelkich środków, jakie tylko mogły zapewnić bezpieczeństwo ogółu. Bankierowie Moro utworzyli stowarzyszenie ludzi znaczących, którzy udawali miłosierdzie dla Maurów; pod tym pozorem wyświadcza im tysiączne przysługi i kazali sobie sówicie płacić.

Maurowie, wygnani do Afryki, unieśli ze sobą ducha zemsty bezustannie ich ożywiającego. Można było myśleć, że cała ta część świata powstanie i zaleje Hiszpanię; ale wkrótce państwa afrykańskie przeciw nim się oświadczyły. Na próżno w wewnętrznych wojnach krew hojnie się lała, na próżno

szejkowie podziemia sypali złoto, nieubłagany Mulaj Izmael skorzystał ze stuletnich niezgód i założył państwo dotąd istniejące.

Tu przechodzę do chwili mego urodzenia i już o samym sobie będę ci opowiadał.

Gdy szejek domawiał tych słów, oznajmiono, że wieczerza jest już na stole, i wieczór ten upłynął nam jak poprzedzający.

Dzień sześćdziesiąty trzeci

Z rana znowu wysiano mnie do podziemia. Ile mogłem, tyle złota wykułem; zresztą przyzwyczałem się już do tej pracy, całe dni bowiem tylko przy niej spędzałem. Wieczorami chodziłem do szejka, gdzie zastawałem moje kuzynki. Prosiłem go, aby dał mi opowiadać swoje przygody, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW

Zaznajomiłem cię z historią naszych podziemi, na ile samemu mi jest wiadoma, teraz zaś opowiem ci własne moje przygody. Urodziłem się w obszernej jaskini, przyległej do tej, w której się znajdujemy. Światło pochyło do niej wpadało, nieba wcale nie było widać, ale wychodziliśmy między rozpadliny skał oddychać świeżym powietrzem, gdzie pokazywała się część sklepienia niebieskiego, a często nawet i słońce. Mieliśmy na powierzchni małą kwaterę, na której uprawialiśmy kwiaty. Mój ojciec był jednym z sześciu naczelników rodzin. Na mocy tego wraz z całą rodziną mieszkał w podziemiu. Krewni jego zamieszkiwali doliny i uchodzili za chrześcijan. Niektórzy osiedlili się na przedmieściu Grenady, zwanym Albaycin. Wiesz, że nie ma tam wcale domów, a mieszkańcy zajmują wydrążenia skalne na pochyłości góry. Kilka z tych szczególnych mieszkań łączyło się z pewnymi jaskiniami, które dochodziły aż do naszego podziemia. Najbliżsi mieszkańcy co piątek schodzili się do nas na wspólną modlitwę, dalsi przybywali tylko na wielkie uroczystości.

Matka mówiła do mnie po hiszpańsku, ojciec zaś po arabsku, stąd też dokładnie poznałem oba języki, zwłaszcza zaś drugi z nich. Nauczyłem się na pamięć Koranu i często zagłębiałem się nad komentarzami. Od najmłodszych lat byłem gorliwym mahometaninem, nader przywiązany do wyznania Alego; przeciw chrześcijanom zaszczepiono we mnie gwałtowną nienawiść. Wszystkie te uczucia, że tak powiem, zrodziły się razem ze mną i wzrastały w ciemnościach naszych jaskiń.

Doszedłem osiemnastego roku życia i zdawało mi się, że już od kilku lat jaskinie gniotą mnie i duszę. Wzdychałem do wolnego powietrza; uczucie to wywarło wpływ na moje zdrowie, słabłem, nikałem w oczach i matka pierwsza stan ten we mnie spostrzegła. Zaczęła badać moje serce; powiedziałem jej wszystko, czego doznawałem. Opisałem jej dręczącą mnie duszność i szczególną niespokojność serca, której nie potrafiłem wyrazić. Dodałem, że koniecznie pragnę odetchnąć innym powietrzem, widzieć niebo, lasy, góry, morze, ludzi i że umrę, jeżeli mi tego nie dadzą. Matka zalała się łzami i rzekła:

- Drogi Masudzie, choroba twoja jest zwykłą między nami. Ja sama ją miałam i wtedy pozwolono mi przedsięwziąć kilka wycieczek. Byłam w Grenadzie i dalej. Ale inaczej rzecz się ma z tobą. Powzięto Względem ciebie ważne zamiary; wkrótce rzucą cię w świat, i to daleko więcej, aniżeli bym tego pragnęła. Wszelako przyjdź do mnie jutro o świcie, postaram się, abyś odetchnął świeżym powietrzem.

Nazajutrz stawilem się na spotkanie naznaczone mi przez matkę.

- Kochany Masudzie - rzekła do mnie - chcesz zażyć świeższego powietrza aniżeli to, jakim oddychasz w naszych jaskiniach, uzbrój się zatem w cierpliwość. Pełznąć przez jakiś czas pod tą skałą, dostaniesz się do nader głębokiej i ciasnej doliny, ale gdzie powietrze jest swobodniejsze niż u nas. W niektórych miejscach możesz nawet wdrapać się na skały i ujrzysz pod nogami niezmierny widnokrąg. Ta wyżłobiona droga była początkowo rozpadliną, która popękała w różnych kierunkach. Jest to labirynt krzyżujących się ścieżek, masz więc oto kilka węgli i gdy spotkasz przed sobą rozdroża, naznacz tę drogę, którą szedłeś; tym tylko sposobem nie zabłądzisz. Weź ze sobą ten worek z zapasami; co do wody, tej będziesz miał pod dostatkiem. Spodziewam się, że nikogo nie spotkasz; dla pewności zatknij jednak za pas jatagan. Wielce się narażam, dogadzając twoim żądaniom, dlatego też nie zabaw długo.

Podziękowałem mojej dobrej matce, zacząłem pełznąć i wyszedłem do ciasnego i wyżłobionego przejścia, wyłożonego atoli zielonością. Następnie spostrzegłem małą zatokę pięknej wody, dalej zaś krzyżujące się wąwozy. Szedłem przez znaczną część dnia. Szmer strumienia zwrócił moją uwagę, postąpiłem ku jego spadkowi i przybyłem do zatoki, w którą strumień się rzucał. Miejsce to było zachwycające. Przez chwilę stałem osłupiały z podziwu, następnie głód zaczął mi dokuczać, dobyłem z worka zapasy, dopełniłem umywania, nakazanego prawem Proroka, i zabrałem się do posiłku. Skończywszy moją ucztę, znowu obmyślałem się, pomyślałem o powrocie do podziemia i udałem się tą samą drogą. Wtedy usłyszałem dziwny szmer wody, obróciłem się i ujrzałem wychodzącą z wodospadu kobietę. Zmoczona włosy prawie całą ją okrywały, miała jednak oprócz tego zieloną jedwabną suknię, przylegającą do ciała. Wróżka, wyszedłszy z wody, skryła się w krzaku, po czym wyszła w wysuszonej sukni i z włosami zawiniętymi na grzebień.

Wstąpiła na skałę, jak gdyby pragnęła nacieszyć się widokiem, następnie zaś wróciła do źródła, z którego była wyszła. Mimowolnym poruszeniem chciałem ją zatrzymać i zastąpiłem jej drogę. Z początku przelęknęła się, ale ja padłem na kolana i pokorna ta postawa nieco ją uspokoiła. Zbliżyła się do mnie, wzięła za brodę, podniosła mi głowę i pocałowała w czoło. Nagle z szybkością błyskawicy rzuciła się w zatokę i zniknęła. Byłem pewny, że to wróżka lub - jak je nazywają w naszych arabskich powieściach - peri. Podeszedłem jednak do krzaka, w którym się skryła, i znalazłem na nim sukienkę, rozwieszoną jakby do wysuszenia.

Nie miałem po co dłużej czekać, wróciłem więc do podziemia. Uściskałem moją matkę, ale nie opowiedziałem jej przygody, jaka mnie spotkała, wyczytałem bowiem w naszych gazdach, że wróżki lubią, aby im dochowywać tajemnicy. Tymczasem matka moja, widząc mnie tak nadzwyczajnie ożywionego, cieszyła się, że nastręczona mi przez nią wolność wywarła równie pomyślny skutek.

Nazajutrz wróciłem do źródła. Ponieważ nazaczyłem je wprzód węglem, teraz z łatwością je wynalazłem. Stanąwszy u celu, zacząłem z całych sił wołać na wróżkę i przepraszać, że ośmieliłem się dopełniać umywania w jej źródle. I tym jednak razem to samo uczyniłem, po czym rozłożyłem moje

zapasy, których, tajemnym przecuciem wiedziony, przyniosłem na dwoje. Jeszcze nie zacząłem być mojej uczty, gdy w źródle usłyszałem szmer i wyszła z niego wróżka z śmiejącą twarzą, pryskając na mnie wodą.

Pobiegła do krzaka, przebrała się w suchą suknię i usiadła przy mnie. Zajadała jak zwykła śmiertelniczka ale nie rzekła ani słowa. Wyobraziłem sobie, że jest to zwyczaj wróżek, i nic przeciw niemu nie miałem do powiedzenia.

Don Juan Avadoro zapoznał cię ze swymi przygodami, zgadujesz zatem, że moja wróżka była jego córka Ondyną, która zanurzała się pod sklepienia skal i ze swego jeziora wyływała do zatoki.

Ondyna była niewinna, a raczej nie znała ani grzechu, ani niewinności. Postać miała tak czarującą, obejście tak proste i ponętne, że marząc w duszy, iż zostałem małżonkiem wróżki, namiętnie ją pokochałem. Trwało to przez miesiąc. Pewnego dnia szejk kazał mnie przywołać. Zastałem u niego zgromadzonych sześciu naczelników rodzin. Mój ojciec był między nimi.

- Synu mój - rzekł do mnie - opuścisz nasze jaskinie i udasz się do tych szczęśliwych krajów, gdzie wyznają wiarę Proroka.

Słowa te krew mi ścięły w żyłach. Wszystko mi było jedno: umrzeć lub rozłączyć się z wróżką.

- Drogi ojciec - zawołałem - pozwól, abym nigdy nie opuszczał tych podziemi.

Zaledwie wymówiłem te wyrazy, gdy ujrzałem wszystkie sztylety wzniesione nade mną.

Ojciec zdawał się pierwszym do przeszywania mi serca.

- Przystaję na śmierć - rzekłem - ale dozwól mi wprzód pomówić z matką.

Udzielono mi tej łaski; rzuciłem się w jej objęcia i opowiedziałem moje przygody z wróżką. Matka mocno się zdziwiła i rzekła:

- Kochany Masudzie, nie sądziłam, że wróżki istnieją na świecie. Zresztą nie znam się na tym, ale mieszka stąd niedaleko pewien bardzo mądry Hebrajczyk, którego się o to zapytam. Jeżeli ta, którą kochasz, jest wróżką, potrafi cię wszędzie znaleźć. Z drugiej jednak strony wiesz, że najmniejsze nieposłuszeństwo karzą u nas śmiercią. Starcy nasi powzięli względem ciebie wielkie zamiary, poddaj się im czym prędzej i staraj się zasłużyć na ich przychyłność.

Słowa mojej matki wywarły na mnie silne wrażenie. Wyobraziłem sobie, że w istocie wróżki są wszechmocne i że moja wynajdzie mnie. choćby na końcu świata. Poszedłem do ojca i przysiągłem ślepe posłuszeństwo na wszelkie rozkazy.

Nazajutrz wyjechałem w towarzystwie pewnego mieszkańca Tunisu, nazwiskiem Sid-Ahmet, który naprzód zawiózł mnie do swego rodzinnego miasta, jednego z najrozkoszniejszych w świecie. Z Tunisu udaliśmy się do Zaguanu, małego miasteczka słynnego z wyrobu czerwonych czapeczek, znanych pod nazwą fezów. Powiedziano mi, że niedaleko miasta znajduje się szczególniejszy budynek złożony z kaplicy i galerii otaczającej półkołem małą zatokę. Woda strumieniem wytryskuje z kaplicy i napełnia zatokę. Dawnymi czasy woda z zatoki wchodziła do wodociągu prowadzącego ją do Kartaginy. Mówiono także, że kaplica poświęcona jest jakiemuś bóstwu źródła. Wyobraziłem sobie, szalony, że bóstwem tym jest moja wróżka. Udałem się do źródła i zacząłem ją z całych sił przyzywać. Echo mi

tylko odpowiedziało. Wspomniano mi znowu w Zaguanie o pałacu duchów, którego zwaliska leżały o kilka mii w głębi pustyni. Poszedłem i ujrzałem tam okrągły budynek, w dziwnie pięknym smaku wystawiony. Spostrzegłem jakiegoś człowieka, siedzącego na zwaliskach i rysującego. Zapytałem go po hiszpańsku, czy to prawda, że duchy zbudowały ten pałac. Uśmiechnął się i odpowiedział mi, że jest to teatr, w którym starożytni Rzymianie wyprawiali walki dzikich zwierząt, i że miejsce to, dziś nazywające się el-Dżem, było niegdyś ową sławną Zamą. Objaśnienie podróznego wcale mnie nie zajęło; wolałbym być spotkać duchy, które by mi co doniosły o mojej wróżce.

Z Zaguanu udaliśmy się do Kairuanu, dawnej stolicy Mahdich. Było to ogromne miasto o stu tysiącach mieszkańców, burzliwych i w każdej chwili skłonnych do powstania. Przepędziliśmy tam cały rok.

Z Kairuanu przeszliśmy do Gadames, małego niepodległego kraiku, który stanowił część Beled-el-Dżeridu, czyli kraju daktyłów. Tak nazywają okolicę rozciągającą się między pasmem Atlasu a piaszczystą pustynią Sahary. Drzewa daktylowe tak obficie rodują w tym kraju, że jedno może przez cały rok wyżywić wstrzemięźliwego człowieka, a tacy składają tameczny lud. Nie brak wszelako i innych środków pożywienia, jak zboże, zwane durra, oraz barany na wysokich nogach i bez wełny, których mięso jest wyśmienite.

Znaleźliśmy w Gadames wielką ilość Maurów rodem z Hiszpanii. Nie było pomiędzy nimi ani Zegrysów, ani Gomelezów, wiele jednak rodzin szczerze do nas przywiązanych; w każdym razie, był to kraj zbiegów. Jeszcze rok nie był upłynął, gdy otrzymałem od mego ojca list kończący się tymi słowy: "Matka każe ci powiedzieć, że wróżki są zwykłymi kobietami i że nawet mają dzieci". Zrozumiałem, że moja wróżka była podobną do mnie śmiertelniczką, i myśl ta uspokoiła nieco moją wyobraźnię.

Gdy szejek domawiał tych słów, jeden z derwiszów oznajmił nam, że wieczerza jest już zastawiona, wesóło więc poszliśmy do stołu.

Dzień sześćdziesiąty czwarty

Nazajutrz nie zaniechałem udać się do kopalni, gdzie przez cały dzień gorliwie wykonywałem rzemiosło górnika. Wieczorem poszedłem do szejka i prosiłem go, aby dalej raczył opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW

Mówiłem ci, że otrzymałem od mego ojca list, z którego dowiedziałem się, że moja wróżka jest kobietą. Znajdowałem się naówczas w Gadames. Sid-Ahmet wyprawił się ze mną do Fezanu, kraju większego od Gadames, ale mniej żyznego, i gdzie mieszkańcy są wszyscy czarni. Stamtąd udaliśmy się do oazy Ammona, gdzie musieliśmy czekać na wiadomości z Egiptu. Ludzie wysłani przez nas powrócili po dwóch tygodniach z ośmioma dromaderami. Chód tych zwierząt był nie do wytrzymania,

trzeba go było jednak znosić przez osiem godzin bez przerwy. Gdy zatrzymaliśmy się, dano każdemu dromaderowi kulkę z ryżu, gumy i kawy; wypoczęliśmy przez cztery godziny i znowu ruszyliśmy w drogę.

Trzeciego dnia stanęliśmy w Bahr-bela-ma, czyli na morzu bez wody. Jest to szeroka dolina piaszczysta i pokryta muszlami; nie spostrzegliśmy żadnego śladu ani roślin, ani zwierząt. Wieczorem przybyliśmy na brzegi jeziora obfitującego w natron, który jest rodzajem soli. Tam porzuciliśmy naszych przewodników i dromadery i przepędziłem noc sam na sam z Sid-Ahmetem. O świcie przybyło ośmiu krzepkich ludzi, którzy posadzili nas na noszach dla przeniesienia przez jezioro. Postępowali jeden za drugim, gdzie bród zdawał się dość wąski. Natron kruszył się pod ich stopami, które jednak dla ochrony od ran poowiązywali skórami. Tym sposobem niesiono nas dłużej niż przez dwie godziny. Jezioro wychodziło w dolinę osłoniętą dwiema skałami z białego granitu, po czym ginęło pod wielkim sklepieniem, utworzonym przez naturę, ale wykończonym ręką ludzką.

Tu przewodnicy rozniecili ogień i nieśli nas jeszcze przez jakieś sto kroków, aż do pewnego rodzaju przystani, gdzie łódź na nas czekała. Przewodnicy nasi ofiarowali nam lekki pokarm, sami zaś posilali się, pijąc i kurząc haszysz, czyli wyskok z konopianego nasienia. Następnie rozpalili pochodnię z żywicy, szeroko oświetlając przestrzeń dokoła, i uczepili ją do steru łodzi. Wsiedliśmy, nasi przewodnicy zmienili się w wiosłarzy i przez całą resztę dnia płynęli z nami pod ziemią. Nad wieczorem przybyliśmy do zatoki, skąd kanał rozlewał się na kilka koryt. Sid-Ahmet rzekł mi, że tu zaczyna się sławny w starożytności labirynt Ozymandiasa. Dziś pozostała tylko podziemna część gmachu, łącząca się z jaskiniami Luksoru i z wszystkimi podziemiami Tebaidy.

Zatrzymano łódź przy wejściu do jednej z zamieszkałych jaskiń, sternik poszedł dla nas po pożywienie, po czym owinęliśmy się w nasze haiki i zasnęliśmy w łodzi.

Nazajutrz znowu wzięto się do wiosł. Łódź nasza płynęła pod obszernymi galeriami, nakrytymi płaskimi głazami nadzwyczajnego rozmiaru; niektóre z nich całkiem zapisane były hieroglifami. Przybyliśmy nareszcie do portu i udaliśmy się do miejscowej załogi. Dowodzący nią wojskowy zaprowadził nas do swego naczelnika, który podjął się przedstawienia nas szejkowi Druzów.

Szejk przyjaźnie podał mi rękę i rzekł:

- Młody Andaluzyjczyku, bracia nasi z Kassar-Gomelezu pochlebnie piszą mi o tobie. Oby błogostawieństwo Proroka spoczęło na tobie.

Sid-Ahmeta szejk zdawał się znać od dawna. Zastawiono wieczerzę, po czym wpadli jacyś ludzie dziwnie ubrani i zaczęli rozmawiać z szejkiem w języku dla mnie niezrozumiałym. Wyrażali się z gwałtownością, wskazując na mnie, jak gdyby oskarżali mnie o jakąś zbrodnię. Rzuciłem wzrokiem na mego towarzysza podróży, ale ten znikł. Szejk wpadł w niepohamowany gniew. Porwano mnie, okuto mi łańcuchami ręce i nogi i wrzucono do więzienia.

Była to jaskinia wykuta w skale, tu i ówdzie poprzerywana łączącymi się ze sobą wydrążeniami. Lampa oświetlała wejście do mego podziemia, spostrzegłem dwoje przeraźliwych oczu, a tuż za nimi straszliwą paszczę, uzbrojoną w potworne zęby. Krokodyl wsunął pół swego ciała do mojej jaskini i groził mi pochłonięciem. Byłem skrępowany, nie mogłem się ruszyć, odmówiłem więc modlitwę i czekałem śmierci.

Krokodyl jednak przykuty był na łańcuchu, była to próba, na jaką chciano wystawić moją odwagę. Druzowie tworzyli wówczas liczną sektę na Wschodzie. Początek jej odnosi się do pewnego zagorzałego nazwiskiem Darazi, który w istocie był tylko narzędziem Hakima Biamrillaha, trzeciego kalifa Fatymidów w Egipcie. Władca ten, znany ze swej bezbożności, usiłował koniecznie przywrócić dawne izyjskie zabobony. Rozkazał się uważać za wcielenie bóstwa i oddawał się najpotworniejszym sprośnościom, do których upoważniał także swoich zwolenników. W owej epoce nie zniesiono jeszcze zupełnie dawnych misterii i odprawiano je w podziemiach labiryntu. Kalif kazał się wtajemniczyć, ale upadł w szalonych swoich przedsięwzięciach. Zwolennicy jego, prześladowani, schronili się do labiryntu.

Dziś wyznają najczystszą wiarę mahometańską, ale zastosowaną do sekty Alego, jaką niegdyś przyjęli Fatymidzi. Przybrali nazwę Druzów dla uniknięcia powszechnie znienawidzonego miana Hakimitów. Druzowie z dawnych misterii zostawili tylko zwyczaj wystawiania na próby. Byłem obecny przy kilku i zauważyłem środki fizyczne, nad którymi bez wątpienia byłiby się zastanowili pierwsi uczeni europejscy;

nadto zdaje mi się, że Druzowie mają pewne stopnie wtajemniczenia, gdzie wcale już nie chodzi o mahometanizm, ale o rzeczy, o których nie mam żadnego pojęcia. Zresztą do zbadania ich byłem naówczas zbyt młody. Przepędziłem cały rok w podziemiach labiryntu, jeździłem często do Kairu, gdzie stawałem u ludzi tajemnymi związkami z nami połączonych.

Właściwie mówiąc, podróżowaliśmy jedynie dla poznania skrytych nieprzyjaciół wyznania sunnickiego, naówczas panującego. Wybraliśmy się w drogę do Maskatu, gdzie imam wyraźnie oświadczył się przeciw sunnitom. Znakomity ten duchowny przyjął nas nader uprzejmie, pokazał nam spis wierzących w niego pokoleń arabskich i dowiódł, że z łatwością może simnitów z Arabii wypędzić. Wszelako nauka jego sprzeciwiała się wyznaniu Alego, nie mieliśmy więc z nim nic do czynienia.

Stamtąd popłynęliśmy do Bassory i przez Szyraz przybyliśmy do państwa Safawidów. Tu w istocie wszędzie znaleźliśmy wyznanie Alego panującym, ale Persowie oddali się rozkoszom, niezgodom domowym i mało co dbali o postęp islamu poza swym krajem. Zalecano nam odwiedzenie Jezydów, zamieszkujących wierzchołki Libanu. Nazwę Jezydów nadawano różnym rodzajom sekciarzy, ci właściwie znani są pod nazwą Mutawali. Z Bagdadu więc skierowaliśmy się drogą przez pustynię i przybyliśmy do Tadmory, którą wy nazywacie Palmirą, skąd napisaliśmy do szejka Jezydów. Przystał nam konie, wielbłądy i zbrojny orszak.

Zastaliśmy cały naród zgromadzony w dolinie niedaleko Baalbeku. Tam doznaliśmy prawdziwego zadowolenia. Sto tysięcy zagorzałych wyło przekleństwa na Omara i pochwały dla Alego. Odprawiono pogrzebową uroczystość na cześć Hussejna, syna Alego. Jezydowie nożami krajali sobie ramiona, niektórzy nawet, uniesieni gorliwością, poprzerynali sobie żyły i poumierali, nurzając się we własnej krwi.

Zabawiliśmy dłużej u Jezydów, aniżeli się spodziewałem, i otrzymaliśmy nareszcie wiadomości z Hiszpanii. Rodzice moi już nie żyli i szejk zamierzał mnie usynowić. Po czterech latach podróży szczęśliwie na koniec

wróciłem do Hiszpanii. Szejk usynowił mnie ze wszystkimi zwykłymi uroczystościami. Wkrótce uwiadomiono mnie o rzeczach, nie znanych nawet sześciu naczelnikom rodzin. Chciano, ażeby

został Mahdim. Naprzód miałem się dać uznać na Libanie. Druzowie egipscy oświadczyli się za mną, Kairuan także przeszedł na moją stronę; w każdym razie to ostatnie miejsce powinienem był obrać na stolicę. Przeniósłszy tam bogactwa Kassar-Gomelezu, mogłem zostać wkrótce najpotężniejszym władcą na ziemi.

Wszystko to było nieźle wymyślone, ale naprzód - byłem jeszcze zbyt młody, po wtóre - nie miałem żadnego pojęcia o wojnie. Postanowiono więc, że niezwłocznie udam się do wojska otomanskiego, które naówczas toczyło bój z Niemcami. Obdarzony łagodnym sposobem myślenia, chciałem oprzeć się tym zamiarom, ale trzeba było być posłusznym. Wyprawiono mnie, jak na znakomitego wojownika przystało; udałem się do Stambułu i przyłączyłem do orszaku wezyra. Pewien wódz niemiecki, imieniem Eugeniusz, pobił nas na głowę i zmusił wezyra do cofnięcia się za Tunę, czyli Dunaj. Następnie chcieliśmy znowu rozpocząć zaczepną wojnę i przejść do Siedmiogrodu. Postępowaliśmy wzdłuż Prutu, gdy Węgrzy z tyłu na nas wpadli, odcięli od granic kraju i do szczętu rozbili. Dostałem dwie kule w piersi i porzucono mnie na polu bitwy jako poległego.

Koczujący Tatarzy podnieśli mnie. owiązali moje rany i za całe pożywienie dawali mi skwaśnięte nieco kobyłe mleko. Napój ten, mogę śmiało rzec, ocalił mi życie. Przez rok jednak tak dalece byłem osłabiony, że nie mogłem dosiąść konia, i gdy horda zmieniała koczowisko, kładziono mnie na wozie z kilkoma starymi kobietami, które mnie pielęgnowały.

Umysł mój, równie jak ciało, upadł na siłach i nie mogłem ani słowa nauczyć się po tatarsku. Po upływie dwóch lat spotkałem mułłę znającego język arabski. Powiedziałem mu, że jestem Maurem z Andaluzji i że błagam, aby mi pozwolono wrócić do ojczyzny.

Mułła przemówił za mną do chana, który dał mi pieniędzy na podróż.

Dostałem się nareszcie do naszych jaskiń, gdzie od dawna uważano mnie za straconego. Przybycie moje sprawiło powszechną radość. Sam tylko szejek nie cieszył się, widząc mnie tak osłabionego i z nadwierzonym zdrowiem. Teraz mniej niż kiedykolwiek byłem zdolny na Mahdiego. Wszelako wysłano posła do Kairuanu dla wybadania umysłów, chciano bowiem czym prędzej rozpocząć.

Posel wrócił po sześciu tygodniach. Wszyscy otoczyli go z nadzwyczajną ciekawością, gdy wtem, w samym środku opowiadania, padł jak zemdlony. Udzielono mu pomocy, odzyskał przytomność, chciał mówić, ale nie mógł zebrać myśli. Zrozumiano tylko, że w Kairuanie panuje zaraza. Chciano go oddalić, ale już było za późno: dotyczyano się podróżnego, przenoszono jego rzeczy i od razu wszyscy mieszkańcy jaskiń ulegli straszliwej klęsce.

Była to sobota. Następnego piątku, gdy Maurowie z dolin zeszli się na modlitwę i przynieśli dla nas żywność, zastali tylko trupy, pośród których ja czołgałem się z wielką naroślą pod lewą piersią. Unikałem jednak śmierci.

Nie lękając się już zarazy, wziąłem się do grzebania umarłych. Rozbierając sześciu naczelników rodzin, znalazłem sześć pasków pergaminowych, złożyłem je i odkryłem tajemnicę niewyczerpanej kopalni. Szejek przed śmiercią otworzył wodociąg, spuściłem więc wodę i przez jakiś czas napawałem się widokiem moich bogactw, nie śmiejąc ich dotknąć. Życie moje było okropnie burzliwe, potrzebowałem spoczynku i godność Mahdiego nie miała dla mnie żadnego powabu.

Zresztą nie posiadałem tajemnicy porozumiewania się z Afryką. Mahometanie mieszkający w dolinie po-stanowili odtąd modlić się u siebie, byłem więc sam w całym podziemiu. Zalałem znowu kopalnię, pozabierałem klejnoty znalezione w jaskini, wymyłem je starannie w occie i udałem się do Madrytu jako mauretański kupiec klejnotów z Tunisu.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem miasto chrześcijańskiej zdziwiła mnie wolność kobiet i zgorszony byłem lekkomyślnością mężczyzn. Z utęsknieniem wzdychałem za przesiedleniem się do jakiego miasta mahometańskiego. Chciałem oddalić się do Stambułu, żyć tam w zbytkownym zapomnieniu i kiedy niekiedy powracać do jaskiń dla odnowienia moich funduszów.

Takie były moje zamiary. Myślałem, że nikt o mnie nie wie; ale myliłem się. Aby lepiej uchodzić za kupca, udawałem się w aleje publiczne i rozkładałem tam moje klejnoty. Ustanawiałem na nie stałą cenę i nigdy nic wdawałem się w żadne targi. Postępowanie to zjednało mi powszechną wziętość i zapewniło korzyści, o jakie wcale nie dbałem. Tymczasem gdziekolwiek się ruszyłem, czy to na Prado, czy do Buen Retiro, albo w jakiegokolwiek inne publiczne miejsce, wszędzie ścigał mnie jakiś człowiek, którego bystre i przenikliwe oczy zdawały się czytać w mojej duszy.

Bezustanne spojrzenia tego człowieka wprawiały mnie w niewypowiedziany niepokój.

Szejk zamyślił się, jakby przypominał sobie doznane wrażenia; wtem dano znać, że wieczera jest już na stole, odłożył zatem dalsze opowiadanie na dzień następny.

Dzień sześćdziesiąty piąty

Doszedłem do kopalni i znowu oddałem się mojej pracy. Wykułem już znaczną ilość najpiękniejszego złota; w nagrodę za moją pilność wieczorem szejk tak dalej jął rozpowiadać:

DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW

Mówiłem ci, że gdziekolwiek się w Madrycie obróciłem, jakiś nieznajomy ciągle ścigał mnie wzrokiem i nieustannymi spojrzeniami nabawiał niewypowiedzianej niespokojności. Pewnego wieczora postanowiłem nareszcie odezwać się do niego.

- Czego chcesz ode mnie? - rzekłem mu. - Czy chcesz mnie pożreć twoim wzrokiem? Co masz ze mną do czynienia?

- Nic - odpowiedział nieznajomy. - Chcę cię tylko zamordować, jeżeli wydasz tajemnicę Gomelezów.

Kilka tych słów objaśniło mi moje położenie. Zrozumiałem, że trzeba wyrzec się spoczynku, i posępna niespokojność, nieodstępna towarzysza wszystkich skarbów, owładnęła moim umysłem.

Było już dość późno. Nieznajomy zaprosił mnie do siebie, kazał zastawić wieczerzę, następnie zamknął

starannie drzwi i padając przede mną na kolana, rzekł:

- Władco jaskini, przyjmij mój hołd; ale jeżeli uchybisz twoim obowiązkom, zamorduję cię, jak Billah Gomelez zamordował niegdyś Sefiego.

Prosiłem mego niezwykłego wasala, aby raczył podnieść się, usiąść i opowiedzieć, kim jest. Nieznajomy, posłuszny moim życzeniom, zaczął w te słowa:

HISTORIA RODU UZEDÓW

Ród nasz jest jednym z najdawniejszych w świecie, ale ponieważ nie lubimy szczyścić się naszym pochodzeniem, poprzestajemy więc na wywodzeniu naszego początku od Abiszui, syna Fineesa, wnuka Eleazara i prawnuka Aarona, który był bratem Mojżesza i wielkim kapłanem Izraela. Abiszua był ojcem Bukkiego, dziadem Uzego, pradiadem Zerajasza, prapradziadem Meraiotha, który był ojcem Amariasza, dziadem Achimaasa, pradiadem Azariasza i prapradziadem Azariasza drugiego.

Azariasz był wielkim kapłanem sławnej Świątyni Salomona i pozostawił po sobie pamiątki, które kilku z jego potomków dalej prowadziło. Salomon, tyle uczyniwszy dla czci Adonaja, zbeczczył na koniec swoją starość, pozwalając swoim żonom publicznie oddawać cześć bałwanom. Azariasz chciał z początku groźnie wystąpić przeciw tej zbrodniczej bezbożności, ale namyślił się i pojął, że monarchowie na starość muszą przecież mieć jakieś względy dla swoich małżonek. Przez szpary więc patrzył na nadużycia, które nie mógł zapobiec, i umarł wielkim kapłanem.

Azariasz był ojcem Amariasza drugiego, dziadem Sadoka; pradiadem Achituba, prapradziadem Szallu-ma, który był ojcem Hiliasza, dziadem Azariasza trzeciego, pradiadem Serajasza i prapradziadem Jozedeka, zaprowadzonego do niewoli babilońskiej.

Jozdek miał brata młodszego, imieniem Obadiasz, od którego my właściwie pochodzimy. Ten nie miał jeszcze piętnastu lat, gdy oddano go do orszaku paziów i zamieniono mu imię na Sabdek. Byli tam i inni młodzi Hebrajczycy, którym także pozmieniano imiona. Czterech spośród nich nie chciało jadać z kuchni królewskiej, dla nieczystych mięs, jakie w niej gotowano, żywili się więc korzonkami i wodą, i niemniej przeto byli tłustymi. Sabdek sam zjadał przeznaczone dla nich potrawy, pomimo to jednak coraz bardziej chudł.

Nabuchodonozor był wielkim monarchą, ale może nieco zbyt pobleżającym swej dumie. Widział był w Egipcie kolosy na sześćdziesiąt stóp wysokości, polecił więc, aby wykuto jego posąg tego samego rozmiaru, ołożono go, i rozkazał wszystkim padać przed nim na kolana. Młodzi Hebrajczycy, którzy nie chcieli jeść mięsa nieczystego, odmówili również wybijania pokłonów. Sabdek, nie zważając na to, gorliwie się kłaniał, nadto we własnoręcznych pamiątkach przykazał swoim potomkom, aby zawsze kłaniali się przed królami, ich posągami, ulubieńcami, kochankami, a nawet przed ich małymi pieskami.

Obadiasz, czyli Sabdek, był ojcem Salatiela, żyjącego za czasów Kserksesa, którego powinniście nazywać Szyroesem, Żydzi zaś nazywali Ahaswerem. Król ten perski miał brata Amana, człeka dziwnie dumnego i wyniosłego. Aman ogłosił, że kto tylko nie zechce wybijać mu pokłonów, zostanie

powieszony. Salatiel pierwszy padał przed nim na twarz, gdy zaś powieszono Amana, Salatiel znowu pierwszy kłaniał się przed Mardochejem.

Salatiel był ojcem Malachuela i dziadem Zafeda, który mieszkał w Jerozolimie, w czasie gdy Nehemiasz był rządcą miasta. Kobiety i dziewczęta żydowskie nie były bardzo zachwycające, przekładano nad nie Moabitki i Aszdotanki. Zafed zaślubił dwie Aszdotanki Nehemiasz przeklął go, wytłukł pięściami i, jak nawet sam ten święty człowiek mówi w swojej historii, wyrwał mu garść włosów z brody. Wszelako Zafed w pamiętnikach swoich poleca swoim potomkom, aby wcale nie zważali na zdania Żydów, gdy im się inne jakie kobiety podobają.

Zafed był ojcem Naassona, dziadem Elfada, pradziadem Zorobita, który był ojcem Eluhana i dziadem Uzabita. Ten ostatni żył w czasach, gdy Żydzi zaczęli się burzyć przeciwko Machabeuszom. Uzabit z natury był nieprzyjacielem wojny, zabrał więc, co miał, i schronił się do Kaziatu, miasta hiszpańskiego, zamieszkałego wówczas przez Kartagińczyków.

Uzabit był ojcem Jonatana i dziadem Kalamila, który dowiedziawszy się, że w kraju jest spokojnie, wrócił do Jerozolimy, wszelako zachował dom swój w Kaziacie i inne majątki, które nabył niegdyś w okolicach tego miasta. Przypominasz sobie, że za czasów niewoli babilońskiej ród nasz rozpadł się na dwie gałęzie. Jozedek, głowa starszej linii, był uczciwym i pobożnym Izraelitą, wszyscy też potomkowie poszli w jego ślady. Nie pojmuję, dlaczego między obecnymi liniami powstała tak zacięta nienawiść, że starsza musiała wynieść się do Egiptu i tam poświęciła się służbie Boga Izraelowego w świątyni wzniesionej przez Onia-sza. Linia ta wygasła lub raczej zatrzymała się r. osobie Ahaswera, znanego pod nazwiskiem Żyda Wiecznego Tułacza.

Kalamil był ojcem Elifaza, dziadem Eliaziba i pradziadem Efraima, za którego czasów podobało się cesarzowi Kaliguli umieścić swój posąg w świątyni jerozolimskiej. Zebrał się cały Sanhedryn; Efraim, który także należał do jego składu, utrzymywał, żeby umieszczono w świątyni nie tylko posąg cesarza, ale i posąg jego konia, który już był konsulem; Jerozolima wszelako wzburzyła się przeciw prokonsulowi Petroniuszowi i cesarz zaniechał swoich zamysłów.

Efraim był ojcem Nebajotha, za którego Jerozolima powstała przeciw Wespazjanowi. Nebajoth nie czekał na rozwój wypadków i przeniósł się do Hiszpanii, gdzie, jak mówiłem, posiadaliśmy znaczne majątki. Nebajoth był ojcem Juzuba, dziadem Simrana i pradziadem Refajasza, który był ojcem Jehemiasza, ten zaś został nadwornym astrologiem Gunderyka, króla Wandalów.

Jehemiasz był ojcem Ezbana, dziadem Uzego i pradziadem Jerimotha, który był ojcem Amathota i dziadem Almetha. Za czasów tego ostatniego Jusuf Ben-Taher wkroczył do Hiszpanii w celu podbicia i nawrócenia kraju. Almeth stawiał się przed wodzem mauretańskim, prosząc go, aby mu dozwolił przejść na wiarę Proroka.

- Wiesz zapewne, mój przyjacielu - powiedział mu wódz - że w dniu sądu ostatecznego wszyscy Żydzi zostaną przemienieni w osłów i będą wiernych przenosić do raju; gdybyś zaś przeszedł na naszą wiarę, mogłoby nam kiedyś zabraknąć pociągów.

Odpowiedź ta nie była zbyt grzeczna, Almeth jednak pocieszył się przyjęciem, jakiego doznał od Masuda, brata Jusufowego. Masud zatrzymał go przy sobie i wysyłał z różnymi poleceniami do Afryki i Egiptu.

Almeth był ojcem Sufiego, dziadem Guniego i pradziadem Jessera, który był ojcem Szalluma, pierwszego sarafa, czyli podskarbiego na dworze Mahdiego. Szallum osiedlił się w Kairuanie i miał dwóch synów, Mahira i Mahaba. Pierwszy pozostał w Kairuanie, drugi zaś przybył do Hiszpanii, wszedł w służbę Kassar-Gomelezów i utrzymywał związki pomiędzy nimi a Egiptem i Afryką.

Mahab był ojcem Jofeleta, dziadem Malkiela, pradziadem Behreza i prapradziadem Dehoda, który był ojcem Sachamera, dziadem Suaha, pradziadem Achiego, prapradziadem Berego, który miał syna Abdona.

Abdon widząc, że wypędzono Maurów z całej Hiszpanii, na dwa lata przed zdobyciem Grenady przeszedł na wiarę chrześcijańską. Król Ferdynand trzymał go do chrztu. Pomimo to jednak Abdon pozostał w służbie Gomelezów, w starości wyparł się Nazarejskiego Proroka i powrócił do wiary przodków.

Abdon był ojcem Mehritala i dziadem Azaela, za którego to Billah, ostatni prawodawca mieszkańców jaskiń, zamordował Sefiego.

Pewnego dnia szejka Billah kazał wezwać Azaela i w te słowa się do niego odezwał:

- Wiesz, że zamordowałem Sefiego. Prorok mu tę śmierć przeznaczył, chcąc przywrócić kalifat rodowi Alego. Utworzyłem więc stowarzyszenie złożone z czterech rodzin: Jezydów na Libanie, Chalilów w Egipcie i Ben-Azarów w Afryce. Naczelnicy trzech powyższych rodzin przyrzekają za siebie i swoich potomków, że kolejno co trzy lata będą do naszych jaskiń przysyłać człowieka odważnego, mądrego, znającego świat, przezornego, a nawet chytrego. Obowiązkiem jego będzie dogłębne, czy wszystko w jaskiniach znajduje się w należytym porządku, w razie zaś wykroczenia przeciw przepisom, będzie miał prawo zamordowania szejka, sześciu naczelników rodzin, jednym słowem, wszystkich, którzy by okazali się winnymi. W nagrodę za swoją służbę dostanie siedemdziesiąt tysięcy sztuk czystego złota, czyli, po waszemu licząc, sto tysięcy cekinów.

- Potężny szejku - odpowiedział Azael - wymienięś trzy tylko rodziny; któraż będzie czwartą?

- Twoja - rzekł Billah - i otrzymasz za to corocznie trzydzieści tysięcy sztuk złota, musisz jednak podjąć się utrzymywania związków, pisania listów, a nawet wejść do składu rządców jaskini. Gdybyś w czymkolwiek uchybił, jedna z trzech rodzin obowiązana jest natychmiast cię zamordować.

Azael chciał się namyślać, ale zwyciężyła w nim chęć złota, zobowiązał się więc za siebie i za swoich potomków. Azael był ojcem Gersoma. Trzy wtajemniczone rodziny co trzy lata odbierały siedemdziesiąt tysięcy sztuk złota. Gersom był ojcem Mamuna, czyli moim. Wierny zobowiązaniom mojego dziada, gorliwie służyłem władcom jaskini, a nawet od czasu zarazy z moich własnych funduszy wypłaciłem Ben-Azarom należne im siedemdziesiąt tysięcy sztuk złota. Teraz przychodzę ci złożyć hołd i zapewnienie o niezmiennej mojej wierności.

- Zacny Mamunie - rzekłem - ulituj się nade mną! Mam już dwie kule w piersiach i wcale nie jestem zdatny ani na szejka, ani na Muhdiego.

- Co się tyczy Mahdiego - odpowiedział Mamun - bądź spokojny, nikt już o nim nie myśli;

wszelako nie możesz odmówić przyjęcia godności i obowiązków szejka, jeżeli nie chcesz, żeby za trzy tygodnie ty i twoja córka zostaliście zamordowani przez Chalilów.

- Moja córka? - zawołałem zdziwiony.
 - Nie inaczej - rzekł Mamun - ta sama, którą miałeś z wróżką.
- Oznajmiono wieczerzę i szejk przerwał swoje opowiadanie.

Dzień sześćdziesiąty szósty

Jeszcze jeden dzień przepędziłem w kopalni, wieczorem zaś szejk, ulegając moim prośbom, tak dalej jął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORII SZEJKA GOMELEZÓW

Nie było wyboru, rozpoczęliśmy więc z Mamunem dawne działania Kassar-Gomelezu, nawiązaliśmy stosunki z Afryką i z ważniejszymi rodzinami hiszpańskimi. Sześć rodzin mauretańskich osiedliło się w jaskiniach; ale Gomelezom afrykańskim źle się wiodło, dzieci płci męskiej umierały lub rodziły się niedołążne na umyśle. Ja sam z dwunastu moich żon miałem tylko dwóch synów, którzy obaj poumierali. Mamun namówił mnie do uczynienia wyboru między Gomelezami chrześcijańskimi, a nawet pomiędzy tymi, którzy po kądzieli z naszej krwi pochodzą i mogą przejść na wiarę Proroka.

Tym sposobem Velasquez miał prawo do naszego przysposobienia; przeznaczyłem mu za żonę moją córkę, tę samą Rebeke, którą widziałeś w obozie Cyganów. Wychowywała się ona u Mamuna, który wyuczył ją różnych nauk i kabalistycznych wyrażeń.

Po śmierci Mamuna syn jego nastąpił w zamku Uzedy; z nim to ułożyliśmy wszystkie szczegóły twego przyjęcia; spodziewaliśmy się, że przejdiesz na wiarę mahometańską lub przynajmniej, że zostaniesz ojcem, i pod tym ostatnim względem ziściły się nasze nadzieje. Dzieci, które kuzynki twoje noszą w swych łonach, będą przez wszystkich uważane za pochodzące z najczystszej krwi Gomelezów. Miałeś przybyć do Hiszpanii. Don Henryk de Sa, wielkorządca Kadyksu, jest jednym z wtajemniczonych i on to polecił ci Lopeza i Moskita, którzy porzucili cię przy źródle Alcornouques. Pomimo to odważnie postępowaleś dalej, aż do Venta Quemada, gdzie zastałeś twoje kuzynki: ale za pomocą usypiającego napoju nazajutrz obudziłeś się pod szubienicą braci Zota. Stamtąd przybyłeś do mojej pustelni, gdzie znalazłeś straszliwego opętańca Paszeka, który w istocie jest tylko skoczkiem biskajskim. Nieborak wybił sobie jedno oko, wykonywając niebezpieczny skok i jako kaleka uciekł się do naszego miłosierdzia. Myślałem, że smutna jego historia sprawi na tobie jakiegokolwiek wrażenie i że zdradzisz tajemnicę zaprzysiężoną twoim kuzynkom; ale dotrzymałeś wiernie twego słowa honoru. Nazajutrz wystawiliśmy cię na daleko straszliwszą próbę; fałszywa inkwizycja, zagrażająca ci najokropniejszymi katuszami, nie mogła jednak zachwiać twojej odwagi.

Pragnęliśmy bliżej cię poznać i sprowadziliśmy cię do zamku Uzedy. Tam z wzniesienia ogrodowego zdawało ci się, żeś poznał twoje dwie kuzynki. One to były w istocie. Wszedłszy atoli do namiotu Cygana, ujrzałeś tylko jego córki, z którymi, bądź przekonany, nic nie miałeś do czynienia.

Musieliśmy dość długo zatrzymywać cię między nami i obawialiśmy się, abyś się nie nudził. Wynajdywaliśmy ci więc różne rozrywki, i tak na przykład Uzeda z rękopisów rodzinnych wyuczył pewnego starca spośród moich podwładnych historii Żyda Wiecznego Tułacza, którą ten wiernie ci opowiedział. Tym razem przyjemność połączona była z nauką.

Teraz znasz już całą tajemnicę naszego podziemnego życia, które zapewne niedługo już będzie trwało. Wkrótce usłyszysz, że trzęsienia ziemi zburzyły te góry; w tym celu przygotowaliśmy niezmierne zapasy palnych materiałów, ale będzie to już ostateczna nasza ucieczka.

Idź więc teraz, Alfonsie, tam, gdzie cię świat wzywa. Otrzymałeś od nas weksel na nieograniczoną sumę, stosownie przynajmniej do żądań, jakie upatrzyliśmy w tobie: pamiętaj, że wkrótce zapewne zabraknie podziemi, myśl więc o zapewnieniu sobie niezawisłego losu. Bracia Moro podadzą ci do tego środki. Jeszcze raz żegnam cię, uściskaj twoje małżonki. Schodki o dwóch tysiącach stopni zaprowadzą cię do zwalisk Kassar-Gomelezu, gdzie znajdziesz przewodników do Madrytu. Żegnam cię, żegnam.

Ruszyłem po kręconych schodkach i zaledwie ujrzałem światło słoneczne, gdy zarazem spostrzegłem dwóch moich służących, Lopeza i Moskita, którzy porzucili mnie przy źródle Alcornouques. Obaj z radością ucałowali moje ręce i zaprowadzili mnie do starej wieży, gdzie mnie już oczekiwała wieczerza i wygodne postanie.

Następnego dnia bez zatrzymywania udaliśmy się w dalszą drogę. Wieczorem przybyliśmy do venty w Cardenas, gdzie zastałem Velasqueza, zagłębionego nad jakimś zagadnieniem, wyglądającym z pozoru na kwadraturę koła. Znakomity matematyk z początku nie mógł mnie poznać i musiałem powoli przywozić mu na pamięć wszystkie wypadki zaszłe podczas jego pobytu w Alpuharach. Wtedy uściskał mnie, wynurzając radość, jakiej doznawał z naszego spotkania, ale zarazem oświadczył mi boleść, z jaką musiał rozstać się z Laurą Uzeda, tak bowiem nazywał Rebekę.

Zakończenie

Dnia 20 czerwca roku 1739 przybyłem do Madrytu. Nazajutrz po moim przyjeździe otrzymałem od braci Moro Ust z czarną pieczętką, zapowiadający mi jakiś nieszczęsny wypadek. W istocie, dowiedziałem się z niego, że ojciec mój umarł tknięty apopleksją, matka zaś, wydzierżawiwszy posiadłość naszą, Worden, oddaliła się do jednego z klasztorów brukselskich, gdzie chciała spokojnie żyć ze swego dożywocia.

W dzień potem sam Moro przyszedł do mnie, zalecając mi jak najściślej dochowanie tajemnicy.

- Dotąd - rzekł - znasz senor tylko pewną część naszych tajemnic, ale wkrótce dowiesz się o wszystkim. W obecnej chwili wszyscy wtajemniczeni zajmują się umieszczaniem swoich funduszków po rozmaitych krajach i gdyby którykolwiek z nich stracił je nieszczęsnym wypadkiem, wówczas wszyscy przybylibyśmy mu na pomoc. Senor miałeś stryja w Indiach, który umarł, nie zostawiwszy ci prawie nic. Puściłem pogłoskę, że odziedziczyłeś znaczny spadek, ażeby nikt nie dziwił się twoim nagłym bogactwom. Trzeba będzie zakupić majątki w Brabancji, w Hiszpanii, a nawet w Ameryce;

pozwolesz, że ja się tym zajmę. Co się tyczy ciebie, senor, znam twoją odwagę i nie wątpię, że wsiądziesz na okręt św. Zachariasza, który odpływa z posiłkami do Cartageny, zagrożonej przez admirała Vernona. Ministerium angielskie wcale nie pragnie wojny, opinia publiczna usilnie je tylko do niej skłania. Pokój jednak jest bliski i jeżeli opuścisz tę sposobność przypatrzenia się wojnie, zapewne drugiej tak łatwo nie znajdziesz.

Zamiar, przedstawiany mi przez Mora, był już od dawna ułożony przez moich opiekunów. Wsiadłem na okręt z moją rotą, która wchodziła w skład batalionu wybranego z różnych pułków. Podróż udała nam się pomyślnie; przybyliśmy w sam czas i zamknęliśmy się w twierdzy z męźnym Eslavą. Anglicy odstąpili od oblężenia i roku 1740, w miesiącu marcu, powróciłem do Madrytu.

Będąc raz na służbie u dworu, spostrzegłem wśród orszaku królowej młodą kobietę, w której natychmiast poznałem Rebekę. Powiedziano mi, że jest to pewna księżniczka z Tunisu, która dla przejścia na naszą wiarę uciekła, z własnego kraju. Król trzymał ją do chrztu i nadał tytuł księżniczki Alpuhary, po czym ksiązę Velasquez zażądał jej ręki. Rebeka spostrzegła, że mi o niej mówiono, rzuciła mi więc spojrzenie błagające, abym dochował tajemnicy.

Następnie dwór przeniósł się do San Ildefonso, ja zaś z moją rotą stanąłem na kwaterze w Toledo.

Nająłem dom w ciasnej uliczce, niedaleko rynku. Naprzeciwko mnie mieszkały dwie kobiety, z których każda miała dziecko, mężowie zaś ich, jak utrzymywano, oficerowie marynarki, znajdowali się wówczas na morzu. Kobiety te żyły w zupełnym odosobnieniu i zdawały się wyłącznie zajmować swymi dziećmi, które w istocie piękne były jak aniołki. Przez cały dzień obie matki kołysały je tylko, kąpały, ubierały i karmiły. Wzruszający widok macierzyńskiego przywiązania tak dalece mnie zajmował, że nie mogłem oderwać się od okna. Wprawdzie powodowała mną i ciekawość, rad bym bowiem przypatrzeć się twarzom moich sąsiadek, ale zawsze pilnie je zasłaniały.

Tak upłynęło dwa tygodnie. Pokój wychodzący na ulicę należał do dzieci i kobiety w nim nie jadały, pewnego jednak wieczora spostrzegłem, że nakrywano w nim stół i przygotowywano niby jakąś uroczystość.

Przy końcu stołu stało obszerne krzesło, ozdobione wieńcem z kwiatów, oznaczało miejsce króla tej uroczystości; po obu stronach postawiono wysokie

stołki, na których posadzono dzieci. Następnie przyszły moje sąsiadki i skinieniem rąk zaczęły prosić mnie, abym je odwiedził. Wahałem się, nie wiedząc co mam począć, gdy wtem odsłoniły zasłony i poznałem Eminę i Zibeldę. Przepędziłem z nimi sześć miesięcy.

Tymczasem sankcja pragmatyczna i spory o dziedzictwo Karola VI zapaliły w Europie wojnę, w której niebawem i Hiszpania czynny przyjęła udział. Opuściłem więc moje kuzynki i poszedłem na adiutanta do infanta don Filipa. Przez cały czas wojny zostawałem przy boku tego księcia, po zawarciu zaś pokoju mianowano mnie pułkownikiem.

Byliśmy we Włoszech. Komisant domu braci Moro przybył do Parmy dla ściągnięcia niektórych funduszy i uporządkowania pieniężnych spraw tego księstwa. Pewnej nocy człowiek ten przyszedł do mnie i tajemniczo oświadczył, że z niecierpliwością oczekiwano mnie w zamku Uzedy i że powinienem natychmiast wybrać się w podróż. Przy tych słowach wskazał mi zarazem jednego z wtajemniczonych, którego miałem spotkać w Maladze.

Pożegnałem infanta, w Livorno wsiadłem na okręt i po dziesięciu dniach żeglugi przybyłem do Malagi. Wzmiankowany człowiek, uprzedzony o moim przybyciu, czekał już na mnie w przystani. Tego samego dnia wyjechaliśmy i nazajutrz stanęliśmy w zamku Uzedy.

Zastałem tam liczne zgromadzenie: naprzód szejka, córkę jego Rebekę, Velasqueza, kabalistę, Cygana z dwiema córkami i zięciami, trzech braci Zotów. mniemanego opętańca, wreszcie kilkunastu mahometan z trzech wtajemniczonych rodzin. Szejk oznajmił, że ponieważ zebraliśmy się wszyscy, natychmiast zatem udamy się do podziemia.

W istocie, jak tylko noc zapadła, wyruszyliśmy w drogę i przybyliśmy o świcie. Zeszliśmy do podziemia i przez jakiś czas oddaliśmy się spoczynkowi. Następnie szejk zgromadził nas razem i tymi słowami odezwał się, powtarzając to samo po arabsku do wiadomości mahometan:

- Kopalnie złota, które od tysiąca blisko lat stanowiły, że tak powiem, majątek naszej rodziny, zdawały się niewyczerpane. W tym to przekonaniu przodkowie nasi postanowili obrócić dobyte z nich złoto na rozszerzenie islamu, zwłaszcza zaś wyznania Alego. Byli oni jedynie przechowywaczami tego skarbu, którego straż kosztowała ich tyle trudów i zabiegów. Ja sam doznałem w moim życiu tysiące najokropniejszych niespokojności. Pragnąc raz wreszcie wyłamać się z obawy, która z każdym dniem stawała mi się nieznośniejsza, chciałem przekonać się, czy kopalnia jest rzeczywiście niewyczerpana. Przenurkowałem skałę w kilku miejscach i znalazłem, że żyła złota zewsząd dochodzi już końca. Senor Moro raczył zająć się obliczeniem pozostałych nam bogactw i ilości na każdego z nas przypadającej. Pokazało się z rachunku, że każdy z głównych spadkobierców otrzyma milion cekinów, współdziałacze zaś po pięćdziesiąt tysięcy. Wydobyto wszystko złoto i złożono je w oddalonej stąd jaskini. Naprzód zaprowadzę was do kopalni, gdzie przekonacie się o prawdzie słów moich; następnie każdy przystąpi do odebrania swojej części.

Zeszliśmy kręconymi schodkami., przybyliśmy do grobowca, stamtąd zaś do kopalni, którą w istocie znaleźliśmy zupełnie wyczerpaną. Szejk naglił nas do jak najspieszego powrotu. Stanąwszy na górze, usłyszeliśmy straszliwy wybuch. Szejk oznajmił nam, że materię palną wysadziły w powietrze całą część podziemia, z której tylko co wyszliśmy. Następnie udaliśmy się do jaskini, gdzie złożono resztę złota.

Afrykańscy odebrali swoje części, Moro zaś podjął moją i wszystkich prawie Europejczyków.

Wróciłem do Madrytu i przedstawiłem się królowi, który przyjął mnie z niewypowiedzianą dobrocią. Zakupiłem znaczne posiadłości w Kastylii, mianowano mnie hrabią de Peña Florida i zasiadłem pomiędzy pierwszymi kastylijskimi titulados. Przy moich bogactwach moje zasługi także nabrały większej wartości. W trzydziestym szóstym roku życia zostałem generałem.

Roku 1760 powierzono mi dowództwo nad eskadrą, z poleceniem zawarcia pokoju z państwami berberyjskimi. Popłynąłem naprzód do Tunisu, spodziewając się, że znajdę tam najmniej trudności i że przykład tego państwa inne za sobą pociągnie. Zarzuciłem kotwicę w przystani pod miastem i wysłałem oficera z oznajmieniem o moim przybyciu. Wiedziano już o tym w mieście i całą zatokę Goletta pokrywały strojne łodzie, które wraz z moim orszakiem miały mnie przewieźć do Tunisu.

Nazajutrz przedstawiono mnie dejowi. Był to dwudziestoletni młodzieniec zachwycającej postaci. Przyjęto mnie z wszelkimi honorami i otrzymałem zaproszenie na wieczór do zamku zwanego

Manubą. Zaprowadzono mnie do odległej altany ogrodowej i drzwi za mną na klucz zamknięto. Otworzyły się tajemne drzwiczki. Dej wszedł, przykląkł na jedno kolano i pocałował mnie w rękę.

Drugie drzwiczki skrzypnęły i ujrzałem wchodzące trzy zasłonięte kobiety. Odrzuciły zasłony; poznałem Eminę i Zibeldę. Ta ostatnia prowadziła za rękę młodą dziewczynę, moją córkę. Emina była matką młodego deja. Nie będę opisywał, do jakiego stopnia obudziło się we mnie uczucie ojcowskiego przywiązania. Radość moją mąciła tylko myśl, że dzieci moje wyznają wiarę nieprzyjazną mojej. Dałem poznać bolesne to uczucie.

Dej wyznał mi, że mocno jest przywiązany do swojej religii, że jednak siostra jego, Fatyma, wychowana przez niewolnicę Hiszpankę, w głębi duszy jest chrześcijanką. Postanowiliśmy, że córka moja przesiedli się do Hiszpanii, przyjmie tam chrzest i zostanie moją dziedziczką.

Wszystko to stało się w przeciągu roku. Król raczył trzymać Fatymę do chrztu i nadał jej tytuł księżniczki Oranu. Następnego roku zaślubiła najstarszego syna Velasqueza i Rebeki, o dwa lata od niej młodszego.

Zapewniłem jej cały mój majątek, dowiódłszy, że nie mam bliskich krewnych po ojcu i że młoda Mauretanka, spokrewniona ze mną przez Gomelezów, jest jedyną moją spadkobierczynią. Chociaż jeszcze młody i w sile wieku, pomyślałem jednak o miejscu, które by mi pozwoliło zakosztować słodczy spoczynku. Wielkorządztwo Saragossy było wolne, poprosiłem o nie i otrzymałem.

Podziękowawszy i pożegnawszy JKMość, udałem się do braci Moro, prosząc o oddanie mi zapieczętowanego zwoju, który przed dwudziestu pięciu laty u nich złożyłem. Był to dziennik sześćdziesięciu sześciu początkowych dni mego pobytu w Hiszpanii.

Przepisałem go własną ręką i złożyłem w żelaznej szkatułce, gdzie go kiedyś znajdą moi spadkobiercy.

KONIEC

Dodatek

DALSZY CIĄG HISTORII NACZELNIKA CYGANÓW Z DNIA CZTERDZIESTEGO SIÓDMEGO WEDŁUG WERSJI AVADOKO

Kawaler Toledo, pozbywszy się myśli o tajemniczym zjawisku, marzył już tylko o spotkaniu z panią Uscariz. Wróciliśmy więc z pośpiechem do Madrytu. Mały żebrak, którego zastępowałem przy Suarezie, przybył razem z nami; co prędzej posłałem go do nieszczęśliwego chorego. Odprowadziłem kawalera do domu i oddałem w ręce służących, którzy powitali go z wielką radością, a sam pobiegłem do przysionka Św. Rocha, gdzie zebrałem rozproszoną gromadkę. Od przekupki, naszej stałej dostawczynie, przynieśliśmy kietbasek i kasztanów i ucztowaliśmy wesoło, winszując sobie, że znów jesteśmy razem. Zaledwie skończyliśmy naszą skromną biesiadę, gdy jakiś jegomość przystanął koło nas i zaczął nam się z uwagą przyglądać, jak gdyby wahając się, do którego z nas ma się odezwać. Nie pierwszy raz go widziałem: prawie co dzień przechadzał się po naszej ulicy z wyrazem uniozonej gorliwości na twarzy. Pomyślałem, że to zapewne Busqueros: podszedłem doń i zapytałem, czy Jest owym roztroptym i przezornym przyjacielem, którego radom Lopez Suarez tak wiele zawdzięcza.

- Tak, to ja - odpowiedział - i bez wątpienia udałoby mi się doprowadzić do skutku jego małżeństwo, gdybym wskutek ciemności i burzy nie pomylił domu kawalera Toledo z domem bankiera Moro. Ale cierpliwości, księżę Santa Maura nie jest jeszcze małżonkiem pięknej Inezy i nigdy nim nie będzie albo nie nazywam się don Roque. Zatrzymałem się, mój malcze, przed tym przysionkiem, ażeby wybrać spomiędzy was chłopca roztroptego, który by potrafił załatwić moje polecenia; skoro znasz historię Suarez, wezmę cię do służby. Złóż dzięki niebu, że otwiera ci tym sposobem drogę świetnych przeznaczeń. Z początku zatrudnienia twoje wydadzą ci się niezbyt pociągające, gdyż nie wyznaczę ci żadnego wynagrodzenia ani też nie dam ci stosownego ubioru, co zaś do twego utrzymania, sprawy te tak niewiele mnie obchodzą, że zajmując się nimi uważałbym, iż bluźnię Opatrzności, która przecież czuwa tak samo nad pisklętami kruka, jak nad królewskim potomstwem orłów.

- W takim razie - rzekłem - nie potrafię jasno wyobrazić sobie korzyści, które mógłbym mieć służąc ci, senor Busqueros, i spełniając twoje polecenia.

- Korzyści te - odparł Busqueros - polegać będą na nadwyzwyczajnie wielkiej ilości poleceń, które ci poruczę. Załatwiając je, dostaniesz się do przedpokojów wielu znakomitych ludzi, którzy kiedyś mogą stać się twoimi opiekunami. Zresztą nie zakazuję ci żebrać w przerwach między jednym a drugim poleceniem. Złóż więc dzięki niebu za szczęśliwe zrządzenie losu

i pójdź ze mną do cyrulika, gdzie zatrzymam się chwilę i będziemy mogli porozmawiać.

Gdy znaleźliśmy się u cyrulika, Busqueros w te słowa zaczął wylizywać długą listę poleceń, które miałem mu załatwić:

- Mój przyjacielu, widziałem, że odkładając karty, włożyłeś do kieszeni kilka półrealów. Weź dwie z tych monet i kup ćwierćlitrową butelkę; zanieś ją do don. Filipa Tintero na ulicę Toledo. Powiesz mu, że don Busqueros prosi o atrament dla pewnego poety, z którym pozostaje w przyjaźni. Gdy don Tintero napełni ci butelkę, pójdziesz do kupca korzennego na róg placu Cevada. Wejdiesz na strych, gdzie zastaniesz don Ranuca Agudez, którego z łatwością rozpoznasz, ponieważ nosi jedną pończochę czarną, a drugą białą, jeden pantofel czerwony a drugi żółty, a może nawet zamiast czapki pantalon

na głowie. Dasz mu butelkę atramentu i w moim imieniu polecisz mu napisać satyrę na grandów, którzy popełniają mezalianse; powinna być w dwóch językach, po hiszpańsku i po włosku. Stamtąd wrócisz na ulicę Toledo; wejdiesz do domu oddzielonego od mieszkania don Tin-tera małą uliczką. Wyśledzisz, czy mieszkańcy tego domu przygotowują się do przeprowadzki: dowiedz się bowiem, że wynająłem ten dom i zamierzam w nim umieścić moją krewną, która, być może, wydobędzie don Tintera z jego nieśmiertelnego kałamarza. Następnie udasz się do bankiera Moro. Wejdiesz do cuarto principal, to jest na pierwsze piętro, i zawieszysz kamerdynera księcia Santa Maura, któremu oddasz ten oto pakiet, zawierający wewnątrz kokardę. Następnie pójdziesz do gospody Pod Krzyżem Maltańskim i sprawdzisz, czy przygotowano pokoje dla Gaspara Suareza, negocjanta z Kadyksu. Stamtąd co prędzej skierujesz się do...

- Litości! - zawołałem - senior Busqueros, przecież na wypełnienie tych poleceń i tygodnia mi nie wystarczy; nie wystawiaj, proszę, mojej gorliwości i moich nóg na tak ciężkie próby.

- Wybornie - rzekł Busqueros. - Miałem dać ci jeszcze kilka innych poleceń, zostawię je wobec tego na jutro. Jeżeli u księcia Santa Maura zapytają cię, kim jesteś, odpowiedz, że przychodzisz z pałacu Avilów.

- Senior Busqueros - powiedziałem - czy nie sądzisz, że mogę mieć przykrości, chełpiąc się bezpodstawnie słynnymi nazwiskami?

- Bez wątpienia - odparł mój nowy opiekun - bez wątpienia narażasz się na to, że ci mogą natrzeć uszu; wszelako korzyści, jakie ci ukazują, z wszelką pewnością wynagrodzą ci tego rodzaju niepowodzenia. A więc, mój przyjacielu, nie trać czasu na mędrkowanie i ruszaj w drogę.

Zapewne odrzuciłbym zaszczyt służenia don Busquerowi, gdyby moja ciekawość nie została rozbudzona tym, co powiedział o moim ojcu i swej krewnej, która miała don Tintera wydobyć z kałamarza. Prócz tego ciekaw byłem dowiedzieć się, jakim sposobem don Busqueros zdoła odwieść księcia Santa Maura od zamiaru poślubienia pięknej Inezy. Kupiwszy więc butelkę, poszedłem na ulicę Toledo. Gdy znalazłem się przed domem mego ojca, poczułem, że drzę na całym ciele. Nie mogłem postąpić ani kroku dalej. Ojciec wyszedł na balkon, a widząc mnie z butelką w ręku, skinął, abym wszedł do środka. Gdy wstępowałem na schody, serce wciąż mi waliło miotem: na koniec otworzyłem drzwi i stanąłem naprzeciwko mego ojca. W pierwszej chwili chciałem rzucić mu się do kolan; bez wątpienia powstrzymał mnie od tego mój anioł stróż, gdyż i tak wzruszenie malujące się na mojej twarzy wzbudziło w ojcu podejrzliwość, gdyż zdawało się zagrażać naruszeniem jego spokoju. Wziął ode mnie butelkę, napenił ją atramentem, nie pytając nawet, dla kogo ją niosę, i otworzył drzwi, jak gdyby chcąc mi oznajmić, że nie powinienem zatrzymywać się dłużej. Rzuciłem jeszcze wzrok na szafę, skąd niegdyś wpadłem w atrament, i na wiosło, którym ciotka moja rozbiła kocioł ocalając mi życie. Wzruszenie moje doszło do najwyższych granic; chwyciłem rękę ojca i ucałowałem ją gorąco. Ojciec przeląkł się gwałtownie; wypchnął mnie za drzwi i zamknął je za mną.

Busqueros polecił mi zanieść butelkę do Agudeza, a potem znowu wrócić na ulicę Toledo i przyjrzeć się zatrudnieniom sąsiadów mego ojca. Uznałem, że wolno mi odwrócić kolejność tych poleceń. Poszedłem naprzód pod dom naprzeciwko. Zobaczyłem, że sąsiedzi właśnie się wyprowadzają, i postanowiłem pilnie baczyć na zachowanie się przyszłych mieszkańców.

Następnie udałem się na plac Cevada, gdzie wnet odnalazłem dom kupca korzennego, ale znacznie trudniej było mi dostać się do samego poety. Zabłąkałem się wśród załomów dachu, kalenic i okapów. Wreszcie, stanąwszy naprzeciwko jakiegoś okienka, Ujrzałem postać znacznie bardziej dziwną, aniżeli mi ją odmalował Busqueros. Agudez zdawał się być napełniony boskim natchnieniem i spostrzegłszy mnie, skierował do mnie te słowa:

Śmiertelny, co na szlaku swej lotnej wędrówki

Lazury depcesz gontów i karmin dachówki,

Kalenic ostre szczyty śród nieba szafirów,

Czy przybywasz niesiony powiewem zefiru?

Cóż cię sprowadza do mnie?

Odpowiedziałem mu:

Jam nędznym profanem

Agudezowi w butli przynoszę atrament.

Na to poeta odparł:

Kunsztowna mikstura!

Stalową barwą błysnie spływając mi z pióra

I galas rozpuszczony w złotej Hipokrenie

Natchnioną myśl przemieni w hebanu strumienie.

- Senor Agudezie - powiedziałem - ta pochwała atramentu zrobiłaby bez wątpienia wielką przyjemność seniorowi Tintero, który go wyrabia. Ale powiedz mi, senior, czy nie mógłbyś mówić prozą, która jest sposobem wyrażania się, do jakiego przywykłem.

- Ja zaś, mój przyjacielu - rzekł poeta - nigdy do niej nie zdołam przywyknąć. Co więcej, unikam w ogóle rozmowy z ludźmi, a to z przyczyny ich pospolitego i płaskiego sposobu wyrażania się. Zawsze, zanim zacznę układać wiersze, muszę przez dłuższy czas poić umysł wyłącznie poetycznymi myślami i zwracać się do samego siebie w słowach dźwięcznych i pełnych harmonii. Jeśli myśli i słowa nie są takimi same przez się, to stają się poetyczne przez sposób, w jaki je ze sobą wiążę, czyniąc z nich jakby muzykę duszy. Posługując się tą umiejętnością, stworzyłem zupełnie nowy rodzaj poezji. Aż do tego czasu język poezji ograniczał się do niewielkiej liczby wyrażań, które uchodziły za poetyczne. Ja wprowadziłem do poezji wszystkie słowa naszej mowy. W wierszach, które dopiero co usłyszałeś, umieściłem dachówki, gonty i galas.

- Mówisz, że możesz umieścić w wierszach każdy dowolny wyraz; wprawdzie nikt ci tego nie zabrania, ale chciałbym wiedzieć, czy wiersze twoje stają się przez to lepsze.

- Nie ma wierszy lepszych od moich. Moje wiersze mają ogromny zakres zastosowania. Uczyniłem z poezji instrument wszechstronny, zwłaszcza z poezji opisowej, którą - że tak powiem - sam stworzyłem. Służy mi ona do opisywania rzeczy, które zresztą nie są warte, by na nie zwracać uwagę.

- Opisu, señor Agudezie, opisu do woli; tymczasem jednak powiedz mi, czy napisałeś już satyrę dla don Busquera.

- Nie piszę satyr podczas pięknej pogody. Kiedy nastaną dni burzliwe, będzie padał deszcz, a posępne chmury zasłonią niebo, wówczas dopiero przyjdź po satyrę.

Gdy żałoba natury, przygniatając serce,

Zapanuje nad myślą i wciśnie się w wiersze,

Nienawidzę sam siebie, sędzę bliźnich twardo,

Grzechy, wady ohydne, piętnuję ze wzgardą;

W najciemniejszych kolorach zanurzywszy pędzel,

Kreślę śmiało występków brzydotę i nędzę.

Lecz gdy Feba złocisty rydwan z nieba szczytu

Śle w przestworza strumienie blasku wśród błękitów,

Dusza moja znów pieśnią Boga odnajduje,

Porzuciwszy brud świata, w niebo ulatuje.

Ostatni rym - dodał poeta - nie jest może najlepszy, ale ujdzie w improwizacji.

- Zapewniam cię, że nie widzę w tych wierszach żadnej skazy. Co więcej, są nader pouczające; powiem don Busquerowi, że satyry piszesz tylko podczas deszczowej pory. Ale jakże dostanę się do ciebie, przychodząc po satyrę? Dziś wszedłem na jedyne schody w tym domu, które prowadzą od razu na dach.

- Mój przyjacielu, w głębi podwórka stoi drabina, po której wchodzi się na strych, gdzie mulnik z sąsiedztwa przechowuje zapas słomy i jęczmienia. Tamtędy można dostać się do mnie, oczywiście wtedy tylko, gdy strych nie jest zbyt pełny. Ostatnio droga ta jest niedostępna i obiady dostają przez okienko, w którym mnie widzisz.

- Zapewne jesteś nader nieszczęśliwy, mieszkając w podobnym pomieszczeniu.

- Nieszczęśliwy? Czyż mógłbym być nieszczęśliwy, kiedy wiersze moje uwielbia dwór i całe miasto tylko o nich rozmawia?

- Mniemam jednakże, iż rozmawiają tam także i o swoich własnych sprawach.

- Tak jest, bez wątpienia; wszelako wiersze moje stanowią źródło wszystkich rozmów i, co ważniejsza, ludzie nieustannie je sobie przypominają, przytaczając urywki, które natychmiast stają się

przysłowiami. Dostrzegasz stąd księgarnię Morena: ludzie wchodzą tam po to, by kupować moje utwory.

- Nie zamierzam ci przeczytać; przypuszczam tylko, że kiedy piszesz satyry, nie bywa u ciebie zbyt sucho.

- Kiedy deszcz pada z jednej strony, przechodzę na drugą, zresztą częstokroć nawet go w ogóle nie zauważam. Proszę cię, zostaw mnie teraz samego; znużony jestem rozmawianiem proza.

Opuściłem więc poetę i udałem się do bankiera Moro. Wszedłem na pierwsze piętro i zapytałem o kamerdynera księcia Santa Maura. Chłopiec, obsługujący służących księcia, skierował mnie do lokaja, ten do pokojowego, a pokojowy do kamerdynera. Wkrótce potem, ku memu wielkiemu zadziwieniu, zostałem wprowadzony do księcia, którego właśnie ubierano. Ujrzałem go poprzez chmurę pudru; przeglądał się w zwierciadle, trzymając przed sobą różnokolorowe kokardy. Zwrócił się do mnie dość szorstko.

- Mój chłopcze - rzekł - dostaniesz różgi, jeżeli nie powiesz, skąd przychodzisz i kto ci dał pakiet, który przyniosłeś.

Poczułem się niepewnie. Powiedziałem, że przychodzę z pałacu Avilów, gdzie mieszkam razem z chłopcami kuchennymi. Książę spojrział porozumiewawczo na kamerdynera i odprawił mnie, obdarzywszy kilku monetami.

Pozostawało mi jeszcze pójść do gospody Pod Krzyżem Maltańskim. Gaspar Suarez przybył już z Kadyksu i rozpytywał o syna. Powiedziano mu, że Lopez pojedynkował się z pewnym szlachcicem, z którym codziennie jadał obiady, że ów szlachcic zamieszkał następnie u niego, zapoznał go z kobietami lekkiego prowadzenia się i że jedna z tych kobiet wyrzuciła go przez okno swego mieszkania.

Wieści te, po części prawdziwe, po części błędne, były dla Suareza ciosem tak gwałtownym, że zamknął się u siebie, polecając nikogo nie wpuszczać. Naczelnicy domów handlowych, pozostający z nim w stosunkach, przybywali zaofiarować swoje służby, ale nie zostawali przyjmowani.

Poszedłem do Busquera, który wyznaczył mi spotkanie u kupca win naprzeciwko cyrulika, i zdałem sprawę z moich czynności. Busqueros zapytał mnie, jakim sposobem dowiedziałem się o przygodach Suareza. Odrzekłem mu, że sam mi je opowiadał. Busqueros niewiele wiedział o tym, co się tyczyło rodziny Suarez i jej współzawodnictwa z domem braci Moro, opowiedziałem mu to więc dokładnie. Wysłuchawszy mnie z uwagą, rzekł:

- Musimy obmyślić nowy plan działania, będzie się on składał z dwóch odrębnych części. Najpierw trzeba poróżnić księcia Santa Maura z rodziną Moro, a następnie pojednać tych ostatnich z Suarezem.

Co do pierwszej części tego planu, wykonanie jej jest już daleko posunięte. Ale zanim ci ją objaśnię, muszę cię wprzód uwiadomić o pewnych okolicznościach, tyjących rodu Avilów.

Dzisiejszy książę Avila był w latach swojej młodości najświetniejszym z dworzan, zaszczyconym łaskami, a nawet zaufaniem władcy. Rzadko zdarza się, by młodzież nie pyszniła się korzyściami, które potrafi osiągnąć, a książę bynajmniej nie był wyjątkiem z ogólnego prawidła. Uważał się za wyższego od grandów, którym był równy, i powziął zamiar połączenia swego rodu z rodem monarchy.

W tej chwili Busqueros przerwał i rzekł do mnie:

- Mały biedaku, jakże się to dzieje, że zniżam się do mówienia ci o sprawach, które nie powinny być znane ludziom z klas niższych, wśród jakich się urodziłeś? Przecież bez wątpienia niewielu dotąd poznałeś szlachciców.

- Drogi mistrzu - odparłem - nie wiedziałem, że muszę udowodniać prawo do twego zaufania, którym mnie zaszczytasz. Jednakowoż nie uciekając się nawet do mego drzewa genealogicznego mogę ci z łatwością dowieść, że otrzymałem wychowanie, jakie cechuje dobrze urodzonych młodych ludzi. Możesz z tego wywnioskować, że jeśli jestem żebrakiem, na-leży położyć to raczej na karb zrządeń losu, aniżeli mojego urodzenia.

- Wybornie - rzekł Busqueros - twój sposób wyrażania się również nie jest gminny. Powiedz mi zatem, kim jesteś, i to zaraz.

Przybrałem poważny, a nawet przygnębiony wyraz twarzy i rzekłem:

- Jesteś moim opiekunem i możesz, jeśli zechcesz, zmusić mnie do mówienia; ale chodzi tu o trybunał równie surowy jak święty...

- Nie chcę niczego więcej słyszeć - przerwał Busqueros - i nie chciałbym mieć do czynienia z trybunałem, o którym mówisz. A więc, zwierzę ci się ze wszystkim, co wiem o Avilach; dbając o zachowanie własnych tajemnic, strzec będziesz i moich.

Szczęśliwy Avila, dumny ze swoich powodzeń i otrzymywanych łask, zamierzał zatem połączyć swój ród z rodem monarchy. Infantka Beata wyróżniała się wówczas od swych sióstr gładkim ułożeniem, a także słodyczą w spojrzeniu, świadczącą o skłonności do uczuć miłosnych. Avila zdołał umieścić przy niej swą krewną, którą darzył całkowitym zaufaniem. Młody dworzanin bez wątpienia powziął zamiar tajnego małżeństwa; z wyjawieniem go pragnął zapewne zaczekać do czasu, gdy monarcha będzie mu jeszcze bardziej przychylny. Nie wiadomo, jak dalece zamiary jego się powiodły. Przez dwa lata tajemnica była ściśle zachowywana; ksiązę dążył tymczasem do obalenia Olivareza. Nie zdołał do tego doprowadzić; stało się odwrotnie, minister bowiem przeniknął w pewnej części jego sekrety. Avila został uwięziony i zamknięty w Wieży Segowskiej, a wnet potem wygnany. Ofiarowano mu łaskę z warunkiem, że zawrze jakiegokolwiek małżeństwo; odrzucił ją, z czego wywnioskowano, że jest związany z infantką. Zamierzano uwięzić ochmistrzynię infantki, krewną Avilów, ale poniechano tego z obawy, że sprawa zostanie rozgłoszona i splami do pewnego stopnia honor domu królewskiego.

Infantka umarła przygnębiona nieszczęsnym biegiem wypadków. Wysunięto nowe propozycje. Avila, pragnąc powrócić z wygnania, postanowił poślubić młodą de Scar, siostrzenicę księcia Olivareza. Miał z nią córkę, której ośmielił się dać imię Beaty, co nieco zbyt wyraźnie przywodziło na pamięć historię z infantką. Wszelako zuchwalstwo to schlebiało ambicjom księcia; niekiedy sam zdawał się lękać, ażeby historia z infantką nie poszła w niepamięć. Don Ludwik de Haro, spadkobierca księcia Olivareza, doszedł do przekonania, że tajemne małżeństwo zostało rzeczywiście zawarte i że istnieją nawet owoce tego związku. Poczyniono kroki, by sprawę wyjaśnić, wszelako niczego nie wykryto.

Księżna Avila umarła; ksiązę umieścić córkę w jednym z klasztorów w Brukseli i powierzył ją staraniom ciotki, księżnej de Beaufort. Wychowanie młodej księżniczki było prowadzone w sposób niezwykły, właściwy raczej dla prowadzenia chłopców niż dziewcząt.

Beata powróciła do Madrytu przed sześciu miesiącami. Jest doskonale piękna, ale zarazem niepomernie wyniosła i zdaje się mieć stanowczą niechęć do wejścia w związki małżeńskie. Utrzymuje, że jako jedyna spadkobierczyni rodu nie potrzebuje przybierać sobie małżonka i że ma prawo żyć samodzielnie. Ojciec jej utwierdza ją w tej myśli. Starzy dworzanie, którzy pamiętają dawne dzieje, na nowo poczynają wierzyć, że ksiązę istotnie poślubił infantkę, która obdarzyła go potomkiem. Przypuszczają również, iż ksiązę ma nadzieję na uznanie praw tego dziecięcia, wszelako zachowują w tym przedmiocie przekorne milczenie. Jeżeli ja o tym jestem powiadomiony, to dzięki pewnym stosunkom, jakie łączą mnie z pałacem Avilów.

Księżniczka Beata nigdy nie wyjdzie za mąż. Jest niepomernie wyniosła i mniemam, że nikt z Hiszpanów nie ośmieliłby się ubiegać o jej rękę. Liczę jednakowoż na wygórowaną miłość własną księcia Santa Maura i spodziewam się go przekonać, że Avila jest w nim zakochana.

Posłuchaj, jak zacząłem przeprowadzać moje zamiary. Jak wiesz, panuje teraz moda na wielkie kokardy, które kobiety noszą we włosach, na ramionach i sukniach. Znakomite damy hiszpańskie sprowadzają te kokardy wprost z Paryża, Neapolu albo Florencji i pilnie strzegą się, ażeby nie mieć wstążek tego samego wzoru, co inne.

Minionej niedzieli ksiązę Santa Maura był przedstawiony na dworze; wieczorem tegoż dnia odbył się bal dworski. Ksiązę ma szlachetną postawę i tańczy z wdziękiem; ponadto widziano go tam po raz pierwszy i przede wszystkim z tej ostatniej przyczyny ściągnął na siebie uwagę najpiękniejszych dam. Wszystkie zdawały się oczekiwać jego hołdów. Ksiązę złożył je naprzód dumnej Beacie, która odpowiedziała mu wyniosłym lekceważeniem. Żalił się na to wobec kilku dworzan i pozwolił sobie nawet na żarty z nie-przystępności hiszpańskich dam.

Tego jeszcze wieczoru paż udając, że podaje limoniadę, wsunął mu w rękę list, zawierający te tylko słowa: "Nie trać odwagi!". List był niepodpisany, natomiast dołączony był do niego kawałek zielonoliliowej wstążki; barwy te należały w tym dniu do Beaty. Jednocześnie uwiadomiono ową damę, że signor neapolitański żalił się na lekceważące przyjęcie. Księżniczka w obawie, iż posądzą ją o ponure usposobienie, obdarzyła księcia Santa Maura kilku grzecznymi słowami. Odtąd neapolitańczyk nie wątpił już, że wstążka w liście zastępowała podpis. Był z siebie ogromnie zadowolony, a dotychczasowe zamiary, które w dniu przybycia do Madrytu zdawały mu się nader ponętne, straciły w jego oczach na wartości.

Nazajutrz, spożywając śniadanie ze swym teściem, ksiązę Santa Maura zapytał go o księżniczkę Avila. Moro odrzekł, iż dama ta, odebrawszy wychowanie we Flandrii, żywi pewną niechęć do Hiszpanii i Hiszpanów. Tym przynajmniej tłumaczył sobie jej bezprzykładną dumę i zamiysł niewstępowania w związki małżeńskie. Moro przypuszczał, że wybór księżniczki Beaty padnie zapewne na jakiegoś cudzoziemca. Zaczny bankier, nic o tym nie wiedząc, przykładał się swoimi słowami do zniweczenia zamiarów małżeńskich, które mu przecież mocno leżały na sercu. W istocie ksiązę Santa Maura osądził, że posiada dowody dostatecznie przekonujące, iż Beata daje pierwszeństwo cudzoziemcom przed Hiszpanami.

Tegoż ranka książę Santa Maura otrzymał kartę, złożoną jak list, ale zawierającą tylko kawałek pomarańczowo-fioletowej wstążki. Wieczorem w operze ujrzał księżniczkę przystrojoną kokardami tego samego wzoru.

- Przypuszczam, senor uliczniku - dorzucił Busqueros - że wystarczy ci sprytu na przeniknięcie węzła tej intrygi. Dowiedz się, że ochmistrzyni księżniczki jest mi nader przychylna i każdego ranka otrzymuję od niej próbkę wstążki, w którą jej pani ma się w tym dniu przystroić. Pakiet, który odniosłeś dziś rano, zawierał wstążkę i wiadomość o spotkaniu u ambasadora Francji; Beata zwróci tam z pewnością uwagę na księcia, gdyż wiele jest o nim mowy w liście, jaki dziś rano otrzymała od księżny Osuna, córki wicekróla Neapolu. Niepodobna, żeby ze sobą nie rozmawiali, a rozmowa ich nie ujdzie mojej uwagi, ambasador Francji bowiem pozwolił mi przychodzić do siebie na przyjęcia.

Prawdę mówiąc, nie zaliczam się do najznakomitszych jego gości, ale dzięki niebu mam niezły słuch i z łatwością słyszę, o czym ludzie rozmawiają w drugim końcu sali. Dziś nie będziesz mi już potrzebny. Zapewne mocno zgłodniałeś, nie wzbraniam ci więc iść sobie na obiad.

Poszedłem do kawalera Toledo. Zastałem u niego panią Uscariz. Kawaler odesłał służących i polecił mi usługiwać do stołu. Kiedy na koniec damy oddaliły się, powiedziałem mu o intrydze uknutej przez Busquera, zamierzającego poróżnić księcia Santa Maura z rodziną Moro. Ubawiło go to i przyrzekł nam pomoc; mając takiego sprzymierzeńca nie sposób już było wątpić w powodzenie zamiarów Busquera.

Kawaler Toledo należał do najznakomitszych gości ambasadora Francji. Nawiązał rozmowę z dumną Beatą, ale ta odpowiadała mu ze zwykłą wyniosłością. Wszelako kawaler był urzekająco miły i wnet wprowadził księżniczkę w wesołe usposobienie. Wówczas zaczął jej mówić o księciu Santa Maura. Beata okazała chęć bliższego poznania neapolitańczyka, a nawet ożywiła się przy tym nieco bardziej niż zwykle. Kilku dworzan powinszowało księciu Santa Maura tak świetnego tryumfu; ich słowa dopełniły jego pomieszenia. Stracił do reszty głowę: w duszy widział się już małżonkiem Beaty. Wróciwszy do domu obliczył, o ile dziedzictwo Avilów przewyższa posag Inezy Moro, i od tej chwili zaczął odnosić się do rodziny Moro z nie tajonym lekceważeniem.

Nazajutrz kawaler Toledo przyzwał do siebie Busquera, który poczytał to sobie za wielki zaszczyt. Postanowiono napisać list imieniem Beaty, ale zamiast podpisu dołączyć tylko kawałek wstążki; nikt nie miał skrupułów z powodu takiego oszustwa. Treść listu była nader zagadkowa: nie dopowiadał myśli do końca, przewidywał wiele trudności, na koniec naznaczał spotkanie u księcia Icaz. Księżciu Santa Maura nie brakło dowcipu, za całą odpowiedź więc, jak można domyślić się, przybył punktualnie na spotkanie. Tym razem Beata znów była dumna i nieprzystępna, czym z łatwością mogłaby pokrzyżować nasze zamiary, ale kawaler poufnie zwierzył się księciu Santa Maura, iż księżniczka miała ze swym ojcem gwałtowną sprzeczkę, gdyż ten wszelkimi sposobami stara się wydać ją za Hiszpana. Santa Maura uwierzył, że jest kochany, i źródła tej radości nic odtąd nie zdołałoby zmącić.

Prowadziliśmy dalej naszą korespondencję z łatwowiernym neapolitańczykiem. Mniemane listy Beaty stawały się z dnia na dzień bardziej wymowne, na koniec pozwalały domyślać się bliskiego rozstrzygnięcia. Zarazem jednak wyrażały zdziwienie, że książę Santa Maura wciąż jeszcze mieszka w domu rodziny Moro. On sam od dawna chciał zerwać tę znajomość, ale nie wiedział, jak to uczynić.

Pewnego dnia zamiast zwykłego listu ksiązę Santa Maura otrzymał długi wiersz zatytułowany: "Satyra na grandów, którzy popełniają mezalianse". Zaczynał się w te słowa:

O robaki, w Paktolu wylęgnięte bagnie,
Wzbijające się w sferę Eola gromadnie!
Sięgnąć nieba krainy pragniecie daremno
I z najczystsza krwią bogów mieszać krew nikczemną!
Czyż uleciał wam z myśli los zuchwalca srogi,
Co fałszywym piorunem naśladował bogi?
Salmon, strącon z rydwanu, zginął w strasznej męce,
Gdy się ważył Jowisza ogień ująć w ręce.

Satyra, jak widać, godziła nie tyle w grandów, popełniających mezalianse, co w bogaczów, którzy dążyli do wysokich związków. Utwór ten nie był ani zły, ani dobry, jak wszystko, co wychodziło spod pióra Agudeza, sprawił jednak oczekiwany skutek.

Ksiązę Santa Maura z satysfakcją odczytał satyrę podczas obiadu wobec całej rodziny Moro. Gdy wszyscy z oburzeniem powstali od stołu i przeszli do drugiego pokoju, ksiązę, nie tracąc czasu na wyjaśnienia, polecił zaprząć konie i jeszcze tego dnia przeniósł się do gospody. Nazajutrz wydarzenie to było na ustach wszystkich mieszkańców stolicy. Mniemana Beata napisała list znacznie bardziej czuły od poprzednich, do-zwalając w nim księciu Santa Maura formalnie oświadczyć się o jej rękę. Ksiązę uczynił to; ojciec Beaty odrzucił jego oświadczyzny i nawet nie wspomniał o nich córce. Oszczędził przez to neapolitańczykowi wstydu i zmniejszył jego żal za odtrąconą Inezą.

Należało teraz pojednać Suarezów z rodziną Moro. Odbędzie się to w sposób następujący: Gaspar Suarez, rozgniewany na syna, przez dłuższy czas krokiem nie ruszał się z gospody; na koniec postanowił wyjść na miasto. Dla rozrywki udał się do sklepu kupca win, w pobliżu Bramy Słońca. Zobaczywszy przy jednym ze stołów kilku ludzi żywo rozprawiających ze sobą, przysiadł się do nich i z przyjemnością przysłuchiwał się rozmowie, wcale się do niej nie mieszając. Postępowanie takie, niezbyt grzeczne, świadczyło, że nie ma w Madrycie nikogo znajomego. Pewnego dnia Suarez przysiadł się do dwóch mężczyzn; jeden z nich odezwał się do drugiego w te słowa:

- Utrzymuję, senor, że żaden dom handlowy w Hiszpanii nie dorównuje domowi braci Moro. Jestem tego pewien, ponieważ przeglądałem księgi handlowe braci Moro, sięgające roku 1580, i spis wszystkich transakcji, jakich dokonali od stu lat.

- Senor - odpowiedział drugi z rozmawiających - przyznasz zapewne, że Kadyks jest miastem ważniejszym od Madrytu i że handel z Nowym Światem następcza okazję do interesów znacznie korzystniejszych niż drobne obroty srebrem, dokonywane w stolicy. Stąd też dom Suarezów, pierwszy w Kadyksie, więcej jest godzien szacunku niż dom braci Moro, pierwszy w Madrycie.

Ponieważ zostało to powiedziane nader głośno, liczni goście, próżnujący przy stołach, przysiedli się do obu rozmawiających. Suarez, ciekawy dalszego ciągu rozmowy, przysunął się do ściany, by lepiej słyszeć, a zarazem nie być zbyt blisko na widoku.

Natenczas pierwszy rozmówca, jeszcze bardziej podnosząc głos, rzekł:

- Senor, miałem zaszczyt powiedzieć ci, że widziałem księgi domu braci Moro, sięgające roku 1580; znam również historię Suarezów. Inigo, ten sam, który przebywszy wiele mórz, założył dom handlowy w Kadyksie, ośmielił się w roku 1602 wystawić braciom Moro weksel bez pokrycia. Takie postępowanie mogło zgubić powstający dom handlowy, gdyby bracia Moro wspaniałomyślnie nie umorzyli tej sprawy.

Suarez, pełen oburzenia, już miał mu zaprzeczyć, ale mówca ciągnął dalej w te słowa:

- Około roku 1612, a także w latach następnych Suarezowie puszczali w obieg sztaby o wartości nierównej, jakkolwiek cechowali je tą samą próbą. Bracia Moro przeprowadzili publiczną kontrolę i znów okazali wspaniałomyślność, tuszując sprawę, która mogłaby doprowadzić do upadku dcm Suarezów.

Suarez z trudnością powściągał oburzenie; tymczasem nieznajomy tak dalej mówił:

- Mało tego. Gaspar Suarez, który nie posiadając dostatecznych funduszy, prowadził handel z Wyspami Filipińskimi, zdołał pozyskać zaufanie wuja rodziny Moro, od którego pożyczył milion. I żeby odebrać ten milion, dom braci Moro musiał wytoczyć proces, który, być może, jeszcze się nie zakończył.

Gaspar Suarez nie panował już nad sobą i bez wątpienia byłby wybuchnął gniewem, gdy wtem jakiś nieznajomy, zwracając się do obrońcy braci Moro, rzekł:

- Senor, oświadczam ci, że we wszystkim, co powiedziałaś, nie ma słowa prawdy. Weksel wystawiony przez Iniga Suareza miał pokrycie w Antwerpii i bracia Moro nie mieli prawa przedstawiać go do protestu. Ich list z usprawiedliwieniami zachował się w kantorze Suarezów, gdzie istnieje także drugi list w podobnym tonie, odnoszący się do sztab, o których wspomniałaś. Wreszcie, przedstawiony przez ciebie w błędnym świetle proces został w rzeczywistości wytoczony przez Suareza braciom Moro, by zmusić ich do odbioru bynajmniej nie pożyczonego miliona, ale dwóch milionów czystego zysku, osiągniętego z ostatniej wyprawy do Filipin. Twój rozmówca miał więc słuszność, nazywając Suarezów pierwszymi negocjantami w Hiszpanii; jest to tak samo niezaprzeczalne, jak to, że ty, senor, jesteś gadułą, który plecie, co mu ślina na język przyniesie.

Poplecznik rodziny Moro z oznakami tchórzliwego pomieszenia opuścił sklep. Gaspar Suarez poczuł się w obowiązku wyrazić wdzięczność swemu obrońcy;

zbliżył się doń co prędzej i zaproponował mu przechadzkę po Prado, na co nieznajomy wyraził zgodę. Gdy usiedli na jednej z ławek, Suarez zwrócił się do swego nowego przyjaciela, mówiąc:

- Senor, przemowa twoja nieskończenie mnie zobowiązała, co z łatwością pojmiessz dowiedziawszy się, że jestem Gasparem Suarezem, naczelnikiem domu, którego tak dzielnie broniłaś przeciwko nikczemnemu potwarzy. Mogłem przy tym ocenić, że znakomicie rozeznajesz się w życiu handlowym

Kadyksu, zwłaszcza zaś na wylot znasz historię mojego domu. Nie zaprzeczysz, że jesteś wytrawnym negocjantem; powiedz mi więc, proszę, twoje nazwisko.

Człowiekiem, do którego w te słowa zwrócił się Suarez, był Busqueros. Sądził on, że powinien raczej zataić swe prawdziwe nazwisko, i odparł, że nazywa się Roque Moraredo.

- Wybacz, senor Moraredo - rzekł Suarez - ale nazwisko twoje nie wydaje mi się zbyt znane w sferach handlowych. Zapewne okoliczności nie pozwalały ci dotychczas próbować powodzenia w interesach, odpowiadających twoim zdolnościom. Ofiaruję ci udział w kilku moich przedsięwzięciach i żebyś nie wątpił w szczerść tych zamiarów, zwierzę ci się ze swoich kłopotów. Mam jedyne go syna, w którym pokładałem wielkie nadzieje. Wyprawiłem go do Madrytu, przykazując zachowywać trzy następujące prawidła: po pierwsze, nazywać się po prostu "Suarez", nie zaś "don Suarez", po drugie, nie wdawać się ze szlachtą i po trzecie, nigdy nie dobywać szpady. Tymczasem, wyobraź sobie, senor, w gospodzie nazywają mego syna "don Lopezem Suarez", a jedynym człowiekiem, z którym Lopez zawarł znajomość w Madrycie, był szlachcic nazwiskiem Busqueros. Na dobitkę pojedynkował się z owym Busquerem i, co gorsza, został wyrzucony przez okno. Taka przygoda nie zdarzyła się nigdy żadnemu z Suarezów. Dla ukarania niewdzięcznego i nieposłusznego syna zamierzam się jak najprędzej ożenić. Jest to postanowienie nieodwołalne. Nie mam jeszcze czterdziestu lat, nikt przeto nie będzie mnie mógł potępić za zamiysł wejścia w związki małżeńskie. Od mojej przyszłej żony wymagam tylko jednego, musi być mianowicie córką nieskazitelnie uczciwego negocjanta. Znasz Madryt, czy mogę więc spodziewać się, że posłużysz mi za przewodnika w poszukiwaniach?

- Znam, senor - odrzekł Busqueros - córko pewnego nader uczciwego negocjanta. Odrzuciła ona ofiarę ręki znakomitego szlachcica, ponieważ pragnie związać się z człowiekiem równego stanu. Ojciec jej w przystępie gniewu zażądał, aby dokonała wyboru męża w przeciągu tygodnia i niezwłocznie opuściła dom rodzicielski. Mówisz, senor, że masz czterdzieści lat, wyglądasz jednak najwyżej na trzydzieści. Udał się teraz do teatru de la Cruz, obejrzyj dwa akty Sitio de Granada, podczas trzeciego zaś przyjdę po ciebie.

Gaspar Suarez poszedł więc obejrzeć Sitio de Granada. Zanim skończył się drugi akt, zobaczył nadchodzącego Busquera. Nowy przyjaciel wyprowadził go z teatru i powiódł kołując przez liczne ulice i uliczki. Suarez chciał dowiedzieć się nazwiska panny, ale jego przewodnik uznał pytanie za niedelikatne i odparł, że owa panna pragnie zachować tajemnicę na wypadek, gdyby małżeństwo nie mogło dojść do skutku. Suarez uznał tę rację za dostateczną. Po długim krążeniu przybyli na dziedziniec jakiegoś dużego domu. przeszli przez stajnie i po mrocznych schodach dostali się do pustego pokoju, oświetconego zaledwie kilku kagankami. Po chwili nadeszły dwie damy w zasłonach i jedna z nich rzekła:

- Wierzaj mi, senor Suarezie, że przyczyna mojego postępowania nie jest zuchwałość, obca mojemu sposobowi myślenia, ale próżna żądza zaszczytów mojego ojca, który pragnie wydać mnie za pewnego znakomitego szlachcica. Wielkie damy otrzymują bez wątpienia wychowanie stosowne do obyczajów świata, w którym pędzą życie: ale ja. cóż pocznę między nimi? Świetność salonów zaćmiłaby zapewne słaby blask mojego umysłu, nie znalazłabym szczęścia na tym świecie i ściągnęłabym na siebie potępienie na tamtym. Postanowiłam poślubić negocjanta. Poważam nazwisko Suarezów i dlatego też chciałam zaznajomić się z tobą.

To mówiąc zdjęła z twarzy zasłonę. Suarez, olśniony jej pięknnością, przyklękł, zdjął z palca kosztowny pierścień i wręczył go nieznanym nie powiedziawszy ani słowa.

W tej chwili boczne drzwi pokoju rozwarły się z hałasem i ujrano młodzieńca ze szpadą w ręce, w towarzystwie służących, którzy nieśli świeczniki.

- Widzę, senor Suarez - rzekł przybyły wchodząc do środka - że zamierzasz poślubić pannę Moro.

- Pannę Moro'? - zawołał Suarez. - Ależ ja wcale nie chcę poślubić panny Moro!

- Wyprowadźcie moją siostrę - rzekł na to młodzieniec. - Ciebie, senor Suarez, który zalecasz się do panny Moro, nie mając zamiaru się z nią ożenić, powinienem właściwie wyrzucić przez okno. Ponieważ jednak dbam o honor własnego domu, rozkażę odejść służącym, a wtedy policzymy się ze sobą.

Gdy służący oddalili się, młody Moro zwrócił się do Suareza, mówiąc:

- Senor, jest nas tu trzech. Don Busquera, który przyszedł razem z tobą, powinieneś przyjąć za świadka.

- Nie wiem, kogo nazywasz Busquerem - rzekł Suarez. - Jest tu tylko senor Moraredo.

- Mniejsza o to - odparł młody Moro. - Jesteś wprawdzie starszy ode mnie, ale jeśli możesz klękać przed moją siostrą, nie jesteś za stary, aby się ze mną pojedynkować. Dobądź więc szpady albo zmykaj przez okno.

Suarez, rzecz prosta, wołał wystąpić do walki. Ponieważ jednak nie lepiej znał się na szermierce od swego syna, wnet przeciwnik przeszył mu szpadą ramię. Na widok krwi młody Moro wycofał się. Busqueros przewiązał rannemu skaleczone ramię i zaprowadził go do chirurga, skąd, po opatrzeniu rany, obaj udali się do gospody.

Suarez natknął się tam na swego syna, którego właśnie przyniesiono na noszach. Widok ten poruszył go do głębi, ale w obawie, by nie zdradzić stanu swego serca, obrzucił Lopeza wymówkami.

- Synu - rzekł - zabroniłem ci zadawać się ze szlachcicami.

- Ach, mój ojciec - odparł Lopez - zadawałem się tylko z jednym; był to ten sam człowiek, którego teraz widzę obok ciebie. Zresztą zapewniam cię, że zostałem zniewolony do zawarcia tej znajomości.

- W każdym razie - powiedział Suarez - nie należało się z nim pojedynkować. Zabroniłem ci przecież dobywać szpady.

- Nie zapominaj, senor - rzekł Busqueros - że jesteś ranny w ramię.

- Wszystko bym ci wybaczył - mówił dalej Suarez - gdyby nie to, że wyrzucono cię przez okno.

- Ta sama przykrość - przerwał Busqueros - mogła się i tobie, senor, przed chwilą przydarzyć.

Na te słowa Suarez zmieszał się gwałtownie. W tej samej chwili wręczono mu list zawarty w tych słowach:

Senor Gaspar Suarez!

Zwracam się do ciebie imieniem mego syna Estebana Moro z uniżoną prośbą o przebaczenie. Esteban widząc, że znajdujesz się w pokoju naszych stajennych z jego siostrą Inezą, sądził swoim obowiązkiem okazać ci niezadowolenie z twego postępowania.

Już poprzednio syn twój, Lopez Suarez, usiłował wkraść się do Inezy przez okno, jednakże pomylił dom, spadł z wysokiej drabiny i połamał nogi.

Podobne usiłowania mogłyby nasunąć przypuszczenie, że zamýślacie zniesławić naszą rodzinę i byłbym w prawie dochodzić krzywdy drogą sądową; jednakże wolę zaofiarować ci następujący układ.

Toczy się między nami proces o dwa miliony plastrów, które zdaniem twoim powinienem przyjąć. Przyjmę je więc, ale z warunkiem, że dołożę do nich jeszcze dwa inne miliony i oddam je wszystkie razem twemu synowi wraz z ręką mojej córki Inezy.

Wyświadczył mi on nieoszacowaną przysługę, od-wodząc Inezę od zaślubienia granda, któremu przez karygodną próżność zamierzałem ją poświęcić.

Kara, senor Caspar Suarez, zawsze dorównuje winie. Twój syn, ubiegając się o rękę mojej córki, uczyniłby nam zaszczyt; wszelako wolał wkraść się do niej przez okno. Jego postępowanie było bez wątpienia skutkiem urazy, jaką żywisz do nas od półwiecza, a której przyczyną były omyłki buchalterów, naprawione przez nas w miarę naszych możliwości.

Porzuć, senor Gaspar, uczucia, które grzeszą przeciwko miłosierdziu chrześcijańskiemu i mogą przywieść do zguby na tym i na tamtym świecie.

Proszę cię o to jako przyszły teść twego syna, a twój uniżony sługa. Moro

Dokończywszy czytania listu Suarez osunął się na krzesło miotany sprzecznymi uczuciami, które zdawały się walczyć ze sobą w jego sercu.

Lopez, spostrzegłszy stan uczuć ojca, dobył całych swych sił i doznając przejmującego bólu, rzucił się ze swych noszy do kolan Suareza.

- Lopezie - zawołał Gaspar - czemuż wybrałeś właśnie pannę Moro?

- Przypomnij sobie - przerwał Busqueros - że sam klęczałeś u jej kolan.

- Przebaczam ci - rzekł Gaspar.

Nietrudno domyślić się dalszego ciągu tej historii. Lopez został jeszcze tegoż wieczoru przeniesiony do swego przyszłego teścia. Starania Inezy znacznie przyspieszyły jego powrót do zdrowia. Gaspar Suarez nie mógł mimo wszystko pozbyć się swych uprzedzeń do rodziny Moro i po ślubie syna, nie zwlekając, powrócił do Kadyksu.

Lopez już od piętnastu dni był szczęśliwym małżonkiem Inezy. Wkrótce miał ją zawieść do Kadyksu, gdzie Gaspar Suarez niecierpliwie ich oczekiwał.

Busqueros, dokonawszy tego ważnego przedsięwzięcia, powziął nowe zamiary, które mocno mu leżały na sercu. Zamyślił wydać swoją krewną Getę Salez za mojego ojca; piękna Geta zajmowała już dom z drugiej strony uliczki. Postanowiłem nie dopuścić do tego małżeństwa.

Najpierw udałem się do szanownego teatyna fra Geronimo Santez, ale ten stanowczo odmówił swej pomocy utrzymując, że zakonnik nie powinien wdawać się w sprawy światowe, i że wtedy tylko miesza się do spraw rodziny, gdy chodzi o pogodzenie zwaśnionych lub zapobieżenie zgorszeniu, o wszystkich zaś wypadkach innego rodzaju wcale nie chce słyszeć.

Oddany własnym moim środkom, chciałem zwierzyć się kawalerowi, ale wtedy musiałbym powiedzieć, mu, kim jestem, czego w żaden sposób nie mogłem uczynić. Tymczasem więc zadowolilem się tym, żeby Busquera bardziej związać z kawalerem Toledo. Ostrzegłem zarazem kawalera przed jego skłonnością do natręctwa.

KONIEC